

Pociąg na południe i inne opowiadania

Lidia Sejfullina - Mierzwa

Marietta Szaginian - Przygoda damy z towarzystwa

Aleksander Matyszkin - Pociąg na południe

Władimir Bachmietjew - Żelazna trawa

Aleksander Serafimowicz - Dwie śmierci

Konstantin Fiedin - Koniec świata

Michaił Szołochow - Żrebak

Boris Ławrieniew - Czterdziesty pierwszy

Izaak Babel - Śmierć Dołguszowa

Nikołaj Tichonow - Turkusowy pułkownik

Aleksiej Tołstoj - Żmija

Paweł Nilin - Wspaniały Pawluc

Od wydawcy

Niniejszy wybór zawiera dwanaście opowiadań i nowel napisanych w latach dwudziestych (z wyjątkiem Wspaniałego Pawluka), które zostały zamieszczone w kolejności powstania. Odzwierciedlają one koleje losu społeczeństwa zamieszkałego na obszarach imperium carskiego podczas pierwszej wojny światowej, Rewolucji Październikowej i wojny domowej, ukazują panoramę kraju ogarniętego ogniem rewolucyjnych przeobrażeń.

Autorzy opowiadań byli naocznymi świadkami owych dramatycznych wydarzeń, wszyscy prócz Aleksieja Tołstoja oraz najmłodszych — Szołochowa i Nilina — brali w nich udział. Osobiste doświadczenia i przeżycia spożytkowali jako tworzywo literackie, dając żywy i wiarygodny, chociaż z pewnością subiektywny obraz tamtych lat.

W centrum ich zainteresowania znalazł się przede wszystkim świat przeżyć indywidualnych. Poszukują odpowiedzi na pytania: jak wojna i rewolucja kształtowały ludzkie losy i jaką postawę, jaką drogę wybierał człowiek w obliczu problemów stawianych przed nim przez historię, był to bowiem czas dokonywania wyborów, czas przewartościowań, dla wielu ludzi okrutny czas przekreślania tego, czym żyli dotychczas.

Obok opowiadań pisarzy znanych w Polsce, jak Michaił Szołochow, Aleksiej Tołstoj, czy Izaak Babel Czytelnik znajdzie tu opowiadania pisarzy mniej popularnych — m.in. Lidii Sejfulliny i Marietty Szaginian, a także nie tłumaczone dotychczas opowiadania Aleksandra Serafimowicza, Pawła Nilina, Władimira Bachmietjewa i Aleksandra Małyszkina.

Lidia Sejfullina

Mierzwa

Różne wieści krążyły o Leninie. Że z Niemców jest. Z Rosjan, lecz przez Niemców wynajęty i w zaplombowanym wagonie do Rosji dostarczony, żeby rozterki niecić. Były wójt, Żyganow, ogromnie się tym interesował, zawsze z miasta przywoził nową wiadomość. Wczoraj powrócił po północy. Jednak nie wytrzymał: zastukał do okna biblioteki ziemstwa. Z przerażeniem rzucił się od stołu do okna chuderlawy, niski bibliotekarz, Siergiej Pietrowicz. Zasiedział się był nad gazetami, jak zwykle.

—Kto tam? Co takiego?

Żyganow szczelnie przycisnął do szyby swą czarną brodę i przez podwójne okno krzyknął rozgłośnie:

—Uciekł! Proszę się nie lękać! Dobry wieczór! Wprost z miasta wracam. Uciekł!

—Witajcie, Aleksieju Iwanowiczu! Kto uciekł?

—Lenin. Z banków wszystko pozabierał! Do cna! I ukrył się. Wysłano pościg. Jutro wszystko opowiem.

—Wstąpcie, Aleksy Iwanowiczu. Zaraz otworzę.

—Nie mam czasu. W domu czekają na mnie. Jutro wszystko opowiem!

—Przywieźliście gazety?

—Przywiozłem. Ale stare, w tych to jeszcze o tym nie pisze. Telegram był... Hej, ty zawzięta cholero, t-pr-u!

I w sankach gadał, już sam: .

—Nie chcesz stać! Do domu ciagniesz, żyć chcesz! W. adomo, bydle! . 1 Si

Lecz następnego dnia wieści ucichły. Oszukano w m. eście: rano przyjechał jakiś z „mandatą” i wyczytywał na zgromadzeniu niezrozumiałe wyrazy: „Sownarkom, do Ispółkomu, wszystkich Sowde- pów” *. Nie uciekł Lenin.

Rozprawiano o Leninie głównie w Niebiosnowce. Książkowy naród przemieszkuje tam. Sekciarze. Kiedy przywędrowali tutaj z Rosji — chwalili sobie. Że to jakby dostali się do niebios — powiadali. Więc tak też przezwali wieś: Niebiosnowka. Wszyscy sekciarze dla wertowania Pisma świętego w nauce czytania kształceni są. Od Tam- bowki, chociaż to właściwie jedna wieś tambowsko-niebiosnowska, oddzielili się słupem z tabliczką. Tabliczka też dla tych, co czytać potrafią. Białe na czarnym stoi wypisane: Niebiosnowka — osób płci męskiej 495, żeńskiej 581. Prawie pod samą tabliczką stoi ostatnia chałupa Tambowki, ale naród w tych wsiach niejednaki. W Niebiosnowce godniejszy. W Tambowce też, kto młodszy, a bardziej oświecony, jest uświadomiony o Leninie, ale kobiety i starzy tyle tylko o bolszewikach słyszeli, że wojnę zakończają.

Wójt Żyganow był z Niebiosnowki. Zrzucili go ze stanowiska tambowieccy żołnierze. Teraz to się już nikt nie połapie, co za rządy. Przewodzi żołnierz Sofron. Na zgromadzeniu przyczepił się do Zyga- nowa:

— Hej, ty, pleciugo mołokański *! Co za wieści o nowej władzy rozgłaszasz?

Niemalego wzrostu jest Sofron, a i rozłożysty, lecz oczy Żygano- wa szydzą zeń z góry czarnym połyskiem. Żyganow wyższy jest o głowę. I nie lękliwy, za to sprytny. W bójki po głupiemu się nie wdaje.

— Czego naskakujesz, jak kogut na kurę? Com w mieście słyszał, tom odpowiedział. Ocyganiono mnie, tom i ja ocygał. Za ile kupiłem, za tyle sprzedałem.

Chłopi już sapią wokół nich. Stłoczyli się. Przybysz z mandatem poszedł napić się herbaty. Zgromadzenie nie rozchodziło się. Zwołać z chałup niełatwo, lecz gdy się raz już zbierze wiejski naród, to się rozpędzić nie da. Uzbierało się niemało wątpliwości. Nim wypytają o wszystko, wiele godzin upłynie.
row:

—Obywatelu Sofronie Artamonowiczu, nie wypada się tak rozbijać. Aleksiej Iwanowicz to człowiek ze zrozumieniem. Dowiedział się w mieście, więc powtórzył. Skoro zaś nastąpiło wprowadzenie w błąd...

Sofron —* to człowiek bez zastanowienia. Wściekł się z powodu

spokojnego, przekonującego przemówienia Koczerowa, ryknął rozgłośnie na całą wielką klasę. W szkole bowiem zbierano się na wszystkie narady.

—Towarzysze! Obywatele! Cała Niebiosnowka jgfc to kułacy! Słodko śpiewają, ale im nie wierzcie. Zaraz wam słówko rzeknę! Sam, jako prezesem tego mitingu będący, słówko wam rzeknę!

I od razu do stołu, skąd mowy wypowiadano. Otoczyli go urlopowani żołnierze. Żołnierki i łachmaniarze zza parowu, kędy się nędza gnieździła, też do niego. Niebiosnowianie już mieli ruszyć ku drzwiom za Syczugowem, kupcem z Tambowki, lecz wnet im przekazano szept Zyganowa:

—Nie rozchodźcie się! Koczerow Sofronowi do słuchu powie!

Kręcone, rude włosy Sofrona sterczą zawsze nad głową jak aureola. Broda też ruda i pozbawiona stateczności. Skłaczona, rozwiana na wsze strony. A i w oczach surowości brak. Jedynie błękit, ciemniejący w gniewie, lecz nie ma w nim ołowiu. Dlatego nie przeraża.

—Towarzysze! Bogacze z Niebiosnowki bałamuca nas. Myśmy na froncie krew przelewali, a oni się ukrywali za Bogiem! Że to, powiadają, wiara nie pozwala im na wojnę iść! A teraz znowu o krew naszą gwałtują! Która władza chce wojny, to tej im trza. Naszej im nie trza!

Zahuczało zgromadzenie:

—Prawdę gada! Za Bogiem kryjąc się, brzuch sobie spaśli!

—Nasi też byli na wojnie! Odmówili tylko dobrotolubowcy *!

—Bośmy się nie bali katorgi, ale na wojnę nie szli!

—Tieplouchow dopiero teraz z katorgi wrócił...

—Gadaj do rzeczy! O tym wszyscy słyszeli już!

— Jeich Tieplouchowa trzymali na katordze! A nasi mają poobrywane ręce i nogi! Cóż ty na to?

— Za nic to sobie masz?

— Było wam także nie iść!

— Ach, ty kałdunie zaprzepaszczony! Ziemię toście na wieki zagarnęli! Starczy dla rodzin, starczy i na katorgę...

— Trza się było starać, tobyście też na wieki mieli...

— Co tam gadać! Wał pasibrzuchów!

— Cicho! Dajcie słowo rzec!

— Wolność słowa...

— Gadaj, Sofronie!

— Nie ma co gadać! Wszystkośmy słyszeli!

Gwałt wzrastał się. Głosy nabrzmiewały wściekłością.

Sofron wyteżał pierś, by przekrzyczeć:

— Towarzysze! Później się porachujemy! Tak to nic nie słysząc! Po kolei każdy wyłoży.

Zyganów uciszał wszystkich:

— Spokój już! Spokój! Koczerów mu dogodzi! .

Ucichli. W głuchym, rozgniewanym, lecz cichnącym warkocie rozhuśtał się jasny, niski głos Sofrona:

— Towarzysze! Tamci obszarpańcy zza parowu... to są teraz towarzysze dla nas! Czyli że my — towarzysze dla was jesteśmy! Bo chłopię z Niebiosnowki są bogaci. Im wszystko jedno, czyja ziemia. Im wszystko jedno, choćby nas znowu do okopów wzięto. Trza im Dardanelów! Tacy to oni są! Balamucą was, że niby wszystko przez Boga, przez Pismo święte. Łacno im do Boga się uciekać. Bogaczowi łatwiej dostać się do królestwa niebieskiego. Na ziemi porastają w sadło, a umrze taki...

Żyganów nie wytrzymał. Wykrzyknął głośno z tłumy:

— Szczekasz na Pismo święte! Tam stoi: biedakowi łącniej do rajy... Sofron potrząsnął rozkudłanym łbem. Uniósł się. Namiętnie, głośniejsz niż poprzednio, jakby chciał łby porozbijać, wrzeszczał do tłumy:

— Przeoczenie do Pisma się wkradło! Bóg się w bogaczach lubuje! Chłop, który bogaty, czysty jest i przymilny. „A i czegoż bym jak ten pies się rzucał, kiedy każdy przede mną czapę ze łba ściąga?” Biedaka zaś każdy w kark szturchnie. Z tego poszturchiwania zawsze w nim złość wzbiera. Musowo! Bogaty z panami za rączkę się wita, we wszystkim wykształcenie ma. Biedak nawet modlitwę na przekleństwo wykręci, bo nie ma nijakiego zrozumienia! W Piśmie stoi: nie kradnij. Musowo ukradnie się, kiedy żarcia brak! Znowuż w Piśmie tym: nie zabijaj. Musowo zabije się!...

Ryknęli niebiosnowianie:

— A to dobre! Czyli, że kradnij, zabijaj!

- Macie teraz tę nową naukę!
 - Poznać człeka ze słów!
 - Słyszeliście, jacy to są ci bolszewicy!
 - Bo i prawda, kryminalistów mają za przywódców!
- Brać z za parowu swoje:
- Stul pysk, brzuchacz!
 - Kogo zabito? Kogo kóren z naszych zabił?
 - A warto było! Bić tych diabłów rogatych!

Stara Mitrofanowna dorozumiała się: o wiarę spór się toczy.

Rozdygotanym głosem wykrzyknęła spośród tych z za parowu:

— W prawosławnej cerkwi są sakramenta święte, a w jeich, molokańskiej, co?

Słowa zatoneły w gwarze. Ręce poczęły drgać, rozhuczały się, rozsapały, rozbrzęczały przeróżne głosy, wszystko złączyło się w dzikiej muzyce żywiołowo rozszalałego ryku.

Sofron zrazu walił pięścią w stół, potem pochwycił stołek. Stołkiem jął grzmocić po stole. Ucichli na chwilę, lecz wydarł się roz- drgany krzyk Riedkina:

— Nasza władza! Basta! Już się tamci naużywali!

I znowu jęk, ryk tłumu. Nie stali w miejscu. Napierali jeden na drugiego, wygrażali pięściami, popychali, tłoczyli się, dusili. Zbliżała się bójka.

Koczerow przepychał się do stołu, odsunął silną dłonią czyjąś ciężką pięść i wyrwawszy Sofronowi stołek począł nim głośno uderzać w stół raz po raz. Niebiosnowianie uciszyli się. Sofron uspokajał swoich. Rozbrzmiał miękki, pieszczotliwy, przyjemny bas Koczerowa:

— Bracia! Złość zwierzęciu przystoi, człowiekowi zaś spokój i miłowanie.

W łagodnym głosie jego była pewność i władczość, właściwa kanodziejom. Riedkin splunął i brzydko zaklął w odpowiedzi. Reszta milczała.

— W gniewie oczy ludzkie nie widzą, uszy nie słyszą. Po cóż tak czynić? Dlaczego brat Sofron dał się osiodłać złości? Za wiarę naszą od starego rządu cierpieliśmy wielkie prześladowania. Z Rosji przynieśliśmy wiarę swoją tutaj, dla ratowania jej. Do obcego kraju piechotą z rodzinami szliśmy.

Ziemie kupiliśmy na wieczyste posiadanie. Ale jak? Czyście tego, bracia, nie widzieli? Kupiliśmy gromadą, całą gromadą! Nie tylko potem, krwią naszą ta ziemia jest użyźniona. Tak, tak! Kiedy stary rząd naszych na katorgę gnał, toście nas wtedy żalowali. Jedynie dobrotolubowcy spośród nas nie szli na wojnę. A czy dużo ich między nami? My, ewangeliczni chrześcijanie — myśmy szli... Syna mam w wojsku. Ponosimy wraz z wami ciężary.

Głos, niby olejem świętym namaszczony, łagodny był, przejmujący, kojący. Tłum skurczył się, stulił. Jedynie Sofron chrząknął i Riedkin zaprotestował chorowitym, rozdygotanym okrzykiem:

— Pismaki! Na Piśmie się namądrzyli...

Zasyczano na niego i umilkł.

Koczerow mówił miarowo i przekonująco. Jakby choremu kojące krople dawał:

— Co się tyczy bolszewickiej nauki, tośmy nie przeciwni. Wojny nie chcemy, bowiem powiedziane jest w Piśmie świętym — nie zabijaj. Również według Pisma świętego powinniśmy wspomagać biedaka. Ale nauka ludzka jest, nie boska. Niesie ona zawsze ze sobą mął grzechów naszych. Odebrać i oddać — krzywda to jest i zło. Naszą ziemię, dajmy na to, jakżeż odbierać? Nie dostaliśmy jej w prezencie. Trzeba by się zastanowić nad tym wszystkim w gromadzie, w cichości, w spokoju. Sam zainteresowałem się bolszewicką nauką, pojechałem do miasta. Dowiedziałem się tam, że najznakomitszym nauczycielem ich był Karol Marksów. No, dobra. Był on sobie człowiekiem nie rosyjskim, swoją naukę spisał po cudzoziemsku. Żeby tak poznać w dokładności zalecenia Karola Marksowa! Rosyjski naród jest łatwowierny. Jak się nam poda, tak też przełkniemy. Do wy- bredzania nie nawykliśmy. Co do wykształcenia w językach cudzoziemskich — jesteśmy słabi. Jeżeli zaś do cudzoziemszczyzny — co możemy przypuścić — Lenin coś dopisał, to jak się o tym dowiemy? Trzeba by cudzoziemskie języki rozumieć i pismo Karola Marksowa porównać z rosyjskim. Naonczas można by było: proletariusze wszystkich krajów! W takiej sprawie, jak polityka — ani rusz bez dokładności. Na zrozumienie trzeba czasu, trzeba zaufanych ludzi, trzeba spokoju i zgody. Ale na złamanie karku pchać się do nowego jarzma...

Najprawdziwsza rozpacz wypchnęła z ciszy świszczący okrzyk Riedkina:

—Cygani! Towarzysze, kaznodzieja mołokański chce wam oczy zamydlić!
Od razu przerwał przemówienie Koczerowa. Utknął na jakimś wyrazie przy niespodziewanym natarciu.

Z mocą, wściekłością i władczo wykrzyknął Sofron:

—Dość! Natumanieś! My tak nie potrafimy! Towarzysze! On się ziemi uczepił! Uczepił się, a nas chce podejść. Dość!

Znowu wielogłośny okrzyk:

—Racja! Sprawiedliwie! Podchodzi nas! Stul pysk!

—Niewyparzone gęby! Odwykliście od pocziwego słowa.

—Niechaj gada Jefim Koczerow!

—r- Sprawiedliwie wykladał!

—Luń go w kark, to zapomni o wykładaniu!

—Sofronie, rzeknij słowo. Tak po naszymu!

Ale na stół wdrapał się Riedkin. Chudy, pokraczny, z rozgorączkowanym spojrzeniem złych, czarnych oczu, z jaskrawymi plamami na policzkach, tłukł pięścią w zapadłą pierś i rzeźił ze świstem:

|—i Mam dziewięć gąb! Dzieciaki moje, chociaż to pędraki jeszcze, ale ziemię wybronowałyby swymi zębiskami. A gdzie ta moja ziemia? Gdzie ona? No, gdzie? Brata mi na wojnie zabito. A gdzie ziemia jego rodziny? A ten brat Andriej, toć wiecie, do sekciarzy tych właśnie przystał. Czy go Koczerow nakarmił? Dał mu ziemię? A jakże! Za najemnika mu był, grzbietu nauginał. Syna Koczerowo- wi zabrali! Za krawca w spokojności siedzi! Ile to mu, temu Jefimowi Koczerowowi, nazwoził wszelakich różności, kiedy na urlop przyjeżdżał?! A on nam oczy mydli! Żeby to ja miał dostatek!

Wykrzyknął, zakaszał się, ochłap krwi na dłoń wycharczał, machnął ręką i z trudem zlął ze stołu.

Sofron natychmiast wyrósł na jego miejscu. Twarz miał zbieleła, oczy jakby czernią pokryte i po raz pierwszy surowość w spojrzeniu błysła.

—Towarzysze! Nie ma co długo gadać! Myśmy nie kaznodzieje, nie umiemy. Oto, co zrobimy: jazda całą gromadą zapisywać się do bolszewickiej partii. Więcej nie ma nic do zrobienia! Hej, Mitro- cho, pisarzu, bierz się do zapisywania!

Zakołysali się w podnieceniu, wykrzykiwali niesfornie:

- To ci komendant!
- Przypieczętowałbyś jeszcze! Antychryst zawsze z pieczęcią!
- Kain też jest naznaczony!
- Zapisywać się! Racja!
- Zapisywać się! Zapisywać!

Sofron usiłował przekrzyczeć wszystkich:

—Spółem, gromadą za siebie staniemy! Tamci chcą nas otumanić! Hej, nędzo zza parowu, ruszaj! Kto się nie zapisze, nie ma ziemi dla takiego!

—Sprawiedliwie! Nie chcą z narodem, to jak chwasty z pola precz!

— Hajda, umykaj, kto nie nasz!

— Mitrocho, zapisuj!

Siedemnastoletni śmieszek, płowy Mitrocha, zakrywając usta dłonią, przecisnął się do stołu. Natychmiast znalazł się przed nim arkusz szarego papieru.

Lecz wykrzyknął bibliotekarz:

— Towarzysze, obywatele! Proszę o głos!

W ciągu całego burzliwego zgromadzenia bibliotekarz stał wśród małej grupki koło okna. Były tam nauczycielki, pop i on. Wszyscy dawno już szeptali między sobą, lecz nie mieszały się do awantury. Hałas w głębi klasy nie ucichł, ale koło stołu zaległo milczenie.

— Obywatele, tak nie można! Do partii politycznej nie wstępuje się w taki sposób!

Sofron ułapił go za szczupłe ramię:

— Ty się z nami nie zapiszesz? Gadaj: nie zgadzasz się?

Bibliotekarz głowę wciągnął w ramiona, zrobił się jeszcze mniejszy, lecz odpowiedział z mocą:

— Nie! Sami nie rozumiecie, dokąd się pchacie!

— Ach, tak. Dobra. Nie rozumiemy? Ale takich rozumiejących nie trza nam! Idź precz do swoich bogaczy!

Nieoczekiwanym wzniesieniem ręki uchwycił go Sofron z tyłu za kołnierz i kopnięciem nogi pchnął w tłum. Bibliotekarz nie upadł tylko dlatego, że uderzył głową w pierś rosłego, starego chłopca.

Obrócił na Sofrona bladą, wykrzywioną z powodu doznanej obrazy twarz i

piskliwie, po dziecinnemu wrzasnął:

— Zbir!

Rzucili się na niego chłopci zza parowu, lecz jakby murem zasłonili go niebiosnowianie. A i Sofron powstrzymał nowym okrzykiem:

— Później się porachujemy! Podchodzić do zapisu! Kto się nie zapisze —■ z takim się porachujemy. Będziemy wiedzieć, kto nasz!

Niebiosnowianie wszczęli gwałt.

Ale Mitrocha już zapisywał:

— Kruczenych Paweł z rodziną...

Wokół stołu stłoczyli się ci, co pragnęli się zapisać.

Koczerow machnął ręką i ruszył ku wyjściu. Prawie wszyscy niebiosnowianie wyszli za nim. Pozostało tylko pięciu.

Przy stole wrzało:

H' ś^iSofronie, hej, Sofronie, kobitę osobno zapisywać, czy ze sobą?

— Baby dla większego rachunku osobno. Teraz dla nich prawa wyszły! Dzieciaków nie zapisuj.

— Oj! A jak na nie ziemi nie dadzą?

Żołnierka Uljana rzuciła się do Sofrona:

— Co za prawa dla kobit wyszły?

W tłumie poczęto się śmiać. Mitrocha zza stołu krzyknął rozgłośnie:

— Jazda, zapisywać się!

Roztargany, jak nastroszony wróbel, niziutki Artamon Piegich odepchnął żołnierkę:

3 Zapisanaś, to nie skrzecz! Powiedziane było, że dla obrachunku!

Sofron, znowu ożywiony, jakby wyolbrzymiał. Znowu połyskiwał radośnie oczami i obracając się na wsze strony, dawał wyjaśnienia.

Po upływie dwóch godzin wręczał w zajeździe mówcy z miasta arkusz.

— Tutaj jest zapisanych sto pięćdziesiąt osiem luda. Oddajcie spis i niech nam dokumenta przyślą, żeśmy teraz partia bolszewicka.

— Jakżeż to się stało? To dopiero powodzenie! Zdumiewające! Co to jednak znaczy we właściwym czasie przyjechać. Dzięki, towarzyszu! Z radością wręczę! Znowu wkrótce przyjadę. Wyście, towarzyszu, frontowy?

Sofron chętnie i radośnie opowiedział o swej żołnierce, o otrzy-

manej ranie, o urlopie, o tym, jak to się w wojsku o bolszewikach dowiedział. Miał chęć opowiadać o sobie dokładnie i długo, ale przyjezdny mówca poczał się krzątać, pakować, więc Sofron wyszedł.

Chrzest śniegu pod stopami, milczące, jakby zastygłe niebo, odgłosy gawęd jeszcze nie pogrążonej we śnie ulicy, urywki piosenek — wszystko to podniecało Sofrona, budziło nowe uczucie triumfu i obawy. Jakby na czele oddziału do boju szedł.

Na skutek wydanego przezeń rozkazu Artamon Piegich w tym czasie zajechał przed bibliotekę, rozbudził bibliotekarza i oświadczył:

— Pakuj się! Zaraz cię do miasta zawiozę.

— Jak to do miasta? Po co?

— Rozkaz gromadzki. Nie trza nam takich! Dalej go, pakuj się.

— Ależ ja nie chcę jechać! To gwałt!

— Sofrona zbudzę, jak nie pojedziesz. Rozkaz.

Spluwając i klnąc bibliotekarz poczał pakować swoje rzeczy. Rumieniec obelgi palił mu twarz. Sofron, ten do niedawna pogardzany przez wszystkich! Jedynie bibliotekarz czas z nim mitrężył. Wyróżniał go i cenił za pociąg do książki. I ten teraz powrócił z frontu jako przywódca! Wynurzył się nowy, ciemny, zły. Innym narkotykiem odurzony. No, tak! Może to i prawda, że zginęła Rosja!

Kiedy po raz ostatni wszedł do biblioteki, aby spojrzeć, czy nie zostawił czego, przypomniał sobie:

— Komu oddać klucze?

— Sofron rzekł, żeby jemu zawieźć.

— No, dobra. Jak jemu, to jemu! Jedziemy.

Sofron zaś stał już przy podwodzie, koło biblioteki. Kiedy bibliotekarz się zbliżył, Sofron wyciągnął do niego zaciśniętą dłoń.

— Masz.

— Co to takiego? He?

— Trzyrublówka! Dla ciebie ode mnie. Jako że bardzo zadowoleni jesteśmy. Nie ukrzywdziłeś nigdy. Weź, tam w mieście przyda się!

Nieśmiało rozbłysły blask spod krzaczastych ryżych brwi i łagodny, lekliwy uśmiech wraz z trzyrublówką przyjął ze ściśniętym sercem

bibliotekarz. Nie potrafił odmówić.

Na trzech wielorybach stoi ziemia, mawiali starzy. Widać wyciągnięto jednego spod niej. Chwiejną się uczyniła. Zbrakło we wszystkim mocy i stałości. Zaś od roku dziewięćset siedemnastego wieś jakby kołowacizny dostała. Zabrakło mocnej więzi z tym, co własne, odwieczne, wsiowe. Dawniej życie upływało w zależności, było ciężkie, lecz pełne treści, uregulowane, wieloma pokoleniami wstecz zatwierdzone. Kiedy spokojny bieg dni przerywały bójki pijackie, walki uliczne, pożary, śmierci, to nawet te klęski były stare, zrozumiałe. Pijaństwo i bójka w czasie świątecznym przy całym swym nieokiełznaniu i dzikości były czymś zwykłym i nie przerażającym. Szaleje wszakże rzeka w okresie powodzi, grozi i niszczy, lecz potem układa się cicha, spokojna karmicielka. Teraz inaczej.

Koczerow wszystko to przemyślał nie raz i nie dwa razy. I dopiero w tych przemyśliwaniach dowiedział się, że wszystko w życiu natrafia na przeszkody. Nie do przewyciężenia! Zaś poznawszy bezsilność, poznał również złość nie do pokonania, co wściekłym chwytem pastwi się nad człowiekiem. Nie mógł patrzeć na Sofrona: przechodził na inną stronę ulicy, gdy go spotykał. Pewnego razu Sofron zauważył, że Koczerow go unika. Wyszczерzył białe zęby i ryknął na całą ulicę:

— Hej, mołokański popie! Cemu po ziemi gałami włóczysz? Widać z niebem rozbrat wziąłeś? Ano, rację masz!

Koczerow rzucił na Sofrona złe, zmacone spojrzenie; odpowiedział bez wrzasku. Jenó głos nie był, jak zazwyczaj, spokoju pełen. Dygotał.

— Porzućcie nieprzystojność, obywatelu Sofronie Artamonowi- czu! Wyście teraz na widoku, nie wypada, jak za dawnych czasów, łobuzować się. Jak ongi, po pijanemu.

Cały jad, ukryty w przytyku do przeszłości Sofrona, wycedził i ze wzniesioną głową minął go, barczysty, stateczny i życzliwym swym wyglądem każdemu miły. Tylko koszula się na nim rozgrzała. Serce w gniewie od razu całego go rozpałiło. Po głowie przewijały się gniewne myśli:

„Słowa nierozumne są, jak bezmyślne szczekanie psa. Minać w spokoju i już się nie słyszy! Żebyż to tylko słowa! Nie, wszakże właśnie teraz tacy pyskacze dzierżą władzę. Wszystko, co najpaskudniej-

sze, u szczytu teraz się uwija. Pijaczyna Sofron! Ziemi mu nie starczało! Nawet ten obrzynek, co ma, to mu starsze dzieciaki z babami zasiewały. Nie miał nigdy gospodarskiego starunku. Obcym tu był Riedkin, któremu całe wnętrze zgniło, bo moc swoją po różnych miejscach roztrwonił: wciąż szukał, gdzie jest lepiej. Reszta też tacy właśnie poszukiwacze. Zatracili się między nimi trzej bogaci żołnierze z Niebiosnowki. Ani ich nie słysząc. Sofronowe łapserdaki rządzą zdrowymi, gospodarnymi, pocziwymi. A i tam, w stolicach, widać z gazet, że porządku brak. O-och, Rosjo!”

Nie zauważył nawet, kiedy w myślach tych do domu doszedł. W domu znowu nowina. Ładna, postawna żona, mimo czterdziestu lat młodą rumianością powabna, ze łzami go na podwórzu spotkała.

— Rozkaz dla ciebie z gminy od Sofrona... Ty, Żyganow, Gle- bow i jeszcze, nie dosłyszałam już kto, na dziesiętników wyznaczeni jesteście. Macie po zagrodach ludzi na zgromadzenie zwoływać.

Dorozumiał się od razu: na kpiny. Zawsze na dziesiętników sama hołota szła. Wysyłano też chłopaków ze szkoły. Więc się teraz Sofron natrzęsa: wybrał najszanowniejszych bogaczy z Niebiosnowki.

— Kto przyniósł rozkaz?

— Artamon Piegich. Jest w chałupie. Idź, zapytaj sam.

Ze na krześle i nie w kuchni, ale w pokoju siedział i dymił cuchnącą machorką rozczochrany Artamon Piegich — pokój gorszym się wydawał. Złote litery ewangelicznych wersetów i kaznodziejskich pouczeń, co na ścianach w ramach za szkłem miast obrazów świętych wisiały, zmatowiały, zda się. Na malowaną, lśniącą podłogę spłynęły z wielkich, łatanych walonków płaty topniejącego śniegu i błota. Miejskie firanki i szydełkowe serwety na stołach zatonęły w dymie. Koczerow ściągnął surowo brwi, zdejmując czapkę.

— Bracie Artamonie, ziele tabaczne uważam za szkodliwe dla człowieka i Bogu nie mile. Prystaw* nie palił, wstępując tutaj. Przestrzegam was stanowczo: zaprzestańcie palenia tytoniu!

Artamon pociągnął nosem, splunął na papieros i rzucił go na podłogę.

— Ano, kiedy już taka ta wasza wiara mołokańska! Wyrzuciłem. A jak uważacie sobie, że obrazów nie trza, to te w ramach po

co? To znów, że tytoniu nie należy, ale z babą to śpisz? W niej jest grzechu więcej. Starowiercy, te, które...

— Nie czas teraz, bracie Artamonie, na rozprawianie o wierze! Zapomnieliście o swojej. Co wam do cudzej? W sprawie jakiejś do mnie przyszedłeś, czy jak?

— I-y-ych, jakiś ty honorny! Niby, że to nie naszego rozumienia rzecz! Nastroszył się nagle i hałaśliwym, rozdzwonionym głosem krzyknął na cały pokój:

— Łziesz, naszego! Siedzieliśmy pod waszym zadkiem, świata- śmy nie widzieli! Czy jesteś teraz obowiązany opowiedzieć wszystko? Jesteś! Ja mam życzenie wiedzieć, co i do czego. Gadaj o swojej wierze!

— Nie krzycz, bracie Artamonie. Panu złość jest niemiła i nie będę grzeszył z tobą pospół. Po co cię przysłano?

Aż zzieleniał, palce w pięść zacisnął, ale się opanował, nie rzuca się. Tylko w oczach już słodczy brak. Krwią się nalały.

Artamon splunął.

— Potrzebne mi twoje gadanie! Tak to sobie powiedziałem, żeby ci dać nauczkę. Po kałdun twój przysłany jestem, wiesz teraz po co? Rusz się, potrząśnij nim kapkę! Pospaceruj sobie z kijaszkiem pod oknami: „Zbierajcie się — wołaj — towarzysze, na mityngę!” Teraz wiesz po co!

— To Sofron wymyślił?

Zarzęziło mu w piersi przy oddechu. Artamon z podziwem i triumfem pokiwał głową:

— No-no! Aż się tchem dławi. To dopiero... Więc tacy jesteście! Mierzi was gromadę powiadamiać, łązić pod oknami. A nam to za nic, chodzimy. Moc pychy, moc pychy jest w bogaczu! To pójdiesz, czy nie? Żyganów nie poszedł. Do komitetu wykonawczego go zawlekli. Siedzi w kozie za nieposłuch. Ciebie jak mam wyrozumieć? Też do kozy?

Koczerowowi wszystko ulotniło się z pamięci. Łupnął krzesłem o podłogę, aż się rozprysło w kawałki.

— Precz, ohydo!

Zaskoczony Artamon, skuliwszy się, migiem w drzwi się wytoczył. Koczerow jednak poszedł zwoływać niebiosnowian na zgromadzenie.

Statecznym, właściwym mu krokiem szedł przez ulicę, jeno oblicze w pokorę i cierpienie przyoblekł. Wolniusieńko, łagodnie stukał kijaszkiem w okna:

—Obywatele! Bracia! Prosimy na zgromadzenie.

Płynął za nim wzdłuż całej ulicy szept zawstydzenia i oburzenia:

—Koczerow pod oknami chodzi!

—To dopiero ten Sofron! Takiego pogłębił!

—Et, zbóje! Natrząsają się!

—Chrystus cierpiał i nam nakazał.

Obmierzły im zgromadzenia, ale szli. Bali się zostawać w domu. Czekali na uchwałę co do gruntów, gospodarstw. Lecz przychodzili już gotowi do kłótni. Każdy swymi sprawami jeszcze w domu się podniecał. Więc przed zagajeniem zgromadzenia już wrzał gwar sporów i przycinków. Nieraz zdarzały się bójkі. Dziś rozdrażniła wiadomość o aresztowaniu Żyganowa. Tłoczono się w sieni przed zamkniętą na kłódkę komórką z okienkiem. W tym zamknięciu siedział Żyganow. Pode drzwiami stał młody chłopak z karabinem. Niebiosnowanie usiłowali zamienić parę słów z więźniem. Wykrzykiwali do okienka:

—Ścierp, Aleksiej u Iwanowiczu!

—Czy kobita przysłała ci przyodziewek?

Wartujący chłopak odpędział:

— Nie zbliżać się do aresztanta! Nie wolno! Na bok! Na bok! Na bok!

Przeszedł Riedkin i wykrzywił twarz w niezwykłym uśmiechu:

— Długoś ty innych tu pakował. Sam teraz posiedź, panie wójcie!

Zgromadzenie rozpoczęło się według nowego porządku, który Sofron z żołnierzami ustanowił. Śpiewem... Odśpiewano: „Wyklęty powstań ludu ziemi”. Wszyscy pozdejmowali czapki, ale śpiewał tylko Sofron, urlopowani żołnierze i dzieciaki, które wszędzie się wkręcały. Mimo potężnych szturchańców i uciszania, zawsze pełno ich było na zgromadzeniach. I najmocniejszą groźbę dla starych stanowił ich fałszywy, załamujący się, lecz zawsze radosny śpiew... Starsi chłopci, nawet spośród awanturniczej braci zza parowu, wstydzili się tego śpiewania. Wciskali głowy w kożuchy. Nie przystoi. We wsi różne szczyrzygęby wydrzeźniają:

—Iście msza diabelska! Do „wyklętego” modlitwy śpiewają!

Niebiosnowianie wszystkie świeckie pieśni uważali za diabelską igraszkę. Śpiewali jedynie swoje psalmy na melodie pieśni. Toteż ich ponure milczenie wydawało się naturalne.

Sofron dziś jest świąteczny, wesoły. Z wewnątrz do oczu bije mu jasność i dobroć. Dlatego też jest przenikliwy i wrażliwy. Gdy odśpiewano, powiedział łagodnie, bez wymyślenia:

— Czemuście się sromali, starzy? Nie włączyliście swych głosów do śpiewania?

Odpowiedział zmieszany Artamon Piegich:

— Niech tam już! Prześpiewaliśmy swoje. Posłuchamy młodych!

Sofron cały ku niemu się obrócił, rozedrgany, radosny.

— Towarzyszu Artamonie Pietrowiczu, jako żeśmy partyjni, to powinniśmy rozumieć. Pieśń ta dla proletariatu jest ułożona. Międzynarodówka, czyli że każdy potrzebujący — chłop czy tam kto inny — wszyscy są razem. Rozumiesz? A że nas dawniej wyklętymi przezywano, więc my im teraz w odpowiedzi! Niby że pokażemy wam teraz, jacy my jesteśmy wyklęci! Rozumiesz?

Sofron wysiłał się, tłumaczył Artamonowi. Tamten jednak odsunął się i rzekł głosem zupełnie zgnębionym:

— Bałamutnie. Słowo niepoczciwe, ale trudno już, zezwalamy! Wszystko już jedno...

Wmieszał się Siemion Gołowin, frontowy żołnierz:

— Co się tyczy słowa „międzynarodówka”... To jest słowo bolszewickie. Bolszewicki język jest trudny, ale gdy się w sedno sprawy wejrzy, to dorzeczny. Cięty!

Artamon Piegich poważnie, bez uśmiechu przytwierdził:

— Jeszcze jak cięty!

Niebiosnowianie poczęli się śmiać.

Lecz dręczony niecierpliwością Koczerow nie wytrzymał i wykrzyknął z tłumy:

— Może dość, bracia, tego nauczania. Trzeba roztrząsać sprawy. Po coście ludzi zwoływali?

Tłum poruszył się, zahuczał:

— Sprawę... Sprawę wyłóż!

Zawsze męczony boleściami Riedkin wykrzyknął z przejęciem:

— A czyż to nie sprawa? Trza rozumieć nowe słowa. Żeby nie oszwabili, nie zbakierowali na stare.

Okrzyk ten był zrozumiały dla wielu z partii Sofrona. Przyjęli nowatorstwa. Wyrzekli się swych staryków — przełożonych. Oddali się miastu, lecz odwiecznej ku niemu nieufności jeszcze się nie pozbyli.

Nagle tłum się rozkołysał i rozstąpił zdziwiony.

Piętnastu żołnierzy z frontu i młodych, gołowąsych chłopaków z karabinami na ramionach podążało ku stołowi. Od razu zapadła cisza. I wyraźnie, uroczyście rozbrzmiały słowa Sofrona:

— Rewolucyjna straż!

Trwającą minutę przerażone milczenie tłumu uświadomiło wszystkim: oto zbliża się nowa godzina. Walka właśnie tu, we własnej wsi. Toteż mocny, spokojny głos Sofrona zadźwięczał jak bojowy zew:

—Wszystka ziemia w gminie jest wspólna. Gmina jest gospodarzem. Osobnych gospodarzy nie ma. Podzielimy na działki. Wszystkich ludzi w naszej tambowsko-niebiosnowskiej, teraz internacjonalowskiej gminie też podzielimy na komuny. Każda komuna dostanie działkę. Gromadą będzie się siał, gromadą sprzątać. Kto do komuny nie ma życzenia, niechaj na piecu leży. Nie damy takiemu ani zboża, ani siana!

Westchnienie czy jęk wśród tłumu i znowu chwila milczenia, po czym wzruszony głos Artamona:

—A jak wedle maszyn?

W ciągu lat wojny wszystkie wsie zateśniały do maszyn. Spostrzeżono, jak łatwo dawali sobie radę bogacze z ich pomocą. Nashuchano się od jeńców o państwach, w których maszyna żywi i grzbietowi daje wytchnienie. Lecz nabyć mogli je tylko wielorolni mocarze. Społem podchwyciono pytanie Artamona:

—Maszyny... Jak wedle maszyn?

—Czy dadzą z miasta?

Sofron na to z poczuciem pewności i zwycięsko:

—Jest rozkaz. Wszystkie maszyny rekwiruje się gospodarzom! Mało to mamy bogaczy? Porozdziela się między komuny.

Radość, trwoga, protest brzmi w gwarze. Przy stole nieruchome, ponure chłopiska z karabinami. Fala tłumu rzuciła się ku stołowi, lecz natychmiast opadła, odpłynęła od stołu. Jakby się ukryć zapragnęła.

Tylko Koczerow, zapominając o ostrożności, obcym, ostrym, krzykliwym głosem wprost z miejsca swego począł mówić:

—Do rozboju to jest podobne! Niebiosnowianie ziemię spółem kupowali. Oddawali za nią ostatni łapeć! Panom odbierać — zgoda. Ale my pracujemy! Nad pracującymi ludźmi się znęacie? Swego brata-chłopa rujnujecie? Niebiosnowianie jeszcze przed wami w komunie żyli. Ziemię kupowali. Spółem. Całą niebiosnowiańską gminą. Zbóje jesteście, nie rządzący! Swego brata-chłopa!

Rozwrzeszczeli się na liczne głosy:

— Dobrze gada!

— Nie damy!

— Krwią i potem zdobywaliśmy!

Nie można było już rozeznaczyć słów. Wszystko stopiło się w jedno groźne: a-a-a-a!... Ale triumfalny okrzyk Sofrona usłyszeli wszyscy:

— Odbierzemy siłą!

Gdyby nie „straż rewolucyjna”, byliby rozdarli Sofrona. Niebiosnowianie ruszyli ku stołowi, lecz chłopaki — broń do oka, z tyłu zaś rzucili się z groźnym rykiem chłopów z parowu i z Tambowki. Zgrzytnął zębami Koczerow, ale zrozumiał: tak, dzisiaj Sofron górą. Ławą, jakby się zmówili, wielorolnicy parli ku wyjściu. •

Tym, co pozostali, Sofron wykladał z przejęciem:

— Łżą niebiosnowianie, że względem nich niesprawiedliwość. „My też jesteśmy komuna!” Łżą! Co chałupa, to inna sekta. Porozdzierali Boga swego na strzępy. Dobrotolubowce, sobotnicy, baptyści, ewangeliczni chrześcijanie. Żrą się, jak psy. Teraz to spółem, bo się o swój kęs wylękli. „Kupowaliśmy ziemię całą gminą!” Ale jak podzielili? Tak, jak kto dał pieniądze! Małorolnicy zostali małorolnikami! A Żyganów ma sobie czterysta dziesięcin. Koczerow trzysta pięćdziesiąt. „Pracujący”! Brzuchów sobie znanadto nie nadwreżyli!

Wszyscy robotnikami i komornikami się wyręczają! Koczerow za popa ozorem miele i krawiectwem się z czeladnikami trudni, ziemi nawet nie powącha! Żyganow nami się dorabia! Przetrząśniemy! Wszystkich przetrząśniemy! Doczekaliśmy się swojego dnia!

Pośród tych, co pozostali, była połowa Niebiosnowki. Po raz pierwszy mocarne pragnienie ziemi i chleba zespoliło „prawosławnych” i „mołokanów”.

Rozchodzono się znów dobrze po północy. Sofron najdłużej ze wszystkich obijał się po szkole. Zwolnił straż. Długobrody żołnierz z frontu przestrzegał go:

— Zbiją cię na ulicy!

Ale Sofron zapewnił:

— Dzisiaj nie tkną! Nastrachali się!

Sam zaś z niecierpliwością krążył po klasie czekając, aż sobie pójdą. Jak się spodziewał, tak się też stało. Wszyscy poszli i otworzyły się drzwi w korytarzu. Wyjrzała delikatna, biała twarzyczka.

— Rozeszli się?

— Poszli, Antonino Nikołajewno! Czemuż to nie śpicie?

I w zmienionym głosie Sofrona była wielka, nabożna radość. Nieproszona, nieoczekiwana wdarła się w duszę czyściutka panna z miasta: nauczycielka. Gdy w komitecie wykonawczym najgłówniejszym się uczynił, zaczęła w rozmaitych sprawach doń wstępować. Mówi o interesie, zaś uśmiecha się tak jakoś po domowemu, ciepłutko. Dawniej latały różne nauczycielki do wójta, a i prystawowi nie były krzywe. Więc ta do nowej władzy pod skrzydełko. Wiedział to, lecz nie mógł się przewyciężyć. Każdy człowiek pragnie dnia świątecznego. Wiejskie baby o chropowatych, rozwlekłych głosach, czerwonych, spracowanych rękach, z ordynarnym, niezdarnym gadaniem, to zwykle, nudne dni powszednie. Dawniej, gdy Sofron jeszcze czytał książki, ogromnie lubił pisarza Dumasa. Wszystko w jego książkach było takie niepodobne do sofronowego życia. A więc piękne i nieosiągalne. Opowiadania zaś o chłopach i robotnikach czytywał tylko, żeby dogodzić bibliotekarzowi Siergiejowi Pietrowiczowi. Sofronowi zbędnym zdawało się dłubanie palcem we własnej ranie. Uważał, że tego rodzaju książki potrzebne są tylko bogaczom. „Łaszczy się na razowiec, bo mu pszeniczna bułka zbrzydła. My

zaś tej pszenicznej pragniemy, choćby kawałatka. Miast piernika we święto!” Takim świątecznym piernikiem, nigdy nie próbowanym, była Antonina Nikołajewna. Pił dawniej wódkę, aby w pijackim oszołomieniu nie widzieć rzeczywistości. Teraz żywiołowym narkotykiem upoiła go rewolucja. Nie chciał już wódki. Pochłonięty był marzeniem: wszystko teraz ma być świąteczne, dotąd nie zaznane. Sofron był z krwi i kości płodem wsi, lecz nie tej dawnej, zastalej, tylko nowej, poruszonej, kroczącej naprzód. Więc marzenie wielką moc nad nim miało. Z książek wyssał zarazę miłości. Antonina Nikołajewna stała się dla niego oszołamiającą, niszczycielską pokusą. Nie mógł ovladnąć sobą. Parło go ku niej.

— No, cóż, posiedzimy tutaj. Porozmawiamy trochę. Czy Stróże już śpią?

— Jakoś nie widać. Pewnie śpią.

Lekka, skoczyła na stół i cienkimi, lecz mocnymi, w czarnych opiętych pończoszkach nóżkami machać poczęła.

Myślał pieszczotliwie, aż do bólu w sercu:

„Ptaszyna... Jaskółeczka...”

Nie mógłby rzec głośno. Miętosił w rękach papachę. Stał pośrodku klasy śmieszny, roztargany, uśmiechnięty niepewnie. To, że nie wpuszczała go do swego pokoju, że się pilnowała, to, że się doń nie zbliżała i tylko oczami pieszczotę słała, nie drażniło go, lecz rozczulało.

„Białusienka... gołabeczek...”

Ona zaś ukryła w nieznacznym skrzywieniu ziewnięcie i spytała:

— No, jak przyjęto nowinę? Bardzo krzyczeli? A ja bałam się o was.

No, przecie wszyściuteńko rozumie, choć tylko kobieta. Słowe- czka ma takie leciusie, zawsze do rzeczy. Więc chce z nią człowiek pogadać. Wszystko by wypowiedział, tylko ten język w gębie, niczym drąg. Słowa gramolą się niezdarzone, koślawe. Na dodatek tłamsi je olbrzymia, nieśmiała czułość.

Ona zaś przytwierdzała:

— Rozumowaliście zupełnie słusznie: ziemia nie może stanowić niczyjej własności.

Wznosiła dla większej powagi cienkie, kragłe brewki. Powtarzała obce wyrazy, które jej w uszy wpadły, ale tak pewnie i swobodnie, jakby własne,

przemyślane.

Antoninę Nikołajewną zajmowała i cieszyła przewaga nad nowym władcą gminy. Zdawała sobie sprawę z tego, że trzyma go w karbach jedynie pobożna wiara w jej niezwykłą czystość. To było nowe, ucieszne i radosne. Drażniła go nóżkami, podniecała, zaś łagodnym, czystym głosem i niewinnym wejrzeniem ostrzegała. Truchlała na myśl —czym się to skończy? Nie mogłaby go pocałować! Niezdarne opowiadanie Sofrona urwało się. Wyczuła, że niebezpiecznie jest tolerować częste przerwy w tych sam na sam rozmowach. Zeskoczyła ze stołu.

—Już późno. Zmęczyliście się dzisiaj.

Pod oknem zaskrzypiał na ulicy pod czyimiś stopami śnieg. Ktoś ostrożnie wdrapywał się na parapet. Zaczęła nasłuchiwać, przybrała poważny wyraz twarzy, ale skuliła się lękliwie.

—Podpatrują. Będą brzydko mówili. Proszę przyjść jutro za dnia na herbatę. Sama dla was upiekę piaskowiec!

I rączkę wyciągnęła z daleka. E-ech! Jaka to moc w niektórych kobietach się kryje!

Zacałowałby, lecz się boi. Patrzy jak w słońce. Oczami tylko całuska wypił i rękę aż do bólu uścisnął. Widują się codziennie. I zawsze tak oto: z daleka trzyma.

Gdy wyszedł, zauważył, że od ganku przysły ku stodołę dwie czarne postaci... Nasłuchiwał, wyciągnął rewolwer z kieszeni i strzelił w górę. Zaniepokoiło go tylko zatrwożone „ach” za drzwiami. Krzyknął w odpowiedzi młodzieńczo, radośnie:

— Proszę się nie bojać!

I poszedł martwą, białą ulicą, którą budziły, lecz nie ożywiały wściekle psie skowyty. Dwa rzędy ciemnych, ukrywających żywe tchnienie, chałup smutne były i ostrzegały jak pogróżka.

Że dłoń w pogotowiu na rewolwerze trzymał, że po raz pierwszy idąc przez swą wieś nie czuł się bezpieczny, rozrastała się i wzmagala w nim chępliwa odwaga. Ze zaś dumał o upragnionej, do żadnej innej niepodobnej, wiosennie mu szumiało w głowie.

Bardzo niewiele sypiał teraz Sofron. Taki radosny, burzliwy czas nadszedł, że aż strach spać. Ukwieciło się, rozbrykało życie przed nim, trzydziestoletnim. Był jak młody chłopak. Pochwycić wszystko, złapać, wytarmosić! Zabierał z miasta zuchwałe rozkazy. Poznawał krótkie, niepokojące i gwałtujące jak alarm słowa.

Wykrzykiwał we wsi: władza radziecka! Patrzył upojony, triumfujący, jak się uczą nienawykłe do pokłonu grzbiety zginać przed tymi, których życie umieściło w dole. Lecz w tym triumfie nieznacznie dla samego siebie przepajał się trucizną wodzostwa. Nie dostrzegał, że w wydawanych przez siebie zarządzeniach, w pobłażliwych żarcikach wobec towarzyszy przemawia czasami z wysoka.

Dla Antoniny Nikołajewny zmienił chłopską odzież na miejską. Przyswoił sobie miejskie uprzejme słówka.

Sofrona w mieście już wyróżniano. Jedną z jego mów po skorygowaniu i wygładzeniu nawet wydrukowano w gazecie. Z drżeniem podsunął ową gazetę Antoninie Nikołajewnie. Myślał, że się ucieszy. Ale ona tylko wyszczebiotała uprzejmie:

— Ach, wasza mowa jest tutaj. To bardzo ciekawe! Przeczytam wieczorem.

I już o gazecie ani słowa. Czyżby zapomniała? Wszak dla Sofrona ta gazeta jest tym, czym dekret mianujący. Budził się po nocach, zapalał lampę i odczytywał na nowo. Bo drukowane słowa zdawały się wielkie i mocne. Czytał w głos przekonywającym szeptem. Jakby olbrzymiał, wsłuchując się w nie. Czyżby zapomniała?

Z majątku pana Pokrowskiego rada powiatowa przekazała do gminy Internacjonalówki dużą bibliotekę i część urządzenia pańskiego mieszkania, której jeszcze nie zdążono rozwłóczyć. Sofron sam konwojował od dworca do wsi wozy z książkami i meblami. Wszystkie meble kazał dostarczyć do biblioteki. Wyzначył nowy dom na bibliotekę. Górne piętro w domu Żyganowa. Był to duży, piętrowy dom. Żyganowa przesiedlił na parter. Żyganow się nie sprzeciwiał, lecz w ciągu tygodnia odzież na nim obwisła i wejrzenie wilczym się uczyniło. Sofron sam zarządzał ustawianiem szaf i mebli. Chciał Antoninę Nikołajewną na bibliotekarkę mianować. Cała wieś

zleciała się na oględziny. Przybyli nawet ponurzy niebiosnowianie.

Spocona twarz Sofrona promieniała, skrzyły się oczy, gdy dopomagał na schodach wnosić pianino.

—Zagramy sobie teraz na miejskiej muzyce! Ależ to ciężar, pal ją diabli! Towarzyszu Koczerow, zaśpiewasz przy muzyczce?

Koczerow dawno już wyzbył się kolorów z twarzy. Teraz jednak pokraśniał i gniewnie burknął:

—Nie dla nas tańcowania, harmonie i miejskie łobuzerki. Wyście to na całą gminę, Sofronie Artamonowiczu, najpierwszy harmo- nista. Zabawiajcie się.

Sofron zrozumiał przytyk, lecz splunął tylko. Nie odciął się. Gdy wciągnięto pianino, pisarczyk Mitrocha od razu zaczął jednym palcem próbować. I zaraz coś ładnego dobrał. Koczerow westchnął:

—Wszystko to diabelskie uciechy! Lepiej by gwoździ na wieś dali.

Gdy zaczęto przeglądać obrazy, to się aż sam Sofron zmieszał. Gołych bab było dużo.

Artamon Piegich dotknął jednej paluchem:

—Wszystko, jak się patrzy. Pokusa! To żeby w panach jurność rozpalic, a nam nie potrza. Widziało się u własnej kobity.

Niebiosnowianie spluwali. Sofron dał rozkaz:

—Spalić!

Koczerow westchnął:

— Palić czy nie palić, na jedno wyjdzie, rozpuścili się już ludzie!

Książki były w drogich, pięknych okładkach. Długo głaskano je

i obmacywano twardymi, nie zginającymi się palcami. Po raz pierwszy takie mieli w rękach.

Artamon Piegich znowu pokiwał głową:

—Nie na chłopskie łapy. Powalamy! A jakież to w nich czytanie?

Koczerow otworzył tom Puszkina na „Rusałce”. W oczy rzucił się obrazek

— znowu golasy. Ze złością rzucił książkę na stół.

— Nieprzystojność i tyle!

Lecz pisarczyk Mitrocha w lot ją ze stołu pochwycił.

—E... Leksander Siergieicz Puszkina! Słyszało się w szkole. —I zagłębił się w czytaniu. Potem nagle wykrzyknął: — A ciekawie tutaj o Samozwańcu stoi!

Zaczął czytać głośno. Wkrótce potężny śmiech brodatych, podstarzałych chłopów zagłuszył czytanie Mitrochy. Ogromnie przypadła do smaku scena w karczmie. Niebiosnowianie mruczełi, lecz przysuwali się bliżej, niby niechcący. Wzięła ich chętka do słuchania.

Koczerow oburzył się:

— Bracia, świeckie czytanie dla grzechu jest, dla pustej zabawy! Jedna dla nas jest księga — Biblia. Niekiedy można też dla pożytecznego uświadczenia coś przeczytać. Ale tę rozrywkę warto by przerwać. Nie dla nas ona!

Sofron zaczął pośpiesznie przerzucać książki.

— Wszelakie są, wszelakie. O, tutaj jest o rolnictwie. A tę także spalić! Artamon Piegich zapytał:

— A jest co o nabożnym? Lubię, kiedy o nabożnym piszą.

Koczerow złośliwie i pogardliwie zaśmiał się:

— Zapiisał się do bolszewickiej partii, a o nabożne skamle. A co oni o Bogu powiadają?

Niespodziewanie wznosił znad stołu siwą, skołtunioną głowę Iwan Łutochin, sekciarz z Niebiosnowki. Nazywano go prorokiem. Przepowiadał zawsze z Pisma świętego. Głucho i uroczyście zabrzmiał jego głos:

— Zgodnie z Biblią, ze świętą księgą naszą, postępują bolszewicy. W Boskim ręku są wszystkie ich postęпки i z Boskiego nakazu. Jest napisane u proroka Izajasza: „Biada wam, którzy przyłączacie dom do domu, a rolę do roli przyczyniacie, aż do granic miejsca: izali wy sami mieszkać będziecie wpośród ziemie? W uszach moich to jest, mówi Pan Zastępów: jeżeli wiele domów wielkich i ozdobnych nie będą spustoszone bez obywatela... I będą paść baranki według porządku ich, a pustynie w urodzaj obrócone będą jeść przychodnio- wie.”

Jak wszyscy sekciarze, całe stronicę z Biblii umiał na pamięć.

Koczerow, jak rażony piorunem, wybałuszył oczy i rozkrzyżował ręce, jakby spostrzegł, że ma próżne ręce, a jego broń jest w ręku wroga.

Oprzytomniał po chwili i ryknął z wściekłością:

— Łgarstwo! Błuznierstwo! Pismo święte karci postęпки, poczynania i słowa wasze. Karci! Zgubę wam przepowiada. Powiedziane jest o zgubie waszej u tegoż Izajasza proroka: „Ludu nie- wstydlwego nie ujrzysz, ludu wysokiej mowy, tak żebyś nie mógł rozumieć wymowy języka jego, w którym żadnej mądrości nie masz”. To o was powiedziane! O bolszewickich słowach. Zgładzi was Pan...

Lecz wściekłość Koczerowa pochodziła raczej z pychy niż z bólu. Toteż płonęły tylko słowa Łutochina, Koczerowowe zaś po wypowiedzeniu zgasły.

Artamon Piegich z drżeniem w głosie również do sporu się wmieszał:

— Bolszewicy chcą po bożemu!

I wielu stronników Sofrona stłoczyło się wokół stołu w triumfie. Chciano zburzyć wszystko stare, lecz poparcie niebios jeszcze siłą nawyku miłe im było. Odwieczną warstwą zaległa mroczna wiara. Więc jak od głuchej ściany odbiły się namiętne słowa Sofrona:

— Na naszej ciemnocie paśli się popi! Słusznie śpiewamy: „Nie nam wyglądać zmiłowania z wyroków Bożych, z carskich praw”.

Artamon Piegich potrząsnął głową:

— O Bogu wyrzucić z pieśni! Nie chcemy bez Boga!

Żołnierze z frontu szemrać poczęli, Siemion Gołowin wymachiwał rękami, wrzeszczał zaczepnie:

— Nie trza nam twego Boga! Komu dopomógł? Matka Boska panną porodziła!

Barczysty, ponury sekciarz ciężkim, mocnym uderzeniem odrzucił go pod ścianę. Gołowin skoczył na sekciarza i począł dusić. Sofron rzucił się do rozejmowania. Tarzali się we trójkę po podłodze, niby jeden sapiący kłęb. Zgiełkliwie i niedorzecznie ryczał nad nimi tłum. Darła się baba, która przyleciała z dołu na hałas:

— Udusili! Udusili Striganowa!

Pisarczyk Mitrocha też rzucił się do rozejmowania. Zyganow z tyłu ułapił go za kołnierz. Wczepiono się więc w Zyganowa.

W moment zawrzała w całej pełni chłopska walka na pięści. Szyby brzęczały od ryku. Rozbijano krzesła, ciężkimi buciorami deptano cenne

okładki spadających książek. I wśród bójki wrzeszczeli dziko i chrapliwie o Bogu i o wierze. Przyleciały baby po swoich chłopów, drapały, chwytaly za nogi, piszczaly przeraźliwie. Dopiero Sofron, gdy mu się udało — w podartym ubraniu i potłuczonemu — przedostać do drzwi, posłał konnego po straż.

Zwartych w bójce lano wodą, bito kolbami i wyrzucano z biblioteki. Siemionowi Gołwinowi odbito coś wewnątrz. Leżał na podłodze wielki, oniemiały. Po szarym wąsie sączył się ze zbielełych warg wąski strumień krwi. Na twarzy zaś nie znać było ani strachu, ani bólu — zastygło na niej zdziwienie. Cieniutko, z babskim rozgłośnym lamentem u stóp jego zapłakała żona.

Odchodząc Żyganów złowieszczo i chrapliwie rzucił Sofronowi:

— Ciebie też tak zmaglują!

Koczerów smutnie pokiwał głową:

— Ciemnota!

I także wyszedł. Sofron z oderwaną połą po miejsku uszytego łrencza, z nalany mi krwią oczami, dziko, ohydnie kłął i wymachiwał rękami. Wściekły był na siebie, że nie zabrał rewolweru.

„Jeszcze mi do noszenia go nie wzwyczajono. Też mi żołnierz!”

Rano przyjechał felczer z innej wsi, sporządził świadectwo śmierci dla Siemiona Gołowina. Tegoż dnia chowano go. Bogaci, szanowni mieszkańcy wykrzykiwali:

— Zakopać bez pochówku! Błuznierca!

Więc stary Gołwin u stóp się tarzał:

— Gromado pocziwa, zdejmijcie grzech z duszy! Puśćcie syna do Boga!

Ulitowali się. Posłano po popa. Sędziwy już bardzo zakonnik, którego we wsi wcale nie było słyhać, został właśnie przysłany na miejsce zbiegłego popa za ledwie dwa dni przed bójką. Odprawił nabożeństwo za Gołowina.

Kiedy niesiono trumnę na cmentarz. Artamon Piegich i Stiepan Gładkich właśnie z drzewem jechali naprzeciw. Artamon wstrzymał konia, zdjął czapkę i wskazując na nieboszczyka rzekł spokojnie i rzewnie:

— Do domu jedzie!

Zaś w spojrzeniu, odprowadzającym trumnę, nie było ani strachu, ani żalu. Długie lata współżycia z przyrodą wpoili weń, iż: prochu powstałeś, w

proch się obrócić”.

Zona Siemiona Gołowina rozpaczliwie zawodziła na cmentarzu. Zaś po powrocie do domu otarła łzy, nałożyła stare ubranie i powiedziała do świekra:

— Chodźmy chlew uprzątnąć albo co!

I o żadnej najdrobniejszej czynności nie zapomniała w tym dniu, nie pomyliła się w niczym. Wieczorem przyszła z zapytaniem do Sofrona:

— jDadzą to za chłopą jaką zapomogę?

Wydała się ongi za Siemiona z Niebiosnowki. Przez sekciarzy kształcona, liczyć dobrze umiała i w potrzebie sama sobie potrafiła dać radę. Długo i uparcie targowała się z Sofronem. Dopiero nocą, gdy się we wszystkim obrządziła, w głuchej, mrocznej rozpaczyczała żrącymi łzami zatłuszczoną poduszkę. Młody to był chłop i upragniony.: No i dzieci sierotami zostały.

Z Niebiosnowki przychodzili do Sofrona posłowie.

— Czy nie dałoby się skrócić sprawy o zabójstwo Siemiona Gołowina? Bogu przecież chcieli wygodzie! A że aż na śmierć, to niechcący!

Sofron jednak zawział się jeszcze przez to, że sam był sińcami przyozdobiony.

Dał rozkaz i zawieziono ponurego sekciarza, który rozpoczął bójkę, oraz jeszcze trzech chłopów z Niebiosnowki do więzienia, do miasta.

Gdy zbladły sińce na twarzy, Sofron znów się zajął urządzaniem biblioteki. Poprawiono meble, zawieszono na ścianie portret Lenina i drukowany napis: „Palenie wzbronione”.

Pod tymi wyrazami Sofron odręcznie dopisał: „Pluć na podłogę tyż”. Na wprost wejścia powieszono wielki plakat: żołnierz olbrzym rozdziawił gębę i wrzeszczy. Tuż napis: „Niechaj każdy podpisze pożyczkę wojenną”. Spędzono kobiety. Kobiety poszorowały podłogi, okna i długo nie chciały odejść. Wytrzeszczały oczy na nie widzia-
ne dotąd wyściełane fotele, duże stoły, oszklone szafy. Żołnierka UI- jana z powagą obmacywała obicie mebli:

. — Chyba po trzy ruble za arszyn za cara kosztowało.

Żona Sofrona, Daria, też przyszła na sprzątanie biblioteki.

Zmarniała kobieta, odkąd mąż do władzy doszedł. Nie odzywa się prawie.

Baby podjudzały ją, gadały o nauczycielce. Usta tylko zaciśnie i milczy. Taka poważna. Znać jednak, że się męczy. Czarne podkowsy pod oczami i w odzieży brak starania. Długo przypatrywała się książkom. Chodziła od szafy do szafy. Jakby je liczyła. Aż nagle powiedziała:

— Spalić by to wszystko!

— Co?

— Te książki. Grzech w nich tylko. Naród się przez nie burzy.

I wyszła trzasnąwszy drzwiami. Kiedy szła boki ulicy ze zmarszczką cierpienia koło ust, przejechały drogą nowiutkie, miejskie sanie. W saniach boczkiem siedział Sofron, obok zaś, jak paw, swobodnie, po pańsku rozsiadła się Antonina Nikołajewna.

Biała, angorowa chusteczka i delikatny rumieniec smagnęły Darię po oczach. Wystąpiły łzy. Stała, chciała się rzucić, rozkrzyczeć przejmującym, babskim wrzaskiem, drapać, pluć. Lecz jakby nagle coś sobie przypomniała. Zawróciła gwałtownie i biegnąc prawie, do domu wpadła.

W domu gniew swój na młodszym synku wywarła. Stłukła go aż do sińców. Potem tuliła do piersi rozedrgane z płaczu pięcioletnie ciało i żałośnie, piskliwie zawodziła:

— O...o...o...oj...joj...joj... śmierci mo-oja... oj, ma-tu-u... siu...u!

Zaś Sofron w bibliotece przed panną się popisywał: odczytywał tytuły książek w szafach, podkreślał, że wszystko tu, jak w mieście.

— Tutaj czytelnia i niby taki klub. Tu się otrzymuje książki, a tam dalej pokoik dla bibliotekarki. Zajrzyjcie łaskawie!

I uroczyście pchnął drzwi. Toaletka przybrana białym muślinem. Łóżko z błyszczącymi kulami, zasłane pańską kołdrą. Maleńkie, niby zabawka, biurko, stojące w odstępie od ściany. W kącie kanapka, miękkie pufy i okrągły stół z białą serwetą. Wszystko to z domu pana Pokrowskiego.

— Bardzo milusi, bardzo milusi pokoik. Macie gust, Sofronie Artamonowiczu.

I zmieszana Antonina Nikołajewna znowu wróciła do biblioteki. Natłoczyło się już tam dużo chłopów. Artamon Piegich dopytywał się:

— To jest ten Lenin?

Sofron dumnie, jakby swego znajomego prezentował:

— Włodzimierz Iljicz Uljanow-Lenin.

Artamon przechylił głowę i pozuł wargami.

— I owszem, głowa wielka, znać, że łebski. Sprytny w oczach.

Na stole, w mahoniowej ramce stała gabinetowa fotografia Łunaczarskiego. Nie było na niej podpisu. Nawet Antonina Nikołajewna nie wiedziała, kto zacz. Zapytała:

— A to kto?

Sofron się zmieszał.

— Zdaje się, że komisarz do spraw rolnych. Zapomniałem jakoś.

Artamon Piegich uspokoił:

— Pewnie jakiś krewniak Lenina.

Niebiosnowianie nie bardzo przyglądali się fotografiom. Raczej odczytywali przez szyby tytuły książek. Koczerow spostrzegł, że prawy kąt naprzeciw drzwi jest pusty, i pochwalił:

— Nie powiesiliście ikony, to jest słuszne. Każdy może wejść. My, na przykład, ikon nie poważamy; no i Baszkirowie też przemieszkują w naszej gminie. Więc w taki sposób wszyscy mają równość.

Artamon Piegich westchnął:

— Na co się zda wieszanie? Nawet prawosławni się wyrzekli! Pokłócili się wtenczas za wiarę i zakatrupili człowieka. Nie przyjmie nas teraz ikona. Och-ho-ho!

Kobiety stłoczyły się przed plakatem. Żołnierka Uljana rzekła współczująco:

— Aż mu w gębie poczerwiało, biedakowi, tak się drze. Cóż mu to?

Lecz nikt jej nie odpowiedział. Sofron władczo ogłosił:

— No, dość już patrzenia, obywatele. Jutro się ustali godziny, kiedy będzie można po książki przychodzić, to wtedy prosimy. Na razie należy zamknąć.

Artamon Piegich podrapał się w głowę.

— Dobra. Ale według zegarów, to już niech niebiosnowcy przychodzą. Oni mają zegary. A my sobie według brzucha: przed obiadem i potem do wieczery. Przepraszamy. Pracujcie sobie!

| Za Artamonem wyszła reszta. Koczerow odchodząc spojrzał zezem na

Antoninę Nikołajewnę.

Sofron zamknął drzwi na mocne haczyki i radosny, podniecony, powrócił do Antoniny Nikołajewny. Ona zaś, znowu spokojna i nieprzystępna, stała za stołem. Jak tu się zbliżyć?

—Takem to, Antonino Nikołajewno, dla was się postarał! Bierzcie, gospodarzcie!

Wyjrzała trwożnie przez okno i uśmiechnęła się do Sofrona. Lecz przelotnie, lękliwie.

—O czym mówicie?

—Mianuję was bibliotekarką. Dla was zabiegałem! Dziś można by się przeprowadzić... Co?

Głos mu się załamał z palącej, męskiej niecierpliwości. Poszedł do niej za stół. Ona zaś bała się. kulila... Ale taki ładny ten pokój! Wyciągnęła do Sofrona ręce. Uniósł ją w ramionach, jak piórko.

—Sofronie Artamonowiczu! Sofronie Artamonowiczu!

Niósł i rozgniatał jej twarz rozpalonymi wargami. Jakby chciał powytłaczać swe chłopskie pocałunki. Do wejściowych drzwi poczęto dobijać się głośno i nieustępliwie.

Antonina Nikołajewna z siłą wparła się w pierś Sofrona.

—Proszę puścić... Na litość Boską!

Aż mu wargi zbieleły. Kiego diabła tam przygnało?

Zaś kołatanie do drzwi coraz głośniejsze, coraz natarczywsze. Sofron wściekły, czerwony, rozczochrany rzucił się ku drzwiom.

—Kto tam?

Zza drzwi rozkazujący i zuchwały głos Darii:

—Otwieraj!

Antonina Nikołajewna pisnęła cieniutko jak zajaczek i uciekła do najdalszego pokoju. Sofron natychmiast zmiarkował, że na dole usłyszą stukanie. Pośpiesznie odrzucił haczyki.

Daria weszła odważnie, z twarzą i piersią podaną ku przodowi. Sofron cofnął się. Może się zląkł, może się zmieszał.

Daria sama założyła obydwie haczyki.

—Całej gminie przewodzisz, a gdzie masz rozum? W biały dzień taka

twoja robota? Gdzie ona?

Głos Darii załamał się, twarz pokryły plamy, ramiona drżały, w oczach miała mękę.

—Dario! Zabiję!

—Nie wymachuj pięściami! Nie czas. Niebiosnowianie zmówili się na grzechu cię przyłapać. Wygadała się przede mną żołnierka od Koczerowów... Oj, hańba to, hańba! Więc przyleciałam...

I głos jej się załamał.

—Więc przyjdą, aż tu żona tutaj! Wolę ją sama siekierą zathuc!

Wściekłym okrzykiem wyrwały się ostatnie słowa.

Sofron dorozumiał się. Kobieta wyrwała go z potrzasku. Nie darowano by bitemu za rozpustę. Pierwszy w gminie i za takie sprawy karany! Może by na miejscu go utłukli. Od razu zapytał spokojnym głosem:

—To cóż teraz robić, żono?

Twarc Darii wykrzywiła się wściekłością.

—Umiesz paskudzić, ale ukrywania to cię trza uczyć?

Energicznie skierowała się do odległego pokoju.

—Panno! Pójdź tutaj. Nie będę bić. Później się porachujemy. Chodź tu!

I wyciągnęła Antoninę Nikołajewnę za rękę. Tamtej obeschły łzy z przerażenia. Ale włosy, bluzkę i spódniczkę już zdążyła doprowadzić do porządku.

—Nie daj poznać po sobie, Sofronie, gdy przyjdą...

Zastukano. Daria wskazała drzwi:

—Otwórz.

Sofron odrzucił haczyki. Artamon Piegich wszedł pierwszy. Za nim Koczerow i jeszcze czterech. Po czym trzech chłopów z Niebiosnowki, trzech z Tambowki, zaś ze schodów dolatywały bezmyślne wrzaski kobiet. Nauczycielka z miasta — wytrawna bestyjka. Migiem się opanowała. Spojrzała na wchodzących, jak gdyby nigdy nic. Daria wbiła wzrok w podłogę, ale też była spokojna.

Koczerow od razu zorientował się, że spaliło na panewce.

—Wybaczcie, Sofronie Artamonowiczu. Słyszeliśmy, żeście tu na gazety wstąpili. Między nami wynikł właśnie spór.

Artamon Piegich oświadczył szczerze:

— Jakie tam gazety! Powiedziano nam, że się z nauczycielką w nowym pomieszczeniu grzechem zajmujesz. Starzy się obrazili. Chcieli ci dać nauczkę: niby że grzesz sobie, ale masz wiedzieć, kiedy i gdzie. Bo też to nie przystoi.

Antonina Nikołajewna wykrzyknęła cieniutko i plasnęła rękami. Daria oświadczyła gburowato i spokojnie:

— Niebiosnowianie naszczekali z nienawiści. Sofron kazał mi przyjść, jak się wszyscy rozejdą. Żeby z nauczycielką napić się herbatki w nowym mieszkaniu.

Artamon gniewnie burknął w odpowiedzi:

— Co za nowe mieszkanie! Nie zgadzamy się na nauczycielkę tutaj. Tu trza mężczyzny z miasta. Co tam taka wytłumaczy?

Sofron przytaknął skwapliwie:

— Wiadomo, z miasta się poprosi.

Antonina Nikołajewna wciąż się porywała coś powiedzieć, ale nie mogła dobrać słów. Rozczerwieniona stała pod szafą. Koczerow w zamyśleniu pogłaskał brodę i rzekł:

— No, nic mamy tu nic do roboty. Przysłała nas gromada, nie z własnej przyszłiśmy woli. Zabierajmy się, obywatele!

W Sofronie aż się gotowało, ale obawiał się Darii. Powiedział powściągliwie i spokojnie:

— Nie przystoi starym w babskie ploty się wsłuchiwać. Ciemnota i tyle. Chłopi wyszli. Zatrzymał się tylko Artamon.

— Tyś, Sofronie, łebski. Ale się wystrzegaj. Nie ma dymu bez ognia. Po czym pogodnie i mądrze spojrzał na Darię i uśmiechnął się.

— Kobitę masz rozumną. Nie taka, jak poniektóre.

I wyszedł.

Gdy pozostali sami, Daria znów powiedziała rozkazująco:

— Jazda, panno, ubieraj się i idź sobie. Bo gotuje się we mnie, nie strzymam! Sprzęgliście się, czyście nie wydażyli?

Antonina Nikołajewna znów się rozpłakała.

— Boże, jak wam nie wstyd? Gdzie mój płaszczyk?

Sofron odezwał się posępnie:

— Cicho, Dario, nic nie było...

Parło go do płaczącej Antoniny, lecz patrzył niby obojętnie, jak wkłada płaszcz. Dopiero, gdy skierowała się ku drzwiom, rzekł nieśmiałym, proszącym tonem:

—Konie są w podwórzu, Antonino Nikołajewno. Odwiezie was chłopak od Żyganowów.

Nauczycielka zrozumiała, że tak będzie najlepiej, kiwnęła głową w odpowiedzi i wyszła. Daria odprowadziła ją rozpalonym, złym spojrzeniem.

—No, Sofronie, jazda do domu. Ale takie ci jeszcze słówko rzeknę: siekierą zarąbie, gdyby tak jeszcze... Jak myślisz, nad kim się teraz ulitowałam? Nad własnymi dziećmi ulitowałam się! Kiedy byłeś opojem, tom się nieraz modliła: a żeby już raz nareszcie zmarł, Panie Boże... Nie pożałowałabym. Ludzie by przestali wyszydzać.

I na dzieci hańba spadała: dzieci pijaczyny Sofrona! Ale jakeś się na-prostował, to już nikt dzieci nie poniewiera. Jeżeli nawet kto ukluje, to tylko przez zawiść. Więc zmogłam siebie przez te dzieci! Pamiętaj. Sofronie, więcej nie ścierpię. Zakatrupię!

Oczy ich spotkały się i nie Daria, lecz Sofron odwrócił swoje. Zacięła się kobieta: zęby ma zaciśnięte i w czarnych oczach — zawziętość.

Sofron zazwyczaj tak rozważał:

..Kobiety to naród mdły: wszystko trzyma się w nich na postrachu".

Teraz zaś nie znajdował postrachu, sam się przeląkł i zrozumiał:

— Bo i racja, że taka zakatrupi.

W nocy, gdy się pogodzili, Daria jednak powtórzyła:

— Zapamiętaj sobie naszą rozmowę.

IV

Antonina Nikołajewna opętała Sofrona. Każdej chwili tkwi mu w duszy i przeszkadza w pracy. Rozłaka roznamiętniła go jeszcze bardziej. Widywali się wprawdzie często w szkole, ale zawsze przy ludziach. Usiłował zająć się książkami. Wszystko na nic. Do biblioteki też ochłódl. Z miasta nadeszła odpowiedź: nie mają nikogo, żeby przysłać na bibliotekarza. Radzą, żeby kogoś ze swoich poduczyć. Spośród chłopów nie ma kogo. Wszyscy zajęci

wprowadzaniem nowego ładu. Jest wielkie zapotrzebowanie na przewodniczących i sekretarzy. Nie bez racji uskarżał się Artamon Piegich:

— Gdzie tylko człek splunie, to na przewodniczącego trafi!

I w dodatku wielki popyt na piśmiennych. We wsi zaś można ich wyliczyć na palcach. Prawie wszyscy uczyli się w wiejskiej szkole, ale pozapominali. Pewnego razu przyszła do Sofrona żona Siemiona Gołowina, przyniosła podanie o zapomogę, którą Sofron za męża przyobiecał, lecz zapomniał o wypłaceniu. Każde słówko z sensem było dobrane i litery łatwe do odczytania, zupełnie wyraźne.

— Kto ci napisał to podanie?

— A któż by? Ja sama. Nasi kaznodzieje, niech im będą dzięki, w dzieciństwie jeszcze nauczili. Wszystkie listy do męża do wojska sama pisałam.

— No, dobra, to będziesz u nas przy książkach pracowała. Dostaniesz pensję i będzie to dla ciebie zapomoga.

Mianowano więc Gołowichę bibliotekarką. Pokój, przygotowany dla Antoniny Nikołajewny, zamknięto. Otwierano go tylko w przypadku, gdy ktoś przyjechał z miasta, Gołowicha zaś przychodziła co rano, po nakarmieniu świekra i dwojga małych dzieci. Siadywała do południa, potem znów szła do domu i uporawszy się z obiadem, do wieczora pozostawała w bibliotece.

Obowiązki swe wypełniała starannie. Sofron jej powiedział, że tytuły wypożyczanych do domu książek należy wciągać do zeszytiku. Tak też robiła. Nierównym, lecz wyraźnym pismem odnotowywała w zeszycie:

„Koczcrow mołokański pop wziął skąd się wzięli ludzie na ziemi”.

„Dziadek Jewstrop wziął bes tytułu”.

Bardzo nie lubiła dawać książek do domu, wybierała tylko stare i bez obrazków.

— Jeszcze czym chłapiiesz na książkę! Nie rusz, niech stoi! O, tę można.

Dwa razy w tygodniu szorowała w bibliotece podłogi i w takie dni nie wpuszczała zgłaszających się.

— Niech przeschnie! Jutro sobie przyjdziecie.

Ogromnie lubiła oglądać obrazki w pismach ilustrowanych. Czytała niewiele — nie miała czasu. Siedząc w bibliotece była przeważnie zajęta

naprawkami. wyrobem szydełkowych koronek na sprzedaż i wzorzystych pończoch, które teraz we wsi weszły w modę. Bała się okropnie dzieci i młodych chłopców, jak orlica rzucała się za nimi do szaf z książkami.

— Świsną coś i ani się człek opamięta!

Nic mogła ich jednak odzwyczaić od biblioteki. Byli to najczęstszy goście. Bębnili na pianinie, oglądali obrazki i czytali książki. Chłopów interesowały bardziej gazety. Chłopi zza parowu przychodzili posłuchać. Zazwyczaj ktoś z niebiosnowian głośno odczytywał gazetę. Gołowichę niebawem zaczęto wychwalać. Rozsądna kobieta, ze wszystkimi w zgodzie. Zacznie Koczerow gadać, że stąd mamy rozgardiasz, żeśmy o Bogu zapomnieli i słowa bożego nie znamy, to Gołowicha westchnie i przytaknie:

— Całkiem się naród zbisurmanił. Jakżeż to bez Boga?

Powiada Sofron, że popie oszukiwali i obdzierali ludzi, to też kiwnie głową:

'#f

- Popie oczy, popie gardło, co zobaczy; tó by żarło.

Podciągała, gdy śpiewano „Międzynarodówkę”. Do cerkwi często w dni świąteczne chadzała. Starannością swą dogadzała wszystkim. Jeszcze przy mężu nosiła się po miejsku, tyle że bluzka wypuszczona na spódnice. Teraz w pokoju nie obwijała głowy chustką, włosów jednak nie nastroszyła. Mienia bibliotecznego czujnie strzegła. A to również cenili chłopi.

— Starowna kobieta trafiła się!

Kiedys przypomniano sobie w mieście o bibliotece. Zapytano Sofrona, czy dużo książek dostarczono z majątku pana Pokrowskiego? Sofron odpowiedział, że trzy tysiące. Zdumieli się i napisali, że w najkrótszym czasie przyślą z miasta fachowca do przejrzania i uporządkowania książek w bibliotece.

Zaś burzliwe, niespokojne dni szły swoją koleją. Ogrzało się tchnienie wiatru. Wsiąkały zszarzałe śniegi. Spod śniegu wionęła na ludzi podniecająca lubieżność ziemi, jej wiosenne pożądanie i przecucie rozkwitu.

Daria przycichła. Poruszała się bardziej posuwicie i łagodnie, twarz miała bledszą. Wejrzenie rozświetliło się wewnętrznym ciepłem i łagodnym blaskiem. Dziecię nosiła w łonie. Sofron przestał się obawiać żony, znów

szukał samotnych spotkań z nauczycielką. Lecz Antonina Nikołajewna zręcznie unikała tych spotkań. Zżółkły i ponury, co wieczora miotał się po szkole i zmęczony wracał do domu. Zawsze ktoś był u Antoniny, inne nauczycielki czy też żołnierki.

Na miejski sposób swobodne, impertynenckie, najbardziej przeszkadzały Sofronowi. Domyślnym śmieszkim, lekkim przytykiem dawały do zrozumienia, że widzą mękę Sofrona. Miał się więc na baczności i odchodził.

Pewnego wieczora, wiosennie rozmarzającego, Sofron, pożółkły i zmęczony, rozmawiał z chłopami. W klasie trwał bezmyślny, przyprawiający o zawrót głowy gwar. Rozprawiano o gruntach, o zbliżających się wiosennych siewach, o tym, jak podzielić zasiewy ozimin.

O sporządzonym spisie maszyn rolniczych. Wtem do szkoły wszedł przyjezdny w miejskim, rozpiętym futrze, w spodniach galife i fren- czu, z czerwoną gwiazdą na czarnej skórzanej czapce. Pod pachą — czarna skórzana teka, mocno wyładowana.

W rozgardiaszu nie zauważono go od razu. Roztrącił tłum

1 zwrócił się wprost do Sofrona. Zapytał, pośpiesznie wyrzucając wyrazy:
— Gdzie t u komitet wykonawczy? Co za zebranie? Czy jest we wsi jaczejka?

Sofron nie zdążył odpowiedzieć na żadne pytanie, ów zaś z pośpiechem znów sypał słowami:

— Witajcie, towarzyszu! Widziałem was w mieście i od razu poznałem. Wyście tu, zdaje się, przewodniczący gminnego komitetu wykonawczego? Aha, świetnie. Jedźmy zaraz do biblioteki. Oto mój mandat. Czy to zebranie jaczejki *? Słyszałem, słyszałem, że udało się wam liczną zorganizować. Witajcie, towarzysze! Przygotowujecie się do wyborów do rad? Jakie macie plany podziału ziemi? Tak, tak, wiem, rozbiliście się na komuny! A gdzie mi tu dadzą herbaty?

Artamon Piegich aż pokiwał głową i uważnie zajrzał przybyszowi w usta. Pomyślał sobie:

„Jakby maszyna jaka z wnętrza słowa mu pędziła. Sypie a sypie. Kuglarz to czy gaduła?”

Podczas gdy przyjezdny strzelał bez wypoczynku pytaniami i sam na nie

odpowiadał, Sofron przeczytał mandat i uchwyciwszy chwilę przerwy oświadczył zebranym:

— To instruktor oświatowy. Więc chcecie, towarzyszu, obejrzeć bibliotekę?

— I bibliotekę, i w jaczejce waszej popracować. Przestudiowaliście program? Zwróćcie uwagę na sprawę naszego programu rolnego. Zaraz wam wytłumaczę...

Przerwał, bowiem weszła Antonina Nikołajewna. Uśmiechnął się do niej szczerze i radośnie, a twarz jego o zadartym nosie i wystających kościach policzkowych od razu miłą się uczyniła.

— Witajcie, witajcie, toż zapomniałem, że tutaj rezydujecie! Doprawdy! Zapomniałem najzupełniej! Chyba mnie pamiętacie? No, tak, tak! Do partii jeszcze nie zdecydowaliście się zapisać? Należy, należy! Inteligencja sabotuje, lecz wy przecie macie zdrowe poglądy! Dacie mi herbaty? Zaraz wracam.

Sofron zapatrzył się w jego zmienną, zda się tryskającą myślą, ruchem, słowami twarz. Zapomniał nawet o Antoninie. Wróciła i dopiero wtedy dokuczać poczęła nawykowa, mdląca udręka, kiedy instruktor powiedział:

— Jedźcie, towarzyszek, z nami do biblioteki. Ja z przewodniczącym... towarzysz Konyszew, tak? Pamiętam. Nazwiska od razu zapamiętuję. Więc jedziemy! Nie za ciasno w saniach we trójkę? Do jutra, towarzysze! Bardzo mnie interesuje rozmowa z sekciarzami. Gdzie macie tę Niebiosnowkę?

W czasie jazdy saniami ucichł raptownie. Sofron nic mógł wy- miarkować, czy go instruktor słucha, czy też zatopił się we własnych rozmyślaniach. Twarz ma odwróconą — pewnie nie słucha. Sofron jednak gmatwając się opowiadał dalej o sprawach gminy. Krew go paliła, bowiem w saniach ciasno było we trójkę. Czuł przez kozuch ramię i nogę Antoniny. Łatwiej już gadać niż milczeć, lecz słowa nie- gładko i nierówno się plotą.

Okazało się jednak, że instruktor słyszał. Wyłaząc przed bibliotekę z sanek rzekł do Sofrona:

— Macie rację: najtrudniejsza sprawa z sekciarzami. Mądrale, żadnej literce nie darują... Co? Brak ludzi? Miasto dopomoże, chociaż i tam mało. Towarzyszko Chlebnikowa, skaczcie! Przyjechaliśmy!

Gołowicha miała już zamiar zamknąć bibliotekę. Swarzyła się z młodzieżą, która nie chciała wychodzić. Widząc przybyszów, dorozumiała się natychmiast:

„Władza z miasta”.

Obciągnęła kaftanik i z uprzejmym uśmiechem, w pas się prawie skłoniła.

Instruktor z punktu wlepił wzrok w plakat wyobrażający żołnierza z rozdziawionymi ustami. Zaniósł się głośnym śmiechem.

— Cóż to, wciąż jeszcze podpisujecie pożyczkę wolnościową? Towarzyszu Konyszew, jak żeście to przegapili? Towarzyszko Chlebnikowa, he? Zdjąć, zdjąć! Spóźniliście się. A to dziwacy! Z książkami pewnie też to samo: na ścianach obok Lenina — pożyczka wolności, w szafach zaś razem z Marksem — Ioan z Kronsztadu *, co? Towarzyszko bibliotekarko! Czy tak? Nie czytaliście książek? Macie Ioana z Kronsztadu? Sprzątnąć, sprzątnąć razem z plakatami!

Gołowicha zmieszała się.

— Zaśby ta człek za wszystkimi upatrzył! Nowych nie wydaję na poniewierkę. Stoją sobie i nawet nie widać, jaka która. Tak tylko ściereczką opyle...

— Ściereczką! Bolszewicy, towarzyszko, to taki naród, że chcą, aby wszystko było migiem i pierwsza klasa. Niezwłocznie porobimy z was wszystkich wykształconych i fachowców. Biblioteki od razu postawi się na najwyższym poziomie techniki bibliotekarskiej. Słyszeliście o dziesiętnym systemie Devcya? Są tutaj tablice Cuttera, towarzyszko Chlebnikowa?

Gołowicha powtórzyła w skupieniu:

— Ke — kettera.

I z przyzwyczajenia zgodziła się:

— Juści, Kettera.

Instruktor zajrzał w jej szare, łagodne, ze wszystkimi zgadzające się, ale rozumne oczy i znowu roześmiał się.

— Skąd was wystraszał towarzysz Konyszew?

I dziarskim krokiem jął przebiegać od szafy do szafy.

Gołowicha nagle się przeraziła i obrzuciła wszystkich bezradnym,

zmieszanym spojrzeniem.

Z wybrzuszanej, skórzanej teki, której ani na chwilę nie puszczał z rąk, instruktor wyciągnął dwie białutkie książeczki i zaczął wszystkim tłumaczyć, jak się nimi posługiwać przy doprowadzaniu do porządku biblioteki.

Gołowicha patrzała mu uważnie w usta zaokrąglonymi oczami. Kilku wyrostków i dwóch szesnastoletnich parobków stłoczyło się koło pianina. Dwunastoletni syn Sofrona, Wańka, przypadkowo spojrzawszy na Gołowichę parsknął śmiechem.

Instruktor przerwał wykład i odwrócił się do niego. Lecz w owej chwili Gołowicha zbliżyła się do instruktora i łagodnie dotknęła ra-

— Słuchajcie, panie... czyli tam, towarzyszu. Ogromnie trudna taka nauka. Zrozumieć można... Dlaczegożby nie zrozumieć! Ale że to ja dietna jestem!

Instruktor nie od razu zrozumiał.

— Co,co?

— Ze, powiadam, dietna jestem... Ulitujcie się już! Gdzie mi tam do Kettera. Tego podetrzyj, tamtego nakarm, trzeciemu gębę zatkaj. Bo to troje mam. Posprzątam tylko i tutaj leczę. A i tu także dwa razy w tygodniu podłogi szoruję. Więc już, z łaski swojej, zwyczajnie mi jakoś przetłumaczcie.

W szarych zaś oczach tyle znękania i troski, że śmiech instruktora urwał się na serdecznej nucie.

— Dietna, powiadacie? No, to nic, damy wam pomoc. Ale piśmienna, co? Nie, towarzyszu Konyszew, to przecież wzruszające: „dietna”... A myśmy sobie w planach zaznaczali: „bibliotekarz winien posiadać wszechstronne wykształcenie”. Ale to dobrze, że „dietna”. Mobilizujcie nauczycielki, towarzyszu Konyszew. Biblioteka musi być doprowadzona do porządku! A wy, towarzyszek bibliotekarko, nie denerwujcie się, wytłumaczmy wszystko bardzo przystępnie. Przyzwyczajcie się! Do podłóg weźmiemy pomoc.

Instruktor długo i łagodnie gawędził z Gołowichą. Sam odpowiadał na swoje pytania, ona zaś zakwitła uśmiechem i potakiwała wszystkiemu kiwaniem głowy. Następnie zajął się młodzieżą. Sofro- nowy Wańka oszołomił i jego, i ojca. Zuchwale, z szydersko uśmiechniętymi oczami, domagał się od instruktora odpowiedzi na pytania w kwestii nowych

porządków, rozdziału ziemi, stosunku miasta do wsi.

— Dać, toście jeszcze nic nie dali, ale wełnę wyskubaliście! Dla nowego wojska wciąż a to kozuchy, a to walonki, to zboże! Nie dajecie przy gospodarstwie pracować, jak należy. Wszyscy chłopci albo za przewodniczących, albo za delegatów. Jakaż będzie ta chłopska gospodarka? Gadaliście, że kończycie wojnę, a tu jeszcze jeden drugiemu w kudły się wczepia.

W zuchwałości wyrazów, które wyrzucał podniesionym załamującym się głosem, w wyzywającym szyderstwie oczu kryła się wzburzona, poszukująca myśl.

Instruktor chciał odczepić się powiedzonkiem: „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą” — lecz nieoczekiwanie dla samego siebie objął Wańkę za ramiona, zaczął przechadzać się z nim po pokoju i sypać drobnym, wyrazistym grochem słów.

Mówił o tym, że ziemia ciężką warstwą przytłoczyła wieś. Wieś była bardziej syta, lecz bardziej ciemna i zapadła. Miliony ludzi żyły, jak krety o nieruchawej myśli z uporczywością martwych, przestarzałych wierzeń, z tępą pokorą przed byle kijem. Wszystkie warunki życia skazywały na wleczenie takiego istnienia. Kto zdobył oświatę, ten już nie wracał na wieś. Wieś była wielką mogiłą dla milionów żywych ludzi: ciężka praca, pijaństwo, bestialskie przesady.

Póki panował dawny ustrój, nie mogły go zmienić ani szkoły, ani przezrocza ani pogadanki. Trzeba było zburzyć system tego ustroju.

— Nie będę ci opowiadał, czego potrzebuje miasto, wieś zaś potrzebuje: ulżenia w pracy, wyzwolenia ludzkich sił po to, żeby mózg mógł pracować. Dla ulżenia w pracy potrzebne są maszyny. Wszędzie, gdzie tylko można, należy zwolnić ciało człowieka od wysiłku. Maszyny robi się w mieście. Żeby wyprodukować tyle, ile potrzeba, należy wyzwolić robotników od właścicieli, stworzyć im przyzwoite warunki życia. Wyzwoliliśmy. Czym jednak karmić? Wieś, celem własnego wyzwolenia, powinna podciągnąć się.

Mówił długo i na ogół niepowiązanie. Gdy umilkł, Sofronowy Wańka od razu zwykłym dziecięcym głosem wywnioskował:

— Czyli że wieś będzie skasowana? Nazwożą tu wszelkich maszyn.

wszyscyuteńko urządzają po miejsku. To to tak!

Widać było, że jeszcze nie ma pewności, czy na dobre wyjdzie to skasowanie wsi. Ale oczy zajarzyły mu się łagodnym blaskiem. Uśmiechnął się potulnie, delikatnie zdjął rękę instruktora ze swego ramienia i wybiegł z biblioteki.

Sofron nie wierzył własnym oczom i uszom. Dwa razy z chłopskim okrucieństwem bił swego syna, następnie starał się nie zauważać go. Pałacy papierosy chłopak-awanturnik nie został poturbowany przez chłopów tylko dzięki temu, że ojciec zdobył władzę. W domu nic odeń nie słyszano prócz bezczelnych odpowiedzi. A teraz tak mocno i po gospodarsku przygadywał instruktorowi, że chyba wiele dowiedział się i przemyślał w tym czasie. Znane mu były wszystkie chłopskie kłopoty.

Instruktor powiedział ze wzruszeniem:

— T-tak. Mądry chłopak! Rosja ma niezwykłą młodzież.

Sofron z zastanowieniem, jakby w zamyśleniu odpowiedział .

—Tak, tych to chyba nikt nie przytłamsi. Wyrwą się!

Niespodziewaną falą poruszyło się w nim uczucie ojcowskiego zadowolenia.

—To mój ten chuligan. Syn.

—Nadzwyczajny chłopak.

Zwiedziawszy się o przybyśzu, ludzie napłynęli do biblioteki. Antonina Nikołajewna grała na pianinie, wszyscy zaś starannie, rozwlekłe, w powolnym cerkiewnym tempie, upodobniając „Międzynarodówkę” do rodzimej, przeciągłej pieśni, wyciągali:

Nie nam wyglądać zmiłowania Z wyroków boskich, z carskich praw...

Instruktor pojechał do Antoniny Nikołajewny na herbatę. Nocleg miał przygotowany w bibliotece. Gdy powrócił, w bibliotece było jeszcze rojno. Rozgadano się i rozmowa miała niezwykle przyjacielski charakter.

Sofrona ukłuło w sercu, kiedy instruktor wyszedł z Antoniną. Ale rozmowa z ludźmi odwróciła jego uwagę. Miał chęć do gadania. Myśli w nim ożywiły się, rozruszały i niepokoiły. Kiedy powrócił instruktor, ulżyło mu na duszy zupełnie. Szedł do domu i śpiewał:

Dziś niczym, jutro wszystkim my...

W domu od razu zapytał Darię:

—Wańka w domu?

—Śpi.

Wańka spał z braćmi na podłodze pod piecem. Łóżko było tylko jedno, małżeńskie. Sofron spojrzał na rozrzuconego śpiącego syna, uśmiechnął się i niezgrabnie, lecz pieczołowicie poprawił aziam *, którym syn się okrywał.

Instruktor bawił trzy dni. Drugiego dnia wieczorem Sofron znowu spochmurniał. Męczył go niepokój zazdrości.

Przez cały dzień Antonina Nikołajewna i inne nauczycielki pracowały z instruktorem w bibliotece. Sofron dnia tego widział ich idących razem przez ulicę. Instruktor podtrzymywał Antoninę pod łokieć. Śmiała się w głos, oczy jej promieniały.

Udręczony rozpaczą, Sofron zbił w nocy Darię. Wańka zbudził się i rzucił się na ojca. Wykrzykiwał zuchwale i głośno:

—Wynoś się od nas. a matki nie tykaj!

Daria była zdumiona tą obroną, aż przestała płakać. Wańka zazwyczaj przemawiał do niej niechętnie i szyderczo. Zadawał dotkliwy ból jej macierzyńskiemu sercu. Sofron machnął ręką i trzasnąwszy drzwiami wyszedł na podwórze. Po czym w samym letnim surducie, bez czapki, jak stał, ruszył prawie biegiem do szkoły. Obciążona rewolwerem kieszeń tłukła go po boku. Obecnie nigdy już nie zapominał o rewolwerze. W szkole było cicho i ciemno. Sofron stał długo, przemarzł do szpiku kości i ze spuszczoną głową zawrócił do domu. Od bramy znów raptownie zawrócił do biblioteki. Palilo się tam jeszcze i przez oświetlone okno Sofron zobaczył instruktora. Wymachiwał rękami i o czymś rozprawiał. Serce skołowaciało w pytaniu: z kim? Lecz w tej chwili trzasnęły drzwi na górze i doleciał głos pisarczyka Mitrochy:

—Dobra. Przenocuję. Zaraz wróć!

Ulżyło ciału. Sofron natychmiast uczuł, jak przemarzł i jaki jest senny.

W wigilię wyjazdu instruktora Sofron znowu dyżurował w nocy pod szkołą. Czarnym kożuchem otulony, przylgnął do ciemnego lamusiku w podwórzu szkolnym. W oknach pokoju Antoniny Nikołajew- ny było jasno, lecz przepuszczające jasność firanki przeszkadzały widzieć, co się dzieje w

pokoju. Stał tak rok czy godzinę? Męka była tak okrutna, że zapomniał o czasie. Gdy szcęknęły zawory przy drzwiach wejściowych, drgnął jak uderzony.

— No śpij!

— Jutro przyjdę cię odprowadzić!

— Nie warto! Wcześniej wyjadę. Co? Tak, tak, zobaczymy się w mieście!

Zrazu porwał się za nim, lecz nagle jednym skokiem znalazł się na ganku, przy nie zamkniętych jeszcze drzwiach. Stała, patrzyła, chociaż luby już zniknął za rogiem.

-*■ Kto to? A-a!...

Ścisnął jej ręką policzki i usta, drugą ręką pochwycił pod pachę i wciągnął do niedostępnej dla siebie o tej porze izby. Niedostępnej dla niego, ale dla tego z miasta...

— Tylko krzyknij, paskudo. to łeb rozwalę!

Wyciągnął rewolwer, machnął nim przed osłupiałymi ze strachu i duszności oczami. Z trudem i bólem wciągnęła powietrze.

— Ano, wrzaśnij, spróbuj!

— Nie będę, Sof ronie Artamonowicz!...

— „Artamonowicz”!... Wdzięczyłaś się do mnie, a...

Wartki, gwałtowny potok wyzwisk oszołomił Antoninę. Cofnęła się do okna. Lecz Sofron brutalnie szarpnął ją ku sobie i rzucił na podłogę. Dziewczyna nie krzyknęła, nie oburzyła się, wyciągnęła do niego drżące ramiona.

— E-ech, ty... — z bólem, z gniewem, z rozpaczą wyryczał Sofron ohydne wyzwisko i wybiegł ze szkoły, trzasnąwszy głośnie drzwiami.

Antonina Nikołajewna wczesnym rankiem odjechała z instruktorem do miasta. Sofron cały dzień przeleżał w łóżku. W głowie miał zamęt, poczucie krzywdy nie pozwalało zebrać myśli. Wobec kogóż to siebie zmieszał z błotem? Dużo takich jest w mieście. Na pozór — świętość, ale nikczemność wewnątrz. Nauczyciele! Zbawcy!

Daria bała się zbliżyć do niego, odpędzała dzieci i gniewała się na nie. Raz tylko zapytała Sofrona:

— Może by tak kiszonej kapusty na głowę? Pomogłoby.

— Nie trzeba.

Kiedy przychodzili chłopci, udawał śpiącego. Daria oświadczyła z nieudaną trwogą:

— Febra albo też tyfus.

W nocy, gdy Daria położyła się ostrożnie, uważając, żeby nie dotknąć męża, nagle delikatnie i miłośnie przyciągnął ją do siebie i pocałował. Wyczuła całą głębię jego tkliwości i zapłakała cichutko.

— Sofronie... Skarbie mój pożądany...

— Cicho, Dario... Cicho, matko... Prostaczko moja wiejska...

v

Słowa jak pobudka krótkie, dźwięczne, trwożące obcością, coraz częściej i częściej dolatują do wsi. Jeszcze, niby zamknięta rogatka, stanowi dla chłopów przeszkodę sto pięćdziesiąt wiorst dzielących od miasta, sto dziesięć do najbliższej stacji. Jeszcze dech wielkiego alarmu muska tylko i niknie w przerwach pomiędzy nawałnicą a głuchą, chłopską, zastałą ciszą. Ale nie ma już sędziwego, gnębiącego, prze-
rażającego w swej beznadziejności spokoju. Kołaczą się jeszcze za piecem zabobony babek, lecz już nie straszą i kryją się przed wrzaskiem nowych przewodników wsi.

Riedkin powrócił do Internacjonalówki, zwanej dawniej Tam- bowski- Niebiosnowską. Długo obijał się po miastach. Przebywał nie tylko w swoim powiatowym, był także w gubernialnym: kontrolował porządki.

Dziwiono się we wsi. że powrócił z życiem. Mówiono:

— W czym się to życie trzyma? Szkielet aby pozostał i też kiepski.

Pokręcony. Plecy w kabłak. Ale dalej się ciska. Jeszcze bardziej się sroży.

Artamon Piegich, napotkawszy na ulicy Riedkina, bacznie mu zajrzał w twarz i powiedział rzeczowo:

— Nie będziesz ty już, Filimonie, długo się tyrał! Pierwsze deszcze cię spluczą.

Riedkin nastroszył się, chciał nauragać, lecz tylko splunął i odrzekł głucho:

— Uważaj, czy to aby nie twoja kolejka? Odrobiłeś już swoje, staruchu. Ja tam jeszcze pociągnę. Skrzypiące drzewo dwa wieki żyje!

A w rozpalonych oczach pełna niepokoju modlitwa do życia: użycz mi tych dwóch wieków!

Artamon pozuł wargi i odezwał się w zamyśleniu:

—Wszystko możliwe. Macie w sobie zawziętość, wy, dzisiejsi. Moc w was pazyrności do całego świata.

I poszedł ku swojej zagrodzie, stary, zgarbiony, niełakomy świata, spokojnie wpatrzony w swój bliski kres, lecz krzepki jeszcze w nogach, czuwający nad wnukami, bolszewik Artamon Piegich.

Zaś Riedkin szukał Sofrona po całej wsi: chciał przeprowadzić wywiad, czy długo jeszcze będzie się mazgał i patyczkował z moło-kanami. Jednak nie znalazł go we wsi.

Sofron wyjechał do sąsiedniej Chworostianki, w której nieboracy przesiedleńcy osiedli na kamienistym jałowym gruncie, jakby dla nich tylko wynurzonem spomiędzy okolicznych urodzajnych ziem. Właśnie złożyli w gminnym Komitecie wykonawczym oświadczenie: „My niżej podpisani włościanie Chworostianki z sześćdziesięciu czterech zagród, zebrani na naradzie gromadzkiej w ilości stu trzech ludzi, uchwaliliśmy, żeby nam dać ziemię niebiosnowiańskich mołokanów, jako na kamieniu nic nie rośnie, a na to, że ziemia jest niczyja, to do tego punktu jest dekret bolszewickiego rządu, którego jednogłośnie się przytrzymujemy, że są burżuje, na których bicie naszą zgodę wyrażamy, niniejsze własnoręcznie podpisali”.

Oświadczenie było wypisane zamaszystym pismem Makarki, przezwanego Obieżyświatem, przysięgłego chworostiańskiego skryby od skarg i suplik. Pod oświadczeniem zaś koślawe litery podpisów i ponure, krzywe krzyżyki niepiśmiennych.

Krzywdą, doznana od panny, podnieciła Sofrona. Gorzki dym rozczarowania przetarł mu oczy jak piekący lek. W błękicie ich zjawiała się domieszka ołowiu, której dawniej nie było. Rozwiała się mgła marzenia i Sofron spostrzegł, że chciał się oddać w niewolę wymuskanym państwu, którzy prawdy w sobie nie mają. Nie dozna człek od nich obrony. Wabia tylko z daleka. Ślą uśmiechy z wysokości, ale obok siebie stanąć nie pozwolą. Że się, niby, pysk ma nieforemny! Aha, nieforemny! Nasza jest

władza! I, jak to zwykle bywa, kiedy krzywda biczem smagnie, odżyły stare bolączki, pomarłe, zda się, i już zapomniane. Z frontu uciekał zdziczały i rozbestwiony narkotykiem rzezi. Nikogo się wtedy nie bał i nie żałował. Ale w swojej wsi złagodniał, rozdelikacił go nigdy dotąd nie zaznany szacunek i zaufanie. Walić to całe draństwo! Każdego, co słówkiem zaprzeczy! Nasze są rządy! Naraz przejrzał, że nic dotychczas nie robił, tylko marzył i sam ogłupiał „nędzę”. Stał się skąpy i ostry w słowach, plunął na książki i na pańską bibliotekę. Zaraz następnego dnia, jak tylko wstał, wziął się do niebiosnowian. Zabrał im wielką trzodę bydła i odesłał do miasta na wyżywienie Czerwonej Gwardii. Dowiedziawszy się, że w domu modlitwy ewangelicznych chrześcijan Koczerow w swym kazaniu zganił jego postępek, osobiście odtransportował Koczerowa do miejskiego więzienia. Dom modlitwy zamknął i pieczęcie nałożył.

— Dość! Naśpiewaliście się psalmów, czas przy pracy brzuchem potrząsnąć!

Do chworostiańskich pojechał rozpalony i gotowy do wypełnienia ich prośby.

Tam przy okrzykach: „Dość nażłopali się już naszej krwi!”, „Nie cackać się, za łeb bogaczy!” — wręczono mu skargi na to, że we wsi nie ma żadnych towarów, że zdrożał dziegieć, że doktor z Romanow-ki „przytrzymuje się” starego rządu: nie daje nijakich lekarstw i nie wyleczą żołnierzy z brzydkiej choroby.

W zgiełku zawiesistych chłopskich przekleństw, w rozgardiaszu słów i wrzasku Sofron rozjątrzył się i zarządził:

— Przetrzęsnać wszystkich sklepikarzy. Gdzie to pochowali towary? Bić, nie szczędzić, niech powiedzą! Doktora też odesłać do miasta, a dla okręgu na jego miejsce dać do szpitala sanitariusza Pantieleja. Zna się na wszelkich proszkach. Będzie wydawał. Jutro sam jadę do miasta w sprawie żądania: jakie są nasze prawa? — I odjechał.

Bury śnieg załamywał się pod stopami. W zmierzchu wieczornym leżał po bokach drogi — ściemniały, posępny. Zaś cisza w stepie była przepelniona oczekiwaniem wiosennych burz. W ciszy tej, kryjącej w sobie okrzyk zniecierpliwienia, oddech tamował lęk. Sofron przynaglał woźnicę, małego

Sańkę. i niespokojnie wiercił się w saniach.

Kiedy Sofron przyjechał do Intemacjonalówki, pozapalano już łuczywa, zaś gdzieś tam lampy naftowe. Blask pełgał w oknach i światełka te jeszcze zagęszczały mroki na ulicy. Toteż Sofron nie spostrzegł, że koło jego wrót stoi Riedkin, i drgnął, gdy od płotu oddzieliła się jego długa czarna postać.

— Kto to?

— Ja, Riedkin. Gdzieś jeździł?

— Do Chworostianki. Właż do chałupy! Są interesy.

Riedkin opowiadał niewiele. Podobny do ascetycznego świątka ze starej ikony, chudy, z głęboką i posępną bruzdą między brwiami, nisko spuścił głowę, spoglądał surowo spode łba i tylko kaszlem lub z rzadka wtrącanymi, oderwanymi słowami przerywał opowiadanie Sofrona. Obydwaj postanowili wyjechać o świcie do miasta. Zwabiony światłem wpadł Artamon Piegich i też naprosił się z nimi. Wańka siedział z książką przy stole. Z ojcem i matką, jak dawniej, gawędził skapo, niechętnie, lecz rzadziej uciekał wieczorami na ulicę. Zasłyszawszy o wybieraniu się do miasta, uniósł nagle głowę.

Obojętnie niby, wycodził leniwie:

— Mnie byście do miasta nie podwieźli?

Sofron uśmiechnął się kącikiem ust. Twarz mu się rozpuściła.

— Dokądże to wybierasz się, towarzyszu?

— To się zobaczy dokąd!

Sofron rozgniewał się:

— Smarkul taki, a gada jak z łaski! Dam ci nauczkę lejcami, to się rozgadasz.

I ze złością trzasnąwszy drzwiami, wyszedł z Riedkinem.

Jednak o świcie, kiedy Artamon Piegich zajechał piękną parą koni, zaprzężoną do dużego, dywanowego, zabranego z majątku Po- krowskiego kocza, Sofron zbudził Wańkę:

—Ubieraj się, jedziemy do miasta.

Artamon Piegich zaaprobował:

—Takoż do miasta zapragnął pojechać? Ano, dobra! Wy tam sobie do państwa, jako władza, a my sobie pogapimy się na miastowych na ulicy.

Sam się naprosiłem, żeby cię zawieźć. Muszę być w mieście na targu. Wnusia kazała.

Dawniej miasto było czyściutkie. Teraz, gdy na urzędowych gmachach zatrzepotały czerwone sztandary, gdy zjawiły się wywieszki z niezrozumiałymi napisami, miasto nastroszyło się, zszarzało od żołnierskich płaszczy —[spłowiło i od razu zubożało. Panie i panowie też poczęli biedniej się nosić. Półki i lady sklepowe uczyniły się przygnębiająco pakuwne i puste. Na targu zostało tylko to, co do zjedzenia. Z rzadka tylko straganik z miejskimi przynętami, aleć i ten nader skąpo zaopatrzony.

Na rojnych ulicach, zaśmieconych łuskami słonecznika i orzechów, ulicach brudnych, pełnych nawozu, tłum też przeważnie szary. Po urzędach czerwonoarmiści z karabinami, naczelnicy w skórzanych ubraniach, z rewolwerami, odurzający swąd machorki, strzyżone, zachowujące się po męsku kobiety z papierosami i fajeczkami w ustach, zgietkliwy gwar nie milknących rozmów, niedopałki na podłodze. Wygląda tak, jakby gospodarze tych domów wyjechali, a ci nowi, to tylko lokatorzy. Nie siedzą przy biurkach, wciąż się zbierają w kupki, wymachują rękami i czynią gwałt.

Nie, nie spodobało się to nowe miasto Artamonowi. Medytował: „Najgorzej, że niesposób wymiarkować, który naczelnik od którego jest główniejszy! Wszyscy wymachują rękami, wszyscy rozkazują, wszyscy wygłaszają mowy i wszyscy mają rewolwery. Niewiastom brak powabu niewieściego. No, do czegoż to podobne: palą, powkładały męskie czapy, wrzeszczą bez opamiętania i wszędzie, jak chłopci, zadzierają, nie ulegają. Tfu!”

Niezadowolony i ponury wrócił na dziedziniec, gdzie stały konie, i na spanie pod kożuchem zwałił się w sieni. Do jakiego bo domu człek się dostanie? Sofronowi przydzielono pokój w hotelu, bo jest naczelnikiem. Chociaż tam brudno, aleć zawsze to nie zajazd.

W mieście gorszy był zamęt, niż w Intemacjonałowce. Tam, na wsi, pod przewodnictwem sekciarzy, nieśmiało tylko jeszcze i nieskładnie mieszano nowe ze starym. Dużo hałasowano, ale niewiele obalono. W mieście zaś już hulały opary szerzącego się gniewu. Nocami wywlekano ludzi z nagrzanym legowisk, prowadzono do więzienia, odbierano ukryte

kosztowności. Zamęt ten jeszcze wzmacniał nienawiść Sofrona do panów. Do tych wymuskanych, wykształconych. Nie myślał już o Antoninie Nikołajewnie. Dowiedział się, że pojechała do miasta z instruktorem, i współczuł instruktorowi:

— Ladaco baba!

Pewnego razu był obecny na posiedzeniu komitetu wykonawczego i zwymyślał członka komitetu za to, że sprzeciwiał się podwyższeniu podatków dla kulaków.

— Nie ma co pytać takich cacusiów! Jadłoby to gorący oładek, ale żeby nie parzył. Pytluje ozorem, ale niech przyjdzie co do czego, to go nie ma!

Każdy przejaw słabości i delikatności wywoływał w nim wybuch gniewu. W urzędach nie znosił maszynistek. Zdawało mu się, że wszystkie delikatne panienki zostały maszynistkami.

W mieście znów włożył mundur wojskowy. I gdy tak szedł ulicą w płaszczu wojskowym, z rewolwerem i granatem u pasa, wysoki i srogi, z surowym wejrzeniem ołowiem połyskujących oczu, Riedkin i Artamon przy nim wyglądali na lękliwie skulonych aresztantów. Lecz zazwyczaj razem dochodzili tylko do komitetu wykonawczego.

Artamon nie lubił urzędów, machał ręką i zawracał do zajazdów. Wyszukiwał tam ludzi ze wsi i spędzał z nimi dzień. Riedkin wstępował na krótki czas do komitetu, ponuro spozierał na urzędników i pozostawał tylko wtedy, gdy było wyznaczone zebranie. Zebrania odbywały się często. Riedkin uważnie wysłuchiwał wszystkich przemówień. Ale zwykle zły powracał do hotelu.

— Żadnych decyzji co do wsi!

Chodził do czytelni, słuchał czytania gazet. Kiedyś był nawet na amatorskim przedstawieniu i długo potem wymyślał schrypłym głosem.

Wańka całymi dniami zaszywał się w drukarni. Pewnego razu posłał go tam Sofron z komitetu wykonawczego po gazety; chłopak zaczął latać tam codziennie, zaprzyjaźnił się z zecerami. Dawali mu do czytania książki i gazety. Czytał łapczywie, bez wyboru. Wciąż jakby czegoś szukał w książkach i gazetach. Ponieważ jasno widział, jak sprytnie i łatwo kombinują wszystko miastowi i z jakim mozołem

przyswajają sobie każde nowe pojęcie mieszkańcy wsi, serce w nim rozpało się poczuciem krzywdy.

„Dobra, ich posyłano do szkoły! A mnie tylko przez jedną zimę. Więcej matka nie dała. To nic! Sam dojdę!”

Więc, że sam zapragnął, że mu nie podsuwano przeżutej, pożywej strawy, tracił moc czasu na niezrozumiałe, nużące czytanie. Odkrywał, co było już odkryte, lecz nie zatracił siebie, krzepł ciągle — zuchwał, zadufany w sobie i zawzięty.

Sofrona zatrzymano w mieście. Powietrze poczęło się uśmiechać wiosennie. W południe kropelki wesoło zeskakiwały z dachów. Miasto do późnego wieczora rozbrzmiewało wesołymi dziecięcymi głosami. Artamon zaczął się niepokoić:

— Ugrzeźniemy gdzieś w roztopach. Śnieg już pewnie nie trzyma! Prędko to już wyjedziemy, Sofronie? Wciąż tylko gadu-gadu, a na wsi już trzeba wozy rychtować. Niebo aż dzwoni!

Sofron odpowiedział posępnie:

— Jeszcze zdążysz, narychtujesz! W tym cała bieda, żeśmy przyrośli do ziemi i nie mamy tego zrozumienia, żeby ją łżej zdobywać. Mam jeszcze sprawy w mieście.

W mieście zaś nowe wydarzenie. Powiadomiono komitet wykonawczy, że w odległości ośmiu wiorst od miasta zatrzymał się znaczny oddział Kozaków. Kozacy powracali z frontu do swych stepowych stanic. Mają konie, całkowite uzbrojenie i nawet ciągną jedną połową armatkę. I ludzie, i konie pomorzeni. Podobno zatrzymali się dla odpoczynku. Wojskowy sztab połowy zaniepokoił się. Kozacy — to ludzie starego pokroju. Po co im ta armata w stancy? Komitet wykonawczy postanowił wysłać delegatów celem pokojowego wybadania: po co i dokąd? I z propozycją wydania broni. Delegaci powrócili szczęśliwie. Kozacy odmówili wydania broni, ale podobno są pokojowo usposobieni. Przymaszerujemy, powiadają, obok miasta. Uznajemy władzę radziecką. Oddział przepuszczono. Ale z gubernialnego miasta nadszedł rozkaz, żeby Kozaków zatrzymać. Postanowiono pospieszenie wysłać Czerwoną Gwardię. Była to jej pierwsza akcja. Dotąd Czerwona Gwardia miała za zadanie tylko ochronę miasta i ochronę rewolucyjnej przebudowy

wsł.

O oznaczonej godzinie wszystkimi ulicami zaczęło nadciągać pod komitet wolne wojsko. Kotłujący się, zuchwały, rozmaicie po ubierany tłum. Mieli karabiny. Jedni szli w żołnierskich płaszczach, drudzy w chłopskich aziamach i ciężkich pimach *, inni w miejskich łachach i człapakach na nogach, jeszcze inni — cudzoziemcy w swoich jenieckich ubraniach. Po wszystkich, osobno, nadciągnął oddział Kirgizów. Na czele nieśli czerwony sztandar i metalowy półksiężyc z dzwoneczkami na pice. Krępi, z wystającymi kośćmi policzkowymi, szli w bezładnych szeregach i śpiewali gardłowymi głosami kirgiską piosenkę. Jakby przygrywali na jakiejś półzapomnianej, ongi wszystkim im bliskiej, podniecającej piszczałce.

I w odpowiedzi na tę piosenkę rozległy się sprzed gmachu komitetu wstrząsające śmiałością i nowością słowa powitania:

— ...Czerwona Gwardio, pierwsze w Rosji wolne wojsko mas pracujących, ochrono Rewolucji...

To połączenie kirgiskiej piosenki, pomieszanych okrzyków różnobarwnego, ubogo wyglądającego, różnogłosnego, różnojęzycznego tłumy, zebranego na ulicy zapadłej miejsciny, połączenie ze słowami o olbrzymim zakroju, prawdziwie uroczystymi, oszołamiającymi męstwem wyzwania, ciskanego wszystkim, straszyło, podnosiło ducha potęgą wielkiego hufca śmiałków, który się zjawił we wszystkich miejscinach rozchwianej RFSRR, by obronić władzę radziecką, swoją wolność, swe prawa.

Te wielkie słowa były dla wielu tylko dzwonem rodzimej wsi. Żeby każdy miał pastwisko, żeby wypuścić bebechy ze swego kułaka Nikołaja Stiepanycza, żeby wyprostować własny grzbiet, z własnej gardzieli usłyszeć wolny, niezwykle okrzyk: nasza jest władza! Lecz instynktem, właściwym wszystkiemu, co żyje, a im, pierwotnym i jednolitym, właściwym szczególnie, odczuli rozpierającą radość z przewrotu, który nastąpił w ich życiu.

Toteż nawet trzeźwi w tym tłumie wydawali się pijani. Byli pijani narkotykiem żywiołowego animuszu. Strzelali w powietrze z karabinów, darli się bez gniewu i zawadiacko klęli. Szesnastoletni białowłose chłopaczyna, płacząc się w długim, niby tatulowym płaszczu, wykrzykiwał z radosnym zdumieniem:

— He, towarzysze, zgubiłem zamek od karabinu! Hej, nie widział tam który zamka?

Brodacz frontowy naurągał mu serdecznie i pobłażliwie:

— Pieski synu, smarku jeden! Majstrujże teraz bez zamka!

— Zamek zgubił, to ci wojak!

— Jeszcze to zielone! Będzie żołnierzem, jak dojrzeje.

— To nic, będę sobie bez zamka... Tak też zakatrupię Kozaka... To nic!

I z zuchowatym okrzykiem przyłączy! się do śpiewających:

... Bagnet nasadź na broń!

Ludzie, spostrzegający tylko to, czego można dotknąć, otaczali tłum czerwonogwardzistów wrogim szmerem:

— To ci wojsko! Przy pierwszym strzale drapną!

— Pogubili zamki! Portki na nogach ma, czy też zgubił?

— Syne-eczku, czemu ty się z nimi wdajesz? Wróć, zabiją cię!

— Nie widać żołnierzy z frontu. A ci się dopiero spiszą.

— Oni swojej starszyźnie w pyski pluja. Dyscyplina!

— Ponabierali jeńców do siebie! Walczą ze swoimi, a obcych do siebie!

— Och, Rosjo, Rosjo, zginęłaś! Zginęłaś doszczętnie!

Do tego wrogiego szmeru wplatały się przyjazne okrzyki.

Artamon Piegich, nie zastanawiając się, czy go usłyszą, czy odpowiedzą, ryczał:

—Którzy są z naszej wsi... Mitrocha Pontiajew, czy tam kto! Trzymajta się! Nasza gmina jest bolszewicka... Trzymać się, chłopaki!

— Niebożątka! Nawet nie każdy ma przyrodziewek wojskowy!

— To nic, nie paniczyki, dadzą sobie radę!

— Czemu syczysz, czemu syczysz, spasiony kaldunie? Nie widać twoich oficerków? Gadzina!

—r- A gdzieś to ty oglądał wojsko? W swoich gabinetach? „Nie to, co dawne wojsko”! A gdzieś ty się przed wojskiem dekował? Jaką armię widziałeś? No?...

Przy wejściu zjawił się wysoki i w okularach członek sztabu polowego.

Znowu zagrzmiały, burząc spokój zaścianka, wielkie słowa:

— Nigdzie na świecie nie ma Republiki Rad. W Europie panuje

kapitalistyczny ucisk...

„Białowłosy” zrozumiał, że Czerwona Gwardia powinna zganić Europę i odpowiedział z szeregu radosnym, dziecięcym okrzykiem:

— Zawstydzimy Europę, towarzysze!

Wańka, rozczzerwieniony, radosny, też jak pijany, w tłumie pochwycił Sofrona za rękaw.

— Tato, wyznaczcie mnie do nich! Żeby wzięli!...

Głos miał błagający, dziecięcy, a przecież zawsze przemawiał jak dorosły — gburowato i statecznie. Nie bałby się drapnąć bez ojcowskiego zezwolenia, lecz mocniej, głębiej niż dorośli odczuł potęgę wielkich słów i zobaczył siebie takim, jakim był: dzieciuch, któremu się jeszcze nie ufa.

— Wyznaczcie, tato!

— Ach ty, prosiaku! Za wcześnie. Później wyznaczę...

Szorstką dłonią Sofron musnął Wańkę po twarzy i zaśmiał się radośnie.

Zaś z boku, pod płotem pan w czarnym palcie z barankowym kołnierzem krzyknął głośno i ze złością:

— To nie Czerwona Gwardia, tylko czerwone bydło!

Sofron pospiesznie odwrócił się, lecz pan jeszcze pospieszniej roztopił się w tłumie. Sofron pogroził pięścią tłumowi. Od razu spo- chmurniał i uczył: w zakamarkach kryje się wróg.

Naprzód, śmiało, równaj krok!

— Formuj się! Hej, ty diabelski kaftanie, do szeregu!

— Formuj się!

— A-a-a... a... trzy...

Huczał tłum. Wicher się wzmaczał. Wiosenny księżyc, jakby gniewny na tych żołnierzy, przypomniał sobie, że jeszcze jest zachmurzony, zimowy...

Zaczął padać śnieg.

— O, matko, chyba to zamieć będzie!

— To i co, że zamieć! Rosjanin do tego nawykły.

VI

Doktor nie spodobał się Sofronowi. Wargi ma wąskie i kryje oczy.

— Przysłano was, to sobie mieszkaćcie.

— Nie mogłem bez waszego zezwolenia otworzyć domu.

— Zezwalamy. Odbijcie deski i mieszkać.

Doktor stoi koło stołu tak, jakby się bał go dotknąć. Ubranie ma wojskowe, czyste. Lewa dłoń w czarnej rękawiczce kłuje Sofrona w oczy. Doktor zawsze nosił rękawiczkę: ukrywał kaleki palec.

—Dziękuję. Jutro już wprowadzę się. Wolno pożegnać? — • I ku drzwiom.

—Słuchajcie! Jak was tam?... Panie doktorze! Pan z wojskowych?

—Od początku wojny na froncie. Niedawno powróciłem do miasta.

—Patrzaj no! A ja myślałem, żeście się dekowali. Niepodobny do frontowego! Żołnierze nie bili?

—Co?

Aż spojrzał prosto w oczy. Złe oko, wnętrza nie pokazuje.

—Pytam, czy nie bili? Później, kiedy już cara skasowano?

—Zawsze pełniłem uczciwie obowiązki służbowe.

—Widać, że staranny...

Doktor splunął dopiero na ulicy. Po raz pierwszy dopiero nie potrafił się opanować, rozsądny syn protopopa. Mimo że się pocieszał:

„Zawsze tutaj spokojniej niż w mieście. Winienem wdzięczność felczerowi. Przydał się”.

Doktor zamiast urlopu wyprosił sobie dwa tygodnie pracy w tutejszym szpitalu, no, a dalej nastąpią roztopy. Nie sposób będzie dostać się do miasta. Można więc będzie dłużej tu pomieszkać. Szpital przeniesiono z Romanowki do majątku Pokrowskiego: w majątku był już odpowiedni budynek. Zbudziły się milczące gmachy rozgromionych porzuconych fabryk. Tylko pański dom stał zabity deskami, cichy jak grób. O ten dom właśnie prosił doktor. Żeby go mógł otworzyć na mieszkanie dla siebie.

Sofron powrócił z miasta jeszcze bardziej niespokojny i zły. Z każdym dniem potęgował się zew ziemi, coraz uporczywiej trzymali się swoich gruntów bogacze, coraz chciwiej i śmielej wyciągali po nie ręce komornicy i małorolni. Toteż przywieziony przez Sofrona niepokój był dla nich zrozumiały i od razu znalazł oddźwięk. Chłopcy i młodzi chłopcy zaciągnęli się już do Czerwonej Gwardii. Wygrażali:

—Z bagnetami do orki staniemy! Trzymajcie się, pasibrzuchy!

Starsi chłopci i staruchowie też oświadczały głośno:

—Dość! Ziemia nasza, bośmy pracujący!

Ustawiono pośrodku wsi na targowisku długą żerdź i zawieszono

■ j i — m — i i i ■ m j

na niej dużą chorągiew. Kiedy udeptaną ścieżką starzy szli do cerkwi, długi, czerwony język jakby wydrzeźniał się z żerdzi.

Dom modlitwy ewangelicznych chrześcijan wciąż jeszcze stał zabity deskami. Zbierano się u wyznawcy Glebowa. Śpiewano na melodię pieśni ludowej odc Dzierżawina „Bóg” i wiersze o życiu, które przekwita jak trawa. Lecz wystrzegano się rozmów o ustroju państwa. Jedynie w tajemnej rozmowie z Bogiem, jedynie w myślach błagano: ukarż niepocziwców. Kupcy jakby zaginęli. Chodzili w chłopskich aziamach. Sami, bez parobków, obrządzali się w swoich obejściach. Z rozterki serca bogaczy nie zaznawały spokoju — byli jak gdyby chorzy. Często jeździli do nowego szpitala. Przypadł im do gustu poważny i uczony doktor. Zawozili mu mąkę, jajka i masło.

Bo i tak mogłoby się zmarnować. Odbierają przecież odzież i bydło, więc tylko patrzeć, jak się do produktów wezmą. Biedni rzadko przychodzili. Brak czasu i nawyku do leczenia.

Sofron przyjechał do szpitala po upływie tygodnia od rozmowy z doktorem. Przywiózł Riedkina. Riedkin przyjechał z miasta w żołnierskim płaszczu. Wisiał ten płaszcz na nim jak na tyce. Ale wojskowy wygląd płaszcza czynił Riedkina jeszcze straszniejszym.

Doktor wyszedł do nich w białym fartuchu.

Sofron bacznie obejrzał biały stół, słoiczki i flaszeczki w szafie.

— Dużoś ludzi nawyleczał? Czy lepiej porachować na cmentarzu?

Doktor odpowiedział powściągliwie:

— Są też na cmentarzu, niektórym jednak pomogłem. Wieśniaków trudno leczyć. Żyją w brudzie. O, sekciarze są nieco schludniejsi. To dlatego, że umieją czytać.

— Bo mieli czas na naukę. Trzymaj sobie z nimi kompanię, ale uważaj! Żeby cię samego nie poleczono — wyrzeźił Riedkin.

Doktor nakrył oczy powiekami.

—Właśnie brak leków.

Riedkin błysnął podejrziwym, świdrującym spojrzeniem.

— A gdzież to się podziały? Poszukaj! Czyżby klasa bogaczy wszystko wypila? Daj mi jakich proszków. Na wnątrzu mnie pali.

—Należy was osłuchać, opukać.

— Nie ma co stukać. Już mnie nastukali. Daj mi ziele, żebym lżej oddychał! Wciąż pod lewą łopatką kłuje niby szydłem.

1 zakaszał się spazmatycznym kaszlem. Wytrzeszczył oczy.

— Macie chore płuca. Należy się dobrze odżywiać, nie męczyć się.

—Dobra, zaraz pojedę do swego gabinetu i legnę na miękkiej pierzynie. Tylko, że mój gabinet na podpórkach, a i pierzyna nie za gruba. Daj mi jakich ziół do picia!

Doktor wzruszył ramionami, kazał felczerowi czegoś namieszać do flaszeczki. Wciąż go ponaglał. Ogromnie mu przeszkadzał Sofron swym nieznosnym, uporczywym spojrzeniem. W tym czasie z korytarza doleciał hałas. Rozwarły się nagle duże, białe drzwi. Trzech czerwonogwardzistów wniosło czwartego — był blady, z wykrzywioną twarzą i zaciśniętymi zębami.

Sofron rzucił się ku niemu.

— Skąd? Gdzie raniono?

Prawa ręka rannego była rzemieniem przywiązana do pasa, płaszcz na ramieniu zeskorupiał od zakrzepłej krwi. Gdy go złożono na skórzanej sofie, starszy czerwonogwardzista w kudłatej czapie odpowiedział:

— Mieliliśmy utarczkę z Kozuniami. Jeden go rąbnął. Nie na amen, ale chyba tego.

Ranny otworzył zamglone oczy i odezwał się słabym głosem, lecz wyraźnie:

— Jucha się leje. Pozatykaj jakoś, z łaski swojej!

Ryczał z bólu, kiedy go rozbierano. Ale słysząc, że doktor mówi „kiepsko”, znowu powiedział wyraźnie:

— To nic, mam twarde życie...

Sofron zwrócił się do doktora:

— Tego — żeby mi wyleczyć!

Wyszedł i skinał na czerwonogwardzistów.

O wszystko wypytał w tajemnej rozmowie. W powiecie było niespokojnie. Nie bez podstaw obawiano się kozackiego oddziału. Został rozbity, lecz dwa inne zrobiły wypad na stanicę. Bogate wsie zaczęły się burzyć.

— Mówiono też w mieście o Niebiosnowce. No, liczą na ciebie
— powiedział starszy czerwonogwardzista, znajomek Sofrona.

Przy wyjściu ze szpitala Riedkin zapytał Sofrona:

— Czy to w pańskim dworze doktor teraz mieszka?

— Aha.

— A co to za szpikulec na dachu?

I wskazał piorunochron na pańskim domu. Odcinał się wyraźnie na tle przejrzystego, przeczuwającego wiosnę powietrza.

— Powiadali, że przed piorunem ma chronić. Żeby burza domu nie zrujnowała. Panowie to przebiegły naród. Modlą się do nieba, ale i bronią się przed nim.

— A nie można gadać przez to?

— Przez ten szpikulec? No, jak? Z kim? Z Bogiem chyba?

— A może jaki drut jest pod ziemią? Teraz rozmaite są telefony i gramofony...

— Nie wiem. Trza by Wańki zapytać.

Wieczorem Wańka czytał Sofronowi i Riedkinowi z książki bibliotecznej o piorunochronie.

Riedkin słuchał uważnie. Potem spytał:

— Czy to książka całkowita, czy nie?

Wańka zrozumiał pytanie. Wszakże piszą na książkach: „całkowity kurs geografii”, „skrócony kurs”. Potarł czoło i przeczytał na okładce książki:

— „Wydanie ludowe”.

— Aha, ludowe! Czyli że nie wszystko tu wypisane. Panom więcej jest wiadome. Słuchaj no, Sofronie, muszę ci słówko rzec. Chodź ze mną!

Wyszli z izby. Daria powiedziała z niezadowoleniem:

— Po co się tajemniczyć przed rodzonymi!

— Pilnuj babskich spraw!

Żył teraz z Darią zgodnie, ale jako i dawniej, nie lubił z nią gadać o

poważnych sprawach. Co za „pomyślunek” może mieć wiejska baba? Co innego Wańka. „Łebski” chłop z niego rośnie. Ale skoro Riedkin nie chce... Na podwórku, przed oborą, w której niespokojnie rzucała się krowa, Riedkin zapytał:

— Po co ten doktor do nas przyjechał? Ledwieśmy przedtem ubłagali o felczera. I to ci powiem — żonaty jest z kupiecką córką: dziewczucha Pankratowa jest za nim. Są tu razem, wywiedziałem się. To lekarstwo tom wylał.

— No?

— A Kozacy?

— No?

— Gada z nimi przez przewód pod ziemią. Przesyła wiadomości o wsi! I o naszych żołnierzach.

Riedkin powiedział to z głębokim przeświadczeniem. Sofron zamyślił się. Uczuł w sercu niepokój: wykształcony przecież potrafi otumanić:

— Dobra, zdejmemy piorunochron i zobaczy się.

O tej cichej wieczornej godzinie doktor siedział z żoną w pańskim dworze. W dużym, dobrze ogrzanym, lecz pustym pokoju nie czuli się po domowemu. Jakby się im udało gdzieś ukryć na węzłowej stacji. Trochę wypocząć od gwaru i tłoku. Nadejdzie jednak pociąg i z radością opuści się ten zakamarek. Ze sobą przywieźli tylko kufer podróżny i pościel. Wstawili do mieszkania dwa łóżka polowe i długi stół. Doktorowa przywiozła lampę. Duża lampa pali się na stole, lecz w kątach, ponieważ są puste, wydaje się wciąż, że czai się mrok. Doktor patrzy w książkę. Jednak na jego czole wciąż nerwowo zmieniają się podłużne i poprzeczne zmarszczki, więc Kiera wie: nie czyta, tylko rozmyśla.

— Sasza!

— Co, dziecino?

— Tu też jest strasznie! Co tam się dzieje z mamą i papą...

Pochyliła się ku niemu, wątła, pociągająca chorobliwym urokiem, jakim niekiedy odznacza się zdegenerowanie. Jedyna córka birbanta-papy. W dzieciństwie cierpiała na chorobę św. Wita. Od dwunastego roku życia leczył ją ten doktor. Niby wyleczył. Kiedy skończyła szesnaście lat, ożenił się. Wziął

wielki posag i miłość wyłączną, fanatyczną, do jakiej zdolna jest tylko chora, marzeniem żyjąca istota.

Popieścił ją pobjęśliwie, jak zawsze, ale trwoga w jej granatowych oczach nie stopniała.

— To nic, już niedługo, przeczekamy. Wśród chłopów to tylko powierzchowny ferment. Sekciarze są szczerzy w stosunku do mnie. Dzisiaj dowiedziałem się, że w powiecie jest dużo malkontentów. Głowa cię nie boli? Czemu jesteś smutna?

— Nie. Tak mi jakoś niespokojnie. Przeczucia...

— Głupstwo. Nerwy.

Wicher z mocą uderzał w okna, nagłym płaczem załkał w kominie. Kiera poczęła dygotać, rozplakała się. Uspokoił ją umiejętnie.

Dał lekarstwo. Kiedy się pokładli do łóżek, obliczył sobie i określił termin, w którym Kozacy skupią się i okrzepną.

Rano Zyganów długi czas spędził u doktora. Przyszedł poradzić się co do przepukliny, potem długo szeptał z doktorem, trwożnie i czujnie spozierając na ściany. Doktor pożegnał go wesoło. Dnia tego pokrzykiwał po gospodarsku na pielęgniarki i na nierozgamię- tych pacjentów.

Do Sofrona zaś przycwałował na starej, siwej kobyle wyrostek z zadartym nosem i w ogromnej papasze. Przywiózł zathuszczone, szarą kopertę. W kopercie: wzmocnić strażę w gminie.

W południe zjawił się w szpitalu Riedkin. Rewolwer przy tym przez śmierć już napiętnowanym człowieku czynił wrażenie absurdu. Jakoś smętnie wyzierał mu z kieszeni. Płaszcz żołnierski leżał na nim jak cudzy. Riedkin napotkał doktora w korytarzu. Przygotowywał się on do przecięcia sekciarzowi zropiałego wrzodu. Wydawał rozkazy, by przygotowano wszystko, co należy. Riedkin zatrzymał go.

— Muszę zakomunikować terminowy rozkaz z komitetu wykonawczego Intemacjonałki.

— No?

— Nie no, tylko prowadź gdzie na rozmowę. Sprawa wymagająca.

— Teraz mam operację. Chory przygotowany i czeka. Jestem zajęty.

— No, dobra. Dokańczaj. Ale żebyś w południe był w komitecie.

Doktorowi brak dziś cierpliwości. Uniósł się:

— Przecież to nie chleb z pieca mam zamiar wyciągać! Będę krajał ciało człowieka! Co to znaczy „dokańczaj”? Nie wiem, kiedy się zwolnię!

Wykrzywiła mu się twarz, lecz buchające wściekłością spojrzenie Riedkina jest przerażające. Doktor się zmitygował. Zduszonym głosem krzyknął przez drzwi:

— Operacji dzisiaj nie będzie! Proszę powiedzieć choremu. Chodźmy do tego pokoju!

Otworzył drzwi przed Riedkinem. Po upływie pół godziny wyszedł blady, z mocno zaciśniętymi ustami. We drzwiach jeszcze raz powiedział:

— Proszę powtórzyć w Komitecie wykonawczym: nie ja budo wałem piorunochron. Nie będę go zdejmował! Jeszcze raz was zapewniam, że to tylko ciemnota, brak oświecenia...

— Dobra! Później pogadasz!

We drzwiach Riedkin jeszcze raz się zatrzymał. Jeszcze raz swym gorejącym spojrzeniem sparzył doktora. Jakby coś rozważył, pomacał rewolwer. Potem ostro zawrócił i trzasnął drzwiami.

Przy obiedzie doktor o niczym żonie nie wspomniał, lecz ona wodziła za nim nieodstępny, oddany, psim spojrzeniem i nic nie jadła.

Pies podwórzowy najpierwszy usłyszał w nocy lekki chrzest topniejącego śniegu. Zaniósł się rozdzierającym, wściekłym szczekiem. I prawie równocześnie z psem usłyszała Kiera.

Zerwała się z łóżka w długiej nocnej koszuli tak prędko, jakby tylko na to szczekanie czekała.

— Sasza, Sasza!

Zbudził się dopiero wtedy, gdy mocne, chłopskie pięści załomotały w drzwi.

— Kto tam?

— Otwieraj!

— Tak nie mogę... Kto?

— Otwieraj! Czy to dużo czasu trza na wysadzenie drzwi?

Poruszyła się służba w domu, zjawił się posługacz szpitalny Jegor. Obecność jego jakby dodała doktorowi otuchy. Mocniej nagan w rękę

zaczepiła. A z tyłu Kiera. Uczepiła się ramion wątlymi rękami, jakby się chciała z mężem w jedno ciało stopić.

— Czekaj, Klero... Nie otworzę! Kto?

Głosy za drzwiami ścichły, jakby się naradzały. Wicher przyniósł z oddali:

— Hej, kto tu jest?

W domu wszyscy skamienieli w oczekiwaniu. A to Jegor otworzył bramę i drzwi od podwórza. Skombinował: za niewpuszczenie do domu odpowiedzialność spadnie na wszystkich. Doktor usłyszał kroki: odchodzą. Odetchnął i zawrócił z korytarza do pokoju, podtrzymując lewą ręką Klerę. Aż tu twarzą w twarz — ci w żołnierskich płaszczach, z rewolwerami. Nie krzyknął, nie drgnął, tylko spopiełał. Niepewną dłonią chciał ukryć nagan. Ale spostrzegli. Ten na przedzie krzyknął:

— Z lewolwerem! Nie ma co się z nim ceregielować! Jazda!

Wzniosła się lewa ręka doktora w czarnej rękawiczce. Żołnierz porwał za prawą.

— Jazda!

— A-a-a!... Nie puszczę! Nie puszczę!

Krzyk Klery taki, że zda się wszystkie ściany przewiercił. Ale stojący na przedzie chłopak z wystającymi kośćmi policzkowymi nie skrzywił się, wyjaśnił uspokajająco:

— Nie o ciebie chodzi. Doktor, rusz się!

— Nie puszczę! Zbiry! Oprawcy! Łajdaki!

Pluła, gryzła, drapała, rzucała się jak najeżona, dzika kotka. Przeszkadzała w ujęciu doktora. W wątlých rękach zjawiała się niesamowita siła.

Chłopak z zadartym nosem dziwił się z zachwytem:

— To ci baba! Niby zdechlaczka, a jak to się uczepiła! Wleczcie z nim razem.

Na placu za domem czarne cienie: Sofron i Riedkin. Przenikliwy, świdrujący głos Klery odbił się echem. Lecz za głuchymi drzwiami stoją ludzie nowi. Krzyk ich dotąd nie raził niczyich uszu, więc oni też nie słyszą cudzego krzyku. Płaczem odpowiedział tylko Piet'ka dozorca z kuchni szpitalnej.

Sofron rozkazał:

— Zatkanąć babie gardło! Po diabłaś przywłókł?

— Czepia się.

— Te, panie, gadaj, coś Kozakom powtarzał?

Groźny i dobitny jest głos Sofrona. Głos doktora zachrypnięty:

—Nie mogłem się z Kozakami porozumiewać...

—A, nie mogłeś. R-r-raz!

Doktor padł ogłuszony. Chłopak z zadartym nosem zapatrzył się, zwolnił ręce. Kiera wyrwała się.

— Oprawcy! Zbiry! I tak wkrótce-zginiecie! Sasza! Sasza!

VI!

Dzień za dniem, niby paciorki liczydeł, odrzuca życie przeżyty czas do pozycji „rozchód”. Z nieubłaganą regularnością zarządza kolejność wiosen i zim, nigdy nie chybiając, nie gmatwając terminów, wyznacza każdemu dniowi trwania w życiu jego troski i ukojenia, boleść i uciechę.

Chłopi z Niebiosnowki sposobili się do sianokosów. Zahuczeli, zaroili się, wysypali się na ulicę ze swych chałup, narządzonych tylko do zimowego snu, ale nie do rozkoszowania się przytulnością i wypoczynkiem domowym. Mężczyźni w roboczych portkach i koszulach, lecz ożywioną, rozgadaną, świąteczną ciżbą zbierali się na skraju Niebiosnowki przed wielką kuźnią artelu. Korzenny, zagęszczony aromat rozgrzanej słońcem ziemi, dolatujący z wiatrem od pól, i zdrowa woń nawozu z podwórek jak wino pobudzały krew, radością i oszołomieniem uderzały do głów, odmładzały stłumione głosy starych, wzmacniały głębokim, piersiowym tonem dźwięczne okrzyki młodych, wtapiały srebro w dziecięce słowa-dzwoneczki. W dzisiejszej radości było nowe. Zaparowiacy, którym dawniej przypadł w udziale zaledwie promyk odbity od gospodarskiej uciechy i którzy zasępiali się na myśl: co się tam tymi kosami naszturcha — huczeli dziś rozgłośnie, jak możni. Przed kuźnią bowiem uformowały się długim hufcem maszyny również dla ich kośby. Słońce i radość uczyniły ze zmarszczek na twarzy Artamona Piegicha promienie, z brudnych, siwych włosów — srebro. Drobnutki i wysuszony, dziś jakby rozprostował komorniacką pracą zgięty grzbiet i zda się uczynił się wyższy. Wykrzykiwał jak starowny gospodarz:

— Sofronie, hej, Sofronie! Słuchaj no, Artamonowiczu: ile to mamy kowali?

— Dziesięciu-u!

— Starczy tego na maszyny!

I trwożny pomruk wśród zaparowiaczków:

;— Bo i prawda, czy starczy?

Riedkin wtulił rozkudłaną, czarną głowę w ramiona i wzniosł ku słońcu zaostrome kości policzkowe. Jakby prosił o ciepło. Słoneczne blaski ożywiły ucieszoną twarz, więc z mniejszym niż zazwyczaj wysiłkiem wy rzeźił:

— Sawośka... ten, to nasz... Postaramy się. Damy go do pilnowania. A trzeba będzie, to każdy pójdzie za kowala. Żeby tylko było przy czym!

Sekciarz Glebow odezwał się posępnie:

— Kowale!... Przy maszynie potrzeba wprawy. Dużo tam potrafi taki, jak Piegich czy Riedkin... Nawet te jeszcze całe zęby po- wyłamujc.

Sofron przerwał szyderstwem:

—To nic, nie turbuj się o nas, nie nadwerężaj żółci. Jak się powylaśnie, to się nowych nagotuje. Nie potrafimy sami, to przywołamy ciebie. Potrudźcie się, rzekniemy, towarzyszu Glebow, dla wiejskiego prostactwa. E-ech, wygodzę sobie, zakurzę. Wesoło mi!

I niewprawnymi palcami jał skręcać papierosa. Żyjąc tuż obok sekciarzy, chłopci z Internacjonalówki niewiele palili.

Sawośka z krzywą szyją wrzasnął w drzwiach kuźni:

—Wystaralbyś się w mieście, Sofronie, o machorkę dla kowali. Odwdzięczymy się! A tamte psy, wiadomo, że szczekają z wściekłości. My zrobimy swoje, tylko wy się spieszcie. Dobrze mówimy na tę żniwiarke „czołogrzalka”. A dlaczego? Bo zagrzewa czoło. Trzeba za nią wyciągać nogi jak w marszu. Jak przy muzyce, chłopie!

—Machorka przygotowana. Tylko tę muzykę wyrychtuj, nadaży się. Chłopi-niezdary mają dryg, tylko naucz. Na wojnie wciąż przy takiej muzyce wydażaliśmy. Czemuż to Żyganow Aleksiej Iwanycz dziś taki niemrawy? Gromada się cieszy, a on gęby nie otwiera. Chyba się przekleństwem udławil?

—Cha-cha-cha-cha!...

—Ho-ho-ho!

—Pewnie że się udławił! Chował i chował maszyny dla siebie, aż ci tu teraz jazda w najemniki do Sofrona.

—Wynajmiemy może, bracia, Żyganowa za parobka? Co?

Żyganow splunął, łysnął błękitnymi białkami, ale odrzekł spokojnie:

—Żeby nas nie było, to nie mielibyście skąd pobrać maszyn. Ale nie uchylamy się od pracy. Jakże, Sofronie, przyjmujecie nas do komuny?

—Aha, rechotaliście, aleście teraz zmadrzeli.

Riedkin wrzasnął:

— Tacy z nich komuniarze, co tylko za swymi maszynami ciągną. Żeby nie popuścić! W karki ich walić!...

—Obejdzie się bez nich! Niech kupują u nas siano.

—Nie przyjmować!

— Dlaczego nie przyjmować? Niech mają udział. Grunt, że mają konie. Sofron przerwał spór:

—Niechaj z nami po równo robią. Przyjmujemy. Grunt, że mają konie.

—Racja-a!..!, i'

Artamon Piegich upewnił się:

—Jak będzie się 'dzielić siano? Wedle gąb? Jeżeli wedle gąb to brać każdego chętnie.

—Jazda do szkoły, zapisywać się do komuny!

—Na jawie się zobaczyło, o czym się nawet nie śniło. Ko-om- -mu-ny! No, no!... No, będziemy widzieli. Albo kłaki z łbów powyrywamy, albo siano w stogi poskładamy.

Ruszono ku szkole. Kuźnia rozebrzmiała zagrzewającą pieśnią pracy. Riedkin pozostał przy maszynach. Wciąż mu się wydawało, że je ktoś odbierze. Trzeba pilnować bacznym okiem. Wieś tętniła nawoływaniem ludzkich podnieconych głosów. W podwórzach głośnie i zajadle swarzyły się kobiety.

—Takiej niezguły nie ma po co przyjmować do komuny, lepiej by już naszą krowę! Żywiej się obróci. Ja dla śmiechu, a ty...

—Dla śmiechu! Ale z Maryjką Kasatienkową toście się sprzęgli! Dziewuchą była, to ludzie ją omijali, dosiedziała do dwudziestego roku. Aż

sobie chłopą wedle siebie znalazła — do żadnej roboty niezdatny...

Za kuźnią, na łączce szczebiotały dzieci.

— Te maszyny, co Żyganowa, to teraz nasze!

— Akurat! Wasze! A nasze?

— I wasze!

— A Żyganowa?

„Wyklęty powstań... I z własnej woli sam się zbaw...”

— A bodaj cię cholera zdusiła! Na siódmy mu idzie i już za innymi —

„Wyklęty powstań”. Leć do chałupy, pókim dobra!

— Ty, ciotulo, nie urągaj mu. Skończyły się stare rządy!

Cały ten dzień pracowity, upalny, aromatem pól owiany, był pełen rwetesu i radości. Pewnego ranka chłopci, wybrani przez komuny, wyjechali na podział łąk. Odprowadzał ich hałaśliwy, rozgadany tłum mężczyzn i kobiet. Delegaci jechali konno, w szyku, zdrewnianymi sążniami w rękach. No, jenżynierowie, nie naknoćcie tam swymi miarkami.

— Po Co przestrzegasz? Przecie to stare sążnie, wymierzone.

Huknął jeździec na przedzie, odezwała się za nim reszta: chłopci, delegaci komun i dzieciaki-wolontariusze. Na bujną, stepową uciechę naprosiło się to wraz z chłopami. Bryknęły kopytami siwki, kasztanki, bułanki i hałaśliwy hufiec pognął w step.

Zaś step wiclotrawny przy mił a się. Kłania się białą mietlicą. Mruga mnóstwem białych, czerwonych, błękitnych źrenic — kwiatami. Rozpościera swoje bogactwa. I brzęczy, i dzwoni w powietrzu mowa stepu: w trelach ptasich, w graniu świerszczów, w bzykaniu owadów. Jakby nie zamierał na zimę. I wszystko w nim pachnie rozkosznie. Pachną kwiaty, pachną zioła i zda się, bladawe rosyjskie niebo pachnie słońcem. Wietrzyk donosi dymek, zaś dymek w stepie też nabiera gorącości, ostrości, woni. Nawet piołun — gorzkie ziele

— nawet piołun darzy przejmującą, boleśnie rozkoszną wonią. Cały step tętni i echem gra. O-ho-ho-ho! A-a-a-a-a! Tętni w dale odległe. Czu-wa-aj! Step roznosi ludzkie głosy. Czuwaj, zwierzaku, ptaku, owadzie, słuchaj głosu ludzkiego! A-a-a!... Pierś sama wzbiera okrzykiem.

Zsiedli z koni. Zaczęli kroczyć ze swymi drewnianymi sążniami.

— Stój, stój!... Jakiego ty kroka dajesz? Stój!

— „Jakiego dajesz"! Jakiego kroka mam. takiego daję!

— He-he-he! Nie. bracie, minęły szachrajskie czasy! Zaczynaj stąd.

A step odzywa się: o-o-ąd!...

Dzieciaki szukały przepiórek w krzakach. Darły się jak najęte. Sofronowy Wańka całą swoją uczoność zagubił w trawie. Skakał na jednej nodze, wyśpiewywał dźwięcznie, rozgłośnie:

Tota właśnie przepióreczka,

To ta właśnie przepióreczka,

Przepióre-e-eczka-a!...

— Dziadku Artamonie. nic złapaliście przepióreczki?

Artamon zapragnął się pochwalić: dojrzał w trawie i złapał...
żmiję, miast przepiórki. Cisnął z rozmachem.

— Ach, ty gadzie przekłety! Migiem taka ukąsi.

Glebow roześmiał się rubasznie. On również w stepie zrobił się prostszy i weselszy.

— Widzisz, dziadu Artamonie. jak to wymierzać cudzą ziemię!

Zamiast ptaka — garnie się żmija!

Wańka za Artamona wykrzyczał Glebowowi czupurną odpowiedź:

- To nic, pooddajemy wam żmije! To wasze krewniaki.

Glebow zaklął głośno, soczyście, ale już więcej nie dogryzał. Chociaż nie przestawał gadać. Przez cały dzień łąki rozbrzmiewały celnymi chłopskimi słówkami. Na to, co znali, widzieli i rozumieli, mieli własny język — jędrny i dobitny, mieniący się obrazami, jak step kwieciem.

Zazwyczaj rozpoczynano kośbę po św. Piotrze. Tego roku pominięto ten zwyczaj. Wyjechano o cały tydzień wcześniej. Starzy urągali:

— Łamiecie obyczaj! Nie bez racji takie prawo: ziemia jeszcze wilgotna.

— To nic, mamy w sobie gorąc. wysuszymy!

Pierwsze ruszyły maszyny. Za nimi pakowne podwody z kobietami, dziecięcymi kołbkami, beczkami, namiotami, wiadrami, odzieżą, garami i miskami. Gdy zjechało, step poruszył się gwarem przeróżnych dźwięków. Zamigotały w stepie głowy kobiet w chusteczkach czerwonych z żółtym, białych z czerwonym, różnokolorowych.

Parcela komuny Artamona zaczynała się pod laskiem. Pod niewielkim, liściastym laskiem. Z dala wyglądał w stepie, jak nieduży bukiet na stole. Lecz gdy podjechano, przekonano się, że jest cienisty i przytulny, z chłodnym źródłem.

Kobiety rozpoczęły swą krzątanie w obozie, dzieciaki zaczęły beczeć. Damian Kołosow zza parowu wyjechał z Artamonem na kosiarcę. Taki miał podniecony i radosny wygląd, jak w dzieciństwie, kiedy po raz pierwszy, jako mały chłopak, jechał pociągiem.

Wkrótce została tylko w obozie na kucharowaniu sama Sofronowa Daria. Daleko, bardzo daleko, gdzie tylko sięgnie oko, poruszali się po stepie ludziska. Sofronowy Wańka rachował:

— Nasza komuna — osiem rodzin. Chłopów z chłopakami — trzynastu, kobiet — siedemnaście. Komuna Pantieleja — dziewięć rodzin... Niezgorszą siłę na te łąki wypuszczono...

— Wa-a-ańka! Wań! Coś się tam rozsiadł? Chodź!

— Wio-wio-wio! Wio-o! Pantieleju, nadażasz?

— Nadażę!... Ula-a, równiej zagrabiał!...

Z piersi żołnierki Aksinii śpiew sam się zerwał:

Przylgnęły do ciała zapocone koszule, krew czerwienią przepaliła twarze, nozdrza znużyły się wchłanianiem aromatu ziół, nabrzmiały wysiłkiem grzbiety, lecz ani jedna komuna nie ogłaszała przerwy. Nie chcieli się poddać, dawali swój wkład. Wreszcie krzyknął Artamon na swoich, że czas spocząć. Maszyny na innych parcelach też zaczęły milknąć.

• Matka, ruchaj się! Idziemy na obiad!

— To chodźcie! Trzy razy wołałam!

Pić! Przede wszystkim napić się zimnej, orzeźwiającej wody. Długo przy źródle myto się, pluskano, wstrząsano się od zimnej wody, za czym równie długo, rzeczowo, starannie, tak, jak pracowano, zajadano z ogólnego kotła uwarzone przez Darię jadło popijając z głośnym cmokaniem wiejski kwas. Po obiedzie step się uciszył. Ludzie pokładli się pokotem po komunach i spali, mimo bijących w głowy promieni rozżarzonego słońca. Gdy, człowiek łaknie snu, śpi nie zważając na nic. Lecz krótko przelewało się po trawie głębokie, modulowane chrapanie mężczyzn i posapywanie kobiet. Komuna zbudziła

się i znów warkot i trzask, i zgiełk pracy. Glebow w starym roboczym ubraniu zwinnie i sprawnie poruszał się p[^]zy wspólnej pracy. Zapomniał w zapale, że nie sam jest właścicielem, .tej łąki. Przypomni[^]ł sobie dopiero w nocy i długo nie mógł zasnąć, mimo że zmęczył się przy pracy. Przewracał się i stękał. ,

Z lasjcu dolatywały wabiące śmiechy dziewczęce, trele harmonii i dziarskie przyśpiewki chłopaków. Gdy noc otuliła ziemię dobrotliwą zasloną, młodzież odeszła co dalej od obozowiska. Rozkołysała tę zaslonę drganiem podnieconych głosów. Pary w krzakach ścisnęły się namiętnie, całowały się do bólu. Lecz gdy wionął chłód przedświt[^] i spędził z obozowiska senną omdłałość, gdy wstawali starzy, młodzi też nie spóźniali się. Szli do ciężkiej pracy i okrzykami upojenia i śpiewem chwalili minioną noc, młodością rozgrzaną. Klótnie przy pracy rzadko zdarzały się w komunie. Każdy zbyt cenił swoje korzyści, więc nikt się nie ociągał, by nie utracić ani jednej kopy siana. Raz tylko Sofron zrobił awanturę. Sofron tylko dojeżdżał do sianokosów i akurat, kiedy przyjechał, zepsuła się kosiarka. Konno pognął do kowala Sawośki.

— Migiem, chłopie, do kuźni!

— Dobryś sobie! Przecie w komunie podział wedle osób. Kto nie robi, to bez łaski!

— Ale co z naszą komuną bez maszyny?

— To koście kosami!

— Ja ci pokażę „kosami”!

Wściekł się, ale później pomiarkował: ma rację Sawośka. Jak tu pracy poniechać? Więc wyszedł rozkaz z komitetu wykonawczego: kowali zwolnić od koszenia i wyznaczyć im równy udział w sianie. Każdy dzień pouczał nowym zdarzeniem, wprowadzono poprawki i coraz pewniejszy siebie stawał się Sofron i ci, co jednej z nim byli myśli. Dzień po dniu zbliżał się koniec sianokosów. Nie sprawowali świąt, choć tęsknili do nich. Skapili sobie. Pracowali dla siebie..

Swary rozpoczęły się przy zwózce siana. Glebow woził swymi końmi wóz za wozem, zaś szkapina Artamona znużyła się. Więc skrobał się po głowie,

poglądał w zachmurzone niebo i wzdychał:

— Co ma człowiek robić? Nawaliło konisko! Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje!

Wańka powiedział do Sofrona:

— No i cóż, grabiliśmy i grabiliśmy to siano, a teraz co, oblizywać się mamy? Zaczną się deszcze, zgnije. Na własnych grzbietach nie da się wywieźć.

— Że też ciebie nie zapytaliśmy? Wiemy, zrobi się!

Nowy rozkaz spowodował wybuch tajonego gniewu bogaczy. Długo wykrzykiwali przed gminą, gdy ogłoszono, że konie w komunie też są wspólne, siano należy zwozić w kolejności do wszystkich zagród.

Sofron wyszedł na ganek:

— A wy wolelibyście po staremu? Ludzie się napracowali i żeby wszystko dla was? Nie, minęły już dawne czasy.

Poddali się. Tylko Pankratow, zamożny chłop z Tambowki, uszkodził swoje dwa konie. Zachorowały. Podpatrzyła to żołnierka Aksinia. Sprowadzono do koni konowała, zaś rodzinie Pankratowa cofnięto przydział siana. Próbowali i inni: w nocy ściągali siano z sąsiednich łąk do swoich komun. Tych jednak dobrze pilnowali chłopcy. Sofronowy Wańka, opalony i radosny, doglądał w swojej komunie kolejności zwózki.

— Hej, hej, obywatelu Glebow, nie szachruj. Konie dziś dla nas. Dokąd to skręcasz?

-4 Wiem bez ciebie, spryciarzu!

—Na spryt teraz jest pokup. Ale na kałduny to łąszczy się tylko rewolucyjny trybunał. Niech tylko kto wypuczy, natychmiast łapie!

—Uważaj, psiakrew, bo się kiedy doczekasz... Ani zipniesz! Nadtoś zręczny i obrotny!

—Nie wolno nam teraz nie być obrotnymi. Rozkaz. Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka. Dorozum się.

Zaswędziły ręce Glebowa, ale tylko splunął. W duchu jednak zadziwił się: cięty język mają teraz młodzi. Niby pieprzem okraszona ich smakowita rosyjska mowa cudzoziemskimi słówkami.

Od rana do wieczora skrzypią kopiaсте wozy siana na drodze. Kiwają

łbami koniska. ciągnąc je miarowym krokiem do zagród za parowem. Jakby się dziwiły, że stodoły, od lat do stogów tęskniące, dzisiaj są pełne. Bogaci bez uciechy przyjmują swe zarobione siano. Nowa miarka krzywdy za siano uciska duszę. Ale radośnie poklepuje krowinę żona Riedkina:

—Siano dzisiaj, Krasulo! N-no, stój! Sianko...

Riedkin leżał w łóżku od połowy sianożęcia i męczył się. Niewiele pracował w komunie; w polu dygotał podczas największych upałów, skamlał o ciepło. Ale zaliczono siano na jego rodzinę. Pewnego razu odwiedził Riedkina Artamon Piegich, przyjrzał mu się i rzekł w zamyśleniu:

— Może znowu nie zamrzesz. Należałoby ci się, aleś uparty. Wyglądało, że już na wiosnę umrzesz, ale się sprzeciwiasz. Nie wiem, nie wiem! Należy ci się, ale w ogólności, to nie wiem.

Żona również już dwa razy lament wszczyniała i potem przystępowała do ostatecznej gospodarskiej rozmowy.

— Zapomniałeś kuferka w mieście. Koniecznie trza wysłać An- toszkę. Przyda się dzieciom...

A Riedkin nie umierał. Rzeził, lecz śmierć odganiał. Pewnego razu Wańka przyprowadził do niego byłego bibliotekarza, Siergieja Pietrowicza. Pracował teraz w komitecie żywnościowym i przyjechał zebrać dane. Siergiej Pietrowicz ogromnie litował się nad Riedkinem, lecz nie powstrzymał się od wyrzutu:

— Widzisz, męczysz się i nie ma ci kto pomóc! Dlaczego odesłaliście doktora? Teraz okres bezprawia...

Riedkin tylko oczami zawrócił i wyrzeził:

—Zatrulby...

Zaś Wańka rzekł ostro, nie po dziecinnemu:

— Dla jednych bezprawie, ale innym za to prawa nadane. Przy takim życiu, jak było, niczego się człek nie nauczył. A ciemnota ma w sobie złość.

Siergiej Pietrowicz spojrzał na niego i zamilkł.

Wieczorem w domu Wańka raptem powiedział do ojca:

— Pamiętasz tego, co to w zimie z miasta przyjechał? Miał przecież rację: trzeba wieś skasować. Żeby była jak miasto, z maszynami. Ile to maszynami zebrano siana dla całej wsi!

Niepokój w powiecie tylko się przyczaił. Tajemnymi drogami dowiedzieli się niebiosnowianie, że Kozacy gotowi są ruszyć na bolszewików, ale tym razem z większą mocą. Powiadomili o tym bogatych gospodarzy w Tambowce. Glebow pojechał do kozackiej stancy na jarmark.

Podczas parafialnego święta, w dniu Eliasza proroka, cała wieś pijana spać się pokładła. Dziesięciu uzbrojonych ludzi otoczyło w nocnym mroku chałupę Sofrona. Sofron akurat był na podwórku. Usłyszał szelest.

— Kto tam?

Nie zdążył jednak krzyknąć. Zakneblowali mu usta i związali. Ujęto w ciągu tej nocy cały komitet wykonawczy. Kobiety, mimo wszystko, uczyniły alarm. Lecz bogaci chłopci tambowscy i niebiosnowiańscy z pomocą Kozaków dali sobie radę z osłabioną w ciągu ostatnich spokojnych miesięcy miejscową strażą. Wyłapano wszystkich przywódców bolszewickich.

Świtało za ledwie, gdy wywleczono związanych za wieś, na rozrachunek. Budzący się dzień powitał ludzkie kłębówisko łagodnym powiewem przedświt. Muskał włosy na głowach powiązanych. Jakby pięścił tego ostatniego dnia.

Rozrachunek zaczął chudy i poślizgi Żyganow:

— Cóż, Sofronie Artamonowiczu, wszystko komunami? Trzeba maszyny odbierać? Masz za kosiarkę!

Grzmotnął związanego Sofrona pięścią w twarz: trafił w oko. Błękit oka zalał się krwią. Sofron szarpnął się, ryknął. Głośnym echem odpowiedziało pole. Zaś Żyganow przewrócił Sofrona i ciężkimi buciorami zatańczył na jego brzuchu:

— Masz za grabiarke? Za mój dom. Masz za moją gospodarkę! Zbieraj zapłatę!

Sofron zemdlał. Pojewano go wodą. Potem dalej bito. Zbitych, storturowanych poustawiano i rozkazano:

— Teraz śpiewajcie swoją „Międzynarodówkę”!

Spośród dwudziestu dziewięciu ludzi pięciu tylko zaczęło:

— „Wyklęty powstań...”, • . i .

Lecz urwali. Sofron, żywy jeszcze, tarzał się po ziemi i krzyczał:

— Milczeć! Gady! Tchórze!

Wzeszło już upalne słońce, kiedy dwudziestu dziewięciu ludzi wrzucono do dołu kłocznego. Ośmiu żyjących jeszcze, poruszało się na trupach. Wszystkich zawałono ziemią.

Artamona Piegicha dopiero w południe znalazł ryży Kozak na gumnie w stogu siana. Wywłókł. Artamon potrząsnął siwymi włosami, jakby otrząsał z nich siano, i zapytał spokojnie:

— Powiadają, że Riedkinowi nie pozwolili dokwękać?

— Myśl o sobie! Zaraz cię dostarczę, stary kundlu!

— Ha, cóż! Chciałem jeszcze dla wnuków na ziemi się pokoła- tać, ale że się nie udało, to i dobra.

I patrząc ku wschodowi, przeżegnał się w wielkim skupieniu:

— Przyjmij, Panie i Ojcze, duszę bolszewika Artamona.

Bito go długo, ale jeszcze żywego wrzucono do dołu, pod wierzch napełnionego. Wyjęczał zdławionym, przerywanym głosem:

— Czyli że krwią zrosiliśmy... użyźniliśmy kosteczkami-i...

Kozak dobił go kolbą. Ciężarnej żonie Sofrona, Darii, wypatroszono brzuch. Płód rzucono świniom. Wyrżnięto rodziny bolszewików. Iwan Łutochin, prorok z Niebiosnowki, ocalał. Był w polu... Kiedy powrócił, zbito go tylko nahajami.

Sofronowego Wańkę uchronił los. Wyjechał do miasta przed dniem proroka Eliasza.

Tłumaczyła Maria Popowska

Marietta Szaginion
Przygoda damy z towarzystwa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mówią, że ciocia Liza wydała za granicą wspomnienia o hrabim Koko. To łatwiejsze z pewnością niż pisanie o sobie. Nie zamierzam pisać pamiętników, chociaż moje życie w ciągu ostatnich pięciu lat mogłoby posłużyć Balzakowi za temat jakiegoś fantastycznego opowiadania z epoki rewolucji — coś w rodzaju jego „Historii trzynastu”. Ale prześladowuje mnie myśl, że mój mąż żyje jeszcze (lub też wydaje mu się, że żyje, zgodnie z mniemaniem całej naszej współczesnej emigracji) i w pewnym sensie liczy również na moje istnienie. Chciałabym udowodnić, że są to zgola niuzasadnione rachuby. Opowiem po prostu o przebiegu wypadków, tak jak się toczyły i jak je przeżywałam. To go przekona, że mnie stracił — stracił całkowicie i na zawsze. · rit

Spędzaliśmy lato w majątku pewnego austriackiego dyplomaty, gdy wybuchła wojna. Nasi gospodarze, zresztą tak samo jak mój mąż, musieli już wcześniej spodziewać się wybuchu tej wojny. W każdym razie co najmniej dwa tygodnie przed tym toczyły się już rozmowy na temat przeniesienia dokądś pieniędzy, mnie również dano do podpisania jakiś papierek zaadresowany do „Credit Lyonnais”, a przy obiedzie była mowa o nadzwyczajnej przezorności i zapobiegliwości mego męża. Gdy przyniesiono nam „Extrablatt” o upadku Belgii pod napórem armii niemieckiej, która „dokonała zwycięskiego pochodu przez Europę z męstwem, godnym starożytnych Germanów” — po raz pierwszy uprzytomniłam sobie, że jesteśmy w jakiejś dziwnej sytuacji. Było mi żal Belgii i króla Alberta, z którym zeszłej wiosny zawarliśmy znajomość w Ostendzie. Wyobraziłam sobie, ilu Rosjan pójdzie i poszło już na wojnę z mej rodzinnej Izmajłówki, w której przyszłam na świat i spędziłam całe dzieciństwo. Nie-
spodziewanie ogarnęło mnie coś w rodzaju tęsknoty za Izmajłówką, za jej

polami, zagajnikami i cichą spokojną rzeczką zarośniętą szuwarami i liliami wodnymi. Zdumiały mnie porozumiewawcze, milczące uśmiechy, które wymienili między sobą mój mąż i dyplomata austriacki. Dyplomata wypowiedział potem niepojęte zdanie:

— Miał pan wyjątkowe szczęście, że spędził pan te dwa tygodnie u mnie!

A przecież ten Austriak był wrogiem naszej ojczyzny! Dlaczegoż więc ..mieliśmy szczęście” i czemu Walentin milcząco zgodził się z tym twierdzeniem?

Niemniej jednak należało śpieszyć się z odjazdem. Ten nasz wyjazd pozornie przypominał ucieczkę. Musiałam zostawić w Austrii pięć kufrów, tylko cztery udało nam się zabrać do Szwajcarii. Mój mąż pogardliwie wyrażał się o Zurychu, jako o mieście, w którym można spotkać się — według jego określenia — z wszelką „hołotą polityczną”. Ale na mnie wówczas, po fałszywej sytuacji w majątku austriackim. Zurych zrobił wrażenie dosyć miłego miejsca pobytu. Zbliżała się zima. Świeże, chłodne powietrze górskie było tak mało podobne do zwykłego powietrza miejskiego. W dzień targowy Zurych był zavalony włoskimi jarzynami i owocami; zewsząd, z małych restauracyjek i jadłodajni ..Alkogolfrei*” dolatywała woń gotowanej czerwonej kapusty. Prawie wszystkie hotele były przepełnione cudzoziemskimi uciekinierami. Rozchwytywano nawet pokoje w domach prywatnych. Przyjechaliśmy późno. Dlatego musieliśmy poprzestać na skromnym pensjonacie, zamieszkanym przez różnych Rosjan, przeważnie z kół drobnej burżuazji. Walentin oczywiście nie zawierał żadnych znajomości, a mnie się nudziło, dlatego zbliżyłam się z trzema panienkami, które podróżowały w celu studiowania języków obcych. Razem zwiedzałyśmy Zurych i jedna z nich, o najbardziej żywym usposobieniu, nauczyła mnie lubić wędrówki po nieznanym mieście.

— Proszę spojrzeć — mówiła, gdy wychodziłyśmy na jedno z przedmieść — czyż każde miasto nie ma własnego oblicza? Jedno przypomina starca, inne młodzieńca, jedno ma w sobie coś kobiecego, inne coś z podstarzałego lowelasa. A nasz Zurych robi wrażenie interesującego czterdziestoletniego mężczyzny, który umie bawić towarzystwo, nie zdradzając jednak przed nim swych tajemnic. Ma mnóstwo własnych, ukrytych przeżyć — czyż to choćby

nie jest przeżycie, o którym nie ma pojęcia żaden Baedeker?

Z tymi słowami zaprowadziła mnie na wysoko położoną, krętą ulicę, cieniastą, niezwykle malowniczą dzięki budynkom, przeważnie z czerwonego i szarego kamienia, w zachwycającym stylu cottageów angielskich — jedyna chyba w świccic architektura, która posiada dziś swój własny wyraz. Ulica ta była jak gdyby zagubiona wśród innych na jednym z wzniesień tego górzystego miasta. Zmieniała się co krok i odsłaniała coraz to nowe prześliczne zakątki.

W ten sposób poznawałam z moją przyjaciółką miasto, codziennie ukazujące swoje nowe oblicze. Ponadto przechadzki te były zawsze dla mnie pełne treści. Katarzyna знаła i lubiła sztukę, dużo czytała, umiała rozmawiać z kobietami. To ostatnie uważam za rzadki dar. My, kobiety, nie umiemy ze sobą rozmawiać, tak samo jak nic potrafimy dla samych siebie elegancko nakryć do stołu. Najładniejsza zastawa jest zawsze obliczona na gości. A dla kobiety, w każdym razie dla kobiety z naszej sfery, gościem, dla którego warto się starać, jest tylko mężczyzna. Znałam wiele rozumnych bardzo wykształconych kobiet, które w rozmowach pomiędzy sobą nigdy nie przejawiały ani rozumu, ani wiedzy. Za to w towarzystwie mężczyzny każda z nich stawiała się madame de Stael.

A więc za jedną z największych zalet mojej przyjaciółki uważałam, że umie rozmawiać ze mną poważnie. Nie bez powodu za początek moich niezwykłych przygód uważam datę zawarcia z nią znajomości.

Pewnego razu szłyśmy jedną z szerokich ulic w Jjowej dzielnicy. Było południe. Mimo późnej jesieni słońce przypiekało mocno i ten gorący, bezwietrzny dzień po długim okresie słoty przypominał muchę, która zbudziła się w grudniu. Zmęczone wędrówką i upałem wstąpiłyśmy do kawiarni i zażądałyśmy zimnej wody. Po sezonie w kawiarniach nie było już ani lodów, ani lemoniady.

Dokładnie naprzeciw kawiarni znajdował się most nad niżej położoną częścią miasta, a przed wejściem na most, po obu jego stronach, wznosiły się półokrągłe murowane nisze. Ocieniało je wielkie, rozgałęzione drzewo. A w dole, pod mostem, tuliła się garść domków, stłoczonych pod poszyciem z czerwonych dachówek. Domki były tak małe, że przypominały zgrabne

koszyczki lub artystyczne zabawki. Moja towarzyszka wskazała na nie kędzierzawą główką.

— Mówi się o zmierzchu architektury, o tym, że nasz wiek nie ma własnego oblicza architektonicznego. To prawda, że nasi najslynniejsi architekci, członkowie Akademii i w ogóle wszyscy o wielkich nazwiskach, są zupełnie pomyleni na punkcie staroświeckości. Gmachy państwowe wulgaryzują renesans, a budynki użyteczności fałszują empire i mnóstwo kiepskich rzemieślników przyrządza z nich bigos, ozdabiając je medalionami, rachityczną fasadą, banalnym rozwiązaniem tyłu domu, przyczepiając różne niedopasowane fidrygałki i nazywając tę pozbawioną smaku mieszaninę stylem moderne. A w gruncie rzeczy to wszystko nie jest bynajmniej typowe dla naszych czasów. Wyrazem dnia dzisiejszego są takie właśnie ulice. Niech pani spojrzy na podmiejskie okolice wielkich miast, na nowe europejskie dzielnice, zobaczy te kwitnące oazy, które zaczynają się pojawiać pod nazwą Flowers City (miasta-ogrody), niech pani zwiedzi choćby angielskie miasteczka prowincjonalne, a przekona się pani, jakie są założenia architektury naszego stulecia. Zmierzamy niewątpliwie do budownictwa pełnego wdzięku.

— Ale postęp w dziedzinie maszyn, pęd do monumentalności —próbowałam oponować dziwiąc się sobie, że latami przyzwyczajona do operowania zawsze tym samym, szczupłym zasobem słów, potrafię wymawiać takie zupełnie obce wyrazy.

— Zwykła argumentacja. Proszę się zastanowić, a dojdzie pani do wniosku, że samą panią biją te argumenty. Właśnie dzięki postępowi w budowie maszyn zmierzamy do piękna formy. Co to jest maszyna? Maszyna to minimum. Tak, dąży stale do tego, aby przy użyciu minimalnych środków osiągnąć swój cel. Proszę zajrzeć do starych książek i zobaczyć ilustracje przedstawiające dawne lokomotywy — sprzed pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat. Wydadzą się pani bardzo niezgrabne. I rzeczywiście takie były. Miały ciężką konstrukcję, obciążoną wielu zbędnymi szczegółami. A potem niech pani spojrzy, jaka śliczna jest nowoczesna lokomotywa. Minie jeszcze ze dwadzieścia lat i dzisiejsza lokomotywa może wyda nam się ciężka w porównaniu z nową, jeszcze lżejszą i zgrabniejszą. To samo dotyczy mieszkań

ludzkich. W Rosji wymierają drewniane przedmieścia, z Europy nadchodzi nowoczesna synteza betonu i kamienia, czarujący, lekki jak pudełeczko domek — cottage, który przyswoił sobie całą melodię architektury drewnianej — idealne mieszkanie człowieka przyszłości, bo przypomina kształtem nie tylko dom, lecz równocześnie jacht, samolot, omnibus pocztowy, willę... wszystko, o czym pani zamarzy. Człowiek przyszłości musi latać, pływać, jeździć, a nie się dzieć na miejscu i obrastać w piórka. Dziwna rzecz, że ludzie nie zdają sobie sprawy z nieopisanych uroków przyszłej architektury.

—A tu mamy przykład nieopisanego uroku sylwetki ludzkiej —•
przerwałam jej zniżonym głosem.

W czasie bowiem przemówienia mej towarzyszki ukazał się, idący od strony miasta w kierunku dworca, młodzieniec z ręcznym wózkiem. Był bez czapki, w koszuli z paskiem i nie wyglądał na Szwajcara. Twarz miał niemal purpurową, tak była rozpalona przez słońce, pociemniałe od potu jasne loki przylepiły się do czoła. Dopchał swój wózek naładowany bagażem podróжным do murowanej niszy, stanął w cieniu i przeciągnął się, z piersią naprzód, odrzucając w tył głowę i cofając łokcie. W tym geście, jak również w całej postaci tragarza było tyle wdzięku, że nie mogłam powstrzymać się od tej uwagi.

Moja współtowarzyszka natychmiast zwróciła głowę we wskazanym kierunku. Jakież było moje zdumienie, gdy tragarz, skończywszy potężne ziewnięcie, chwycił znów dyszel wózka i uśmiechając się do mojej przyjaciółki uklonił się jej życzliwie. Katarzyna uśmiechnęła się również i uklon, którym mu odpowiedziała, zawierał, jak mi się wydało, znacznie więcej szacunku niż pozdrowienia tragarza.

—Panno Katarzyno — zawołałam z oburzeniem — ma pani znajomości wśród czarujących tragarzy i nic pani o tym nie mówi. Gdzież nasza przyjaźń?

—Zapoznam państwa ze sobą, chce pani? — zaproponowała figlarnie.

Poczułam, że nie straciłam jeszcze zdolności rumienienia się. Doprawdy, wystarczy wyobrazić sobie mojego męża, gdybym tak idąc z nim spotkała na ulicy tragarza i musiała mu się odklonić!

—Nie chcę, ale pani musi mnie wtajemniczyć w tę sprawę.

Moja przyjaciółka siedziała zamyślona i zdawała się nie słyszeć mej pirošby. Nie nalegałam. Zapłaciłyśmy za wodę z sokiem i powędrowałyśmy ku miastu już prawie nie rozmawiając.

Nie wiem, czemu postać jasnowłosego tragarza chwyciła mnie za serce. Miał młodą twarz o jakimś drwiąco-patetycznym wyrazie — taki wyraz rzadko idzie w parze z młodzieńczością. Robiło wrażenie, że nie lęka się ani patosu, ani żartobliwej ironii. Krótki nos i krótka, bardzo piękna górna warga stanowiły cechy szczególne tej twarzy. Chociaż był tak chłopięcy z tą jakąś kocią zręcznością, było w nim coś, co budziło respekt, skłaniało do czujności. Siła wyrazu jego ust, mocny zarys czoła, uparta zmarszczka u nasady nosa zdradzały zbyt wiele pewności siebie i niezależności, aby się miało ochotę pogłaskać go jak kota.

Ochłodziłam w stosunku do Katarzyny. Byłam urażona, że mi nie ufa. Parę dni nic chodziłam z nią na spacer, ku wielkiemu zadowoleniu Walentina. Kłon uważał, że najwłaściwszym dla mnie zajęciem jest haftowanie atłasem.

Pewnego razu nic mogłam się jednak powstrzymać, zajrzałam do jej pokoju i zastałam ją przy czytaniu miejscowej gazetki rosyjskiej.

— Czyż doprawdy czytuje pani to paskudztwo! — zawołałam mimo woli.

— Dlaczego paskudztwo?

Pytanie było wypowiedziane z ironią. Poczułam się urażona.

— Bo... przecież oni używają nawet farby drukarskiej, która brudzi. Nie można dotknąć bluzki tą gazetą. A poza tym... wydają ją jakieś męty społeczne, przeważnie, o ile się nie mylę, socjaliści.

Katarzyna wybuchnęła śmiechem.

Proszę podejść bliżej, kochanie — rzekła i pociągnęła mnie za rękę / dziwną poufałością. — Bardzo się cieszę, żeśmy się nareszcie dogadały. Gdyby pani nie była taka urocza, dałabym pani dobrze po nosie i wyrzuciłabym za drzwi. Ale ponieważ ma pani dwoje ślicznych oczu i taką uduchowioną twarzyczkę, co może być zresztą wynikiem niezdrowego trybu życia lub gorsetu, i te rączki z obrazów włoskich mistrzów — spróbuję jeszcze z panią porozmawiać.

— Pani jest wstrętna, źle wychowana, oschłą kobietą, nie szanującą cudzych przekonań! Despotka!

— I na domiar złego socjalistką i komunistką — dorzuciła Katarzyna i całym spokojem.

To już było ponad moje siły. Zasłoniłam twarz chustką do nosa i wybiegłam do swego pokoju. Tam dopiero rozplakałam się naprawdę. Katarzyna jest socjalistką! Cóż za rozczarowanie! Kto by to pomyślał! — ma takie stare, szlacheckie nazwisko i sama... ani trochę na to nie wygląda.

Gdy zasiedliśmy do obiadu w naszym saloniku, nie mogłam się powstrzymać i powiedziałam mężowi:

— Wyobraź sobie. Willi, okazało się, że Katarzyna jest socjalistką.

Walentin wzruszył ramionami:

— Chyba cię dostatecznie ostrzegałem, moja droga. Teraz sama musisz znaleźć sposób, aby przestać się jej kłaniać.

Poczułam natychmiast znany mi już w ciągu dwóch lat małżeństwa odruch protestu.

— Dlaczego mam się jej nie kłaniać?

Walentin odsunął talerz i spojrzał na mnie. Przedziałek na głowie zaczynał mu się niemal od nasady nosa; włosy rozczesane na obie strony starannie zasłaniały łysinę. Patrzył spod zmrużonych powiek i, trzeba stwierdzić, że wyraz jego oczu był bardziej ptasi niż ludzki (mam nadzieję, że mój mąż nie obrazi się za to określenie). Wytrzeszczył oczy ze szczerym zdumieniem.

—* Jak to? — pisnął i zakrztusił się. — Zamierzasz przestawać z nią nadal sam na sam, spacerować i całować się, mimo że jest socja- listką?

Prawdę mówiąc, wcale nie zamierzałam. Zupełnie nie orientowałam się w tych sprawach i pragnęłam rozważyć je w samotności. Ale w tej chwili wstąpił we mnie jakiś demon i wykrzyknęłam wbrew wszystkim zasadom dobrego tonu:

— Tak, tak, tak, tak, tak!

Mąż wstał w milczeniu, złożył serwetkę i wyszedł. Zjadł obiad w restauracji. Była to pierwsza poważniejsza sprzeczka w naszym życiu.

Poszłam do swojego pokoju i nie wiedziałam co robić. Książki były nudne,

haft przypominał mi przedziałek na głowie męża; nie mogłam w takim stanie pisać listów do przyjaciół. Usiadłam na kanapie i ścisnęłam głowę rękami. W tej chwili zastukano do drzwi.

„Nie otworzę za skarby świata” — pomyślałam i otworzyłam.

Do pokoju weszła Katarzyna, bardzo poważna, bez uśmiechu i popatrzyła na mnie badawczo. Odwróciłam się w najgłępszym pod słońcem stanie ducha. Miałam ochotę albo pobić się z kimś, albo popłakać.

— Droga pani Alino — powiedziała Katarzyna swoim dawnym, przyjaznym tonem — czuję się naprawdę winna wobec pani. Nie wzięłam pod uwagę pani środowiska ani wychowania. Kiepska ze mnie agitarka. Pogódźmy się i spróbujmy wspólnie rozważyć, jakie jest źródło różnic w naszych poglądach, chce pani?

Nie mogłam się jej oprzeć. W tej chwili była mi dziesięciokrotnie bliższa niż wszyscy moi krewni razem wzięci, nie wyłączając męża. Długo siedziałyśmy na kanapie i rozmawiałyśmy na różne tematy. Mówiła mi rzeczy, które później czytałam w każdej niemal książce czy broszurce. Ale wówczas były to dla mnie rzeczy zupełnie nowe — zagadnienia społeczne, ekonomiczne i polityczne związane z wojną i ustosunkowaniem się do niej.

Sama rozpoczęłam tę rozmowę. Obudzone przez Katarzynę wewnętrzne niezadowolenie z siebie uważałam w owej chwili za protest przeciw niesłusznym, niesprawiedliwym oskarżeniom, których nikt, co prawda, nie wypowiedział. I w obronie własnej zaatakowałam niezwłocznie moją przyjaciółkę.

— Najgorsze z tego wszystkiego — zaczęłam walczyć ze łzami rozżalenia — najgorszą, najstraszniejszą rzeczą jest to, że pani zdradza ojczyznę. Prowadzimy wojnę, Niemcy są potężne, i w takiej chwili pani siedzi na obczyźnie, krytykuje rządy w Rosji, robi intrygi przeciw carowi, który wyteża wszystkie siły w walce! Jak się to nazywa — tak zwyczajnie, po ludzku?

— Cóż za zamęt — odparła Katarzyna z westchnieniem. — Żeby pani łatwiej było zrozumieć, że jest w błędzie, porównam pani sytuację z moją. Pani i pani mąż również siedzicie na obczyźnie. Prawdopodobnie mąż pani na wszelki wypadek przeniósł już swoje kapitały do banków państw

neutralnych — zdumiewający dowód patriotycznego zaufania do ojczyzny. Ani pani, ani on nie macie zamiaru brać udziału w wojnie: pani zajmuje się sprawianiem sobie nowych strojów, a pani mężulek przelewa z pustego w próżne. Niedawno przebywaliście oboje w gościnie u przedstawiciela rządu wrogiego Rosji państwa i zdaje się, że nie zerwaliście z nim stosunków. W czym w gruncie rzeczy przejawia się państwa patriotyzm? Czy w tym, że wnuki chłopów pańszczyźnianych z waszej wsi pójda ginąć pod niemieckimi kulami, gdy pani kupuje sobie nowe suknie na zimę?

Zacisnęłam zęby i zapytałam z pozornym spokojem:

— No, a pani?

— Moja sytuacja i sytuacja moich towarzyszy jest następująca: jesteśmy na obczyźnie, bo wypędził nas z Rosji ustrój polityczny najbardziej nikczemny i zacofany w Europie. Walczymy z tym ustrojem, który gnębi naród rosyjski, gnębi wszystko, co jest w nim postępowe i utalentowane. Chcemy obalić ten ustrój. I mamy nadzieję, że klęska w tej wojnie — a klęska jest nieunikniona — zrodzi jawny wybuch gniewu ludu, rewolucję. Takie jest nasze stanowisko.

—Ale czego w końcu chcecie? Republiki? Czy w republikach ludzie są szczęśliwsi niż u nas? Czy w republikach jest mniej głodnych, wydziedziczonych, uciśnionych?

—Republika jest bardziej postępową formą rządów, wciąga więcej ludzi do życia politycznego. Staje się dla nich szkołą i stwarza lepsze warunki walki. Ale republika burżuazyjna nie jest naszym celem ostatecznym. Walczymy o to, aby stosunki kapitalistyczne zastąpić socjalistycznymi.

W tym miejscu Katarzyna bardzo szczegółowo, starając się używać prostych terminów, wyjaśniła mi, co to znaczy. Czy myślałam kiedykolwiek w ciągu mego krótkiego życia o tych niezliczonych masach ludzkich żyjących poza granicami świata, nazywanego „towarzystwem”? Czy wiedziałam, o tym, że ten świat niewidzialny dla mnie, nieoświetlony jak większa część tarczy księżycy w pierwszej kwadrze, że właśnie ta część ludzkości produkuje wszystko, co nam potrzebne do życia, od chleba poczynając, a kończąc na przedmiotach zbytku? A to jest przecież ludzkość, która tworzy historię. Dlategoż skazujemy ją na ciemnotę, poniżenie, nędzę, na wyniszczenie

podczas wojen, pozbawiamy ją możliwości nauki, leczenia, odpoczynku, prawa rządzenia na ziemi?

W ten sposób podeszła do tematu Katarzyna, pamiętając prawdopodobnie o moim kompletnym nieuświadomieniu w sprawach ekonomii i polityki.

Ale właśnie takie podejście umożliwiło mi znalezienie mych własnych, szczególnych kontrargumentów. W pierwszej chwili, co prawda, ukrywałam, że to nie są właściwie moje argumenty, jednak podawałam je za swoje. Latem poznaliśmy w majątku dyplomaty pewnego modnego teozofa austriackiego i słuchaliśmy wieczorami jego wypowiedzi jak śpiewu słowika. Przemawiał pięknie, z uczuciem. Słuchając go, łykaliśmy podchodzące do gardła łzy rozczulenia i oczyszczaliśmy się moralnie. Zaczęłam teraz wyklądać mojej przyjaciółce teorii tego teozofa.

— Mówi pani: nieoświetlona tarcza księżyca. Ale przecież cała literatura światowa nie robi nic innego, tylko oświecla tę część ludzkości. Dickens, Turgieniew, Zola, Czechow, Tolstoj, Dostojewski... ukazują nam cechy ludzi z tego świata, cechy, które nadało im ich ciężkie życie, cierpienia i głód. Jakież to piękne, wzruszające cechy! Sztuki piękne odtwarzają je, budząc w nas równie piękne uczucia —

litość, współczucie, świadomość swej winy wobec nich. rozczulenia ich prostotą i pokorą, chęć okazania im pomocy, sprawienia ulgi w ciężkiej doli. Następuje wymiana duchowa najwyższych wartości moralnych, jakby działanie magnesu biegunów ziemi, to, co nazywamy humanizmem chrześcijańskim. A jeżeli sobie wyobrazić...

— Jeżeli sobie wyobrazić — śmiejąc się przerwała mi Katarzyna — że głodni będą nasyceni, pokorni stracą cierpliwość, milczący krzykną wielkim głosem, lud pracujący poderwie się i przepędzi precz nierobów, krwiopiców i pasożytów, a wasze „towarzystwo”, stanie się małym sierpem tarczy księżycowej, odchodząc w cień i niebyt. natomiast świat pracy wypłynie w postaci jasnej tarczy księżyca, nadejdzie wreszcie czas pełni. Cały świat stanie się komunistyczny i niby wielka kula będzie unosić się na falach eteru siejąc blask dokoła — czy wtedy zdaniem pani humanizm musi zginąć, bo nie będzie już nic, co mogłoby rozczulać i wzruszać otłuszczoneą wątrobę pasożytów? Czy tak?

Umilkłam z obrażoną miną. Moja przyjaciółka umyślnie nie chciała mnie zrozumieć, świadomie przekręciła, skarykaturowała moje słowa. Niech i tak będzie.

Ale Katarzyna zdawała się widzieć wszystkie myśli, które przelatywały mi przez głowę. Przestała się śmiać, wzięła moją rękę i obróciła mnie twarzą ku sobie. Oczywiście poważnie, bez cienia ironii, wpatrywały się w samą głąb moich oczu.

— Pani sama tego nie wymyśliła, tych wszystkich subtelnych wywodów. Z pewnością wstydzi się ich pani w tej chwili. Czyż doprawdy pani tak nisko ceni człowieka, najdoskonalszy twór natury, że nie wyobraża pani sobie, iż humanizm mógł powstać inaczej, niż jako rezultat nędzy i cierpień ludzkości? Czy po to, aby móc być humanitarnym potrzeba utrzymywać dziewięć dziesiątych ludzkości w nędzy i głodzie? Czyż pani przestanie być dobrą, współczującą, wielkoduszną, szczerą, kochającą, gdy wszyscy dokoła pani będą syci, wykształceni, zrównani w prawach, szanowani, pełni godności własnej? Niech się pani zastanowi.

— Nic wiem — odpowiedziałam — czy humanizm będzie wtedy potrzebny i jaki będzie.

— To jest uczciwa odpowiedź. Powiem pani, jaki będzie wówczas humanizm. Nic samolubny, bo wasz humanizm chrześcijański jest jednak samolubny i egoistyczny. Nasz humanizm powstanie i rozwine się dzięki ukochaniu tego, co jest w człowieku najlepsze, najpiękniejsze. Jego siły twórczej, dumy, władzy nad przyrodą, szacunku dla bliźnich, opanowania własnych wad i namiętności. Kochamy w ludziach szczerą, prostotę, czystość i szlachetność, bezgraniczną śmiałość myśli i bezgraniczne poświęcenie dla ludu i całej ludzkości. Oto z czego się narodzi i czym będzie żył nasz nowy humanizm, humanizm przyszłych pokoleń.

Mówiła z takim zapalem, że zamilkłam. Tego dnia stałyśmy się sobie bliższe niż dawniej. Powiedziałam jej o tym, gdy wychodziła. Dotknęła palcem mego podbródka i uśmiechnęła się.

— To dlatego, że jest pani jeszcze dzieckiem i umie mówić jak dziecko — bez ukrytych myśli i szczerze. Nie zdołali pani jeszcze ostatecznie zepsuć.

Nadeszła jednak chwila, gdy musiałam przekroczyć próg sypialni. Prawdę

mówiąc bałam się Walentina. Uchyliłam drzwi, zajrzałam do wnętrza i, nie widząc nikogo, z ulgą wbiegłam do pokoju. Natychmiast zatrzaśnięto za mną drzwi. Mąż stał w cieniu portiery. Spoglądał na mnie z obłądą dobrze wychowanego człowieka. Zagadnął mnie po francusku:

— Moja droga, te twoje kaprysy... A może... Czy nie jest to przypadkiem... hm... wynikiem pewnych nadziei...

— Absolutnie nie — odparłam gniewnie. — Proszę mi nie dokuczać. Pytasz o to dwadzieścia razy dziennie, jakbym była barometrem, a tobie chodziło o pogodę.

— W takim razie nic nas nie zatrzymuje. Jutro o drugiej wyjeżdżamy do Rzymu. Zamówilem już bilety.

—3 Skoro zamówiłeś, to nie ma o czym mówić. Zadzwoń po Annele, niech pakuje rzeczy.

Odwróciłam się do niego plecami i zaczęłam się rozbierać. Jakże nikczemną formą niewolnictwa jest małżeństwo w naszej sferze! Przygryzłam wargi — w tej chwili uświadomiłam sobie, aż nazbyt wyraźnie, jak dalece zostałam przekonana w ciągu paru ostatnich dni. Było mi bardzo ciężko na sercu — z żalem myślałam o porzuceniu Zurychu, o rozstaniu z Katarzyną, o tym, że stracę możliwość zobaczenia i usłyszenia rzeczy, które były czymś więcej niż to, co znałam już jak abecadło.

Wczesnym rankiem pobiegłam do mej sąsiadki i ze łzami w oczach zawiadomiłam o wyjeździe. Katarzyna rozłożyła ręce:

— Nie mogłaby pani porzucić tego strusia?

Natychmiast jednak pożałowała tych słów i chwyciła mnie w objęcia; wyraz mej twarzy zdradził jej zapewne, że przebrała miarę. Struś! Willi, jeżeli teraz, na emigracji czytasz te słowa, wiedz, że w owej chwili poczułam się szczerze dotknięta w twoim imieniu. Co prawda struś ma małą głowę i ty, wybacz mi, proszę, również, struś mruży oczy tak samo jak ty, struś ma zwyczaj chować głowę w piasek

—i emigranci podobno też. Wówczas jednak nie byłeś jeszcze emigrantem, ale byłeś moim mężem. Poczułam się do głębi obrażona.

—No, trudno, skoro nic nie możemy na to poradzić, zrobię pani na zakończenie przyjemną niespodziankę. Niech pani powie, czy chciałaby pani

pomóc znajdującym się tu w potrzebie Rosjanom?

Skinęłam głowę.

—Nawet, jeżeli to są socjaliści?

Skinęłam po raz drugi, uśmiechając się mimo woli.

—No, to niech pani nie bierze samochodu ani tragarzy. Niech pani zamówi w czytelni rosyjskiej wózek ręczny i zespół studentów rosyjskich doskonale dostarczy państwa bagaże na dworzec. Zgoda? Przy okazji zapozna się pani z młodzieńcem, który panią tak zainteresował.

—Więc on jest rosyjskim studentem?

—Jest studentem rosyjskim — rzekła figlarnie moja przyjaciółka. — Już po zmartwieniu, życie panią znowu interesuje? No, to świetnie, tylko niech pani nie będzie zbyt lekkomyślna i przyrzeknie, że będzie do mnie pisać.

Wstała, włożyła kapelusz, płaszcz i poszła do rosyjskiej czytelni, aby zamówić tragarza. Z uczuciem bólu i ciekawości zarazem wróciłam do swoich czterech kufrów i rumianej Annele. Ściśle mówiąc, waliz było więcej — w Zurychu przybyła jeszcze piąta i szósta; pomyślałam o tym tylko w związku z ich wagą i przewidywaną zapłatą tragarzowi.

Punktualnie o pierwszej portier zameldował, że przyjechali po rzeczy. Willi, ku memu wielkiemu zadowoleniu, siedział właśnie w czytelni. Zawołałam Annele, i bez żadnej potrzeby zeszłam na dół, spoglądając po drodze przelotnie na swe odbicie w lustrze.

Jasnowłosy młodzieniec był na dole. Stał przed lustrzaną szybą drzwi, ubrany tym razem w brązowy sweter. Jego kędzierzawe włosy były starannie podstrzyżone, wzniesiona górna wargę odsłaniała drobne jak u wiewiórki zęby. Robiło wrażenie, że strasznie chce mu się śmiać. Spojrzał na mnie wyraźnie rozbawiony. Spuściłam oczy.

„To bardzo niedobrze, że rosyjskim studentom nie zaszczepia się dostatecznego szacunku dla kobiet — przeleciało mi przez głowę.

—Powinno się brać przykład z Ameryki. Tam też są górnicy i Amerykanki z towarzystwa, i nawet zakochują się w sobie i żenią, ale górnik zawsze, nawet po pijanemu, jest pełen szacunku... oczywiście, jeżeli wierzyć Bret Harte'owi. A poza tym górnik w Ameryce może zostać prezydentem...”

Portier przerwał nić moich rozmyślań pytając ze zdumieniem:

— Czy madame rozkaże pójść po rzeczy?

— To pewnie będzie z półtora tuzina kufrów, osiem tłumoków i dwadzieścia jeden pudeł na kapelusze — odezwał się beztrząsco młodzieniec pięknym językiem rosyjskim.

— Zgadł pan — odparłam pogardliwie — w przeciwnym wypadku nie potrzebowalibyśmy tra-ga-rzy.

Wypowiedziawszy to słowo z całym naciskiem, pełna wzbierającego gniewu, odwróciłam się i poszłam na górę, przeklinając w duchu i siebie, i Katarzynę.

Sprawczyni mego upokorzenia stała na górnym podeście, przed drzwiami swego pokoju. Musiała widocznie widzieć i słyszeć wszystko, co zaszło, bo jej szare oczy, gdy spotkały się z moimi pełne były śmiechu. Odsunęłam jej ręce, wyciągnięte do uścisku.

— Wyrafinowani intelektualisci! — zaatakowałam ją gwałtownie. — Czy zdajecie sobie sprawę z własnego braku konsekwencji? Wczoraj była pani łaskawa zaszczyścić mnie poważną rozmową dlatego tylko, według pani własnych słów, że jestem śliczna i mam rączki jak z włoskiego obrazu. Każdy mężczyzna, nawet najmądrzejszy, z pewnością widzi swój poetyczny ideał nie w postaci ostrzyżonej dziewczicy w bawełnianej sukni, lecz w postaci eterycznego zjawiska o bladym owalu twarzy. A zapominacie przy tym, że tę eteryczność osiąga się przy pomocy batystów, gazy, walansjenek, krepdeszynu, pudru, kremu, perfum, karbówek, gorsetu, manicure, węzetału, a to wszystko wymaga kufrów, kufrów, kufrów... Gdzie tu logika? Więc bardzo proszę, nie podziwiać, nie stwarzać...

— A niechże pani nie hałasuje na schodach, gdzie może panią usłyszeć portier albo, nie daj Boże, mąż. Powiem pani na pociechę, że największa przyjaźń zaczyna się często od kłótni. Nawet Nietzsche doradzał wejście do towarzystwa rozpoczynać od pojedynku. Proszę wstąpić do mnie, chcę pani powiedzieć parę słów na pożegnanie, bo naprawdę bardzo się do pani przywiązałam, moje biedne zjawisko eteryczne...

Pociągnęła mnie za sobą, ale los nie pozwolił, aby nasza rozmowa doszła do skutku. Za nami rozległy się kroki mego męża. Mimo woli odsunęłam się

od mej przyjaciółki, natychmiast się tego zawstydziłam i zauważyłam, że zdążyła spostrzec i jedno i drugie. Jakże potrafimy czasem być przenikliwi! Najczęściej zdarza się to, gdy jesteśmy z siebie niezadowoleni.

Słowem tak się złożyło, że Katarzyna sama weszła do swego pokoju, a ja musiałam znieść długie spojrzenie Walentina, rzucone spod zmrużonych powiek. Mąż mój trzymał na dłoni swój mały damski zegarek z olbrzymim brylantem na pokrywce — dar od pewnej koronowanej osoby.

— Alinę, byłem już w biurze i uregulowałem rachunki. Jeszcze nie jesteś ubrana? Sądzę, że zdążylibyśmy zjeść obiad w hotelu Bauera.

Jak zwykle tryb warunkowy w ustach mego męża oznaczał, że sprawa została już przemyślana i zdecydowana. Wiedziałam o tym, i pozostawało mi tylko ubrać się, osłonić twarz szafirową woalką i pojechać z nim do hotelu Bauera — do nudnego, starego hotelu, ponurego, odrapanego, pełnego zreumatyzowanych Anglików, starych wdów, dyplomatów i wyróżniającego się spośród innych lokali tylko tym, że był bez żadnego uzasadnienia o wiele droższy.

Gdy samochód przywiózł nas na dworzec, zobaczyłam wózek ręczny, drwiący uśmiech tragarza i nasze rzeczy ułożone starannie jedno na drugich na stopniach schodów. W tej chwili uprzytomniłam sobie z przerażeniem, że zapomniałam przygotować pieniądze. W torebce miałam tylko jeden banknot tysiącfrankowy. W pierwszej chwili miałam zamiar poprosić męża o pieniądze. Odwróciłam się i nagle zobaczyłam jego brwi, wzniesione tak wysoko, że dotykały niemal wy lakierowanego przedziałka. Mąż patrzył na nasz bagaż.

— Przepraszam, cóż to znaczy? Wzięliśmy taksówkę, a bagaż wyprawiliśmy wózkiem ręcznym? Gdzie miałem głowę, jak mogłem zapomnieć o naszych rzeczach? Alinę, oboje zaczynamy zdradzać objawy rozstroju nerwowego.

Szofer zastukał w latarnię, zwracając uwagę, że zatrzymujemy samochód. Mąż wyskoczył z taksówki i przystąpił do regulowania należności, wciąż jeszcze pod wrażeniem tego, co zaszło. Nie czekałam na niego i nade wszystko w świecie pragnąc uniknąć wszelkich pytań, zgarnęłam fałdy płaszcza i pobiegłam w stronę tragarza, nie zwracając uwagi

na otaczającą nas publiczność. Miałam parę wolnych chwil, dopóki mąż stał odwrócony do mnie plecami i czekał na wydanie reszty. Niemniej jednak chwyciłam tragarza za rękaw i pociągnęłam go w załamanie muru, gdzie mogliśmy zamienić parę słów nie zauważeni, nie tracąc równocześnie z oczu mego męża.

— Jestem panu bardzo wdzięczna — powiedziałam zadyszana.

— Niech pan pozdrowi ode mnie Katarzynę i wyrazi jej mój żal, że nie zdążyłam się z nią pożegnać jak należy. Napiszę do niej na pewno. A to niech pan będzie łaskaw przyjąć za swoje usługi...

I nie namyślając się dłużej, wyciągnęłam mój banknot tysiącfrankowy i wręczyłam go młodzieńcowi. Tragarz wziął asygnatę, spojrzał na nią i powiedział:

— Oho! Proszę chwilę poczekać.

Wyjął jakąś książeczkę, napisał parę słów, wyrwał kartkę i podał mi. Równocześnie przyglądał mi się z zainteresowaniem i, jak mi się wydało, z sympatią.

— Aline, Aline! — zawołał mąż szukając mnie w tłumie. — Gdzie jesteś?

— Jeszcze słówko — dodał pośpiesznie młodzieniec. — Katarzyna dopędziła mnie i dała mi ten list dla pani. Wszystkiego najlepszego, wołają panią. Niech pani kłania się Rosji ode mnie.

Wsunął mi w rękę niebieską kopertę, przyłożył dwa palce do czapki i szybko zbiegł ze schodów.

Z kopertą i papierkiem w ręku, trochę oszołomiona własnym postępowaniem, dopędziłam męża. Krztał się już przy naszych rzeczach wraz z dwoma barczystymi numerowymi z dworca. Rzucił mi przelotne spojrzenie, wziął mnie pod rękę i wprowadził na peron. Dopiero gdy zajęliśmy już miejsce w przedziale, uprzytomniłam sobie wszystko, co zaszło. Przyznaję się ze skruchą do uczucia przykrości, że jasnowłosy młodzieniec przyjął ode mnie taką sumę. Było to wrażenie przesłaniające wszystko inne. Mężczyzna, który bierze pieniądze od kobiety, nawet nie wzbraniając się, nie protestując! To nie był postępek dżentelmena. Machinalnie podniosłam do oczu paperek, żeby zobaczyć, co też mi takiego napisał. Okazało się, że kartka jest formalnym kwitem, z numerem i pieczęcią.

„Przyjęto od pani Zworykinej 1000 (tysiąc) franków na praso- wo- wydawniczy fundusz partii...”

Zamiast podpisu była pieczęć jakiegoś komitetu. Nie zdążyłam jeszcze obejrzeć dokładnie kartki, gdy wypielegnowane palce męża zręcznie, chociaż uprzejmie wyciągnęły mi ją z ręki.

Spodziewałam się burzy. Chwila milczenia — i nagle wybuch śmiechu. Śmiech z tej małej, ptasiej krtani, śmiech taki, że zagłuszył nawet miarowy stukot kół.

— Och, och, mais c'est fameux! Kiedyś ty zdążyła? Moja własna żona — i socjaliści! Ofiarować tysiąc franków, podczas wojny, gdy musimy się ograniczać, na... och, nie mogę... na nędzną gazetkę podkopującą nasz ustrój! Że też można wpaść na taki pomysł! Świetny kawał. Będę o tym opowiadał w Petersburgu...

Śmiał się. Potem otarł kąciaki oczu, powachlował się chusteczką i przybrał poważny wyraz twarzy.

— Nie robię ci wyrzutów, Aline, chociaż popełniłaś szaleństwo. Byłem pewny, że te znajomości do czegoś podobnego doprowadzą. Dzięki Bogu, że nie stało się nic gorszego. Mogło się to skończyć tragedią, skandalem, jakąś nieprzyzwoitością. Wywiozłem cię stamtąd i życzę sobie, aby to był koniec... Jedziemy do Rzymu; a propos — nie zainteresowałaś się nawet, dlaczego właśnie do Rzymu? Postanowiłem dać ci odpowiednie towarzystwo kobiece. Moja siostra Babet- ta jest w Rzymie, dowiedziałem się o tym wczoraj, będziecie więc razem. Możecie sobie spacerować, ile będziecie chciały, możecie filozofować, wyrzucać pieniądze, ale w każdym razie w swojej sferze. Proszę cię, abyś nie narażała na szwank mojej godności.

Ostatnie zdanie wyrwało mu się szczerze i sędzę, że wbrew woli, z nadto odsłaniało całą jego istotę. Niewielkie doświadczenie życiowe zdążyło mnie już nauczyć, że dla mężczyzny najważniejszą sprawą jest próżność. W średniowieczu, w epoce rycerstwa, nosiła prawdopodobnie nazwę „honoru”. Ale sędzę, że dziś po prostu nazywamy to „godnością”. Jest to zagadnienie związane ze wszystkimi przesadami naszych czasów i polega na tym, że mężczyzna każdą rzecz przyjmuje nie po prostu, lecz ustosunkowuje się do niej, jak pan życia.

Nie protestowałam, ani się nie usprawiedliwiałam. Zniosłam spokojnie kilka umizgów. Zjadłam czekoladkę, którą włożył mi w usta, nabiłam mu angielską fajkę. A potem poszłam do toalety, żeby przeczytać list Katarzyny.

„Droga moja Saszo! (Nie chcę nazywać pani imieniem odpowiednim dla pieska!) Oto, co pani powiem na pożegnanie. Najwyższe dobro w życiu i największe zło — pochodzi od ludzi. Niech pani szuka ludzi, którym mogłaby pani zawsze mówić prawdę. To są ludzie najwyższej miary. Przy nich człowiek staje się lepszy i osiąga cały dostępny mu stopień doskonałości. Ludzie, którym trzeba kłamać lub mówić półprawdy, przy których trzeba udawać, stanowią największe zło w naszym życiu. Niech pani ucieka przed nimi, kimkolwiek byliby dla pani. Pani mąż nie dlatego jest zły, że przypomina strusia i że pani go ani troszkę nie kocha, ale dlatego, że w stosunku do niego trzeba kłamać, udawać, szukać wykrętów i nie można z nim inaczej postępować.

Całuję panią. Proszę do mnie pisać na stary adres.

K.”

Schowałam list za stanik i wróciłam do męża, zdając sobie sprawę, jak bardzo słuszne są słowa tego listu. Ale lękałam się przyszłości, nie pragnęłam żadnych decydujących zmian, nie chciałam nawet zastanawiać się nad nimi. W ten sposób zaczął się szereg mych przygód.

ROZDZIAŁ DRUGI

Babetta, siostra mego męża, miała czterdzieści lat. Wcześniej wydano ją za mąż, za obywatela ziemskiego, pochłoniętego bez reszty cegielnią, fabryką wyrobów garncarskich, torfowiskami, produkcją mydła i hodowlą rasowych kur. Po kilku latach pożycia małżeńskiego Babetta zaczęła tyć i leczyć się z bezpłodności u różnych lekarzy, póki nie wybrała sobie jednego, Ukraińca Tkaczenkę, który został jej stałym lekarzem domowym.

W jego towarzystwie, jeżeli mężowi czas nie pozwalał, jeździła latem do wód, na kurację. Z nim też razem utknęła w Rzymie. Tkaczenko należał do grona jej stałych oficjalistów. Zawsze mnie dziwiło, dlaczego Babetty nie brano na języki, cokolwiek by robiła. Aż kiedyś powiedziała mi sama:

—Człowiek zawsze sam pierwszy sądzi swoje postęпки, sam na swój temat plotkuje. Nidy w życiu nie spotkałam jeszcze kobiety, która nie narobiłaby

na siebie plotek, jak ostatnia idiotka.

Spędziwszy młodość na wsi z ordynarnym i nędznym, lecz bardzo aktywnym człowiekiem, Babetta nabrała szorstkich, czasem wulgarnych poglądów, mówiła nadwożańskim akcentem, nigdy nic nie czytała, szczerze gardziła inteligencją i wiedzą książkową, wierzyła tylko w pieniądze i dobrze wiedziała, czego chce. Skąpa, jak wszyscy ludzie wychowani na wsi, Babetta chętnie jednak sięgała po portmonetkę, gdy jej się coś spodobało. Stworzyła sobie powiedzonko, że „w Rosji tylko pluskwa jest nieprzekupna”, i uzasadniała je w rozmowie:

—Wyszukam państwu najpodlejszą sukę, przywiążę jej do obroży dwadzieścia pięć tysięcy posagu — i możecie mi w gębę plunąć, jeżeli się nie znajdzie mężczyzna, który się z nią ożeni. A pluskwa to co innego, pluskwy się nie przekupi. Czy jesteś biedny, czy bogaty, będzie cię gryzła, póki się nie nasyci.

Tylko raz w życiu spotkała ją impertynencja. Kiedyś, w towarzystwie innej bogatej obywatelki ziemskiej znad Wołgi, pojechała latem do małego górskiego uzdrowiska. Były tam śmiertelne nudy, obie damy umierały z tych nudów.

—Co pani chce, jeżeli jedyną tutejszą atrakcją są geometrzy — vzdychała przyjaciółka.

Geometrów było tam rzeczywiście wielu, gdyż przeprowadzano prace pomiarowe. Na każdej ścieżce można było napotkać ich długie tyki, plansze i inne mądre instrumenty.

Pewnego razu Babetta, zauważywszy przystojnego młodzieńca, powiedziała do przyjaciółki, nie specjalnie głośno, ale również niezbyt cicho:

—Proszę spojrzeć, jaki przystojny. Niech mu pani kupi z pół tuzina zmian bielizny i gamiturek, nie będzie to pani drogo kosztowało, a lato jakoś się spędzi.

Geometra podszedł do niej blisko i... w tym miejscu mąż przerywał zwykle opowiadanie, twierdząc że dalszy ciąg jest całkiem nieprzyzwoity, ale Babetta podejmowała je sama i kończyła nie rumieniąc się:

— I podstawił mi figę pod nos.

Nie wynika z tego bynajmniej, że Babetta odznaczała się godną pochwałą

prawdomównością. Nie można było wierzyć ani jednemu jej słowu. Najchętniej rozwodziła się na temat swego cnotliwego życia, nieprzebranej cierpliwości, niewdzięczności bliźnich.

Z taką kobietą miałam obecnie spędzać czas.

Zamieszkaliśmy w Rzymie wszyscy razem, na Kwirynale. w pierwszorzędnym pensjonacie angielskim, przylegającym bezpośrednio do pałacu. Zastałam Babette trochę niezdrową. Niedawno przeszła w Berlinie operację usunięcia woreczka żółciowego, a potem dane jej było przeżyć różne przedwojenne strachy, śpieszyć się z wyjazdem, zobaczyć mobilizację, przegrupowanie armii niemieckiej. Siedziała w fotelu przy oknie, cała w muślinach, z których wylaniała się jej upudrowana, z fałdami tłuszczu szyja i patrząc w ręczne lustro wyskubywała sobie pincetką włosy z brody. Unosił się nad nią zapach gold-kremu, smarowideł, świeżej bielizny.

— Siadaj, siadaj, jak się masz? Nie trzęś stołem, bo nie mogę chwycić za włosy. Cóż to, opowiadał mi Walentin, że weszłaś w konszachty z kajdaniarzami? Czekaj, siedź. Znów trzęsiesz wszystkim w pokoju. Jak ci się nie podoba słowo „kajdaniarze”, to mogę powiedzieć „polityczni”. Ja uważam, że choćby ich nazwać świętymi, nie staną się z tego powodu lepsi.

Zacisnęłam pięści ze złości. Jak tu zastosować rady Katarzyny do takich ludzi. Nagle otwarłam usta i powiedziałam — dokładnie tak, jak mi to przemknęło przez głowę:

— Dziwna rzecz, Babetto, gdybyś pochodziła z niższego stanu, to twoja ordynarność rzucałaby się wszędzie i każdemu w oczy. Nigdzie by cię za próg nie puścili, a tak, to ci się udaje. Nigdzie nie widziałam tyle ordynarności i nikczemności, jak w naszej sferze.

Babetta wyrwała gruby czarny włos, przyjrzała mu się i oczyściła palcem pincetkę.

— Ten głupi doktor o mało mnie nie pozbawił podbródka. Zaciągnął mnie gdzieś, żeby usuwać włosy na brodzie prądem elektrycznym, a Niemcy to przecież oszuści: wypalą ci wnętrzności i powiedzą, że winne są ścięgna. Widząc, że prąd puścili nie tam, gdzie trzeba, jak zacznę tupać na nich, awanturować się. Oni do mnie: madame, madame; a ja czym prędzej za torebkę, kapelusz, parasolkę i do dorożki. Niektóre próbują oczyszczać

podbródek pumeksem albo przypalają zapalką — poparzą sobie skórę, narobią plam, skończone idiotki. Nie ma nic lepszego od pincetki.

— Rozmowę nawet prowadzisz jak kupcowa ze sztuk Ostrowskiego — ciągnęłam zachwycona swym pierwszym doświadczeniem. Byłam przepełniona szaleńczą odwagą. Cóż to za piękna rzecz p r a w I d a. Jakie to interesujące — nie bać się niczego! Co z tego wyniknie?

Babetta znowu jak gdyby nie dosłyszała moich słów. Przejrzała się w lustrze, cmoknęła, przypudrowała podbródek, wstała i całym ciężarem oparła mi się na ramieniu. Uderzyła mi w nozdrza woń gorącego, tłustego, wypielegnowanego, ale już zwiotczalego ciała.

—Chodźmy do jadalni, czas na obiad.

Nie schodziliśmy do ogólnego table d'hôte'u i podawano nam po rosyjsku zamiast lunchu obiad, zamiast obiadu — kolację. Podawano nam zresztą to samo. co innym gościom, ale Babetta nie znosiła takich słów jak lunch, breakfast i supper: „Cuchnie psiarnią”.

Przy stole krzątała się już, śpiesząc się bez żadnej potrzeby, jej gospodyni i faworytka, chuda jak tyka Pawła Pawłowna. Głos miała niski, ręce ciemne jak na starych ikonach, ale całą twarzyczkę w przymilnych uśmieszkach, w zmarszczkach, rzadkie zęby, włosy w loczkach. Takie sprzeczności występowały w całym jej sposobie bycia, poczynając od sposobu chodzenia, a kończąc na charakterze. Podczas rozmowy parskała okrutnie śliną i dlatego osłaniała usta dłonią, którą potem starannie wycierała chusteczką. Jej stosunek do Babetty polegał na stałym okazywaniu służalczości i płaszczeniu się; potrafiła zaprzeczać sama sobie dziesięć razy na godzinę, jeżeli to było potrzebne. Mówiła na przykład:

—Jakoś dziś wilgotno w tym kącie, może przepalić w piecu?

— Też gadanie! Tak gorąco, że ruszać się trudno Jpodpowiadała Babetta.

Pawła Pawłowna: Co prawda, to prawda, kochanie, troszkę duszno. Może rozpylić nieco wody leśnej albo potrójnej koloń- skiej?

Babetta: Zwariowałaś chyba, stęskniłaś się za grzybami, czy co — wilgoć chcesz zaprowadzić!

Pawła Pawłowna: Właśnie mówię, że wilgoć. Żeby tylko płaszczyk nie zapleśniał...

I tak do nieskończoności. Niektórzy miłośnicy psów każą im sto razy skakać do kawałka cukru. Babetta bez kawałka cukru zmuszała Pawłę do skakania całymi godzinami. Nie wiem, dlaczego Pawła trzymała się Babetty. Nawet najeść się nie mogła do syta. Miała chorobliwy, nieludzki apetyt. Ale nie lubiła i nie umiała jeść w towarzystwie, a Babetta umyślnie sadzała ją razem z nami do stołu. Biedna Pawła dławiała się każdym kęsem, patrząc w swój talerz z tajoną pożądliwością. Nigdy nie zdążyła skończyć żadnej potrawy

m

«nH

i, aby nie zatrzymywać obsługi, oddawała niedojedzoną porcję pokojówce, zbierającej talerze. Spotkałam ją pewnego razu, gdy na rogu ulicy zjadała bez soli, bez masła, bez chleba kupione za własne pieniądze niesmaczne gotowane bulwy. W Rosji miała zawsze pełne kieszenie pestek słonecznika, we Włoszech — pieczonych kasztanów.

Siadliśmy za stołem naprzeciw Walentina, który odmierzał sobie lekarstwo, i doktora. Łysy, dość krępy Ukrainiec był wielkim dowcipnisiem i gadułą. Babetta pokrzykiwała na niego, ale ani dnia nie mogła bez niego wytrzymać. Doktor trzymał ją na diecie, sam układał jej jadłospis i czasem wykazywał nawet inicjatywę lekarską, jak świadczyło wydarzenie z brodą.

— Dziś już z nas wielki zuch — powiedział do Walentina — za tydzień pójdziemy na spacer. A trzeba było zobaczyć, jak pani Barbara zniosła operację.

— No właśnie, Babetto, opowiedz nam o tej operacji. Nic o niej nie wiedzieliśmy. Jak też zdecydowałaś się w takich czasach?

Podano zawieszistą, przyrządzoną na włoski sposób zupę szparagową z maleńkimi pasztecikami. Zobaczyłam, jak Pawle kapie z łyżki, gdy starała się wlać w usta całą jej zawartość, ściskając równocześnie między kciukiem a wskazującym palcem malutki pasztecik. Wyglądała żałośnie.

— Operacja? Sprzykrzyło mi się, braciszku, więc się zdecydowałam. Z roku na rok trzeba go było łątać. Mam na myśli woreczek. Kupę forsy straciłam w tych ich klinikach. Więc lepiej było raz wyciąć i koniec.

— Pani Barbara wyróżnia się pod każdym względem. Nie tylko doczesna

powłoka, ale nawet jej woreczek doznał specjalnego zaszczytu.

— Masz też o czym opowiadać przy obiedzie — wyniośle, ale nie bez zadowolenia przerwała doktorowi Babetta. — Jak wpadnę tylko Niemcom w łapy, to zawsze musi mi się coś wydarzyć. W poza- przeszłym roku w najlepszej dzielnicy, u znakomitego specjalisty, w obecności dwóch asystentów i trzech pielęgniarek potrafił mi po operacji zostawić w brzuchu dwadzieścia osiem arszynów gazy. A tym razem zdarzyła się taka historia. W naszej klinice poprzedniego dnia operowano księcia perskiego, też mu woreczek wycinali. Książę, jak tylko się ocknął, zażądał, żeby mu oddano jego woreczek. Maja, rozumiecie, taki przepis, że wszystkie części ciała muszą być pochowane w rodzinnym grobowcu cesarzy perskich. No, a jego woreczek już dawno wyrzucono z różnymi innymi flakami. Książę grzmi i szaleje. Lekarze, pielęgniarki, dozorczy latają jak oparzeni, mało nie płaczą — nie ma woreczka. Co tu robić? A książę już dostał gorączki. Przyszli do mnie i powiadają, czy nie można by w drodze łaski poprosić o mój woreczek. Zgodziłam się. Zanieśli księciu mój woreczek i uspokoił się. Włożył go do kryształowego naczynia, a to naczynie do srebrnej skrzyneczki i zawiózł do Persji. W ten sposób mój woreczek żółciowy został uroczyście pochowany w krypcie rodzinnych cesarzy perskich.

Walentin wybuchnął śmiechem.

— No, no, siostrzyczko. To rozumiem. To trzeba zapisać w naszej kronice rodzinnej. Powiozę do Petersburga dwie anegdoty; jedną o twoim woreczku żółciowym, a drugą o mojej żonie.

W owej chwili pokojówka sprzątała talerze po rybie. Wyciągnęła rękę do Pawły, pośpiesznie borykającej się ze swoją porcją.

— Proszę nie zabierać Pawle Pawłownie, przecież jeszcze nie skończyła — powiedziała do pokojówki.

— Skończyłam, skończyłam — zaczęła się śpieszyć Pawła i upuściła kawałek z widelca z powrotem na talerz. — Po co robić zamieszanie z mego powodu.

Zęby zaczęły jej dzwonić ze strachu. Ogarnęło mnie obrzydzenie. I zaraz po obiedzie, gdy podano owoce, ciasta i słodczy, a Babetta skinieniem

głowy poleciła Pawle oddalić się (nie pozwalała jej siedzieć „beim Nachtschisch” — jak mówią Niemcy) wpadłam na siostrę mego męża:

— Nie wiem, czemu znajdujesz przyjemność w robieniu z niej kretyńki? Dlaczego bawi cię widok cudzej tępoty i nieszczęścia? Czy to przyjemnie codziennie znęcać się nad nią? Pozwól jej spokojnie zjeść swój kawałek chleba gdzieś na uboczu, będzie przynajmniej miała z tego jakiś pożytek.

Ku memu zdumieniu Babetta i tym razem wcale mi nie odpowiedziała. Ale gdy wstałam, aby udać się do swego pokoju, uchwyciłam jej spojrzenie i gest. Spojrzała znacząco na mego męża i stuknęła się palcem w czoło, ruchem głowy wskazując w moim kierunku. Wstrząśnięta tym odkryciem, schowałam się za portierę w drzwiach | zatrzymałam na chwilę w jadalni.

— Wałku i doktorze — powiedziała Babetta — nie żartujcie, mówię wam, z Aliną. Coś z nią nie jest w porządku. Powiadam wam, że ma bzika. To pewno na tle kobiecym. Bywają, wiecie, takie choroby. Jak tylko mi powiedziałeś o tym tysiącu franków, od razu pomyślałam, że tu (znów stuknęła się w czoło) musi być lekkie pomylenie. Na twoim miejscu, Walentinie, nie sprzeczałabym się z nią, tylko wywiozłabym ją jak najprędzej do Petersburga.

— Pozwólcie państwo, że jako lekarz... — zaczął doktor, ale nie słuchałam już dłużej, popędziłam do swego pokoju, zamknęłam drzwi i wybuchnęłam niepohamowanym śmiechem. Rozsadzało mnie podniecenie i powiedziałam głośno sama do siebie:

— Zrobili ze mnie wariatkę. Naprawdę! — I żeby opanować jakiś dręczący śmiech, chwyciłam papier listowy, pióro i kałamarz, a w usta wetknęłam koronkową chusteczkę i przygryzłam ją zębami.

„Kochana panno Katarzyno!

List pani stał się moją gwiazdą przewodnią, w wyniku czego zostałam uznana za wariatkę. Szukać ludzi, którym można mówić prawdę, jest piekielnie trudno, to ponad moje siły. Postanowiłam więc mówić prawdę wszystkim. Z początku przypomina to jakby kąpiel rzeczną w zimie — ogarnia taki strach, że drętwieje krzyż. Ale gdy człowiek już skoczy na złamanie karku, to się rozgrzewa, rozkoszuje i nie boi się już niczego. To jest takie zajmujące — aż zanadto zajmujące! I nikogo to w gruncie rzeczy nie

wzrusza. Moja belle- -soeur, której wygarnęłam w oczy parę gorzkich prawd, nie wzięła ich do serca, tylko zaliczyła na poczet mego rozstroju umysłowego. W każdym razie pani spowodowała, że życie stało się interesujące. Proszę do mnie napisać.

A.”

Tego samego dnia Walentin oznajmił, że wyjeżdżamy przez Brindisi do Rosji. Był bardzo serdeczny i zrobił aluzję, że mogę zaopatrzyć się w siódmy kufer; Babetta również była dla mnie czuła. Ale zaczęłam protestować. Codziennie miałam inną zachciankę. Że nie wyjadę, póki nie zobaczę marionetek, albo że źle się czuję, albo mam zamiar odbyć przejażdżkę po Kampanii. Spełniano wszystkie moje życzenia. W ten sposób uzyskałam parę dni zwłoki, żeby doczekać się odpowiedzi na list.

I podczas tych wszystkich przejażdżek, podczas tych wszystkich zajęć, ani przez chwilę nie zaprzestawałam mojej nowej zabawy, która mi się bynajmniej nie przykrzyła — zabawy w mówienie prawdy.

Pewnego ranka mąż w mojej obecności powiedział do doktora:

—Jak mogłem, tak unikałem spotkania z Nowosielskim, nawet do czytelnika nie chodziłem, a jednak w końcu natknąłem się na niego. Niech pan uprzedzi moją siostrę, że byłem zmuszony zaprosić go na obiad.

Nowosielski był to gracz i hulaka. Zajmował się pośrednictwem w sprzedaży antyków i dwukrotnie występował jako świadek w procesach rozwodowych. Gdyby zechciał, mógłby zostać szantażystą — tyle znał ludzkich tajemnic. Wszyscy go się trochę bali, ale wszędzie był przyjmowany.

Wysoki, barczysty, starannie ogolony, ze spadzistym czołem, woreczkami pod przymrużonymi oczyma, z miłym głębokim barytonem, wszedł według swego stałego zwyczaju miękkim krokiem, z lekko opuszczonymi ramionami, niby tancerz, który zamierza się uklonić. Przywitał się, usiadł — również nie od razu, przed tym pokręcił się po pokoju — i zrobił się podobny do wielkiego kota: tylko patrzeć, jak zacznie się myć. Miał nawet zupełnie kocia manierę — głaskał się prawą ręką po ucho i słuchając rozmowy nie patrzył w oczy, tylko z roztargnieniem spoglądał w okno lub na drzwi.

Rozmawialiśmy o wojnie, o złocie angielskim, o tym, co będzie najkorzystniej zakupić i wywieźć do Rosji, o kameach, które Nowosielski

odprzedał niedawno księżnej Liven.

— Szkoda, żeśmy się wcześniej nie spotkali. Miałem dla pana niezwykłą fajkę — powiedział Nowosielski.

Mój mąż załamał ręce.

— Pomyśleć tylko! Wciąż pana szukałem — i w czytelni, i na piazza, i w klubie. Miałem chyba przecucie!

— Czyż doprawdy tak mię gorliwie szukał? — zwrócił się do mnie przez stół Nowosielski patrząc spod przymrużonych powiek. Twarz jego przybrała jakiś dziwny grymas.

— Nic podobnego — odpowiedziałam spokojnie. — Bynajmniej nie miał ochoty spotkać się z panem.

—Ach, tak! I dlaczegoż to?

Ożywił się i nabrał humoru. Mąż, omijając mnie wzrokiem, patrzył na doktora. Doktor utkwiał wzrok w Babetkę. Babetta ścisnęła mię boleśnie za łokieć, robiąc równocześnie do Nowosielskiego znaki porozumiewawcze. Ale Nowosielski nawet na nią nie patrzył. Z dziecięcą ciekawością czekał na moją odpowiedź. I otrzymał ją:

— Dlatego, że pan jest awanturnikiem.

—Aline! — wykrzyknęli razem mąż, Babetta i doktor. — Jesteś chora. Ona jest chora. Pan Nowosielski wybaczy, gdy się dowie...

Odsunęłam Babetkę ręką. Spojrzenie Nowosielskiego hipnotyzowało mnie. Wpatrywałam się w jego źrenice, które zwęziły się w dwie szparki, w jego uśmiechnięte, soczyste wargi, przygryzione młodymi zębami, w pulchne, niebieskawe po wygoleniu policzki, w całą tę twarz jakoś złowieszczo obnażoną, gdy mi się tak przysłuchiwał z ciekawością i zachwytem — i ciągnęłam dalej powoli, dobitnie, z namysłem:

— Pan jest typową hieną i zwykłym niebieskim ptakiem. Takimi ludźmi pogardza się, chociaż budzą strach. Oczywiście, że mąż pana nie szukał, nikt przecież nie będzie pana szukał z własnej woli. Ale ani on, ani nikt inny nigdy się panu do tego nie przyzna.

—Znakomicie, pani Alino. Ale muszę pani powiedzieć, że pani również ma skłonności do awanturnictwa. Zaczyna pani uprawiać hazard.

Zapadła cisza. Nowosielski objął nas wszystkich wzrokiem.

—! Najslabszą stroną ludzi jest brak konsekwencji. Umiejętności postawienia kropki nad „i”. Wiem, że nikt z państwa nie potrafi wybrnąć z sytuacji, która się w tej chwili wytworzyła. Pani, pani Alino, musi nauczyć się postępować konsekwentnie. Powinna pani porzucić męża dla jakiegoś niebieskiego ptaka, gdyż pani rodzaj hazardu w środowisku mieszczańskim będzie wyuzdaniem, w naszej sferze sileniem się na oryginalność i dopiero wśród awanturników, którzy nie mają nic do stracenia, stanie się cnotą. W danej chwili najlepiej będzie, jeżeli zmienimy temat rozmowy i dokończymy spokojnie obiadu.

I ten wspaniały kot właśnie tak zrobił. Siedzieliśmy ze spuszczonymi oczami, gdy on jadł, pił i jak gdyby nigdy nic zabawiał nas rozmową. Był zupełnie przeistoczony w swym ożywieniu, lękałam się spotkać jego roziskrzone spojrzenie. I chociaż spoglądał na mnie czule, niemal jak zakochany, każdy jego gest zdradzał, że stał się moim śmiertelnym wrogiem.

Po obiedzie myślałam tylko o jednym — ukryć się, nie rozmawiać z nikim, zniknąć. Nie zauważona przez nikogo, zdażyłam się ubrać i wymknąć na ulicę.

Rzym tonał w złotej mgielce wieczornej. Jego czerwone mury, oświeżone przelotnym deszczem, obstały mnie jak uosobienie szaleństwa. To miasto zawsze napełniało mnie lękiem. Jest straszne jak nieboszczyk, który przeżył własną śmierć. Zanim go pochowają, twarz jego przybiera już nowy, pośmiertny wyraz, właściwy wszystkim nieboszczykom, przeważnie złośliwy, pełen zatajonego okrucieństwa na martwej, skamieniałej twarzy. Rzym za życia ma taki pośmiertny wyraz i jego budzące trwogę kamienice, zmienione tchnieniem śmierci, wcale nie są dla mnie historyczne, najmniej ze wszystkiego historyczne.

Jak w gorączce, sama nie wiem czemu, pobiegłam do Ara Coeli z jej schodami przypominającymi powaloną harfę i przez parę minut syciłam się doskonałością tych nieziemskich proporcji. Z mojej poprzedniej decyzji nie zostało ani śladu.

Hazard! Oczywiście, mówienie prawdy jest grą hazardową, albo jeszcze ściślej — sportem. To jest często tylko bezczelność, a poza tym — cóż to w ogóle jest prawda? Po prostu określenie faktów, które od pierwszego

spojrzenia nie budzą w nas wątpliwości, ani mniej, ani więcej... Ach.

Katarzyno! Ostra, dziecięca tęsknota za krajem, za ziemią ojczystą, za lasami i polami Izmajłówki ścisnęła mi serce, aż do łez, aż do wielkiej litości nad sobą. Przypaść do ziemi rosyjskiej jak do matki, wypłakać się na jej łonie — wiedzieć, czuć, że cię utuli, przygarnie, ukryje...

Skręciłam w stronę poczty. Urzędnik przejrzał korespondencję na półeczce, wyjął znaną mi już niebieską kopertę i podał przez okienko. Był szczególnie uprzejmy dla Rosjan. Włochy szykowały się do wystąpienia.

Katarzyna pisała swym zamaszystym pismem:

Dziecinko kochana, obawiam się, że pani nie całkiem mnie zrozumiała. Szukanie ludzi, którym można mówić prawdę — to rzecz aktywnego ustosunkowania się do życia. Mówić prawdę wszystkim — to bierność. Aktywność umacnia, bierność może zniszczyć charakter. Jest to szczególnie niebezpieczne w sytuacji pani, jako damy z wyższej sfery; otoczenie nie przyjmie (i nie może przyjąć) tego poważnie, gdyż jest to dlań nieczytelne i bezcelowe; a skoro tak — mówienie prawdy przekształci się u pani w kaprys albo po prostu w pozę. Pod taką pozą ukrywają się czasem ludzie, którym jest „wszystko jedno”, dla których zupełnie obojętna jest i prawda, i jej ewentualni odbiorcy. Spotykamy się z takim zjawiskiem również w dziedzinie sztuki. Dzieła takich ludzi są interesujące, zwracają uwagę ogółu, czasem wywołują skandal, ale autorzy ich w tym stadium nigdy nie potrafią stworzyć prawdziwych dzieł sztuki — albo się zatrzymują w rozwoju i zaczynają pozować, albo przezwyciężają to pierwsze stadium i wówczas tworzą rzeczy cenne.

Proszę mi wybaczyć ten nudny list. Zdaje się, że robię się pani wychowawczynią na odległość. Zresztą życie nauczy panią lepiej niż te komunały.

K.

Ona ma zawsze rację! Czyż nie spotkała mnie katastrofa od razu, przy pierwszym rzuceniu się bez semafora na niewłaściwy tor?

Nie mieliśmy po co dłużej pozostawać w Rzymie. Jak przez mgłę pamiętam trzydniowy pobyt w Neapolu, brudne miasteczko Brindisi z zapłutym portem, przesiąkniętym odorem czosnku i smoły. Morze było

bardzo szafirowe, wzburzone, z białymi grzywami fal. Grecki statek, którym płynęliśmy do Pireusu, omal nie rozbił się wśród wysp archipelagu. Rzucało nami tak, że moje siedem kufrów latało po kajucie na kształt bilardowych kul, Babetta leżała na posłaniu przeklinając Grecję, a w szczególności Greków. W przerwach między atakami choroby morskiej wykrzykiwała:

— Gdybym była dyplomata, tobym te kanalie, bestie, złodziei, kupczyków... Biorą pieniądze za utrzymanie i dzwonią do table d'hôte'u w czasie bocznego kołysania! Żeby im wnętrzności wypaliło tymi ich piklami i marynatami, żeby ich... Żebyś mi nie śmiała tu siedzieć, Pawło. Idź do table d'hôte'u.

— Pani Barbaro, kochanie, przecież jeszcze dzwonka nie było.

— Głupstwo, siadaj bez dzwonka. Zjadaj zakąski. Pikle i marynaty. Powiedz, że zostałam up... up... upoważniona... za wszystko, co zapłacone...

I nieszczęsna Babetta musiała znów wychylać się przez okienko, z którego przejmująco wiało solą, jodem i dymem parostatku.

— Nasza pani zawsze tak — szeptała mi basem Pawła, kierując się do jadalni. — Tak jej przykro, że nie może zjeść za swoje pieniądze. Kto inny machnąłby ręką, a pani Barbara serduszko sobie rujnuje.

Obok nas przepływały ubielone pierwszym śniegiem, milczące, ostre jak krzyk w pustynnym szafirowym niebie, szczyty górskiego świata Grecji, opuszczone przez bogów i ludzi. Wkrótce wstąpiliśmy na ziemię antyczną. Babetta po powrocie do zdrowia kupowała w Pireusie beczułki oliwek i całe skrzynki chałwy i rachat-łukum. Drobniutki wąsaty jegomość, mówiący po rosyjsku, przyczepił się do nas w charakterze przewodnika. Przede wszystkim oprowadzał nas po kawiarniach — dla „odświeżenia się”.

— Ja cię tak „odświeżę”, że ci cztery nogi wyrosną — powiedziała mu Babetta po wyjściu z ósmej kawiarni. — Wynoś się!

Jegomość parsknął, nastroszył wąsy, wsadził ręce do kieszeni i bez pośpiechu oddalił się od nas do portu, szukać innych Rosjan. Pojechaliśmy do Aten, zwiedziliśmy Akropol, zachwycając się ciepłym, różowawym tonem marmurów i wreszcie ruszyliśmy w dalszą podróż.

Pociąg mknął na wschód. Z okien wagonu widzieliśmy malowniczą, szlachecką Rumunię z zaniedbanymi polami, jej nędzne wioski, głodnych,

zdziczałych chłopów, przyglądających się nam spode łba. Małe stacyjki były puste, a tuż leżał olśniewający Bukareszt, pełen wojskowych w szamerowanych mundurach i dźwięku beztroskiej mowy francuskiej. Widzieliśmy uległą Niemcom Bułgarię, która nas całkowicie bojkotowała — do naszego przedziału pozwolono wsiąść feldfeblowi niemieckiemu. Widzieliśmy Serbię, która nie brała pieniędzy za przejazd, natomiast zbierała wśród jadących Rosjan datki na Czerwony Krzyż. To wszystko było dla mnie nowe i nieznane; w innych warunkach z ciekawością wyglądałabym oknem... Ale teraz ogarniała mnie tylko namiętna, pochłaniająca wszystko niecierpliwość, tęsknota za domem. Nigdy chyba za nikim tak nie tęskniłam. Nie wiem sama, czego się spodziewałam po tym spotkaniu z ojczyzną, ale zabiło mi serce, gdy wreszcie na naszej granicy wysoki i barczysty tragarz z kędzierzawą siwiejącą bródką chwycił moje walizy jak piórka i wyniósł je z obcego wagonu na nasz, rosyjski peron. Przesiedliśmy się do obszernego, trochę brudnego wagonu rosyjskiego. I wreszcie popłynęły przed naszymi oczami zapróśzone śniegiem pola, oszronione lasy Smoleńszczyzny, podmarzniete mokradła; mróz rysował na szybach tysiące gwiazd. Mój mąż wypatrywał przez nie U świetle poranka znajomych już peronów stacyjnych.

— Droga moja, musisz stwierdzić, że przez cały ten czas nie robiłem ci żadnych uwag. Nie jestem despotą. Wiem, że się źle czujesz. Ale musisz zrobić wysiłek, aby nie stawiać bliskich ci ludzi w sytuacji bez wyjścia. To, co zrobiłaś z Nowosielskim, jest nie do naprawienia. Postaraj się, aby takie historie nie powtarzały się w przyszłości, w przeciwnym wypadku będziemy zmuszeni stworzyć ci warunki sanatoryjne.

Spuściłam głowę i nie oponowałam. Radosny niepokój, który ożywiał mnie podczas podróży, nagle przekształcił się w apatię. Wszystko we mnie jak gdyby zamarło — pragnienie buntu, samodzielności, swobody. Człowiek, któremu można mówić prawdę, był fikcją. Gdzie go szukać? Wśród tępych i zadowolonych? Wśród słabych, chorych, okaleczonych, neurasteników, histeryków lubiących się biczować i nie nadających się do życia? Wśród zuchwalców? Wśród silnych? Ale ci są ślepi na wszystko, co ich nie dotyczy.

Po raz pierwszy może zrozumiałam, jak wiele dla człowieka znaczy inny człowiek. Wśród pustych ludzi ogarnia nas pustka. Mnóstwo tematów

zamiera w nas dlatego tylko, że nie spotykają oddźwięku. Światy płoną w nas, pragnąc wcielenia, i gasną jak mgła — w źrenicach sceptyka, kołtuna, kretyna. Morderstwo na każdej ulicy, w każdym domu, w każdym pokoju, ludzie mordują się wzajemnie, powoli, z dnia na dzień... Walentin mógł być zadowolony — powracałam w świat zwykłej pustki. Podniosłam głowę, spojrzałam na spoczywające na siatkach walizki i zaczęłam myśleć o czekających mnie balach i przyjęciach. Zaczęliśmy rozmawiać jak dawniej, na temat spraw bieżących; przypominałam sobie swoje stroje, mówiłam o deseniach przedziwnych koronek zakupionych w Austrii.

— Petersburg — powiedział mąż.

W szary poranek zimowy, ciemny, bezbarwny, napłynął ku nam swą zakreśloną olbrzymim cyrklem przestrzenią milczący, urzędowy i widmowy Petersburg — jedyne miasto w świecie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nastaly lata niczym nie zachmurzonej działalności dobroczynnej. Gazety były patriotyczne, nawet „te, które”... Przy czytaniu ich rozplywaliśmy się z miłości do żołnierzyków. Żony intendentów robiły swetry na drutach. Inteligenci po wypaleniu każdego papierosa odkładali drugi dla wojska. Powstały nowe slogany powitalne, charakterystyczne powiedzonka, nawet własna geografia. Cukiernicy, właściciele fabryk papierosów, producenci galanterii i zapalek hołdowali modzie na króla Belgów Alberta, którego imieniem ochrzczono wiele gatunków papierosów, herbatników i krawatów.

Moja korespondencja z Katarzyną urwała się. Wynikło to jakoś samo przez się — gdy się wyczerpuje wewnętrzna potrzeba, wszystko na świecie rozpada się, prócz być może stosunków towarzyskich, które jeszcze pozornie istnieją w przyjętej uprzednio formie i stopniowo przekształcają się w konsekwentną obłudę. Nie chciałam tego. Gdy zabrakło mi tematu — przerwałam korespondencję. Moja przyjaciółka zrobiła to samo.

Pędziłam życie takie, jak wszyscy dokoła mnie. Niezupełnie, mgliście, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co się koło nas dzieje, żyliśmy pełni niecierpliwego oczekiwania, w zamęcie, wśród wzrastającej wciąż liczby niedokończonych spraw, niezrealizowanych pomysłów i zamierzeń.

Pierwsze silniejsze wrażenie, którego doznałam w ciągu tych lat, było dość niezwykle. Pewnej nocy zbudził mnie dziwny hałas. W sypialni świeciła się lampka nocna; nie było nikogo. Podniosłam się nasłuchując. Hałas dolatywał z sąsiedniego pokoju, który służył nam za coś w rodzaju składziku. Zgromadziły się tam stare kufry, papiery, zbędne meble, zwijane na lato dywany. Spod przymkniętych drzwi sączyło się światło. Nacisnęłam klamkę i weszłam.

Pokój oświetlała słaba żarówka. W rogu leżał zwykle stos walizek i sakwojaży. Teraz wszystkie były przerzucone, otwarte, wybebeszone. Szmatki, skrawki papieru, sznurki poniewierały się na podłodze. Tyłem do mnie siedział w kucki mężczyzna i szperał w tych gratach jak oszalały. Krzyknęłam przerażona. Mężczyzna odwrócił ku mnie twarz i powiedział z roztargnieniem:

— Bardzo mi przykro, Aline, że cię obudziłem... Czy nie pamiętasz, gdzie się mógł podziać ten kwit... ten kwit... no, ten, który...

Mówiąc te słowa nie przerywał poszukiwań. Rozwijał każdy papierek, przyglądał mu się uważnie, odrzucał i chwycił następny. Patrzyłam na niego z osłupieniem.

— Ach, jakąż ty masz kiepską pamięć! Przypomnij sobie, w Zurychu... Tysiąc franków.

—Ale na co ci to potrzebne?

—Aline! — Walentin wyprostował się, położył mi ręce na ramionach i popatrzył na mnie z mieszaniną chytryści i strachu. — Okazało się, że byłaś bardzo rozsądna. Okoliczności uległy zdumiewającej, zdumiewającej zmianie. Dobrze, że opowiadałem o tym w towarzystwie. Będziemy teraz mieli opinię... Słowem, ten papierek odda nam bardzo wielkie usługi.

Przykucnął znowu i zaczął przeglądać szpargały. Wzruszyłam ramionami i poszłam spać. Rankiem mąż przyniósł mi gazety i z przebiegłym uśmiechem wyjął z portfela stary, zmięty kwit. W ten sposób dowiedziałam się po raz pierwszy, że rozpoczęła się rewolucja.

Papierek rzeczywiście oddał mu usługi. Podczas pierwszych dni rewolucji prezentował go melancholijnie, z półuśmiechem:

—Moja żona od dawna interesowała się ruchem rewolucyjnym. Już w

pierwszym roku wojny przewidywaliśmy możliwość przewrotu. Spotykaliśmy się w Zurychu z pewnymi emigrantami...

Później, w dniach październikowych schował kwit do portfelu, aby ostatecznie wyjąć go i nosić w kieszonce od kamizelki, mieć stale pod ręką podczas niezliczonych wędrówek do Rady Piotrogradzkiej, do Komitetu Wykonawczego, Komisariatów Ludowych, Urzędu Kwaterunkowego i tak dalej. Przy pomocy tego papierka udało mu się ustrzec mieszkanie przed rewolucją, uratować meble, fortepian, obrazy; ten kwit również ochronił nas przed rewizją.

Usypiając z nieodłącznym wyrazem tchórzliwej przebiegłości, zmizerowany, nieogolony, wstrząsany nerwowym tikiem mruczał sennie:

— Złota rybka... Właśnie, właśnie... Jest taka bajka, Aline, O złotej rybce. Hi hi hi, moje maleństwo, kto by to pomyślał, że ten kwit okaże się złotą rybką. Wadbołskiego rozstrzelali, a ja żyję. Mi- łoradowicza aresztowali — a mnie nie. Chcesz, wyjadę jutro na Krym? Chcesz — uwolnię Miłoradowicza? Złota rybka zrobi wszystko, o co ją poproszę...

I pewnego dnia zażądał od złotej rybki, aby pozwoliła mu wyjechać na południe. Ten wyjazd miał charakter ucieczki. Koronki, kosztowne hafty, bielizna, suknie zmięte w kłęb, były spakowane byle jak i gdzie się dało. Brylanty ukryte w mydle, obrazy wyjęte z ram

1 zwinięte w rulony razem z ceratą. Pomimo wszystkich chytrych zabiegów mego męża dostaliśmy się razem z innymi do bydłowego wagonu, w którym dzień i noc krzyczały niemowlęta, lokowane na cudzych kolanach i głowach. Przestałam w ogóle cokolwiek odczuwać.

Odór potu, brudu, mleka kobiecego, pieluszek, niemytych włosów, swąd lokomotywy — zabiły zupełnie mój węch. Walentin za to wykazywał zdumiewające zdolności przystosowania. Zawiązał cztery węzłki na rogach dużej chustki od nosa i przykrył nią swoją łysinę. Z każdym bez wyjątku rozmawiał cieniutkim głosikiem, używając jakiejś nienaturalnie wulgarnej i niegramatycznej gwary. Kokietował nawet niemowlęta, przytyskając im palcami przed nosem i uśmiechając się słodziutko. Skarżył się wszystkim, że jest kompletnie zrujnowany, pogrążony w beznadziejnej nędzy i bez skrzepowania przyjmował i jadł suchary z razowego chleba, którymi dzielili

się z nim sąsiedzi. Lecz co kilkanaście minut przysuwał się do mnie, macał złoto, zaszyte w moim pasie, mydło, ukryte na piersi i syczał przez zęby, żebym zachowywała się bardziej naturalnie i swobodnie. Ta komedia skłoniła mnie do rozważań nad trwałością oblicza, które człowiek uzyskuje dzięki swemu „stanowisku w świecie”. Wystarczy na krótki czas zmienić środowisko i teren działania, aby taki człowiek natychmiast zmieniał oblicze. Rzeczy, o których trwałości byliśmy przekonani, nie są bardziej stałe, niż warstwa pyłu na wietrze.

Gdy po czternastu dniach podróży dojechaliśmy do Woroneża, otrzymaliśmy nagle nowego współtowarzysza podróży, dyrektora gimnazjum. Okazało się, że wyrzucono go wraz ze wszystkimi manatkami w Woroneżu z takiego samego jak nasz towarowego pociągu. Czekał na następny pociąg blisko tydzień i teraz wpakował się do nas, przekupiwszy konduktora dziesiątkiem jajek.

— Ciemna masa wyrzuciła mnie za propagandę, chociaż nikt nie zrozumiał, co miałem na myśli — oznajmił, gdy się tylko rozkwaterował. — Drugi raz mnie już wyrzucają, a jadę z Tweru! Proszę, tak wygląda nasz osławiony lud. Niech się pani z łaski swojej posunie, madame, co to za pakunek rusza się obok tej blaszanki? Niech pani to wsunie pod nogi, nie wolno miejsc siedzących zajmować bagażem. Niech pani pozwoli, to pomogę. Raz, dwa, i...

— Oddaj dziecko! — pisał nieludzko przejmujący głos. — Co chcesz z nim zrobić? Oczu nie masz, czy co? Dziecko wziął za pakunek! Nie dziw, że cię wyrzucili, patrzcie go, jaki chybki. Poczekaj, poczekaj, my cię tu wyrzucimy.

Dyrektor gimnazjum cofnął rękę od poruszającego się tłumacza, rozejrzał się na wszystkie strony z miną winowajcy.

— Ależ uspokójcie się, obywatelko, nie miałem złych zamiarów... Z takich błahych przyczyn wybuchają namiętności tłumu. Mój przypadek jest zgoła symptomatyczny. Co wy jecie, obywatelu? Ogórek? A wiecie, że na południu szaleje cholera? Jeżeli już nie możecie się powstrzymać od jedzenia, to radzę wam obrać ogórek ze skórki scyzorykiem. Tak, więc chciałem opowiedzieć, jak to było ze mną.

Rozepchnął mocniej sąsiadów, usadowił się wygodniej, z nogami na cudzej walizce, prawą rękę oparł komuś na ramieniu, lewą wachlował się lekko, chcąc zastąpić nią wentylator.

— Mój wypadek został spowodowany tym, że mam towarzyskie usposobienie. Rozumowałem w sposób następujący: jedziemy wszyscy z Sowdepii całymi rodzinami — a więc jesteśmy przesiedleńcami. Czyli że każdemu z nas dobrze się dostało. Każdy po cichutku wymyśla, na co może. A ponieważ w ciągu ostatnich miesięcy w Twerze stworzyłem własną teorię niezadowolenia, więc postanowiłem wygłosić ją publicznie, przekonany, że przyczyni się do zjednoczenia poglądów. I wyobraźcie sobie, zamiast tego wszczął się tumult, zaczęto się mnie czepiać... Nigdy nie zostawiam żadnej zniewagi fizycznej bez odpowiedzi... No i skończyło się tak, że trzydziestu na jednego, rzeczy na ziemię, mnie na moje rzeczy, pobiegłem do naczelnika stacji, a pociąg tymczasem odszedł.

— Trzymałbyś lepiej ręce przy sobie!

— Obywatelu, uprzejmie proszę nie mówić do mnie jednak per „ty”. Nie miał pan zaszczytu być moim współtowarzyszem w tamtym pociągu. Najzabawniejsza w tym wszystkim była ciemnota, ignorancja, duch sprzeciwu, zanim ktokolwiek zrozumiał, o co mi chodzi. Zwracam uwagę, obywatelu, że wciąż jecie ogórek z łupiną. Postępujecie wbrew przepisom higieny. Wyobraźcie sobie, że dostaniecie cholery. A przecież pociąg jest w pełnym biegu. Co zrobimy z waszymi ekskrementami? Zarazicie cały pociąg, staniecie się źródłem infekcji cholery, zginiecie sami, gubiąc wszystkich pozostałych.

Niemłoda zakonnica obok mnie westchnęła ciężko i naciągnęła kornet na uszy. Chłop, który jadł ogórek, zaklął i wsadził w usta całą resztę od razu, policzek wydał mu się jak bania. Walentin odsunął się od niego nieznacznie.

— Nie jesteśmy społecznieni — ciągnął dyrektor gimnazjum głosem przybierającym na sile — tym różnimy się od Europy, w której na każdym arszynie kwadratowym znajdziecie kocioł z wodą przegotowaną. Moja teoria mogłaby otworzyć wam oczy na przyczyny naszego bankructwa historycznego. Rozumuję w następujący sposób: w imię czego zaczynają się wszelkie zawieruchy na ziemi, a więc i rewolucje? W imię

mas, dla mas, pod pozorem mas. Dla mas wydaje się prawa, wylapuje i wiesza ludzi, wymyśla się maszyny, drukuje książki, urządza rewolucje. A powiedzcie mi, na miłość boską, czy masy o to wszystko prosiły? Co je to obchodzi! Zwróćcie tylko uwagę: każda innowacja, każda zmiana sprawia nam tylko kłopot. Ile trudu kosztuje wypędzenie chłopca z kurnej chaty i przeniesienie go do możliwego mieszkania, ile wysiłku wymaga wprowadzenie nowej maszyny. Masa lubi tylko to, do czego się przyzwyczaiła. Więc pytam

— jeżeli jakiś człowiek ma szpilki w pewnym miejscu, nie może usiedzieć i chce wszystko przewrócić, to dlaczego zwać to na masy? Co ma z tym wspólnego masa? Ja sam jestem masą, wy jesteście masą, ten, ów — też masa. I wszyscy uciekamy. Nie chcemy nic ponadto, co było. Nie życzymy sobie, żeby nas niepokojono. Pragniemy, aby zostawiono nas w spokoju. Na tym polega moja teoria powszechnego niezadowolenia, rozumiecie mnie. Ludzie są niezadowoleni, że bez ustanku zmusza się ich, aby brali udział w tworzeniu historii. A zmuszają ich do tego ci, którzy nie mają nic do roboty, tak zwani bezrobotni. To oni tworzą historię, żeby wykazać swą przydatność, coś tak jak aktorzy, którzy sami piszą sztuki, żeby mieć dobrą rolę. Na tej zasadzie doszedłem do wniosku, że powinno się systematycznie tępić bezrobotnych we wszystkich częściach świata. Ja... Obywatelko, przycisnęliście mi nogę swoim butem. Stanowczo proszę, abyście przestawili gdzie indziej swoją nogę.

— A pan niech mi nie kładzie ręki na ramieniu.

— Nie przypuszczałem, że wam przeszkadza moja ręka. Chyba jednak przyznacie, że nie mogę trzymać ręki w powietrzu.

— Niech się pan trochę posunie, wystarczy miejsca dla wszystkich.

— Kobieca logika. Nie można się posunąć, najwyżej można się skurczyć... Aj-aj-aj, zabierzcie te pakunki, zabierzcie nogi, ręce, słabo mi, mam atak...

Nasz mówca dostał jakiegoś ataku, przypominającego napad cholery. Pociąg włókł się jak żółw. Na rozgrzanych pagórkach widać było chatki, tonące wśród sadów pełnych dojrzałych czereśni. Obok przesunęła się budka dróżnika, szlaban, długi peron. Chłop, który jadł ogórek, porozumiał się wzrokiem z sąsiadem i nagle rzeczy nie-

szczęsnego dyrektora gimnazjum jedna za drugą poleciały na peron, a za pakunkami wyleciał także on sam.

— To bezprawie! — krzyczał zrywając się i próbował dogonić pociąg. — Pociągę was do odpowiedzialności... wy...

Niektórzy pasażerowie oburzali się. Ktoś domagał się, aby starosta, wysoki student, milczący jak słup, zatrzymał pociąg. Student wzruszył ramionami. Baby cieszyły się złośliwie. Walentin chichotał. Chłop z ogórkiem powiedział spokojnie:

— Pomyłony człowiek, po co ma jechać dalej? Tu jest piękna okolica, urodzajna, czamoziem. Niech sobie żyje, nigdzie mu lepiej nie będzie.

— Nie nadaje się do dalekich podróży — wtrącił niespodziewanie mój sąsiad, szczuplutki rzemieślnik. — Nie martwcie się, to dla jego dobra.

W ten sposób pozbyliśmy się autora teorii o powszechnym niezadowolaniu. Wlekliśmy się jeszcze jedną dobę, jeszcze jedną i jeszcze jedną. Aż wreszcie, poprzez kordon niemiecki przedostaliśmy się na stronę białych. Tutaj Walentin uległ błyskawicznej metamorfozie. Chustka z węzełkami zniknęła, zastąpiona panamą. Okrągłe lorgnon w złotej oprawie wyglądało jak dawniej z kieszeni, a rzadka bródka i wąsiki zostały starannie zgolone. Ani śladu po słodziutkim głosiku, niepewności, przygnębieniu. Zanim zdążyłam się rozejrzeć, już znalazł znajomych, kolegów, krewnych. I pewnego pięknego dnia oznajmił mi, że został działaczem państwowym. W związku z tym musi mieć całkowitą swobodę ruchów i dlatego umieści mnie w małym uzdrowisku nadmorskim, a sam wróci do miasta. Nie protestowałam. Nie starczyło mi odwagi nawet, aby zatrzymać swoje brylanty. Walentin przekonał mię, że niebezpiecznie trzymać je przy sobie i że samotna kobieta zawsze przyciąga uwagę zawodowych złodziei. W rezultacie znalazłam się w małym uzdrowisku kubańskim, niemal z czterech stron otoczonym morzem. Mieszkałam w dużej willi razem z trzema innymi paniami, których mężowie również stali się działaczami państwowymi. Opisuję tutaj swoją kobiecą historię i dlatego nie zajmuję się wcale istotą działalności państwowej naszych mężów. Musiała ona przebiegać normalnie, gdyż mężowie odwiedzali nas co tydzień, przywozili wiele miłych podarunków i na nasze pytania odpowiadali chępliwymi uśmiechami. Żyliśmy sobie, kąpałyśmy się

i beztrzesko wydawałyśmy pieniądze. Trochę plotkowałyśmy. Niektóre dla rozrywki bawiły się w politykę — wtedy zaczynało się czytanie gazet, intrygi, walka wpływów, urządzenie kuzynów i sekretarzy.

Trzymałam się od tego wszystkiego z daleka, wyczerpana straszliwą pustką wewnętrzną i samotnością.

Jedynym człowiekiem, z którym nawiązałam stosunki towarzyskie był szambelan F., osiadły na starość w zapuszczonej willi w towarzystwie kamerdynera, kucharki i wielkiego oswojonego żółwia, który reagował na swoje imię. Staruszek znalazł się kiedyś sam na plaży, upuścił laskę i bezradnie szukał jej na ziemi, macając rękami. Jego wielkie spłowiełe oczy nie dostrzegały laski, wargi poruszały się, robił wrażenie ślepego. Był rzeczywiście prawie ślepy i przez dziwną próżność nie chciał przyznać się do gasnącego wzroku. Podałam mu laskę. W parę dni później usiedliśmy na ławeczce i rozgadaliśmy się.

Znał dokładnie dwór ostatnich dwóch panujących ze wszystkimi intymnymi szczegółami. Miał krytyczny stosunek do swych przeżyć, był wykształcony na sposób europejski, pełen galanterii i tej specjalnej delikatności, którą ocenić może tylko człowiek na równym poziomie kulturalnym — każdy inny uzna ją za szczęśliwą prostotę. Ku memu wielkiemu zdziwieniu był to pierwszy człowiek, od którego usłyszałam słowa uznania dla bolszewików.

— Zrozumie mnie pani, moja droga, gdy dożyje pani mego wieku. Nie wierzę w pomysły pani męża i generała Denikina. Poniosą klęskę nie dlatego, żeby brakowało im męstwa lub uczciwości, ale dlatego że nie mają właściwego hasła. Stara armia rozpadła się, bo umarła jej ideologia. Ani armaty, ani karabiny, ani pociski, ani generalicja nie stanowią siły, nie stanowi jej również mnóstwo wy-musztrowanych żołnierzy. Siłę stanowi hasło, póki się nie przeżyje. A losy wszystkich haseł są zawsze jednakowe: najpierw są one istotne, gdyż odpowiadają woli ludu i celom przedsięwzięcia; potem stają się formą — wyznaje się je z przyzwyczajenia, nie dostrzegając, że cele i wola uległy już zmianie; aż wreszcie stają się fikcją, gdy ich już nikt nawet nie wyznaje, tylko donasza jak stare ubranie i wtedy następuje krach całego przedsięwzięcia. Dom bankowy — Europa et Colonies —

zbankrutował. Niech mi pani wierzy, to już koniec tego przedsięwzięcia.

— Czyż doprawdy cała nasza ideologia jest już przebrzmiała?

—Proszę zajrzeć do wnętrza własnej duszy. Przewidywałem taki obrót spraw już w czternastym roku, tydzień przed wybuchem wojny. Wszyscy bez wyjątku byliśmy neurastenikami. Co poczęlibyśmy, gdybyśmy mieli żyć jeszcze sto lat? Zapewniam panią, że zajęlibyśmy się klasyfikacją przeszłości. Mój lokaj nazywa to generalnym porządkowaniem biurka. Wszystko zostało już nie tylko powiedziane, odczute, przeżyte, ale nawet przekazane innym, przetłumaczone na języki obce. Czy pani nie dostrzega, że nasze pokolenie nic już nie ma do przekazania następnemu? Nic! Między nami leży przepaść. Jesteśmy dla nich nazbyt wyrafinowani, nazbyt... Oni zaczynają od początku.

—I pan myśli, że bolszewicy...

—Są wspaniali dlatego, że stanowią nie tylko partię polityczną. Gdyby byli tylko partią polityczną, umieściłbym ich wewnątrz koła, a nie na zewnątrz. Ale ci ludzie przynoszą nowy światopogląd i na tym polega ich wyższość i siła. Nie bardzo jeszcze ten ich światopogląd rozumiem. Jest on dla mnie barbarzyński, wulgarny, nieprawdopodobnie zacieśniony. Ale niech pani sobie, moja droga, przypomni, jak wyglądało chrześcijaństwo w oczach wykształconego Hellena w początkach naszej ery. Czy ten Hellen był w stanie przewidzieć te całe kompleksy najsubtelniejszych idei, tę atmosferę najwyższej delikatności, ferment, zdolny do zapłodnienia sztuki, etyki, prawa? A to wszystko na przestrzeni wieków wyłoniło się z chrześcijańskiego światopoglądu. Wszystko to, co Hellen uważał za ordynarne, prymitywne, jednostronne, nawet cyniczne. Dlatego też nie wolno nam wydawać sądów z naszego punktu widzenia. Zachowajmy mądre milczenie.

i— Ale przecież nie można porównać bolszewików z chrześcijaństwem. Bolszewicy zwalczają każdą religię, propagują materializm i niewiarę.

— Każda partia polityczna zostawiłaby religię w spokoju. Tylko nowa religia wypowiada wojnę starej. Co zawierają hasła? Słowo — to tylko zamknięte na klucz drzwi. A istota rzeczy nie polega na kluczu, ani nawet na drzwiach, ale na tym, dokąd te drzwi prowadzą. To są losy każdego nowego słowa, które samo siebie głosi. Właśnie w walce z religią upatruję namacalny

dowód moich przypuszczeń. Pochwalam bolszewików, kimkolwiek są. Pochwalam, gdyż przynieśli ze sobą nową ideologię, a co za tym idzie nową organizację naszych starych, podniszczonych wartości ziemskich. A to obiecuje nam nową młodość i jeszcze parę stuleci życia staruszcze ziemi.

—Ale oni pana zabijają.

Starzec spojrzał na mnie wielkimi niewidzącymi oczyma.

—O! Dlatego właśnie ich pochwalam. Tak, zabijają mnie, żeby żyć na moim miejscu.

Wstał, oparł się na lasce i uśmiechnął szerokim, bladym uśmiechem dworaka.

—Proszę przyjść zobaczyć moją Netti. Nie znam ani jednej główki kobiecej, która mogłaby rywalizować z urodą główki żółwia. Nie widziałem nigdy łagodniejszych, smutniejszych i bardziej wyrazistych oczu. Dziwna rzecz, że żaden z wielkich mistrzów pędzla nie zwrócił na to uwagi.

Pożegnaliśmy się, a następnego dnia przyjechał umyślny od mego męża z następującym, lakonicznym listem:

„Alinę, spakuj się i czekaj na mnie. Jadę do Europy i zabieram cię ze sobą. Za granicą zachowam stanowisko i uposażenie ministra. Całuję tysiąc razy. Bądź ostrożna, nie mów nikomu, że spodziewasz się mego przyjazdu.”

Na samą myśl o powrocie do Europy ogarnęło mnie przerażenie. Znowu prowadzić to straszne, bezdomne życie rośliny ściętej i pozbawionej korzeni. Resztkami instynktu samozachowawczego czepiałam się nawet tej nieprzytulnej, jesiennej ziemi małego nadmorskiego uzdrowiska, nie chciałam nigdzie wyjeżdżać i ze strasznym zdumiewającym uporem zaprotestowałam, gdy ty, Willi, zjawileś się wreszcie u mnie w jakimś dziwnym uniformie, z rozbieranymi oczami i ohydny uśmiechem. Tak rozpaczliwie pragnęłam, abyś wyjechał sam — i rzecz dziwna — nawet nie bardzo nalegałeś. Słowa twoje zdradzały niebywałą troskliwość, ale wyjechałeś, zabierając ze sobą nie tylko tekę ministra, lecz również, przez roztargnienie, moje brylanty. Przy pożegnaniu zapomniałeś zostawić mi pieniędzy i znów zapewne przez roztargnienie nawet o nich nie wspomniałeś. Dalsze koleje twego losu mogę sobie wyobrazić dosyć realnie dzięki wiado-

mościom innych żon o swoich mężach. Jesteś prawdopodobnie wciąż jeszcze ministrem, a może też jakimś dygnitarzem u jednego z pretendentów do tronu rosyjskiego. Spędzasz czas na posiedzeniach, wysłuchujesz sprawozdań, jeździsz na oficjalne spotkania. W intymnych pogawędkach z kobietami opowiadasz, jak to bolszewicy zamę-

IW¹

czyli i otruli twoją żonę, a trupa jej wrzucili do wspólnej mogiły. Zbierasz podpisy pod apelem do Wilsona, Nansena, Poincare, Lloyd George'a z błaganiem, aby nie udzielali pomocy głodującemu ludowi rosyjskiemu, dla którego lepiej będzie umrzeć w charakterze świętego, niż uratować się przy bolszewikach. Wystajesz w poczekalniach różnych ministrów skarbu, starając się o kredyty. Kupiłeś sobie nieruchomość. I cały czas krocysz w harmonii ze swą epoką, naśladując jej zamięłowanie do modnych słówek: kukaleś na pewno jednym tchem „Inter-inter-inter-wencja”... Sprostuj, jeżeli się w czymkolwiek omyliłam!

Ale wątpię, czy ty sam, Willi, możesz sobie wyobrazić to, co ja przeżyłam w ciągu tych lat. Z wyjątkiem złamanego kręgosłupa, obciętych piersi, tortur w Czeka i pochowania we wspólnym grobie. W to, niestety, sam nie wierzysz, bo uparcie nie chcesz dać mi zgody na rozwód —| ale co poza tym potrafisz sobie wyobrazić o moim życiu? Ten pamiętnik może ci pomóc. Nie fatyguj swego ministerialnego mózdzku, sama opowiem ci o wszystkim po kolei.

Zaraz po tobie wyjechali również mężowie moich trzech sąsiadek, nie zdążywszy nawet uprzedzić ich o tym. Zostałyśmy prawie bez środków do życia. Byłam samotna, ale one miały dzieci, dwie po jednym, trzecia dwoje. Po cieplej, południowej jesieni nastąpił okres deszczów, słoty, nordostów. Służąca odeszła, potraktowawszy nas zuchwale i zażądawszy na pożegnanie trzymiesięcznego odszkodowania. W gazetach ukazywały się zarządzenia: najpierw zarządzenia o mobilizacji, potem o karze śmierci na dezterów, potem o ewakuacji. Z Noworosyjska razem z Wranglem odpłynął ostatni statek. Naoczni świadkowie opowiadali, że oficerowie bagnietami rozpędzali cywilów, którzy chcieli dostać się na okręt, a potem utworzyli szpaler na drodze do portu i stali jak mur, podczas gdy transportowano skrzynie, skrzynie ze złotem, srebrem, kosztownościami, antykami. A potem gazety też

przestały wychodzić.

Nasze małe uzdrowisko, jak ci wiadomo, powstało z dawnej osady katorżników. Tubylcy — potomkowie kryminalistów, pół-Ko- zacy, pół-Rosjanie, którzy dotychczas żyli z letników, znoszących im złote jajka, postanowili zrobić tak jak dziad i baba z bajki: zamiast co dzień czekać na jedno jajko, lepiej zarznąć kurę i wyciągnąć z jej brzucha wszystkie jajka od razu.

Elektrownia stanęła, wodę przestano dowozić, ze sklepów znik-
nął chleb! Przez trzy dni przed wejściem czerwonych tubylcy zarzynali
złotonośne kury. Wiedziałam, że mój staruszek szambelan został
samiuteńki, gdyż lokaj i kucharka opuścili go w pierwszych dniach zamętu.
Ale bałam się do niego pójść. Siedziałyśmy, cztery kobiety z czworgiem
dzieci, w dużej, pustej willi, ciemnej i nieogrze-
wanej, bez kropli wody, bez
kruszo- ziny chleba. Dla dzieci miałyśmy tylko trochę herbatników „albertów”,
którymi skapo karmiłyśmy je przez trzy dni. W nocy rozległo się straszliwe
walenie w bramę. Dzieci zaczęły płakać. Zatkanymi im usta. Walenie
powtórzyło się, nabierało grozy, słychać było uderzenia siekiery w drzewo.
Brama nie wytrzymała. Podeszłam do cienkich drzwi willowych i zapytałam:

— Kto tam? Dzieci śpią.

— Otwieraj, póki nie wyłamaliśmy drzwi!

Otworzyłam złodowaciałymi rękami. Nie mogłam mówić, ogarnięta
straszliwym dygotaniem — dygotały mi wargi, serce, puls. Kilku bandytów
wdarło się do nas w zupełnej ciemności. Jeden z nich przytykał zapalniczką i
trzymał ją cały czas, zastępując nową, gdy tylko dogasała. Miał twarz bez
zarostu, bez nosa, zniekształconą przez syfilis. Przeraził tak dzieci, że zaczęły
straszliwie krzyczeć. Bandyci huknęli na nie. Zaczął się rabunek.

Zdjęli nam obrączki ślubne, krzyżyki, broszki, zerwali zegarki. Grabili
wszystko z kufrów, rozrzućili bieliznę i suknie. Grabili w gorączkowym
pośpiechu. Pytali o wino i złoto, oglądali się na drzwi, nasłuchiowali strzałów.
Dzieci uratowały nasze ciała. Przeszkadzały, wrzeszczały, denerwowały,
kręciły się pod nogami. Bandyci nas nie ruszyli.

Po ich wyjściu zostałyśmy same wśród nocy w ograbionej willi z
wyłamaną bramą. Napad mógł się powtórzyć. Zabrałyśmy więc dzieci i

wyszliśmy z willi, pozostawiając ją na łasce losu. Za domem była niewielka szopa dla kóz, z sianem na stryszku. Wdrapałyśmy się na stryszek i zakopałyśmy się w sianie. Matka dwóch dziewczynek, najstarsza spośród nas, miała wadę serca. Nad ranem dostała ciężkiego ataku. Przypomniałam sobie, że szambelan miał zawsze pod ręką krople konwaliowe i digalen. Trzeba było przezwyciężyć strach i wybiec na ulicę. Budził się dzień. Nad morzem rozciągał się poziomy szkarłatny pas, zapowiedź wiatru. Na ulicach panowała zupełna pustka, wille były pozamykane i milczące. Skręciłam na bulwar, gdzie w oliwkowym gaju, prawie nad samym brzegiem morza, znajdowała się willa szambelana. Tutaj zauważyłam jakiś ruch. Dwie kobiety, Greczynki, stały przy furtce i wściekle wymyślały. Podeszłam bliżej. Obie natychmiast schowały coś pod fartuchy, popatrzyły na mnie i rozeszły się w milczeniu, nie odpowiadając na moje pytania.

Jak się należało spodziewać, szambelan został doszczętnie ograbiony. Na dźwięk mego głosu poprosił, abym zaczekała, i wyszedł dopiero, gdy się całkowicie doprowadził do porządku. Uśmiechnął się do mnie:

—Na szczęście digalen miałem w kieszeni, oto jest. A pani przepowiednia nie spełniła się: jeszcze żyję... Ale Netti, Netti!...

Na podłodze u jego stóp leżał żółw. Małeńka główka był zmiażdżona obcasem, martwe łapki wysunięte bezwładnie.

—Umarła jak prawdziwa kobieta. Ta skorupa mogła ją uratować przed każdym przewrotem politycznym... Ale, gdy ci ludzie włamali się do nas, nie mogliśmy obejść się bez siebie. Zawołałem: „Netti”. Wypęzła natychmiast. Podążała ku mnie ze swą żółwią szybkością, zapominając o niebezpieczeństwie. Jeden z rabusiów rozgniół jej głowę. Jej cudne, łagodne oczy wypłynęły. To była ostatnia miłość mego życia i jestem szczęśliwy, że nie zabiła mej wiary w kobietę. Ale dokąd pani śpieszy, moje dziecko? Nie mogę pozwolić, aby pani szła sama. Odprowadzę panią.

Włożył kapelusz, wziął laskę i wyszliśmy razem. W humorystycznej formie jego opowiadania dostrzegłam tragiczne tony. Wydało mi się, że niepodobna zostawić staruszkę samego i zgadzając się, aby mnie odprowadził, umyśliłam sobie po prostu, że namówię go, aby został u mnie.

Ale w domu czekała nas nowa niespodzianka. Matka dwóch dziewczynek

umarła. Dwie moje pozostałe sąsiadki gorączkowo pakowały swoje rzeczy; postanowiły popłynąć kutrem do Noworosyjska, gdzie miały krewnych. Gdy nadeszłam z szambelanem, jedna z nich wybiegła na nasze spotkanie.

—Pani Aleksandro, kochana, to szaleństwo zostawać tu dłużej. Zdecydowałyśmy się wyjechać. Siostra dowiedziała się, że kuter odejdzie za chwilę. Co pani zamierza robić?

Spojrzałam na staruszkę, który w ciągu jednej nocy osiwił jak gołąb, ale stał obok z uprzejmym uśmiechem. Przypomniały mi się podróże z mężem za granicę, kiedy to ustawicznie przerzucaliśmy się z miejsca na miejsce.

Wyobraziłam sobie Noworosyjsk — hałaśliwy.

zakurzony, obcy, bez żadnej bliskiej duszy — i odparłam stanowczo:

— Zostanę tutaj.

—Ach, pani zdejmuję nam kamień z serca. Zachodziłyśmy w głowę, co robić z Lusią i Wałą. Niech pani z łaski swojej zaopiekuje się nimi, póki nie przyjedzie ich ciotka. Matka powiedziała przed śmiercią, że napisała już do niej i lada dzień spodziewa się jej przyjazdu. O tu, na tej karteczce są jej ostatnie słowa, adres. A w tym węzełku wszystko, co zostało po niej z kosztowności. No, do widzenia, niech pani nie traci odwagi...

Wycalowały mnie i załadowawszy cały swój dobytek na plecy dwóch zmizerowanych chłopców złapanych na przystani, pobiegły w stronę morza. Lusia i Wała, anemiczne petersburskie dziewczynki, piegowate, ze skrofulicznymi wyrzutami koło ust i uszu, wysunęły się z kąta, podeszły i nie płacząc, w jakimś odrętwieniu, chwyciły mnie za suknię. Spojrzałam na szambelana i nagle doznałam uczucia olbrzymiej ulgi, jakby ciężar ostatnich przeżyć spadł mi z barków. Zawołałam młodym, dźwięcznym głosem, z nagłym przyływem energii:

— Drogi przyjacielu, teraz już nie może mnie pan opuścić. Pan nie ma Netti, a ja mam Lusię i Walę. Niech pan zostanie z nami.

W owej chwili nie rozumiałam znaczenia całkowitej przemiany, która we mnie nastąpiła. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że realna troska o innych stanowi ostatni ratunek człowieka. Pustka, obojętność, nuda, znużenie spadły ze mnie jak łuska. Dusza wyprostowała się z nową, niespodziewaną sprężystością, ze świadomością trosk tylko dnia dzisiejszego,

z krzątaniem i kłopotami niedalekiego, macierzyńskiego spojrzenia. I to właśnie było moim odrodzeniem.

Zaczęliśmy życie we czwórkę: staruszek, dwoje dzieci i ja. Początek stanowiło spotkanie z aptekarkową, która mnie zaprosiła na obiad. Aptekarzowej rozdarł się koronkowy czepeczek w czasie bieganiny z kuchni do jadalni. Umiałam cerować koronki, w każdym razie potrafiłam to umieć. Wówczas zaczęto mi przynosić je do domu. Po koronkach przyszła kolej na reperację bielizny, haftowanie, roboty na drutach. Roboty starczało dla wszystkich. Szambelan nauczył się przyrządzać obiad, zbierał w lesie chrust. Dziewczynki pomagały mi w pracy. Wkrótce całe uzdrowisko знаło mnie i moją małą rodzinę. Bolszewicy nikogo z nas nie ruszyli, zabrali mi tylko wszystkie listy męża i kazali podpisać zobowiązanie, że nigdzie nie wyjadę.

Ale życie z każdym dniem stawało się trudniejsze. Odzież dziewczynek była zupełnie zniszczona, oczekiwana ciotka wciąż nie przyjeżdżała. Ludzi, którzy sobie coś szyli i dawali mi pracę, było coraz mniej. Ceny rosły. Zaczęłam się wyprzedawać. Po paru tygodniach przejedliśmy moje ubranie. Szambelan zachorował. Podejrzewałam, że umyślnie morzy się głodem, żeby wybawić mnie od dodatkowego kłopotu. Wówczas zaczęłam udawać, że otrzymuję listy i paczki od męża. Szambelanowi tak już osłabł wzrok, że nie mógł odkryć mego podstępu. Przez pewien czas udawało mi się podtrzymywać w domu dobry nastrój ~ a potem rzeczywiście nadeszła paczka — od lokaja szambelana. Otrzymał gdzieś w pobliżu dobrą posadę jakiegoś kierownika transportu czy szefa wydziału zaopatrzenia, dowiedział się o losach swego dawnego pana i przysłał nam mąki, kaszy i cukru.

Staruszek rozplakał się rozpakowując przesyłkę. A gdy się uspokoił, powiedział drżącym głosem:

—Jakże piękne jest życie ze wszystkimi swymi niespodziankami! Niech pani, dziecko moje, nauczy się tej wielkiej prawdy, że wszystko na świecie jest względne. Ta na przykład kasza jaglana — prawda, że to kasza jaglana? —jest taka sama jak przedtem, ale ile jednak musiało nastąpić zmian, jak różne czynniki musiały oddziaływać na duszę ludzką, aby każde jej ziarnko było zdolne sprawić nam radość. Zaprawdę, życie jest jednym ciągiem

niespodzianek. I jeżeli przy jakichś tam sześćdziesięciu czterech kwadratach szachownicy możliwa jest niezliczona ilość kombinacji, to niech pani tylko pomyśli, ile kombinacji posiada w zapasie życia!

Wymyśliłam nowy sposób zarobkowania: wypiekałam ciastka do miejscowych, jeszcze czynnych kawiarni. Gdy je zamknięto, sytuacja stała się krytyczna. Znowu poradziła mi aptekarzowa:

— Niech pani piecze placuszki i sprzedaje spod poły koło poczty. To najbardziej ruchliwy punkt, ludzie idą tamtędy do pracy. Sądzę, że w ciągu godziny rozprzeda pani wszystko.

W domu podeszłam do lustra. To była jednak moja twarz, chociaż opalona, spierzchnięta, z gładko zaczesanymi włosami. To były moje ręce, chociaż posiniaczone, podrapane, szerniały od pyłu węglowego i obierania kartofli. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, nie włożyłam ani żakietu, ani kapelusza. W kuchni znalazłam zostawioną przez naszą służącą dużą chustkę wełnianą, przepaloną w wielu miejscach żelazkiem. Napiekłam placuszków, narzuciłam tę chustkę na ramiona, schowałam pod nią koszyk i poszłam w stronę poczty. Musiałam iść głównymi ulicami i ze dwa razy milicjanci podejrzliwie spoglądali na moją chustkę. Gdy przechodziłam koło komitetu wykonawczego, usłyszałam tupot kopyt końskich.

Przed wejściem do komitetu stał tłum ludzi. Grupa czerwonoarmistów siedziała nie opodal na ziemi. Wielkie białe afisze naklejone na słupie obwieszczały o mającym się odbyć wiecu z udziałem towarzysza Bezmienowa z miasta obwodowego. Nie wiadomo czemu przystanęłam i spojrzałam na drogę. Jeden z czerwonoarmistów pociągnął mnie za spódnicę.

— Co tam chowasz, cioteczko?

— Może chcecie placuszków? — odpowiedziałam bezwiednie, z niepojętym brakiem ostrożności. Czerwonoarmista mrugnął porozumiewawczo do sąsiada:

— Pokaż te twoje placuszki, czy aby świeże?

— Gorące, prosto z pieca.

Nauczyłam się już mówić dialektem ludowym. Odchyliłam chustkę i pokazałam mu koszyk z gorącymi placuszkami. Żołnierz natychmiast

chwycił mnie za łokieć i krzyknął na całe gardło:

— Trzymaj, towarzyszu, spekulantkę złapałem!

Zaczęłam się rozpaczliwie wyrywać.

— Puśćcie mnie, pozwólcie mi odejść!

— A już, zaraz cię puścimy. Milicjant, chodź no, spisz protokół.

— Nie róbcie tu hałasu, wiec się zaczyna, mówcy przyjechali.

— Wierc się zacznyna, a wy spekulantów nie pilnujecie! Co sobie pomysli towarzyszy Bezmielow, który przyjechał z miasta. Zaprowadźcie ją do milicji — mówił półgłosem szczupły sekretarz komitetu wykonawczego, który znał mnie z widzenia. Gdyby nie gość z miasta, pewnie kazałby mnie wypuścić. Rozejrzałam się z rozpaczą na wszystkie strony. Koszyk przechodził z rąk jednego czerowonoarmi- sty do drugiego.

W tej właśnie chwili oczy moje spotkały się ze wzrokiem człowieka wysiadającego z bryczki. Był to wojskowy, w kurtce mundurowej i skórzanej czapce. Spod otoku błysnęło dwoje bystrych, przenikliwych oczu. Krótka górna warga odsłoniła rząd drobnych zębów.

W jednej sekundzie poznaliśmy się oboje. Nie wiem czemu krzyknęłam, zasłoniłam twarz rękami i cofnęłam się wprost w ramiona milicjantów.

Milicja, więzienie, czeka — wszystko wydało mi się lepsze, przyjemniejsze, miłsze od tego spotkania. Usłyszałam głos:

$$-O-CO \quad 'Y^{\wedge}_-$$

—Złapaliśmy spekulantkę na gorącym uczynku.

—Puśćcie te kobiety, tylko zapiszcie jej adres.

Popełnił bezprawie. To mię odrobinę pocieszyło, raczej zmniejszyło mój wstyd. Gdy odważyłam się spojrzeć, towarzysz Bezmie- now wchodził po schodach do komitetu wykonawczego, odwrócony do mnie plecami. Milicjant popchnął mię i nie myśląc nawet o zapisywaniu adresu powiedział pojednawczo:

—Czegoś oczy wytrzeszczyła? Idź sobie!

Wróciłam do domu bez koszyka, bez placuszków i bez pieniędzy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Ciociu, ciociu, a u nas była rewizja!

Lusia i Wala wybiegły na moje spotkanie z ożywionymi twarzyczkami. W

życiu tych biednych dzieci to też było jakieś wydarzenie. Obejrzałam mieszkanie. Wszystko, co można było przewrócić, było przewrócone do góry nogami, ale nie zabrano nawet skrawka papieru. Na stole leżała kartka zapisana wielkimi literami:

„Zaświadczam, że przeprowadzono rewizję w mieszkaniu obywatelce Zworykinej, pszy ktorej nic takiego nie znaleziono. 3 oddz. kw. Byczków”.

— A gdzie jest szambelan? — Rozejrzałam się dokoła. Staruszka nie było.

— Wujka zabfali żołnierze — poważnie zakomunikowała mi Lusia, starsza z dziewczynek. — Bardzo się cieszył. Powiedział: „Ucałuj naszą dobrą Alineczkę i powtórz jej, że jestem wesół i zadowolony. Niech się nie martwi”. Powtórzyłam ci dokładnie, tak jak kazał.

Zrobiło mi się ciemno w oczach, osunęłam się na krzesło. Zabrać mądrego, dobrego, na wpół ślepego, siwiutkiego jak gołąb staruszka! Zabrać mego ostatniego przyjaciela! I cieszył się, odchodząc, cieszył się, że będę miała o jedną osobę mniej do wyżywienia... Opuściłam głowę na stół i rozplakałam się — pierwszy raz w ciągu tych dni, pierwszy raz w ciągu tych lat... Płakałam tak, jak bym chciała rozplynać się we łzach, umrzeć, nie widzieć i nie słyszeć nic. Dzieci stały koło mnie ciche jak myszki. Lusia wsunęła mi rączkę pod ramię i przytuliła się do mnie. Wala trzymała mnie za spódnicę.

Gdy wyczerpałam już cały zapas łez i uspokoilałam się, dziewczynki szepnęły:

— Ciociu, rozpaliliśmy pod blachą.

Przypomnialam sobie, że dzieci od rana nic nie jadły. Podniosłam się, obmyłam twarz i podeszłam do kuchni, zastanawiając się, co można by ugotować. Dziewczynki obrały już kartofle i zagotowały wodę. Musiałam je pochwalić i pogłaskać po główkach. Wówczas Lusia z tajemniczą miną wsunęła rękę za pazuchę i wydobyła stamtąd list.

— Ciociu, czuję, że to dla nas. To jest zaadresowane do mamusi.

Otworzyłam list i przeczytałam kilka krzywych linijek, napisanych męskim pismem. Siostrzeniec zawiadamiał kochaną ciocię, że jego matka cierpi bardzo na nerwy, nie jest w stanie nawet sama pisać i prosi, aby on ją wyręczył. W ich majątku jest niespokojnie, przenoszą się do miasta, a

miejskie mieszkanie jest małe, przy tym warunki są dziś takie trudne, że stanowczo nie radzą przenosić się do nich, zwłaszcza z dziećmi. W dodatku nie mogą nawet określić ściśle, kiedy przeniosą się do miasta. Dalej następowały informacje o sprawach osobistych siostrzeńca, o tym, że jego słynna, premiowana suka się oszczeniła i że najlepszego szczeniaka zabierze ze sobą do miasta. Ukłony, uściski dla dziewczynek i zapytania, czy mają wiadomości od „szczęśliwca, który przebywa poza strefą osiągalności”, podpis „Niko”.

Przeczytałam dzieciom list na głos. Moja wiedza o ludziach została dziś całkowicie wzbogacona. List nie zdziwił mnie i nie zmartwił, pomyślałam tylko, że siostra nieboszczki nie wie jeszcze nic o jej śmierci i powinnam ją zawiadomić o zmienionej sytuacji. Nakarmiłam dziewczynki, wyprawiłam je do miasta w sprawie zamówień na moje roboty i usiadłam do pisania. W paru słowach zawiadomiłam chorą na nerwy osobę o śmierci jej siostry i zapytałam, co mam robić z dziećmi. Następnie wyjaśniłam, kim jestem, i jakie stosunki łączyły mnie ze zmarłą, podałam adres i zalepiłam kopertę.

Po skończeniu przysunęłam sobie ostatni arkusik papieru listowego, który mi jeszcze pozostał. Z zagryzionymi wargami, z ołówkiem w ręku zastanawiałam się jeszcze czas jakiś, patrząc bezwiednie na resztki naszego skąpego obiadu: solniczkę z solą i obierki kartoflane. Dwie myśli nurtowały mnie bezustannie, przyprawiając o ból serca. Jedna dotyczyła szambelana; nie mogłam pozostawić go bez pomocy. Należało jakoś działać, ażeby uratować staruszkę, iść gdzieś prosić, robić starania, dowiedzieć się, gdzie się znajduje. Druga... nie miałam odwagi przyznać się samej sobie do tej myśli. Nie mogłam pozwolić, aby on uważał mnie za spekulantkę. To mnie paliło jak wstyd, budziło wściekłość, wskrzeszało dawną Alinę, zdolną do szaleńczych wybryków. Nienawidziłam go jako jednego ze sprawców wszystkich naszych nieszczęść. Należałam do poszkodowanych, byłam burżujką, nienawidziłam bolszewików jak kija, który bez ustanku wali mnie po głowie. Ale nie mogłam znieść myśli, że Bezmienow uważa mnie za spekulantkę.

Za spekulantkę! Krew uderzyła mi do głowy, chwyciłam za pióro i nie

namyślając się dłużej, zaczęłam pisać:

„Towarzyszu Bezmienow! (Dziś dopiero dowiedziałam się, że pan się tak nazywa). Zobaczył mnie pan na ulicy, w rękach czerwonoarmistów, krzyczących, że jestem spekulantką. Teraz musi pan dowiedzieć się reszty. Tak, przekroczyłam ustalone przez was prawa, gdyż muszę wyżywić, prócz siebie, dwoje dzieci i chorego starca. Zrujnowaliście nas, zabraliście wszystko, co posiadaliśmy i w zamian pozostawiliście nam tylko perspektywę śmierci głodowej. Pracuję gdzie tylko i jak mogę: szyję, gotuję, chodzę prac, wynajmuję się do sprzątania, do wszelkich robót dorywczych. Przywykłam już do każdej pracy. Ale niech pan wie, że w pańskim kraju, w którym zrobiliście rewolucję, praca od siódmej rano do dziesiątej wieczór nie chroni przed głodem. Pozostała mi już tylko ta poniżająca praca, której nadaliście miano spekulacji, ale zabraliście mi wszystko, co wypieklam na sprzedaż i co miało wyżywić moją rodzinę. Po powrocie do domu dowiedziałam się, że staruszek szambelan F. został aresztowany i uprowadzony nie wiadomo dokąd. Ręczę panu własnym honorem, że nie był on w nic zamieszany i nigdy nie był wrogiem rewolucji. Może to wyda się panu nieprawdopodobne, ale przysięgam na wszystkie świętości, że z jego ust słyszałam najmądrzejszą i gorącą obronę bolsze- wizmu. Jest prawie ślepy, stary, chory, wynędzniały. Nie ma na świecie nic i nikogo prócz mnie, w więzieniu umrze. Błagam pana, niech pan każe go wypuścić, niech pan zbada jego sprawę. Nie popełniajcie niepotrzebnych okrucieństw, wtedy postaram się przezwyciężyć swą nienawiść do was i waszej sprawy, nienawiść, której nie mogę i nie chcę przed panem ukrywać.

A. Zworykina”.

Nie pozwalając sobie na dłuższe namysły, które mogłyby mnie powstrzymać, napisałam na kopercie: „Do towarzysza Bezmienowa, pilne”, narzuciłam na ramiona tę samą chustkę i pobiegłam do komitetu wykonawczego. Wiec już się skończył, ludzie się rozeszli. Dyżurny powiedział mi, że towarzysz Bezmienow wyjechał do sąsiedniej osady i wróci dopiero na noc. Powiedziałam, że zgłoszę się jutro po odpowiedź i wróciłam do domu.

Ale następnego dnia nie otrzymałam odpowiedzi. Dyżurny był już inny, nieznajomy i nie potrafił mi nic powiedzieć w mojej sprawie. Towarzysz

Bezmienow został nagle odwołany do Jekatierinodaru. Jedyłą pociechą było, że w ostatniej chwili przed odjazdem wręczono mu wszystkie listy i papiery, a więc powinien był przeczytać mój list.

Mijały dni za dniami. Szambelana nie zwalniano. Nie udało mi się uzyskać widzenia z nim. I coraz trudniej było zdobywać chleb.

Lusia i Wala, obdarte, z chronicznym katarem, z czerwonymi, popuchniętymi od zimna rączkami, godzinami wystawały w kolejkach, podczas gdy ja biegałam na posługi. Życie zacieśniło się do biologicznej walki o byt. Gazet nie widywałam, o książkach nie miałam czasu nawet marzyć. Wszystko przepływało poza mną -p zdarzenia, ludzie, życie. Wciąż tylko ta sama litościwa aptekarzowa, która była teraz urzędniczką wydziału zdrowia, zaglądała do nas od czasu do czasu i komunikowała nam najświeższe nowiny: gdzie co wydają, jak zdobyć potrzebne zaświadczenie, gdzie się zapisać. Ona też wywiedziała się, gdzie jest szambelan, i pomogła mi zorganizować paczkę — chleb i jajka gotowane na twardo.

Przestałam zupełnie sypiać. Pamiętam, że w dzieciństwie mieliśmy psa, który cierpiał na ataki nerwowe. W dzień, podczas snu do stawał nagle drgawek, przeciągał się, machał głową, czasem zaczynał przez sen szczełać spazmatycznie i drapać podłogę łapami. Mój sen zrobił się obecnie podobny do snu tego psa. Zanim zdążyłam usnąć, nerwowe drżenie przenikało mnie od stóp do głów. Otwieram oczy, zrywam się — co się stało? Nic się nie stało, obok mnie śpią dzieci, za oknem czarna noc południa. Zasypiam, aby za kwadrans znowu zbudzić się z krzykiem. Wszystkie troski dnia, męka zdobywania chleba, ze zmęczenia dręczący ból w kościach, obolały krzyż, drganie gałki ocznej i wzmożona działalność serca — trzymały mnie w najcięższym do zniesienia stanie ustawicznego napięcia. Rankami wskutek niewyspania dostawałam zawrotów głowy; żeby im zapobiec, nauczyłam się unikać nagłego zrywania się z łóżka, podnosiłam się powoli, całym tułowiem, nie zginając karku.

Pewnego razu zajrzał do nas listonosz, który przyniósł zaadresowany do mnie list od ciotki Lusi i Wali. Tym razem ciotka pisała osobiście. Wyrażała, ma się rozumieć, wielki żal z powodu śmierci siostry, najdroższe sierotki będą przez nią ma się rozumieć zawsze mile widziane, ale słowo „zawsze”

oznaczało czas, w rachubę którego nie wchodził okres obecnej zimy, bardzo dla wszystkich ciężkiej. W tej chwili nie ma odpowiedniego mieszkania, opału, chleba, łóżek, nie mogłaby zorganizować dzieciom należytej opieki. Szczególnie, że po zmarłej siostrze powinny zostać brylanty, biżuteria, srebro i ubranie. Nie powinnam się krępować w sprzedawaniu odzieży i srebra, co pomoże mi wyżywić dzieci i będzie stanowiło pewną rekompensatę za ponoszone trudy. Lecz oczywiście, ma niezłomną nadzieję, że złoto i brylanty, szczególnie znane kolczyki nieboszczki z ogromnym solite-rem potraktuję jak niewzruszony kapitał sierotek i nie omieszkam przekazać w pewne ręce. Dalej podawała mi do wiadomości, że takie pewne ręce istnieją w pobliżu mnie, w osobie madame Korzyńskiej, małżonki dyrektora banku, która została wraz z całą rodziną w swojej willi i jako jej przyjaciółka gotowa będzie oddać sierotkom wszelkie usługi, aż do wręczenia ich majątku w ręce ciotki. Równocześnie z listem do mnie madame Korzyńska zostaje zawiadomiona o wszystkim, co się stało, i bez wątpienia nie omieszką odwiedzić mnie w dniach najbliższych. W końcu następowały czułe pocałunki, dobre rady, wyrazy wdzięczności i podpis.

Przeczytałam ten list ze zdumieniem i uprzytomniłam sobie, że zapomniałam napisać o rabunku i o tym, że sieroty nie posiadają żadnego majątku. Wyjęłam z komody węzełek, spakowany owej złowieszczej nocy przez moje sąsiadki, rozwiązałam go i wyłożyłam na stół wszystko, co pozostało: dwie fotografie zmarłej, obrączkę ślubną, krzyżyk na łańcuszku, dokumenty, kilka listów i porcelanową filiżankę ze spodeczkiem, którą sama włożyłam do węzła, aby zachować dla dzieci chociaż jakąkolwiek pamiątkę o ostatnich godzinach życia matki.

Nie zdążyłam jeszcze przejrzeć tych rzeczy i zastanowić się nad listem, gdy ktoś mocno zastukał do drzwi od kuchni. Zostałam wszystko na stole i poszłam otworzyć. Przede mną stała stara, gruba kobieta w binoklach w złotej oprawce, w fokowym futrze i z głową obwiązaną czarnym koronkowym szalem. Okazało się, że jest to madame Korzyńska. Mąż jej był szefem jednego z miejscowych organów zaopatrzenia armii i pani Korzyńska bez obaw paradowała w swoich fokach.

— Chcę się zobaczyć z żoną byłego ministra Zworykina — powiedziała

odslaniając długie żółte zęby.

— To ja jestem.

— Ach przepraszam, nigdy bym nie pomyślała... Zresztą żyjemy w wyjątkowych warunkach. Dzień dobry pani, bardzo mi przyjemnie.

Zdjęła futro bez pośpiechu, z poczuciem własnej godności. Potem wytarła nos, wyjęła z torebki list, usiadła na najlepszym krześle, rozejrzała się bacznie dokoła i przystąpiła do rzeczy.

— Otrzymałam od mej najlepszej przyjaciółki list i upoważnienie na przejęcie od pani majątku jej siostrzenic. Mam tu orientacyjny wykaz przedmiotów. Moja przyjaciółka była obecna przy pakowaniu i widziała wszystkie rzeczy, które siostra zabierała. Mówię o tym dlatego tylko, żeby pani nie zdziwiła się, skąd moja przyjaciółka zna takie szczegóły. Przyjaciółka pisze mi, że może czegoś brakować, mogła pani być zmuszona sprzedać coś na życie, niech pani się nie krępuje, to takie zrozumiałe w dzisiejszych czasach! Ale żeby pani oddała mi na przechowanie pozostałe rzeczy, przede wszystkim kolczyki z soliterem.

Uśmiechnęłam się.

— Droga madame Korzyńska, bardzo mi przykro, że muszę panią rozczarować. Niech pani spojrzy na stół — to wszystko, co zostało w spadku po nieboszczce. Prócz tego są jeszcze naczynia stołowe, bielizna dziecięca i odzież wierzchnia, już zupełnie zniszczona. Wszystko, co się nadawało do przeróbki, przerobiłam dla dzieci. Ale nie starczyło nam ciepłych rzeczy. Dziewczynki biegają za lekko ubrane i są stale przeziębione. Sprzedawałam, oczywiście, tylko własne rzeczy.

Brwi madame Korzyńskiej wzniosły się w górę.

— Madame... nie znam imienia i imienia ojca pani... pani oczywiście żartuje? Chce pani, abym uwierzyła, że te śmiecie na stole to już wszystko? A gdzież jest biżuteria, gdzie są... — rozwinęła gorączkowo list i zaczęła czytać spis przedmiotów, których nigdy w życiu nie widziałam.

Wzruszyłam ramionami. Przypomniałam jej o napadzie bandytów i opowiedziałam szczegółowo, w jakich okolicznościach otrzymałam węzełek z rzeczami.

— Czy może pani podać mi nazwiska i adres tych pań? Ach, nie może

pani podać adresu? Wielka szkoda. Zgodzi się pani chyba, że to dziwnie, bardzo dziwnie brzmi. Nalegam stanowczo, aby pani jeszcze raz dobrze poszukała. A wreszcie — gdzież są te dzieci, niech pani zawoła dzieci, one przecież coś wiedzą, mogą zaświadczyć.

Otwarłam lufcik i zawołałam Lusię i Walę, które wykopywały z grządek ostatnie kartofle. Dziewczynki przybiegły i zatrzymały się w drzwiach, opalone, krótko ostrzyżone, w dziurawych butach i ciasnych kubraczkach, uszytych przeze mnie ze spódnicy ich matki. Ręce i kolana miały uwalane ziemią. Madame Korzyńska jęknęła.

— Ach, jak one wyglądają... Nie spodziewałam się... Mogę pani tylko powiedzieć... Biedne, nieszczęśliwe dzieci. Z takiej bogatej rodziny... Dzieci, przypomnijcie sobie, wasza mamusia miała w uszach kolczyki, takie śliczne z kamyczkiem, który połyskiwał jak promyk słońca. Gdzie się podziały te kolczyki, kto je zabrał?

Lusia i Wala słuchały tych słów ze zdumieniem, lecz gdy Korzyńska zaczęła mówić o zmarłej matce chwyciły się za rączki i rozplakały. Korzyńska rzuciła się na nie jak jastrząb.

— Nie bójcie się nikogo, dziecińki, powiedzcie mi całą prawdę. Przyjechałam do was od cioci, przywiozłam cukierków i ciasteczek, wszystko dostaniecie, tylko nie bójcie się, powiedzcie nic nie ukrywając: gdzie są kolczyki mamusi? Gdzie jest bransoletka, zegarek, pierścionki, łańcuszek do zegarka, futrzana pelerynka, suknia z koronek? Kto wam to zabrał, powiedzcie, nie bójcie się, on wam nic nie zrobi, zamkniemy go w więzieniu.

Biednym dzieciom przypomniła się noc bandyckiego napadu, straszna noc, gdy umarła mamusia i obie zanosiły się teraz płaczem, tuląc się do siebie. Nie mogłam patrzeć na takie znęcanie się nad nimi i chwyciłam Korzyńską za łokieć.

— Pani rozdrapuje ich rany! Czego pani od nich chce? Czyż nie powiedziałam pani wszystkiego?

— Niech pani mnie nie dotyka! — zapiszczała nagle Korzyńska tracąc całkowicie panowanie nad sobą. Jej nalaną twarz wykrzywił wyraz ordynarnej złości. — Kto pani jest, żeby dotykać uczciwych ludzi... Niech mi pani najpierw odpowie, gdzie jest majątek tych sierot. Napad, napad, myśli

pani, że trafiła na głupią! U mnie robili aż trzy rewizje, ale nie znaleźli ani jednego pierścionka. Zaraz pani uwierzę, że żadnej z was nie przyszło do głowy, żeby schować kosztowności. Tfu, i to się nazywa dama z towarzystwa, tfu, tfu, tfu! Lepiej niech pani odda dobrowolnie, bo inaczej damy z mężem znać komu należy, i dobrze pani za to zapłaci!

Słuchałam, podnosząc ręce ku skroniom. Sens tych okrzyków powoli, powoli docierał do mojej świadomości. Oskarżała mnie o kradzież. Przyszła domagać się zwrotu majątku nieszczęśliwych, biednych sierotek, porzuconych na śmierć głodową. Spojrzałam na swe czarne paznokcie, na spuchnięte, poranione ręce, pokaleczone palce, którymi szylałam, gotowałam, prałam bieliznę chorych na tyfus plamisty — i nie znajdując słów wchłaniałam tylko wrzaski Korzyńskiej.

— Niech się pani wynosi! — krzyknęła nagle histerycznie Lusia.

— Niech pani sobie idzie, niech pani nie dokucza naszej Alineczce!

Dziewczynka podbiegła do mnie i ukryła główkę w mojej spódnicy. Wala przybiegła za siostrą. Położyłam ręce na ich główkach.

— Zobaczmy — syknęła Korzyńska zmierzając ku drzwiom. Nagle zawróciła, chwyciła ze stołu krzyżyk i obrączkę, wrzasnęła raz jeszcze: „Złodziejka!” i zniknęła.

To, co przeżywałam przypominało powolne działanie trucizny. Najpierw jak oparzenie — uczucie jakiegoś dojmującego palenia wewnątrz. Uczucie to stopniowo wzrastało, aż do mdłości, do omdlenia, do skrętu kiszek. Nie mogłam wytrzymać w domu, chciałam zaczerpnąć powietrza, biec, zwierzyć się komuś. Zgroza mnie ogarnęła, przytłaczała z każdą chwilą mocniej, jak dach walącego się domu. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, myśli goniły jedna drugą. Nie na rzucając nawet chustki na ramiona wybiegłam na dwór i popędziłam do aptekarzowej.

Dzień był szary, pochmurny. Na ulicach panowała pustka. Pod cerkwią stara, na wpół ślepa żebraczka z nawyku, nie patrząc nawet, wyciągnęła do mnie rękę, prosząc o jałmużnę. Straciłam panowanie nad sobą, zatrzymałam się przy niej i wybuchnęłam histerycznym śmiechem. Śmiech przeszedł w łkanie. Żebraczka pociągnęła mnie za spódnice i bezwiednie osunęłam się

koło niej na kamienną przyzbę cerkiewną.

— Ho-ho-ho, młoda pani, widać nie jest ci lżej niż nam... Posiedź tu trochę, wypłacz się do woli... Tak to bywa. Życie, moja miła, to nie kaszka z mleczkiem. W dawnych czasach mądrzy ludzie, bywało, powiadali: cierp, mówili, Chrystus Pan cierpiał i nam kazał... A ja mówię teraz inaczej: cierp, powiadam, lud cierpiał i tobie każe... Pamiętam cię przecież, pani młoda, pamiętam. To nic, żem na oczy słaba, wszystkich pamiętam. W jedwabiach chodziłaś, z parasolką. Cóż robić, kochanie, popłacz sobie, popłacz teraz i powiedz: lud cierpiał i mnie kazał...

Już z innymi myślami udałam się do aptekarzowej. Łzy obeschły, a słowa żebraczki zagłuszyły świdrujący w uszach ohydny falset Korzyńskiej | Cóż mi się takiego przydarzyło? Koszmar — jaki koszmar? Pod każdą długością i szerokością geograficzną takie rzeczy codziennie, co chwila spotykały setki, tysiące różnych Duń, Matriosz, Lubasz... Setki, tysiące dziewcząt z ludu codziennie mogło otrzymać niesprawiedliwy cios pięścią, wraz z epitetem „złodziejka” — i nie śmiało oddać uderzenia. Połowa ludzkości — nie, więcej niż połowa miała od dzieciństwa do późnej starości ręce podobne do moich. Połowa ludzkości nigdy nie wysypiała się i nie jadła do syta, nie miała innych perspektyw życiowych poza dławiącym, mrocznym, upływającym w ciężkiej pracy dniem dzisiejszym. Dobrze, niech to samo dzieje się ze mną.

Wyprostowałam się i zwołam kroku. Nowa дума — дума rozpacz — zamknęła mi usta. Nie chciałam się już skarżyć nikomu. Wszystko było sprawiedliwe.

Nie dochodząc do rogu ulicy spotkałam aptekarzową, wystrojoną na przechadzkę.

— Idzie pani do mnie, Saszeńko? A ja właśnie wybrałam się do pani, niosę troszkę cukru do herbatki. Przy okazji chciałam panią uprzedzić: jutro święto, nie będzie można przesłać paczki, będę przyjmować w niedzielę, do dwunastej w południe.

Jutro święto. Korzyńska zabrała mi prawie cały dzień pracy. Nie miałam już ani krztyny maki, na kartki nie wydawano dziś chleba, w domu nie było nic prócz kartofli — a na jutro żadnego zamówienia, żadnej nadziei, żeby zarobić na obiad i na chleb dla szambelana.

— Czemu pani tak posmutniała? Nie ma pani zamówień? Dam pani dobrą radę, niech pani tylko posłucha. Jutro w odległości trzech wiorst od nas będą reperować szosę, to się nazywa subotnik. Zejdzie się mnóstwo ludzi, zupełnie jak na wycieczkę. Sama brałam raz udział w takim subotniku; tam, kochana pani, jest bardzo wesoło, śpiewają, tańczą. Niech pani pójdzie z nimi i zabierze ze sobą dzieci. Radzę nie wysilać się specjalnie, można tylko udawać, że się pracuje. Każdy uczestnik subotnika dostanie dwa funty chleba i zupę z kotła, naje się pani i dzieci nakarmi. A chleb można zachować na niedzielę, dla szambelana.

— Dokąd trzeba pójść?

— O siódmej rano zbiórka koło poczty, a dalej to już ze wszystkimi. No, to już do pani nie pójde, proszę wziąć cukier.

Wsunęła mi w rękę paczuszkę z trzema kostkami cukru, którego nie widziałyśmy już ze trzy miesiące, pocałowała mnie w policzek i poszła do znajomych. Zawróciłam do domu.

Dziewczynki powitały mnie z nadmierną czułością. Lusia szepnęła tuląc się do mnie:

— Alineczko, przecież pani nie odda nas tej czarownicy? Już lepiej pójdziemy do służby albo do przytułku.

Obiecałam, że ich nikomu nie oddam, zagotowałam herbaty, dałam im cukru i położyłam wcześniej spać. Sama położyłam się w ubraniu, przeczuwając, że czeka mnie długa, bezsenna noc. Wszystkie zmory, wszystkie okropności przeżytych nocy otoczyły mnie, aby dręczyć do ranka. W uszach miałam bezustanny szum, przekształcający się chwilami w halucynacje słuchowe. Słyszałam stukanie do drzwi, do okien, w dach. Zaczynało się to od dźwięków cichych i urywanych, jakby ktoś przesypywał groch, później narastały, przechodząc w alarmowe dudnienie. Wyraźnie słyszałam znajome głosy wołające mnie po imieniu. Ale byłam już przyzwyczajona do tych złudzeń dźwiękowych i nie śpiąc znosiłam je cierpliwie. Wreszcie zapadłam w drzemkę, przerywaną dreszczami i wstrząsami. Rankiem zerwałam się pośpiesznie, zapominając o zwykłych środkach ostrożności i zrobiło mi się niedobrze. Pobladałam, oparłam się o stół, usiłując

przewyciężyć zawrót głowy i odzyskać poczucie równowagi. Po upływie paru minut udało mi się opanować, a po wyjściu na powietrze zrobiło mi się naprawdę lepiej. Gdy we trójkę przyszlśmy na pocztę, zebrała się tam już duża gromada ludzi. Było to niezwykle różnorodne zbiorowisko: sporo młodzieży szkolnej, a poza tym — inwalidzi, starcy, stare żebraczki, te które miały jeszcze trochę sił. Panie w kapelusikach, mężczyźni w marynarkach i płaszczach, żołnierze, urzędnicy, robotnicy z fabryki konserw i tytoniowej, konduktorzy, członkowie rady i komitetu wykonawczego. Siedzący na balkonie urzędnik rejestrował wszystkich uczestników subotnika. Potem wyruszyliśmy za miasto; na rogatkach wydano nam za pokwitowaniem łopaty, oskardy, taczki, co komu przypadło w udziale. Otrzymałam lekki, poręczny oskard, następna grupa za mną wspólne taczki i tak dalej.

Był piękny dzień, słoneczny, bezchmurny i bezwietrzny. Poszliśmy boso, żeby zaoszczędzić obuwia. Szło się jakoś lekko, wdychając suchą, jasną świeżość wystudzonej ziemi, woń butwiejących liści i delikatny zapach jodu, napływający od strony pobliskiego morza.

Przed wyjściem na szosę niewysoki mężczyzna w płóciennych spodniach i nieprzemakalnym płaszczu wdrapał się na stos kamieni przydrożnych i podniósł rękę. Zatrzymaliśmy się. Mężczyzna zaczął przemawiać dźwięcznym głosem, który przecinał przejrzysty chłód poranka jak diament szkło:

—Towarzysze! Zaledwie parę tygodni minęło od chwili, gdy władza radziecka uwolniła nasz kraj od białogwardyjskich band. Byliście świadkami, jak umykali wranglowscy i denikinowscy generałowie rabując i zabierając ze sobą wszystko, co się dało. Widzieliście, jak niszczyli drogi, palili mosty, wysadzali tory kolejowe, psuli i łamali te części samochodów i lokomotyw, których nie wyrabia się w Rosji i których skutkiem tego nie możemy wymienić. Pod hasłem miłości do „Rosji jedynej i niepodzielnej” grabili ją wszelkimi sposobami, dzielili, wyludniali, doprowadzili do nędzy, pogrążyli w przymusowym barbarzyństwie i jak najbardziej okrutni wrogowie, jak starodawne hordy koczujących Mongołów niszczyli po drodze wszystkie zdobycze cywilizacji. W naszych rękach znalazł się kraj pogrążony w nędzy. Wiecie przecież, że przed tym kraj nasz został zrujnowany przez wojnę. Nic więc dziwnego, że dręczy nas głód, nic dziwnego,

że brak nam odzieży, obuwia, artykułów pierwszej potrzeby, a władze, mimo największych wysiłków, nie mogą zaopatrzyć nas we wszystko, co jest niezbędne do życia. Gdyby wrogowie zaczęli głosić wszem i wobec, że życie w naszym kraju jest piekielnie trudne, musielibyśmy im odpowiedzieć — tak, to prawda! Ale nie o to chodzi! Nie to jest najdziwniejsze! Najdziwniejszy, towarzysze, jest fakt, że my wszyscy — obdarci i bosy, głodni i zmarznięci, chorzy, wyczerpani, inwalidzi, urzędnicy i robotnicy przez cały tydzień pochyleni nad ciężką pracą, młodzież ucząca się, przez cały tydzień zgarbiona nad książką — my wszyscy zapominamy nagle o głodzie i chłdzie, o starości i zmęczeniu, aby ofiarować dobrowolnie nasz dzień wolny od pracy, nasz świąteczny wypoczynek... Na co? Na to, aby tłuc oskardem kamienie, wozić żwir, kopać piasek, brukować drogę, na to, aby naprawiać szosę zniszczoną przez pociski białogwardyjskie. Nikt nam za to nie zapłaci. Ale to nasza sprawa. To jest nasz kraj i dobrowolnie idziemy z łopatą i oskardem do ciężkiej pracy dla dobra powszechnego. To właśnie jest najbardziej zdumiewające! I tę zdumiewającą ofiarność ludu przyniosła ze sobą władza robotniczo-chłopska!

Zeskoczył z pryzmy kamieni. Setki głosów zakrzyknęły: „Hurra! Niech żyje władza radziecka!” I jednym głosem, bez porozumienia, cały tłum skupiony na drodze podjął „Międzynarodówkę”.

To przemówienie jakoś dziwnie wzruszyło mnie do głębi. Poczułam się częścią tego różnorodnego tłumu, tych umęczonych, głodnych nędzarzy, którzy ochotniczo podjęli się trudnej, obcej im pracy. Zapomniałam, że przyszłam tu dla dwóch funtów chleba; nie myślałam, że większość zebranych również zapewne kierowała się w tej chwili jakimiś osobistymi względami. Te względy osobiste przestały istnieć dla mnie, prawdopodobnie tak samo jak dla reszty. Mówca potrafił wzbudzić w nas szacunek dla samych siebie. Szliśmy z pieśnią, jak w świątecznym pochodzie. Na wielu twarzach malowała się radość i duma, starzy uśmiechali się.

Obok mnie kroczyła jakaś dziwna istota, mało przypominająca kobietę. Była to drobna osóbką w okularach owiniętych u nasady nosa watą już nie pierwszej czystości. Czarne, krótko ostrzyżone włosy sterczały jej na wszystkie strony, proste jak druty. Prawie bezustannie paliła, wyciągając

tytoń z kieszeni i skręcając po drodze papierosa. Miała przedziwnie piękne ręce, bynajmniej nie zniszczone ciężką pracą. Tylko trzeci palec prawej ręki był mocno powalany atramentem.

Spoglądała na mnie od czasu do czasu przenikliwymi, czarnymi oczami, które mimo okularów nie robiły wrażenia krótkowzrocznych. Potem poczęstowała mnie papierosem. Odmówiłam z uśmiechem. Wówczas wyciągnęła z kieszeni podpłomyki i dała je moim dziewczynkom.

—Chyba niemożliwe, żeby to były pani córeczki? — zapytała miłym, piersiowym głosem, spoglądając na mnie pytająco.

Zaprzeczyłam ruchem głowy. Trudno mi było mówić idąc. Mimo podniecenia nie przestawałam odczuwać zwykłego pulsowania w skroniach i głodowego szumu, brzęczącego w głowie niby chmara komarów. Szłam rozważnie, oszczędzając siły, żeby dojść i móc pracować.

Moja sąsiadka musiała to zrozumieć. Przyjrzała się i mnie, i dziewczynkom z jeszcze większą uwagą, pokręciła głową i zaczęła mruczeć pod nosem, nie oczekując odpowiedzi.

—Ciężko jest żyć...Tak, tak, wszystkim teraz ciężko żyć. Gdyby Europie zdarzyło się coś podobnego, to by już zdechła. Znacznie mniej byłoby jej potrzeba, żeby zdechnąć. A my nic. Dlaczego to wytrzymujemy? Recepta najwznioślejszej epoki, ku pamięci potomnych: bo pijemy dwuprocentowy roztwór troski o siebie, rozpuszczony w stuprocentowym roztworze troski o całą ludzkość... Powiecie, że to nieprawda. Ani pani, ani nikt inny nie myśli tutaj o nikim poza sobą, nie bierze nawet gazety do ręki i przez cały dzień zastanawia się tylko, jak by zdobyć coś do jedzenia, gdzie by się ogrzać... Ale to się tak tylko wydaje. Tu nie chodzi o panią ani o tego czy innego, ale o tę wspólną drogę, na którą nas wszystkich wciągnięto

1 musimy nią kroczyć, czy chcemy, czy nie chcemy...

Zamilkła na chwilę, skręciła papierosa i znowu zaczęła mruczeć, zerkając w moją stronę:

—Nas, kobiet, nie powinno to dziwić. Jeżeli pani kiedy rodziła, to pani rozumie. Rozumie to każda matka. Gdy się nosi w sobie nowe życie, człowiek staje się bardziej wytrzymały, odporniejszy, instynkt się zaostrza, sił

przybywa dziesięciokrotnie, życie walczy w nas o nową formę. To samo dzieje się z nami wszystkimi teraz. Wszyscy Rosjanie są ciężarni. Nosimy w sobie przyszłość. Życie dało nam odporność i żywiołową siłę, bo pracujemy na jego rzecz. O to chodzi!

Przysłuchiwałam się mruczeniu tej dziwnej istoty, nie przestając patrzeć pod nogi i stapać tak. aby stopy trafiały między kamienie.

Wreszcie doszliśmy do celu. Przed nami leżały leje od pocisków, uniemożliwiając przejazd. Tłum podzielił się na dwie grupy i każda wybrała swego „starostę”. Pracę rozpoczęliśmy wesoło, zgodnie, ze śpiewem. Mnie i mojej sąsiadce przypadło w udziale tłuczenie na szuter wielkich kamieni leżących przy drodze. Przyglądałam się, jak robią to inni, i nauczyłam się szybko uderzać z boku, aby bez wielkiego wysiłku odbijać małe kawałki. W ten sposób pracowałyśmy z przerwami do południa. Sąsiadka nieraz próbowała mnie powstrzymać.

—Straci pani resztkę sił, niech się pani opamięta!

Nie bacząc na te ostrzeżenia, machałam wesoło oskardem. Było mi lekko, po raz pierwszy zupełnie lekko na sercu. Życie nabrało sensu. Połączyłam je z życiem innych ludzi. Zdobyłam grunt pod nogami. Teraz nic była to już дума rozpacz, lecz potęga nadziei. Przy każdym odbitym kamieniu czułam, że to nienadaremnie! Nienadarem- ne są te ofiary, ta męka. to wyczerpanie.

A potem usiedliśmy szeregiem na trawie i przypomniała mi się ewangeliczna przypowieść o chlebie. Wszyscy jedli do syta i zebrali mnóstwo kosztów odpadków. Gorącą zupę czerpaliśmy ze wspólnego kotła i dzieci najadły się tak. że odeszły od kotła nie mając siły więcej otwierać ust. Swoje dwa funty chleba zawinęłam w szmatkę i włożyłam Lusi do torby. Ale wówczas wtrąciła się moja sąsiadka, która miała węzełek z własnym prowiantem. Zapewniając nas, że chleb razowy jej szkodzi, a dziś szczególnie dokuczają jej hemoroidy, krzyknęła do nas szorstko:

— Widzę, że pragniecie mojej śmierci! To po prostu zamach na moje życie! Może wam działam na nerwy? O nie, przepraszam, nie życzę sobie umierać, zabierzcie ode mnie tę truciznę!

Wykrzykując tak, wsunęła gniewnie Lusi do torby nie tylko swój chleb. lecz jeszcze parę paczuszek, o których zawartości nie miałam się nigdy

dowiedzieć.

Nie mogłam temu przeszkodzić i zrezygnowana, pozwoliłam jej robić, co chciała. Po obiedzie jedna grupa udała się z powrotem do miasteczka. Wyprawiłam z nimi Lusię i Walę, nakazując, żeby nie szły do domu. lecz do aptekarzowej i tam na mnie zaczekały. Bałam się, że podczas mej nieobecności może znów zjawić się Korzyńska i zacznie badać i męczyć dzieci.

BBHPHFmi im wum k'n 'wrnmmwmmmmmmEĖEiEĖm

Podzielono nas znowu na grupy. Teraz musiałyśmy wozić szuter taczkami. Ramiona bolały mnie od wymachiwania oskardem, na dłoniach porobiły się krwawe pęcherze, więc i zmiana rodzaju pracy przyniosła mi pozorną ulgę. Jednakże koło czwartej po południu poczułam się dziwnie wyczerpana i zaczął mi dokuczać ból krzyża.

Utrata sił nie była czymś przykrym. Przeciwnie, wpadłam w rodzaj egzaltacji. Doznawałam takiego uczucia jak we śnie, gdy wydaje się nam, że unosimy się w powietrzu; z podkurczonymi nogami, bez żadnego wysiłku wzlatuję w górę i lecę wysoko ponad ludźmi, ponad drzewami... Moja sąsiadka zatrzymała taczki, obejrzała się i powiedziała:

—Katorżnicza praca, zupełnie katorżnicza, ale jakże słodka... Wszystko, co tu razem przeżyłyśmy... I niech pani tylko spojrzy, niech się pani odwróci!

Odwróciłam się — szosa była naprawiona. Pozostało tylko parę razy ubić szuter. A zrobiliśmy to bez żadnych maszyn drogowych, bez preliminarza budżetowego, bez kierowników, bez inżynierów, niemal gołymi rękami, w ciągu niecałego dnia. Westchnęłam przeciągle z radości.

—Proszę pani — usłyszałam poważny głos sąsiadki — czy pani ma zdrowe serce? Niech pani odejdzie od taczki, niech pani natychmiast przerwie pracę! O tak. Czy pani nie chorowała na serce?

Stałam przed nią, ogarnięta wciąż tą samą egzaltacją i czułam tylko, jak stopniowo ziębną mi ręce i nogi. Oczy zasnuwała ciemna mgła.

—Niech pani usiądzie, albo lepiej niech pani trochę odejdzie, tam gdzie nie ma kurzu... — w głosie sąsiadki brzmiał wzrastający niepokój.

Uśmiechnęłam się do niej i ruszyłam naprzód, wykonując jej zalecenia bez najmniejszego oporu. Czułam się swobodnie i lekko. Nie miałam sił

mówić. Jakbym zamknęła wszystkie rachunki, zrzuciła z barków wszystkie troski i wychodziła z kręgu czasu i przestrzeni. Poruszałam się z łatwością, jak lunatyczka, nie czując nóg i kurczowo ściskając palce rąk — nie mogłam zacisnąć pięści, bo dłonie miałam skrwawione.

Nie wiem, jak dugo tak szłam. Może długo, może nie. Mijałam grupy pracujących i szłam, szłam w stronę zachodzącego słońca.

I nagle ciemna mgła przed oczyma rozdarła się na pół, serce w piersi stuknęło, jakby dzięcioł dziobnął mnie w trzewia, sprawiając ostry ból. Otwarłam usta chwytając powietrze, spostrzegłam nagle, że odeszłam zaledwie dziesięć kroków od miejsca mej pracy i runęłam na ziemię.

Odzyskałam przytomność, czując falę gorąca napływającą do serca.

Dokoła mnie krzatali się ludzie. Ktoś nacierał mi piętę szczotką. W nozdrza uderzał zapach benzyny, w pobliżu coś warczało, to stał samochód. Zamknęłam oczy czując, że mnie podnoszą, i kładą na czymś miękkim, a potem kołyszę się wśród elastycznych, sprężystych wstrząsów, przypominających rytm bicia zdrowego serca.

Nie wiem, ile czasu spędziłam w pół świadomości, przytomniejąc i znów zapadając w mroczne fale niepamięci, wsłuchując się bezustannie w pulsowanie własnej krwi w żyłach. I nagle, rankiem zbudził mnie z drzemki znany, gwałtowny dreszcz, przebiegający me ciało od stóp do głów. Co się ze mną stało? Uniosłam się na łóżku, siadłam. nie wiedząc gdzie się znajduję, i zapytałam głosem, którego sama nie poznawałam:

— Gdzie Lusia i Wala? Która godzina? Trzeba zanieść paczkę dla szambelana.

Ale jakaś ręka znów ułożyła mię na wznak. Kobięcy głos powiedział:

— Niech się pani o nic nie troszczy, wszystko jest w porządku.

Wówczas na wpół przymykając oczy udałam, że śpię. Chciałam uchwycić tę nieznaną postać wzrokiem tak, żeby tego nie zauważyła. Wydało mi się, że ktoś ze mnie żartuje. Mnie również było wesoło, chciało mi się śmiać. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, który rozchyłał mi wargi i łaskotał serce przyjemnym i lekkim uczuciem. Później dowiedziałam się, że te wszystkie doznania były wynikiem różnych nasileń choroby serca. Ale zapewniam lekarzy, że ta choroba daje momenty pełne niezapomnianego

uroku. Jakże rozkoszna musi być ostatnia chwila, gdy serce wyrывa się z piersi na spotkanie śmierci!

W miarę jednak powrotu do zdrowia chwile takiej lekkomyślnej radości stawały się coraz rzadsze. Rozjaśniało mi się w głowie i dawne troski jęły wyłaniać się z pamięci, jak przedmioty w pokoju o brzasku. Z przerażeniem myślałam o dziewczynkach, o szambelanie, o przyszłości. Leżałam w czystej, eleganckiej sypialni, na bardzo miękkim pościeliu. Pielęgnowała mnie starsza kobieta o surowej twarzy

i zaciśniętych wargach. Poza nią parę razy dziennie zaglądała wysoka blondynka, podobna do tamtej, tylko młoda i piękna. Odzywała się do mnie przyjaźnie, ale dość powściągliwie. Bałam się zadawać im pytania, ale same powiedziały mi, że obie dziewczynki wyjechały do ciotki, a szambelan został uwolniony i umieszczony w zakładzie opieki społecznej, jako inwalida pracy. I jedno, i drugie niespodziewanie zmartwiło mnie zamiast ucieszyć. Troska o nich stanowiła dla mnie podporę, bez której nie potrafiłam żyć.

Pewnego dnia zbudziłam się z głębokiego snu zupełnie już zdrowa. Od razu zdałam sobie sprawę, że w pokoju jest jeszcze ktoś, zupełnie obcy. Był to mężczyzna, siedział przy mnie, z twarzą opartą na dłoni i łokciem na poręczy łóżka i nie odrywając wzroku patrzył na moje ręce, spoczywające na kołdrze. W pokoju panował półmrok, nieznajomy nie zauważył, że się obudziłam. Spojrzałam w kierunku jego wzroku. Ręce wybielały mi i schudły, ale dłonie wciąż jeszcze były pokryte bliznami i ranami, a na palcach uformowały się odciski. Bałam się nimi poruszyć, żeby nie spłoszyć mężczyzny, którego, jak mi się wydało, znałam. Widziałam tylko brązowy, krótko przystrzyżony kędziorek koło ucha i fragment szyi, wyłaniającej się z bluzy. Mężczyzna nagle podniósł głowę, nasłuchiwał chwilę, potem pochylił się ku moim palcom i pocałował je tak delikatnym i lekkim muśnięciem, jak się całuje śpiące dzieci. Poruszyłam się mimo woli. Natychmiast odsunął się od łóżka i popatrzył na mnie zmieszany. Oczy nasze się spotkały, to był towarzysz Bezmienow. Pierwsze słowa, które wypowiedział brzmiały:

—Widziała pani, jak pocałowałem rękę pani?

—Tak.

—Nie chciałbym, żeby pani to fałszywie zrozumiała. Siedząc teraz przy

pani, myślałem o kobietach, o tym, że pod wielu względami są one lepsze od nas. Przyjemnie mi było patrzeć na ręce pani, pokryte ranami, które przynoszą zaszczyt. Nie pocałowałem ich, tylko uczciłem, to wszystko.

Niepotrzebnie wygłaszał to długie i zawile przemówienie. Wydało mi się ono zgoła zbędne i jakieś dziecinne. Zamknęłam oczy i odpowiedziałam:

—Nie miałam zamiaru w ogóle myśleć o tym ani fałszywie, ani tak po prostu. Chciałabym wiedzieć, czy pan otrzymał mój list, kto uwolnił szambelana i gdzie się znajduje.

—List pani otrzymałem, ale zupełnie przypadkowo, dopiero w ostatnich dniach, po powrocie do miasta. Z szosy, tam gdzie pani upadła, zabrałem panią do swego samochodu. Szambelan został zwolniony bez żadnej mojej interwencji, pomogłem mu się tylko urządzić. Obie dziewczynki pani mieszkały cały czas u aptekarzowej, zanim ciotka po nie przyjechała. Zostawiła do pani list, który pani przeczyta, gdy wstanie. Cóż jeszcze? Aha, pani nie jest w tej chwili w uzdrowisku, tylko w mieście, u mojej matki. Starsza kobieta nazywa się Maria Ignatiewna, to moja matka, a ta blondynka — to moja siostra, Faina.

—A jak panu na imię?

—Na imię mi Siergiej. Pani poznała we mnie zapewne tragarza z Zurychu? A ja poznałem panią od razu, tam pod komitetem wykonawczym, bez chwili wątpliwości. Mówiąc nawiasem, studiowałem kiedyś medycynę i chociaż jej nie ukończyłem, jako lekarz zakazuję pani rozmawiać. Na dziś wystarczy.

Podniósł się, uśmiechnął i wyszedł z pokoju.

Poczynając od tego dnia, stan mego zdrowia zaczął ulegać szybkiej poprawie. Maria Ignatiewna z córką mieszkały w wygodnie urządzonej części dużego pałacyku. Spostrzegłam, że syn mieszkał gdzie indziej, a kobiety mówiły o nim powściągliwie, z goryczą, bez czułości. Z czasem dowiedziałam się, że Faina jest żoną bardzo bogatego człowieka, który również zbiegł za granicę, a syn już przed laty porzucił dom, siedział w więzieniu, wyemigrował i dopiero niedawno wszyscy spotkali się znowu.

Jesteśmy ludźmi z innego świata — oświadczyła sucho Faina. — Pani mnie oczywiście rozumie. Widzi pani całą zgrozę tego, co się dzieje, te

chamskie poczynania w stosunku do tego niekulturalnego, barbarzyńskiego narodu i naszego Sieriożę w towarzystwie morderców i szarlatanów. Trudno nam rozmawiać z nim na najbardziej obojętne tematy i nigdy nie potrafimy znaleźć wspólnego języka.

—Sierioża najgorszego psa podwórzowego zawsze stawiał wyżej niż swoją rodzinę — podchwyciła matka z twarzą ożywioną gniewem i zazdrością. — Kochałam go bez pamięci, poświęcałam się dla niego, mieszkałam na prowincji, latem nie opuszczałam wsi — był w dzieciństwie chorowity — i nigdy nie doznałam wdzięczności, nie usłyszałam czułego słowa. Niańkę, dziewczkę od krów, parobków, stangreta — wszystkich kochał, o wszystkich pamiętał. Dla mnie nie miał ani jednego miłego wyrazu, ani jednego serdecznego spojrzenia... Jeśli podsuwałam mu po cichutku jakiś schowany dla niego smakołyk, szepcząc: „Zjedz prędiutko, to najlepszy kasek”, potrafił odrzucić to krzycząc: „to ohydne, żebym miał zjadać najlepsze kąski!” Często dokuczał mi w taki sposób. A gdy poszedł do gimnazjum, do reszty odsunął się od domu.

• — Mama go zanadto rozpieściła — Faina starała się załagodzić sprawę. — Ale niech pani nam powie, w jaki sposób pani zawarła z nim.znajomość, przecież pani, jak mówił nam Sierioża, jest żoną denikinowskiego ministra. Nie mogę po prostu zrozumieć, co spowodowało, że się nad panią ulitował!

Nie ma nic gorszego od fotografii z dzieciństwa i rozmów rodzinnych — to najbardziej fałszywy i najbardziej demaskujący sposób zapoznania się z człowiekiem. Z jednej strony są to wiarygodne świadectwa z pierwszej ręki, z drugiej zaś — wszystko to sprowadza się do najwulgarniejszego banału. Te rozmowy drażniły mnie i dezorientowały, stanowiąc równocześnie ostrzeżenie, że nie należy być zbyt szczerą. Na pytania starałam się odpowiadać ogólnikami. Gdy się podniosłam z łóżka, przebywanie z tymi kobietami zaczęło mi od razu ciążyć; zabrałam się do pracy, zawładnęłam kuchnią. Lecz Maria Ignatiewna wyraźnie ochłodziła w stosunku do mnie, zrozumiałam więc, że stałam się dla nich uciążliwym gościem.

Co miałam począć? Moje rzeczy zostały spakowane i przywiezione tutaj. Nie miałam już swojej willi, własnego dachu nad głową. Siergiej nie pokazywał się więcej. W mieście nie znałam nikogo. Pozostał mi tylko

szambelan, z którym pragnęłam się za wszelką cenę zobaczyć. Chciałam mu opowiedzieć o wszystkim, co przeżyłam i przemyślałam. Niepostrzeżenie dla siebie wstałam z łóżka jako całkiem inny człowiek. Teraz podczas rozmów o „chamach” mimo woli zaciskałam zęby. Teraz wielkopaństwo budziło we mnie coś w rodzaju obrzydzenia. Zostałam wyrzucona z ram swojej klasy. Zaczynałam powoli przyrastać do innej, nowej klasy, przyrastać do niej tymi wciąż jeszcze nie wygojonymi dłońmi...

Pewnego ranka spakowałam w tłumok wszystko, co posiadałam, i powiedziałam Fainie, że chcę wrócić do swego uzdrowiska, do aptekarzowej, gdzie znacznie łatwiej będę mogła znaleźć pracę. Miałam przy bluzce prześliczną kameę, jedną z tych, które tylko Nowosielski umiał wyszukać. Odpięłam ją i poprosiłam Fainę, aby przyjęła ją ode mnie na pamiątkę. Faina zmieszała się, zaczęła się wymawiać, wreszcie przyjęła z wyraźnym zadowoleniem. Znała się na wartości takich rzeczy! Z rozpromienioną twarzą zagrodziła mi nagle drogę i zawołała:

—Jakże pani może odejść, nie zobaczywszy się z Sieriożą? Wściekłby się na nas. Pani sobie nawet nie wyobraża, jaką ważną personą jest on w naszym mieście. Członek jakiegoś prezydium, członek jakiegoś tam kolegium, a przede wszystkim — przewodniczący komitetu wykonawczego. A mieszka gorzej, w większym brudzie niż najbiedniejszy student. Ale to nie ma znaczenia. Niech pani pójdzie do niego do urzędu, nie do mieszkania, tu jest adres.

Wzięłam adres i postanowiłam przed opuszczeniem miasta pójść do towarzysza Bezmienowa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ale dostać się do niego w komitecie wykonawczym okazało się niemożliwością. W długim korytarzu, zasypanym niedopałkami, stało i siedziało mnóstwo ludzi. Na progu przed drzwiami Bezmienowa ulokował się cały obóz przesiedleńczy — baby z dziećmi na rękach starające się o wyjazd. Sekretarz, gołowąsy młodzieniec-inwalida o drewnianej nodze, wesoło podskakiwał między interesantami, biegając tam i z powrotem z papierkami. Wywoływał nazwiska. Z tłumu wylaniał się interesant, pośpiesznie poprawiał odzież i znikał za drzwiami. Postanowiłam zapisać się

do kolejki, ale sekretarz zapytał mnie śliniąc ołówkę:

— W jakiej sprawie? W osobistej... W takim razie, towarzyszek, idźcie lepiej do mieszkania.

Dał mi adres i natychmiast zakuśtykał swym drewnianym kikutem do następnego petenta. Wzięłam z podłogi swój tobolek i wyszłam na ulicę, nie przeczuwając wcale, że tu jeszcze wrócę.

Miasto od uzdrowiska dzieliło jakieś osiemnaście wiorst. Jeżeli miałam iść piechotą, to był czas najwyższy ruszyć w drogę. Na szczęście przypomniałam sobie, że mleczarki, które dowożą tu nabiał, pod wieczór wracają próżnymi wozami do domu i można zabrać się z nimi płacąc w naturze — chustką do nosa, kawałkiem koronki, wstążką lub guzikami od bluzki. Udałam się na targowisko, znalazłam mleczarkę z moich stron i umówiłam się, że będę na nią czekała o szóstej wieczorem koło miejscowej herbaciarni.

Już porządnie zmęczona, z tobolekiem w ręku poszłam na drugi koniec miasta, gdzie mieszkał towarzysz Bezmienow. Zajmował pokój w „Domu Rad”, urządzonym naprędce w dawnym hotelu „Regina”. Na dole, gdzie dawniej gryzła pestki dorodna portierka, energiczna dziewczuszka zapytała mnie o imię i nazwisko, wypisała przepustkę, wskazała palcem schody i wykrzyknęła dźwięcznie „Następny!” chociaż za mną nikogo więcej nie było.

Weszłam na piętro i zaczęłam oczekiwać towarzysza Bezmienowa, usadowiwszy się w wielkim wiedeńskim fotelu z dziurawym siedzeniem. Przede mną w korytarzu leżała brudna mata trzciniowa z wystrzępionymi brzegami. Na prawo i na lewo ciągnęły się drzwi „numerów”. Za tymi drzwiami panowała cisza, mieszkańcy nie wrócili dotychczas z pracy do domu. Hotel nie był jeszcze opalany, zimno i wilgoć na korytarzu zwiastowały już nadciągającą zimą. Czekałam blisko godzinę, wreszcie usłyszałam czyjeś ciche, jakby skradające się kroki.

Wszedł mały człowieczek, wzrostu nie więcej niż półtora arszyna. Stapał jakimś sztucznym krokiem garbusa, z piersią naprzód stawiając nogi blisko jedna drugiej. Głowę, kształtem przypominającą ogórek, miał osadzoną głęboko w ramionach. Dwoje przenikliwych oczu obrzucało mnie badawczym spojrzeniem. Garbus wyciągnął klucz, wspiał się na palce i otworzył drzwi pokoju numer jedenasty, należącego do towarzysza Bezmienowa.

— Przepraszam — zaczęłam wstając i zbliżyłam się, aby go zapytać.

Garbus odwrócił się, skinął na mnie palcem i zostawił drzwi do numeru otwarte. Weszłam do wnętrza.

Był to chyba najbardziej nieprzytulny pokój hotelowy ze wszystkich, które w życiu widziałam. Pod ścianami stały dwa żelazne łóżka. Pośrodku nie przykryty serwetą stół, a na nim dwa funtowe bochenki razowego chleba. Między oknami była toaletka z długim, krzywym lustrem, które brzęczało i przekrzywiała się przy każdym kroku. Na ścianie wieszak — i to wszystko. Ani firanek, ani szafy, ani umywalki, ani nawet krzeseł, tylko dwa taborety. Poduszki na łóżkach były bez poszewek, przykryte szarymi flanelowymi kocami.

Garbus, milcząc w dalszym ciągu, wskazał mi jeden z taboretów, wyciągnął scyzoryk z kieszeni i pokrajał chleb. Potem zadzwonił, zostawił drzwi otwarte, wyjął gazetę i pogrążył się w czytaniu.

Weszła dziewczyna w zatkniętym za pasek fartuchu. Przyniosła nakrycia i talerz zupy. Z kieszeni wyciągnęła zawinięte w papier dwa ogórki kiszzone i położyła na stole. Garbus przysunął sobie talerz i nie odrywając wzroku od gazety zaczął siorbać zupę, rozchlapując ją w roztargnieniu po stole. Poczułam głód. Zupa była jak to na południu — gęsty barszcz z pomidorów, papryki, kartofli, fasoli, cebuli, ze skwarkami, gęsto posypana koperkiem.

Po zjedzeniu zupy rozwinął papier i nadgryzł ogórek, ten mniejszy. Każdy kęs ogórka zagryzał kromką chleba, póki nie zjadł całego funta. Wówczas wytarł stół, strząsając okruszyny do talerza i zadzwonił po raz drugi. Dziewczyna przyniosła mu szklankę herbaty z dwoma karmelkami. Garbus rzucił się chciwie na cukierki i schował je do kieszeni, a herbatę wypił jak wodę, krzywiąc się i parząc sobie usta. Potem bez żadnej ceremonii zrzucił kurtkę, ściągnął buty, włożył do jednego z łóżek, przykrył się flanelowym kocem i chrapał już, nim zdążyłam się obejrzeć.

Minęło jeszcze parę minut, drzwi skrzypnęły i wszedł towarzysz Bezmienow. Stał w progu i objął wzrokiem cały pokój. Zauważyłam, że się zmieszał i musi być bardzo zmęczony. Położył na drugim łóżku tekę, rzucił na nią czapkę i skinął na mnie, abym wyszła z nim na korytarz. Wyjaśniłam

mu w paru słowach, skąd się tu wzięłam.

— Będziemy rozmawiać szeptem, żeby nie obudzić towarzysza — powiedział wracając znów do pokoju i podsunął mi taboret. Potem zadzwonił i tak samo jak garbus zaczął przede wszystkim krajać chleb. Dziewczyna przyniosła dwa talerze zupy. Bezmienow podsunął mi jeden, do drugiego zabrał się sam. Nie kazałam się prosić i z apetytem zjadłam gęstą zupę. Potem podzieliliśmy się ogórkiem i napiliśmy się herbaty z karmelkami. Gdy skończyliśmy, towarzysz Bezmienow wyjął notes, napisał parę słów na kartce i podał mi.

„Co pani zamierza robić?”

Odpisałam mu na tej samej kartce:

„Wrócić do uzdrowiska, zamieszkać u aptekarzowej, szukać pracy, spróbować odnaleźć krewnych męża”.

„Czy pani umie pisać na maszynie?”

„Nie, ale mogę się nauczyć”.

„Właśnie potrzebuję maszynistki do mego biura. Jeżeli pani chce, od jutra wezmę panią na etat, pod warunkiem nauczania się w ciągu tygodnia”.

„Zgadzam się. Gdzie będę mieszkać? U pańskiej rodziny to krępujące i już się z nimi pożegnałam”.

„Niech pani zamieszka w sąsiednim pokoju, tam jest wolne łóżko”.

Wstał, skinął na mnie i wyszliśmy razem na korytarz. Po czym zastukał do drzwi pokoju opatrzonego numerem dwunastym. Drzwi otworzył jego sekretarz, młodzieniec z drewnianą nogą. Na mój widok podniósł ze zdziwieniem brwi.

— Wasiliju Pietrowiczu — powiedział do niego mój towarzysz — to nasza nowa maszynistka i od dzisiaj wasza współlokatorka. Bądźcie łaskawi, załatwcie wszystkie formalności na dole, a potem pokażcie jej, jak się obchodzić z maszyną do pisania. Powinna się nauczyć w ciągu tygodnia.

Słuchałam w milczeniu i ze zgrozą. Pracowałam już jako palacz, kucharka, szwaczka, posługaczka, praczka, pielęgniarka. Piekłam ciastka, tłukłam oskardem kamienie na szosie. Znosiłam udręki dobroczynności ze strony obcych i nieprzychylnych ludzi. Ale mieszkać w jednym pokoju z nieznanym mężczyzną, pograżyć się bez reszty w tym urzędowym,

ponurym, ubogim życiu — strasznym przez swą surową brzydotę i sprowadzenie wszystkiego do nagłej konieczności — to mnie przeraziło. Odwróciłam się w stronę Bezmienowa i otworzyłam usta, aby oświadczyć, że rezygnuję.

Ale na młodzieńczej, choć zmęczonej twarzy mego towarzysza malował się dawny, znany mi z Zurychu uśmieszek. Krótka górna warga odsłoniła rząd drobnych zębów. Błyszczące niebieskie oczy spoglądały na mnie jakby z wyzwaniem. Naigrywał się ze mnie! Stałam przed nim jak żebraczka, chora, głodna, wychudła jak cień, a on się ze mnie naigrywał! Uważał, że tego wszystkiego za mało! Dawna Alina zbudziła się we mnie w całej okazałości. Wróciłam do jego pokoju, zabrałam swój tłumoczek i wprowadziłam się do młodzieńca na drewnianej nodze.

Ledwie za towarzyszem Bezmienowem zamknęły się drzwi, Wasilij, który zdawał się być skonsternowany nie mniej niż ja, wybiegł za nim. Prawdopodobnie zamierzał bronić się przed zaszczycem zamieszkania w moim towarzystwie. To mnie rozbawiło i zaczęłam roz-¹ glądać się po pokoju.

Był jeszcze mniejszy niż sąsiedni. Ale jego ubóstwo łagodziły pewne oznaki zagospodarowania i schludności, których brakowało w

851¹ .i

tamtym. Na parapetach stały doniczki z kwiatami, rozcapierzającymi na wsze strony swoje jakby polakierowane listeczki. Toaletka była zavalona stosem nieoprawnych książek. Na stole, obok pustej szklanki i skórki chleba, leżały zeszyty i arkusze papieru zapisane dużym, starannym pismem. Mimo woli zerknęłam na nie, zdziwiona krótkimi wierszami — to były poezje! Poezje w takich warunkach i w dodatku w rękach człowieka o drewnianej nodze. Przez dziwne skojarzenie przypomniiał mi się „literat o drewnianej nodze” z powieści Dickensa.

Wasilij Pietrowicz wrócił z hałasem do pokoju. Jego okrągła twarz wyrażała zakłopotanie, brwi miał płaczliwie wzniesione w górę u nasady nosa i opuszczone przy skroniach.

—Z towarzyszem Bezmienowem to tak zawsze — zaczął gderliwym tonem, zabierając ze stołu arkusze z wierszami. — Nigdy nie uprzedzi, działa metodą zaskoczenia; proszę zająć tamten kąt pokoju. Przedtem mieszkał tu pewien

wojskowy; awanturował się, hałasował, a ja nie lubię hałasu. Prawie co dzień mamy jakieś posiedzenia, trzeba przecież mieć możliwość zebrania myśli.

—Ja nie będę hałasować — powiedziałam pojednawczo.

—Któż mówi, że będzie pani hałasować. Jest pani kobietą, to znaczy, że nie należy pani do hałaśliwego gatunku. Mówię tylko, że tak bez uprzedzenia; żeby mi pani chociaż rano powiedziała, o co chodzi. A nie „w sprawie osobistej”. A to ci sprawa osobista.

Długo jeszcze łomotał po pokoju swoją drewnianą nogą, denerwował się i mruczał całe przemówienie. Wreszcie uspokoił się, zdjął pokrowiec ze stojącej na taborecie maszyny do pisania, wyjął z teki parę arkuszy czystego papieru i poprosił mnie do stołu. Usiadłam obok niego i oparłszy się na łokciu patrzyłam na klawiaturę. Mój nauczyciel nie miał wcale zdolności pedagogicznych. O maszynie do pisania wiedział tyleż co ja. Czytał napisy na klawiaturze, powtarzał je powoli i niepewnie próbował palcami nie wiedząc, co z tego wyniknie. Odebrałam mu maszynę nie bez pewnego oporu z jego strony i zaczęłam stukać sama, czym wprowadziłam go w zachwyt.

— Co to znaczy dobry nauczyciel — mówił z entuzjazmem. — Inny by gadał i gadał, nabiłby głowę różnymi głupstwami, a ja dałam tylko praktyczne wskazówki i gotowe.

Po pewnym czasie przyniósł mi do przepisania jakiś list urzędowy, a gdy się z tym uporałam, z tajemniczą miną wyciągnął spod poduszki schowane tam arkusze z próbami poetyckimi.

— I tak musi się pani teraz wprowadzać — powiedział mi zniżonym głosem do ucha i obejrzał się niespokojnie na drzwi. — Wychodzę na posiedzenie, a pani będzie do wieczora sama. Proszę się zabrać do tego, to są wiersze mojego przyjaciela. Proszę je przepisać i przy okazji powiedzieć mi, co pani o nich myśli.

Wziął czapkę i tekę, wyszedł, ale po chwili wrócił i szepnął:

— I proszę się nie niepokoić o nocleg, już tam powiedziałem. Przeciągną sznur i powieszą zasłonę. To tylko na tymczasem, przyjechało dużo osób na konferencję i nie ma miejsca. Ale jak tylko będzie wolny pokój, to panią stąd

przeniosą.

Zniknął stukając po korytarzu swoją drewnianą nogą. Zamknęłam drzwi na klucz, ziewnęłam rozkosznie, przeciągnęłam się, aż kości zachrzęściły, i położyłam się na twardym łóżku. Świadomość, że jestem sama, niezależna, że nikt na mnie nie patrzy, sprawiała mi wielką przyjemność. Przespałam się godzinę, później wstałam wesoło, jak w dziecięcych latach, doczekałam się światła (elektryczność włączano dopiero o zmroku) i zabrałam się do przepisywania. Wiersze sprawiły mi niespodziankę *ga były liryczne, smutne, bynajmniej nie bojowe, bez żadnych motywów społecznych:

Wiosenka śpiewa,

Wszystkich ogrzewa,

Każdemu się przyda A ja biedny inwalida.

I tak dalej, w tym rodzaju. Początkowo przepisywałam mechanicznie, później zbuntowało się we mnie poczucie rytmu i zaczęłam po trochu poprawiać. Wykonywałam tę pracę z rozkoszą — była to pierwsza moja praca umysłowa po tylu miesiącach. Ale się rozmachałam! Dodawałam nowe, lepiej dźwięczne rymy, poprawiałam rytm, skracałam ilość zgłosek. Czytałam sobie głośno i cieszyłam się, że tak dobrze brzmi. Przy pracy straciłam poczucie czasu i drgnęłam gwałtownie, gdy zastukano do drzwi. Weszła ta sama kobieta, co w południe, z tacą i dużym miedzianym imbrykiem; postawiła na tacy dwie szklanki, położyła znów po dwa karmelki i zapytała:

— Czy wam dziś wydano chleb?

Odpowiedziałam, że nie. Wówczas przyniosła mi parę jęczmiennych sucharów i powiedziała:

— Jak się napijecie herbaty, to przykryjcie czym imbryk. Kuternoga nie wróci przed nocą. A zasłonę uszyję wam jutro, dziś myłam podłogę w korytarzu i już sił nie mam, strasznie się zmęczyłam. Ale proszę się nie bać, tu są porządni ludzie, nikogo palcem nie ruszą. Spokojni, chociaż prości.

Po jej wyjściu rozkoszowałam się jeszcze jakiś czas pracą redakcyjną. Później napiłam się herbaty, przepisane arkusze położyłam na poduszce Wasilija, zgasłam światło i rozebrałam się. Ledwo przytknęłam głowę do poduszki, zasnęłam jak kamień.

Wczesnym rankiem zbudziło mnie czyjeś pochrząkiwanie. Podniosłam

głowę i zobaczyłam, że mój sąsiad, już zupełnie ubrany, siedzi przy stole nad przepisаныmi arkuszami. Był rozpromieniony. Widocznie bardzo pragnął porozmawiać ze mną, umyślnie chrząkał głośno, żeby mnie obudzić. Gdy spostrzegł, że na niego patrzę, kiwnął radośnie głową.

— A więc pani troszeczkę poprawiła. Patrzę i widzę, że jakoś lepiej brzmi. Ach, towarzyszeko, jest pani właśnie takim człowiekiem, jakiego nam potrzeba. Mnie przecież wzięli na wojnę prosto od pługą, czytać się dopiero w wojsku nauczyłem, i potem tylko tak jak samouk, z książek. Przeszedłem przez wszystkie fronty rewolucji, od Pałacu Zimowego do Judenicza, straciłem nogę, a z wykształcenia nic nie wyszło. Partia mnie wyznaczyła na sekretarza, ale co ze mnie za sekretarz, tylko rozstawiam ludzi po żołniersku. Towarzysz Bezmienow dwoi się i troi... Z tego wynika, jak myślę, że jest pani bardzo potrzebną dla nas człowiekiem. Czy jest pani partyjna, towarzyszeko?

Odpowiedziałam, że nie.

— Szkoda. Szkoda, ale to nic złego. Teraz wyjdę na korytarz, a pani się ubierze. Za pół godziny pójdziemy do komitetu wykonawczego.

Zerwałam się i ubierałam, spoglądając w krzywe zwierciadło na ścianie. Potem napiliśmy się herbaty i razem udaliśmy się do komitetu. Wasilij Pietrowicz wskazał mi stół z maszyną do pisania — od dziś miejsce mojej pracy. Na wprost tego stołu znajdowały się drzwi do gabinetu towarzysza Bezmienowa. Nie widziałam go już od wczoraj. Zaczął się pierwszy dzień mej pracy w komitecie wykonawczym.

Od samego rana rozpoczynało się przyjmowanie interesantów. Przychodzili tu najrozmaitsi ludzie — ze skargami, prośbami, z wyjaśnieniami, z propozycjami. Jeden poszukiwał lokalu na szkołę, drugi domagał się dokumentu broniącego go przed wysiedleniem, trzeci chciał zarekwirować posiadany przez kogoś zapas gwoździ, piąty chciał wyjechać, a odmawiano mu zezwolenia, szóstemu przy rewizji zabrano bezprawnie kupon materiału; nie sposób było odgadnąć, jakie sprawy sprowadziły siódmego, ósmego, dziewiątego. Skupiało się tu nieprzeliczone mnóstwo różnorodnych ludzkich interesów. Każdego trzeba było wysłuchać i zrozumieć, każdemu coś załatwić. Wasilij segregował petentów według ściśle

określonego porządku, nikogo nie faworyzował, rzeczowo rozpatrywał każdą prośbę. Mylił się, sądząc, że jest złym sekretarzem. Na owe czasy, pełne niespodzianek i toczące się z wojennym pośpiechem, był sekretarzem idealnym.

Towarzysz Bezmienow zaopatrywał podania petentów w decyzje. Te decyzje były krótkie, jasne i odznaczały się, jak mi się wydało przy pierwszym z nimi zetknięciu, iście Salomonową mądrością. A niełatwo być mądrym w takim gąszczu skomplikowanych spraw. Wydział rolny kolei domaga się wzięcia pod ochronę dojnej kozy, elektrownia protestuje przeciw zarządzeniu komitetu wykonawczego numer 113, profesor archeolog proponuje rozkopanie znajdującego się w okolicy kurhanu, grono towarzyszy prosi o zezwolenie na koncert- -wiec z gościnnym występem tenora Biskajskiego i baletu melopla- stycznego szkoły Chopkinej — i tak dalej, i dalej. Na moją maszynę trafiła zaledwie znikoma część tych papierków — tylko ta, która wymagała oficjalnej odpowiedzi z numerem i kopią. Po tygodniu stukalam już z werwą starej, wykwalifikowanej maszynistki. Gdy wystukalam pismo z odpowiednią ilością odpisów, chwytalam je zręcznie lewą ręką, prawą nieznacznie poprawiałam uczesanie i pośpiesznie szłam do gabinetu „po podpis”. Prócz mnie w sąsiednim pokoju pracowała jeszcze jedna maszynistka, z oddziału rolnego. Ona również musiała chodzić do towarzysza Bezmienowa po podpis. Początkowo umawialiśmy się i żeby nie biegać razem, wymienialiśmy się kolejno naszymi papierkami. Wkrótce jednak spostrzegłam, że koleżanka mnie oszukuje: zabiera moje papierki, a nie daje mi swoich i, gdy jestem pochłonięta pracą, po cichutku wślizguje się do gabinetu Bezmienowa.

Maszynistka miała na imię Rajeczka. Wyróżniała się tym, że często wzdychała głośno i niepohamowanie, przy czym za każdym razem skrzypiały fiszbiny jej gorsetu. Miała bladą, niezdrową, napudrowaną twarz, mocno umalowane wargi, wspaniałe uczesanie, całe w loczki, wykończone brudną wstążką obejmującą włosy i czoło. Duża, okazała, szeroka w biodrach, wiecznie głodna, z chciwymi błękitnymi oczyma i nabrzmiałymi ustami miała wielu adoratorów zarówno w biurze, jak poza nim. Gdy zauważyłam jej zabiegi, zaczęłam kłaść swoje papierki na jej

stoliku i zupełnie przestałam chodzić do Bezmienowa.

Sprawiło mi to przykrość, ale nie miałam czasu zastanawiać się, czym właściwie się martwię. W naszym ubogim w wydarzenia życiu wejść do gabinetu przewodniczącego komitetu wykonawczego i postać parę sekund przy jego biurku było swego rodzaju rozrywką. Tak uważał cały kobiecy personel komitetu i ja w ten sposób zaczęłam się do tego ustosunkowywać. Nawet nie to, żebyśmy się po trosze kochały w każdym kierowniku — chociaż w przyszłości przekonałam się, że jest to powszechna choroba maszynistek — ale czułyśmy się jak żołnierz na audyencji u dowódcy. Każda mogła się wyróżnić i każda miała na to ochotę. Jedna brała starannością, wzorowym wykonywaniem pracy, umiejętnością powiedzenia właściwego słówka przy podawaniu papierka do podpisu; inna perfumami, pudrem, uczesaniem, jedwabną bluzką; jeszcze inna — wyniosłością, gdyż wiele maszynistek zachowywało się jak księżniczki i robiło tym wielkie wrażenie.

Wchodząc do gabinetu słyszałyśmy urywki rozmów. Kierownik kancelarii często uciekał się do naszej pomocy, gdy chciał przyśpieszyć wyjście interesanta lub przerwać jego wywody. Naciskał dzwonek i natychmiast pograżał się w przyniesionych przez nas papierach, nawiązując z nami okolicznościowe rozmowy i postukując ołówkiem po biurku. Gdy zaś nie było interesanta, co się rzadko zdarzało, zadawał nam różne żartobliwe pytania, na które każda odpowiadała na swój sposób.

Towarzysz Bezmienow nigdy nie robił ani jednego, ani drugiego. Zazwyczaj nie siedział, lecz stał przy swoim biurku, oparty kolanem o krzesło. Miał sobie tylko właściwy sposób wypytywania interesantów — nieoczekiwany i błyskawiczny. Nie tracił na próżno ani chwili. Ale czasami miewał napady ciężkiej apatii i wówczas można było wtrącić się do jego pracy. Wtedy chętnie przysłuchiwał się naszym słowom, radził się w drobniejszych sprawach, był niezdecydo-

wany. Bardzo lubiłam te chwile zdradzające jego przemęczenie umysłowe. Szybko pozbyłam się lęku przed nim i mówiłam mu wszystko, co mi leżało na sercu.

Pewnego razu, na przykład, powiedziałam mu, gdy wahał się, czy podpisać dokument upoważniający załogę telegrafu do zajęcia lokalu

należącego do szkoły technicznej.

—Towarzyszu Bezmienow, jesteście człowiekiem rozumnym, z sercem i wolą, czyż doprawdy nie przeraża was, że dzień i noc musicie grzebać się w tych drobiazgach? Wasza praca sprowadza się do roli konduktora tramwajowego. Czyż nie szkoda marnować żyda na wyrywanie biletów?

—Proszę nie rozsiewać mi tutaj kontrrewolucji — odparł Bezmienow znużonym głosem. — Trzymajmy się porządku dziennego. Zezwolić na zajęcie szkoły? Co wiecie o tej sprawie?

—Szkoła jest obecnie pozycją w budżecie. Wydział zaopatrzenia wydaje jej za pokwitowaniem wszystko, czego potrzebuje, nauczyciele otrzymują pensje i przydziały, nauki oczywiście nie ma żadnej i nie będzie jeszcze ze dwa lata. Załoga telegrafu przysłała z wojskiem i kwateruje na placu.

Bezmienow pomyślał chwilę i podpisał papier.

—Mówią o nas, że jesteście barbarzyńcy. A nasz błąd polega akurat na czymś przeciwnym; staramy się uchodzić za bardziej kulturalnych, niż jesteście, gramy komedię. Popieramy rzeczy, które są dla nas w tej chwili bezużyteczne, stwarzamy sobie złudzenia.

isiie chciałam ustąpić i nawiązałam do poprzedniego tematu.

— Najwartościowsi ludzie siedzą teraz, tak jak pan, za biurkami i toną w papierkach. Jesteście tacy zmęczeni, bo zajmujecie się nie swoimi sprawami. Gdybyście byli na właściwym miejscu, nigdy nie przeżywalibyście chwili takiej wewnętrznej pustki.

tHi Nic pani nie rozumie. Ten gabinet — to budka stemicza. Nadajemy kierunek. A gdybyśmy zabrali się do pisania rozpraw naukowych lub do gry na wiolonczeli, Rosja poszłaby na dno.

Takie rozmowy przynajmniej częściowo wypełniały mi życie. Dręczył mnie nadmiar faktów, niemożność uogólnienia, absolutny brak perspektywy. Dawniej, stojąc na uboczu, obserwowałam rewolucję w jej ogólnych zarysach. Tak obcy jej ludzie jak szambelan uczyli mnie szerokiego poglądu na świat, spojrzenia w przyszłość. Subotnik wreszcie zjednoczył mnie z żywiołową działalnością mas.

A teraz znalazłam się w kołowrocie codzienności, na głębokich tyłach rewolucji i nie dostrzegałam już nic prócz papierków. Wszystko wydawało mi

się płytkie, przejściowe, całkiem subiektywne i przypadkowe. Wszystko działo się tak jak przy nieumiejętnym zmiataniu — kurz osiadał z powrotem.

Rajeczka pozbawiła mnie przyjemności nawet tych krótkich rozmów. Widząc ją i jej wślizgiwanie się do gabinetu, myślałam o własnym postępowaniu. Prostota mego stosunku do towarzysza Bezmie- nowa została zatruta i przestałam do niego chodzić. A moja koleżanka, w porywie wdzięczności, niespodziewanie zaprosiła mnie na niedzielę do siebie. Nie wypadało odmówić. Niedziele spędzałam zwykle w swoim pokoju, przepisując wiersze Wasilija. Oczekiwałam pierwszej wypłaty, aby móc pojechać do szambelana. W tych okolicznościach nawet odwiedzenie Rajeczki stanowiło pewną rozrywkę.

Rajeczka mieszkała na parterze, w dużym, lecz prawie pustym mieszkaniu. Matka jej była bogatą kupcową, obecnie całkowicie zrujnowaną. Okazała staruszka, zupełnie bezzębna, ale wypudrowa- na tak samo jak córka, usadowiła mnie przy stole, na którym rozkładała kabałę. Spodziewałam się, że usłyszę skargi na bolszewików, coś w rodzaju rozmów z Fainą. Ale wszystko okazało się inaczej. Matka Rajeczki całkowicie przystosowała się do życia. Mówiła o tym, jakie kto otrzymuje przydziały, kto gdzie pracuje, jakie ma stosunki. Bardzo interesowały ją śluby cywilne i przy tej okazji usłyszałam kilka historii o kierownikach, którzy ożenili się ze swymi sekretarkami.

— Co za partię zrobiła Antonina Przybytkowa, przyjaciółka mojej Rajeczki, która się nawet nie umywa urodą do mojej córki. Z maszynistki została sekretarką, a kierownik jej to prosty robotnik, komunista, tyle że się książek naczytał. I tak mu zawróciła w głowie, nie uwierzy pani, facet całkiem zmysły stracił. Kręcił się koło niej bez ustanku, zmizemiał, przestał jeść i pić. Poceregielowała się trochę dziewczyna, poceregielowała — i wyszła za niego. I co pani myśli? Z urzędu kwaterunkowego dostali całe urządzenie mieszkania, srebrny samowar, prymus, poduszki, kołdry, ubrania, bielizny ile potrzeba, wszystko im wydali za pokwitowaniem. To się nazywa mieć rozum.

Do pokoju wszedł brat Rajeczki, chudy, wysoki mężczyzna w binoklach, z

zapijaczoną, krostowatą twarzą bez wyrazu. Szepnął coś Rajeczce do ucha. Raja wyciągnęła rękę, wzięła od niego kartkę, ołówek kopiowy i zaczęła coś pisać. Potem podała mi tę kartkę, złożywszy ją na pół.

—Niech pani napisze, pani Aleksandro!

—Co mam napisać?

—Niech pani napisze: „Pokwitowanie. Otrzymałam 15000 rubli (piętnaście tysięcy) za sprzątanie szkoły i mycie podłóg. Za niepiśmienną sprzątaczkę Nieoniłę Babikową, Aleksandra Zworykina”. Napisała pani?

—Ale do czego wam to potrzebne?

—Zwykła formalność —j odparł zachrypniętym głosem brat Rajeczki, zabrał kartkę i wyszedł. Matka Rajeczki zaniepokoiła się:

—Napisalibyście chociaż inne imię. Wymyśliliście jakąś Nieoniłę, przyjdzie, żeby nie wymówić w złą godzinę, kontrola, zapytają, co to znów za Nieoniła, a wy takiej za żadne pieniądze nie znajdziecie. Oboje jesteście zwariowani.

—Mamo, niech się mama nie wtrąca! Pani Aleksandro, brat porządkuje rachunki. Tyle ma kłopotu z tą szkołą, tyle mu to krwi napsuło, więcej niż to wszystko warte. Żeby pani tylko zobaczyła, co się dzieje w niższych instancjach, w dziale kształcenia zawodowego, na przykład, nie przedstawiają ani jednego prawdziwego kwitu.

—Ale po co takie obrzydliwe imię!

—Wprost przeciwnie, mamusi, właśnie prawdopodobne. Jak czegoś nie rozumiesz, to lepiej nie zabieraj głosu.

Powodowana dziwaczną ciekawością, podobną do tej, która popycha nas do przyglądania się wypadkowi ulicznemu, zawaleniu się domu lub rozbiciu samochodu — nie wyszłam, lecz siedziałam i słuchałam. Do Rajeczki przyszły koleżanki i młodzi ludzie. Wszyscy pracowali w jakichś urzędach, operowali skrótami radzieckimi, popisywali się umowną terminologią. Wydawało się, że wszyscy dziś dopiero przyszli na świat: nie obchodziło ich ani wczoraj, ani jutro, tylko to, z czego można skorzystać dzisiaj. Bezmyślni drapieżcy podcinali gałęzie, na których siedzieli — jeden rujnował szkołę, drugi objadał stołówkę, trzeci sprzedawał na opał podłogę we własnym domu dlatego tylko, że dom został upaństwowiony.

Przesiedziałam ze dwie godziny, pożegnałam się i poszłam do domu. Od najmłodszych lat miałam romantyczne usposobienie i w tej chwili płonęłam cała, ogarnięta słodkim, gorącym współczuciem.

Współczułam samotnym marzycielom takim jak Bezmienow, którzy myślą, że uda im się przekształcić świat. Wyobrażam ich sobie otoczonych tłumem zdrajców, złodziei i łajdaków. Zapraǳnęłam wtrącić się do życia, wykryć przestępców, dopomóc bohaterom. Dwie godziny gadaniny u Rajeczki zrobiły więcej, niż dwa miesiące mieszkania pod jednym dachem — namiętnie zapraǳnęłam zobaczyć towarzysza Bezmienowa i... pocieszyć go w wymyślonych przeze mnie strapieniach.

Dzień był chłodny, ale słoneczny. Szłam szybkim krokiem, zadyszałam się i przed wejściem na schody stanęłam, przyciskając rękę do serca. Przed bramą stał samochód. Portierka dźwięcznym głosem oznajmiła, że dwa razy był do mnie telefon. Na górze zobaczyłam Wasilija, który miotał się w zdenerwowaniu, postukując drewnianą nogą. Wybiegł na moje spotkanie:

— Najwyższy czas! Co się pani tak zahulała! Proszę zjeść coś naprędcie i jechać.

— Dokąd?

— Jak to: dokąd? Czyż nie dostała pani mego liściku? Ach niech to... widocznie nie tam go posłałem. Została pani wyznaczona do protokołowania. W Czamojamach napadli i ograbili sklep spożywczy, zabili kierownika. Tam już dawno były zamieszki. Nasi jadą na sąd i rozprawę. Proszę się spieszyć!

Nigdy jeszcze żadne wezwanie nie zjawilo się w odpowiedniejszej chwili. Jakby wyczarowało je moje podniecenie!

Wpadłam do pokoju, na stojąco zjadłam swoją zimną zupe, zawinęłam w papier chleb i cukierki i powodowana niejasnym kaprysem zdjęłam z wieszaka szafirowy letni szal. Nie był odpowiedni o tej porze roku. Będzie mi za zimno. Ale było mi w nim do twarzy, więc zarzuciłam go na głowę zamiast włożyć zwykły kapelusz własnej roboty.

Zbiegłam ze schodów i w drzwiach wejściowych zwolniłam kroku. Kto miał jechać z nami? Obok kierowcy siedział czerwonoarmista. Na przednim siedzeniu mały garbus ulokował się plecami do mnie, zwrócony twarzą do swego sąsiada, potężnego mężczyzny w płaszczu wojskowym. Zabawnie

starali się do siebie dopasować, pogrążeni w namiętnej dyskusji. Przed nimi siedział w niedbalej pozie fircykowaty zastępca kierownika, którego nie lubiłam za to, że miał zwyczaj cedzić pytania, nie wyjmując fajki z ust...

Tylko jedno miej

sce było wolne... Moje podniecenie zgasło momentalnie. Nie chcąc przyznać się samej sobie, że cała radość z tej wyprawy została zepsuta, przypominałam sobie nagle, że nie wzięłam papieru ani ołówków. Wróciłam znów na górę, tym razem wolno, włożyłam do teczek wszystkie potrzebne rzeczy i spokojnie zeszłam na dół. Przywitano mnie ukłonem. Zająłam wolne miejsce. Kierowca obejrzał się, nacisnął starter; samochód zawarczał i zadygotał, nim ruszył.

Nie znałam właściwie żadnego z towarzyszy podróży. Ani z garbusem, który prowadził wyłącznie pracę partyjną, ani z zastępcą kierownika nigdy się nie witałam. Potężnego mężczyznę w hełmie widziałam pierwszy raz w życiu. Gdyby nie to, że przyjęli moją obecność obojętnie, jak coś całkiem zrozumiałego, pomyślałabym, że trafiłam tu przez pomyłkę. Zastępca kierownika zapytał:

— A pieczęć zabrana?

Z okrzykiem irytacji chwyciłam ponownie za drzwiczki. Ale ze schodów zbiegał już Wasilij trzymając w ręku pieczęć i parę blankietów. Rzucił mi to wszystko na kolana i samochód, skręciwszy gwałtownie, wyjechał na ulicę Zagorodną. Była to długa szosa przecinająca miasto po przekątnej.

Pędziliśmy z niezmierną szybkością, ale mimo to ulica zdawała się nie mieć końca. Świst wiatru, wycie sygnału, drobiny żwiru i zapadający mrok ogarnęły nas i podnieciły nerwowo.

Przed moim przyjściem w samochodzie toczyła się dyskusja, którą prowadzono nadal, już przy mnie. Chodziło o morderstwo i ograbienie sklepu. Garbus atakował nasz wydział rolny i każda jego uwaga do żywego dotyczyła zastępcę kierownika. Wreszcie mój fircykowaty sąsiad wyjął, wbrew swym obyczajom, fajkę z ust i powiedział:

— Jeżeli popełniliśmy jakiś błąd, towarzyszu, to tylko dlatego, że zbyt ściśle stosowaliśmy się do waszych dyrektyw. Posyłaliśmy tam ludzi z centrum i samych działaczy partyjnych. Na wasze naleganie zabraliśmy

stamtąd towarzysza Kuniusa, który doskonale znał potrzeby miejscowe i cieszył się zaufaniem chłopów.

— To znaczy, że zabraliście go za późno — przerwał surowo garbus. — A wskutek tego teraz ginie na posterunku stary, niezastąpiony pracownik. I to wszystko dlatego, że daliście im za wiele swobody!

Zastępca kierownika wzruszył ramionami.

— Spróbujcie nie dać swobody. Sami zobaczycie ich za dwie godziny. Wtedy powrócimy do naszej dyskusji.

Spokojnie zapalił fajkę mimo dmącego nam w twarz wiatru i zaczął znów ją pociągać. Wysoki wojskowy odezwał się pojednawczym tonem:

— To jest typowy wypadek, nie ma się czym przejmować. Towarzysz Kunius był bardzo porządnym człowiekiem, ale chłopci mogli przy nim robić, co im się podobało. W pewnych wypadkach ludzie z centrum są dla nas pożyteczniejsi niż siły miejscowe. Mają większy autorytet, nie są z góry nastawieni na kompromisy, dlatego też są bardziej stanowczy, odważniejsi...

— Ale w rezultacie padają ofiarą — odparł zastępca kierownika. — Trzeba przecież liczyć się z realnymi warunkami. Chcecie prowadzić propagandę ideologiczną — doskonale, dajcie pracownika. Chcecie przeprowadzać akcję dostaw obowiązkowych — doskonale, dajcie pracownika. Ale jeżeli posyłacie propagandzistę po to, żeby dopilnował dostaw obowiązkowych, to nie wyjdzie z tego ani jedno, ani drugie. Dobrze będzie, jeżeli nam dzisiaj nic nie zrobią. Gdybym był na miejscu towarzysza Bezmienowa...

Szofer zahamował nagle przed wysokim oświetlonym budynkiem fabryki tytoniowej. Dwie niespodzianki spowodowały, że podskoczyłam gwałtownie: dźwięk nieoczekiwane wymienionego nazwiska, które kręciło mi się wciąż na końcu języka, i nagle zatrzymanie się samochodu.

Jakaś ciemna postać zbiegała już ze schodów, prowadzących do fabryki. Kierowca otworzył drzwiczki i towarzysz Bezmienow z teką, w skórzanej czapce i z kaburą rewolweru u pasa wskoczył do samochodu. Jeszcze stał zatraskując drzwiczki, gdy pędziliśmy znów po ■ szosie. Później odwrócił się.

— Ściśniemy panią z dwóch stron, będzie cieplej — powiedział żartobliwym tonem i usiadł obok mnie.

Nie mogłam opanować porywu radości. Zdarzają się przecież takie szczęśliwe dni — spełnia się wszystko, czego pragniemy, do czego nie przyznajemy się sami przed sobą — i spełnia się jakoś łatwo, w sam czas, w pełnej harmonii ze wszystkim, co się czuje.

Gdy tylko Bezmienow usiadł przy mnie, gdy znalazłam się tuż koło niego, nigdy dotychczas nie zaznane wzruszenie zmusiło mnie do zamknięcia oczu. Było to uczucie trudnej do zniesienia rozkoszy; dreszcz przebiegł mi po plecach. Błogosławiłam ciemności, zdając sobie sprawę, że zdradzają mnie wszystkie, najmniejsze drgania twarzy. I wydawało mi się, że to, co odczuwam, musi być wyraźne nie tylko dla niego, ale i dla nienawistnego sąsiada z prawej strony. Skurczyłam się cała, starając się nie dotykać ani jednego, ani drugiego.

Była to szaleńcza jazda. Samochód mknął rzucając przed siebie na drogę smugi oślepiającego światła. Wiatr gwizdał w uszach, rozwiewał nam włosy. Czasami w świetle reflektorów wylaniał się z czarnego mroku wóz chłopski, sygnał zaczynał ogłuszająco wyc i wóz od- pełzał od nas w bok, jak mucha. Ze dwa razy wystraszyły się woły i musieliśmy gwałtownie hamować. Lecieliśmy naprzód, podrzucani na siedzeniu jak piłki.

W końcu zdecydowałam się zerknąć na mego sąsiada. On również patrzył na mnie, na wpół obrócony, zapalając papierosa. W świetle tego migocącego, nikłego ognieńka czy też w cieniu nocy wydał mi się bardzo blady. Oczy, które spotkały się z moimi, patrzyły poważnie i z takim blaskiem, że musiałam znów zmrużyć powieki. Lecz ulegając obezwładniającemu wzruszeniu, oszołamiającemu świstowi wichru, wyciu syreny i muzyce, grającej w mojej krwi, powoli, cichutko, nie odwracając oczu, przytuliłam się do niego.

— No, skończcie! Co byście zrobili na miejscu Bezmienowa? — niespodziewanie głośno zwrócił się garbus do zastępcy kierownika.

— Dobrze bym się namyślił, zanim poleciałbym dziś wieczór do Czamojam!

— A ja się cieszę, że jadę; lepiej zorientuję się w sytuacji! — odezwał się wolno towarzysz Bezmienow. Wydało mi się, że ma zmieniony głos i każde

słowo muskało mi serce jak pieśczoćta. Bezmienow ciągnął dalej:

— O co chodzi, o co się spieracie? Rzucić tam komórkę partyjną chłopom na pożarcie czy też pojechać z plutonem wojska, jak dawniej isprawnicy jeździli uśmierzać bunty? Sądzę, że nie proponujecie ani jednego, ani drugiego. Wybraliśmy jedyną rozsądną drogę: je- dziemy niezwłocznie, gdy tylko dowiedzieliśmy się o zabójstwie, w pełnym składzie, nawet z protokolantką, żeby wziąć udział w nocnym posiedzeniu komitetu wykonawczego rady gminnej. Albo w ogóle nie mam o niczym pojęcia, albo też chłopci potraktują nas jak przedstawicieli władzy. Musimy tylko pamiętać o najważniejszym: nie cofniemy już tego, co się stało, na przyszłość trzeba postępować rozsądniej.

— I nie wsadzać tam Kuniusów — dodał garbus.

— Iz powrotem posadzić tam Kuniusa — powtórzył z uporem zastępca kierownika.

Towarzysz Bezmienow roześmiał się. Często widywałam jego uśmiech, ale po raz pierwszy usłyszałam śmiech. Był to zresztą cichy śmieszek, nerwowy i niewesoły. Cisnął niedopalonego papierosa w dziki pęd wichru, wyciągnął nowego i trzymał go w palcach nie zapalając. Dziwiło mnie i wzruszało jego zdenerwowanie. Przypisywałam je temu, że jesteśmy tak blisko. Powoli nabrałam odwagi, ściągnęłam szal na czoło i zaczęłam patrzeć na niego nie odrywając wzroku. Wydawało mi się, że jestem w dalekim Zurychu, na tarasie małej cu- kierenki. Wydawało mi się, że po raz pierwszy, z oddali, z całkowitą swobodą wewnętrzną widzę tę szlachetną głowę odrzuconą nieco w tył, tragarza przeciągającego się w potężnym ziewnięciu, zarys karku, szyi, ramion. Patrzyłam na niego dawnym spojrzeniem damy z towarzystwa, upojona swobodą, pewnością siebie, panowaniem nad sobą i sytuacją — i nagle coś zastukało mnie w sercu: maleńka myśl, jak błysk zapalki, przelotna, oślepiająca myśl, że pokochałam go od pierwszego wejrzenia i dziś kocham jak wtedy.

Zastępca kierownika wyciągnął zegarek z kieszeni:

— Za dziesięć minut będziemy na miejscu. Już widać światła wsi.

Podjedziecie prosto do klubu partyjnego.

— Towarzyszka Zworykina nie może być obecna na posiedzeniu komórki,

to byłoby wbrew statutowi — wtrącił się garbus.

— Zaczeka na nas w sąsiednim pokoju — odparł Bezmienow.

I jak gdyby w przeczuciu bliskiej chwili rozstania, bez porozumienia, nie patrząc na siebie, niedostrzegalnie dla obecnych wzięliśmy się za ręce. Moja dłoń była zimna jak lód. Jego palce — ciepłe i mocne. Kierowca zatrzymał samochód. Bajka się skończyła. Wielkie czarne psy rzuciły się na nas z dwóch stron z ogłuszającym szczekaniem. W głębi widać było zarysy jakichś ciemnych zabudowań. Piętrowy domek klubu partyjnego był oświetlony lampami naftowymi.

Przyjechaliśmy do Czamojam.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieś Czarnojamy leżała w odległej dolinie, otoczonej pasmem gór ze złożami antracytu. Była niemal całkowicie pozbawiona roślinności. Wzdłuż szosy ciągnęła się na falistym, pagórkowatym terenie. Je-

■ i iftifiiti

dynie od strony morza, tam gdzie czepiały się skał drewniane chatynki rybaków, znajdowały się łąki i wspaniałe pastwisko, zajmujące obszar kilkudziesięciu wiorst.

Mieszkańcy Czarnojam, przesiedleńcy z guberni centralnych, mieli swoje zagrody pośród sadyb Tatarów i kolonistów niemieckich, posiadających tu kilka gospodarstw. Ze sprawozdań miesięcznych, które wpływały do wydziału rolnego, a stamtąd do mnie na maszynę, wiedziałam, że jest to wieś bogata, ale niespokojna. Chłopi z trudnością przestawiali się na obcą dla nich hodowlę bydła. Niemcy skarżyli się na ustawiczne okradanie ich gospodarstw. Tatarzy solidarnie trzymali się z osobna i obcinali uszy, nosy i ręce złapanym koniokrądom. Zdarzały się tu wypadki rozpraw nożowych i samosądu. Do zmiany władzy wieś ustosunkowała się obojętnie. Czy powodowały to warunki ich życia, czy też ponura okolica, a może w ogóle temperament osadników — dość że byli wyjątkowo bierni i posępni.

Nowy ustrój wprowadzany żelazną ręką poruszył to mrowisko. Przepisując codziennie na maszynie urzędowe papiery, w których drobne fakciki tkwiły gęsto, jak szpilki podczas mierzenia nowej sukni, straciłam poczucie perspektywy, nie umiałam wyciągnąć wniosków ogólnych. Ale

teraz, w Czarnojamach, wśród żywych ludzi, tworzących historię, zrozumiałam od razu konsekwentny rozwój tego, co się dzieje. Zrozumiałam, na czym polegał spór między szeleszczącymi na mej maszynie ponumerowanymi papierami. Jedne z nich wychodziły z komitetu partyjnego, z serca rewolucji i stała za nimi nieugięta i zbiorowa wola partii. Drugie wypływały tylko z osobistych doświadczeń i były pisane przez ludzi, wykonujących zadania gospodarcze. Jedne dyktowały, inne ostrzegały, przeszkadzały, radziły, robiły poprawki. Jedne rzucały zupełnie prosty snop światła, jak promień w przestrzeni kosmicznej. Inne wytryskiwały promieniem z tego samego ośrodka, lecz natychmiast załamywały się trafiając w środowisko zmateralizowane. Przyglądałam się walce tych papierków, wynikającej z nich średniej wypadkowej i wydawało mi się, że na jej podstawie można by opracować coś w rodzaju wzoru chemicznego, zbudowanego na doświadczeniach naszego pokolenia.

Gdy samochód się zatrzymał, otworzyły się drzwi klubu i paru ludzi wyszło na nasze spotkanie. Pośród nich zobaczyłam wysoką postać chudego, mocno zgarbionego mężczyzny, o twarzy ocienionej niewielką bródką. Wpatrywał się w przyjezdnych przez okulary.

—Kunius! — krzyknął garbaty zrywając się z miejsca. — Skąd się tu wzięliście, u diabła! W dodatku bez uchwały partyjnej!

—Darujcie, towarzyszu — odpowiedział chór głosów ze schodów — komórka partyjna wezwwała towarzysza Kuniusa na pomoc. Wejdźcie na górę, dowiecie się, jak to było.

Po upływie paru minut cała nasza grupa nie wyłączając kierowcy siedziała w czystej świetlicy z długim stołem pośrodku; była to czytelnia klubowa. Drewniane ściany oklejono gazetami. W rogach wisiały pięknie udrapowane czerwone sztandary. Stół był zasypany broszurami i czasopismami.

Dowiedzieliśmy się, że zmasakrowane zwłoki kierownika, towarzysza Wargina, spoczywają w sąsiednim pokoju i rankiem zostaną odesłane do miasta. Chłopi po rozgrabieniu sklepu ruszyli na klub partyjny i byliby go zniszczyli, gdyby w porę nie zdążył wezwany z sąsiedniej wsi towarzysz Kunius. Udało mu się skłonić chłopów do rozejścia się, doprowadził nawet

do tego, że wydali podżegaczy. Ci zostali aresztowani i siedzą pod kluczem. Nadzwyczajne posiedzenie komitetu wykonawczego zostało zwołane na jedenastą wieczór. Pozostało do niego jeszcze dwie godziny.

Zastępca kierownika rzucił garbusowi triumfujący uśmiech. Ale garbus bynajmniej się tym nie przejął. Skinął na mnie i zaprowadził do dużego, na wpół pustego pokoju, w którym stała otomana z czyjaś czerwona wygniecioną poduszką i zamknięte pianino.

— Posiedźcie tu, póki nie skończy się zebranie partyjne. Radzę się przespać. Całą noc będziecie musieli protokołować i lepiej mieć wypoczętą głowę.

Po jego wyjściu ułożyłam się jak najwygodniej na otomanie i zaczęłam odtwarzać sobie w wyobraźni całą naszą przejażdżkę, przeżywając związane z nią słodkie upojenie. Ale marzenia moje zostały po chwili przerwane. Pokój, w którym się znajdowałam, oddzielała od czytelnicy jeszcze jedna izba, w której stała obecnie trumna ze zwłokami zamordowanego. Ścianki działowe zrobione były z desek, nie pociągniętych nawet warstwą gliny, tylko oblepionych gazetami. Światło przebijało przez zaklejone szpary. Gdy przemawiający podnosił głos, dolatywało do mnie każde słowo. Mimo woli zaczęłam się przysłuchiwać.

Najpierw mówiono o Kuniusie, potem o innych ludziach, których nie znałam. Ktoś zaczął długą przemowę, ciągnącą się monotonnie, bez replik, prawdopodobnie składał sprawozdanie. Nagle rozległ się głos zastępcy kierownika:

— 1 popełnimy nowy błąd. Zrozumcie, że musimy pójść na ustępstwa, w przeciwnym wypadku nie będziemy mogli zagwarantować nawet dwudziestu procent dostaw obowiązkowych.

Przerwał mu szorstki falset garbusa.

— Słuchajcie, przecież to, co proponujecie, jest gorsze od ustępstw. Zatraca się zupełnie charakter pierwotnego planu. Czymże w takim razie różnimy się od innych!

— Ale zależy wam, żeby uzyskać pełne sto procent? Zdajecie sobie sprawę, że to jest konieczne? Zrozumcie więc, że ta konieczność w żaden sposób nie odpowiada konieczności, którą propagujecie... Albo pójść na

ustępstwa i otrzymać, albo utrzymać się na linii i nie dostać nic! —! gorączkował się zastępca kierownika.

Przerwał mu jakiś bardzo młody głos z tatarskim akcentem:

— Wszystko można zrobić przy użyciu siły. Towarzysz Kunius pertraktuje z nimi, a my nie powinniśmy byli pertraktować: jest uchwała — podporządkujcie się; kto odmówi, tego zmusić. W razie buntu rozstrzelać. I koniec.

— Taką taktykę możecie stosować najwyżej przez rok. Za rok będziecie tiumfalnie rządzić bezludnymi wsiami, nieuprawionymi polami, spalonymi stodołami, gromadą zbiegłych chłopów i bandytami na rozstajnych drogach. Nie znacie chłopą, a ja go znam. Od dwudziestu lat pracuję w ziemstwach! — wykrzyknął znowu zastępca kierownika.

— I zresztą towarzysz Kunius nie robi żadnych specjalnych ustępstw — poparł zastępcę kierownika jakiś nieznajomy głos. — Umie rozmawiać z masami, jest wyrozumiały, życzliwy, mają do niego zaufanie; ustępuje w sprawach, które są dla nas nieistotne. A gdy im się nie podoba nazwa, mówi „proszę bardzo” i chłopci wymyślają własną nazwę, ale jednak w gruncie rzeczy postępują według naszych dyrektyw. W ten sposób pracował z nimi przez całe pięć miesięcy. Oczywiście, że popełniliśmy błąd, zastępując go przez towarzysza Wargina. Wargin był zbyt prostolinijny i zasadniczy, od razu nastawił wszystkich przeciwko sobie. Z miejsca roztoczył przed ludźmi obraz samych trudności i nie obiecywał żadnej poprawy.

— Nie czas dzisiaj krytykować człowieka, który zapłacił głową! — wtrącił garbus. — Nie zapominajcie, że nie my rządzymy, tylko partia. O czym tu gadać? Mamy określone dyrektywy i musimy wcielać je w życie.

Zaraz po tym rozległ się spokojny i dźwięczny głos Bezmienowa:

— Towarzysze, płaczemy dwie różne sprawy. Nie do nas należy dyskusja nad uchwałą partyjną, naszym obowiązkiem jest ją wykonać, walczyć o jej realizację, popierać wszelkimi siłami i wzmacniać jej autorytet. Ale co innego taktyka. Możemy przedyskutować, w jaki sposób najlepiej można będzie w tej chwili wykonać uchwałę. Rzecz jasna, że chłop nie ma ochoty dać nam

tego, czego potrzebujemy. Rzecz jasna, że musimy zabrać mu zboże, przecież robotnicy głodują, głoduje Armia Czerwona. Czytaliście „Prawdę” z dwudziestego dziewiątego września? Lenin pisze jasno, że w przyszłym roku musimy zebrać do czterystu milionów pudów zboża... Czterysta milionów. A co towarzysarz Lenin powiedział niedawno, na naradzie przewodniczących komitetów wykonawczych? Dostawy obowiązkowe są zbyt obciążające dla starych guberni rosyjskich. Trzeba wprowadzić ulgi kosztem bardziej urodzajnych terenów, do których zalicza się i nasz obwód. Wszyscy to doskonale rozumiecie. A więc — musimy zdobyć zboże. Kropka, nie ma o czym gadać. Jak zdobyć? Wałkujecie tylko wciąż Kuniusa, jakby to o niego przede wszystkim chodziło. A może zaczęlibyśmy wałkować chłopów czamojamskich? Przecież nie są jednolitym elementem. Podżegacze zostali wydani, siedzą pod kluczem...

— A kto namówił do ich wydania? Kunius! — wykrzyknął znowu zastępca kierownika.

— Słusznie, Kunius namówił. A więc powinniśmy go teraz zapytać, na kim możemy w Czamojamach polegać, a kogo, jego zdaniem, należy wsadzić za kratki razem z podżegaczami. Spróbujmy ich wezwać, pogadajmy z nimi, przyjrzyjmy się im. Wyjaśnimy sytuację. I razem pójdziemy z łopatami od zagrody do zagrody — sprawdzimy, kto ile zakopał. Jak wykopimy ziarno u jednego, to ręczę wam, że znajdzie się u wszystkich. Dzieciaki pobiegą z nami i pokażą.

— Sosionkina trzeba stąd zabrać, źle postępuje z chłopami — odezwał się Kunius — na naradę trzeba koniecznie wezwać komsomolców: Iwina, Pietropawłowskiego...

— Syn popa! — wykrzyknął garbus.

— Ale doskonały komsomolec i można na nim bezwzględnie polegać — odparł stanowczo Kunius. — Przestań argumentować po pami! Syn od pięciu lat walczy z ojcem. Wejrzyj trochę głębiej w te sprawy!

— Pójdzie z nami po gumnach wykopywać ziarno kulakom? — zapytał Bezmienow.

— Pójdzie — odpowiedział Kunius z całkowitą pewnością.

Wszyscy ściszyli głosy, omawiano szczegóły i prawie nic już nie

usłyszałam.

Ogarnął mnie smutek i zupełnie upadłam na duchu. Czym jest czułość dla człowieka typu Bezmienowa, zbudzona przypadkowo w samochodzie, przy akompaniamencie wycia nocnego nordostu? Czy pamiętał o niej jeszcze, gdy wysiadał z samochodu? Czy pamięta w tej chwili, że jestem tu, za ścianą? I skąd mogę wiedzieć, czy jest to uczucie wzajemne?

Ty, Willi, nie odgrywałeś żadnej roli w tych wszystkich rozmyślaniach. Ale gdy położyłam głowę na czerwonej poduszce, przesiąkniętej wonią machorki, zobaczyłam nagle w nie osłoniętym oknie wielkie, rzadko rozsiane gwiazdy, przypominające krople deszczu. Drobiazgi wsączają się w nas jak mikroby i zarażają nas. Wskutek migotania gwiazd, które zaplątały się w moich rzęsach, znalazłam się nagle nie tu, lecz tam, przed pięciu laty, w swoim majątku, w twoim towarzystwie, Willi, i w towarzystwie tobie podobnych. Pewne, niezawodne mury odgradziły mnie od świata, łagodne ręce cudzych poglądów opadły mi na czoło i przesłoniły oczy, słodka niepamięć ukołysała serce — jak łatwo jest żyć, nie wiedząc o niczym, bez poczucia odpowiedzialności, nie męcząc się, nie szukając... i poprzez rzęsy, jak w odwróconych szklach lornetki odbiegło ode mnie wszystko, co mię otaczało, małe, malutkie... Słowa, dolatujące zza ściany, dźwięczały jeszcze w uszach, lecz stały się jakieś bezwładne, pozbawione treści. Wielkie leniwe zwierzęta, nigdy nie widziane, podeszły do mnie i zaczęły odgradzać mnie łapami od rzeczywistości, przekształcając się w godło herbu twego szlacheckiego rodu. Gdzieś obok zadźwięczał metaliczny śmiech Babetty, z akcentem nadwołżańskim... Przyśniło się to wszystko, przyśniło, przyśniło...

— Musimy iść do komitetu wykonawczego, moja droga! — znajoma dłoń bardzo nieśmiało, lecz stanowczo, wsunęła się pod mój policzek. Drgnąłam i otworzyłam oczy. W świetle gwiazd zobaczyłam pochyloną nad sobą twarz Bezmienowa, znużoną, ze zmarszczką na czole, bez cienia uśmiechu. Policzek mój leżał na jego dłoni.

— No, raz, dwa, trzy!

— Cztery, pięć... — dodałam nie mając zamiaru się poruszyć. Spod zmrużonych powiek patrzyłam w te oczy, pogłębione mrokiem. Sen wciąż jeszcze otulał mnie jak mgła, krył się w kąciakach warg i mącił myśli. Byłam

damą z towarzystwa, Aliną Mikołajewną, rozkapryszoną małżonką małego rasowego człowieczka o główce strusia.

—Cóż to? Sabotaż? — uśmiechnął się Bezmienow. Lecz gdy spróbował uwolnić rękę, mocniej przycisnęłam do niej policzek. Przytłumione snem szaleńcze podniecenie ogarnęło mnie znowu. Lecz zamiast poprzedniego zmieszania zagrał we mnie teraz potężny instynkt zdobywczy, zmobilizował wszystkie środki, którymi wiele pokoleń kobiet podbijało mężczyznę. Czyż nie najważniejszą rzeczą w świecie jest ten gorący, niezwyciężony prąd, który przebiega między mężczyzną a kobietą? Czy nie jest on mocniejszy od wojen i trzęsienia ziemi, huraganów i rewolucji? Czy ten młodzieniec o spadzistym czole i złotych rzęsach — przecież jest jeszcze taki młody! — nie musi w tej chwili zapominać o wszystkich wygłoszonych przed chwilą przemówieniach, o troskach o jakieś tam Czamojamy, o jakieś tam zboże?

Odezwałam się spokojnym, z lekka drwiącym tonem, niczym nie zdradzając przejmującego mnie do głębi, radosnego dreszczu:

— Słyszałam stąd wszystko, o czym była mowa... I pana świetne przemówienie o tym, że nie należy wałkować Kuniusa, lecz chłopą. Jak należy wałkować chłopą?

Wyrwał rękę, nim zdołałam ją przytrzymać. W głosie jego zabrzmiało coś na kształt żalu:

— Podśluchiwała pani, to bardzo brzydko, ale jeszcze pół biedy. Cała bieda w tym, że, jak zwykle, nic pani nie zrozumiała.

— Jeżeli nie zrozumiałaś, to nie szkodzi, że słyszałam. Proszę usiąść na chwilę i wytłumaczyć mi!

—Chodźmy na dół, samochód czeka.

Zdawałam sobie jednak całkowicie sprawę, że stracę, że stracę go natychmiast, gdy tylko znajdzie się w normalnych okolicznościach. Stracę również siebie — zdobywczą kobietę — aby stać się znowu sumienną, wystraszoną panienką-maszynistką. A on stał teraz obok otomany, spoglądając na mnie z niepewnością i żalem. Jakiś chłopięcy wyraz jego ust znów przypomniawszy mi o jego młodości. Czy jesteśmy w równym wieku, czy też jest młodszy ode mnie!

— Zaraz wstanę — powiedziałam pokornie — tylko proszę mi pomóc

zebrać szpilki do włosów.

Pochylił się, niezręcznie macając ręką po poduszce. Podniosłam głowę i dotknęłam czołem jego podbródka. Z dołu widziałam zarys jego warg, które przybrały od razu bardziej męski i dojrzały wyraz. Wygładziły się surowe zmarszczki na czole, usta zwarły się z niewypowiedzianą czułością. Znalazł szpilkę i wetknął mi ją we włosy.

Wówczas wstałam powoli, zabrałam teczkę i skierowałam się w stronę schodów, pogrążona w bezmiernej szczęśliwości. W sąsiednim pokoju stała trumna. Na dole czekano na nas w samochodzie. Ale we mnie rozśpiewało się wszystko — śpiewałam w duszy własną pieśń | | że kocham i jestem kochana.

Budynek gminnego komitetu wykonawczego oświeślały dwie wiszące lampy osłonięte okrągłymi abażurami z tektury. Wewnątrz było szaro od dymu z machorki. Do woni machorkowej dołączył się odór przepoconych kożuchów, ostry, aż do mdłości.

Siedząc przy oddzielnym stoliku, z ołówkiem i papierem, przyglądałam się czamojamskim chłopom, usiłując przyzwyczaić się do nieznośnego smrodu. Byli to barczyści, ponurzy ludzie; nawet ci, którzy nie wyglądali na więcej niż osiemnaście lat — a komitet wykonawczy składał się prawie z samej młodzieży — spoglądali spode łba, bez uśmiechu i mówili wolno poruszając szczękami, jakby coś żuli. W prezydium zasiadł sekretarz. Widać było, że trudno mu się zorientować w leżących przed nim papierach. Jedno oko miał wybite, jak mówiono, na przedstawieniu amatorskim. Twarz wskutek stałego przechylania się w stronę zdrowego oka miała jakiś dziwny grymas, jakby malował się na niej stały złośliwy uśmieszek. Głos miał natomiast miękki, chwilami piskliwy, trochę kobiecy. Trudno było sobie wyobrazić większy kontrast niż głos i twarz tego człowieka. Wtrącał się do wszystkiego, przerywał mówiącym: „Pozwólcie ja zamelduję” i ze swym sardonicznym uśmiechem meldował długo, rozwlekłe, a słuchaczom przykro było na niego patrzeć. Robił wrażenie, że umyślnie kpi sobie z nas. Później dowiedziałam się, że był to właśnie Sosionkin.

Posiedzenie trwało do drugiej w nocy. Chłopi oskarżali się wzajemnie i żalili, że nie podołają dostawom. Skarżyli się na zbyt małe przydziały, na

niemożliwość wywozu, na samowolę sowchozów, na milicję, która zabierała dla siebie artykuły przeznaczone na wywóz. Zauważyłam wówczas, że gdy słucha się skarg chłopów, wydaje się, że wszystkie są słuszne.

Lecz gdy po pobycie w głodnych, wilgotnych, nędznych mieszkaniach miejskich znalazłam się w dobrze opalanej suszonym nawozem chacie, lepiej zrozumiałam surową politykę miasta. Najedzone po dziurki w nosie dzieciaki przyglądały się nam, a my patrzyliśmy na góry tłustych podplomyków, mleko, jajka, ser owczy, czarny cukier z arbuzów.

Wszystko w Czarnojamach skończyło się pomyślnie. Dwaj małomówni jasnowłosi młodzieńcy, Iwin i Pietropawłowski, zostali po zebraniu, porozmawiali chwilę z Bezmienowem i zarzuciwszy ber- danki na ramię wyszli z komitetu z Kuniusem. Garbus też poszedł z nimi.

Moje olbrzymie protokoły, przypominające powieść o bardzo ciekawej akcji, postanowiłam opracować raz jeszcze, zanim przekażę je Bezmienowowi. Opuściło mnie podniecenie, nie czułam się również zmęczona. Pełne napięcia przeżycie zbliżyło nas wszystkich, ośmieliłam się nawet i brałam udział w rozmowie jak swój człowiek. Noc mijała. Gwiazdy kończyły swą wędrówkę po niebie, opadając ku widnokręgowi jak bukiety wędnących kwiatów. O trzeciej wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Rozhuśtane bezsenną nocą nerwy powodowały, że wszyscy mówiliśmy dużo i głośno. Nawet kierowca, odwracając się co chwila w naszą stronę, wtrącał się do rozmowy. Nagle krzyknął, patrząc ponad naszymi głowami na coś, co działo się w tyle.

Tam, na wybrzeżu, gdzie przytuliła się osada rybacka, zarysowała się różowa wstęga łuny. Nord-ost narobił biedy. Nie było wątpliwości, że rozdmucha pożar, zanim ludzie zdążą go ugasić. Samochód zawrócił natychmiast i pomknęliśmy w odwrotnym kierunku. W Czarnojamach również zauważono pożar, wyprowadzono z hałasem konie, montowano pompy, wydawano rozkazy. Osada była blisko. Wiatr dał z tamtej strony i mógł przerzucić ogień na całą wieś. Przecieliśmy szeroką ulicę i pędziliśmy szosą, zostawiając za sobą koniki straży pożarnej.

Wkrótce duszące kłęby dymu, żar, iskry i gorący wiatr uniemożliwiły dalszą jazdę. Musieliśmy się zatrzymać, ukryć samochód w krzakach, a

sami, przedzierając się przez gęste zarośla tarniny, staraliśmy się iść w poprzek do kierunku wiatru.

Przed nami morze huczało niespokojnym, nocnym szumem, tocząc czarne fale; brzeg jęczał pod uderzeniami fal i wydawał się chwiejny, grząski, poszarpany. Konstelacje gwiazd toczyły się nad głowami wzmagając wrażenie, że ziemia jest czymś niepewnym, niestałym jak huśtawka. A między niebem i morzem płonął olbrzymi stos, pożerając z trzaskiem żalosne drewniane chatynki, podobne do ptasich gniazd.

Bezmienow zostawił nas na placyku osłoniętym przed ogniem i wiatrem, a sam popędził do osady. Dowiedzieliśmy się od przebiegających ludzi, że ocalił Czarno jamy dzięki zastosowaniu radykalnych środków: kazał zburzyć kilka lepierek między osadą a wsią, ewakuować ludność z krańca wsi, a na łąki puścić wodę z kanałów nawadniających, oddzielając w ten sposób szopy z sianem od płonącego odcinka. Ale osada rybacka zgorzała do cna. Kilkadziesiąt rodzin z tobołkami i resztką uratowanego dobytku powlokła się do Czarnojam. Dopiero o świcie mogliśmy zobaczyć skutki pożaru. Skały przybrzeżne były okryte czarnymi płatami sadzy. Tu i ówdzie nędzne kupki popiołu dymiły się jeszcze, jak stosy palonego latem nawozu. Wiatr wyrzucił na brzeg mnóstwo drobnych rybek, które leżały teraz wśród kamieni, szczerniały od ognia. Wałęsające się wśród zgłiszcz dzieci jadły je.

Na szczęście nie było ofiar w ludziach. Kilku rybaków wypłynęło na morze, ratując w łodziach dobytek, sieci i połów, a teraz, gdy wiatr się uspokoił, powoli wiosłowało w stronę brzegu.

Bezmienow przyjechał do nas konno, z obandażowaną głową, bez czapki. Twarz miał czarną, oczy pełne uniesienia, a włosy pachnące spalenizną.

— Osmaliłem się w ogniu jak kura. Ale doskonale się złożyło, żeśmy zawrócili. Bez naszej pomocy nie uratowaliby chyba Czarnojam.

Garbus i Kunius pozostali we wsi. Zastępca kierownika, który od dawna już spoglądał z niepokojem na zegarek, zdobył gdzieś motocykl i pomknął do miasta, twierdząc, że bez niego w biurze powstanie zupełny chaos.

Siedziałam w samochodzie z kierowcą i cierpliwym wojskowym, czekając na niezmordowanego Bezmienowa, który zjawił się wreszcie, niosąc ogromny bochen chleba i pieczoną rybę, zawiniętą w gazetę. Dał kierowcy znak,

abyśmy ruszyli, rzucił swoją zdobycz na jedno z wolnych miejsc i powiedział do mnie wesoło:

— Zjemy śniadanie.

Ale mimo tej wesołości miał głos matowy, przygłuszony, jaki miewają ludzie bardzo wyczerpani nerwowo. Wojskowy i ja zaczęliśmy gospodarować. Nakrajaliśmy chleba, oczyściliśmy rybę, pachnącą pożarem i morzem, wydostaliśmy słoiczek z solą. Ale sami musieliśmy to wszystko zjeść. Bezmienow nawet nie tknął tego śniadania. Siedział pochylony, z zamkniętymi oczami, w dziwacznej pozie, niewygodnej i niezręcznej. Samochód pędził szosą w stronę miasta. W świetle poranka twarz Bezmienowa przybrała trupią barwę, gęste smugi sadzy zmieniły jej wyraz, zaostrzając rysy. W pewnej chwili poruszył głową i jęknął.

— Ależ on jest ranny!

Zdjęliśmy mu bandaż z głowy i zobaczyliśmy parę oparzeń, sięgających po sam czubek głowy. Bezmienow zapewniał nas, że to drobiazg, na który nie warto zwracać uwagi. Oczy jego jednak i spieczone wargi zdradzały, że ma gorączkę i cierpi. Gdy samochód, zwolniwszy biegu, przejeżdżał koło złoży antracytu, Bezmienow ożywił się nagle i odwrócił głowę. Za nami, w blaskach poranku, leżały senne, ponure Czamojamy, a jeszcze dalej, nad szarą wstęgą wybrzeża dymiły szczątki osady rybackiej, wznosząc w górę zwęglone kikuty kominów, osnute kopciem i pyłem.

— Dobrze byłoby spalić to wszystko ze szczętem — powiedział wesoło. — Zniszczyć jak koczowisko dzikusów. Spójrzcie tylko na tę warstwę. Za dziesięć czy dwadzieścia lat antracyt wzniesie tu miasta, fabryki, porty. A my zamiast trząść się po szosie będziemy latać po niebie.

Wreszcie dojechaliśmy do miasta. Jakże inny był nastrój tego powrotu od oszołamiającej radości, z którą wsiadałam do samochodu! Coś zaszło między nami, jakby lewy pedał urwał się i przycisnął serce. Próbowałam zbudzić w sobie poprzednie uniesienie, ale bezskutecznie — w sercu została tylko pamięć o nim, a nie ono samo. Zmęczeni, otępiali, wyczerpani nadmiarem wrażeń, przyjechaliśmy do domu i zamiast odpocząć natychmiast udaliśmy się do pracy. Wasilij czekał na mnie w biurze ze stosem papierków. Dziwna rzecz — ucieszył mnie jego widok, jakbym spotkała najbliższego przyjaciela.

Jego obecność powróciła mi normalne samopoczucie, to wszystko, co daje własny dom i codzienne, znajome środowisko. Jakby gęsta, mocna kotara przesłoniła osłabłe nagie oczy zbyt wielkim, niepokojącym blaskiem.

Rajeczka podeszła do mnie, kołysząc biodrami, wypudrowana i zazdrosna.

— Z jakiej racji panią tam zabierali?

Dotknęła mnie boleśnie słuszność zawarta w tym pytaniu. Pochyliłam się nad białymi klawiszami maszyny, powołując się na niemiłosierne zmęczenie. Dzień był długi, dokuczliwy, nieudany. Ustawicznie robiłam błędy, psułam papier. Wreszcie wskazówka zegara do- pełzła do czwartej i oboje z Wasilijem pośpiesznie sprzątnęliśmy papiery, zamknęliśmy biurka i podażyliśmy do domu.

Wciąż jeszcze dzieliłam pokój z poetycznym młodzieńcem o drewnianej nodze. Tak się do tego przyzwyczaiłam, że niejednokrotnie wieczorami, leżąc w łóżkach, prowadziliśmy poprzez kotarę, którą nam w końcu zawieszono, długie rozmowy filozoficzne. Wasilij był prostym chłopakiem wiejskim, który trochę poduczył się w wojsku. Sam nazwał siebie kiedyś „ordynansem rewolucji” i to określenie wydało mi się genialne. Jego oddanie rewolucji, ślepe, służbiste, bez zastrzeżeń, przypominało wierność ordynansa. Na rozkaz gotów był cerować pończochy, nastawiać samowar, niańczyć dzieci, biegać na posyłki dla rewolucji, nie myśląc o niczym, tylko o wykonaniu rozkazu. I jakby dla uzupełnienia obrazu, na twarzy jego zastygł wyraz zakłopotania, pogłębiony nawykiem trzymania na wpół otwartych ust.

Dzisiaj był jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Przyniesiono nam mój ulubiony barszcz i jedliśmy go powoli, rozkoszując się różnorodnością wyławianych kąsków.

— A w czasie pani nieobecności na mnie znowu naszło natchnienie — zaczął Wasilij po zjedzeniu zupy, przyjmując jakiś sztucznie beztroski ton. — Tak ni z tego, ni z owego, zupełnie bez powodu. Może rzuci pani okiem, czy jest jakiś postęp?

„Postęp” był jego słabą stroną. Nie mógł pogodzić się z myślą, że nie robi postępów. Wsunął mi w rękę rulonik papieru i nie pijąc nawet herbaty złapał czapkę i wyskoczył na korytarz. Myśli moje były niesłychanie dalekie od

wierszy Wasilija. Przerzucałam je z roztargnieniem, czytałam i nie rozumiałam, o co chodzi. Nagle wzrok mój zatrzymał się na jednej linijce, przebiegłam ją oczyma raz i drugi, zrozumiałam jej sens i twarz zalała mi fala krwi. Doznałam wstrząsu, jakby przebiegł mnie prąd elektryczny. W tym wstrząsie górował przede wszystkim wstyd, ostry, nieprzyjemny, kłujący. A później — jeżeli mam być szczerą — pierwszym moim odruchem było oburzenie, oburzenie wybuchowe i głośne, to, co Niemcy określają słowem „Empoerung”. Oburzenie, w wyniku którego człowiek zrywa się z miejsca, tupie nogą, wskazuje drzwi i... dzwoni na służbę.

Tak. Po zapoznaniu się z pracą fizyczną, nędzą, chorobą, po przystosowaniu się, żyzności, po zaliczeniu się do klasy ludzi z odciskami na rękach — zachowałam gdzieś, w najgłębszym wnętrzu, istotę zupełnie obcą temu wszystkiemu, co przeżyłam. Odkryłam nagle w sobie coś w rodzaju atawistycznej narośli na uszach i to odkrycie było gorzkie i poniżające...

Taki był błyskawiczny chaos uczuć, których doznałam kolejno w ciągu ułamka sekundy. Wiersz, który dotarł do mej świadomości, był niezręcznym wyznaniem miłości. Człowiek z drewnianą nogą, ordy- nans rewolucji, wyznawał miłość Alinie Zworykinej. Nie znaczy to, aby sprawiło mi przykrość to niespodziewane i nieodwzajemnione uczucie. Nie znaczy to, abym wzgardziła właśnie Wasilijem. Nie, to, co odczułam, było ostrym, wszechogarniającym, instynktownym oburzeniem w stosunku do „ces gens-la”. I chociaż uczucie to trwało tylko przez mgnienie oka, doszło ono do mojej -świadomości i nie mogłam go sobie wybaczyć.

Za drzwiami rozległo się postukiwanie drewnianej nogi, potem kaszel, i Wasilij ukazał się patrząc w ziemię z zażenowaniem, lecz równocześnie z odrobiną figlarniej przekory:

— Przeczytała pani moje wierszyki?

Powiedziałam mu, że przeczytałam, ale strasznie boli mnie głowa i jutro spróbuję zaznaczyć ołówkiem miejsca, wymagające poprawek. Potem położyłam się, żeby odpocząć, znowu uprzytamniając sobie wszystkie niewygody i cały absurd podobnego sąsiedztwa. Zamiast odpoczynku wróciła znowu bezsenność, bicie serca i po raz pierwszy po długiej przerwie uczułam znów drganie gałki ocznej, przypominające dygotanie silnika pod pokładem

okrętu. Drżałam cała, wsłuchana w nierówną pracę serca. W okropnym stanie doleżałam do ranka, aby wstać z uczuciem zupełnego wyczerpania i myśleć

o wykrętnym unikaniu ryzykownych tematów zagrażających mi ze strony Wasilija.

Jakiż nieznośny ciężar przytłacza czasem barki człowieka! Czułam wstręt do samej siebie i to powiększało jeszcze moje cierpienie. Kokieteria Rajeczki była dla mnie w tej chwili błogosławieństwem. Rajeczka zabierała moje papierki i biegła, zamiast mnie, do Bez-

166 H I

mienowa „po podpis”, a ja siedziałam odwrócona plecami do całego biura, z twarzą pochyloną nad maszyną i stukałam, stukałam na wyścigi z szalejącym sercem.

Lecz w chwilach, które są już nie do zniesienia, nadchodzi pomoc. Siwiuteńki buchalter przyszedł do biura z listami płacy i zupełnie niespodziewanie dowiedziałam się dwóch rzeczy; po pierwsze, że jutro jest dzień wolny od pracy i po drugie, że należy mi się spora suma pieniędzy, składająca się z uposażenia, godzin nadliczbowych i jeszcze z jakichś tam tajemniczych obrachunków. Och, schronić się, zniknąć stąd, chociaż na krótki czas!

Podpisałam listę płacy krzywymi literami, porwałam pieniądze i pędem pobiegłam do domu. W pośpiechu, żeby nie spotkać się z Wasilijem, zrezygnowałam nawet z obiadu, zarzuciłam na plecy worek z otrzymanym przydziałem — były to śledzie, ziarna kukurydzy i suszone owoce — ubrałam się byle jak i wybiegłam na ulicę. Portierkę uprzedziłam, że wybieram się do uzdrowiska.

Było zimno, padał deszcz. Na targowisku odszukałam mleczarkę, z którą umawiałam się kiedyś, że mnie podwiezie. Kobieta osłupiała, gdy podeszłam do niej i wdrapałam się na wóz.

-^Spóźniłam się troszkę — spróbowałam zażartować — ale jednak dotrzymuję słowa.

— W imię Ojca i Syna! — jęknęła, nie ruszając się z miejsca. — Cóż pani tyle czasu w mieście robiła?

— Pakowałam się, babciu!

Mleczarka długo jeszcze mruczała, wspominając wszystkich świętych, a potem zostawiła mnie przy koniu, a sama pobiegła do stołówki zjeść na swoją kartkę gorącej zupy radzieckiej. Mnie się również przypomniało, że nie jadłam obiadu, kupiłam więc placków sprzedawanych spod poły zręczniej, niż ja to robiłam. Koło szóstej ruszyliśmy truchcikiem, w deszcz, grząską, błotnistą drogą. Mleczarka wciąż nie mogła się uspokoić i w końcu rozgadała się na temat podatków i dostaw obowiązkowych. Po wsiach i miastach, przez mosty i drogi polne rozchodziły się głuche wieści, szeptane z ust do ust, że dostawy obowiązkowe zostaną zamienione na podatek, dzięki czemu chłop będzie mógł zachować część zboża. A u nas w Komitecie Wykonawczym nic jeszcze o tym nie słyszano.

Po ciemku już podjechałyśmy do oświetlonej apteki. Tej nocy jesiennej, w słońcu i wilgoci, moje uzdrowisko robiło wrażenie zapadłej
m

wioski. Zeskoczyłam z wozu, zapłaciłam za przejazd koronkowym staniczkiem i czerwoną wstążką. Jakże aptekarzowa ucieszyła się na mój widok! Długi czas całowałyśmy się i aptekarzowa, w przerwach między pocałunkami, klepała się po biodrach i wykrzykiwała:

— Jakże tu nie wierzyć kartom! Powiadam do męża: „Wyszła mi dama czerwienka z drogi, zobaczysz, że ktoś przyjedzie”. A on się sprzecza: „Teraz, przy takiej komunikacji?” Adia, Adia, chodź tutaj, powiedz Alineczce, że mówiłam o damie kierowej!

Ukazał się aptekarz, rudy, piegowaty, ze wspaniałymi czerwonymi wąsikami. Posypały się pytania, opowieści. Aptekarzowa opowiadała mi z oburzeniem, jak dwukrotnie nachodziła ją Korzyńska, domagając się wydania dzieci i jak wreszcie przyjechała je zabrać nie ciotka nawet, ale jej gospodyni. Dziewczynki cały czas tęskniły za mną i nie chciały wyjeżdżać.

Wyspałam się na puchowym posłaniu, zbudziłam się wcześnie, ubrałam i uczesałam starannie, zabrałam przywiezione produkty oraz zakupione okazjnie na targu słodczy i w towarzystwie apteka- rzowej poszłam do pięknej willi, nad którą wywieszony był wielki szyld: „Dom inwalidów Nr 2”.

Tu aptekarzowa pożegnała się ze mną.

— Z pewnością woli pani spotkać się z nim w cztery oczy, a ja pójde popatrzeć na pochód, u nas przecież wszystko będzie tak jak w mieście, i wiec, i orkiestra.

Otwarłam furtkę, weszłam na schodki, zadzwoniłam. Z góry zeszła dostojnie wyglądająca staruszka w czepeczku i uchyliła drzwi przez łańcuch.

— Pani do kogo?

Powiedziałam nazwisko szambelana. Staruszka uśmiechnęła się serdecznie.

— Proszę, proszę... Niech pani pozwoli, pomogę pani zanieść ten worek.

Weszliśmy po drewnianych schodach pokrytych chodnikiem. Staruszka zatrzymała się przy jednych drzwiach, zastukała, potem otworzyła je i przepuściła mnie naprzód. Wszłam szybko i zobaczyłam kochanego, zdumionego staruszka, który na nasze spotkanie podniósł się na drżących nogach i utkwiał w nas jasne, niewidzące oczy. Poznał mnie jednak, zanim zdążyłam rzucić mu się na szy- ;1

—Aline, mon enfant! —zawołał radośnie. — Czekałem na pania, wiedziałem, że pani wróci!

Po chwili siedzieliśmy na kanapce i oboje wycieraliśmy oczy. Staruszek miał śliczny, jasny pokój z pelargoniami w oknie i dywanikiem na podłodze. W chwili gdy weszłam, zabierał się do śniadania

—na stole stał talerz kaszy perłowej bez tłuszczu.

—Czy to panu nie szkodzi?

—Co też pani mówi! Gdyby pani wiedziała, pani Alino, co za cuda sprawili bolszewicy! Tak, moja przyjaciółko, niech się pani nie śmieje, na stare lata trawię doskonale tę kaszę i wszystko, co pani chce. Nie cierpię na katar żołądka, jestem wesół, spokojny, mam dobrą opiekę. Doprawdy, moja droga, wstyd mi czasem korzystać z tego wszystkiego nie będąc zdolnym do jakiegokolwiek pracy. Ale oczy mi dokuczają... i wie pani, zdaje się, że nie bardzo dobrze widzę.

Po raz pierwszy przyznał się do tego, nawet bez widocznej przykrości. Był porządnie ubrany, miał czystą bieliznę, wypiełgnowane paznokcie.

—Opiekują się mną jak dzieckiem. Tutaj mieszkają zresztą niektórzy profesorowie, inwalidzi tak samo jak ja. Filozofujemy sobie czasami, w

pogodne dni, gdy reumatyzm nie gnębi. I wie pani, wciąż myślę... Pamięta pani słowa Puszkina: „Chcę żyć, aby myśleć...” Właśnie tak, myśleć i cierpieć, nic więcej. To jest rzecz najcenniejsza, najistotniejsza — to właśnie stanowi najpewniejsze oparcie. Wszystko pozostałe jest dokuczliwe i znika bez śladu.

Mówił tak jeszcze długo, jak dziecko cieszył się z podarunków, ale o moje sprawy zapytywał krótko i bez zainteresowania. Zestarzał się bardzo, doszedł już do tego stadium starości, gdy się tylko podsumowuje i wygłasza monologi. Sprawy innych ludzi stają się wtedy odległe, mało zrozumiałe. Nie mogłam wypowiadać się przed nim szczerze, tak, jak marzyłam. Cóż zresztą mogłabym powiedzieć? W obliczu tego osiwiąłego życia, zapatrzonego daleko, daleko poza horyzonty naszego dnia powszedniego, czym byłaby spowiedź mego małego, samolubnego, kobiecego serca?

Spędziliśmy uroczy dzień, spacerowaliśmy, zjedliśmy razem obiad. Czytałam mu gazety, poznałam takich samych staruszków jak on, przysłuchiwałam się zabawnym dyskusjom politycznym i religijnym. A wczesnym rankiem znajoma młeczarka pomogła mi znowu wsiąść na swój wóz.

Tak już widocznie musi być, że najintymniejsze uroki miłości przeżywa się w rozłące: ukrytą czułość, przeczucie, co mogłaby dać bliskość ukochanego i zazdrośnie strzeżona tajemnica. Mówiąc z kimś obcym o różnych rzeczach, udajemy, że to wszystko nas interesuje, a w sercu rośnie tkliwość i trzepoce się jak gołąb. Ogarnęła mnie tęsknota za Bezmienowem. Memu wskrzeszonemu sercu chwilowy rozdźwięk wydał się czymś niedorzecznym. Przecież nic się takiego nie stało, skąd wzięły się moje obawy?

Zeskoczyłam z wozu przed samym rozpoczęciem dnia pracy i prosto z targowiska pobiegłam do biura. Wasilij był już na miejscu i udał, że nie zauważył, jak weszłam. Biedaczysko ze zdumiewającą wrażliwością zrozumiał, może trochę tylko upraszczając przyczynę mego nikczemnego strachu, zrozumiał, dlaczego go unikam. Nie nadszedł jeszcze czas wyjaśnienia sytuacji. Poprawiłam włosy przed lustrem, wzięłam od woźnej swój funt gorącego jęczmiennego chleba i natychmiast, stojąc przy maszynie,

zjadłam przylepkę. Nowe warunki bytu zwyciężyły nas całkowicie. Nie wyobrażałam sobie nic smaczniejszego ponad ten pulchny chleb z namiastki, nigdy nie czułam się tak lekka, tak zdrowa. Stałe niedojadanie działało podniecająco jak narkotyk.

Tuk, tuk, tuk — zastukały białe klawisze maszyny. Wydział zaopatrzenia armii domagał się zniesienia rogatek na ulicy, w miejscu gdzie zarekwirował lokal na magazyn. Trybunał rewolucyjny wnosi skargę na wydział zaopatrzenia armii, twierdząc, że roгатki są mu w tym miejscu bezwzględnie potrzebne. Komitet wykonawczy rozstrzygnął spór w obecności dwóch przedstawicieli obu zainteresowanych instytucji. Wyciąg z protokołu numer... Tuk, tuk, tuk, wysłuchano, postanowiono. Wydział zaopatrzenia nie rezygnuje — żąda cofnięcia uchwały. Trybunał rewolucyjny nie ustępuje również — odkrył u zastępcy przewodniczącego kolegium wydziału zaopatrzenia armii naramienniki denikinowskiego oficera. Wydział zaopatrzenia odgryza się, stwierdzając, że odpowiednie dokumenty zostały już dawno ujawnione. Komitet wykonawczy domaga się wykonania swojej uchwały. 1 papierki szeleszczą nieustannie, wystukiwane w postaci urzędowych pism z dwoma odpisami.

Chwyciłam kilka niezbędnych papierków, zerknęłam w stronę biurka Rajeczki i pobiegłam sama — po podpis. Bezmienow z wciąż jeszcze obandażowaną głową siedział tyłem do mnie i rozmawiał z kimś ostrym tonem. Rozbiegane oczki, czarne wąsiki, zgrabna sylwetka i jakiś cudzoziemski akcent — to by to wszystko, co zdołałam zauważyć w interesancie, który błagał o coś zniżonym głosem.

Bezmienow wstał wzruszając ramionami.

— Nie zabierajcie mi czasu, to się na nic nie zda.

1 nie patrząc na mnie, wyciągnął rękę po papiery. Włożyłam mu je w dłoń.

Interesant nie wychodził. Bezmienow wziął pióro, pochylił się nad stołem i stojąc czytał przyniesione przeze mnie pismo.

— Pozwólcie, towarzyszu, wyłuszczyć wam, ze względu na wyjątkową sytuację...

— Powiedziałem już wszystko, panie Grzelewski.

Interesant wzruszył ramionami i wyszedł. Z twarzy zniknął mu od razu wyraz uprzejmej i uniżonej prośby, zastąpiony pogardliwym grymasem.

Ton, którym Bezmienow powiedział „panie”, nie był ani drwiący, ani gniewny. Lecz kryło się w nim coś poważniejszego, o głębszym znaczeniu. Z tym samym wyrazem podniósł wzrok po raz drugi i spojrzał na mnie. Było to zakreślenie granicy.

— Gniewa się pan na mnie — powiedziałam śpiesznie, przyciszonym głosem, pragnąc wypowiedzieć się do końca, zanim wejdzie nowy interesant — nie rozmawia pan ze mną, nie patrzy, nie wita się. Co takiego zrobiłam?

Bezmienow podpisał ostatni papier.

— Jakże my jesteśmy różni — odezwał się nagle. — Gniewam się, nie witam... To mi jest organicznie obce. Proszę zrozumieć, że nie mam się za co gniewać; nie przywitałem się — nie wiem nawet kiedy i gdzie? — w każdym razie zupełnie przypadkowo. Jestem zapracowany, zavalony, zasypany, oddałem sprawie wszystkie swe myśli, tak jak ludzie oddają ostatnią koszulę, nie należę do siebie, nie mam nic własnego, poświęciłem się bez reszty. To brzmi banalnie, ale jest zupełnie ściśle. A pani cała składa się z komplikacji psychologicznych. Po co to komu potrzebne?

Mówił to wszystko nie tylko otwarcie i szczerze, ale nawet z uśmiechem. Ani cienia goryczy, ani ukrytej aluzji, ani żalu, ani kokieterii, ani pieszczoty.

Stałam zupełnie skamieniała.

— Na tym polega, to, co nas dzieli... Ostatniej granicy nie do-
II łała pani jeszcze przekroczyć — dodał oddając mi pisma. — Organi-
cznie, organicznie różnimy się pomiędzy sobą.

Wyszłam z jego gabinetu tak, jak opuszczają salę sądową skazani na śmierć. Zimny, śmiertelny chłód skuł mi serce, myśli, nerwy. Wszystkie nici, sztucznie łączące mnie ze światem, zostały nagle zerwane. Koniec. Wszystko było w tym jednym człowieku, bez niego nie będzie nic.

Mój wygląd musiał przerazić Wasilija. Wyjął mi z rąk papiery, narzucił mi palto na ramiona i powiedział niemal rozkazującym tonem:

— Proszę iść do domu, nic tu dzisiaj po pani!

Wyszłam. Otworzyłam drzwi do naszego pokoju, usiadłam, położyłam

głowę na rękach. I oto kiedy, Willi, nadeszła godzina twego triumfu. Mucha, której urwano skrzydła, przypomina sobie pewnie, jak się to stało. Pomyślałam z nienawiścią o tobie i tobie podobnych, tak jakbyście to wy oberwali mi skrzydła. Nienawidziłam i was, i siebie, do utraty tchu, zatracając się w przerażającej pustce. Cóż się takiego stało w gruncie rzeczy? Nic się nie zmieniło praca, obowiązki, różni ludzie... A w sercu zamiast tego wszystkiego, zamiast realnej rzeczywistości, żywego zainteresowania związanego z ludźmi, ze sprawą — co jest w sercu? Skład nieważnych drobiazgów. Takie a takie słowo, taki a taki wyraz twarzy — mieszanina czarnych kropek, przypadek, lekkomyślność, głupstwa. Może i tak. Ale w tej chwili to schody wiodące na szafot, to ostre odłamki szkła kaleczące stopy, to deszcz zatrutych strzał dla serca z oberwanymi skrzydłami, które żyło tylko tym, dla tego, dzięki temu. Jeszcze bardziej upokarzające niż własna hańba — poczucie własnej nicości... To boli, to bardzo boli.

Szukać człowieka, któremu można mówić prawdę! Ale przedtem chcę mieć tę prawdę, którą warto byłoby komuś powiedzieć. Chociażby polegała jedynie na tym:

— Niech i tak będzie, ale do ciebie, do ciebie i takich jak ty, Willi, nie wrócę nigdy, żywa ani umarła, ani dziś, ani jutro, ani poju- || 1 trze.

Tłumaczyła Janina Działowska

Aleksander Matyszkın

Pociąg na południe

Czy znacie to szczególne uczucie przed urlopem? Podobne jest do wiatru, który raz po raz owiewa was niepokojem z jakichś niewidocznych słonecznych ogrodów. Doznaje się go po raz pierwszy na początku wiosny, kiedy rada zakładowa zaczyna starać się o miejsca na Krymie, a maszynistki zdejmują ciepłe swetry i przywożą co rano na swoich lekkich bluzkach słońce i otwarte na oścież okna tramwajów. Przypomina wam o nim rachmistrz waszego wydziału, już będący na lotnisku: nawet nad jego biurkiem, nad szacownym koncentrującym uwagę biurkiem i nad opasłym stosem zawiłych buchalterskich ksiąg przyświeca księżyc znad Kłazmy i do późna szumią brzozy... tułacza noc parku, dzikich zakątków, spotkań. Macie w głowie rozkład jazdy pociągów na południe i mury, nawet na Iljince, stają się całkiem przezroczyście i lśni za nimi i pomyka, o, jak pędzi, świeży przestwór stepów!

Na południe ciągnęło mnie jeszcze coś innego.

Był czas, kiedy ze stepów dochodziły odgłosy zagłady, a za każdą zdobytą w walce stacją kolejową majaczyło coś, czego dotąd nie widziano na ziemi. Pamiętacie, zapewne, relację o tragicznym losie 6 Pułku Uralskiego pod wsią Bieriezniewatka? To mnie udało się wtedy w porę odkryć zdradę i po dniu walki przedrzeć się z broczącym krwią pułkiem do macierzystej dywizji, straciwszy co prawda połowę ludzi, a wśród nich jedyne go brata.

Jak dziwnie było znowu zobaczyć te strony, które pachniały bezpowrotnie utraconą młodością i śmiercią. Przez trzy lata zapach ten zupełnie zatarł się w pamięci.

Pamiętam, przed samym odjazdem, w sierpniowy wieczór, wstałem do jakiegoś kina na Arbacie. Wszystko było jak należy: po foyer, tam i z powrotem, krążyła gapiąca się publiczność, skrzypce łkały „Bajaderę”,

pianista jak nawiedzony, w ekstazie skakał w takt na krześle. Za ogromnymi oknami, szczelnie zasłoniętymi od samej góry, rozlegał się gwar placu, i głuchy niczym spod ziemi huk tramwajów, unoszących poza bulwar oświetlone, pełne ludzi okna. Przypomniałem sobie wyjazd, południe i nie wiem dlaczego wydało mi się niewiarygodnym, że kiedyś rzeczywiście istniała Bieriezniowatka, i sprawa 6 Pułku, i świt nad dymiącym Perekopem: spoglądanie w przeszłość było przerażające, jak zagłądanie w bluźnierczo rozgrzebaną mogiłę. I bluźnierczo nie ustawała w pędzie jazda po szczęście nad tymi ciemnymi polami...

Przecież i ja, i ja mogłem tam leżeć bezimiennie!

...Zresztą, wszystko to mogło być jedynie wynikiem przemęczenia. Rano, przed odjazdem, peron kipiał takim wesołym ściskiem, niebo było tak radośnie błękitne, że natychmiast zapominało się niemal o wszystkim. Wiedziałem tylko, że jestem wolny, wyrzuciłem z głowy wszystkie teczki pełne spraw, informacje, referaty i dziko tańczyłem na całej tej stercie.

Pociąg do Sewastopola odjeżdżał o drugiej. Siedziałem w przedziale i z próżną ciekawością oczekiwałem swoich sąsiadów. Najpierw przyszły dwie dziewczyny, najwidoczniej z jakiegoś poważnego sekretariatu: żółte walizeczki, podróżne worki na pościel z wyszytymi inicjałami i, oczywiście, kwiaty na stoliku świadczące o czystym, wygodnym, wygładzonym przez mamusię życiu. A matki stały tuż obok wagonów — obie ściśnięte gorsetami, obie pyzate, zupełnie niedzisiejsze mamy, trzymające lakierowane torby.

— Piszcie, piszcie! — szczebiotały — wieczory są chłodne Ze- nieczka, koniecznie wyjmij sweterek! Sonieczka, w Jałcie nie zapomnij zejść do Sofii Andriejewny!

I Zenieczka, w bluzce bez rękawów, zacałowywana spojrzeniami adoratorów, z czarującym pieprzykiem pod ciemnym okiem, woła rozpieszczonym, łamiącym się głosem:

— Powiedźcie Włodzimierzowi Aleksandrowiczowi!... Obiecał, że się postara... — i jeszcze coś tam o radzie zakładowej, którą trzeba zawiadomić, o Charkowie, z którego koniecznie, koniecznie pocztówkę.

Druga — jędrna grubaska w jedwabnej spódnicy — o, będzie z niej jeszcze kiedyś zapobiegliwa, miastowa i letniskowa mama, z tych co z

zadyszka rozpaczy i mnóstwem tobołków zawsze spóźniają się, doganiając tramwaj — więc druga tylko kiwa wspaniałymi jasno- blond puklami i czule uśmiecha się.

—Mamo, nie zapomnij o karmieniu Tuśki — krzyczy wreszcie i ona.

I obu błyszczą oczy, jak w gorączce. Dobrze wiem jakie pokoje mają te dziewczyny: podobne do muzeum mebli, pełne pokrowców, półeczek, świecidełek przechowujących tchnienie starej urzędniczej wielkopańskości, salony lat 1910-1914, które mimo burzliwej rewolucji szczęśliwie przetrwały do naszych wolnych, bezpiecznych dni. I po tych strasznych latach — pierwszy raz, jak dawniej, na Krym, na Krym!

Wszedł wojskowy, z naszymi dowódcy pułku, chłopisko około trzydziestki, z babską, spękaną od wiatru pospolitą twarzą, która już zawczasu uśmiechała się do świata z dobroduszną nieśmiałością. Po pół godzinie już wiedziałem, że nazywa się Grigorij Iwanycz i zdawał do Akademii, ale oblał z przedmiotów ogólnokształcących, a teraz przygotowuje się znowu — i teraz już zda, z pewnością zda, na złość tym eleganckim walizczkom i wszystkim mamusiom na ś wiecie.

—Też na kuracyjkę? — zapytał mnie Grigorij Iwanycz uprzejmym tenorkiem, złożwszy na kolanach ogromne, purpurowe ręce.

—Tak, na południe | | | odpowiedziałem i pomyślałem, patrząc na niego z pełną zachwyty zazdrością: „I tobie jeszcze jakaś kuracyj- ka jest potrzebna, niech lichy porwie!”

I, jakby odpowiadając, uśmiechnął się do mnie strasznym uśmiechem, uśmiechem kontuzji, który nagle jakby zmiął jego tryskające zdrowiem policzki, błyskawicznym uśmiechem, który trzeba strzepnąć jak łzę. Przez uśmiech przemknęła jakaś walka nocna, zniekształcona ciemność, zdający się zewsząd pełznąć mord...

„Aha — pomyślałem sobie — i ty, ty to znasz!”

Weszło w końcu jakieś ponure małżeństwo, które, sądząc po ich nieszczęśliwym i umęczonym wyglądzie, los rzucał lichy wie gdzie: a to jako sklepikarzy do Woroneża, to do kasy spółdzielni w Łabędziu, to do Moskwy na kolej — i wszędzie na tułaczkę, na poniewierkę... I radośnie zabrzmiały ostatnie dzwonki, i mamy machając chusteczkami, odskoczyły niemal zbite z

nóg przez oszalałe wózki tragarzy, i oto już wokół skacze i huczy nieprzebyty gąszcz wagonów i już wkręcamy się w złotą, pełną kurzu pustkę...

— Do widzenia, Moskwo!

Grigorij Iwanycz i ja unieśliśmy się, patrzymy ponad głowami dziewcząt na wirujące pod nami pożegnalne miraż dachów. I nagle dostrzegam z boku, że Grigorij Iwanycz złowił wzrokiem pieprzyk pod okiem Żenieczki, i zmieszał się, i podkrada ten widok, po chłopięcemu. bez zastanowienia, bojaźliwie podkrada...

— Nie warto, Grigoriju Iwanyczu — chciałbym mu powiedzieć.

— Tam wypieszczone, niepojęte dla ciebie pokoje i subtelne zapachy, i słowa poruszające wyobraźnię, a ty, z właściwą ci sumiennością, myślisz, jakby zaoszczędzić na tej podróży z półtora czerwońca i posłać w rodzinne strony — pokryć przed zimą izdebkę dla starej matki. Wprawisz dziewczynę w zakłopotanie, Grigoriju Iwanyczu, i znudzisz swoją prostotą rodem spod strzechy...

Mkniemy nad zastygłą, leniwą ciszą letniskowych peronów i stacyjek, mkniemy w gęstwinę, chłód i ciemność lasów i rozsiewamy wszędzie bunt, łoskot, kurz.

Panienki zmęczyły się, siadły naprzeciwko siebie przy stoliku, obojętnie oglądając nas wszystkich. Grigorij Iwanycz podrywa się, sięga pod ławkę po czajnik. Niedługo Sierpuchów.

Grigorij Iwanycz gwałtownie kieruje się w stronę emaliowanego imbryka panienki.

— Pozwoli pani, że... i do tego cudeńka!

Zaskoczona Żenieczka patrzy na niego pytająco.

— Proszę...

Na przystanku pośpiesznie brzękają w korytarzu ostrogi i czajniki. Żenieczka wychyla się przez okno.

— Proszę się nie spóźnić! — krzyczy w ślad za nim.

Aż boję się spojrzeć, czy nie potknął się Grigorij Iwanycz ze szczęścia.

Wypływamy w zasierpuchowskie przestwory, gdzie czerwone płomienie księżycy i zamglona głębia, w której toną cerkiewki, wioski, zasnuć oparami

pola. Przy herbacie Grigorij Iwanycz śmiej się rozmawia z dziewczętami. Nie wierzę jednak przesadnemu skupieniu Żeni, nie wierzę jej dobremu uśmiechowi w okrągłych oczach. Na pewno i w Moskwie z tym samym uśmiechem zawiązuje czerwoną chusteczkę na pochód hib chichocząc, kokietuje komunistę, przewodniczącego Komitetu zakładowego. O, chytra panna, umie sobie radzić z tymi co u władzy. I dowiadujemy się, że ona i Sonieczka jadą do Ałupki, a potem południowym brzegiem Krymu, że były tam jeszcze jako podlotki, w czternastym roku, wtedy właśnie ogłoszono wojnę, i była taka panika, taka panika.

— A czy pamiętasz Sońka Bramę Bajdarską!

— Ach, Brama Bajdarska!... — blondynka w bolesnym zachwycie mruży oczy.

— Czy pan także do Sewastopola? — pyta Żenieczka, i oczy śmieją się wyzywająco, jak tam, przy fortepianie, pod rozwiniętym tulipaniem abażura — do ilu jeszcze oczu tak się śmiały?

— Nie, ja jadę przez Symferopol. Tę, no właśnie... Bramę Bajdarską już widziałem! Z brygadą we wszystkich tych miejscach...

Grigorij Iwanycz stara się wymyślić coś szczególnego.

— Proszę, ja mam wszystko zapisane, co gdzie będzie. Bardzo inte-re-su-jące! Otóż za Charkowem zaczyna się kurczęta, możecie jeść ile dusza zapagnie, cha-cha-cha! — śmiech Grigorija Iwanycza jest miły, chrypliwy, babski. — A znowu za Melitopolem będą smażone byczki, to dopiero byczki, cha-cha-cha!

Nie może usiedzieć na miejscu, rozpiera go radość, zaczepia ponurych sąsiadów, częstuje herbata.

Na początku odmawiają, ale potem wyjmują z koszy ogromne, podróżne kubki i po kolei, nieśmiało, podstawiają Grigorijowi Iwanyczowi. Grigorij Iwanycz zabiera się do nalewania, leje długo i cierpliwie, dopóki od wysiłku nie rozboli go ręka. Ale kubek, jakby nie miał dna. Grigorijowi Iwanyczowi robi się wstyd, lecz wstyd byłby większy, gdyby przerwał; wstyd także kobiecie, która nieśmiało wyciąga rękę z kubkiem i uśmiecha się żałośnie czarnymi zębami. Po poczęstunku Grigorij Iwanycz siedzi milcząc, jak

opluty, wołałby się zapaść pod ziemię.

O zmierzchu wjeżdżamy do Tuły, w rozspacerowany migający ognikami wieczór gubernialnego miasta; panienki wychodzą przejść się w chłodnym świetle latarni i wolno spacerują, tak zupełnie nam obce. Grigorij Iwanycz po historii z kubkami nie śmie podejść i krąży opodal, w ponurym osamotnieniu. A ja jestem szczęśliwy: moje mury rozpadły się w końcu, w tej rześkiej ciemności, roi mi się za każdym dworcem bezkresne miasto, z tysiącem istnień, z których każde mogło zderzyć się z moim. I Bieriezniewatka — tymczasem jeszcze gdzieś za krzywizną i ciemną głębią ziemi — istnieje dzięki tej gorącej tęsknocie.

Żenieczka nakłada ciepły sweterek i wychodzi na korytarz do otwartego okna. Jest za nim chłodna noc i wspaniałe gęstwiny leśne przesuwają się obok bez końca i chciałoby się śpiewać. W takiej chwili można by ujrzeć jej prawdziwą, pełną dziewiczych tęsknot twarz! Ale nie ma Grigorija Iwanycza; włóczy się gdzieś smętnie po innych przedziałach. A na postoju przychodzi pod okno wygolony młody człowiek z wagonu I klasy: ma się rozumieć jest dobrze ubrany, podnosi na Żenieczkę głębokie przepastne w półmroku oczy i bardzo pięknie nuci — znane wam jest to śpiewanie pod oknem — szumią drzewa, i ktoś obok was niesie w noc swoją zadziwiającą radość. Grigoriju Iwanyczu, nieboraku, taki moment przegapiłeś! Ale oto i on, Grigorij Iwanycz, tryumfalnie przepycha się przez korytarz, pewnie zasapany, bo wsiąść zdążył już w biegu, a pod pachami niesie dwa ogromne arbuzy.

— Ocie dobri kawuny! * — krzyczy do nas, nie wytrzymuje, wybucha znowu swoim ochrypłym śmieszkiem i, nie wypuszczając arbuzów, wali się potężnym ciałem na ławkę.

— Obywatelko, imienia nie znam! Oczy sobie zaprószycie! Spójrzcie lepiej co za cuda zagarnąłem za dwudziestaka!

Żenieczka ospale zbliża się, z zamglonymi w świetle, jeszcze rozmarzonymi oczami, kręci głową: nie, ona nie chce, na dodatek jest tak chłodno... i krzywi się z zimna. — Sońka, już się kładziesz? — Ale w Grigoriju Iwanyczu budzi się dzika pasja, za nic się nie podda.

— Proszę spojrzeć na arbuz — szaleje i niespodziewanie uderza nim z

rozmachem o kolano.

Dojrzały arbuz pęka na pół z apetycznym chrzęstem, i wytryska z niego poszarpany, szkarłatny, słodziutki miękisz, który on nożem, i Żenieczce.

— Obywatelko!... — i wszystkich nas, niby szczęściem, obdziela Grigorij Iwanycz.

I Żenieczka obezwładniona głupkowatym śmiechem, nie może odmówić, bierze także powściągliwa grubaska i biorę ja oraz posępna para i jemy chłodek, pachnący roztajałym wiosennym śniegiem. Grigorij Iwanycz namilczawszy się do woli krzyczy i hałasuje za pięciu.

- Ocie dobri kawuny — (w oryginale po ukraińsku) — To dopiero dobre arbuzy! (przyp. tłum.)

...Pociąg zatrzymuje się w pobliżu gęstych, nocnych sadów.

Wyszedłem również na peron, w matowobłękitne światło latarni i znalazłem nazwę stacji. Tędy kiedyś szedł Denikin i Mamontow i łomotały nasze eszelony. Stałem tyłem do światła, sennie przymknawszy oczy i chciałem przypomnieć sobie wszystko jak było: wybite szyby, migające światło lampy naftowej w salce, gdzie na podłodze, leżąc pokotem, czocho się zawszystone żołdactwo, podsunawszy pod siebie karabiny, zrozpaczone żołdactwo, prowadzone na Moskwę, i pędzące ku śmierci parowozy. Ale nie udawało mi się — chłód obejmował jak rzeka, w majaczących ogrodach liście szeleściły mężnie, mocno i chwacko. Upaść w trawę i spać na stepowym wietrze...

Z daleka poznałem Grigorija Iwanycza. Radośnie podskakiwał kierując się w stronę wagonu i przyciskał do brzucha ogromny arbuz. Przy schodkach omal nie zderzyliśmy się, ale schyliwszy głowę, ostrożnie wyminął mnie bokiem i zniknął w wagonie...

W ciemnym, śpiącym przedziale dotknął mego ramienia.

— Ech, spóźniłem się, a to wspaniały kawon, chce pan? — I zmieszany zapytał szeptem: — Co zrobić z butami, nogi mi śmierdzą?

— Ależ nonsens — odpowiedziałem.

Ale on położył się jak męczennik, zwiesiwszy z półki obute ciężkie nogi.

Zostałem sam — pociąg z wyciem gnał po śladach Mamontowa. I jak obłok nadciągało na drogi, na miasta, na sny, ciemne budzące niepokój pole.

Pożółkle ścierniska ciągnące się setki wiorst, gdzie przesuwały się jak woda żniwa, i bandyckie stacyjki zarośnięte po pas krzakami i topolami, na peronach bosa baby z jadem, z garnuszkami, arbuzami, z obfitymi owocami pól i ogrodów, i policzki bab jak śliwy, i słońce nad stacją, i bandyckie drogi, gdzie krążyli niedawno, zwodząc szturmowe oddziały czerwonych, Machno, Szczuś, Chmara... po drogach, po szarobłękitnej zakurzonej miękkości, woły sennie wloką wóz z potrawem, i zdemobilizowany chłopak w spłowiałej bluzie leży w wozie na brzuchu, witając pociąg otępiałym sytym spojrzeniem, i w rowach za opłotkami, gdzie pomykają stare pale z zardzewiałym drutem kolczastym, gęsto wyrosły łopiany, babki, pokrzywy, pajęczynowa ciemność traw w rowach i gdaczące kury.

Wszystko zarosło, zapadło w syty bezwład i ciszę.

Znowu jedliśmy arbuz w przedziale i jedliśmy tanie kurczęta pod Charkowem, chociaż już ani jeść, ani patrzeć na nie się nie chciało, i piliśmy, już nikt nie pamięta ile razy, herbatę z „cudeńka” Grigorija Iwanycza. On na krok nie odstępował pańienek, osłaniając obie, pobrzękując za nimi ostrogami i podjął się zaprowadzić je do skrzynki pocztowej w Charkowie. Idąc obok niego, Zenieczka tylko chichotała, chichotała i strzelała oczami w kierunku okien pierwszej klasy.

A ja szydziłem: aha, nie posłuchał mnie Grigorij Iwanycz. Bo tak naprawdę go nie było — za ochrypłym śmiechem, za ostrogami, czyż prawdziwy był Grigorij Iwanycz?

I oto właśnie z tej sytości i ciszy, weszła do naszego przedziału nowa rodzina, na miejsce ponurych pasażerów, którzy niepostrzeżenie ulotnili się w Charkowie. Zagniewana, dorodna kobieta niosła niemowlę; mąż, ognistooki chłopak, podobny do Cygana, prowadził za nią czteroletnią mniej więcej dziewczynkę. Upychali kosze, worki, koce — od razu zawalił manatkami i dziecięcym płaczem całe łóżko blondynki; kobieta bez skrzępowania, wyjęła dużą pierś i od razu zaczęła karmić; chłopak na każdym przystanku zapobiegliwie ganiał po jedzenie i wrzątek. Wydawało mi się, że już gdzieś widziałem tego cichego człowieka, troszczącego się o wszystkich bez szemrania, jakby w ciągłym poczuciu winy.

Panienki spoglądały spod oka, wzruszały ramionkami, i na końcu języka miały jakieś złośliwości. Panienki były niezadowolone.

Rzeczywiście — na podłogę poleciały skórki i miąższ arbuza, i jeszcze coś nie dojedzonego, pod nogami plaskało śliskie błoto, po którym do woli skakała starsza dziewczynka, z dużym kawałkiem arbuza w rękach. I właśnie jej udało się wywrócić czajnik z wrzątkiem pod tęą blondynkę.

Blondynka zupełnie nie panowała nad sobą.

— Toż to chamstwo, nie rozumiem... naświnić, narozrabiać, ubranie człowiekowi zniszczyć. Złożę skargę.

Kobieta obojętnie kołysała dziecko, nawet się nie obejrzawszy.

— Obywatelko — powiedziałem, czując, że muszę się wtrącić — zapłacicie karę za nieporządek. Spójrzcie coście narobili w przedziale!

Kobieta przerwała drażniące milczenie.

— No to zapłacę! — krzyknęła. — Ja mam dzieci, widzicie, mam dzieci! Możecie jeździć pierwszą klasą jak wam tu niewygodnie. Rozsiądą się różni...

Chłopak stał oparty łokciem o półkę i tylko podśmiewał się. Trudno było pojąć — czy to bezczelność, czy tępota. Spojrzałem mu uważnie i surowo w twarz. W odpowiedzi wciąż dobrotliwie uśmiechał się swoim zapomnianym, jakby naznaczonym piętnem dawnych przeżyć uśmiechem.

— My nie jacyś tam, lecz urzędnicy radzieccy. Miejcie to obywatelko na uwadze — surowo odpowiedziałem kobiecie.

— I sami zajęliście całą ławkę! — krzyknęła znowu przez łyzy blondynka, szeleszcząc zmoczonymi spódnicami.

Zupełnie nie odpowiadała mi rozpoczynająca się kłótnia. Wyszedłem i sam nie wiem ile godzin stałem na pomoście przy otwartym, huczącym oknie.

Przepływały bezkresne puste pola. Za nimi na horyzoncie wznosiły się liliowe linie przełęczy. Zwidywała mi się armia z jakiejś bajki, idąca po tym garbie w zorzę; twarze żołnierzy były zaróżowione niewidocznym jeszcze słońcem. To był pierwszy śpiewny powiew Bieriezniewatki, która przyjęła trzystu towarzyszy znanych mi z imienia. Pociąg z ciemnymi sypialniami powinien był nocą przemknąć nad nimi.

...Nocą, wkrótce potem, przeżyliśmy popłoch.

Na odcinku Srebrne Ij| Bieriezniovatka pojawiła się banda, i w przeddzień ograbiła pociąg pośpieszny. Dlatego na węzłowej stacji do naszego pociągu wsiadła uzbrojona straż. Przez wagon przeszedł powiew zapomnianej grozy, jakby z dziewiętnastego roku. Pasażerowie gromadzili się w przyścimionych przedziałach, młodzież śmiała się, brodaty obywatel w okularach, z górnej półki, denerwował się: „A czort ich wie, może już gdzieś tam się przyczaili i zawczasu sobie wypatrują!” — „Pewnie masz dużo pieniędzy i dlatego robisz w portki!” — natrząsał się z niego jakiś wesóły, krzywonogi chłopak w bryczesach.

W przedziale zapalono nikły ogarek, a kobieta, na nikogo nie patrząc, kołysała dziecko. Jakie bezbarwne wieczory czekają ją w życiu! Chłopak z milczącą służalczością naka^^^zystiw* snem, przygotował pościel, biegał po wodę.^L

Była ponura, prawdziwie bandycka noc!^ kładziono się żeby zapomnieć o trwodze j| słońcu. Samotna blondynka włożyła zirytowana na drugą półkę, zasłaniając cały przedział obszernymi biodrami. Nie miałem z kim powitać tej nocy.

Musiałem znaleźć Grigorija Iwanycza. Pociąg pędził z pochyłości, rzuciło mną po korytarzu. Drzwi na platformę gwałtownie wyrwały się z ręki — zgrzyt, świst, i chłód. On tam był, ale nie sam — stali oboje, wychyleni za okno, w szczęśliwym, ciasnym uścisku.

Początkowo nie zrozumiałem. Oczywiście, stało się tak, bo Ze- nieczka naprawdę bała się bandytów — potrzebowała teraz czyjejś wielkiej, uspokajającej siły. Cóż innego mogło ją pchnąć pod męskie skrzydła?

—Stacja będzie dalej, pokażę pani... — mówił Grigorij Iwa- nycz, i to był głos innego Grigorija Iwanycza, na którego czekałem.

—A ja, proszę, żyję i jeszcze jadę do kurortu. A może za jakieś trzy lata znów będę tędy przejeżdżał, i wszystko będzie już inne, a ja będę już znał dwa języki, no tak...

—Niech pan coś jeszcze opowie... — cicho poprosiła Zeniecz- ka, czy też powiedziała coś innego, przytulając się — nie widzieli i mnie, bezszelestnie zamknąłem za sobą drzwi...

Nie wiem dlaczego ogarnęła mnie wtedy nieokreślona tęsknota: czy dlatego, że niczego nie odgadłem i życie tak zwyczajnie zniweczyło moje gnuśne myśli, czy dlatego, że ja też chciałem zwycięsko przejść przez życie.

Wróciłem do wagonu na swój skrawek ławki i zdrzemnąłem się, i wszyscy spali, i spał pokorny chłopak siedzący naprzeciw mnie z głową opartą o żelazną podpórkę.

Do Bieriezniewatki było już niedaleko. Do Bieriezniewatki? To znaczy, że ona rzeczywiście istniała?

...O północy uzbrojony patrol sprawdzał dokumenty.

Niewyraźne, chwiejące się kontury świata na wpół tonęły w snach. Chłopak także ocknął się z trudem, poprosił mnie o ogień i mozolnie grzebał w kieszeniach.

— To jest moja legitymacja partyjna — powiedział w końcu — zaraz znajdę dowód osobisty.

Dwóch z patrolu, zderzając się głowami, przy latarce przeglądali dokument.

— Wystarczy — powiedzieli z wielkim szacunkiem.

Zostaliśmy sami w uśpionej, monotonnej, pędzącej ciszy. Poczułem, że sąsiad z naprzeciwka przywołuje mnie spojrzeniem.

— Towarzyszu — nachylając się niespodziewanie powiedział półgłosem — chciałem przeprosić za to, co było, za żonę. Ona trochę tego — zaśmiał się dobroduszenie — wiecie, nerwowa, wykończyła się w konspiracji.

Zdziwiłem się i uprzejmie go uspokoiłem mówiąc, że o wszystkim dawno zapomniano. Ale on widocznie chciał pogadać, wspomniał o bandytach. Powiedziałem, że dobrze znam tę okolicę — tutaj przed Bieriezniewatką będzie wzniesienie, pociąg zbliży się do wykopu, znakomite miejsce do napadu. Byłem tu z 6 Armią, która przedarła się przez Perekop.

Ucieszył się.

— Wiem, wiem doszła potem do Krymu, przecież stamtąd pochodzę.

Chłopak wymienił kilku ludzi ze sztabu armii, z oddziału specjalnego, kilku dowódców dywizji. Mojego nazwiska — nie, nie pamiętał.

— A o mnie, pan być może słyszał? Jakowlew, partyzant. Połączyliśmy się z 6 Armią pod Symferopolem.

Owionął mnie parzący chłód. To jest Jakowlew?! Tak, oczywiście, pamiętam: pewnego razu w oddziale zwiadowczym dywizji z zachłanną ciekawością oglądaliśmy zdjęcia tego niepozornego, igrającego ze śmiercią człowieka, wodza nieuchwytnej armii, grasującej na tyłach Wrangla. Jakowlew! Któż z nas nie wiedział o Jakowlewie, o legendarnym przejściu przez grzbiet Jajły po oblodzonych ścieżkach, znanych tylko zwierzętom? Jego brata powieszono w Sewastopolu.

—Najciężej było zimą, lecz mimo wszystko uciekliśmy. Ukrywaliśmy się w grocie koło Baj dar. A przez obecną moją żonę utrzymywaliśmy łączność z sewastopolskim komitetem.

Słuchałem tego człowieka z wielkim wzruszeniem: to już nie wagonowa noc, to Bierzniowatka otoczyła nas swoimi ziemiami i upiorami. Opowiadał jeszcze, że służył jako naczelnik milicji gdzieś w kupiańskim powiecie, a teraz przeprowadza się w rodzinne strony, bliżej Jałty, że z żoną specjalnie jadą przez Sewastopol do Bajdar. Łoskot pociągu zaczął dźwięczeć potężną i smutną muzyką. Już przez sen widziałem jak skradając się przyszedł Grigorij Iwanycz, znalazł swój płaszcz i poszedł — widocznie tam, przy oknie, ubierał posłuszne mu ramiona.

Jak przez sen napłynęły z nocy niskie koszary, buchające ogniem — i poznałem Bierzniowatkę.

Wpadłem do przeraźliwie brudnej sali, z dziurawą, wyświeconą kanapą; czerwonoarmiści stali przy telefonach, wszyscy z karabinami. W sąsiednim pokoju słychać było szuranie nóg i złowieszczy ryk jak przed pogromem. Wszedłem do centrali, ten sam wielkonosy, podobny do gawrona Ormianin pukał palcem w aparat telegraficzny, pukał umyślnie, chcąc pokazać mi, że z klawiszy uleciało życie.

— Nie ma łączności — powiedział.

— I nie będzie — powiedziałem — odchodzimy.

Galopowałem za batalionem, uciekającym przed śmiercią po szczycie góry; twarze naszych chłopaków były zasepione i różowe od słońca, mroźnego, nieśmiertelnego słońca.

—Gdzie drużyna dowodzenia? — zapytałem. Jej dowódcą był mój brat. Nikt nie wiedział. W dole za chruśniakami ostrzeliwały się bataliony,

bataliony skazane na zagładę. Przejechałem obok czerwonoarmistów, leżących na ziemi, podobnych do kłębow szmat, jeszcze żywych, jeszcze nieugiętych, jeszcze niczego nie wiedzących. Brat zerwał się z ziemi, pobiegł w stronę płotu, zarzucił na niego ręce, żeby przejść.

—Aleksy! — krzyknąłem, powstrzymując go. — Nie tędy, Aleksy! Nie obejrzał się i pozostał z rozrzuconymi rękami, tak jak stał. Dосkoczyłem, zdjąłem mu kaszkiet: czerwona galareta zlepiła jego włosy na karku, pod nimi ziała głęboka dziura. Z hukiem przemknęliśmy nad mogiłami, których nigdy nie widziałem, wszyscy spali ukołysani ruchem pociągu, spałem i ja.

Świt za Perekopem, za Siwaszem. Ciepła, siwa, niekończąca się trawa i ptaki nad światem — i one chyba widzą góry i błękitny raj za nimi. Przy Dżankuju słońce nagle zwała się na nasz pociąg, ściany stacji zaczynają naraz płonąć, jak w południe: wspaniały, czarny cień na asfaltowym peronie. Jakby go polali wodą, i w chłodzie sprzedają róże. Tak, jesteśmy przed wrotami błękitnego raj! I znowu pędzimy w siwą stepową spiekotę — tam wiatr, nawet poranny wiatr wieje cały czas z jakichś rozpalonych dali, zmusza by zwiesić ręce za okno, każe przyłożyć policzek do gorącej ramy, marzyć, śpiewać cokolwiek... Z drżeniem szukam w sobie dzisiejszej nocy, nasłuchuję, ale jej nie ma, nie ma na razie nic, oprócz usypiającego pędu.

Nie wierzę: ta noc wypełźnie jeszcze z ciemności, padnie na świat nie wybaczącym cieniem...

Dzieci przebudziły się, gaworzą pod naszymi półkami, u Jakow- lewów zaczyna się szczebiotliwa, troskliwa krzątania...

—To Czatyrdah — pieją z zachwyty dziewczyny i gwałtownie rzucają się do mojego okna, w zapamiętaniu nieostroźnie przytulając do mnie delikatne ciepło piersi. Za nimi rumiana, skrzywiona porannym uśmiechem gęba Grigorija Iwanycza.

—Czy do Symferopola daleko? — pyta mnie po cichutku.

—Okolo godziny.

Nieborak będzie musiał niedługo pożegnać się z nami.

Na stacji towarzysz Jakowlew, dowódca partyzantów, chodzi po straganach z owocami, kupuje pełną czapkę ogromnych, fioletowych śliw i pudło winogron. Podarunki ładują na gościnnie rozciągniętej między

kolanami sukni kobiety, z której cała rodzina syci się bez pośpiechu i w milczeniu. Zza zwisających aż na okna koców widać jak wznosi się jakaś błękitnobiała góra, olśniewająca kraina, Krym. Dawno zapomniano i o bandytach i o nocy; w wagonie jest słonecznie, gorąco aż zapiera dech: mężczyźni ze znużeniem chłodzą się, wachlując rozpiętymi pod szyją koszulami, chętnie całkiem by je ściągnęli.

W Symferopolu Grigorij Iwanycz tajemniczo znika. Jego pościel dokładnie ściągnięta rzemykami stoi na skraju ławki razem z kuferkiem. Widzę z korytarza odsłoniętą szyję i szczuplutkie plecy Żeneczki w powiewnej perkalikowej sukieneczce i załamane nad nieposłuszną fryzurą gołe ręce, urażona klóci się z blondynką.

—Sonieczka, ja dokładnie, moja droga, wiem co robię, na Boga, bez kazań!

Grigorij Iwanycz wraca przed ostatnim dzwonkiem zawstydzony:

—Kupiłem miejscówkę do Sewastopola — mówi, uśmiechając się ze skruchą. —| Rzeczywiście, trzeba zobaczyć co to za cudo ta wasza Brama Bajdarska.

—Wszak pan, podobno, już ją widział? — szydzi z irytacją blondynka.

—To inna — Grigorij Iwanycz jest zmieszany. — Nazwa bardzo podobna, zapomniałem. Inna.

Sięgające nieba kamienne ogromy obstepują pociąg. Gorące odświeżne południe leży gdzieś na ich dalekiej, porośniętej trawą, zupełnie płaskiej krawędzi. Tunele huczą, wesołe niby krótkie noce, i za każdym razem w ich mroku w korytarzach rozlega się delikatny, znajomy dziewczęcy śmiech. I na dworcowym peronie zapewne już rozlegają się dzwonki: wjeżdża dalekobieżny pociąg z rezerwacją Moskwa — Sewastopol. I wreszcie słoneczny, wymarzony koniec podróży! Nasz pociąg gwizdże pełną żelazną pierśią i z tryumfalnym grzmotem wpada w peronowy gąszcz.

Słoneczne zajaczki igrają na polerowanych drzwiach, na asfalcie wyludnionej mrocznej hali, za którą zionie skwarem wyjście na przydworcowy dziedziniec. Tam wszystko jest tak rozpalone, że na myśl przychodzi obficie rozbryzgujący się silny przybój.

Rozsiadłszy się na swoich rzeczach, jak uchodźcy, czekamy na

dwunastoosobowy samochód „Krymkurso”. Wszędzie z reklamowych plakatów spływa Krym. białe mury jak z bajki rzucone w błękit, cień pałaców o zachodzie, za którymi jest morze i rozprażone klomby, a wprost z nich podjeżdżają do nas samochody, wysadzając opalonych, śpieszących na wieczorny pociąg ludzi o twarzach oprószonych przybrzeżnym pyłem. O, jak dławii ich nieutulony smutek — muszą teraz odjeżdżać znad morza!

Towarzysz Jakowlew, dopóki żona ubiera dzieci, rozmawia ze mną jak stary znajomy. O służbie na Krymie już dawno marzył, tutaj, mimo wszystko, najlepsze powietrze, dzieciaczki wspaniale podrosną, lecz milicja nie będzie miała tu szczególnego zajęcia — co tu się może zdarzyć! A on i żona już dawno mieli zająć się swoim dokształcaniem.

—Zobaczmy dzisiaj waszą grootę — mówię z udaną obojętnością.

Od tego, jak spojrzy i odpowie, ogromnie zależy coś mojego. Chłopak uśmiecha się nad moją głową do nieba.

Nie mówi nic.

W samochodzie mnie i blondynce przypadły przednie miejsca. Wolałbym widzieć wszystkich przed sobą. Cóż, dobrze, teraz spojrzę im prosto w twarz kiedy sam zechcę.

Blondynka natychmiast łagodnieje, cieszą ją nawet łyse, podmiejskie pagórki.

— Cudownie, cudownie — szczebiocze, jej ciało pysznie trzęsie się w takt motoru.

Toczymy się wilgotną doliną Bałakławską. Nad nią obłoki, na prawo osady, po pas w zielonej, rozkosznej, śródgórskiej mgle. H tam jest błękitny raj. Wjeżdżamy serpentyną coraz wyżej i wyżej. Kierowca zmienia biegi, motor ciężko zgrzyta, jakby i jemu wysokość zapierała dech w piersiach. Góry podchodzą coraz bliżej kędzie- rzawosiowymi, wapiennymi zboczami. Wyżej już się nie da — pod nami powietrze i strzępiaste zarośla i widoczna w przerażających głębiach dolina. Zaraz tam spadniemy.

—A — ach!... — błaznując, krzyczy z przerażeniem Grigorij Iwanycz.

Spadamy w pustkę, krzaki urywanie świszczą, w piersi brak tchu. Oglądam się. Żenieczka przytula się do Grigorija Iwanycza kurczowo chwyciwszy go pod rękę, bezradna, pogubiła wszystkie swoje salony i

wszystkie mamy. I oczy Grigorija Iwanycza spotykają się z moimi — niewidzące, szczęśliwe...

Odpoczywamy w Baj darach. Pachnie nadchodzącym wieczorem, pokropił niewielki deszcz, po którym będzie słońce i wiatr w sosnach na szczycie. Chłód zielonymi kropelkami pokrył winogrona na straganach. Zdaje się, że jedziemy nieskończenie długo... Być może we śnie.

Tak, we śnie. Oto wąwóz, którym przechodzili kiedyś partyzanci, jeszcze zakręt i czyjeś oczy odgadną i wpiją się w ciemną pustkę pod sosnami na spadającym zielonym stoku. I już rozstępują się góry, ukosem zbiegają po tamtej stronie błękitne zarośla i oto mglista pustka za skrajem szosy. I czekam — czuję za sobą nagłą, jak pchnięcie noża, czyjaś tęsknotę; czuję jak tryumfujące i straszne światło, dochodzące z przeszłości, nagle inaczej zapłonęło i pokazało nam życie. Lecz, być może, to się przywidziało tylko mnie? Odwracam głowę, żeby zajrzeć w niknące twarze dwojga siedzących z tyłu. Szukam ich, ale zamiast tego widzę Grigorija Iwanycza, który ukazuje się ze swoim strasznym, błyskawicznym uśmiechem, i widzę dziesiątki innych oszalałych oczu, które nagle błękitnieją.

Spadamy w Bramę Bajdarską! Ściany gór otwierają się na oścież. Kierowca popisuje się i zatrzymuje samochód tuż nad przepaścią, nad lazurową, ściskającą serce pustką. Ani przed nami, ani pod nami nie ma niczego prócz nieba i drżącego wzniosłego błękitu, idącego przez świat.

Morze.

W samochodzie popiskują, szepczą, szaleją; blondynka pierwsza jak worek stacza się na ziemię i drobiąc podbiega w zapamiętaniu ku przepaści.

—Cudownie... Boże, jak cudownie!...

Grigorij Iwanycz pędzi z oszalałymi oczami, wyciąga z kieszeni nagan i kłamie, że dopiero co widział pod urwiskiem lisicę.

—Nie wolno, nie wolno! — krzyczy Żenieczka i biegnie za nim gdzieś w dół po szosie.

Powinienem teraz zobaczyć Jakowlewów. Słyszę, jak kobieta pyta za moimi plecami kierowcę, czy zdąży nakarmić dziecko. — Tak, zdąży pani — odpowiada kierowca. Ale ja nie mogę od razu oderwać oczu od rodzącego się

z głębin przepięknego świata. Morze rozpościera się za nieogarnione horyzonty — tak jak wczoraj, bez nas i jak tysiąc lat temu, niosąc tę samą dziką, kipiącą ciszę. W zielonej otchłani pod nogami mającą miasta, klasztor i w śmiertelnym lęku przyklejone do kamiennej iglicy Foros. Migotliwy, szaleńczy lot jaskółki... I mimo wszystko powinienem ich zobaczyć.

...I widzę troskliwie pochyloną głowę kobiety i potargane delikatne włosy, opadające na szyję. W górach ochłodziło się, kobieta ma niedbale na ramiona zarzucony płaszcz przerobiony z szynela, płaszcz, w którego fałdach pozostało tchnienie burzliwych nieśmiertelnych lat. Chłopak stoi obok i, trzymając ręce w kieszeniach, patrzy w skupieniu na jej pierś. W nastroju błogości opuszcza powieki. Jest na nich światło i cisza morza.

Odwróciłem się i patrzyłem na bezkresny cud stworzony przez życie z kamieni, wieczności i wody. Grubaska w jedwabnej spódnicy denerwowała się przy samochodzie, pytając wszystkich, gdzie jest Żenieczka. Ale komu była w głowie Żenieczka? Tylko ja widziałem, jak na dole Grigorij Iwanycz biegł skrajem śmiertelnego błękitu i, śmiejąc się, niósł dziewczynę na rękach.

Tłumaczyła Barbara Frejdllich

Władimir Bachmietjew

Żelazna trawa

I

Ten ogromny, niepowtarzalny wysiłek, który zawładnął istnieniem tysięcy robotników i chłopów dokonywał się z dala od Sołonecznej. Dziesiątki wiorst dzieliły jeszcze stację od miejsca walk. Nie słychać było ani łoskotu broni, ani jęku ziemi, tratowanej przez watahy jeźdźców, a nocą nie widać było lun..Wydawało się, że nic nie zagraża spokojnemu życiu. Ludzie bez pośpiechu krzatali się wokół magazynów, przetaczali po torach parowozy. W wiosce za stacją, od rana do późnego wieczora z kuźni unosił się dym, o świcie grały pastusze fujarki i, jak zwykle, tak jak wczoraj, jak przed rokiem, szeroki step wypełniała wielogłosowa pieśń codziennego mozołu.

Czasem przez stację przejeżdżały pociągi wypełnione żołnierzami. Posępnie i bezszelestnie, nie wiedzieć czemu, zawsze nocą, wtaczały się wagony z amunicją. Raz po raz, poza rozkładem, dudniły, że aż ziemia się trzęsła, ciężkie szaroniebieskie pociągi pancerne.

Ale ani eszelony z żołnierzami, ani samochody pancerne z bronią, wyzierającą spod osłon, nie budziły trwogi w Sołonecznej.

Zalane słońcem platformy wypełnione były samochodami; jaskrawoczerwone sztandary wznosiły się aż po dachy wagonów. Czerwonooarmiści, którzy nie zaznali dotąd bezsennych nocy, weseli i roześmiani ścigali się wzdłuż peronu. Samochody pancerne otaczała chmara dzieciaków. Korzystając z krótkiego postoju, oddział marynarzy rozproszył się po bazarze; przynosili stamtąd gorące placki, słoninę i arbujzy, które wyglądały jak pomalowane kule armatnie. Za marynarzami ciągnęły z placu młode handlarki jadła, chciwie spoglądając na stalowy pociąg. Z wagonów wołano: „Dalej, śmiało, nie wstydź się, cały mechanizm od środka pokażemy!”

Amatorki wchodziły

i wracały stamtąd — niczym z łaźni — rozwichrzone, buchające ciepłem.

Otaczano je wokół, wypytywano, a one, patrząc w bok, opędywały się z uśmiechem. Potem do nagrzwanych przez upał stalowych pudeł wspinały się

inne i — niby ze stogów siana — słychać było pisk i śmiech, dopóki nie zabrzmiał sygnał do odjazdu.

I nagle wszystko się urwało.

Ciężki los sięgnął tam, gdzie od tygodni dzielne pułki powstrzymywały nacisk wroga. Było tak, jakby potężna niewidzialna ściana podpierana przez gromadę uzbrojonych ludzi runęła nagle i od czarnych czeluści ziejących między ziemią i nocnym niebem powiało ponad stepem czymś niewypowiedzianie dzikim i groźnym.

W stronę Sołonecznej ruszyły z południa pociągi ze znakiem czerwonego krzyża wypełnione ewakuowanym majątkiem, na wpół zniszczonymi samochodami, paszą i rannymi. Z wiosek osmalonych bliskim powiewem wojny rzucili się uchodźcy. Tarasując drogi, prześcigali się wzajemnie, jakby byli smagani biczem. Baby pokrzykiwały i poganiały prowadzone za furmankami krowy, na furmankach pobrzękiwały cybarki*, beczułki, trzymaki do garnków. Dzieci oblepiły wozy, niczym śliwki gałęzie podczas urodzajnego lata. Psy, żrebaki, owce wznosiły wokół .taboru tumany kurzu i, zdawało się, że pożar objął step.

Z bocznego toru, nie wiadomo z czyjego rozkazu, wjechał pociąg towarowy, załadowany po same dachy owsem i sianem i niemalże w ślad za nim, z tej samej strony, uczepieni dachów i platform wagonów, dobili ranni, starcy, dzieci i kobiety odziane z miejska. Na poszarzałych z niewyspania twarzach zastygł strach.

Wszystko pogrążyło się w chaosie. Zniknęło poczucie czasu, nikt nie wiedział, gdzie znajduje się nieprzyjaciół i jakie ma siły. Uchodźcy mówili o stalowych potworach, które jakoby wdzierały się na ich pola i o samolotach zrzucających ogień wprost na chałupy. Tłoczący się wszędzie ludzie z brunatnymi, pokrytymi kurzem opatrunkami na rękach, zapewniali, że zostali ostrzelani przez niemieckie podjazdy w miejscowościach, w których w ogóle nie powinno być Niemców. I to właśnie zdawała się być najgroźniejsza ze wszystkich nowin przekazywanych z ust do ust wśród chaotycznego tłumu, który opanował stację.

Trwoga postępowała dalej na północ i obejmowała położone w pobliżu wsie. Nie wyganiano tam bydła na pastwiska w każdej chwili spodziewając

się ataku wroga. Na polach pełnych dojrzałej pszenicy gromadzili się starcy i kobiety. Twarze, do kości spalone przez znój, pały gniewem. Słysząc było wymyślania. Przeklinano obcych i swoich, nieznajomych i bliskich. Strach o los z dawna zasiedziały domostw, gratów i rupieci gromadzonych latami, o wszystko, co stało się uładową na wieki codziennością, zmieniał ludzi nie do poznania. Żony przeklinały mężów — tych, którzy odeszli do białych i tych, którzy walczyli przeciw białym. Schodząc z pól, gromadzono się na wiecach i — z poduszczenia sklepikarzy lub za namową byłych oficjalistów obszarniczych — wydawano wyroki. Głosy biedaków tonęły w krzyku kułackich popleczników, w bolesnym zawodzeniu starców, którzy potracili zmysły.

* Okolica występowała z brzegów, jak rzeka w czasie powodzi: burzowe chmury kłębiły się nad stepem, opanowanym przez zgryzoty, rozpacz i nienawiść.

Czasem zdawało się, że fale ludzi rozchodzące się wokół stacji zaleją tory, zatrzymają ruch parowozów i przygniotą wszystko, co się tu dokonuje. Ale mijały godziny, słońce chowało się i znów wstawało, a na stacji, jak dawniej, ładowano wagony. Jedne odchodziły dalej, na północ, inne pośpiesznie odstawiano na bocznice. Bezustannie trajkotały telegrafy. W gabinecie naczelnika, przekształconym w sztab prodbazy*, trzaskały liczydła i skrzypiały pióra. Chłopcy ze stacji, uzbrojeni w karabiny, na zmianę dyżurowali we wsi w przeżartych machorką izbach ispołkomu**.

Sztab brygady czerwonych znajdował się bardziej na południe, na jednej z przyfrontowych stacji, ale w Solonecznej szykowano już lokal na jego potrzeby. Człowiek, w ciasno ściągniętym rzemieniem tużurku, wspomagany przez dwóch młokosów z naganami i czerwonymi opaskami na rękawach, usuwał z upatrzonych pomieszczeń byłego właściciela młyna parowego i wdowę, właścicielkę piętrowego domu krytego dachówką.

Ludzie w wybrudzonych smarami bluzach, z bronią lub bez, młodzi i starzy, mocni niczym korzenie dębów i chudzi jak zamorzone, ale wciąż wierne gospodarzowi szkapy, niezmordowanie dreptali pod szklanym dachem peronu, przeganiając parowozy; po dwóch lub trzech, z rewolwerami u pasa, pełnili wartę na bazarze i we wsi.

Jaskrawoczerwony sztandar z sierpem i młotem powiewał przy zakurzonej gzymsie sielsowietu*. Z ganku, wprost w gęsty tłum uchodźców, płynęły donośnie brzmiące słowa. Człowiek z zarzuconym na ramię stareńkim karabinem, przechodził bez pośpiechu pośród taborów za stacją, pokrzykiwał, wygrażał, dawał rozkazy. Odpowiadało mu pokorne milczenie. Ludzie tłoczyli się przy swoich wozach, poprawiali uprząż i uspokajali dzieci.

Na stacji było dwóch telegrafistów. Jeden leżał we wsi u wdowy-żołnierki, złożony przez tyfus. Drugi już okrągłą dobę nie odchodził od aparatu, przyjmując i wysyłając depesze. Jedną z nich nadano w nocy do węzłowej stacji Miodowa — położonej na północ. Depesza, zgodnie z ustalonym porządkiem, przeszła przez dziesiątki rąk i dokładnie w dwie godziny po północy, kiedy nad Miodową zaczynało świtać, prosto z parowozowni ruszyła wyremontowana lokomotywa. Prowadził ją siwowłosa Gawriłow, służbista, od dwudziestu lat nie schodzący z parowozu.

Wprawnym ruchem, ale już nieco drżącą ręką, pociągnął Gawriłow linkę sygnału — buchnęła para i nad stacją rozległ się przeciągły gwizd. Tą samą ręką otworzył regulator i — jak zwykle od niechcienia — rzucił spod krzaczastych brwi spojrzenie na semafor. Parowóz E-115 ruszył w kierunku Sołonecznej.

Rusanow, pomocnik maszynisty, obdarzony za sprawą płowej czupryny przezwiskiem Jasny Rusanycz, bez pośpiechu, zręcznym ruchem dorzucił węgla do paleniska, a później — tak samo spokojnie — strzepnął ze spodni węglowy pył i postawił na palenisku czajnik.

Gawriłow, z ręką zastygłą na dźwigni, wsłuchiwał się w uderzenia pary w kominie. Kiedy upewnił się, że suwaki znajdują się we właściwym położeniu, a tłoki są dostatecznie szczelne, spojrzał na pomocnika, potem na czajnik. W jego zmęczonych oczach barwy dojrzałej gryki pojawił się uśmiech: „O to mi chodziło”!

Zamrugął obok semafor, potem zjawiała się stacja pomp, podob-
11 s
na do wielbłąda z gęsią szyją i parowóz, rozkołysany pędem, wdarł się w bezkresny step.

Nad stepem stygła zorza. Wokół kładły się wonne mgły, słychać było ptasi

świergot.

—Znowu zaprzęgliśmy się na okrągłą dobę! — zawołał pochylony nad paleniskiem Rusanycz, a maszynista, nie bacząc na zgrzyt i łomot, z ruchu warg domyślił się jego słów.

—Cholerny bałagan! Wczoraj przywieźliśmy, dzisiaj — zabieramy...
Rusanycz machnął ręką.

—Ano, czas taki... Wojna z kapitałem! —wykrzyknął pomocnik wprost do okna, naprzeciw szalejącemu wiatrowi.

Rusanycz, do niedawna jeszcze ślusarz w parowozowni, schował za cholewą brauning małego kalibru. W piersi tłukło się nieposkromione serce. W ten pogodny ranek gotów był krzyczeć i śpiewać o wszystkim, co zwyczajne i najprostsze, tak jak w dzieciństwie śpiewał w cerkiewnym chórze.

A w Sołonecznej, na ostygłych nocą torach, tańczył już manewrowy parowóz zbierając w jeden ciąg wagony, za którymi, dając sygnał gwizdkiem, biegali niewyspani kolejarze.

Rozpoczęła się ewakuacja stacji.

II

Na prawym skrzydle armii huczał zacięty bój, a na tyłach — jak zawsze przed decydującymi wydarzeniami — wszystko dookoła, poczynając od mdlejących w upale wiosek, a kończąc na oddalonym torowisku z budką i szlabanem, było nieruchome i nieme.

W pustym stepie, na piaszczystym wzniesieniu, majaczyła pod płowym nieruchomym słońcem postać dróżnika. Ogorzałą od wiatru, zarośniętą twarz, zwrócił w bok od pola walki, tam, na północ. Wyblakłe, podkrażone oczy przepełnione były trwogą. Za każdym razem, kiedy spostrzegał dym na horyzoncie, wpatrywał się w to miejsce, osłaniając oczy podniesioną do czoła dłoń.

Do przydrożnej budki nie docierał niesiony wiatrem pomruk dział, ani — tym bardziej — trzask rozpalonych karabinów maszynowych. Ale leciutko drgający w słońcu kraniec nieba i liczne stada kawek za jeziorem bezgłośnie zdążające na północ, świadczyły, że wojna jest coraz bliżej.

W Sołonecznej nikt nie widział błysków rozjaśniających niebo ani

szybujących nad stepem ptaków. Jak zwykle swobodnie i radośnie błękitniał poranek i na białych solnych pagórkach, opadających ku rzece, spokojnie dreptały kozy, a ponad ciemnymi słomianymi dachami wioski unosiły się siwe, łagodne pasemka dymu. Ale na stacji miały się po torach parowozy, jakby zaskoczone znienacka. Wagony zderzały się z łośkotem, cofając się w szare, zarośnięte pokrzywą bocznice, a potem znów wyrывały się ku przestrzeni w daleki step. Rozlegały się gwizdki i pokrzykiwania wskakujących na stopień parowozu kolejarzy; pojedyncze postacie w mundurach konduktorów, z ciemnymi ładownicami w dłoniach, przeskakiwały przez tory, przedostając się do swoich brygad.

Bez dzwonków i sygnałów wyruszył w drogę pierwszy skład wypełniony meblami, stertami przewiązanych papierów, maszynami do pisania i bladymi, przerażonymi twarzami kobiet.

Wzdłuż peronu, wymachując kolbą, szedł mężczyzna w zielonym płaszczu. Obok niego, pojedynczo i gromadami, przebiegali ludzie w siermięgach i onucach, z workami zarzuconymi na ramiona, kierując się w stronę lichego skweru i dalej, na bazar.

Na placu i za torami pod zagajnikiem konie biły w hołoble, wrzeszczały dzieci, baby skrzętnie układały na wozach wszelkie rupiecie. Ktoś zarośnięty, w ciemnych okularach, posuwał się wśród tłumu po omacku, odnajdując drogę laską i wył żałośnie, jak pies:

W polu przy drożynie stał sam Jezus Chrystus...

Placz dzieci i przenikliwy babski lament rozlegały się pod szklanym sklepieniem. W pobliżu wejścia szczękały zamki karabinów. Z pomieszczenia telegrafisty wydostawał się równy suchy trzask, ktoś dyktował donośnie i wyraźnie:

— Dwadzieścia trzy towarowe... Pod numer siódmy... Siódmy, siódmy!

Od strony opłotków, pośród rozstępującego się tłumu, zjawił się nie wiedzieć skąd jeździec z zathuszczonymi lampasami. Bosa dziewczynka upadła na kamienie i krzyczała w niebogłosy. Pod nią, w odłamkach szkła, rozlewała się mleczna kałuża. Obok pociągu sanitarnego ruszającego z drugiego toru szli młodzi chłopcy z zadartymi w stronę wagonów głowami. Z okien wychylały się sanitariuszki.

— Żegnajcie! Powodzenia! A nie zapomnijcie, jeżeli było co zapamiętać...

Około południa parowóz Gawriłowa wyruszył w drogę powrotną do Miodowej ciągnąc za sobą pierwszy skład liczący pół setki wagonów.

Komendant stacji siedł obok parowozu, wykrzykując:

— Jeszcze czterdzieści wagonów ze zbożem! Słyszysz tam?

— My nie głusi! — odparł Rusanycz i głośno trzaskając pokrywą paleniska, dał pełny bieg.

„Dzyń — dzyń... dzyń — dzyń — dzyń — dzyń...” — zaśpiewały poderwane do przodu wagony.

— Siedemdziesiąt tysięcy pudów! krzyczał za nimi komendant.

Stacja powoli uciszyła się i tylko z wiejskich dróg, spoza zagajnika, dobiegał skrzyp wozów, porykiwanie krów i pojedyncze świsty bata przypominające wystrzały.

Blade od posuchy niebo zasnuwane było dymem. Nad pograżoną w ciszy osadą przepływały gorące fale. Ziemi przesyconej odurzającym czadem brak było tchu. Na podkładach pokrytych kroplami oleju, w przywiedłym ogródku z akacjami, przed opustoszałymi barakami i dalej, na zakurczonym, wypalonym przez skwar bazarze, leżały sterty skórek od arbuzów, ogryzionych gruszek i gazy z zaschniętą krwią i rojem chciwych much.

W Sołonecznej oczekiwano pod wieczór pojawienia się sztabu brygady. Tymczasem słońce chyliło się już ku białym wzgórzom za rzekę, a mors w pomieszczeniu telegrafisty milczał; drogi prowadzące na północ i południe były bezludne. Nie widać było eszelonów z żołnierzami ani też parowozu z Miodowej, zdążającego po odbiór czterdziestu załadowanych wagonów.

Tyczkowaty komendant siedł w stronę telegrafu i spierał się o coś ze starym wagonowym o przezwisku Zakutny. Należało wystukać wezwanie do Miodowej. Wtedy właśnie wypełził na peron błady telegrafista z zagadkowo płonącymi oczami.

— Z Gogową — łączność przerwana! — powiedział półgłosem, rozglądając się na boki.

Komendant zamilkł, wagonowy ponuro pokręcił głową.

— Co ty mi tu zalewasz? — wyrzucił z siebie po chwili komendant, rozluźniając kołnierzyk koszuli. — Dopiero co sprawdzano linie.

Telegrafista potrząsnął ostrzyżoną głową.

—Co to ja, dziecko jestem, czy jak! — powiedział z wyrzutem.

Komendant milczał.

—No, a z Miodową?...

—E-115 dopiero co wyruszył... po to, co zostało!

Przez szklany dach peronu prześwitywało niebo. Było jeszcze jasno, ale cienie wokół wagonów szarzały, a w oddali, za zagajnikami, na bladym stygnącym nieboskłonie ukazała się migocąca pierwsza gwiazda.

— A niech was wszyscy diabli! — zaklął komendant. — Ej, Puczków! Nie widziałeś naczelnika? — zawołał w stronę składów.

Wagonowy Zakutny, przeczuwając coś niedobrego, pokuśtykał w milczeniu i po chwili zniknął z peronu. Telegrafista spojrzał za nim, mrużąc piwne oczka. Nagle zmarszczył się i kichnął, zakrywając usta dłonią.

— Na zdrowie, Nikołaju Pietrowiczu! — mruknął do siebie, sięgając do kieszeni po perkalową chustkę.

Miał dziewiętnaście lat i niewiele jeszcze widział na bożym świecie, ale wiele marzył o wielkim mieście i o prawdziwym życiu z kursami przyspieszonymi, mitingami i dziewczynami niczym z bajki. Ocierając usta chustką, telegrafista Nikołaj Pietrowicz z pewnością nie myślał, nie przeczuwał, że kichnął po raz ostatni w życiu.

ni

Parowóz E-115 zostawił wagony na Miodowej i na pełnym biegu wracał do Sołonecznej po nowy ładunek.

W kabinie szalał żelazny łoskot, skrzypiał pomost, było gorąco i brudno, z dołu wszystkimi otworami wdzierał się kurz.

Rusanyecz, z głową wychyloną na zewnątrz, chłonał wieczorne zapachy stepu. Wiatr szarpał lniane włosy. Oczy, zwykle szeroko otwarte, o jasnym spojrzeniu, mrużyły się teraz i zachodziły łzami. Z upodobaniem wykrzykiwał słowa ulubionej piosenki:

W późny wieczór, leśną drogą jam ze stadem do dom szła...

Gawriłow położył rękę na przekładni, co jakiś czas spoglądał na rurkę wodowskazu. Wydawało się, że zajmuje go coś, co ma związek z parowozem. Tak naprawdę wsłuchiwał się w rwący ból, który rozsadzał mu kolana.

Myślał o tym, że nie dalej jak za pięć lat przyjdzie mu na zawsze pożegnać się z maszyną.

Młodość przeleciała, niczym parowóz w pełnym biegu: wiorsta za wiorstą, budka za budką, a teraz lada dzień — może zatrzymać się na ostatniej stacji!

Życie — to prawdziwe, wzniosłe — przeszło gdzieś obok; jego części błakały się między większymi i małymi stacyjkami.

Dopóki pracował w wagonowni miał przyjaciół, matczyną troskę i dziewczynę, która mogła być jego żoną. Miał też błogie marzenie — parowóz, srebrne galony na kaszkiecie, powiorstne i premie. Wreszcie dostał ten swój parowóz i co z tego? Stalowy koń oderwał go na zawsze od rodziny, miłości, od codziennej wspólnej walki o przyszłość, i przyszłości zabrakło, bo marzyć nie było już o czym.

— Zgniły parów! — zawołał Rusanycz, odchodząc od okienka.

Zaczął się wzniesienie najbardziej strome na tym odcinku. Maszynista, nie odrywając się od swoich myśli, przełożył obie dźwignie.

Rusanycz, zgięty wpół, kolistym ruchem dorzucał węgla do paleniska. Potem zatrzasnął drzwiczki i oparł się o ścianę, spocony i szary od węglowego pyłu.

Trzeci rok jeździł Gawriłow ze swoim pomocnikiem i poznał go na wylot, niczym syna. Chłopak jak należy! Jedno tylko mu się w nim nie podobało: w wolny dzień nie usiedzi w domu, włóczy się z kolegami, a do tego — babiarz! Na każdą przerwę w dyżurze coraz to inna dziewczyna przychodziła po niego na dworzec, a wszystkim, jeśli wierzyć ludziom — obiecywał kobierzec.

Gawriłow mówił o kobietach nie inaczej, jak ze wstydliwym pobłażaniem. Od czasu do czasu, i do tego zawsze w tajemnicy, aby nie narazić na hańbę panińskiej czci, spotykał się ze swoją dawną sympatią, niemłoda już, zezowatą córką księgowego z urzędu skarbowego. Lenuszka, tak miała na imię, z powodu brzydoty nigdy nie marzyła o zamażpójśdu. Gawriłowa obdarzała pełnym lęku uwielbieniem, niczym kogoś, kto zjawia się z niedostępnej dali, z nieznanych miast i krain. Czasem dawał jej na sukienkę, a pewnego razu podarował nawet nowe półbuciki. Ale zawsze, nawet w chwilach pieszczot, był powściągliwy i surowy.

Rewolucja zaskoczyła go i nie wszystko z tego, co działo się dookoła, zdołał

pojąć. Do tej pory, na przykład, nie mógł pogodzić się z tym, że nimi, stacyjnymi, dowodził nie wiadomo kto: najpierw parowóz wzięła w niewolę chmara żołnierzy przybyłych prosto z frontu. Potem gorliwcy z wagonowni rzadzili się jak u siebie. A w końcu zwalili się jacyś obcy, bez żadnego — jak mu się zdawało — pojęcia

o najbardziej oczywistych przepisach służby drogowej... W tej, tak jak i w wielu innych sprawach, Gawriłow i jego pomocnik nie mogli się pogodzić.

— I znowu wraca to, co miało odejść! — odezwał się Gawriłow, podążając za swoimi myślami i spojrzał na Rusanycza.

— To znaczy, co? — zjeżył się pomocnik. W jego jasnych, szeroko rozwartych oczach, stary, z tajonym zadowoleniem, spostrzegł strach.

— No, po prostu! — ciągnął maszynista, starając się unikać spojrzenia Rusanycza. — Co to, nie czujesz czym na froncie pachnie?

— A niby czym? — Rusanycz spojrzał czujnie i wyszczerzył zęby. — Że nas biją? No i co z tego? Dzisiaj oni nas, a jutro my ich, przeklętych białasów! Tak, czy owak — nasze będzie na wierzchu.

Gawriłow machnął ręką.

— Milczałbyś lepiej.

Potężnie sapiąc, niczym dziki ogier, parowóz wspinał się na wzgórze. Za oknami uciekał szarzejący w zmierzchu step. Tuż przy ciemnych podkładach pędził niewyraźny, niebieskawy cień, licząc żebra toru.

Przed nimi, na szynie, stał słupka susel jakby zagradzał drogę żelaznemu potworowi. Parowóz zbliżał się nieubłagane w pełnym biegu i dopiero w ostatniej chwili, wyskakując łukiem w powietrze, zwierzak zniknął.

— Ja, to myślę tak — powiedział Gawriłow nieco łagodniej — nie warto było nawet zaczynać... Krwi, bracie, beczki przelali, a końca nie widać...

Rusanycz szurnął miotłą po brudnej podłodze, cisnął ją na bok i rzekł twardo, z wyzwaniem rzuconym nie wiadomo komu:

— Mamy jedną drogę: albo głowę wsadzić w pętlę, albo iść naprzód!

W oczach Gawriłowa, skrytych pod wydatnymi brwiami, zabły sły iskierki rozdrażnienia, a po siwych szczeciniastych, jakby posypanych solą szczękach przebiegł skurcz.

— Ech — westchnął z goryczą. — Naprzód, naprzód, a dokąd? Już

dwadzieścia lat gnam do przodu, a ciągle jestem w tym samym miejscu...

Rusanycz w żaden sposób nie mógł przywyknąć do tych ponurych wybuchów starego. Lubił go, każdym uderzeniem serca wyczuwał w nim przyjaciela i tym bardziej trapiły go te niedorzeczne wywody.

— Aż dziw bierze, kiedy się was słucha! — powiedział szorstko.

—Po prostu, przykro się robi!

Gawriłow milczał, posapując.

—Całkiem, jakbyście, przepraszam za wyrażenie, szlacheckiej krwi byli. Albo, co najmniej, inżynierski mundur nosili!

Gawriłow nadal milczał, ale splunął przez zęby z takim rozmachem, że nie można było wątpić: ostatnie słowa pomocnika trafiły w sedno. Stary nie znosił paniczków na kolei. Przyjrzał im się dobrze, kiedy to przyszli inżynierowie — urzędnicy włązili do parowozu jako praktykanci.

—Węgla! — zawołał do Rusanycza, wyglądając na zewnątrz.

Parowóz wspiał się na wzgórek minawszy ciemne parowy dyszące grząskim chłodem. W dali, w przejrzystej mgle zmierzchu, majaczył dach stacji pomp.

—Soloneczna! — krzyknął Rusanycz, przerywając ciężkie milczenie.

—Dawaj sygnał! — odezwał się zgodnie Gawriłow, jakby całkiem już zapomniał o sprzecze.

Począł aż ucichnie gwizd, a potem, jak zwykle surowo, ale serdecznie, mówił dalej:

— W szesnastym roku, w tym samym miejscu, jeden studencik o mało kotła nie spalił... Ledwo na minutę się zdrzemnałem, a on — dalejże gospodarować... Wymyślił, mądrała, że dobrze będzie wodę spuścić, a kiedy się spostrzegł, ja-ak nie zabuja!... Na szczęście, wziąłem się za to w porę, a to takiego by narobił...

—No i czego się po nich spodziewać! — odezwał się z uśmiechem Rusanycz, słysząc nie pierwszy raz o głupim studencie-praktykancie. — Ich rzecz — parowozy psuć...

—I żeby to tylko psuć... — podchwycił Gawriłow. — Oni, bracie, tacy są sprytni, że i katastrofę gotowi zmajstrować! A choćby i ten wypadek ze studentem: gdybym nie dopatrzył, cały parowóz by

rozniosło... Jeślibyś i specjalnie chciał, to tak nie zrobisz, ej-ej!...

Zasępił się. — Na naszym, jeśli był z parowozowni, tylko psy wieszali, a im, sytym czortom, wszystko uchodziło płazem... A jakże, przyszli inżynierowie! A jakie to ich inżynierstwo?... Tfu, ot i co!... Gotowi tylko zwierchnikom schlebiać, a człowiekiem pracy pomiatać! Maminsynki!

— No, no! — całkiem wesoło zawołał Rusanycz. — O tym i mówimy. Za to swoją krew przelewamy!

— A za co? — nastroszył się znowu stary.

— A za to, żeby nie maminsynki, ale nasi, chłopaki z parowozowni, w praktykanckich mundurach chodzili... Nasi!

— Czekaj tatka latka! — odciął się stary. — Słyszałeś — białe kanalie z Niemcami się zwąchały i Niemcy pędzą im na pomoc.

— A niech tam! Niemcom też dołożymy... Niech się nie pchają do cudzego domu...

Stary w milczeniu wpatrywał się w ciemność. Obok migwały stopy podkładów, widać było pierwsze wagony na bocznicę.

— Droga wolna!

Donośny sygnał parowozu jeszcze raz przeciął nagrzane w ciągu dnia powietrze i przerywanym echem potoczył się wzdłuż spowitego zmierzchem szeregu wagonów.

Rusanycz zamknął regulator i rozpoczął hamowanie. Z drżeniem i parszaniem parowóz podjeżdżał do peronu.

— Wsteczny! — krzyknął nagle nie swoim głosem maszynista i rzucił się do przekładni.

W tej samej chwili Rusanycz, nie namyślając się, zwolnił hamulce. Parowozem silnie szarpnęło.

— No? — wrzasnął pomocnik, widząc, że ręka starego nieruchomo spoczęła na dźwigni.

— Zostaw! — rzucił Gawriłow przez zęby. — Za późno...

Z peronu i wzdłuż toru nadbiegli ludzie przytrzymując szable. U jednego z nich Rusanycz spostrzegł galony, u innego ciemny hełm z orłem.

— Biali! — zawołał chwytając Gawriłowa za mankiet. — Niemcy!...

— Spokój, milcz!

Maszynista stał lekko pochylony do przodu, skupiony. W oczach błysnęła nienawiść. Rusanycz na nowo odnalazł w nim to, co przywykł uważać za swoje, bratnie, niezawodne.

— Tylko spokojnie, Andrieju Siemionyczu... Mówiąc to, Rusanycz zacisnął dłoń na szorstkiej, jak szmergiel, ręce maszynisty.

Stary odsunął go.

I— Zamykaj popielnik!

IV

Dwóch z brauningami wspinało się na parowóz.

—Z Miodowej? — krzyknął pierwszy w nowiutkiej czapce z czerwonym otokiem.

—Z Miodowej — rzucił Gawrilow. Rusanycz pochwycił w jego głosie nie znaną mu dotąd nutkę, coś prześmiewczo-zawadiackiego, niczym zaczepka podrostopka j— chuligana, który niezbyt dobrze wie, co by tu wykręcić. — Z Miodowej, ale... bez miodu!

Temu, który szedł za kozakiem, najwyraźniej nie spodobała się zadziorna odpowiedź maszynisty.

—Halt! — zawołał, kierując brauning w stronę starego. — Milcz... Świnio!

—Słyszysz? Tylko spokojnie!... — rzucił Gawrilow w stronę pomocnika.

Rusanycz sięgnął drżącą ręką do popielnika, ale w chwilę potem, rozważywszy coś, pospieszenie zwolnił hamulec tenderu i lekko trącił regulator.

—Gotowe!

Gawrilow pochwycił ruch jego ręki, burknął niezadowolony i, zamykając regulator, ustawił dźwignię w poprzednim położeniu.

—Teraz nie odejdz! — wymruczał z tym samym, ledwo dostrzegalnym uśmieszkiem, nie zwracając się do nikogo.

—No, dalej, ruszać się! —zawołał jeden, najpewniej kozak i podejrzliwie rozglądając się po pomoście, wyszedł na zewnątrz.

Odchodząc od parowozu, Gawrilow obejrzał się (ileż to lat przejeździł na tym rumaku). Chciał coś powiedzieć do Rusanycza, ale machnął tylko ręką i poszedł dalej nieco zgarbiony, czapkę z pociemniałymi srebrnymi lamówkami zsunął na tył głowy.

Maszynista i pomocnik poruszali się niezgrabnie, kołysząc się lekko jak marynarze, którzy zeszli ze statku po długim rejsie.

— A wy, co za jedni? — zapytał Rusanycz kozaka, zatrzymując się przy wzniesieniu prowadzącym na peron.

Kozak parsknął i pchnął Rusanyczę.

— A ty co, nie widzisz?

— Nie!

— No to zobaczysz!

Później, już na peronie, kozak pochwycił wśród tłoczących się ludzi kręcącego się żwawo, lekko utykającego człowieka.

— No, jak tam, Waliana, masz?

— Tak jest! — zawołał kulawy i poklepał się po kieszeni.

— A zakąskę też znalazłeś?

— Nie inaczej!

— Zuch!

— Zawsze do usług!

Od ludzi ciągnął zapach potu i kurzu, szable pobrzękiwały, na nogach dźwięczały ostrogi. Karabiny zawieszane na ramionach uderzały o siebie z lekkim zgrzytaniem. W przydymionym świetle lamp żarowych wyraźnie odbijały lampasy i krwawe otoki czapek.

Okno pomieszczenia telegrafu było otwarte. Rusanycz spojrzał kątem oka i mimowolnie zatrzymał się.

— No, no dalej! — wrzasnął kozak.

Rusanycz ruszył do przodu, ale co chwilę oglądał się i ze smutkiem i przerażeniem patrzył na okno.

Tam, w pokoju, obok przewróconego krzesła, z twarzą obróconą do podłogi, leżał telegrafista i nic nie wskazywało, by w jego nieruchomym ciele tliło się jeszcze życie.

Rusanycz dotknął ręki Gawriłowa. Była sztywna i chłodna, jak wystygła stal.

— Dokąd to idziemy? — zapytał stary z nieukrywaną wrogością w głosie i zwolnił kroku.

— A idziemy, idziemy! burknął prowadzący i, tuż przed drzwiami dyżurki,

krzyknął do kłębiących się tam ludzi: — Zrobić przejście!...

Rusanycz chwycił nozdrzami słodkawo-gorzki dym machorki, zmieszanej z nostrzykiem. Chciało mu się palić. Przystanął na progu

i mrużąc oczy w świetle zaczął szperać w kieszeni.

— Ej, ty?! — kozak chwycił go za rękę.

— Daj mu zapalić! — warknął Gawriłow.

Wojskowy w hełmie zaklął i rękojeścią nagana uderzył starego w plecy. Gawriłow jęknął. Rusanycz uniósł rękę gotową do ciosu, ale stary spostrzegł to.

— Stój! — wycedził.

Przy jasno oświetlonym stole ludzie, na wpół leżąc, pochylali się nad mapą. Spierali się. Ktoś bezustannie bębnił palcami. Inni żuli ser z chlebem albo zaciągali się cygarami.

Rusanycz spoglądał na połyskujące łysiny, mięsiste fałdy opadające na kołnierze mundurów, na miarowo żujące usta.

— Niezwłocznie... skrzydło... sztab... Rogowa... Siedem haubic... — zdołał wyłować Gawriłow wśród mieszających się głosów. Ożywił się: „Rogowa, to przecież sztab brygady, prawe skrzydło naszej armii!”

Nie na próżno Gawriłow od tylu lat tłukł się na swoim parowozie po całej okolicy. Zobaczył czarny krążek — Rogowa — i biegnącą za nim krętą linię: to tylko jeden, zaledwie jeden skok do frontu!

Spojrzał na pomocnika. Oczy ich spotkały się i stare zdawały się mówić: „No nic, poczekajmy na to, co będzie”. A młode? W młodych oczach nie można było dostrzec niczego, prócz przygnębienia.

— Nie rozklejaj się! — szepnął Gawriłow.

Siwy, ostrzyżony na jeża mężczyzna spoglądał na maszynistę. Dystynkcje na jego ramionach połyskiwały matowo. Był stary, wygolone policzki obwisły, niczym u mopsa, na ciemnej starczej szyi odznaczała się bruzda, zmęczone oczy pod bladymi powiekami wyrażały jedno:

„Wszystko pod słońcem przeminie, odejdzie i o nic tam nie chodzi...”

Przez krótką chwilę wpatrywał się w maszynistę, potem obrzucił przygasłym wzrokiem Rusanyczą i, najwyraźniej nie znajdując w nich niczego interesującego, słabym, łamiącym się głosem powiedział: Trochę

późno...

Kozak wyprężył się, zadzwonił ostrogami i zameldował:

—Dopiero co przybyli, wasza ekscelencjo... Maszynista i palacz. ..

Jeszcze dwaj spośród pochylonych nad mapą w roztargnieniu obrzucili jeńców mglistym wzrokiem.

—Parowóz sprawny? — zapytał stary z pagonami i wsunął do ust bursztynową cygarniczkę, opierając ją na pośliskim zębie.

Prowadzący jeńców nie wiedział o jaki parowóz chodzi, obejrzał się więc na maszynistę i zmierzył go surowym wzrokiem.

— Parowóz na sto dwa — rzucił Gawriłow. — Amerykańskiemu nie ustępuje...

—A—a...

Stary z pagonami pochylił się w stronę siedzącego obok młodego oficera o różowej cerze i rudawym puszką na policzkach.

— Tak jest! — odpowiedział tamten i przeciągając się wstał.

— No, dalej! — zwrócił się w stronę maszynisty, leniwym gestem wskazując drzwi.

Znów szli peronem. Rusanycz zajrzał przez okno do pokoju telegrafisty — chłopak leżał nieruchomo w tej samej pozycji. Pod szklanym sklepieniem dźwięczała stal, szczękały karabiny. Ze skweru, torów i placu dobiegały przekleństwa i parskanie koni. Zagłuszając ten bliski bezładny gwar, płynął od strony wsi przeciągły miękki pomruk zwyczajnego wieczoru: łoskot rozeschniętych wrót, szczekanie psów i jeszcze coś, co chwytало za serce, jak żałosne ludzkie zawodzenie.

„Harmonia” wyszeptał Rusanycz i teraz dopiero pomyślał o dziewczynie, którą zostawił w Miodowej.

Stary mylił się, myśląc, że pomocnik kocha się w wielu. Naprawdę była tylko jedna: Katieńka, ta, która zawsze spotykała go na stacji w Miodowej. To ona przynosiła mu węzełek z jedzeniem i szyla strojne koszule w kolorowe wzory.

„Nieprędka ją zobaczę” — pomyślał o ukochanej Rusanycz i serce ścisnęło mu przeczucie czegoś strasznego.

Gawriłow także wiedział, że na odpoczynek przyjdzie mu teraz długo

poczekać, a kosooka Lenuszka najpewniej wda się w romans z dyrygentem chóru cerkiewnego. Nie na próżno łajdak zwodzi dziewczynę obiecankami.

„A, czort z nią tańcował! Niech tam! — zgodził się, mrucząc do siebie. — Kochanka — nie matka, serce ma dziurawe!...”

Idąc schodami, wciągnął w płuca cierpkie tchnienie wydobywające się spod żeliwa i kamieni, przymknął oczy. Kto by pomyślał, że nawet tutaj, pośród żelaza i kruszywa, lipcowa noc ma taki słodki oddech?

— Sprowadź wagonowych! — krzyczał w ciemności oficer. — Dajcie tu naczelnika.

Przechodząc obok parowozu, wskazał na maszynistę i pomocnika wołając w pośpiechu:

— Ko wałów, obszukać!

Kozak wyszczerzył zęby, mocne i równe, lśniące nawet w ciemności. Na głowie miał ogromną czapkę o szerokim dnie spod której, niczym pęki pokrzywy spod porzuconego koszyka, wychodziła na czoło kudłata grzywa.

— Ten nic nie ma! — zameldował Kowalow, patrząc na Gawriłowa.

— A ten... A, żesz ty! — zakrzyknął. — Wasza ekscelencjo, broń!...

Z peronu padało światło. W jego bladawych promieniach majaczyły poręcze parowozu i widać było drgające wargi Rusanycza, który zapomniał o swoim brauningu.

— Wasza ekscelencja rozkaże? — zapytał Kowalow, kładąc rękę na ramieniu pomocnika.

Oficer sięgnął po cygaro. Kozak podał mu ogień.

#=- Słuchaj, ty! ■— oficer wypuścił w twarz Rusanycza kłęb dymu. — Cóż to, bolszewicy ci podarowali?

Rusanycz milczał.

— Odpowiadaj, kanalio, kiedy cię pytają! — wrzasnął kozak i skoczył do pomocnika. Rusanycz cofnął się, a oczy jego zapłonęły takim blaskiem, że Gawriłow zrozumiał, iż za chwilę zdarzy się nieszczęście.

Stał między kozakiem a Rusanyczem.

— Ten pistolet... należy do nas obydwu! — zwrócił się do oficera. — W taki czas bez broni ruszać się niebezpiecznie... Nie tak dawno na rozjeździe jacyś bandyci o mało nas nie pokrajali.

Oficer wpatrywał się w starego trzymając cygaro w zębach i mrużył oczy.

— Możesz nie kończyć... Sam sobie poradzisz?

Gawriłow nie od razu zrozumiał, ale po chwili zawołał z rozdrażnieniem:

— Sam? Jeśli bez poręki — mogę!

— To znaczy, jak? — zapytał oficer, tracąc spokój.

— A tak, że nie odpowiadam za sprawność dostawy!

Chociaż stary mówił nie podnosząc głosu, oficer syknął:

— No, no, ciszej! Jeżeli rozkażę — pojedziesz sam... Zamilkł na chwilę.

Fotem z chłodną obojętnością dodał:

— Czort z nimi! Kowalow, niech włożą obydwaj... A twoją za- baweczkę — zwrócił się do Rusanycza — zostawisz nam... Jedziecie pod osłoną, z armatkami, bandyci wam nie straszą...

Kpił. Nagle, zmieniając ton, zawołał:

— Ale uważać mi! Bo, jak się coś wydarzy — kości wam połamiemy!

Maszynista uśmiechnął się. Oprócz Rusanycza nikt tego nie dostrzegł.

— Bądźcie panowie spokojni... Nam wszystko jedno jaki bagaż wieziemy!

Wskakując lekko na stopień parowozu, zawołał:

— No, Rusanycz, wchodzi!

Oficer wspiął się za nimi, a stary zapytał wskazując na stojącego na dole Kowalowa:

— A ten też? W naszej budce ciasnawo!

— Nie rezonować! — przerwał oficer, ale machnął ręką w stronę kozaka i ten, nie śpiesząc się, zniknął w ciemności.

— Dalej, pary! Żywo! — Głos oficera drgał lekko.

Gawriłow z nietajonym wyzwaniem zawołał:

— A wy tu nie rozkazujcie! Robotę i bez was zrobimy! Jaka para? Wody trzeba nabrać.

Znów był gospodarzem. Różowolicy oficerek z cygarem w zębach cofnął się w głąb budki.

Po przygotowaniu parowozu manewrowano, zestawiając ogromny, bo liczący pięćdziesiąt wagonów skład z ludźmi, końmi, bronią i amunicją. Gawriłow dreptał ze smarownicą i kluczem, przykręcał, smarował, sprawdzał dźwignie. Rusanycz stał w miejscu.

Przez cały ten czas nie odezwali się ani słowem. Skończywszy pracę. Gawriłow powiedział spoglądając na zewnątrz:

— No, co to się robi!...

Patrzył na niebo. Gęste i zwilgotniałe obnażyło swoje gwiazdne pola. Parowóz wyjechał poza stację. Gdzieś w oddali, za czarną, nie rozjaśnioną żadnym światłem wsią, w wiklinie ponad białymi wodami tęsknie pokrzykiwały bąki.

Na stacji zaległa cisza. Ucichł ludzki gwar, rżenie koni i huk dział wtaczanych na platformy. Słysząc było uderzenia dzwonu: raz i dwa.

— Patrzcie ich, też z dzwonkami! — zawarczał maszynista, westchnął i pogładził dłonią osłonę maszyny.

— Dalej, rumaku...

Nagle zastygł, kurcząc się w sobie.

W oddali rozległo się trzecie uderzenie dzwonu.

— No, Rusanycz, naprzód!

Parowóz zaśpiewał przeciągle i posępnie. Oficer wsłuchał się w żelazny ton i zdało mu się, że pobrzmiewa w nim coś obcego i wrogiego. Skulił się i uważnie rozejrzał dookoła, szukając miejsca dla siebie.

V

Parowóz pędził podrygując i kołysząc się na boki. Przyczepione do niego drewniane pudełka wagonów toczyły się skrzypiąc i pobrzękując. Pod sklepieniem budki panował niesamowity łoskot.

Oficer stał kiwając się na szeroko rozstawionych nogach i wspierał rękę na kabłąku. Nowiutka czapka zsunęła mu się na czoło, szabla bezradnie obijała się o ścianę. Na młodej, pełnej, dokładnie wygolonej twarzy zastygł wyraz poirytowania. A tamci dwaj — maszynista i jego pomocnik, spokojnie i bez pośpiechu, jakby naigrawając się z oficera, krzatali się przy maszynie. Mówili niewiele, porozumiewając się słowami, z których nie udawało się złożyć żadnego sensu. Potem, jakby na komendę, przerywali pracę, wycierali rękawem spocone, pokryte olejem twarze i sięgali po skręty.

Od chwili kiedy opuścili stację minęło nie więcej, niż piętnaście minut, a oficerowi zdawało się, że właśnie powinni zbliżać się do następnej stacji, do przystanku, do tego — jak mówili — ...rozjazdu, czy jakże tam — jeden diabeł

ich zrozumieł...

Ale nie było ani stacji, ani rozjazdów. Chłonąc przestrzeń, parowóz mknął przed siebie wprost w nieprzeniknioną noc, w bezkresny step, na spotkanie sobie tylko wiadomej tajemnicy.

— Ej, ty! — zawołał oficer w stronę maszynisty. Stary odwrócił się i z irytacją machnął czarną, zaoliwioną ręką, wskazując na opuszczaną ławkę: —siadaj, mówię, nie przeszkadzaj.

— No, dobrze! —wycedził oficer, przywierając do podskakującej ściany. — Ty mi jeszcze zaśpiewasz...

Gawriłow przysiadł na skrzynce z narzędziami i wlepił wzrok w wilgotną, nadpaloną podłogę. Pomocnik równomiernie dorzucał węgla do oślepiającego żarem paleniska. Nie kierowany przez nikogo parowóz mknął naprzód, a za nim pędziły drewniane pudła nabite ludźmi, końmi, stałą i prochem, przepełnione ciepłym dławiącym 1 zgiełkiem.

—W łeb by tego gada! — zasyczał Rusanycz, patrząc na ofice- } ra. Stary, uczepony wzrokiem jego warg, rzucił krótko:

— Nie gadaj bzdur!

Wstał i spojrzał na wodowskaz.

— Pompuj!

Rusanycz kręcił się wokół kotła.

—I skąd też Niemców czort przyniósł? Przebił? się gdzieś, czy jak? — powtarzał, wypełniając polecenia starego.

— Objechali bokiem... A ty pompuj, pompuj!

Ręka starego, drżąc z lekka, spoczęła na regulatorze.

— Jelenie wzgórze!...

Rusanycz wytknął głowę przez okienko i krzyknął nie odwracając się:

— Łuk dwieście jeden!

Stary przymknął oczy, dreszcz przebiegł po szczeciniastych policzkach. Wiedział przecież:

„Łuk dwieście jeden... Za nim wzniesienie... Dalej — aż do samej stacji — pochyłość: pełną parą naprzód, wszystkiego — dwadzieścia minut...”

Rusanycz myślał o tym samym:

„Łuk... wzniesienie... Stacja i sztab... Czerwony sztab całego skrzydła!...”

Obaj ujrzeni popłoch w sztabie, twarze wykrzywione strachem, wybuchy, jęki i krew, krew...

Zanim słońce wzejdzie nad stepem — odezwą się armaty, zatrzeszcza karabiny maszynowe i setki ludzi, zaskoczonych atakiem, przyjmą na swoje ramiona stal i ogień rzucany przez nowego, nieoczekiwanego wroga. Ech, ta noc w parowozie i ta śmierć, która mknie na stalowych kołach! Czy oni tam słyszą jak przeciągle i żałośnie zawodzi syrena: „Chroń się... Chroń się... Chroń się...” I czy widzą jak pożerając wiorsty, lecą do nich na skrzydłach — męki, rozpacz i śmierć?... Czy ktokolwiek domyśli się — kiedy upłyną dziesiątki, setki dni — czy dowie się, kim było tych dwóch przy maszynie: niewolnicy czy zdrajcy? Więźniowie czy Judasze?...

„Łuk... Wzniesienie... A potem — jeszcze dwadzieścia minut...”

—No, dosyć! — krzyknął Gawriłow, przywierając do wodo- wskazu.

Rusanycz spostrzegł nagły skurcz pełznący po twarzy starego.

„Tchórz dziadka obleciał” — pomyślał, nie odwracając wzroku od Gawriłowa, a ten, uniósłszy obwisłą brew, pochwycił to czujne, niespokojne spojrzenie.

„Widzisz go, fajtlapę! — przemknęło przez głowę starego. — Z babami to odważny, a tutaj... pękł”.

Przez krótką chwilę czujnie, z uporem wpatrywali się w siebie. Nagle drętwiejąc, poczuli niemal jednocześnie, że tę grozę, która zwróciła do nich swoją twarz można pokonać tylko jednym, jedynym... I, jak gdyby zapominając o maszynie, w tej samej chwili wychylili się przez okna.

Rusanycz zobaczył lecące na boki ogniste płatki, a tam wysoko, na czarnym niebie, błękitne gwiazdy. Gwiazdy, jak zawsze, przepojone były zadziwiającą siłą i mówiły o słodkich, cudownych snach. Raz sięgnąwszy do nich wzrokiem, człowiek już zawsze będzie udręczony oczekiwaniem na szczęście. Coś nieskończenie radosnego, co tliło się w nim od młodości, spłynęło teraz i na Gawriłowa.

„Jutro, tak jak wczoraj, jak przed tysiącami lat, będą świecić i radować ludzi, a my ich już nie zobaczymy...”

Rusanycz i Gawriłow myśleli o tym samym, kiedy ich twarze znów

spotkały się nad paleniskiem.

Oczy wyrażały zakłopotanie. Nie było wyjścia, nie można było odstąpić ani w prawo, ani w lewo; wszędzie czyhała świadomość, że żyć, tak jak dawniej, czy też po prostu — żyć, już nie będzie można po tym, co zdarzy się na froncie tej nocy.

—A żeby was szlag trafił! — wycedził Gawriłow. Chwycił miotłę, szurnął obok paleniska i zaklął, rzucając ją w kąt.

—Tu nie miotła zawiniła! — powiedział Rusanycz, stawiając ją na miejsce.

Stary, odwracając wzrok, zerwał czapkę z głowy.

—Żyć, przecież, każdy chce — wyrzekł spokojnie, wkładając coś do czapki — i każdemu jego los pisany... Rozumiesz?

Rusanycz cofnął się, ale stary upierał się przy swoim:

—A ty się nie wykręcaj! — Ciągniemy i — koniec z tym... Może nie tobie pisane!

Parowóz posapując, wspina) się na górę. W czarnych prześwitach pobłyskiwały iskry. Niesiony przez wiatr ostry, gorzkawy zapach piołunu nappełnił budkę.

Oficer drzemał wsparty na rękojeści szabli. Co jakiś czas wstrząsał się, unosił głowę, a potem znów pogrąża) się we śnie. A oni stali naprzeciw siebie i z kolejarskiej czapki ciągnęli swój los: dwie miedziane blaszki, jedna z nacięciem, druga — gładka.

Rusanycz sięgnął pierwszy. Stary spojrzał w kąt budki.

—Z nacięciem... — powiedział cicho pomocnik. Wargi mu zadrgały, na czoło wystąpiły krople potu.

—Znaczy, ty! — Gawriłow szybko odwrócił wzrok, jakby w obawie, że chłopak spostrzeże zbyt wiele. — Co zrobić: ty!

Rusanycz milczał. W słabym, drgającym świetle paleniska widać było lodowatą bladość, która wolno pokrywała jego spoconą twarz.

—A ty weź się w garść! — rzucił ze złością stary i zaczął objaśniać, co i jak. wskazując ręką to na wodowskaz, to na dźwignie.

Rusanycz słuchał i patrzył nieprzytomnie.

— Zrozumiałeś? — stary szarpnął go za rękaw.

Rusanycz podniósł oczy w ciemnych zakolach.

— Zrozumiałem!

— No to... co z tobą! — głos Gawriłowa zadrżał.

— Nic, nic! Idźcie już.

—No dobra, pójdę... Wyskoczyć łatwo... — mamrotał stary, starając się pochwycić spojrzenie Rusanycza, ale ten — daleki i posępny — błędził wzrokiem gdzieś po kątach.

—Idź już! — powtórzył, a potem krzyknął nagle z rozwartymi szeroko oczami: — Teraz, już, teraz!

— Ano, twoja sprawa — wybełkotał pośpiesznie stary i wyciągnął ręce. — No, to żegnaj!

— Żegnaj — bąknął Rusanycz i, nie patrząc na maszynistę, jakby nie spostrzegł jego rąk, sięgnął dłonią do sygnału.

Niezmierna żałość ścisnęła serce starego. Stał śledząc ruchy Rusanycza i walczył ze sobą. Słysząc było ciężki, jak uderzenia młota, oddech maszyny. Za oknem, niby chmura ognistych much, leciały iskry.

210

„U-a-a...” — przeciągle, dziko zawył parowóz pod dłonią Rusanycza.

Skończyło się wzniesienie.

—No, daj! — Gawriłow zbliżył się do pomocnika i odepchnął go od przyrządów.

Rusanycz drgnął, obejrzał się zdziwiony, jakby wrócił z odległego, jemu tylko znanego świata.

— Słyszysz! — krzyknął stary. — Te blaszki... skłamały!

Rusanycz ciągle nie rozumiał.

— Niczego tu sam nie zrobisz... — ciągnął, gorączkując się Gawriłow. — Też mi mechanik, widzisz go!...

— A ty, co właściwie! — Rusanycz uniósł głowę. Pojął w końcu zamiar starego. — Do diabła... chcesz się pastwić nade mną?!

Słowa uwięzły mu w gardle. Na starej, spopielalej twarzy maszynisty widział tylko spokój podjętej decyzji. Ta twarz mówiła mu o życiu, pozwalała jemu, skazanemu wcześniej na śmierć, żyć... „Życ... żyć...

żyć...” — zadźwięczało w nim, rozlegając się na wiele głosów. Zaczepnie, głosem pełnym urazy, ale już bez wiary w to, co mówi, dodał:

— Czy tak można? Wypadło na mnie... Cóż to ja, gorszy jestem, czy co?

Gawriłow przerwał mu:

— Dość już! Kto tu jest gospodarzem?

Kiedy spostrzegł w wilgotnych oczach Rusanycza nadzieję i urazę, dodał łagodniej:

— A ty... ty się nie stawiaj... Wiem, nie jesteś taki, żeby..., Zrozum, coś mi po tym! Ja, przecież, tak, czy tak... Mnie już do ostatniej stacji niedaleko: dzień wcześniej, czy dzień później — i tak jedno pisane!... A przed tobą jeszcze sporo drogi... Jasne?

Rusanycz nie mógł wymówić ani słowa.

— A w ogóle, tu trzeba mądrze, wprawnie. Pojeździsz tyle, co ja — będziesz wiedział!... Ja, widzisz, wszystkie jego kaprysy przemogłem, tego mojego rumaka, a ty... co? Ty myślisz, że bym odszedł?... Nie żartuj! Ja od niego i tak odejść nie mogę...

Był rozgorączkowany, niespokojny i mówił coś jeszcze o parowozie, o sobie, ale Rusanycz rozumiał go i bez słów.

Kiedy wkrótce potem oficer, wyrwany z drzemki, uniósł głowę, zobaczył widok, który nappełnił go zdziwieniem: maszynista i pomocnik trwali w uścisku całując się. Robili to w skupieniu, z namaszczeniem, chyląc głowy to ku jednemu, to ku drugiemu ramieniu.

„Upili się czy jak?” Splunął z odrazą, a potem pomyślał trwożnie: „Żeby tylko nie wyszła z tego jakaś bieda!”

Wtedy, najpewniej, przedstawił sobie jutrzejszy ranek, nowe grożące mu niebezpieczeństwa, a w końcu machnął ręką:

„Do diabła! I tak wszystko jedno...”

Ucichł, opanowany przez nieznośną senność. Dopiero w ostatniej minucie, kiedy parowóz z gwałtownym łoskotem staczał się z pochyłości, odczuł poprzedni niepokój. Zauważył, że płowowłosego palacza gdzieś zniknęło, a maszynista stoi samotnie obok swoich dźwigni wyprężony, niby wartownik przed beczką prochu. Zmagając się z opanowującą go na nowo drzemką, dostrzegł jeszcze, jak stary skulił się i chciwie popalał skręta trzymanego w

drżących palcach.

Oficer nie zdążył ujrzeć końca. Niemal bezdźwięcznie buchnęło ogniem, a potem wszystko dokoła pociemniało.

Rusanycz wyskoczył na zwolnionym biegu. Pobiegł w ślad za pociągiem, ale kiedy był na szczycie wzniesienia, rozgwieżdżone sklepienie runęło, sterty piasku z nasypu opadły w dół, niczym popiół z papierosa, a na wpół zgniły słup wiorstowy osunął się po pochyłości. Rusanycz potknął się, upadł, przywarł mocno twarzą do drewnianego podkładu i zaszlochał.

VI

W Sołonecznej w sali pierwszej klasy, na stołach pośpiesznie zestawionych tak, by tworzyły prycze, leżeli obok siebie przykryci czerwonym płótnem: komendant, kierownik prodbazy, telegrafista z krótko ostrzyżoną głową i strażnik ze stacji. Twarze mieli zachmurzone, wokół ust zastygły woskowe bruzdy, oczy były jakby na wpół zamknięte. Rozpostarte ramiona trwały w tym samym położeniu, w jakim zastała je śmierć.

Samotny wartownik z czerwoną kokardą na piersi stał u wezgowia i, jak urzeczony, nie odrywał oczu od głowy komendanta. Przeciętą uderzeniem szabli ściągnięto bandażami, a martwa krew przesączała się przez płótno.

W sali, chodząc na czubkach butów, balansowali, niczym na lodzie, uzbrojeni żołnierze. Tłoczyli się na peronie i zapełniali plac za mizernym skwerem z akacjami.

Wiadomość o katastrofie pociągu białych została przekazana do Sołonecznej ze sztabu brygady, a stamtąd, pochwycona przez telegrafy innych stacji, w ciągu kilku godzin obiegała cały okręg.

Do Sołonecznej przybywali ludzie.

Była tu piechota w pełnym uzbrojeniu, dopiero co sprowadzona z północy wprost ze zdobytego i umocnionego rejonu, a także kawaleria, która pokonała nocą wiele wiorst. Posuwała się śladami wroga i nie spotkała się z nim tylko dlatego, że w Sołonecznej oddział białych kozaków i Niemców przesiadł się do wagonów.

Oczekiwano nowego składu z ciężką baterią, który powinien nadjechać w każdej chwili bocznym torem.

Kiedy poczerwieniałe od mitręgi stepowe słońce sięgnęło połowy nieba i

rozjaśniło białe wzgórza nad rzeką, wzburzenie ludzi w Sołonecznej było u szczytu.

Piechurzy zapelniali drogi, ciągnąc na przemian tam i z powrotem, za dworcem, na bazarze tłoczyli się mundurowi przemieszani z wieśniakami. Nad skwerem unosiły się pohukiwania nieprzebranego tłumu. Stojąc na poręczy i trzymając się ręką sęka uschniętej wierzby, przemawiał do zebranych komisarz polityczny oddziału piechoty. Był w krótkiej obcisłej koszuli w ochronnym kolorze, u pasa zwisała ciemna kabura. Z twarzy, ospowatej i czerwonej jakby rozgrzało ją ciepło łaźni, skapywał pot. Małe oczka tryskały uniesieniem i zachwytem, a wolna lewa ręka, zwinięta w kulak, nieustannie siekła powietrze. W rozprażony przez słońce tłum ziejący zaduchem gorących spoconych ciał sypały się, niczym palone orzechy, wartkie, namiętne słowa:

— ...Oni nas w plecy, a my ich — w serce... Dalej, powstawajcie do walki... Baby — do pługów, a wy — za karabin!...

Tuż obok w pobliżu zrujnowanej altanki, przy trójnogim stoliku odbywał się zapis ochotników. Były wśród nich zupełne niedorostki w czapkach przekreślonych na bakier; byli i tacy, których brody pokryła siWizna.

Torując sobie drogę pośród zielonych koszul, wszedł na peron dyżurny ruchu. Odezwał się dzwon.

Spoza składów wjeżdżał wstrząsając ziemię parowóz, a za nim — wagony. Wielkie purpurowe płótno powiewało z tenderu. Ludzie w wagonach machali rękami, wykrzykiwali „Hura”.

— Z Miodowej... stacyjni! — zawołał do tłumu wagonowy Zakutny i ruszył, przepychając się łokciami, w stronę peronu. A z wagonów, trzaskając karabinami, wyskakiwali ludzie odziani w bluzy. Gdzieś na przodzie zahuczała orkiestra.

— Nasi! Ochotnicy! — krzyczał w biegu Zakutny zachłystując się ze wzruszenia. — Nasi!...

Mało kto go słuchał, a on wciąż pokrzykiwał, jakby obwieszczał coś wielkiego i radosnego przed czym wszystko pozostałe winno było zblednąć:

— Nasi! Parowozowi...

Później zajrzał do sali, przeżegnał się spojrzawszy na nieboszczyków,

próbował dostać się do pomieszczenia telegrafu, w końcu zawrócił w stronę skweru, ale po drodze przysiadł na słupie.

Siedział ocierając pot i słodko się uśmiechał. Pod nogami zieleniła się niezniszczalna trawa. Zdeptana tej nocy końskimi kopytami rozprostowywała już swoje sztywne ramiona i każde jego żdźbło uparcie pięło się ku słońcu.

Stary tkliwie zbliżył rękę do zielonej łodyżki.

— Życia w tobie dużo, matuchno... A bo też i całkiem jesteś jak z żelaza!...

A w stronę dworca zewsząd nadbiegali ludzie. Orkiestra wznosiła ku niebu swój tubalny, miedziany śpiew, a ci, którzy przybyli z Miodowej, śpiesznie ustawiali się wzdłuż peronu.

1924

Tłumaczyła Małgorzata Gulbinowicz-Urbańska

Aleksander Serafimowicz

Dwie śmierci

Do sztabu Rady Moskiewskiej zgłosiła się szarooka dziewczyna w chustce na głowie.

Niebo było październikowe, pochmurne. Po mokrych dachach, między kominami czołgali się junkrzy, strzelając z karabinów do nieostrożnych na placu Rady.

— Chciałabym w jakiś sposób przysłużyć się rewolucji — powiedziała dziewczyna. — Na sanitariuszkę nie bardzo się nadaję, a zresztą macie ich dość. Walczyć z bronią w rękę nigdy nie próbowałam, więc pewnie też nie potrafię, ale gdybyście dali mi odpowiednią przepustkę, mogłabym wam dostarczać informacji o junkrach.

Mężczyzna o policzkach zapadniętych od nie przespanych nocy i suchot, w skórze zatłuszczonej smarami i z mauzerem za pasem świdrował ją przenikliwym spojrzeniem.

— Jeśli nas zdradzicie, rozstrzelamy — rzekł. Rozumiecie? Jak będzie wpadka, rozstrzelają was tamci. Jak wywieźcie nas w pole, to my rozstrzelamy.

— Wiem.

— Rozważyliście wszystko jak należy?

Dziewczyna poprawiła chustkę na głowie.

-4- Dajcie mi tylko przepustkę i zaświadczenie, że jestem córką oficera.

Kazano jej poczekać w sąsiednim pokoju, przy drzwiach postawiono wartownika.

Za oknami na placu znowu rozległy się wystrzały, przetoczył się junkierski samochód pancerny. Postrzelał, odjechał.

— Diabli ją wiedzą. Niby sprawdziłem, ale pewności nie ma — mówił towarzysz o twarzy suchotnika. — Oczywiście, może zawieść. No, ale

gdyby nawet, to przecież za dużo o nas tam nie nagada. A jak złapiemy na gorącym uczynku, to rozwalimy.

Dostała papierki, o jakie prosiła, i poszła na Arbat, do szkoły aleksandrowskiej.* Czerwonoarmistom na rogach ulic okazywała otrzymaną przepustkę. Dochodząc do Znamienki ukryła przepustkę czerwonych. Otoczyli ją junkrzy i zaprowadzili na portiernię.

— Pragnę zostać sanitariuszką. Mój ojciec poległ na wojnie z Niemcami, podczas odwrotu Samsonowa. Dwaj bracia zginęli także, nad Donem w oddziałach kozackich. Zostałam sama z małą siostrzyczką...

— Znakomicie. Cieszymy się. W naszej trudnej walce o Wielką Rosję sprawia nam radość szczerą pomoc każdego szlachetnego patrioty, a tym bardziej córki oficera. Pani pozwoli...

W pokoju gościnnym podejmowano ją herbatą, gdy tymczasem oficer dyżurny instruował stojącego przed nim junkra:

— Przedostaniecie się, Stiepanow, w przebraniu robotnika na Pokrowkę. Oto adres. Wywiecie się wszystkiego o pannicy, którą tu gościmy.

Stiepanow poszedł wykonać rozkaz. Wdział płaszcz z krwawą dziurą na piersi, dopiero co zdjęty z zabitego robotnika. Wciągnął jego spodnie, wзуł podarte buty, wcisnął czapkę na głowę i o zmierzchu wyruszył na Pokrowkę.

Na Pokrowce jakiś ryży, zarośnięty człowiek z rozbieganymi oczkami, poświadczył:

— Mieszka tutaj jakaś pod dwójką. Z siostrzyczką. Burżujka, diabła warta.

— Jest może u siebie?

— Od rana jej nie ma. Musi być, że aresztowali. Córka sztabskapitana, cholera. A wy co za interes do niej macie?

— Tu taka jedna z naszej wioski za służącą u niej była. Pogadać chciałem z krajanką, ale jak tak, to pójdę. Bywajcie!

Nocą, po powrocie z posterunków, junkrzy zajęli się troskliwie szarooką dziewczyną. Znalazło się nawet ciasto i cukierki. Ktoś brzdąkał na fortepianie, ktoś inny na klęczkach wręczył jej bukiet.

— Zgnieciemy tę całą chamską hordę. Dołożyliśmy im tego, a jak jutro w nocy zaatakujemy od Rynku Smoleńskiego, to pierze polec!

Rankiem zaprowadzono ją do lazaretu, gdzie miała opatrywać rannych.

Przechodząc obok białego muru zauważyła robotnika leżącego z odrzuconą głową pod ścianą, miał różową perkalową koszulę, zabłocone buty, zdarte podeszwy, nad lewym okiem niewielki czarny otwór.

— Szpieg — mruknął wzgardliwie junkier, nawet nie spojrzawszy w tamtą stronę. — Schwytaliśmy go.

Dziewczyna przez cały dzień uwijała się w lazarecie, a była przy tym tak zręczna i delikatna, że ranni z wdzięcznością patrzyli w jej szare oczy, obramowane ciemnymi rzęsami.

I — Dzięki, siostrzyczko.

Następnej nocy zwolniła się do domu.

— Cóż znowu! Niechże pani pomyśli, jakie to niebezpieczne! Na wszystkich rogach stoją warty. Opuści pani naszą strefę, zaraz złapią chamy albo postrzelą bez dania racji.

— Pokażę im przepustkę, jestem osobą cywilną. Nie mogę inaczej, siostrzyczka sama, Bóg wie, co z nią. Serce boli...

— No tak, mała siostra. Tak, oczywiście. W takim razie wyślę dwóch junkrów, odprowadzą panią.

— Och, nie! — z przestraczem uniosła ramiona. — Sama pójdę. Sama. Nie boję się niczego.

Przyjrzał się jej badawczo.

—Ta-ak... No cóż, niech pani idzie.

„Różowa koszula, odrzucona głowa... nad okiem ciemna dziura...”

Dziewczyna wyszła z bramy i natychmiast pochłonął ją ocean ciemności — ani światelka, ani półcienia, ani żadnego dźwięku.

Ruszyła na przełaj przez plac do Bramy Arbackiej. Towarzyszył jej krąg czerni, w którym rozróżniała swoją sylwetkę. Poza tym nic

— tylko ona jedna na całutkim świecie.

Nie było lęku, strachu, tylko ogromne wewnętrzne napięcie...

Dawno temu, w dzieciństwie, podczas nieobecności ojca zakra dała się do jego pokoju, zdejmowała z dywanu nad łóżkiem gitarę, sadowiła się wygodnie i zaczynała brzdąkać, coraz bardziej dokręcając kolek. I coraz cienie, coraz wyżej, coraz żałośniej jęczała struna. Cieniutki, przeszywający

serce pisk — pi, pii, pii... Och, pięknie, nie wytrzyma dłużej! Mrówki przebiegały po krzyżu, na małym czole perliły się kropelki potu. I podniecające, z niczym nieporównywalne uczucie rozkoszy.

Szła przez gęsty mrok bez strachu, tylko na coraz wyższym tonie wibrowało w niej to pi, pii, pii... I na tle nocy niewyraźnie rysowała się jej ciemna postać.

Wyciągnięta nagle ręka dziewczyny natrafiła na mur. Przerazenie rozlało się po całym ciele bezwładem i jak w dzieciństwie pot zrosił czoło. Co to za mur, tu powinno być ogrodzenie bulwaru... Zmyliła drogę? Nic się nie stało — lada moment znajdzie kierunek... A zęby szczękały od niepohamowanych dreszczy. Ktoś pochylał się nad nią i szeptał drwiąco:

— To początek końca... nie rozumiesz? Wydaje ci się, że zabłądziłaś, a to już począ...

Nieludzkim wysiłkiem woli zmusiła się do myślenia — z prawej Znamienka, z lewej bulwar... Widocznie znajduje się między nimi. Znowu wyciągnęła rękę — słup. Telegraficzny? Z walącym mocno sercem uklękła, obmacała ziemię, palce dotknęły zimnego, mokrego żelastwa... Krata, ogrodzenie, bulwar! Ulżyło natychmiast. Dźwignęła się z klęczek i ... zadrżała. Wszystko wkoło wirowało, zamglone, niewyraźne, znikало sprzed oczu i wyłaniało się na powrót. Wszystko wirowało — domy, mury, drzewa. Słupy trakcyjne i tramwajowe szyny ruszały się, krwawoczerwone w krwawoczerwonej ciemności. I ciemność pulsowała mętą czerwienią. I chmury także płonęły jak krew.

Zmierzała tam, skąd napływała czerwona luna, szła do Bramy Nikickiej. Dziwne, czemu dotąd jeszcze nikt jej nie zawołał, nie zatrzymał, chociaż w czerni wrót i bram, na rogach — wiedziała o tym

— czaili się wartownicy, którzy nie spuszczaali jej z oka. Widać ją jak na dłoni, gdy idzie oblana purpurowym blaskiem, idzie pośród płomieni. *

Szła spokojnie, ściskając w jednej ręce przepustkę białych, w drugiej czerwonych. Kto zażąda, temu pokaże odpowiedni papierek. Wokół pustka, buzująca niezmordowanie żałobnoczerwonymi, bez głośnymi płomieniami. Na Nikickiej także potworny ogień. Jego rozwścieczone języki wpijały się w niskie, purpurowe chmury, a po

purpurowych chmurach przewalał się purpurowy dym. Olbrzymi dom widmowo świecił upiornym, oślepiającym blaskiem. W rozżarzonego światła wszystko z oszalałym dygotem unosiło się ku chmurom, tylko niczym nieruchomy szkielet czerniły się belki, szyny, ściany. Tym samym opętańczym blaskiem przeświecone były na wylot otwory okien.

Do chmur wlatywały iskry z piór czerwonego kura, niósł się tam łoskot i nieprzerwany gorączkowy szept, zagłuszający wszystko wokół.

Dziewczyna obejrzała się za siebie. Miasto tonęło w mroku. Miasto z niezliczonymi gmachami, dzwonniami, placami, skwerami, teatrami, urzędami[^] znikło. Przeistoczyło się w ogrom ciemności. A w nim — milczenie, a w milczeniu — tajemniczość. Tylko patrzeć, jak wybuchnie coś, co nie ma nazwy.

Ale cisza trwała, a w niej trwało oczekiwanie. Dziewczynę ogarnęła zgroza. Zrobiło jej się gorąco, ruszyła na ukos. Gdy dochodziła do najbliższego rogu, wynurzyła się stamtąd przysadzista sylwetka. Błysnął bagnet.

* Dokąd? Coś ty za jedna?

Przystanęła, spojrzała, zapomniała, w której ręce jaka przepustka. Sekunda wahania przeciągała się, więc lufa wartowniczego karabinu została uniesiona na wysokość jej piersi.

Cóż to? Chciała wyciągnąć prawą rękę, a nieoczekiwanie dla siebie samej kurczowo wyciągnęła lewą. Była w niej przepustka jun- krów.

Wartownik odstawił karabin i nieposłusznymi palcami jął niezręcznie rozprostowywać papier. Wstrząsnął nią drobny, nigdy dotąd nie zaznany dreszcz. Gdzieś z tyłu z trzaskiem wystrzelił snop iskier, rzucił nagle światło... Szorstka dłoń trzymała przepustkę białych do góry nogami.

„Och, analfabeta!”

— Masz.

Ścisnęła przeklęty paperek.

— Gdzie idziesz? — rzucił w ślad za nią.

— Do sztabu, do Rady.

W sztabie wysłuchano jej uważnie: informacje były bardzo cenne.

Rozmawiano przyjaźnie, życzliwie wypytywano o wszystko. Towarzysz w skórze, chory na suchoty, uśmiechał się życzliwie.

— Zuch dziewczyna! Uważaj, nie wpadnij!

0 zmierzchu, gdy przycichła nieco strzelanina, znów poszła na Arbat. Do lazaretu wciąż zwożono i zwożono rannych. Atak jun- krów od strony Rynku Smoleńskiego został odparty — ponieśli klęskę.

Całą noc dziewczyna ze zmęczoną, wymizerowaną twarzą opatrywała, poiła, poprawiała bandaże i biegły za nią spojrzenia rannych pełne niemej wdzięczności. O świcie do lazaretu wpadł junkier bez czapki, w robotniczym przebraniu, rozczochrany i wykrzywiony ze złości. Dосkoczył do sanitariuszki.

— To ona... to ta... dziwka... zdradziła!

Cofnęła się, zbladła jak płótno, ale zaraz jej policzki zakwitły rumieńcem.

— Wy... wy mordujecie robotników! krzyknęła. — Chcą się wyrwać ze strasznej niewoli, a ja... ja nie umiem z bronią w ręku, więc tak was zabijałam!

Poprowadzili ją pod białą ścianę, i tam posłusznie upadła z dwiema kulami w sercu, upadła na tym samym miejscu, gdzie leżał robotnik w perkalowej koszuli.

1 dopóki nie uprzątnięto ciała, jej szare oczy obramowane ciemnymi rzęsami wciąż patrzyły w październikowe, pochmurne i surowe niebo.

Tłumaczyła Bożena Kłog-Gogolewska

Konstantin Fiedin

Koniec świata

i

—Ach, czy to nie wszystko jedno, jaki bioskop! Zresztą w gruncie rzeczy nie o bioskop chodzi — zawołał Porfirij Maksymowicz.

Zawołał i nieoczekiwanie dla samego siebie chwycił Miłoczkę za rękę, przycisnął ją mocno, bardzo mocno do piersi, tak że poczuł ból od wtłoczonych guzików i właśnie w tym uniesieniu, nieomal w zapamiętaniu, nie czując schodów pod nogami, runął w oślepiającą przepaść.

I nie odpowiedziałby Porfirij Maksymowicz za żadne pieniądze, co się z nim w tej przepaści działo. Pamiętał tylko, że mu się w głowie kręciło od zapachu rezedy i od tchnącego mu w twarz rozpalonego oddechu Miłoczki, pamiętał, że kupił dużą tabliczkę „Gala Peter” i zjadł całą ze wzruszenia, a potem razem z Miłoczką śmiał się z samego siebie.

A przy wyjściu z kinematografu spłynęła na niego fala dusznej nocy i wyszeptał zupełnie zmorzony:

—Boże, Boże, cóż to się dzieje?

I jak figlarnie spojrzała na niego Miłoczka i zapytała:

—No, proszę opowiedzieć, jakie pan widział obrazy?

A on śmiał się i zmyślał, i plótł androny, jakby nigdy nie był urzędnikiem w siódmym stopniu służbowym i jak gdyby dopiero co skończył gimnazjum. I jeden raz tylko, śmiejąc się i przytulając do Miłoczki, odwrócił się niby niechcący i zdażył odczytać radosny napis świetlny.

—„Record”. .

Wzruszający ten wieczór zakończył się bardzo czule i błogo przy bramie domu, w którym mieszkała Miłoczka. Porfirij Maksymowicz musnął ciepłą, pulchną rączkę swojej wybranej, a ona rzuciła mu w twarz

gałązkę wonnej rezedy i znikła za furtką jak spłoszone zwierzątko. A furtka zgrzytnęła zawiasami i trzasnęła o bramę na całą ulicę.

Tak się tej nocy szczęściło Porfirijowi Maksymowiczowi, że zaledwie oddalił się o dwie czy trzy ulice od mieszkania Miłoczki, dostrzegł na rogu, pod samą latarnią restauracji, zupełnie nową dziesięć- ciokopiejkówkę i schował ją do kieszeni. Sam zaś nie szedł i nie biegł, i nawet nie pędził, lecz wprost leciał jak pilot, i to bez najmniejszego uczucia strachu czy niebezpieczeństwa. Bo i jakież może grozić niebezpieczeństwo człowiekowi, który nie ma żadnych wątpliwości?

A chociaż nie zdarzało się nigdy, aby Porfirij Maksymowicz poskapił żebrakowi jałmużny, tym razem jednak, kiedy otarł się o żebraka, nawet się nie zastanowił, dosłownie rozczuliła go dobroć własnego serca i dał żebrakowi dziesięć kopiejek. W porę jednak przypomniał sobie, że te dziesięć kopiejek jest ową szczęśliwą monetą, którą znalazł pod latarnią restauracji i że oddać ją — to znaczy odtrącić własne szczęście. Szybciej niż pilot pofrunął z powrotem, dogonił żebraka, wymienił swoje szczęście na piętnastokopiejkówkę i bez tchu — do siebie do domu, na czwarte piętro, do pokoju.

Stamtąd krzyknął do gospodyni:

— Oczywiście, żenię się! — opadł na fotel, przycisnął do warg rezedę Miłoczki i tak bez ruchu przesiedział dobre pół godziny.

Kiedy zaś oprzytomniał, począł chodzić po pokoju, wstawił rezedę do kufla od piwa, usiadł przy biurku i pograżył się we wspomnieniach. Wszystko sobie przypominał i doprowadził myśli do jakiego takiego ładu, a potem wyjął z biurka notatnik niebieściutki, malutki na pół dłoni, z wyciśniętym na okładce słowem: „Notes”, otworzył na czystej stronie, zastanowił się chwilę, po czym zapisał drobnym jak paciorki pismem:

To były sprawy najświeższe, ale wszystko, co się zdarzyło od rana, spowite w jakąś mgłę odpłynęło dokądś i musiał się dobrze zastanowić, nim sobie przypominał;

„Record” z Miłoczka „Gala-Peter” Rezeda

80 kop. 60 kop. 55 kop.

Mydło i szczotka do zębów ... 75 kop.

Zapomniany dług (Pisarenko) . 40 kop.

Pracze.....78 kop.

Porządek był nieco inny, pracze za bieliznę bowiem zapłacił Porfirij Maksymowicz z samego rana i już miał zamiar wziąć gumkę, aby przepisać wydatki we właściwej kolejności, kiedy wypłynęło przed jego oczami figlarne spojrzenie Miłoczki, więc zaśmiał się, machnął ręką i powiedział głośno:

—Wszystko jedno. Dzisiaj wszystko jedno... Kochana!

I znowu wziął ołówek i po prostu napisał.

.....15 kop.

z wielokropkiem przed cyfrą, albowiem nigdy Porfirij Maksymowicz nie był próżny i nawet przed notesikiem ukrywał swoje dobre uczynki. Za to na czystej stronicy, tam gdzie zapisywał wpływy i dochody, wykaligrafował wyraźną cyrylicą, że takiego dnia o takiej godzinie i w tym miejscu znalazł dziesięć kopiejek. Dziesięciokopiejkową monetę zaś, aby przypadkiem jej gdzieś nie wydać, jak się to zdarzyło niedawno, owinał w papier i schował do portmonetki w osobnej przegródce.

Wreszcie wstał zza biurka i poszedł spać, uprzednio jednak postawił u wezłównia kufel z rezedą.

II

Tak się czasem galopuje na koniu! Człowieka ogarnia strach, ma ochotę zatrzymać konia, zahamować oszalały pęd, ale tylko podskakuje na siodle, pohukuje i pędzi na złamanie karku.

Porfirij Maksymowicz Pirożkow pędził na złamanie karku.

Nazajutrz po słodkim upojeniu w „Recordzie” wytrwale biegał po mieście i niemało widział tego dnia drogich rzeczy, na które dotychczas nie śmiał rzucić okiem. O zmierzchu wstąpił do domu, by się przebrać, a wieczorem udał się dorożką do Miłoczki.

I tak subtelnie pokierował sprawą, że u Miłoczki wszyscy byli z niego niezwykle zadowoleni, zwłaszcza kiedy przyniesiono z kwaciarni bukiet i Porfirij Maksymowicz zapłacił posłańcowi w przedpokoju.

I chociaż nic jeszcze nie zostało powiedziane i wszystko odbywało się nader godnie, tak się jakoś stało, że przed rozstaniem Pirożkow znalazł się sam na sam z Miłoczką i tak samo jak przy bramie — nie, znacznie czulej —

ucałował jej pulchną rączkę.

Nie sposób było pojąć, nie sposób przypomnieć sobie, gdzie się podziały siedemdziesiąt cztery kopiejki, których Porfirij Maksymowicz nie mógł się dorachować siedząc u siebie przy biurku przed założonym ołóweczkiem notesem. Męczył się, męczył i nie przypominał sobie, więc zapisał:
Nie wiadomo gdzie. 74 kop.

Uśmiechnął się sam do siebie z dobrocią i wyrozumiałością.

— Na śmierć zakochany!

Niepohamowany był galop straszliwego konia i nigdy dotąd błękitny notesik nauczyciela gimnazjalnego Pirożkowa nie zetknął się z takim marnotrawstwem swego właściciela, nigdy nie posądzał go o taką lekkomyślność, jaka się ujawniła w czasie tych zdumiewających, zaprawdę, zdumiewających dni. Galopował Porfirij Maksymowicz nie oglądając się na nic i coraz częściej zjawiały się w jego zeszyku niewybaczalne dla normalnego człowieka notatki:

Nie wiem, gdzie. .1 rb. 02 kop.

Zdaje się, że zgubiłem na pocztce . 20 kop.

Kiedy zaś wybuchła gorączka weselna, a wybuchła bardzo szybko, ponieważ trzeba było się pobrać przed świętem Wniebowzięcia, wyasygnował Porfirij Maksymowicz na ślubne wydatki grubszą sumę

1 postanowił zdecydowanie nie wchodzić w szczegóły, lecz jasno i krótko zapisać w zeszycie globalną sumę wydatków weselnych. Suma ta jednakże rozplynęła się przed określonym terminem i Porfirij Maksymowicz zmuszony był znowu wziąć do rąk notesik. W żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego jeszcze teraz, po ślubie, równe linijki rażą tymi samymi niewybaczalnymi zwrotami:

Widocznie zgubiłem 50 kop.

W trzecim dniu szczęśliwego pożycia małżeńskiego Porfirij Maksymowicz nie wytrzymał i zapytał żony:

224

— Miłoczka, jakoś nie mogę się dzisiaj doliczyć, nie brałaś o4t mnie nic?

Miłoczka nazwała go buchalterem, a on odpowiedział żartobliwie i pouczająco:

— Życie powinno się zawsze budować na realnych możliwościach. Bez rachunku nie ma szczęścia.

I tylko na jedną chwilę Miłoczka popadła w zamyślenie, albowiem natychmiast poczuła śmiertelny przypływ czułości do Porfirija Maksymowicza.

Czy warto mówić o tym, że Porfirij Maksymowicz doprowadziłby wszystkie swoje myśli do zupełnego porządku, wyzbyłby się wszelakiej niejasności w notatkach i osiągnąłby to w krótkim czasie, gdyby nie stała się rzecz zupełnie nieprzewidziana. Właściwie stało się to nawet nie z nim, lecz jakoś ponad nim, wbrew niemu, spadło skądś z drugiego końca świata.

Słowem, w tydzień po ślubie Porfirij Maksymowicz wpadł do swego pokoju blady i zmiętoszony, jakby przejechała go kareta. Wpadł i bez tchu wypalił:

— Miłoczka! Przecież ja jestem porucznikiem rezerwy!

Miłoczka nic nie zrozumiała, ale przeraziła się okropnie i wciąż tylko głaskała dłonią ogolony policzek Porfirija Maksymowicza.

A on nagle zrozumiał, że porucznik rezerwy to nie są słowa, które trzeba było powiedzieć, i że istnieje inne słowo, znacznie bardziej przerażające, które w rozpacz z siebie wycisnął.

Wtedy Miłoczka cicho załkała.

III

Wszystko się odmieniło.

Bez broni, wymiętoszeni, rozczochrani, wychudli, wałęsali się z baraku do baraku, wytrzeszczali oczy, wzruszali ramionami, sprzeczekali się. Trudno było zrozumieć, jak się tutaj znaleźli wraz ze sztabami, generałami, z całym prawowiernym rycerstwem.

Sarkali, zrzedzili, tonęli w kłótniach, szukali winowajcy. Przez długie dni. Potem przywykli, zaczęli grać w warcaby, popijać herbatę i kraść sobie wzajemnie tytoń.

W wigilię Bożego Narodzenia uciekł z obozu cienkonogi, kościsty porucznik. Po dwóch dniach przyprowadzono go z powrotem.

Kręciły się, wirowały gwiazdki śniegu, wlażyły w szczeliny baraków, gładko

zaścielały wąskie ścieżki. Schwytany czekał na zimnie na komendanta obozu przed obitymi ceratą drzwiami kancelarii. Zgubił gdzieś czapkę, wiatr targał jego czuprynę, do kości policzkowych czarną skorupką przymarzła krew. Spływały po niej jasne łzy. Jakby ktoś wielki potrząsał ramionami porucznika i wtedy cicho uśmiechał się i ocierał rękawem oblodzone od łez wyłogi płaszcza. Do komendantury prowadzono go pod ręce. I kiedy znikł, wciąż jeszcze w szarych kwadratowych okienkach baraków tkwiły nieruchome twarze i nieruchome oczy wpatrywały się uparcie w obite ceratą drzwi.

Okazało się, że za podszewką płaszcza porucznika znaleziono zaszyty list. Był obszerny, dokładny i kończył się podpisem: „Twój cierpiący, czuły Porfirij”. Do listu dołączony był kwit:

Zobowiązuję się po przyjeździe do Rosji pożyczone mi przez porucznika Pirożkowa piętnaście marek wypłacić w walucie rosyjskiej jego żonie Ludmile Pirożkowej.

I podpis porucznika, którego schwytano.

Wieczorem odwiedziono Porfirija Maksymowicza do obozu żołnierskiego.

Leżał ten obóz daleko od miejsc zamieszkałych. Niezliczone długie baraki ciągnęły się szeregiem, jak trumny w kostnicy, i żółciły się na śniegu sągi świeżych, żywicznych desek.

— Panie Boże, daj siły, by wytrwać do końca — powiedział Porfirij Maksymowicz i wszedł za druty.

W baraku panował zaduch, nad głowami nawisła powłoka dymu, który przesłaniał i gryzł w oczy, i ciężko poruszali się w czadzie milczący ludzie.

Wielu spędzono tu ludzi, krępych i szczupłych, ogrzewali długą, wilgotną izbę swymi niemytymi ciałami, gnieździli się po dwóch na pryczy, w łachmanach, w zdeptanych starych butach, w lepkim brudzie. Ludzie zdzierali płuca, wili się w ohydny kaszlu, nie milkli ani we dnie, ani w nocy, jak gdyby barak zbudowano dla tej właśnie nie milknącej diabelskiej muzyki.

I kiedy ciemności nakryły swą czapą zacichły obóz, Porfirij Maksymowicz wślizgiwał się na wąską pryczę i kładł się obok przypadkowego sąsiada. Sąsiad leżał zrazu bez ruchu, oddech jego był gorący i równy. Potem

zaczynał żegnać się drobnymi, szybkimi znakami krzyża, jak baba, mamrocząc szeptem litanie do Najświętszej Marii Panny. A kiedy szepcząc dochodził do końca modlitwy, zaczynał od początku i wciąż żegnał się, zahaczał ręką o Porfirija Maksymowicza, żegnał się i mamrotał litanie. I tak bez końca.

Później, kiedy do diabelskiej muzyki kaszlu wplątywały się potężne fale chrapania, zapadał w ciężki sen i dręczony straszliwymi widziadłami rzucał się i zgrzytał zębami przez całą noc. Przez całą noc i noc w noc nie mógł Porfirij Maksymowicz zasnąć: przeszkadzał mu przypadkowy sąsiad. Rankiem zaś z tym niespokojnym człowiekiem nie można było się dogadać, milczał siedząc na pryczy, milczał przy obieraniu buraków, milczał przy budowie nowych trumien-baraków. Odnajdywał niezrozumiałe słowa jedynie w nocy, w upiornym śnie.

—Daj siły, by wytrwać do końca — modlił się Porfirij Maksymowicz, budził ze strachu swego sąsiada, namawiał go, by się odsunął, by się uspokoił.

—Odsunę się powiedział pewnej nocy sąsiad, zlaźł na podłogę, okrył się płaszczem, zaczął bełkotać litanie i wyszedł stukając drewniakami.

A rankiem znaleziono przypadkowego sąsiada Porfirija Maksymowicza w wychodku. Powiesił się na pasku skórzanym i zostawił kartkę, przeczytać jej jednak nikt nie potrafił: poplątane słowa były niezrozumiałe, litery poopuszczane.

Luźniej zrobiło się Porfirijowi Maksymowiczowi, odespał wszystkie ciężkie noce, nie minął jednak tydzień, jak przydzielono mu nowego sąsiada.

Ten był ruchliwy i wesoły i mówiąc wtrącał co chwila „panie szanowny”. Zbliżył się z nim Porfirij Maksymowicz, nawiązał przyjaźń. I tak mu było przyjemnie słuchać prawdziwie ludzkiej mowy.

—Trzeba to zrozumieć, panie szanowny: pan jest człowiekiem innego rodzaju, Porfiriju Maksymowiczu, to nie miejsce dla pana, panie szanowny.

Trudno się było jednak domyślić, o czym mówił pełen szacunku ruchliwy człowieczek, bowiem myśli swojej nie dopowiadał do końca, a rozmowę zaczynał za każdym razem inaczej, więc Porfirij Maksymowicz się nie nudził.

Tylko raz jeden człowieczek ten poruszył coś istotnego. Porfirijowi

Maksymowiczowi wydało się, że sama Opatrzność zesłała mu pełnego szacunku przyjaciela, aby przekazać mu tajemnicę. Oto co mu powiedział przyjaciel:

— Bardzo często myślałem o człowieku, o losie i o panu, Porfirij Maksymowicz. Takie życie jak pańskie trzeba zachować. Jest w tym sens. Uważam, że potrzebne jest pańskie życie dla potomstwa w postaci rodziny, panie szanowny. Rozumiem, jak pan kochałby rodzinę, panie szanowny...

Odbyła się ta rozmowa wiosennego dnia, kiedy odtajała ziemia, a wraz z nią ludzie, i dokoła pełno było słońca. Tego dnia Porfirij Maksymowicz otrzymał list z kraju. Miłoczka pisała mężowi, że został ojcem. Burza wstrząsnęła Porfirijem Maksymowiczem, miotała nim i serce jęczało z radości niczym wiatr kwietniowy. Szczodrze wylał Porfirij Maksymowicz to uczucie radości przed pełnym szacunku człowieczkiem, przyjaciel obdarzył go ciepłym słowem i nawet popłakał z nim razem i wyznał, że jemu samemu nie jest sądzone zaznać uczucia ojcowskiego. Wzruszyły Porfirija Maksymowicza te łzy, nie pozostało w nim nic prócz wiary w oddanie i przyjaźń i zapadły w serce tkliwe słowa: „Zachować siebie dla rodziny to rzecz nie bardzo trudna, panie szanowny. Sucha gałązka się łamie, żywa tylko się gnie. Trzeba, Porfirij Maksymowicz, z władzą nie zadzierać. W rękę władzy jest los człowieka”.

Owego wiosennego dnia Porfirij Maksymowicz zasypiał z listem na piersi, z kwietniową radością w sercu. W głowie jego przesuwaly się jak pionki tkliwe słówka: „Wytrwać do końca... Zachować siebie dla rodziny... Żywa gałązka tylko się gnie”.

. IV

Zboże czekało na żniwa. Jak bujna sierść na grzbiecie pięknego zwierzęcia, chwiały się i połyskiwały łany. Dobrze jest w takim czasie ukrywać się w polu. Prawie każdy poranek ujawniał ucieczki z obozu. Uciekali ludzie na wolność, uciekali do domu.

W baraku okna i drzwi otwarto na oścież, hula po długich sieniach suchy wiatr, kryją się w chłodnym półmroku zmordowane upałem żywe ludzkie szkielety. Leży Porfirij Maksymowicz na pryczy, podparł głowę rękami, mruży oczy na nitkę słoneczną przeciągniętą przez szczelinę w ścianie. Płyną,

przemykają za ścianą ciche cienie w odzieży jak ziemia, o twarzach i rękach jak ziemia. Oddzielił się jeden, smyknął w stronę baraku, przerwał jasną nitkę, która, łaskotała a oczy Porfirija Maksymowicza, spelzł po desce ściany na ziemię. Sły

szy Porfirij Maksymowicz, jak głucho niczym kret skrobie ręka ziemię, słyszy, jak chrzęści coś za ścianą niczym w pełnej torbie pode&tf marszu. Wyteżył słuch, wcisnął oko w szczelinę, widzi: siedzi żołnierz plecami do ściany, oparł się jedną ręką o kolano, drugą niewidocznie kopie ziemię tuż pod ścianą. Twarz brodata, spokojna, jak gdyby żołnierza opadła senność. I rzeczywiście, jakby opanowując tę senność żołnierz wstał, potupał na miejscu — ugniótł pulchną ziemię

bez pośpiechu odpłynął od baraku.

Zimno zrobiło się Porfirijowi Maksymowiczowi, ogarnęło go przerażenie, że blisko niego, tuż obok, dzieją się rzeczy tajemne.

A noc niosła nowy nie dający się opanować strach. Barak zasnął. Lampy nad drzwiami płonęły słabym, mętным światłem. Nie zmrużył oka Porfirij Maksymowicz i słyszał, jak z łóżka spelzł młodziutki kaprał, przywarł ciałem do klepiska, długo, uparcie rył miękką, rozpulchnioną ziemię. Potem coś zachrobotało głucho niczym w pełnej torbie podczas marszu, chłopak zakopał norę, wpelzł do siebie pod płaszcz i aż do świtu słychać było, jak chrzęszczą twarde suchary w jego zębach.

Budziło to niepokonane uczucie przerażenia, trzeba było uczynić coś jak najprędzej, natychmiast, nie tracąc ani chwili. Rankiem odnalazł Porfirij Maksymowicz brodatego i powiedział mu:

— Widać, mój kochany, że zamierzasz uciec, zbierasz suchary, to ja cię poproszę... ;

Brodaty chwycił Porfirij a Maksymowicza za pierś, wpił się w niego oczami nadbiegłymi krwią.

— To ty, ty ścierwo?

Porfirij Maksymowicz przysięgał, zaklinał się.

— A kto? — rzeził brodaty. — Kto?

Porfirij Maksymowicz zdradził, że jego sąsiad, młody kaprał, kradnie po nocach suchary, które brodaty zakopuje w ziemi.

Wtedy żołnierz się uspokoił.

A wieczorem pełen szacunku przyjaciel doradzał przypochlebnie.

— Niech pan złoży raport, panie szanowny. I niech pan mnie należycie zrozumie, Porfirij Maksymowicz: pan jest człowiekiem innego pokroju, panie szanowny. Panu by razem z oficerami, a nie pośród pospólstwa, kto to słyszał, żeby tutaj? Niech pan złoży raport, panie szanowny...

Nocą Porfirij Maksymowicz rozmyślał o synu i Miłocze, i stał mu przed oczami brodaty, a w głowie dźwięczały uparcie słówka: „Zachować siebie dla rodziny... Wytrwać do końca... Daj siły, daj siły...”

I kiedy nagle z boku plasnęło coś o ziemię i czarna postać odbiegła w bok, Porfirij Maksymowicz pisnął boleśnie i nie po ludzku.

Wszyscy dookoła zerwali się na nogi, przyniesiono światło. Zalała się krwią poduszka i posłanie młodziutkiego kaprała i leżał jak we śnie, z ręką podłożoną pod policzek, ze zgiętymi kolanami.

Wychodząc z aresztowanymi z baraku, Porfirij Maksymowicz przysłuchiwał się pełnemu szacunku głosikowi krocącego tuż obok przyjaciela i jakby nie na jawie, lecz we śnie chodziły mu wciąż po głowie ciche słowa, jak pionki na szachownicy. „Niech pan złoży raport, panie szanowny. Pan powinien być nie tutaj, panie szanowny. Zachować siebie dla rodziny — w tym cała rzecz”.

I rankiem, kiedy skończyło się śledztwo, przyszli do baraku konwojenci i zabrali ze sobą brodacza, a Porfirij Maksymowicz zaczął zbierać swoje manatki...

Od tego dnia wszystko potoczyło się inaczej. Porfirij Maksymowicz nie mógł tylko zrozumieć, gdzie się podział zwinny człowieczek, pełen szacunku przyjaciel, ale wkrótce o nim zapomniał.

Zamieszkał znowu w baraku oficerskim, dalej prowadził swoje notatki w zazdrośnie strzeżonym notesie, a czynił to z taką samą skrupulatnością jak kiedyś.

Od duńskiego Czerwonego Krzyża wpłynęło: 2 funty sucharów, 114 funta herbaty, 1 funt cukru i paczka papieru z kopertami.

Rozpoczęły się dni spokojne i bez burz. Porfirij Maksymowicz prowadził tryb życia zrównoważony, skrupulatny, jak gdyby zbudził się ze snu

nauczyciel gimnazjalny, urzędnik siódmego stopnia Pirożkow. Wraz ze spokojem wróciły doń najpiękniejsze uczucia i posypały się w błękitnym notesie linijki jak paciorki:

Pożyczyłem sztabskapitanowi Noskowowi — 1/2 f. tytoniu Podporucznikowi Szmidtowi — 4 marki, na tydzień

I pod naporem pięknych uczuć Porfirij Maksymowicz udzielał kolegom, którzy zamierzali uciec, pożyczek w gotówce i sucharach. Ale ucieczki z obozu nie udawały się, uciekinierów przysyłano z powrotem, po prostu i bez trudu obracano wniwecz ich plany. I wtedy Porfirij Maksymowicz zapisywał w błękitnym notesie na osobnej stroniczce słowa trudne do odczytania i tylko dla niego zrozumiałe.

Do Miłoczki zaś pisał ze łzami:

Ciężki krzyż, który przypadł mi w udziale, nieść będę do końca. Zachować swe życie dla rodziny — to święty obowiązek. Wierzę, że nadejdzie słodka godzina spotkania.

Słońce nad obozem wschodziło i zachodziło. Przesuwały się nad ziemią zimy i wiosny. I nadeszła godzina spotkania.

V

Trzeba było wylać ze swej piersi kielich bezpłodnych mąk i uwolnić mózg od strasznego brzemienia czasu. Trzeba się było wyprostować pod ciężarem przeżyć, albowiem znużony był Porfirij Maksymowicz, albowiem długa była jego droga.

I oto pewnej nocy, po szaleństwie pierwszych dni spotkania, Porfirij Maksymowicz opowiedział, jak oderwało go życie od szczęścia, które zaczął budować z Miłoczką, i co uczynił, aby nowym węzłem złączyć zerwaną nić, zachować swoje szczęście na przekór życiu, które rozprawiło się z nim tak okrutnie.

Bojaźliwie rzuciła dookoła siebie światło lampka naftowa zaglądając żółtym oczkiem w kąty pokoju. Porfirij Maksymowicz siedział na sofce objawszy Miłoczkę, patrząc w jej oczy odmienione jakby przez czas rozstania, mówił szeptem w obawie, by nie płoszyć snu swego syna, swojej rodziny. Czyż nie dla niej wytrwał?

Tak lekko, tak składnie płynęły z jego ust płynne słowa, tak składnie

opowiadała wszystko błękitna książeczka z napisem: „Notes”. Bowiem Porfirij Maksymowicz przypominał sobie swoje życie według nieodłącznego towarzysza-notesu i takie miał wrażenie, jakby oglądał żywe obrazy.

Tej nocy Miłoczka ujrzała, jak po pierwszym pocałunku Porfirij Maksymowicz unosił się w górę niczym pilot, jak dał jałmużnę i gonił żebraka, by odebrać szczęśliwą monetę, jak siedział potem wieczorem przy stole i zapisywał w zeszycie wydatki na kwiaty i poczęstunek dla ukochanej Miłoczki.

I wydawało się jej jeszcze, że widzi, jak dokąś w ciemność wyprowadzają z obozu brodatego żołnierza i jak zwinął się na łóżku, niby we śnie młodziutki kapral.

Kiedy zaś przez wysokie okna wpelzł świt i spłowiło bojaźliwe oczko naftowej lampki, ujrzała Miłoczka wszystko i nie zauważyła, z jaką ulgą i jak lekko usnął obok niej Porfirij Maksymowicz.

Kiedy się Porfirij Maksymowicz obudził, spiętrzyło się nad oknami stalowe niebo, w pokoju było zimno i ponuro.

Miłoczka stała u wezglowia, obca, odmieniona. Dziecko trzymało ją za rękę i spoglądało na ojca nieufnie i surowo.

—Odchodzimy — powiedziała Miłoczka.

I kiedy Porfirij Maksymowicz zrozumiał ją i w oczach jego zapłonęło bezmyślne przerażenie, jeszcze ciszej rozległo się ostatnie słowo:

—Żegnaj.

Odeszła Miłoczka ledwie dosłyszalnymi krokami, ledwie dosłyszalnie zamknęły się za nią drzwi. Tylko dziecinny głosik zapytał o coś dźwięcznie, ale już za drzwiami.

Porfirij Maksymowicz płakał.

Jak błękitna łatka leżał na podłodze zeszycik z napisem: „Notes”. w kątach pokoju czaił się posępny chłód, poruszały się za oknami szare brwi nieba.

—Skończone — powiedział Porfirij Maksymowicz.

Wsluchiwał się, jak rozplywa się dźwięk jego głosu, powtórzył głośniejsze:

—Koniec.

Potem wstał, podszedł do stołu, krótkim ruchem wyrwał z zeszytu arkusik papieru, napisał dużymi literami:

Ośmierć moją nikogo nie winić. Zburzona rodzina, zburzone życie, zburzony cały świat. Koniec.

Porfirij Pirożkow

Wstał, zaczął chodzić po pokoju. Potem nagle przypomniał sobie, że nie ma nikogo kto by pojął jego straszliwy, bezsensowny los, nie ma nikogo, kto by pomyślał o jego śmierci. I ostatnie słowo, na pisane krwią jego serca, ostatnie słowo — któż je przeczyta? Chyba stara, zdziecinniała właścicielka mieszkania, podobna do przecinka, nikomu niepotrzebna, żalosna stara kobieta.

I kiedy ją sobie wyobraził, przypomniał sobie to, co było zrozumiałe i proste. Otworzył drzwi i zawołał w głąb ciemnego korytarza:

— Wczoraj dałem pani pięćset rubli na produkty, dlaczego pani nie zwróciła reszty?

W odpowiedzi chrypliwy głos mruknął coś i zapytał:

— Jakimi pieniędzmi?

Potem westchnął, podniósł z podłogi błękitny notes, usiadł przy stole i zapisał paciorkami:

Miłoczka zabrała ze sobą 125 rubli

Pomyślał chwilę i dodał w nawiasach:

...(kierenkami) i grubą linią podkreślił poprzednie notatki.

Tłumaczyła Barbara Rafałowska

Michaił Szołochow

Żrebak

W biały dzień obok kupy gnoju, gęsto oblepionej szmaragdowymi muchami, głową naprzód, z wyciągniętymi przednimi nóżkami wydostał się z matczynego łona i wprost przed sobą zobaczył delikatny, błękitnawy, rozpływający się kłębuszek wybuchu szrapnela, a wyjący huk rzucił jego mokre ciało pod nogi matki. Przerazenie było pierwszym uczuciem, jakiego doznał tu, na ziemi. Cuchnący grad kulek z klaskaniem zastukał po pokrytym dachówką dachu stajni i z lekka pokropiwszy ziemię, zmusił matkę żrebaka — kasztanowatą kobyłę Trofima — do zerwania się na nogi i do ponownego zwalenia się spotniałym bokiem — z krótkim rzeniem — na zbawczą kupę.

W upalnej ciszy, jaka po tym zapadła, wyraziściej zabrzęczały muchy, a kogut, z powodu ostrzału artyleryjskiego nie ryzykując wskoczyć na płot, gdzieś w cieniu łopianów raz i drugi zatrzepotał skrzydłami i zapiał niewymuszenie, ale głucho. Z chaty słychać było płaczliwe stękanie rannego z obsługi kaemów. Z rzadka wykrzykiwał ostrym ochrypłym głosem, przeplatając krzyki niesamowitymi przekleństwami. W ogródku na jedwabistej czerwieni maku brzęczały pszczoły. Za stanicą, na łące, karabin maszynowy dokończył taśmę i przy akompaniamencie jego pełnego radości życia stebnowanego stuku, w przerwie pomiędzy pierwszym a drugim wystrzałem armatnim, kasztanowata kobyła miłośnie oblizwała pierworodnego, a ten, przypadając do nabrzmiałego wymienia matki, po raz pierwszy odczuł pełnię życia i niewyczerpaną słodycz macierzyńskiej pieśczoły.

Kiedy drugi pocisk grzmotnął gdzieś za gumnem, z chaty, trzasnąwszy drzwiami, wyszedł Trofim i skierował się do stajni. Obchodząc kupę nawozu osłonił dłonią oczy od słońca i zobaczywszy, jak

żrebaczek, drgając z naprężenia, ssie jego, Trofima, kasztanową kobyłę, w roztargnieniu poszukał po kieszeniach, drgającymi palcami namacał kapciuch i śliniąc papierosa odnalazł dar mowy:

— Ta-a-ak... Znaczy, ożrebiłaś się. Znalazłaś sobie porę, nie ma co mówić. — W ostatnim zdaniu przebijała gorzka uraza.

Do chropowatych od wyschniętego potu boków kobyły przylgnęły trawki burzanu, suchy nawóz. Wyglądała na nieprzyzwoicie chudą i wyczerpaną, ale oczy promieniały dumną radością, zaprawioną zmęczeniem, a atlasowa górna warga marszczyła się w uśmiechu. Tak przynajmniej wydawało się Trofimowi. Kiedy postawiona w stajni kobyła zaparskała, potrząsając torbą z ziarnem, Trofim oparł się o ukośną belkę i nieprzyjaźnie zerkając na żrebaczka, sucho zapytał:

— Doigrałaś się?

Nie doczekawszy się odpowiedzi znów zaczął:

— Żeby choć w Ignatowego ogiera, a to diabli wiedzą w kogo... No, gdzie ja się z nim podzieję?

W ciemnawej ciszy stajni chrzęści ziarno, przez szparę w drzwiach sączy złocisty pył krzywy promień słoneczny. Światło pada na lewy policzek Trofima, rudy jego wąs i szczecina brody mienia się czerwienią, zmarszczki koło ust ciemnieją powyginanymi bruzdami. Żrebaczek na cienkich puszystych nóżkach stoi jak zabawkowy konik drewniany.

— Zabić go? — Wielki, przesycony tytoniową zielenią palec Trofima przekrzywia się w stronę żrebaczka.

Kobyła wywraca przekrwione jabłko oczne i drwiąco zerka na pana.

W pokoju, gdzie kwaterował dowódca szwadronu, tego wieczoru odbywała się następująca rozmowa:

— Spostrzegam ja, że oszczędza się moja kobyła, klusem nie przebiegnie, galopem nie może, zadyszka ją dusi. Przyjrzałem się, a ona, jak się okazuje, żrebna... Tak się pilnowała, tak się pilnowała... A żrebaczek gniadej maści... Tak oto... — opowiadał Trofim.

Dowódca szwadronu zaciska w garści miedziany kubek z herbata, tak zaciska, jak gardę szabli przed szarżą, i sennymi oczami pa trzy na lampę. Nad żółciutkim świetlikiem płomienia szaleją puszyste ćmy,

przylatują przez okno, parzą się o szkło, na zmianę jedno po drugim.

— ...obojętne. Gniady czy kary — wszystko jedno. Zastrzelić.

Ze żrebakiem będziem jak Cyganie.

— Co? No więc właśnie mówię, jak Cyganie. A jeżeli dowódca, to co wtedy? Przyjedzie zrobić przegląd pułku, a ten będzie przed frontem posikiwał i .ogonem tak... He? Wstyd i hańba przed całą Armią Czerwoną. Ja nawet nie rozumiem, Trofim, jak mogłeś do tego dopuścić? Tu wir wojny domowej i nagle takie wyuzdanie. To aż wstyd. Dla koniowodów surowy rozkaz: ogiery trzymać osobno.

Z rana Trofim wyszedł z chaty z karabinem. Słońce jeszcze nie wschodziło. Na trawie różowiała rosa. Łąka, zdeptana butami piechoty, zryta okopami, przypominała zapłakaną, wykrzywioną bólem twarz dziewczyny. Koło kuchni polowej krzatali się kucharze. Na ganku siedział dowódca szwadronu w zbutwiałej od dawnego potu koszuli. Palce, przywykłe do rzeźwiącego chłodku rękojeści rewolweru, niezgrabnie wspominały zapomniane, swojskie zajęcie — plotły ozdobny czerpak do pierożków. Trofim, przechodząc obok, zainteresował się:

— Czerpak pleciecie?

Dowódca szwadronu uwiązał rączkę cieniutką gałązką, wycodził przez zęby:

— Ano, baba — gospodyni — prosi... Upleć i upleć. Kiedyś to byłem majstrem od tego, a teraz nie tego... nie udało się.

— Nie, w porządku — pochwalił Trofim.

Dowódca szwadronu strząsnął z kolan obrzynki gałązek, zapytał:

— Idziesz likwidować żrebaka?

Trofim w milczeniu machnął ręką i poszedł do stajni.

Dowódca szwadronu schyliwszy głowę czekał na wystrzał. Minęła minuta, druga — wystrzału nie było. Trofim ukazał się zza rogu stajni, widocznie czymś skonfundowany.

— No co?

— Widać iglica się zepsuła... Nie przebija spłonki.

— No, daj karabin.

Trofim niechętnie podał. Poruszywszy zamkiem, dowódca szwadronu

przymrużył oczy.

— A toć tu nie ma naboju!...

— Niemożliwe!... — gorąco wykrzyknął Trofim.

— Mówię ci, że nie ma.

— To ja go wyrzuciłem tam... za stajnią...

Dowódca szwadronu położył obok siebie karabin i długo obrał cał w rękach nowiutki czerpak. Świeży chrust pachniał miodowo i był i lepki, w nos uderzało zapachem kwitnącej wierzby ostrolistnej, pał chniało ziemią, pracą — zapomnianymi w nie gasnącym pożarze wojny...

— Słuchaj!... Niech go diabli wezmą! Niech żyje przy matce. I Na razie i tak dalej. Jak się skończy wojna — jeszcze można będzie i nim tego... orać. A dowódca w razie czego wejdzie w jego położenie, i boć to osesek i ssać powinien... I dowódca ssał cycek, i myśmy ssali, i skoro taki obyczaj, no i kropka! A iglica w twoim zamku jest w pał rządku.

Jakoś po upływie miesiąca, pod stanicą Ust'-Chopierską szwadron Trofima wdał się w bitwę z seciną kozacką. Wymiana strzałów zaczęła się przed zmierzchem. Ściemniało się, kiedy poszli do szarży. W połowie drogi Trofim beznadziejnie pozostał w tyle za swoim plutonem. Ani bat, ani do krwi rozdzierające wargi wędzidło nie mogły zmusić kobyły do galopu. Wysoko zadzierając głowę rżała ochryple i póty dreptała na jednym miejscu, póki żrebaczek, rozpuściwszy ogon, nie dogonił jej. Trofim zeskoczył z siodła, włożył szablę do pochwy i z wykrzywioną złością twarzą zerwał karabin z pleców. Prawe skrzydło mieszało się z białymi. Obok jaru z jednej strony na drugą, jak pod wiatrem, kołysała się kupa ludzi. Rąbali się w milczeniu. Pod końskimi kopytami głucho dudniła ziemia. Trofim na sekundę spojrzał tam i wziął na muszkę wyrzeźbioną głowę żrebaczka. Czy mu ręka drgnęła z podniecenia, czy też była jeszcze jakaś inna przyczyna spudłowania, dość że po wystrzale żreback głupekowato bryknął nogami, cieniutko zarżał i wyrzucając spod kopyt siwe obłoczki kurzu, opisał koło i stanął w pobliżu. Magazynek nie zwyczajnych naboí, ale przeciwpancernych — z czerwonomiedzianymi końcami — wypuścił Trofim w rude diablątko i przekonawszy się, że przeciwpancerne kule (które przypadkowo wpadły mu pod rękę z ładownicy) nie sprawiły szkody ani nie uśmierciły potomka

kasztano

wej kobyły, wskoczył na nią i kląć potwornie, truchtem pojechał tam, gdzie brodaci starowierzy o czerwonych pyskach napierali na dowódcę szwadronu i trzech czerwonoarmistów, spychając ich do jaru.

Tej nocy szwadron biwakował na stepie obok płytkiego wąwozu. Palili mało. Koni nie rozsiodływali. Podjazd, który powrócił znad Donu, zameldował, że do przeprawy zostały ściągnięte znaczne siły nieprzyjacielskie.

Trofim, otuliwszy bosc nogi połami nieprzemakalnej peleryny, leżał wspominając poprzez drzemkę zdarzenia minionego dnia. Płynęli mu przed oczami: dowódca szwadronu skaczący w jar, szczerbaty starowiec chrzczący szablą komisarza politycznego, rozsiekany Kozaczek, czyjeś siodło zalane czarną krwią, żrebaczek...

Przed świtem podszedł do Trofima dowódca szwadronu, w mroku przysiadł obok.

—Śpisz, Trofim?

— Drzemię.

Dowódca szwadronu, patrząc na gasnące gwiazdy, powiedział:

—Swojego żrebaka zlikwiduj! Robi panikę podczas bitwy... Spojrzę na niego i — ręka drży... nie mogę ciąć. Wszystko przez to, że wygląda tak po domowemu, a na wojnie coś podobnego nie może być... Serce z kamienia robi się wiechciem... I poza tym, nie stratowali drania w czasie szarży, kręcił się między nogami... — Pomilczaw- szy uśmiechnął się marzycielsko, ale Trofim nie widział tego uśmiechu. — Rozumiesz, Trofim, on ma taki ogon, no, jakby to... położy na plecach, bryka, a ogon, jak u lisa... Nadzwyczajny ogon!...

Trofim zamilczał. Nakrył głowę płaszczem i drgając od rośnej wilgoci, zasnął z osobliwą szybkością.

Naprzeciw starego klasztoru, przyciśnięty do góry, pędzi Don z nieposkromioną szybkością. Na zakręcie woda wiruje, kipi i zielone grzywiaste fale z rozpędem uderzają w bryły kredowe, rozsypane nad wodą przez wiosenną lawinę.

Gdyby Kozacy nie zajęli kolana, gdzie prąd jest słabszy, a Don szerszy i

spokojniejszy, i nie zaczęli stamtąd ostrzeliwać stoku góry, dowódca szwadronu nigdy by się nie zdecydował przeprowić szwadronu wpływ naprzeciwko klasztoru.

Przeprawa zaczęła się w południe. Nieduża krypa zabrała jedną taczankę z karabinem maszynowym, obsługą i trójką koni. Lewy przyprzężny, nie znający wody, zląkł się, kiedy na środku Donu krypa ostro zakręciła pod prąd i z lekka przechyliła się na bok. Pod górą, gdzie spieszony szwadron rozsiodływał konie, dokładnie było słychać, jak koń chrapał trwożnie i stukał podkowami po drewnianym pokryciu krypy.

— Zgubi łódkę! — marszcząc się burknął Trofim i nie doniósł ręki do spoconego grzbietu kobyły; na krypie przyprzężny dziko chrapnął, cofając się do hołobli taczanki, i stanął dęba.

— Strzelaj!... — zaryczał dowódca szwadronu targając bat.

Trofim zobaczył, jak celowniczy uwiesił się na szyi przyprzężnego i wsunął mu w ucho nagan. Wystrzał stuknął jak dziecinna pukawka, środkowy i prawy przyprzężny bliżej przywarły do siebie. Kaemiści, lękając się o krypę, przycisnęli zabitego konia do tyłu taczanki. Jego przednie nogi powoli się zgięły, głowa zwisała...

Po jakichś dziesięciu minutach dowódca szwadronu zajechał od mierzei i pierwszy puścił swego bułanka w wodę, za nim z huczącym pluskiem zwałił się szwadron — stu ośmiu półnagich jeźdźców, tyleż koni różnej maści. Siodła przewożono na trzech łódkach. Jedną z nich sterował Trofim powierzwszy kobyłę plutonowemu Nieczepurence. Ze środka Donu Trofim widział, jak przednie konie, brnąc po kolana, od niechcenia piły wodę. Jeźdźcy popędzali je półgłosem. Po chwili o dwadzieścia sążni od brzegu gęsto zaczerniały w wodzie głowy końskie, dało się słyszeć wielogłose parskanie. Obok koni, przywiązawszy do karabinów mundury i ładownice, płynęli trzymając się grzyw czerwonoarmiści.

Rzuciwszy wiosło do łódki, Trofim stanął jak długi i mrużąc oczy od słońca, chciwie szukał oczami pośród kupy płynących kasztanowatej głowy swojej kobyły. Szwadron przypominał stado dzikich gęsi, rozsypane po niebie wystrzałami myśliwych: na przedzie, wysoko wznosząc lśniący kark, płynął bułanek dowódcy szwadronu, tuż koło jego ogona białymi plamkami

srebrzyły się uszy konia, który należał niegdyś do komisarza, w tyle płynęły ciemną kupą inne, a najdalej ze wszystkich, z każdą sekundą coraz bardziej pozostając w tyle, widać było czubatą głowę plutonowego Nieczepurenki i po lewej ręce od niego ostre uszy Trofimowej kobyły. Wyteżając wzrok Trofim zobaczył także żrebaka. Płynął zrywami, to wysoko wyrzucając się z wody, to zanurzając się tak, że ledwie nozdrza było widać.

I wtedy to właśnie wiatr, który przewiał nad Donem, doniósł do Trofima cienkie jak nitka pajęczyny, wzywające rzenie i-i-i-ho-ho- -hoi...

Krzyk nad wodą był dźwięczny i wyostrzony jak ostrze szabli. Dźgnał on Trofima w serce i coś dziwnego stało się z człowiekiem: pięć lat wojny przetrwał, tyle razy śmierć po dziewczęcemu zaglądała mu w oczy, a teraz zbiegał pod czerwoną szczecinę brody, zbiegał aż do siności popiołu i ujawszy wiosło skierował łódkę pod prąd, tam gdzie w wirze kręcił się bezsilny żrebak, a o dziesięć sążni od niego Nieczepurenko wysilał się i nie mógł zawrócić matki, płynącej ku wirowi z ochrypłym rzeniem. Przyjaciół Trofima, Stioszka Jefriemow. siedzący w łódce na kupie siodeł, krzyknął surowo: —Nie bądź głupi! Steruj do brzegu! Widzisz, o tam, Kozacy!...

—Zabiję! — wydechem powiedział Trofim i pociągnął za pas karabinu.

Prąd zniósł żrebaka daleko od miejsca, gdzie się przeprawiał szwadron. Mały wir płynnie go otaczał, oblizując zielonymi grzebieniastymi falami. Trofim kurczowo machał wiosłem, łódka posuwała się zrywami. Na prawym brzegu wyskoczyli z jaru Kozacy. Zabębnił basowy werbel „maksyma”. Klaszcząc w wodę, syczały kule. Oficer w podartej koszuli z żaglowego płótna krzyczał coś, wymachując naganem.

Żrebak rżał coraz rzadziej, coraz głuchszy i cieńszy był jego przeszywający krzyk. I ten krzyk aż do zimnego przerażenia był podobny do krzyku dziecka. Nieczepurenko puściwszy kobyłę lekko popłynął do lewego brzegu. Trofim, drżąc, chwycił karabin, wystrzelił celując poniżej główki wciągniętej w wir, ścigał z nóg buty i z głuchym bekiem, wyciągając ręce, plusnął do wody.

Na prawym brzegu oficer w koszuli z żaglowego płótna charknął:

—Prze-rwij o-gień!...

Po upływie pięciu minut Trofim był obok żrebaka, lewą ręką podchwycił go pod zziębnięty brzuch krztusząc się, czkając kurczowo, ruszył ku lewemu

brzegowi... Z prawego brzegu nie rozległ się ani jeden wystrzał...

Niebo, las, piasek — wszystko jasnozielone, złudne... Ostatni potworny wysilek — i nogi Trofima dotykają ziemi. Wywłókł na pia-

Przeprawa zaczęła się w południe. Nieduża krypa zabrała jedną taczankę z karabinem maszynowym, obsługą i trójką koni. Lewy przyprzężny, nie znający wody, zląkł się, kiedy na środku Donu krypa ostro zakręciła pod prąd i z lekka przechyliła się na bok. Pod górą, gdzie spieszony szwadron rozsiodływał konie, dokładnie było słychać, jak koń chrapał trwożnie i stukał podkowami po drewnianym pokryciu krypy.

—Zgubi łódkę! — marszcząc się burknął Trofim i nie doniósł ręki do spoconego grzbietu kobyły; na krypie przyprzężny dziko chrapnął, cofając się do hołobli taczanki, i stanął dęba.

— Strzelaj!... —zaryczał dowódca szwadronu targając bat.

Trofim zobaczył, jak celowniczy uwiesił się na szyi przyprzężnego i wsunął mu w ucho nagan. Wystrzał stuknął jak dziecinna pukawka, środkowy i prawy przyprzężny bliżej przywarły do siebie. Kaemiści, lękając się o krypę, przycisnęli zabitego konia do tyłu taczanki. Jego przednie nogi powoli się zgięły, głowa zwisała...

Po jakichś dziesięciu minutach dowódca szwadronu zajechał od mierzei i pierwszy puścił swego bułanka w wodę, za nim z huczącym pluskiem zwałił się szwadron — stu ośmiu półnagich jeźdźców, tyleż koni różnej maści. Siodła przewożono na trzech łódkach. Jedną z nich sterował Trofim powierzwszy kobyłę plutonowemu Nieczepurence. Ze środka Donu Trofim widział, jak przednie konie, brnąc po kolana, od niechcenia piły wodę. Jeźdźcy popędzali je półgłosem. Po chwili o dwadzieścia sążni od brzegu gęsto zaczerniały w wodzie głowy końskie, dało się słyszeć wielogłose parskanie. Obok koni, przywiązawszy do karabinów mundury i ładownice, płynęły trzymając się grzyw czerwonoarmiści.

Rzuciwszy wiosło do łódki, Trofim stanął jak długi i mrużąc oczy od słońca, chciwie szukał oczami pośród kupy płynących kasztanowatej głowy swojej kobyły. Szwadron przypominał stado dzikich gęsi, rozsypane po niebie wystrzałami myśliwych: na przedzie, wysoko wznosząc lśniący kark, płynął bułanek dowódcy szwadronu, tuż koło jego ogona białymi plamkami

srebrzyły się uszy konia, który należał niegdyś do komisarza, w tyle płynęły ciemną kupą inne, a najdalej ze wszystkich, z każdą sekundą coraz bardziej pozostając w tyle, widać było czubatą głowę plutonowego Nieczepurenki i po lewej ręce od niego ostre uszy Trofimowej kobyły. Wyteżając wzrok Trofim zobaczył także żrebaka. Płynął zrywami, to wysoko wyrzucając się z wody, to zanurzając się tak, że ledwie nozdrza było widać.

I wtedy to właśnie wiatr, który przewiał nad Donem, doniósł do Trofima cienkie jak nitka pajęczyny, wzywające rzenie i-i-i-ho-ho- -ho!...

Krzyk nad wodą był dźwięczny i wyostrzony jak ostrze szabli. Dźgnał on Trofima w serce i coś dziwnego stało się z człowiekiem: pięć lat wojny przetrwał, tyle razy śmierć po dziewczęcemu zaglądała mu w oczy, a teraz zbiegał pod czerwoną szczecinę brody, zbiegał aż do siności popiołu i ujawszy wiosło skierował łódkę pod prąd, tam gdzie w wirze kręcił się bezsilny żrebak, a o dziesięć sążni od niego Nieczepurenko wysilał się i nie mógł zawrócić matki, płynącej ku wirowi z ochrypłym rzeniem. Przyjaciół Trofima, Stioszka Jefriemow, siedzący w łódce na kupie siodeł, krzyknął surowo: — Nie bądź głupi! Steruj do brzegu! Widzisz, o tam, Kozacy!...

— Zabiję! — wydechem powiedział Trofim i pociągnął za pas karabinu.

Prąd zniósł żrebaka daleko od miejsca, gdzie się przeprawiał szwadron. Mały wir płynnie go otaczał, oblizując zielonymi grzebieniastymi falami. Trofim kurczowo machał wiosłem, łódka posuwała się zrywami. Na prawym brzegu wyskoczyli z jaru Kozacy. Zabębnił basowy werbel „maksyma”. Klaszcząc w wodę, syczały kule. Oficer w podartej koszuli z żaglowego płótna krzyczał coś, wymachując naganem.

Żrebak rżał coraz rzadziej, coraz głuchszy i cieńszy był jego przeszywający krzyk. I ten krzyk aż do zimnego przerażenia był podobny do krzyku dziecka. Nieczepurenko puściwszy kobyłę lekko popłynął do lewego brzegu. Trofim, drżąc, chwycił karabin, wystrzelił celując poniżej główki wciągniętej w wir, ścigał z nóg buty i z głuchym bekiem, wyciągając ręce, plusnął do wody.

Na prawym brzegu oficer w koszuli z żaglowego płótna charknął:

— Prze-rwij o-gień!...

Po upływie pięciu minut Trofim był obok żrebaka, lewą ręką podchwycił go pod zziębnięty brzuch krztusząc się, czkając kurczowo, ruszył ku lewemu

brzegowi... Z prawego brzegu nie rozległ się ani jeden wystrzał...
Niebo, las, piasek — wszystko jasnozielone, złudne... Ostatni potworny
wysiłek — i nogi Trofima dotykają ziemi. Wywłókł na pia-
sek oślizgłe ciało żrebaczka. chlapiąc wymiotował zieloną wodą, wodził
rękami po piasku... W lesie rozbrzmiewały głosy przeprowionych
kawalerzystów, gdzieś za mierzeją huczały wystrzały artyleryjskie.
Kasztanowata kobyła stała obok Trofima, otrząsając się i oblizując żrebaka.
Z obwisłego jej ogona spływał do piasku tęczy strumyczek...

Chwiejąc się stanął Trofim na nogi, uszedł dwa kroki po piasku i
podskoczywszy upadł na bok. Jakby gorące ukłucie przeszło mu pierś;
padając usłyszał wystrzał. Pojedynczy strzał w plecy — z prawego brzegu. Na
prawym brzegu oficer w podartej koszuli z żaglowego płótna obojętnie
poruszył zamkiem karabinka, wyrzucając dymiącą łuskę, a na piasku, o dwa
kroki od żrebaczka, wił się Trofim, i twarde posiniałe usta, które od pięciu
lat nie całowały dzieci, uśmiechały się i pieniały krwią.

1926

Tłumaczył Władysław Broniewski

Boris Ławrieniew
Czterdziesty pierwszy

Pamięci Pawła Dmitriewicza Żukowa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

napisany przez autora wyłącznie dlatego, że uznał to za niezbędne

Na północy migotliwy pierścień szabel kozackich pękł na chwilę o świcie, podcięty gorącymi strugami z karabinów maszynowych, i w wyrwę wdarł się ostatnim gorączkowym natarciem malinowy komisarz Jewsiukow.

Z kręgu śmierci w aksamitnej kotlinie wymknęło się tylko dwudziestu trzech, malinowy Jewsiukow i Mariutka.

Stu dziewiętnastu i prawie wszystkie wielbłądy pozostały na zmarzniętych usypiskach piachu, wśród rozplenionych na ziemi węzowatych splotów saksaułu i czerwonych prętów tamaryszku.

Gdy zameldowano esaułowi Burydze, że niedobitki wroga przedarły się na północ — podkręcił swym ogromnym łapskiem sumiastego wąsa, ziewnął, rozwierając szeroko usta, podobne do otworu żelaznej popielniczki, i ryknął leniwie:

—A niech im tam! Nie ścigać, koni szkoda. Sami w piaskach pozdychają. Bara-bir! *

I malinowy Jewsiukow z dwudziestoma trzema ludźmi i z Mariutką, kluczącymi susami jak rozwścieczona szczekuszka stepowa, uciekali na ciągnące się nieskończenie ziarniste piaski.

Czytelnik już się pewnie niecierpliwi, chciałby bowiem wiedzieć dlaczego Jewsiukow jest „malinowy”?

Na wszystko przyjdzie kolej.

Gdy Kołczak zatkał ludzkim mięsiwem najeżonym karabinami niby mocnym korkiem linię Orenburską i na zadach usadził odrętwiąłe parowozy

— niech rdzewieją zapędzone w ciasny kąt! — za
brakło w Republice Turkiestańskiej czarnego barwnika do farbowania skór.

A były to czasy rozhukane, gorące, niespokojne, „skórzane”.

Ciało wyrzuconemu z miłego przytulnego ciepła domowych ścian na
skwar i lodowaty mróz, na deszcz i ulewę, na przejmujący gwizd kul —
potrzebna jest szczelna osłona.

Toteż przydziali się ludzie w skórzane kurtki.

Farbowano te kurtki wszędzie na kolor czarny ze stalowym odcieniem,
surowy i twardy jak ich właściciele.

Zabrakło wtedy w Turkiestanie czarnego barwnika.

Musiał więc sztab rewolucyjny rekwirować wśród miejscowej ludności
zapasy niemieckich proszków anilinowych, którymi fergańskie lizbeczki
malowały powiewne szale jedwabne w ogniste ptaki, a, tur- kmeńskie kobiety
o spieczonych wargach barwne desenie włochatych tekińskich dywanów,

Zaczęto więc tymi proszkami farbować świeże baranie skóry i zapłonęła
turkiestańska Armia Czerwona wszystkimi odcieniami tęczy: malinowym,
pomarańczowym, cytrynowym, szmaragdowym, turkusowym, liliowym. .

Los w postaci ospowatego magazyniera przydzielił na zlecenie sztabu
komisarzowi Jewsiukowowi spodnie i kurtkę koloru jaskrawo- malinowego.

Twarz miał Jewsiukow od maleńkości także czerwoną, całą w rudych
piegach, a na głowie — nie włosy, lecz delikatny puch jak u kaczuszki.

$\wedge_r \wedge_y$,

Jeśli dodać, że Jewsiukow był wzrostu niedużego, krępy i zażywny, i cała
jego figura tworzyła prawidłowy owal, to będziemy musieli przyznać, że w
swej malinowej kurtce wyglądał — wypisz, wymaluj, jak wielkanocna
pisanka.

Na plecach Jewsiukowa skrzyżowane pasy rynsztunku bojowego tworzą
literę „X” — i można by pomyśleć, że gdy komisarz się odwróci. na przodzie
pojawia się litera „B”. *

Chrystus zmartwychwstał!

Ale tego nie ma. W Wielkanoc i w Chrystusa Jewsiukow nie wierzy.

Wierzy w Międzynarodówkę i w Rady, w Czeka i w ciężki stalowy nagan,
trzymany w silnych sękatych palcach.

Dwudziestu trzech ludzi, którzy wraz z Jewsiukowem wymknęli się ze śmiertelnego kręgu szabel i przedarli na północ, to zwykli żołnierze Armii Czerwonej. Ludzie jak ludzie, żołnierze jak żołnierze.

Ale całkiem inna jest — Mariutka.

Mariutka, sierota bez ojca i matki, pochodzi z rybackiej wioski, leżącej w szerokowodnej delcie Wołgi, napęczniałej trzcina i sito¹ wiem, spod samego Astrachania.

Od siódmego roku życia dwanaście lat przesiedziała okrakiem na zatłuszczonej od rybich bebechów ławie, w sztywnych płóciennych portkach, i rozpruwała nożem srebrzysto-śliskie brzuchy śledzi.

A gdy ogłoszono po wszystkich wsiach i miastach zaciąg ochotników do Czerwonej, wówczas jeszcze Gwardii, wbiła Mariutka nóż sztorcem w ławę i poszła w swych sztywnych portkach zapisać się do czerwonych gwardzistów.

Na początku przepędzili ją, a gdy zaczęła przyłazić i naprzykrzać się codziennie, pośmieli się, pośmieli — i przyjęli jako czerwonogwardzistkę, na równych z innymi prawach — ale wzięli od niej zobowiązanie, że wyrzeknie się babskiego sposobu życia, a między innymi — wydawania na świat dzieci, aż do ostatecznego zwycięstwa świata pracy nad kapitałem.

Mariutka jest cienka jak trzcinka przybrzeżna, rude warkocze ułożone w koronę chowa pod burą tekińską papachą — a oczy ma figlarne, skośne, z żółtymi jak u kota iskierkami.

Najważniejsze w życiu Mariutki — to marzenia. Bardzo jest do marzeń skłonna, a ponadto lubi ogryzkiem ołówka na każdym świstku papieru, jaki jej tylko w ręce wpadnie, pisać lecącymi w dół ukośnymi literami własne wiersze.

Wie już o tym cały oddział. Gdy wchodzi do jakiegoś miasta, w którym znajduje się redakcja gazety, Mariutka biegnie do kancelarii i prosi o arkusik papieru.

Zwilżając językiem zasychające z przejęcia wargi, starannie przepisuje na tym arkusiku swoje poezje. Nad każdym wierszem wypisuje tytuł, a pod spodem swoje nazwisko: „Ułożyła Maria Basowa”.

Wiersze są rozmaite. O rewolucji, o walce, o wodzach. Między innymi o Leninie.

Lenin wódz nasz proletarski,
Postawimy tobie pomnik,
Boś ty zburzył pałac carski i podniosłeś lud ogromnie.

Zanosila Mariutka swoje wiersze do redakcji. W redakcji wytrzeszczali oczy na wysoką, szczupłą dziewczynę w kożusku, z kawaleryjskim karabinem na ramieniu, zdziwieni brali jej wiersze, obiecywali, że przeczytają.

Mariutka rozglądała się wokoło spokojnie i wychodziła.

Sekretarz redakcji zaciekawiony zabierał się do czytania tych poezji. Po chwili ramiona zaczynały mu podnosić się i drgać, a usta rozszerzały się od niepohamowanego śmiechu. Zbierali się i inni pracownicy redakcji, a sekretarz, krztusząc się i chichocząc, odczytywał im na głos te wiersze.

Pracownicy redakcji pokładali się ze śmiechu na parapetach okien: mebli w pokoju redakcyjnym w tych czasach nie było.

Mariutka zjawiała się następnego dnia. Nie mrużąc oczu patrzyła prosto w drgającą od tłumionego śmiechu twarz sekretarza, zbierała swe kartki i mówiła przeciągle:

— Nie do druku, mówicie? Nie opracowane? Z serca je wyrabuję równo jak toporem i wszystko na nic. No, trudno, pomęcę się jeszcze — nie ma rady. A dlaczego to one takie trudne, rybka cholera?

I odchodziła, wzruszając ramionami, nacisnąwszy na czoło swoją turkmeńską papachę.

Wiersze nie udawały się Mariutce, ale za to strzelała z karabinu z niebywałą celnością. Była w oddziale Jewsiukowa najlepszym strzelcem i podczas bitwy zawsze znajdowała się w pobliżu malinowego komisarza.

Jewsiukow wskazywał jej palcem.

—Mariutka! Patrz! Oficer!

Mariutka mrużyła oczy, przesuwiała językiem po wyschniętych wargach i bez pośpiechu kierowała lufę karabinu. Padał strzał. Zawsze bez pudła.

A Mariutka opuszczała karabin i liczyła:

— Trzydziesty dziewięty, rybka cholera, czterdziesty, rybka cholera.

„Rybka cholera” — to ulubiony zwrot Mariutki.

A grubiańskich, ordynarnych wymysłów nie lubiła. Gdy w jej obecności

żołnierze klęli, marszczyła czoło, rumieniła się i milczała naburmuszona.

Złożone w sztabie zobowiązanie Mariutka honorowała święcie. Nikt z całego oddziału nie mógł się pochwalić, że Mariutka darzy go szczególnymi względami.

Pewnego razu w nocy zaczął „dowalać się” do niej na całego od niedawna należący do oddziału Madziar Huczą, który już kilka dni posyłał jej strzeliste spojrzenia. Paskudnie to się dla niego skończyło. Ledwo żywy wyszedł Madziar, z rozbitą skronią i bez trzech zębów. Przyłożyła mu Mariutka rękojeścią rewolweru.

Żołnierze podśmiewali się z Mariutki życzliwie, ale podczas bitwy strzegli jej jak oka w głowie.

Była w tym na pół uświadomiona czułość, głęboko ukryta pod twardą skorupą różnobarwnych kurtek, była tęsknota za pozostawionym w domu ciepłym, przytulnym ciałem swojej baby.

Tacy to byli ci, co szli na północ, w bezkresną pustkę przemarzłych piasków: dwudziestu trzech, malinowy Jewsiukow i Mariutka.

Wyśpiwywała srebrzyste trele lutowa zamieć. Zasypywała miękkim kobiercem, puchem lodowatym wgłębienia między piaszczystymi garbami i nad idącymi w mgłę i zawieję gwizdało niebo — już to wichrem rozszałałym, już to natrętnym świstem nieprzyjacielskich kul.

Z trudem wyciągali ociężałe nogi w rozdeptanych buciskach z zasp śniegowych i piaszczystych. Chrypiały i ryczały wygłodniałe wielbłądy o chropowatej sierści.

Wyżłobione przez wiatry takiry * lśniły kryształami soli, a niebo — na setki wiorst dookoła — odcięte było od ziemi, jak nożem rzeź- nickim, wzdłuż równej i mglistej linii niskiego horyzontu.

Właściwie rozdział ten w moim opowiadaniu jest najzupełniej zbyteczny.

Prościej byłoby zacząć od tego, co najważniejsze, o czym będzie mowa w następnych rozdziałach.

Ale przecież musi czytelnik wiedzieć, w jaki sposób pojawiły się niedobitki specjalnego gurjewskiego oddziału w odległości trzydzie- stu siedmiu wiorst na północno-zachód od studzien Kara-Kuduk, skąd w oddziale Armii Czerwonej wzięła się kobieta, dlaczego komisarz Jewsiukow

był malinowy — i jeszcze wiele innych rzeczy powinien czytelnik wiedzieć. Napisałem więc ten rozdział ulegając konieczności. Ale pozwalam sobie zapewnić was, czytelnicy, że nic ma on żadnego znaczenia.

ROZDZIAŁ DRUGI

w którym ukazuje się na horyzoncie ciemna plama, przemieniająca się przy bliższym przyjrzeniu w porucznika gwardii Goworuchę-Otroka
Od studni Dżan-Geldy do studni Soj-Kuduk będzie wiorst siedemdziesiąt, a stamtąd do źródła Uszkan — jeszcze sześćdziesiąt dwie.

W nocy zziębnięty na wskroś Jewsiukow uderzył kolbą karabinu w rozcapierzony korzeń i zakomenderował:

— Stać! Nocleg!

Rozpalili ognisko z kawałków saksaułu. Zapłonęło tłustym, kopącym płomieniem; wokoło mokrym kręgiem ciemniał piasek.

Powyjmowali z juków ryż i sadło. W żelaznym kotle zakipiała kasza, woniejąca ostrym zapachem baraniny.

Skupili się ciasno wokół ogniska. Milczeli, szcękając zębami, i starali się skulić, uchronić przed lodowatymi mackami zamieci, wciskającymi się za pazuchę. Grzali nogi przy samym ogniu, zaskorupiała skóra butów z wojłokową przyszwą syczała i trzeszczała.

Spętane wielbłądy ponuro pobrzękiwały dzwoneczkami w białawej mgle, ścielącej się po ziemi.

Jewsiukow skrzył papierosa dygocącymi z zimna palcami.

Wypuścił dym, a wraz z dymem wykrztusił z wysiłkiem:

— Musimy zastanowić się, towarzysze, gdzie mamy teraz iść.

— Gdziekolwiek pójdziemy — odezwał się bezbarwny głos z drugiej strony ogniska — wszędzie jedno: koniec i mogiła. Do Gurjewa wracać nie można, kozactwa tam pełno, a to cholerna siła. A prócz Gurjewa nie ma gdzie się skierować.

— Na Chiwę może?

— Hi-hi! Ale powiedział! Sześćset wiorst prawie po Kara-Kum zimną? A żreć co będziesz? Wszy w portkach wyhodujesz na kawar- dak?*

Zarechotali śmiechem, a ten sam bezbarwny głos oświadczył bez nadziei:

—Jedno wyjście — zdychać!

Ścisnęło się serce Jewsiukowa pod malinowym pancerzem, ale nie dał tego poznać po sobie, z wściekłością ofuknął mówiącego:

—Te, glista! Nie siej mi tu paniki! Zdychać każdy dureń potrafi, a tu trzeba mózgiem ruszyć, co zrobić, żeby nie zdechnąć.

—Na fort Aleksandrowski iść można. Tam swoi, rybacy.

—Nie da rady — rzucił Jewsiukow. — Była wiadomość, że tam Denikin desant wysadził. Oba forty, i Krasnowodski, i Aleksandrowski, w rękach białych.

Ktoś jęknął przeciągle przez sen.

Jewsiukow klepnął się dłonią w rozgrzane od bliskiego ognia kolano i rąbnął:

—Basta! Jedna jest droga, towarzysze: na Jezioro Aralskie! Do jeziora jakoś się dowleczymy, tam Niemakani na brzegu koczują, pożywimy się u nich, potem okrężną drogą na Kazalińsk. A w Kazalińsku jest sztab frontu. Tam już będziemy jak w domu.

Powiedział swoje —I i zamilkł. Sam w to nie wierzył, że można dotrzeć aż tak daleko.

Jeden z leżących obok niego przy ognisku podniósł głowę i zapytał: IS- A zanim do jeziora dojdziemy, co będziemy żarli? I znów rąbnął Jewsiukow.

—Ano, pasa trza będzie zacisnąć! Nie takie z was znów książęta! Chcesz, żeby ci sardynki z miodem na tacy podawali? I bez tego pójdziesz! Ryż jest na razie, mąki też trochę...

—Na trzy dni?

—No, więc na trzy! A do zatoki Czernysz — z dziesięć stąd będzie. Wielbłądów mamy sześć. Jak prowiant zjemy, wielbłądy się po- zarzyna. Jednego zarżniemy, na drugiego mięso załadujemy i dalej w drogę. I jakoś dojdziemy.

Zamilkli. Przy ognisku leżała Mariutka, wsparła się łokciami w ziemię i patrzyła w ogień pustymi, nie mrugającymi, kocimi oczami. Jewsiukowowi zrobiło się jakoś nieswojo.

Wstał, strząsnął śnieżek z kurtki.

— Dość gadania! Rozkaz daję — o świcie w drogę. Może nie wszyscy

dojdziemy — głos komisarza zatrzepotał jak wystraszony ptak — ale iść trzeba... Bo przecie, towarzysze... rewolucja... Za lud pracujący świata!

Po kolei patrzył komisarz w oczy każdemu z dwudziestu trzech. Ale nie dostrzegał już w nich owego zapału, do jakiego przywykł w ciągu tego roku. Zmętniały były te oczy, uchylały się od jego spojrzenia, a pod spuszczoneymi rzęsami kryły się rozpacz i niewiara.

— Wielbłądy zeżremy, a potem jeden drugiego żreć będziemy.

Znów zamilkli.

I nagle piskliwym babskim głosem jak opętany wrzasnął Jewsiukow.

— Dość gadania! Obowiązek rewolucyjny znasz? Milczeć! Rozkaz i skończone! A jak nie, to pod ścianę.

Zakaszła i usiadł.

A ten, co mieszał kaszę wyciorem, nagle z nieoczekiwaną wesołością rzucił w wiatr:

— Coście nosy tak pospuszczali? Frygaj kaszę jeden z drugim

— co to, po próżnicy będę wam gotował? Wojaki, psia wasza nędza!

Zabrali się do jedzenia. Wyławiali łyżkami zlepione grudki tłustego spęczniał ego ryżu, łykali je parząc sobie usta, byleby tylko żarcie nie ostygło, ale zanim połknęli, na wargach narastała gęsta skorupa zlodowaciałego, obrzydliwego sadła o smaku stearyny.

Ognisko dogasało i tliło się jeszcze, tryskając od czasu do czasu fontanną bladopomarańczowych iskier. Przysunęli się do siebie jeszcze bliżej, zwarli ciaśniej, a gdy zasnęli, chrapali, jęczeli i klęli przez sen.

Tuż przed świtem Jewsiukow zbudził się od szybkich poszturchiwań w ramię. Z trudem rozwierając zlepione, zamarznęte rzęsy, z przyzwyczajenia chwycił skostniałą ręką karabin.

— Czekaj, nie bądź taki gorący!

Nad nim stała nachylona Mariutka. Wśród szarozółtej mgły błyszczały jej kocie oczy.

— A ty co chcesz?

— Wstawaj, towarzyszu komisarzu! Tylko bez hałasu! Przez ten czas, coście spali, ja się na wielbłądzie przejechałam. Kirgiska karawana

idzie od Dżan-Geldów.

Jewsiukow przewrócił się na drugi bok. Zachłysnąwszy się z wrażenia spytał:

— Jaka karawana, co ty pleciesz?

— Słowo daję... niech tu skonam, rybia cholera! Niemakani! Czterdzieści wielbłądów!

Jewsiukow zerwał się od razu na równe nogi, przyłożył palce do ust, gwizdnął. Dwudziestu trzech ludzi podnosiło się z trudem, prostując zdrtwiałe od przejmującego zimna członki, ale gdy usłyszeli nowinę o karawanie, od razu oprzytomnieli.

Wstało dwudziestu dwóch. Ostatni, dwudziesty trzeci, nie podniósł się z ziemi. Leżał otulony końską derką i derka dygotała febrycznym dreszczem rzucającego się w malignie ciała.

—Gorączka! — orzekła Mariutka, wetknąwszy dwa palce za jego kołnierz.

—A, do diabła! Co z nim robić? Nakryć go koszma*, niech leży. Jak będziemy wracali, zabierzemy ze sobą. Z której strony karawana, jak mówisz?

Mariutka wskazała ręką na zachód.

—Niedaleko. Ze sześć wiorst będzie! Bogaci Niemakani. Juków na wielbłądach mnóstwo!...

—No, to dobra nasza. Tylko żeby się nie wymknęli. Jak ich zobaczymy, okrążyć ze wszystkich stron! Nóg nie żałować! Żywo! Część zajdzie od prawej, reszta od lewej! Marsz!

Ruszyli pochyleni, szli gęsiego jeden za drugim pomiędzy barchanami**. Nabierali otuchy, rozgrzewali się od szybkiego marszu.

Ze szczytu pagórka pofałdowanego piaszczystymi falami dostrzegli z daleka na płaskiej jak stół płycie takyru ciemne plamy wyciągniętych w jedną linię wielbłądów.

Na garbach wielbłądzich huśtały się ciężkie juki.

—Bóg zesłał! Zmiłował się! — wyszeptał w upojeniu ospowaty mołokanin*** Gwozdziw.

Nie wytrzymał Jewsiukow, osadził go:

—Bóg?... Ile razy trzeba ci mówić, że nijakiego Boga nie ma, a każda rzecz

ma swoją fizyczną przyczynę.

Ale na dyskusje nie było czasu. Na komendę pobiegli wielkimi susami, korzystając z każdej fałdki piasku, z każdej chropowatej odnogi zarośli. Ściskali w ręku kolby, aż palce bolały: wiedzieli, że nie można, nie wolno przepuścić takiej okazji, że wraz z wielbłędami odejdą nadzieja, ratunek, życie.

Karawana szła wolno i spokojnie. Widać już było wzorzyste koczyska na grzbietach wielbłądzich i Kirgizów w ciepłych, długich do nóg kaftanach i wilczych małachajach *.

Błysnęła malinowa kurtka i Jewsiukow wyrósł na szczycie barchana z karabinem przed sobą jak do ataku. Wrzasnął na cały głos:

— Tochta **! Kto karabin ma — rzucaj na ziemię! Bez tamaśzi; bo wszystkich ukatrupię!

Nim zdążył dokończyć, już wystraszeni Kirgizi zwalili się na piasek, tak że widać było tylko ich wypięte tyłki.

Zdyszani, zasapani nadbiegli ze wszystkich stron czerwonoarmiści.

—Zabierajcie wielbłądy, chłopaki! ■*-wrzeszczał Jewsiukow.

Ale głos jego zagłuszył nagle wystrzał karabinowy od strony karawany.

Jak małe psiaki ujadały rozzłoszczone kule i tuż obok Jewsiukowa runął w piasek głową któryś z dwudziestu dwóch, wyciągając przed siebie znieruchomiałe ręce.

— Padnij!... Wał w nich, w diabłów! — darł się Jewsiukow, kryjąc się w zagłębieniu pod barchanem.

Zaszczeakały karabiny, kule waliły coraz gęściej.

Nie wiadomo było, kto to strzela. Jacyś ludzie kryli się za grzbietami leżących wielbłądów.

Jakoś nic wyglądało na to, że to Kirgizi. Ogień był zbyt celny, kule padały tuż obok leżących na piasku czerwonoarmistów.

Step huczał i grzmiał, ale powoli strzelanina przycichła.

Czerwonoarmiści zaczęli przybliżać się skokami.

Jewsiukow wyteżył wzrok i w odległości trzydziestu kroków zobaczył sterczącą zza wielbłąda głowę w futrzanej czapce z białym baszłykiem, za nią ramię, a na ramieniu złoty pasek epoletów.

—Mariutka! Patrz! Oficer! — odwrócił głowę do Mariutki, która przed chwilą przyczołgała się do niego.

—Widzę!

Bez pośpiechu skierowała lufę karabinu. Huknął strzał.

Ale czy to dlatego, że przemarzły palce Mariutki, czy też dlatego, że zmęczyła się biegiem, dość że ledwo zdążyła powiedzieć: „Czterdziesty pierwszy, rybia cholera!” — gdy zza grzbietu wielbłąda wysunął się ktoś w białym baszłyku i w granatowym kożuszk. A na bagnecie trzepotała biała chustka.

Mariutka cisnęła karabin na ziemię i rozpłakała się, rozmazując łzy po brudnej, łuszczącej się twarzy.

Jewsiukow pobiegł w kierunku oficera. Przegonił go biegnący za nim czerwonoarmista, wymachując bagnetem w biegu, żeby tym celniej dźgnąć.

-t- Nie rusz go!... Żywcem bierz! — ochryplym głosem rzucił komisarz.

Rzucili się na granatowy kożuszek, powalili na ziemię.

Tych pięciu, co to było razem z oficerem, nie podniosło się już zza wielbłądzich grzbietów: ściał ich z nóg kłujący ołów.

Czerwonoarmiści, śmiejąc się i klnąc, prowadzili wielbłądy za kółka, przewleczone przez nozdrza, i wiązali je po parę sztuk.

Kirgizi biegli za Jewsiukowem, jak psy merdające ogonem, chwyтали go. za kurtkę-, za łokcie, za spodnie, za karabin, coś tam mamrotali, zagłądali mu w twarz żałośnie wąskimi szparkami oczu.

Komisarz oganiał się od nich, uciekał i krzywiąc się ze złości i współczucia, podsuwał nagan pod ich płaskie nosy, pod osmagane wiatrem, wystające kości policzkowe.

—Tochta, cofnij się! Wróć! Bez gadania!

Siwobrody starzec w solidnym kożuchu uczepił się pasa komisarza i zaczął mówić .bardzo szybko, przymilnym szeptem:

Uj-baj... Żle zrobił... Kirgiz wielbłąd potrzebuje. Kirgiz bez wielbłąda umierać... Twoja, baj, tak nie robić... Twoja pieniądze chcieć... nasza dać. Srebrne pieniądze, carskie pieniądze... kirenki, papierki... Powiedz, ile pieniędzy twoja dać, żeby wielbłądy oddać?

—Zrozumże, zakuta głowo, że my sami bez wielbłądów pozdychamy, Nie

dla grabieży, tylko wskutek rewolucyjnej konieczności.

tylko na chwilowy użytek. Wy, diabelscy, Niemakani, pieszo do swoich dojdziecie, a dla nas to śmierć.

— Uj-baj. Niedobra. Oddaj wielbłąd — bierz abóz, bierz kiren-ki — ciągnął Kirgiz niezmordowanie.

Jewsiukow zniecierpliwiał się wreszcie:

— A idźże ty do diabła! Powiedziałem swoje, i koniec. Bez gadania. Masz pokwitowanie i żeby mi więcej mowy nie było.

Wetknął Kirgizowi do ręki kwitek nabazgrany na skrawku gazety chemicznym ołówkiem.

Kirgiz cisnął kwitek na ziemię, zasłonił twarz rękoma, rzucił się na piasek i ryknął wielkim głosem.

Pozostali stali w milczeniu, ale w skośnych czarnych oczach, drżały krople łez.

Jewsiukow odwrócił się. Przypomniawszy sobie o wziętym do niewoli oficerze.

Oficer stał spokojnie między dwoma żołnierzami, odsunawszy nieco prawą nogę w wysokim szwedzkim filcowym bucie, i palił papierosa, patrząc z uśmiechem na komisarza.

— Kto ty jesteś — zapytał Jewsiukow.

— Porucznik gwardii Goworucha-Otrok. A ty kto jesteś? — zapytał z kolei, wypuszczając kłęb dymu.

1 podniósł głowę.

A gdy spojrzał na czerwonoarmistów, zobaczył Jewsiukow, że oczy ma porucznik niebieskie, niebiesciutkie, tak jakby w śnieżnobiałej pianie mydlanej białek pływały gałeczki farbki francuskiej w najlepszym gatunku.

ROZDZIAŁ TRZECI

O pewnych niewygodach podróżowania po Azji Środkowej bez wielbłądów i o doznaniach towarzyszy Krzysztofa Kolumba

Czterdziestym pierwszym powinien był stać się na koncie Mariutki porucznik gwardii Goworucha-Otrok.

Nie wiadomo, czy wskutek zimna, czy też wskutek zdenerwowania Mariutka spudłowała.

I pozostał porucznik jako zbyt duża cyfra na liście żyjących.

Na rozkaz dany przez Jewsiukowa żołnierze powywracali jeńcowi wszystkie kieszenie podszewką na wierzch i w zamszowym frenczu na plecach znaleźli ukrytą kieszonkę.

Niczym stepowy żrebiec szarpnął się porucznik, gdy ręka czerwonoarmisty wymacała tę kieszeń, ale żołnierze trzymali go mocno i tylko drżenie warg i bladość twarzy zdradzały jego niepokój i zdenerwowanie.

Wyjęty ze skrytki płócienny woreczek Jewsiukow rozłożył ostrożnie na swojej torbie polowej. Odczytał dokumenty, nie odrywając ani na chwilę od nich oczu. Pokręcił głową, zamyślił się.

Dokumenty stwierdzały, iż porucznik gwardii Wadim Nikołajewicz Goworucha-Otrok jest upoważniony przez rząd najwyższego władcy Rosji admirała Kołczaka do reprezentowania jego osoby przy rządzie zakaspijskim generała Denikina.

Tajne polecenia natomiast — tak było napisane w tych papierach — ma on przekazać generałowi Dracenko osobiście.

Jewsiukow złożył starannie dokumenty, wetknął je sobie za pazuchę i zwrócił się do porucznika.

—Jakie to są te pańskie polecenia, panie oficerze? Trzeba opowiedzieć nam wszystko, niczego nie ukrywając. Jest pan w niewoli u żołnierzy Armii Czerwonej, a ja, dowodzący nimi komisarz, nazywam się Arsientij Jewsiukow.

Podniósł porucznik na komisarza ultramarynowe gałeczki swych oczu.

Uśmiechnął się, szurnął nogą.

—Monsieur Jewsiukow? Bardzo rad jestem, że pana poznałem! Niestety, nie otrzymałem upoważnienia od moich władz na prowadzenie pertraktacji dyplomatycznych z tak znakomitą osobistością.

Piegi na twarzy Jewsiukowa zbieleły. Na oczach całego oddziału kpił sobie z niego porucznik.

Wyciągnął nagan.

—Ty gnojku biały! Nie wygłupiaj się! Albo kawę na ławę, albo kulę połkniesz!

Porucznik wzruszył ramionami.

—Bałwan z ciebie, chociażś komisarz! Jeśli mnie zabijesz — nic się nie dowiesz!

Komisarz opuścił rewolwer i zaklął siarczyście.

—Będiesz jeszcze tańczył, jak ci zagram, sukinsynu — burknął. — Jeszcze inaczej będziesz śpiewał...

Porucznik uśmiechnął się kącikiem warg.

Jewsiukow splunął i odszedł.

—No, jak tam, towarzyszu komisarzu? — zapytał go jeden z czerwonoarmistów. — Do raju go posłać czy jak?

Komisarz podrapał się w łuszczący się nos.

—Nie... nie można. To gruba ryba. Do Kazalińska trzeba go dostarczyć. Tam w sztabie już będą umieli wyciągnąć z niego zeznania.

—A gdzież tam jego, diabła rogatego, ciągać? Nie wiadomo, czy sami żywi dojdziemy.

— Co to, ochficerów werbować zaczynamy?

Jewsiukow wypiął pierś i syknął:

— A tobie co do tego? Ja go biorę i ja za niego odpowiadam. Nie ma o czym gadać!

Odwrócił się i zauważył Mariutkę.

—O! Mariutka! Pozostawiam pod twoją opieką wielce szanownego porucznika. Pilnuj mi go jak oka w głowie! Z rąk go wypuścisz —tak stłukę, że się nie pozbierasz!

Mariutka w milczeniu zarzuciła karabin na ramię. Podeszła do jeńca.

— Ty, chodź no tutaj. Będiesz u mnie pod strażą. Tylko nie wyobrażaj sobie, że od baby drapnąć można. Na trzysta kroków w biegu trafię. Raz spudłowałam, ale na drugi raz nie licz, rybia cholera.

Porucznik spojrzał na nią z ukosa, usta zadrgały mu od tłumionego śmiechu, skłonił się z wyszukaną galanterią.

—Wielki to dla mnie zaszczyt być w niewoli u tak pięknej amazonki.

— Co?... Co tam ozorem mielesz? — krzyknęła Mariutka, obrzuciwszy go druzgocącym spojrzeniem. — Szantrapa! Pewno niczego więcej prócz kadryla tańcować nie umiesz! Nie strzęp gęby po próżnicy! Ruszaj girami! Naprzód marsz!

Tego wieczora zanocowali na brzegu małego jeziorka.

Spod lodu pachniała słona woda jodem i pleśnią.

Spali smacznie. Pozdejmowali z kirgiskich wielbłądów wołoki

i koce, okręcili się nimi, opatulili — było ciepło jak w raju.

Porucznikowi gwardii zawiązała Mariutka ręce i nogi wielbłądzim wełnianym czumburem*, owinęła się tym samym czumburem w pasie, a koniec jego zawiązała na swej dłoni.

Żołnierze rechotali. Wyłupiastooki Siemianny zawołał:

— Patrzcie no, Mariutka lubego chce sobie przyhołubić! Ziela czarodziejskiego mu zadaje!

Mariutka powiodła wzrokiem po rechocących żołnierzach.

— Wara ode mnie, rybia cholera! Śmichy-chichy... A co będzie, jak mi zwieje?

— Głupia! Gdzieżby miał zwiać! Co to, drugi łeb ma w zapasie? Gdzie będzie wiał? W piaski?

— W piaski nie w piaski, ale pewność nie zawadzi. Śpij ty, kawalerze niewydarzony!

Mariutka wepchnęła porucznika pod kozłkę, a sama położyła się obok niego.

Jak słodko się śpi pod wełnistą kozłką, pod szorstkim wołokiem! Od wołoku pachnie stepowym skwarem letnim, piołunem, dalą bezgraniczną piasków ziarnistych. Jak przyjemnie wylegiwać się w cieple, jak rozkosznie drzemie ukołysane ciało!

Chrapie pod kocem Jewsiukow, rozmarzyła się we śnie Mariutka — i wyprostowany śpi, zacisnąwszy suche, ładnie wykrojone usta, porucznik gwardii Gworucha-Otrok.

Tylko wartownik nie śpi. Siedzi na skraju kozłki, na kolanach trzyma nieodłączny karabin, bliższy mu niż żona, niż kochanka najmilsza.

Patrzy w białawy śnieżny mrok, w którym brzęczą głucho wielbłądzie dzwoneczki.

Czterdzieści cztery wielbłądy — tyle jest ich już teraz. Droga prosta przed nimi, choć niełatwa.

Nie ma już niewiary w sercach żołnierskich.

Huczy i świszczę wiatr porywisty, sypią się płatki śniegowe wartownikowi do rękawów. Kuli się z zimna wartownik, podnosi brzeg koszmy, narzuca sobie na plecy. Od razu przestają go digać lodowe noże, tając zaczyna skostniałe ciało.

Śnieg, mgła, piaski, piaski.

Ponura azjatycka kraina.

— A gdzie wielbłądy?... Wielbłądy gdzie, psia twoja mać? Przeklęty... drari ospowaty! Spać mu się zachciało! Spać!... I cóżeś ty narobił, bydlaku? Flaki ci powypruwam!

Wartownikowi w głowie aż się zakołowało od silnego kopniaka w bok.

Zmętniałymi oczyma wodzi dokoła.

Śnieg i mgła.

Mrok przydymiony, jak to przed świtem.

Piaski, piaski ziarniste.

Nie ma wielbłądów.

Tam gdzie pasły się wielbłądy, ślady zwierząt i ślady ludzi. Ślady kirgiskich iczygów z ostrymi noskami.

Szli pewno za nimi przez całą noc ukradkiem Kirgizi, ze trzech ich było, poczekali, aż wartownika sen zmoże, i wówczas wyprowadzili wielbłądy.

Stłoczyli się w milczeniu czerwonoarmiści. Znikły wielbłądy. Gdzie ich szukać? Nie dogonisz, nie znajdziesz wśród piasków...

— Rozstrzelać ciebie, sukinsyna, to za mało! — mówi Jewsiukow do wartownika.

Milczy wartownik, tylko łzy zawisły mu na rzęsach i zamarzły na kryształki lodu.

Wygramolił się spod koszmy porucznik. Rozejrzał się wkoło, gwizdnął przeciągle. Rzeki z uśmiechem:

— Dyscyplina sowiecka... powinszować! Ej, osły, gamonie, niezdary!

— Milcz, gnido! — syknął na niego z wściekłością Jewsiukow i jakimś obcym, drewnianym szeptem rzucił: — No, czego tu stać? Idziemy, chłopaki!

Już tylko jedenastu w łachmanach, słaniając się, przewalając z nogi na nogę, wdrapuje się na barchany.

Dziesięciu zostało na czarnej drodze — smutne drogowaskazy.

Rano zmętniały z bezsilności oczy otwierały się po raz ostatni, drętwiały unieruchomione, napuchnięte nogi, z krtani wydobywał się już nie głos, lecz zduszone rżenie.

Przybliżał się do leżącego na piasku malinowy Jewsiukow, lecz twarz jego już nie była tego samego koloru co kurtka. Zszarzała twarz komisarza, wyschła, a piegi na niej jaśniały jak wytarte miedziane grosiki.

Patrzył, głową kiwał. Potem — lodowata lufa komisarzkiego nagana parzyła zapadłą skroń, pozostawiając okrągłą poczerniałą dziurkę, bez kropli krwi prawie.

Przysypywali śpiesznie piachem i szli dalej.

Pozdzierały się kurtki i spodnie, poszarpały na strzępy filcowe buty, ludzie okręcali nogi kawałkami wołoku, owijali gałgankami poodmrażane palce.

Dziesięciu idzie, potyka się, ślania na wietrze.

A jeden stąpa prosto, równo, spokojnie.

Porucznik gwardii Goworucha-Otrok.

Nieraz mówili żołnierze do Jewsiukowa.

—Towarzyszu komisarzu! Długo jeszcze będziemy go z sobą ciągaliby? Tylko porcję przydziałową zżera bez żadnej potrzeby. Odzież, buty ma dobre, rozdzielić by między naszych można było...

Ale Jewsiukow nie pozwalał jeńca tknąć.

—Do sztabu go doprowadzę, albo razem z nim zdechnę. Sporo opowiedzieć może. Takiego człowieka nie wolno bez powodu zabijać. Od swego losu i tak nie ucieknie.

Ręce porucznik związane ma w przegubach czumburem, a koniec czumbura Mariutka za pasem trzyma. Ledwo wlecze się Mariutka. Na twarzy białej jak śnieg żółcą się wyogromniałe kocie oczy.

A po poruczniku nie widać nic. Bledszy tylko trochę.

Podchodzi do niego pewnego razu Jewsiukow, spogląda w ultramarynowe gałeczki i mówi głosem schrypniętym, jakby pies szczekał:

—Diabli cię wiedzą, jak to się dzieje — z żelaza jesteś czy co? Chudzielec z ciebie, a ciągniesz za dwóch. Skąd się w tobie taka siła bierze?

Uśmiechnął się porucznik tak jak zwykle i odpowiedział spokojnie:

—I tak nie zrozumiesz. Różnica kultur. U mnie duch panuje nad ciałem, a u ciebie ciało nad duchem. Mogę nakazać sobie, żebym nie cierpiał. Tak to jest.

—Tak to jest — powtórzył komisarz przeciągle.

Jeżyły się po bokach barchany, miękkie, sypkie, faliste. Na szczytach kłębił się z sykiem piasek, skręcał od wiatru jak żmija, ciągnęły się wzgórza w dal bez końca.

Ludzie padali na piasek, zgrzytając zębami. Skomleli zdławionym głosem:

— Nie pójdę dalej. Dajcie odpocząć. Sił nie mam.

Podchodził do leżącego Jewsiukow, kłął, bił, kazał wstawać.

— Chodź! Przed rewolucją nie wolno ci dezertować.

Wstawali. Szli dalej. Jeden z nich wdrapał się na szczyt barchanu.

Odwrócił się, wyszczerzył zęby i wrzasnął:

— Aral!... Chłopaki!

I przypadł twarzą do ziemi. Jewsiukow zebrał siły i także wbiegł na barchan. Od oślepiającego błękitu smagnęło po rozpalonych oczach.

Przymrużył powieki, podrapał piasek skurczonymi palcami.

Nie słyszał komisarz o Kolumbie, nie wiedział, że tak samo drapali palcami pokład karaweli hiszpańscy majtkowie, krzycząc: „Ziemia!”

ROZDZIAŁ CZWARTY

w którym Mariutka nawiązuje pierwszą rozmowę z porucznikiem, a komisarz ekwipuje ekspedycję morską

Na brzegu Morza Aralskiego natknęli się zaraz następnego dnia na kirgiski auł.

Przede wszystkim powiało zza barchanów ostrym zapaszkiem dymu z kiziaków * i od tej woni ścisnął żołądki bolesny spazm.

Zaokrągliły się w oddali rudawe kopulki jurt i z głośnym szczekaniem rzuciły się na spotkanie idącym niskie, kudłate psiaki.

Kirgizi stłoczyli się w pobliżu jurt, ze zdziwieniem i ze współczuciem patrząc na ledwo trzymających się na nogach ludzi.

Starzec z przyplaszczonym nosem pogładził najpierw rzadkie kosmyki bródki, potem przesunął ręką po piersi. Kiwnął głową

irzekł:

— Salem alejkum! Gdzie idziesz, tiuria?

Jewsiukow słabo uścisnął wyciągniętą do niego chropowatą dłoń.

— Czerwoni jesteście. Na Kazalińsk idziemy. Przyjmij nas, gospodarzu, nakarm. Wdzięczność ci za nas władza radziecka wyrazi.

Kirgiz potrząsnął bródką, zacmokał wargami:

— Uj-baj... Czirwoni askier*. Bolszak. Z centra przyszedł?

— Nie, tiuria! Nie ze środkowej Rosji idziemy. Od Gurjewa się wlecemy.

— Gurjaw? Uj-baj, uj-baj. Kara-Kum przeszedł?

W szparkach kirgiskich oczu zaiskrzył się strach — i zarazem szacunek dla tego człowieka w wypłowiałej malinowej kurtce, który mimo siarczystych lutowych mrozów przeszedł pieszo straszne Kara- -Kum od Gurjewa do Morza Aralskiego.

Stary klasnął w dłonie. Przybiegły kobiety, coś im tak rozkazał gardłowym gruchającym szeptem.

Ujął komisarza za rękę:

— Chodź, tiuria, do kibitki. Śpij mało-mało. Wyśpisz, pilawu zjesz.

Zwalili się jak tłumoki, półzywi. W zadymionym cieple jurt spali bez przerwy aż do zmierzchu. Kirgizi nagotowali pilawu, częstowali gościnnie, z sympatią głaskali żołnierzy po sterczących, wychudłych łopatkach.

— Jeść, tiuria. Jeść. Tiuria wyschła trochę. Jeść — zdrowa będziesz.

Jedli szybko, chciwie, omal się nie zadławili. Brzuchy pęczniały im od tłustego pilawu. Kilku aż zasłabło, ci pobiegli w step, drżące palce wpakowali do gardła, a gdy ulżyli sobie, wrócili i znów rzucili się na jadło. Rozgrzani, zmożeni gorącem, znów uwalili się spać.

Nie spało ich tylko dwoje: Mariutka i porucznik. Siedziała Mariutka przy żarzących się węgielkach mangala i chyba już nie pamiętała o męce, jaką przeszła.

Wyciągnęła z chlebaka ogryzek bezcennego ołówka i zaczęła powolutku stawiać litery na kartce ilustrowanego dodatku do „Nowych Czasów”, który wyblągała u Kirgizki. Całą stronicę dodatku zajmowała fotografia ministra finansów hrabiego Kokowcewa, a w poprzek wysokiego czoła i jasnej bródki ministra biegły na ukos linijki Mariutkowych wierszy.

A wokół pasa Mariutka wciąż trzymała okręcony czumbur, a drugi koniec czumbura ściągał mocno skrzyżowane za plecami ręce porucznika. Tylko na godzinę rozwiązała Mariutka ręce porucznikowi, żeby mógł najeść się wraz z innymi pilawu, ale gdy miał dość i odsunął się od kotła, związała je z powrotem.

Czerwonoarmiści podśmiewali się z niej:

— Co go tak trzymasz, jak psa na łańcuchu?

— Zadurzyłaś się w nim, Mariutka? Przywiąż, przywiąż do siebie najmilszego. Bo żeby w złą godzinę nie powiedzieć, jeszcze przyleci na czarodziejskim dywanie jakaś Baba Jaga i lubego ci ukradnie.

Mariutka nie raczyła zniżyć się do odpowiedzi.

Porucznik siedział, wsparty ramieniem o słup jurty. Wodził ultramarynowymi gałeczkami w ślad za prowadzonym z wysiłkiem po papierze ołówkiem.

Podał się całym ciałem ku przodowi i zapytał:

— Co piszesz?

Mariutka zerknęła na niego spod kosmyka rudych włosów, zsuniętych na czoło:

— A co to ciebie obchodzi?

— Może list trzeba napisać? Ty podyktuj, a ja napiszę.

Mariutka roześmiała się cicho.

— Widzicie go, jaki spryciarz! Ja mam ci ręce rozwiązać, a ty dasz mi raz dwa po pysku, i w nogi! Nie ma głupich, mój sokole! Twoja pomoc mi na nic. Nie list piszę, tylko wiersz!

Otworzył porucznik oczy szeroko, rzęsy zatrzepotały mu jak wachlarz. Oderwał plecy od słupa.

— Wie-e-e-rsz? Ty wi-e-e-rsze piszesz?

Mariutka przerwała na chwilę ołówkowe podrygi i oblala się rumieńcem.

— Coś się tak dziwił? Myślisz, że ty kadryla będziesz tańczył, a ja, co tam, duma chłopka? Nie głupszam od ciebie!

Porucznik wzruszył ramionami, rąk rozłożyć nie mógł.

— Wcale ciebie za głupią nie uważam. Dziwi mnie tylko. Czy to teraz czas na pisanie wierszy?

Mariutka odłożyła ołówek. Potrząsnęła głową i rudawy brąz włosów rozsypał się jej na ramionach.

— Cudak z ciebie! Twoim zdaniem wiersze tylko w betach pisać można? A co zrobić, jeśli we mnie dusza cała kipi? Jeśli umyśliłam sobie spisać, jakeśmy o głodzie i chłodzie przedzierali się przez te piaski? Tak wszystko wyrazić, żeby ludziom aż dech sparło! Całą duszę w nie wkładam. Tylko że drukować nie chcą. Mówią, że jeszcze uczyć się trzeba. A skąd ja czas wezmę na naukę? Z całego serca piszę, szczerze, po prostu!

Porucznik uśmiechnął się z lekka.

— A może byś mi przeczytała? Bardzo ciekaw jestem. A na wierszach się znam.

— Nie zrozumiesz. Krew w tobie pańska, obmierzła. Tobie trzeba by wierszy o kwiatuszkach, o kochaniu, a ja o biednym ludzie, orewolucji piszę — rzekła Mariutka smętnie.

— Dlaczego nie miałbym zrozumieć? — odrzekł porucznik. — Może treść dla mnie będzie obca, ale człowiek człowieka zawsze zrozumie.

Mariutka niezdecydowanie obróciła Kokowcewa do góry nogami. Zamyśliła się.

— No, niech cię diabli... posłuchaj. Tylko się nie śmieję. Tobie pewnie tatuś do dwudziestego roku życia guwernerów trzymał, a ja sama, własnymi siłami do wszystkiego dochodziłam.

— Nie... Słowo daję, śmiać się nie będę.

—No to posłuchaj. Tu wszystko jest napisane. Jak z Kozakami walczyliśmy, jak na step uciekaliśmy.

Mariutka odchrząknęła, zniżyła głos i zaczęła skandować wiersz, rąbiąc słowa i przewracając dziko oczyma:

Gdy Kozacy nacierali,

Z nimi carski knut i duch. Wnet przywitał ich kulami Żołnierz nasz czerwony zuch.

Dużo było tych Kozaków,

Trza się było cofać stąd, Jewsiukow nam kazał walczyć, Przerwać ten nikczemny front.

Strzelaliśmy z cekaemów,

Dla nas śmierć powszedni chleb, Tam kompania padła cała,

A dwudziestu uszło w step.

— A dalej nijak się nie składa, choćbym pękła... Nie wiem, jak o tych wielbłędach wstawić, rybia cholera — rzekła Mariutka i głos jej się załamał.

Niebieskie kuleczki w oczach porucznika pozostały w cieniu, tylko w białkach odbijał się liliowym poblaskiem wesoły żar mangała. Milczał chwilę, zanim odpowiedział.

— No, cóż... mocne. Dużo uczucia, wyrazu. Widać, że z serca pisane. — I nagle porucznik szarpnął się całym ciałem, jak gdyby miał silną czkawkę, i dodał z pośpiechem: — Nie obrażaj się, moja droga, ale te wiersze są bardzo kiepskie. Nie dopracowane, niewprawne...

Zasmuconej Mariutce kartka z wierszami wypadła z rąk. W milczeniu wbiła wzrok w pułap jurty. Wzruszyła ramionami.

— Mówiłam ci przecież, że moje wiersze są takie więcej wzruszające. Wszystko mi we środku płacze, jak o tym piszę. A że niedopracowane — wszędzie mówią mi kubek w kubek to samo co ty. „Wasze wiersze są nie wykończone, drukować ich jeszcze nie można”. A jak to dopracować, wykończyć? Co się w tym kryje, co to za trudna sprawa? Wy jesteście jenteligent, może wy wiecie? — Mariutka z wielkiego przejęcia zaczęła mówić porucznikowi „wy”.

Porucznik milczał.

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Wiersze pisać, widzisz, to sztuka. A każda sztuka potrzebuje nauki, każda sztuka ma swoje prawa i zasady. Jeśli inżynier na przykład nie będzie znał wszystkich zasad budowy mostu, to albo mostu wcale nie zbuduje, albo zbuduje kiepski, do niczego, sfuszerowany...

— No tak, most? Do tego archmetykę trzeba znać, różne tam jenżenierskie sztuczki. A wiersze są tu u mnie we środku, pod sercem, już od samej kolebki. Może to... talent, co?

— Cóż z tego? Talentowi potrzebna nauka, żeby mógł się rozwinać. Inżynier dlatego właśnie jest inżynierem, a nie doktorem na przykład, że od

urodzenia ma pociąg do budowania. Ale jeżeli uczyć się nie będzie, nic z tego nie wyjdzie, sam diabeł nie pomoże.

— Tak?... Jakie to są rzeczy na świecie, rybia cholera. No, jak przestaniem wojować, do szkoły pójde, muszę iść, żeby nauczyli mnie wiersze pisać. Są takie szkoły pewno, co?

—Może i są — odparł porucznik w zamyśleniu.

— Pójde do szkoły, żeby nie wiem co! Za skórę mi zalazły te wiersze! Aż mi dusza się rwie, żeby wydrukowali w jakiej książce, i wszędzie z podpisem: „Wiersz Marii Basowej”.

Mangał zgasł. Wśród ciemności szemrał wiatr, tłukł się między wojłokami jurty.

— Słuchaj no, kadet — rzekła naraz Mariutka — bola cię łapy, co?

— Nie bardzo. Zdrętwiały mi tylko.

— No widzisz. Przysięgnij, że nie zwiejesz — a ja cię rozwiążę.

— A gdzieżbym zwał? W piaski? Żeby szakale mnie rozszarpały? Nie ma głupich.

— Nie, musisz przysiąc. Powtarzaj za mną: „Przysięgam na biedny proletariat, który walczy o swoje prawa, przed czerwonoarmistką Marią Basową, że nie chcę uciekać”.

Porucznik powtórzył słowa przysięgi.

Mocno zaciśnięta pętla czumbura rozluźniła się, uwalniając ręce porucznika, opuchnięte w przegubach.

Porucznik z przyjemnością poruszył palcami.

• — No, śpij — ziewnęła Mariutka. — Jeśli teraz uciekniesz, ostatnia Świnia będziesz. Masz kosznię, nakryj się.

— Dziękuję, wolę kożuszek. Dobranoc, Mario...

— Filatowna — dokończyła Mariutka z godnością i dała nura pod kosznię.

Komisarzowi śpieszyło się: chciał jak najprędzej dać znać o sobie do sztabu frontu.

W aule mieli odpocząć, rozgrzać się i najeść. Po tygodniu postanowił ruszyć okreśną drogą, wzdłuż brzegu w stronę osady Aralskiej, a stamtąd do Kazalińska.

Od Kirgizów, którzy zjawili się w wiosce następnego tygodnia, Jewsiukow dowiedział się, że w odległości czterech wiorst burza jesienna wyrzuciła na brzeg zatoki łódź rybacką. Kirgizi mówili, że łódź nadaje się jeszcze całkowicie do użytku. Na brzegu została, a rybacy pewno potonęli.

Komisarz poszedł zobaczyć tę łódź.

Była prawie jak nowa, z mocnej żółtej dębiny. Burza jej nie uszkodziła. Tylko żagiel był rozdarty i ster wyrwany.

Po krótkiej naradzie z czerwonoarmistami Jewsiukow zaproponował, żeby część ludzi przepравиła się od razu teraz przez morze do ujścia Syr Darii. Na łodzi mogą pomieścić się swobodnie cztery osoby z niedużym obciążeniem.

— Tak będzie najlepiej — zdecydował komisarz. — Po pierwsze, jeńca dowieziemy wcześniej. Diabli wiedzą, co jeszcze może się po drodze zdarzyć, a jego trzeba bezwarunkowo przekazać sztabowi. A jak w sztabie się o nas dowiedzą, przyślą nam na koniach pomoc z umundurowaniem i z innymi rzeczami. Przy pomyślnym wietrze łódź w trzy, cztery dni przetnie Morze Aralskie, a na piąty dzień dotrze do Kazalińska.

Jewsiukow napisał raport i włożył go razem z dokumentami porucznika, które przez cały czas nosił w wewnętrznej kieszeni swej kurtki, do płóciennego woreczka, a woreczek zaszył.

Kirgizki załatały żagiel kawałkami maty, komisarz sam zmajstrował nowy ster z połamanych desek i z wyjętej z łodzi ławeczki.

W mroźny lutowy poranek, gdy niskie słońce niby wypolerowana miedziana misa przesuwano się po pustym turkusowym niebie, wydeptaną przez wielbłądy ścieżką przeciągnęli łódź do skraju lodów. Spuszczono łódź na szeroką wodę, ludzie powiadali.

Jewsiukow rzekł do Mariutki na pożegnanie:

— Ty będziesz kierowała wszystkim. I na tobie spoczywa za wszystko odpowiedzialność. Uważaj dobrze na kadeta. Jeśli ci ucieknie, nie ma dla ciebie życia na ziemi. Musisz dostarczyć go do sztabu, żywego czy umarłego. A gdybyście się na białych gdzie natknęli przypadkiem, nie oddawaj go żywcem. No, ruszajcie w drogę!

ROZDZIAŁ PIĄTY

ściągnięty w całości z Daniela Defoe z tą różnicą, że Robinson nie musiał długo czekać na swego Piętaszka

Morze Aralskie — to morze niewesołe.

Brzegi jego są płaskie, na nich zielsko, chwasty, piaski, ruchome wzgórza. Wyspy na tym morzu rozpląszczone na wodzie — jak bliny wylane na patelnię; brzeg ledwo widać, a życia na nich ani śladu.

Ani ptactwa, ani rośliny, a człowieka można spotkać tylko latem. Największa wyspa zwie się Barsa-Kelmes.

Co znaczy ta nazwa, nie wiadomo, ale Kirgizi mówią, że „zguba człowieka”.

Latem z osady Aralskiej jeżdżą na wyspę rybacy. Dobry połów jest na wyspie Barsa-Kelmes, aż kipi w wodzie od ryb.

Ale jak rykną wichry jesienne i wzbijają się wzwyż spienione grzywacze, chronią się rybacy w cichej zatoce osady Aralskiej i do wiosny nosa nie wytykają.

O ile do tego czasu nie zwiozą z wyspy wszystkiego, co złowili, zostawiają rybę na przezimowanie w przewiewnych drewnianych szopach, osoloną i posortowaną.

Gdy zima jest bardzo surowa, zamarza morze od Zatoki Czerny- szewa aż do samego Barsa — i wówczas szczekuszki stepowe mają używanie. Biegają po lodzie na wyspę i nażerają się solonego karpia czy suma w takich ilościach, że zaraz na miejscu zdychają.

1 wówczas gdy pęka już pokrywa lodowa na Syr Darii i popłyną roztopy żółtą gliniastą wodą, nie znajdują rybacy nic z pozostawionych na wyspie solonych zapasów.

Ryczą, huczą, wzdymają się na morzu grzywacze — od listopada do lutego. W pozostałym czasie z rzadka tylko nadciągają małe sztormy, latem zaś stoi Aral nieruchomy — niczym drogocenne zwierciadło.

Nieciekawe jest Morze Aralskie.

Jedyna radość dla oczu to kolor błękitny, niezwykle.

Błękit głęboki, aksamitny, szafirem się mieni.

We wszystkich podręcznikach geografii jest o tym mowa.

Liczył komisarz na to, wysyłając Mariutkę i porucznika, że w ciągu najbliższego tygodnia pogoda dopisze. I Kirgizi, orientując się według znanych od dawna oznak, zapowiadali ładną pogodę.

Dlatego też wypłynęli łodzią Mariutka, porucznik i dwaj chłopcy z wodnym żywiołem obeznani — Siemianny i Wiachir — drogą morską na Kazaliósk.

Wesoło wzdymał się załatany żagiel, gdy trzepotał nim łagodny wiaterek. Sennie skrzypiał ster i kipiała pod burta gęsta, oleista piana.

Rozwiązała Mariutka ręce porucznika — gdzież to człowiek z łodzi ucieknie? — i siedział Goworucha-Otrok na przemian z Siemian- nym a Wiachirem przy szkotach.

Sam siebie do niewoli wiózł.

A gdy oddawał szkoty żołnierzom, kładł się na dnie łodzi, przykrywał koszmą i uśmiechał się do swoich myśli sekretnych, nikomu prócz niego nie znanych.

Niepokoilo to Mariutkę.

„I czego to chichoce cały czas? Jakby do domu jechał na przyjemności jakie. A przecież jeden koniec go czeka — przesłuchają w sztabie i pod ścianę. Głupie to, szalona pała”!

A porucznik uśmiechał się, nie wiedząc, co tam sobie Mariutka myśli. Nie wytrzymała Mariutka, zapytała:

— Gdzieś ty to do wody przywykł?

Pomyślał chwilę Goworucha-Otrok, zanim odpowiedział.

— W Petersburgu... Jacht swój miałem... Duży... Na morze wypływałem.

— Co za jacht?

— Łódź taka... żaglówka.

— A to ci nowina! Co to „jacht”, wiem nie gorzej od ciebie. U burżujów w Astrachaniu niemało się napatrzyłam. Było tam ich całe mnóstwo. Wszystkie białe, wysokie, a zgrabne, jak łabędzie. Nie o to pytam. Jak się nazywał?

— nNelly”.

— Cóż to za takie jakieś imię?

— Siostra moja tak się nazywała, a po niej jacht.

— Takie imię chrześcijańskie nie istnieje.

— Helena... A po angielsku: Nelly.

Mariutka zamilkła, spojrzała na białe słońce, mieniające się chłodnym, migotliwym miodem. Pelzło w dół, ku niebieskiej aksamitnej wodzie.

Po chwili odezwała się znowu:

— Woda! Jaka niebieściutka! W Kaspickim Morzu zielona, a tu ojej, jaka niebieska!

Porucznik odpowiedział na pół do siebie:

— Według skali Forela zbliża się do stopnia trzeciego.

— Co takiego? — odwróciła się niespokojnie Mariutka.

— A to ja tak tylko, do siebie... O wodzie mówię. Wiem z hydrografii, że w Morzu Aralskim woda przybiera intensywny kolor niebieski. Forel zestawił tablicę odcieni wody morskiej. Najbardziej niebieska jest w Oceanie Spokojnym. A tutejsza przybliża się do stopnia trzeciego według tej tablicy.

Mariutka przymknęła oczy, jak gdyby chciała wyobrazić sobie tę tablicę Forela, pomalowaną na różne tony błękitu.

—Bardzo niebieska, nawet trudno z czymkolwiek porównać? Niebieska jak...

Otworzyła oczy i nagle wpiła swe żółte kocie źrenice w ultramarynowe kuleczki oczu porucznika. Szarpnęła się ku przodowi, drgnęła całym ciałem, jakby dokonała jakiego niezwykłego odkrycia, rozwarła w zdumieniu usta i wyszeptała:

—Matko moja... Panienki masz w oczach kubek w kubek takie same jak ta niebieska woda! A ja się patrzę, co to w nich takiego znajomego... Rybia cholera!

Porucznik milczał.

Widnokrąg zalał się pomarańczową krwią. Woda w dali połyskiwała atramentowym odblaskiem. Wionęło lodowatym zimnem.

—Od wschodu ciągnie — otrząsnął się Siemianny, otulając się strzępkami płaszcza.

—Żeby tylko burzy nie było — odezwał się Wiachir.

—Mowy nie ma. Powiosłujemy jeszcze z dwie godzinki, Barsę widać będzie. W razie wiatru —zanocujemy.

Zamilkli. Łódź zaczęła podskakiwać na pociemniałych, ołowianych grzbietach fal.

Po stalowoczamym skudłaconym niebie przesunęły się dwie wąskie smużki chmur.

—Tak jak mówiłem. Burza nadciąga.

—Pewno tę Barsę zaraz zobaczymy. Po lewej w namiarze powinna być. Przekłête miejsce ta Barsa. Ze wszystkich stron piasek, choćbyś pękł! I tylko wiatr huczy... Popuszczaj szkoty, ścierwo, popuszczaj! To nie szelki generalskie!

Porucznik nie zdążył w porę wyluzować liny. Łódź skrajała wodę burta, piana potokiem chlusnęła w twarze.

—A bo to moja wina? To Maria Fiłatowna zagapiła się przy sterze.

—Ja się zagapiłam? Opamiętaj się, rybia cholera! Od piątego roku życia przy sterach siedzę!

Fale doganiały łódź z tyłu — wysokie, czarne, podobne do smoczych grzbietów — chwytaly za burty syczącymi szczękami.

—Ech-ech, matko!... Byleby jak najprędzej do tej Barsy dopłynąć. Ciemno, choć oko wykol!

Wiachir wbił oczy w ciemność. Naraz krzyknął radośnie:

— Jest! Jest tam, draństwo!...

Wśród mgły i bryzgów zamajaczył niski bielejący pasek.

—Kieruj się na brzeg — syknął Siemianny. — Daj Boże, żeby dopłynąć!

Fala z trzaskiem podniosła rufę, przejmująco jęknęły wręgi. Grzywacz runął na łódź, wody nalało się aż po kostki.

— Czerpać wodę! — pisnęła Mariutka, zrywając się na równe nogi.

—Czerpać, ale czym? Czerpaka, choroba nie ma!

—Czapkami!

Siemianny i Wiachir zerwali papachy, jęli gorączkowo wylewać wodę z łodzi.

Porucznik wahał się przez chwilę. Zdjął swoją futrzaną finkę i także rzucił się na pomoc.

Biała niska smuga nalatywała na łódź. Już widać było, że to płaski przyprószony śniegiem brzeg. Białe, jeszcze bielsze od nagromadzonej

kipiącej piany.

Wiatr wściekał się, wył, zanosił się ujadaniem jak pies, podrzucał coraz wyżej rozkołysane, rozpluskane wzgórki.

Z szaleńczym rozmachem rzucił się na żagiel, wydał go, aż spęczniał niby brzuch ciężarnej baby, szarpnął co sił.

Stare płótno pękło z hukiem armatniego strzału.

Siemianny i Wiachir rzucili się do masztu.

— Trzymaj końce! — przeraźliwie ryknęła od rufy Mariutka, naciskając piersią rumpel.

Wzdęta jak trąba powietrzna, lodowata fala runęła z tyłu, zwała łódź na bok, przetoczyła się ciężką szklistą galaretą.

Gdy łódź, prawie do burty nalana wodą, wyprostowała się znów, już ani Siemiannego, ani Wiachira przy maszcie nie było widać. Chlustał tylko mokrymi strzępami rozdarty żagiel.

Porucznik siedział na dnie łodzi, po pas w wodzie, i żegnał się częstym znakiem krzyża.

—Psiakrew... Czegoś oklapł? Czerp wodę! — i po raz pierwszy w życiu Mariutka poczęstowała porucznika soczystą żołnierską „wiązańką”.

Zerwał się porucznik, skulił się jak obity szczeniak, rozbryzgał wodę dokoła.

Mariutka krzyczała w noc, w świst wichru:

— Siemia-aaaa-nnyyyy. Wia-ia-ia-ia-chiir.

Bryzgała wysoka piana. Ale głosów ludzkich nie słyhać było.

Potonęli, przekłęci...

Wiatr znosił na pół zatopioną łódź na brzeg. Dokoła nic, tylko kipiel wodna. Znów pchnęło łódź od tyłu, dno poszorowało po piasku.

— Skacz w wodę! — krzyknęła Mariutka i wyskoczyła sama z łodzi.

Porucznik zwał się w ślad za nią.

— Ciągnij łódź!

Uchwycili się dzioba i oślepieni bryzgami wody, podcinani przez falę, ciągnęli łódź w stronę brzegu, aż wbiła się ciężko w piasek. Mariutka zabrała z łodzi karabiny.

— A ty bierz worki z żarciem! Ciągaj!

Porucznik wypełnił posłusznie rozkaz. Dobrnawszy do suchego miejsca, Mariutka rzuciła karabiny na piasek. Porucznik złożył obok nich worki.

Raz jeszcze Mariutka krzyknęła w mrok:

— Siemianny! Wiachir!

Nie było odpowiedzi.

Usiadła na workach i po babsku zapłakała.

Porucznik stał za nią. Szczęki latały mu, zęby zgrzytały.

Wreszcie wzruszył ramionami i rzucił wiatrowi:

— A niech to lichy!... Zupełnie jak w powieści: Robinson w towarzystwie Piętaszka!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

w którym nawiązuje się druga rozmowa i zostaje wyjaśnione szkodliwe działanie fizjologiczne wody morskiej

otemperaturze +2 Réaumura

Porucznik dotknął ramienia Mariutki.

Kilkakrotnie usiłował coś powiedzieć, ale nie pozwalały mu na to szczękające z zimna zęby.

Podparł dolną szczękę pięścią i rzekł wreszcie:

— Płaczem nic nie pomoże. Trzeba iść. Nie będziemy tu przecież siedzieli! Zamarzlibyśmy!

Mariutka podniosła głowę. Powiedziała bez cienia nadziei w głosie:

— Dokąd pójdziesz? Na wyspie jesteśmy. Woda dokoła.

— Trzeba iść. Podobno są tu gdzieś jakieś szopy.

— Skąd wiesz? Byłeś tu kiedy, czy co?

— Nie, nie bytem nigdy. Ale jako uczeń w gimnazjum czytałem, że tutaj rybacy stawiają szopy i przechowują w nich ryby. Trzeba taką szopę znaleźć.

— No, a jak już znajdziemy, to co będzie?

— Prześpimy się, sen przynosi dobrą radę. Wstawaj Piętaszku!

Mariutka spojrzała na porucznika przerażona.

— Co ty? Sfiksowałeś?... O, Boże! Co ja z tobą teraz zrobię? Jaka znów pięta?

— Mniejsza z tym! Nie zwracaj uwagi! Potem ci wytłumaczę. Wstawaj!

Mariutka wstała posłusznie. Porucznik schylił się, żeby podnieść

karabiny, lecz ona chwyciła go za rękę.

— No, no!... Nie uda ci się! Słowo mi dałeś, że nie uciekniesz!

Porucznik wyrwał jej rękę i wybuchnął ochryplym śmiechem:

— Widać to nie ja sfiksowałem, tylko ty! Puknij się w głowę i pomyśl: czy ja mogę myśleć teraz o ucieczce? A karabiny chcę nieść, żeby ci nie było za ciężko.

Mariutka przycichła. Po chwili rzekła miękko i z powagą:

— Dziękuję za pomoc. Ale ja otrzymałam rozkaz, żeby cię odstawić do sztabu... Nie mogę dawać ci broni do ręki, bo za ciebie odpowiadam.

Porucznik wzruszył ramionami, schylił się i podniósł worki. Ruszył pierwszy. Piasek, przemieszany ze śniegiem, chrzęścił pod nogami. Niski, drażniący jednostajnością brzeg zdawał się ciągnąć bez końca.

W dali coś tam zaszarzało, przysypane śniegiem.

Mariutka ledwo powłóczyła nogami, uginając się pod ciężarem trzech karabinów.

— Trzymaj się, Mario Fiłatowna! Cierpliwości! To są pewnie te szopy.

— Żeby to już jak najprędzej... Sił nie mam. Przemarzłam do szpiku kości.

Dotarli wreszcie do szopy. Panowała tu nieprzenikniona ciemność i mdlący, zatęchły zapach ryb i soli, która na wskroś przeszła rdzą.

Porucznik wymacał po ciemku stosy leżących jedna na drugiej ryb.

—Oho! Są ryby! Przynajmniej z głodu nie pomrzemy.

— Żeby choć światła trochę... żeby rozejrzeć się można było... Może jaki kąt znajdziemy, żeby tak nie wiało? — jęczała Mariutka.

—No, elektryczności tu się nie doczekasz.

—• Rybę podpalić można... Ryba tłusta.

Porucznik wybuchnął śmiechem.

—Rybę podpalić?... Tyś chyba zwariowała!

—Dlaczego miałam zwariować? — zapytała Mariutka obrazo- • na. — U nas nad Wołgą ileż to razy tak robili... Ryba pali się jaśniej niż drzewo!

—Pierwszy raz słyszę... Ale czym podpalić?... Hubkę mam, a szczapy na rozpałkę...

—Ech ty, kawalerze malowany!... Widać, żeś całe życie pod kiecką u mamusi siedział. No, wywalaj kule, a ja tymczasem drzazgi ze ściany pozdzieram.

Porucznik z trudem wyłuskał skostniałymi palcami z trzech magazynków kule karabinowe. Mariutka po ciemku natknęła się na niego, gdy szła ze szczapami.

—Nasyp tu prochu!... W jedno miejsce... Dawaj hubkę!

Hubka zatliła się pomarańczową kropeczką. Mariutka wsunęła ją między kupkę prochu. Zasyczał, zapłonął żółty ognik, zajęły się suche drzazgi.

—Gotowe! — ucieszyła się Mariutka. — Dawaj rybę! Karpia przynieś, ale żeby był tłusty!

Na rozpalonych szczapach ułożyła na krzyż ryby. Skurczyły się, buchnęły tłustym gorącym płomieniem.

—Teraz tylko dokładaj. Ryb na pół roku starczy!

Mariutka rozejrzała się wkoło. Płomień drżał i rzucał chybocliwe cienie na zwalone na stos ryby. Drewniane ściany szopy były pełne dziur i szczelin.

Mariutka przeszła się po szopie. Krzyknęła gdzieś z kąta:

—Tu nie wieje! Podkładaj ryby, żeby nie zagasło. Ja tu zaraz z boków pozatykam! Zobaczysz, jaki ładny czysty pokoik urządzę!

Porucznik siadł przy ognisku. Grzał się skulony. Z kąta dobiegały szmery i szelesty — to Mariutka przerzucała ryby z miejsca na miejsce.

Wreszcie zawołała:

— Gotowe! Dawaj tu ogień!

Porucznik podniósł za ogon palącego się karpia i wraz z tą żagwią przeszedł do kąta. Mariutka z trzech stron obudowała rybami przestrzeń o wymiarach jednego sążnia.

— Chodź, podpal. Ryb tu nakładłam. A ja tymczasem coś do żarcia przygotowuję.

Porucznik podłożył karpia pod złożone w cegielki ryby. Stos rozpalał się powoli, jakby niechętnie. Mariutka wróciła, postawiła w kącie karabiny, złożyła worki.

— Ech, rybia cholera! Chłopaków szkoda. Bez potrzeby potopili się.

— Dobrze byłoby odzież wysuszyć. Przeziębic się można.

— Co to trudnego? Od ryb żar idzie, gorąco. Rozbieraj się, wysuszaj!
Porucznik zmieszał się.

— Wy osuszcie się pierwsza, Mario Fiłatowna. A ja poczekam. Rozbiore się, wysuszę potem.

Mariutka z politowaniem spojrzała na jego drżącą twarz.

— Ech, dureń z ciebie! Widzicie go... Paniczyk. Co to straszego? Golej baby nigdy nie widział?

— Ale ja nie dlatego... Może wam jest jakoś... niezręcznie?

— Bzdura! Abośmy to nie z jednego mięsa? Wielka mi różnica! — I prawie krzyknęła na niego: — Rozbieraj się, fujaro! Zębami szczeka to jak karabin maszynowy. Męczę ja się z tobą, oj, męczę!

Na skrzyżowanych karabinach zawisło, zadymiło się nad ogniem ubranie obojga.

Porucznik i Mariutka siedzieli naprzeciw siebie przy ogniu, raz po raz odwracając się z rozkoszą, żeby ciepło od ogniska rozchodziło się po ich ciałach równomiernie.

Mariutka uważnie, nie odrywając oczu, wpatrywała się w białe, delikatne, wychudłe plecy porucznika. Parsknęła śmiechem.

—Aleś ty biały, rybia cholera! Nic innego, tylko w śmietance cię kapali!

Porucznik oblał się rumieńcem i odwrócił głowę. Chciał coś odpowiedzieć, ale gdy wzrok jego napotkał żółty odbłask, wyokraglają- cy pierś Mariutki, spuścił swe ultramarynowe oczy.

Odzież wyschła. Mariutka narzuciła na ramiona kożuszek.

—Pospać by trzeba. Do jutra może burza ucichnie. Na szczęś- cie łódź nie utonęła. Jak będzie spokojnie, to może jakoś tam do Syr Darii dopłyniemy, a tam już rybaków napotkamy. Kładź się, a ja ognia dopilnuję. A jak sen mnie zmorzy, to ciebie obudzę. Będziem na przemian dyżurowali.

Porucznik podłożył ubranie pod głowę, nakrył się kożuszkiem. Zasnął jak kamień, przez sen postękiwał. Mariutka popatrzyła na niego i wzruszyła ramionami.

„Ale mi na głowę spadło! Jaki on watlutki! Żeby się tylko nie przeziębził! W domu pewno go w atłasy, jedwabie owijali! Ech, życie, życie, rybia cholera!”

Rankiem, gdy w szparach dachu zaszarzał dzień, Mariutka zbudziła porucznika.

— Słuchaj, teraz ty ognia popilnuj, a ja pójdę na brzeg, rozejrzę się, może nasi wypłynęli, może gdzie siedzą.

Porucznik podniósł się z trudem. Ścisnął skronie rękoma, jęknął głucho:

— Głowa mnie boli.

— Nic takiego... To z dymu i ze zmęczenia. Przejdzie. Placuszki są w worku, weź sobie, rybę podsmaż i wcinaj.

Sięgnęła po karabin, otarła go połą kożuszka i wyszła.

Porucznik na klęczkach przyczołgał się do ogniska, wyciągnął z worka przemoczony czerstwy placuszek. Ugryzł kęs, potrzymał w ustach, wypłuł i jak tłumok zwałił się na ziemię tuż przy ogniu.

Mariutka szarpała porucznika za ramię. Krzyczała z rozpaczą w głosie. —

Wstawaj!... Wstawaj, przeklęty!... Nieszczęście!

Porucznik otworzył oczy szeroko, usta rozdziawił.

— Wstawaj, mówię ci! Oj, bieda z nami, bieda! Fala łódź zniosła! Zginiemy, przepadniemy teraz!

Porucznik patrzył w jej twarz i milczał.

Popatrzyła na niego Mariutka i jęknęła.

Ultramarynowe kuleczki w oczach porucznika były powleczone mgłą, nieprzytomne. Od policzka, którym przypadł bezsilnie do ręki Mariutki, bił żar jak od ogniska.

—Przeziębł się jednak, lala malowana!... I co ja teraz z tobą zrobię?

Porucznik ledwo dostrzegalnie poruszył wargami.

Mariutka nachyliła się nad nim, usłyszała:

—Panie profesorze... Proszę nie stawiać mi pałki... Nie mogłem się nauczyć... Na jutro przygotowuję...

— Co ty tam bełkoczesz? — drgnąwszy, zapytała Mariutka.

—Trezor... bierz go... kuropatwa... — krzyknął nagle porucznik, zrywając się na równe nogi.

Mariutka cofnęła się i zakryła twarz rękoma.

Porucznik znów upadł na ziemię, palcami zaczął przebierać w piasku.

Szybko, bardzo szybko coś wymamrotał, dławiąc się własnymi słowami.

Mariutka rozejrzała się wokoło, zrozpaczona.

Zdjęła kożuszek, rzuciła go na piasek i z wysiłkiem przeciągnęła tam nieprzytomnego porucznika. Nakryła go kożuszkciem.

Usiadła obok niego, skulona, bezradna. Po jej zapadniętych policzkach potoczyły się z wolna łzy.

Porucznik miotał się, zrzucał kożuszek, ale Mariutka poprawiała go uparcie za każdym razem i otulała aż pod brodę.

Gdy spostrzegła, że głowa jego leży nisko, podłożyła worki. Patrząc w górę, łamiącym się głosem powiedziała jakby w stronę nieba.

—Umrze mi przecież... I co ja Jewsiukowowi powiem! Ach, ty, nieszczęście moje, nieszczęście!

Nachyliła się nad pałającą w gorączce twarzą, zajrzała w zmętniałe błękitne oczy.

Poczuła ostre ukłucie w piersi. Wyciągnęła rękę i leciutko pogładziła zmierzwiłone, falujące włosy porucznika. Objęła jego głowę obiema rękoma i wyszeptała czule:

— Dureń ty mój, dureń... niebieskooki!...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

na początku niebywale zagmatwany, ale wyjaśniający się pod koniec Trąby srebrne, a na trąbach wiszące dzwoneczki.

Trąby grają, dzwoneczki dzwonią takim delikatnym, lodowatym brzęczeniem.

Tili-dziń, dziń, dziń.

Tili-tili, dlam-dlam-dlam.

A trąby grają swoje:

Tu-tu-tu-tu, tu-tu-tu-tu.

Bez wątpienia marsz. Marsz. Oczywiście ten sam, co zawsze podczas defilady.

I plac obryzgany słońcem, przesianym przez jedwabistą zielen klonów, także ten sam.

Kapelmistrz dyryguje orkiestrą.

Stoi odwrócony plecami do orkiestry, z rozcięcia szynela ogon wysunął, wielką rudą lisia kite, a na koniuszku ogona sterczy złota szyszeczka, a w

szyszeczcze umocowany jest kamerton.

Ogonem na wszystkie strony wymachuje, kamertonem ton podaje,
kornetom i puzonom wskazuje, kiedy ich kolej, a gdy się który muzyk zagapi
— kamertonem go w łeb.

Muzycy ze skóry wylażą, żeby wszystko było dobrze. Ciekawi ludzie ci
muzycy.

Żołnierze jak to żołnierze, z lejbgwardii różnych pułków.

Ale ci trębaczecze wcale ust nie mają... Pod nosem — gładziutko. A trąby do
nosów, w lewe nozdrze powtykane.

Trębacz prawym nozdrzem powietrze wdycha, lewym w trąbę dmie i
dlatego właśnie trąby mają taki osobliwy ton, dźwięczny i wesoły zarazem.

—Do de-e-fi-lady przygotuj się!

—Do de-la... Na ramię broń!

— Puułk!

—Bata-li on!

—Kompania-a-a!

— Od prawej plutonami... Pierwszy batalion... marsz!

Trąby. Tu-tu-tu. Dzwoneczki: dziś, dziś, dziś.

Kapitan Szwecow tańczy, przytupuje. Tylek kapitan ma jędrny, gładki,
jak szynka wieprzowa. Dryg, dryg.

— Zuchy chłopaki!

— Dram-am, aw-gaw-gaw!

— Porucznik!

— Porucznik. Porucznik, do generała!

— Który porucznik?

— Z trzeciej kompanii, Goworucha-Otrok, do generała!

Generał na koniu siedzi, na samym środku placu. Czerwony na
twarzy, wąsy ma siwe.

— Co to za bałagan, panie poruczniku?

— Chi! Chi! Chi! Cha! cha! cha!

— Czyś pan zwariował... Śmieje się pan?... Ja pana... pan wobec kogo?

— Ho-ho-ho!! Przecież pan nie generał, tylko kocur, wasza ekscelencjo!

Siedzi generał na koniu. Do pasa — generał jak generał, a od pasa nogi

jak u kota. Żeby chociaż rasowego kota, ale i to nie. Zwykły kot, podwórzowy, takie szare, oblaźle, pręgowane koty, co to po podwórkach i dachach się włóczą.

I nogi pazurami kocimi w strzemiona się wbiły.

— Pod sąd pana oddam, poruczniku! Niesłychana historia: Oficer gwardii — i nagle pępek mu wyłazi!

Spojrzał w dół porucznik i oniemiał. Spod szalika pępek wyszedł, cienka kieszka taka, zielonego koloru, a sam koniuszek, sam pępuszek ruchem odśrodkowym z zadziwiającą szybkością wiruje. Chciałby złapać pępek, a on się wyrzywa.

— Aresztować go! Za złamanie przysięgi!

Wyciąga generał ze strzemienia kocią łapę, pazury wysuwa, żeby pępek uchwycić, a na łapie ostroga srebrna i zamiast kółeczka wstawione w ostrogę oko.

Zwykłe ludzkie oko. Okrągła, żółta źrenica, a spojrzenie takie ostre, przenikliwe, w samo serce zagląda.

Mrugnęło do niego przyjaźnie i mówi — nie wiadomo, w jaki sposób oko samo mówi:

— Nie bój się!... Nie bój się!... Nareszcie cię odeszło!

Czyjaś ręka podniosła głowę porucznika, a gdy otworzył oczy, zobaczył nad sobą szczupłą twarzyczkę z rudymi kosmykami włosów na czole i oko — przyjazne, żółte, to samo co przedtem.

— Napędziłeś mi stracha, biedaku. Cały tydzień się z tobą przemęczyłam. Już myślałam, że nie dam rady. Sami, samiuteńcy na tej wyspie jesteśmy. Lekarstwa żadnego, pomocy znikąd. Tylko wodą gorącą cię kurowałam. Na początku rzygałeś cały czas... Woda tu paskudna, słona, kiszki nie przyjmują.

Z trudem docierały do świadomości porucznika słowa ciepłe, serdeczne, troskliwe.

Uniósł się z lekka, rozejrzał, nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje.

Stosy ryb dookoła. Ogień się pali, na wyciorze kociołek wisi, woda bulgoce.

—Co to?... Gdzie ja jestem?...

ftf: Zapomniałeś już? Nie poznajesz mnie? Mariuta jestem.

Wąską, przezroczystą dłonią potarł porucznik czoło.

Przypomniawszy sobie, uśmiechnął się bezsilnie, wyszeptał:

— Tak... Już wiem. Robinson i Piętaszek.

— Oj, znowu bredzisz? Jaka znów pięta?

Porucznik uśmiechnął się jeszcze raz.

— To nie pięta, tylko imię takie... Jest taka powieść o rozbitku, który dostał się na wyspę bezludną. Przyjaciela miał, a ten przyjaciel nazywał się Piętaszek. Nie czytałaś nigdy?

Opadł na kożuszek, kaszel nim wstrząsnął.

— Nie... Baśni dużo czytałam, ale tej nie znam. A ty leż, leż spokojnie, nie kręć się. Jeszcze znów mi zachorujesz. A ja ci tymczasem rybę ugotuję. Podjesz sobie, sił nabierzesz. Zrozumże, przez cały tydzień nic prócz wody w ustach nie miałaś. Widzisz, przezroczysty się zrobiłaś, biały jak świeczka. Leż spokojnie!

Porucznik leniwie zamknął oczy. W głowie dzwonił mu wolno kryształowy dzwon. Przypomniawszy mu się trąby z kryształowymi dzwoneczkami.

Roześmiał się cichutko.

— Czego się śmiesz? — zapytała Mariutka.

— Przypomniało mi się coś... Śniło mi się coś śmiesznego, gdy byłem w malignie.

— Aleś krzyczał przez sen! I komenderowałaś, i kłąłeś... To ci było położenie! Wiatr g\viżdże, żywej duszy dokoła, my we dwoje sami na wyspie, a ty tu jeszcze bez przytomności. Strach brał po prostu — mówiąc to Mariutka skuliła się cała, jakby zziębła. — Nie wiedziałam już sama, co robić.

— No, jak sobie poradziłaś?

— Poradziłam sobie jakoś. Ale najbardziej się bałam, że z głodu mi zemrzesz. Nic prócz wody nie chciałaś. Placuszki, co się w worku zostały, w wodzie gorącej rozmoczyłam i tym ci karmiłam. A teraz nic już nie ma — tylko ryba i ryba. A co to za jedzenie dla chorego taka ryba solona? No, a jak zobaczyłam, żeś się zaczął kręcić i oczy otwierasz, lżej mi się na sercu zrobiło.

Porucznik wyciągnął rękę. Położył wąskie, ładne mimo brudu palce na przegubie ręki Mariutki, pogładził ją delikatnie i rzekł:

— Dziękuję ci, kochanie.

Mariutka zarumieniała się i odsunęła jego rękę.

—Nie dziękuj!... Nie ma za co. Cóż to, uważasz, że miałam dać zemrzeć człowiekowi? Zwierzak leśny jestem, czy co?

— Ale przecież ja jestem twój wróg... Kadet. Po co to o mnie masz się kłopotać? Sama ledwo dyszysz.

Mariutka zastanowiła się. Po chwili wzruszyła ramionami, machnęła ręką i roześmiała się.

— Coś ty za wróg? Ręki nawet podnieść nie możesz, jaki tam z ciebie wróg!... Los mam już z tobą taki. Nie przystreliliłam cię od razu, spudłowałam po raz pierwszy w życiu i już teraz ciągać się z tobą będę do końca... No masz, zajądaj!

Podsunęła porucznikowi kociołek, w którym pływały tłuste kawałki ryby o barwie bursztynu. Smakowicie, delikatnie pachniało żółtawe rybne mięso.

Porucznik wyciągał z kociołka kęsy. Jadł z apetytem.

— Okropnie słona. Aż w gardle pali.

— Nic na to już nie poradzisz. Gdyby była gdzie słodka woda —można by wymoczyć, a tak — bieda z tym tylko! Ryba słona — woda słona! Wpadliśmy w kabałę, rybia cholera!

Porucznik odsunął kociołek.

— Co? Nie chcesz już więcej?

— Nie. Najadłem się. Jedz teraz ty.

— A niech ją choroba!... Obrzydła mi przez ten cały tydzień. Kołkiem w gardle stoi.

Porucznik leżał wsparty na łokciu.

— Ech... żeby tak papierosa! — powiedział tęsknie.

— Palić ci się chce? No to gadaj wyraźnie. W chlebaku Siemian- nego machory trochę zostało. Zamokła cokolwiek, ale ją wysuszyłam. Wiedziałam, że zechce ci się zapalić. Palacza po chorobie jeszcze bardziej do papierosa ciągnie. Masz, weź.

Porucznik ze wzruszeniem wziął z jej rąk kapciuch z tytoniem. Palce mu

drżały.

— Ty jesteś skarb po prostu, Masza! Lepsza niż niańka.

—A ty bez niańki żyć nie możesz? — sucho odparła Mariutka i oblała się rumieńcem.

—Ale papieru na skręta nie mam. Ten twój malinowy poodbie- rał mi wszystko, do ostatniego papierka. A fajkę zgubiłem.

—Papieru... — powtórzyła Mariutka w zamyśleniu.

Nagłym, stanowczym ruchem odgarnęła połę kożuszka, którym nakryty był porucznik, wsunęła rękę do kieszeni, wyciągnęła małe zawiniątko.

Rozwiązała sznurek i podała porucznikowi kilka arkusików papieru.

—Masz na skręta.

Porucznik wziął kartki do ręki, popatrzył. Podniósł na Mariutkę oczy. Zaśniły niebieskim blaskiem.

Przecież to twoje wiersze! Zwariowałaś chyba! Ja tego nie wezmę!

—Bierz, do diabła! Duszy nie szarp, rybia cholera! — krzyknęła Mariutka. Porucznik spojrzał na nią.

—Dziękuję! Nigdy ci tego nie zapomnę!

Oderwał mały kawałeczek z rogu, zawinał machorkę, zapalił. Patrzył gdzieś w dal poprzez błękitną wstążeczkę dymu, pełznącą od skręta.

Mariutka wpatrywała się w niego uważnie. Nagle spytała:

—Patrzę tak na ciebie, patrzę i nijak zrozumieć nie mogę: dlaczego ty masz w oczach te „panienki” takie niebieskie? Przez całe moje życie podobnych oczu nie widziałam. Niebieskość taka jak morze, utonąć w nich można.

— Nie wiem — odrzekł porucznik. — Już się z takimi urodziłem. Nieraz słyszałem, że to jakiś niezwykły kolor.

—Prawda! Jak cię za jeńca brali, to od razu pomyślałam: co to on za oczy ma takie? Niebezpieczne masz oczy!

| i— Dla kogo?

,

— Dla bab niebezpieczne! W samo serce włożą! Niepokoją!

— A ciebie zaniepokoiły?

Mariutka zaperzyła się.

—Widzicie go, diabeł rogaty! Nie dopytuj się! Leż, a ja po wodę pobiegnę!

Wstała, z obojętną miną wzięła kociołek, ale gdy znów ukazała się zza stosów ryb, odwróciła się wesoło i powiedziała tak samo jak przedtem:

— Dureń mój, niebieskooki!

ROZDZIAŁ ÓSMY w którym niczego wyjaśniać nie trzeba

Słońce marcowe — to zwrot ku wiosnie.

Słońce marcowe nad Aralem, nad błękitem aksamitnym pieści i kąsa gorącymi zębami, krew w człowieku rozprąga.

Wstał porucznik, od dwóch dni już chodzi.

A teraz siedzi przed szopą, na słoneczku się grzeje, rozgląda się wokół oczyma radosnymi, przywróconymi do życia, błękitnymi, jak to morze błękitne. Mariutka wyspę tymczasem penetruje.

Wróciła przed zachodem słońca uradowana.

— Słuchaj! Przenosimy się jutro!

— Dokąd?

— Tam dalej. O jakie osiem wiorst stąd.

— A co tam jest?

— Chałupę rybacką znalazłam. Pałac prawdziwy. Sucha, czysta, nawet w oknach szyby nie wybite. Piec jest, naczynia jakie takie, trochę skorup, ale do gospodarstwa się przydadzą. Szkoda, żeśmy tam od razu nie zamieszkali.

— Kto to mógł wiedzieć!

— Otóż właśnie! A poza tym — coś tam znalazłam. Coś wspaniałego!

— A co takiego?

— Patrzę, tobolek leży za piecem. Prowiant tam schowali. I zostało tego trochę. Ryżu i mąki będzie z pół puda. Trochę przegniła, ale jeść można. Pewno w jesieni, jak ich burza nagle chyciła, zapomnieli w pośpiechu. Teraz żyjemy i o nic się nie martwimy!

Nazajutrz przenieśli się na nowe miejsce. Mariutka szła pierwsza, obładowana jak wielbłąd. Wszystko sama dźwigała, nic nie pozwoliła nosić porucznikowi.

—No, daj ty mi spokój! Jeszcze znów zachorujesz. O siebie mi chodzi, nie o ciebie! Nie bój się! Doniosę! Na szczupłą wyglądam, ale w sobie jestem

krzepka.

W południe dotarli do chałupki, zmiotli śnieg, przywiązali sznurkiem wyrwane z zawiasów drzwi. Naładowali do pieca karpi, podpalili, uśmiechnięci, uszczęśliwieni.

Grzali się przy ogniu.

—Fajnie!... Jak w raju!

—Zuch z ciebie, Masza! Do końca życia będę ci wdzięczny... Gdyby nie ty, już by po mnie było!

—Wiadomo... Maminsynek!

Milczała chwilę, grzejąc ręce nad ogniem.

—Ciepło, cieplusieńko... A co dalej robić będziemy?

—A co mamy robić? Czekać!

—Na co czekać?

Na wiosnę. Już niezadługo... Teraz połowa marca — jeszcze tydzień, dwa, rybacy przyjadą po swoje ryby, no i poratują nas.

—Dobrze by było. Na rybie i zgniłej mące długo nie pociągniemy. Tydzień, dwa wytrzymamy — a potem kłapa, rybia cholera!

—Co ty masz takie jakieś porzekadło: „rybia cholera”?

—To nasze, astrachańskie. Rybacy tak u nas gadają. Zamiast żeby kłąć. Nie lubię kłąć, a złość czasem we mnie wzbiera. No, a tak ulżyć sobie mogę.

Poruszyła wyciorem rybę w piecu i powiedziała:

—Zacząłeś coś mówić... jakąś bajkę o wyspie bezludnej... I o tym... jak mu tam? — Piętaszku. Zamiast siedzieć po próżnicy, opowiedziałbyś mi lepiej. Cholernie na bajki pazerna jestem. Czasem, jak to u ciotki baby się zebrały, tośmy po starą Gugnicę posyłali. Starowina, ze sto lat będzie miała, a może i więcej. Jeszcze Napoleona pamięta. Jak zaczniesz bajki opowiadać, to ja w kącie przycupnę i ani tchnę. Drzę cała, a słowa boję się uronić.

—Chcesz, żebym ci o Robinsonie opowiedział? Dawno czytałem, połowę już zapomniałem.

— Przypomnij sobie! A co przypomnisz sobie, opowiedz!

— Dobrze. Postaram się.

Porucznik przymknął oczy, zaczął przypomninać sobie.

Mariutka rozłożyła kożuszek na piyczy, siadła w kącie przy piecu.

— Chodź, siadaj i ty tutaj. Ciepłej tu w kąciku.

Porucznik nie sprzeciwiał się. Piec był rozpalony, było od niego przyjemne ciepło.

— No i co? Zaczynaj. Nie mam cierpliwości czekać. Lubię takie różne bajki.

Porucznik wsparł się na łokciu i zaczął opowiadać:

— W mieście Liverpool mieszkał pewien bogaty człowiek...

— A gdzie to miasto?!

— W Anglii. Mieszkał bogaty człowiek, nazywał się Robinson Crusoe...

— Poczekaj! Bogaty, mówisz? Dlaczego to we wszystkich bajkach tylko o bogatych i królach jest mowa? A o biednych ludziach nikt bajek nie składa.

— Nie wiem — odparł porucznik zdziwiony. — Nigdy mi to do głowy nie przyszło.

— Pewno sami bogaci bajki pisali. To tak jak ze mną. Chciałabym wiersze pisać, a nieuczona jestem. A ja bym o biednych ludziach ładnie napisała. No, nic. Pouczę się jeszcze i wtedy napiszę.

— Tak... Umyślił więc sobie ten Robinson Crusoe podróżować i objechać całą kulę ziemską dokoła. Zobaczyć, jak ludzie żyją. I wyjechał ze swego miasta na wielkim żaglowcu...

Ogień trząsał w piecu, głos porucznika padał miarowymi kroplami.

Przypominał sobie stopniowo wszystko i starał się opowiadać ze szczegółami.

Mariutka siedziała zasluchana, od czasu do czasu wykrzykiwała z zachwytem: „Ach!” i „Ojej” w najmocniejszych miejscach opowiadania. Gdy porucznik opisywał, jak to rozbił się statek Robinsona, Mariutka pogardliwie wzruszyła ramionami i zapytała:

— A więc wszyscy potopili się prócz niego?

— Tak, wszyscy.

— To znaczy, że ich kapitan był osioł albo też zalał się przed katastrofą na całego. Nigdy w życiu nie uwierzę, żeby dobry kapitan tak całą załogę bez powodu potopił. Ile to u nas na Morzu Kaspijskim katastrof było, a co najwyżej dwóch, trzech ludzi utonęło, a reszta, no, proszę, uratowała

się.

—Dlaczego tak mówisz? I przy nas utonęli obaj, Siemianny i Wiachir. Czy to ma znaczyć, żeś ty była kiepskim kapitanem albo żeś się zalała na całego? Mariutka stropiła się.

—Aleś mi dojechał, rybia cholera! No, opowiadaj dalej!

W momencie zjawienia się Piętaszka Mariutka znów mu przerwała:

—A to dlatego tyś mnie Piętaszkiem nazwał! Że niby to taki jak Robinson? A Piętaszek był czarny, powiadasz? Murzyn? Widziałam raz Murzyna, na własne oczy. W cyrku, w Astrachaniu. Kędzierzawy był, a wargi miał takie — o! Morda okropna! Myśmy biegali za nim i wołali: „Masz, nażryj się świńskiego ucha!” Złościł się bardzo. Kamieniami ciskał.

A gdy porucznik zaczął opowiadać o napaści piratów, Mariutka groźnie błysnęła oczyma i zawołała:

—Dziesięciu na jednego! Łobuzy, rybia cholera!

Porucznik skończył.

Mariutka rozmarzona skuliła się w kłębek i przylgnęła do jego ramienia. Wymamrotała sennie:

—O, teraz dobrze. Na pewno dużo jeszcze bajek znasz, co? Codziennie opowiadaj mi tak po jednej bajce.

— A co, podobало ci się?

—Fajne. Aż ciarki przechodzą. To nam czas skróci. Nie zauważymy, jak wieczór minie...

Porucznik ziewnął.

—Spać ci się chce?

— Nie... Tylko osłabiony jestem po tej chorobie.

— Ach, ty mój słabiutki!

Znów Mariutka podniosła rękę i pieszczotliwie przesunęła po jego włosach. Porucznik podniósł na nią zdziwiony swe błękitne kuleczki.

Tchnęło z nich ciepło w serce Mariutki. Niepomna na nic, nachyliła się nad wychudłym policzkiem porucznika i przycisnęła swe suche, zgrubiałe wargi do jego nie ogolonej szczeciny.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

z którego wynika, że choć serce nie sługa, to jednak byt określa świadomość

Czterdziestym pierwszym miał stać się na Mariutkowym koncie śmierci porucznik gwardii Goworucha-Otrok.

A stał się pierwszym na koncie dziewczęńskich radości.

Ciągnęło Mariutkę nieodparcie do porucznika, do jego rąk delikatnych, do głosu cichego, a już najbardziej do jego oczu prześlicznie błękitnych.

Od tego błękitu rozjaśniło się jej życie.

Zapomniała o niewesołym Morzu Aralskim, o mdlącym smaku solonej ryby i przegniłej mąki, rozplynęła się w niej bez śladu mglista tęsknota za życiem, huczącym hen daleko, poza ciemnym obszarem wód. W dzień robiła Mariutka to, co do niej należało: piekła placuszki z mąki, gotowała rybę, na którą patrzeć już nie mogli i od której nabrzmiewały na dziąsłach małe kragłe wrzodzianki, a czasem stawiała na brzegu i wypatrywała, czy nie sfrunie ukośnym lotem wyczekiwany żagiel.

Wieczorem, gdy zachłanne słońce staczało się z rozjaśnionego wiosennie nieba, włąziła na prycę, wbijała się w kąt i tuliła się, łasiła jak kot do ramienia porucznika.

Wiele historii opowiedział jej porucznik. Umiał opowiadać. A ona słuchała.

Dni płynęły powoli, oleiste jak fale.

Pewnego razu, grzejąc się na słońcu przed chatą i patrząc na palce Mariutki szybko i zręcznie zeskrobujące łuskę z tłustego karpia, porucznik przymrużył oczy i powiedział nagle:

—Hm... Co za bzdura. Niech to diabli...

—O czym ty mówisz, mój drogi?

— Bzdura, powiadam ci... Całe życie — to jedna wielka bzdura. Pierwotne pojęcia, wpojone idee. Nonsens! Znaki umowne, jak na mapie topograficznej. Porucznik gwardii?... Niech to diabli!... Na co mi „porucznik gwardii”? Życ chcę, ot co. Przeżyłem dwadzieścia siedem lat, a jeszcze żyć nie zacząłem. Mnóstwo pieniędzy straciłem, miotalem się na wszystkie strony w poszukiwaniu jakiegoś ideału, a pod sercem ssala mnie zabójcza pustka, czczość, niezadowolenie.

Myślę sobie: gdyby tak ktoś powiedział mi wówczas, że dni największej pełni spędzę tutaj, na tym durnym piaszczystym placku, na środku durnego

morza, nigdy bym w to nie uwierzył.

—Jakie dni, jakeś to powiedział?

—Największej pełni. Nie rozumiesz? Jak by ci to wyjaśnić przystępnie? No, takie dni, kiedy nie czujesz, że przeciwstawiasz się wrogo całemu światu, nie czujesz się oderwaną od całości cząsteczką, walczącą na własną rękę, lecz roztapiasz się bez reszty w tym oto — powiódł szeroko ręką — ogromie. Czuję się zespolony z tą ziemią niepodzielnie. Jej oddech — to mój własny oddech. Słyszę, jak przyływ dyszy: szurf... szurf... A to nie fala dyszy, tylko ja oddycham — dusza moja, ciało...

Mariutka odłożyła nóż.

—Mówisz do mnie takim uczonym językiem, a ja nie wszystkie słowa rozumiem. A ja ci powiem po prostu — jestem teraz szczęśliwa.

Słowa są różne, a treść ta sama. I mnie się teraz zdaje: dobrze byłoby nie odchodzić nigdy z tego głupiego, gorącego piasku, zostać tu na zawsze, pławić się w słońcu, żyć radośnie jak zwierz beztroski.

Mariutka zmarszczyła brwi, wbiła wzrok w piasek, jakby usiłowała coś sobie przypomnieć. Roześmiała się czule, ze skruchą jakby:

—Nie... A niech go tam... Ja bym tu nie została. Rozleniwi się człowiek, zgnuśnieje w końcu. Szczęścia swojego nawet nikomu pokazać nie może. Nic, tylko zdechłe ryby dookoła. Żeby wreszcie ci rybacy na połów się zebrali! Jeszcze parę dni, a będzie koniec marca... Zackniło mi się za żywymi ludźmi.

—A my oboje to co, nie żywi?

—Żywi, żywi, a jak maki zostanie tylko na tydzień, i to już sama zgnilizna, a szkorbut dobrze da się we znaki, jak wtedy zaśpiewasz? A poza tym weź na rozum, mój drogi, że teraz czasy nie takie, żeby za piecem siedzieć. Tam nasi się biją, krew przelewają. Każda para rąk się liczy. Nie mogę w tej sytuacji spokoju zażywać. Nie po to przysięgę w armii składałam.

Porucznik zdziwiony wytrzeszczył na nią oczy.

—Jak to? Znów cię żołnierka ciągnie?

—A jak inaczej?

Porucznik w milczeniu bawił się suchą drzazgą, oderwaną od progu. Słowa jego polały się leniwą, gęstą strugą:

—Dziwaczka! Posłuchaj, co ci powiem, Maszeńka! Obrzydła mi ta cała

brednia. Tyle lat wciąż krew i złość ludzka. Żołnierzem przecież się nie urodziłem. I ja miałem kiedyś zwykłe, ludzkie życie. Przed wojną z Niemcami byłem studentem, filologię studiowałem, żyłem swoimi ukochanymi, wiernymi, najmiłszymi sercu książkami. Dużo, dużo książek miałem wtedy. Trzy ściany w moim pokoju po sam sufit zastawione były książkami. Pamiętam takie wieczory, kiedy to mgła petersburska wilgotną łapą ludzi z ulic zgarnia i połyka, a w moim pokoju ciepłutko, w piecu napalone, lampa z niebieskim abażurem... Siądziesz w fotelu z książką i tak się poczujesz, ot, tak jak teraz, bez żadnych trosk. Dusza rozkwita, zdaje ci się, że słyszysz szelest rozchylających się płatków... jak kwiecie migdałowe wiosną, rozumiesz?

— M-hm — burknęła Mariutka, słuchając z wielką uwagą.

— No, aż tu przychodzi jeden taki fatalny dzień i wszystko pęka, rozwała się, rozlatuje... Pamiętam ten dzień jak dziś. Latem to było, na wsi siedziałem, na tarasie, pamiętam nawet, że książkę czytałem. Słońce zachodziło purpurowe, jak we krwi. Ojciec z miasta przyjechał pociągiem. W rękę gazetę trzyma, mocno zdenerwowany. Jedno tylko słowo rzucił, ale słowo to było ciężkie jak rtęć... Wojna! Straszliwe słowo, całe we krwi, jak to zachodzące słońce. A ojciec powiedział: „Słuchaj, Wadim, twój pradziad, twój dziad i twój ojciec szli na pierwszy zew ojczyzny. Mam nadzieję, że i ty...” Nie zawiodłem pokładanych we mnie nadziei. Odszedłem od moich książek. I odszedłem wtedy ze szczerej chęci...

— Cudaczne to wszystko! — zawołała Mariutka wzruszając ramionami.

— A gdyby tak na przykład mój tatko łeb sobie rozbił o ścianę, to i ja także miałabym obowiązek walić łbem o ścianę? Nie bardzo to wszystko rozumiem.

Porucznik westchnął.

— Tak... Ty tego zrozumieć nie możesz. Ciebie nigdy nie przygniatało takie brzemieństwo... Nazwisko, honor rodowy... A dla nas to miało swoją cenę...

— No i co z tego? Przecież i ja mego tatkę nieboszczyka bardzo kochałam, ale że pijaczyna był obrzydliwy, to ja za niego oczyma świecić nie będę. Odesłałbyś lepiej pradziadka do prababuni!

Porucznik uśmiechnął się krzywym, niedobrym uśmiechem.

— Nie posłałem. A ta wojna mnie dobiła. Własnymi rękami serce swoje na

światowym gnojowisku, w nędznym śmietniku utopiłem. A potem przyszła rewolucja. Wierzyłem w nią, jak się w narzeczoną wierzy. A ona... Przez cały czas, kiedy byłem oficerem, ani razu żołnierza nawet palcem nie tknąłem, a dezenterzy w Homlu na dworcu mnie złapali, epolety mi zdarli, twarz opluli, cuchnącą ciecżą z ustępu umazali. I za cóż to? Udało mi się uciec, przedostałem się za Ural. Wierzyłem jeszcze w ojczyznę. Za swój zbezczeszczony kraj bić się chciałem. Za epolety swoje pohańbione. Biłem się jakiś czas i zobaczyłem, że ojczyzny nie ma, że ojczyzna to takie samo puste słowo jak rewolucja. A krew i jedna, i druga lubią. Za podeptane epolety bić się nie warto. I zrozumiałem wtedy, że istnieje tylko jedna jedyna prawdziwa ojczyzna człowieka — ojczyzna myśli. Książki swoje przypomniałem sobie i do nich chcę wrócić, zakopać się w nich, przebaczenia u nich wybłagać, a całej ludzkości za tę ojczyznę, za tę rewolucję, za to gnojowisko piekielne — w gębę plunąć!

—A więc to tak? Niech sobie ziemia trzeszczy, niech się rozpada, niech ludzie prawdy szukają, krwawą mękę znoszą, a ty leniom na ławce za piecem bajdy będziesz opowiadał?

— Nie wiem... I nie chcę wiedzieć! — krzyknął porucznik histerycznie, zrywając się na równe nogi. — Wiem jedno: świat się wali! Dobrze powiedziałaś: ziemia rozpada się i trzeszczy. Tak, trzeszczy, pęka, rozwała się stare draństwo! Opustoszała, wypaproszona jest nasza ziemia. I dlatego właśnie ginie, że jest pusta. Dawniej była młoda, urodzajna, niezbadana, kusila nieznanymi krajami, niezliczonymi bogactwami. Skończyło się. Już teraz nie ma co odkrywać. Cała ludzka inteligencja wysila się w tym kierunku, żeby zachować to, co nagromadzone, przedłużyć jeszcze żywot o wieki, lata, minuty. Technika. Martwe liczby. I myśl, sparaliżowana przez liczby, pracuje nad wyniszczeniem ludzkości. Jak tu najwięcej ludzi zgładzić, ażeby pozostali mogli jak najdłużej nabijać sobie kabzy i napełniać brzuchy? A niech to wszystko piorun trzaśnie! Nie chcę żadnej innej prawdy, chcę tylko swoją własną! Cóż to, myślisz, że twoi bolszewicy prawdę odkryli? Żywa duszę ludzką chcą na kartki przydziałowe i nakazy kwaterunkowe rozmienić! Dosyć! Ja w tym udziału brać nie będę! Nie chcę już dłużej rąk sobie walać!

—Czyścioszek? Białorączka? Niech inni się za waszą wielmoż- ność w głównach grzebią, tak?

—Tak! Właśnie, że tak, do stu tysięcy diabłów! Niech robią to inni, jeśli tak się im podoba. Słuchaj, Masza! Jak się tylko stąd wydostaniemy, pojedziemy na Kaukaz. Mam tam pod Suchumi małą willę. Zaszyję się tam, siadę do książek, a wszystko inne niech diabli porwą. Ciche życie, spokój. Nie chcę już więcej prawdy — chcę spokoju. I ty także będziesz się uczyć. Chcesz się uczyć przecież, prawda? Skarżyłaś się, żeś nieuczona. No, więc ucz się. Ja dla ciebie wszystko zrobię. Tyś mnie od śmierci uratowała, a tego się nie zapomina.

Mariutka wstała gwałtownie. Wycedziła przez zęby, wyrzuciła z siebie jak kłab kolców:

—A więc tak mam twoje słowa rozumieć: na pierzynę się zwalić i parzyć się z tobą, kiedy ludzie o swoją prawdę walczą, i cukierki żreć, wówczas gdy każdy cukierek krwią jest zbrukany? Tak czy nie?

— Dlaczego tak brutalnie?... kg zapytał porucznik ze smutkiem.

— Brutalnie? A jak byś ty chciał, delikatnie, tkliwie, słodziutko, w sosie landrynkowym? Nie, czekaj! Tyś przed chwilą bolszewicką prawdę oczerniał. Znać jej nie chcę, powiadasz. A czyś znał ją kiedykolwiek? Wiesz, na czym polega? Wiesz, że jest cała potem i łzami ludzkimi przesiąknięta?

— Nie wiem \— odparł porucznik bezbarwnym głosem. — Dziwi mnie tylko, że ty, dziewczyna, tak zordynarniałaś, że ciągnie cię, żeby iść rabować i zabijać razem z pijanymi zawszonymi hordami!

Mariutka wsparła się pod boki. Rąbnęła mu prosto w twarz:

— Może oni ciało mają zawszone, ale ty masz duszę przez wszy przeżartą! Wstyd mi, że się z takim związała! Ty glisto, ty szczurze parszywy! „Jedźmy, Maszeńka, w łóżku będziemy się wylegiwać! Pożyjemy sobie spokojniutko!” — powtórzyła przedrzeźniając jego słowa. — Inni ziemię pod nowy siew pługiem kraja, a ty? Ach, sukinsynu!

Porucznik zapłonął gniewem i uparcie zacisnął wąskie wargi.

—Nie waż się mnie obrażać... Nie zapominaj się, ty... chamko!

Mariutka zbliżyła się o krok, podniosła rękę i na odlew grzmotnęła porucznika w wychudzony, nie ogolony policzek.

Porucznik drgnął, cofnął się, zacisnął pięści. Bluznął jej w twarz:

— Masz szczęście, że jesteś kobietą! Nienawidzę... Draństwow I

T skrył się w chatce.

Mariutka speszona rzuciła okiem na świerzbłącą dłoń, machnęła ręką i powiedziała nie wiadomo do kogo:

— Patrzcie go... jaśnie pan, jaki honorowy! Ech, ty rybia cholera!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

w którym porucznik Goworucha-Otrok słyszy łoskot ginącej planety autor
zaś zrzuca z siebie odpowiedzialność za rozwiązanie niniejszego
opowiadania

Po tej kłótni przez trzy dni nie rozmawiali ze sobą porucznik i Mariutka. Ale przecież na wyspie jedno od drugiego nie ucieknie. I pojednała ich wiosna. Cwałowała, nacierała, dyszała żarem.

Dawno już pod naciskiem złotych kopyt pękł cienki śnieżny pancerz, skuwający wyspę. Stał się teraz miękki, jaskrawożółty, kanarkowy na ciemnym szkle gęstej wody.

W południe piasek parzył dłonie, dotyk aż sprawiał ból.

Na ogromnym błękitie nieba niby złote płonące koło jarzyło się oplukane wiatrem słońce.

Słońce, wiatr, roztopy, zaczynający się szkorbut sprawiły, że bardzo osłabli oboje. Nie mieli siły na kłótnie.

Po całych dniach wylegiwali się na piasku nie odrywając wzroku od gęstej jak szkło wody — rozpalonymi oczyma wypatrywali żagla.

— Cierpliwości już nie mam! Jeżeli w ciągu trzech dni nie przyjadą rybacy, w łeb sobie strzelę — jęknęła z rozpaczą Mariutka, wpatrując się w obojętną, ciężką, siną dal.

Porucznik gwizdnął lekko.

— Mnie „glistą” i „szczurem” nazwałaś, a teraz poddajesz się sama? Cierp, Kozacze — atamanem będziesz. Jedna przed tobą droga — atamanem rozbójników chcesz przecież zostać.

— A ty po co stare sprawy przypominasz? Po co drzazgi wyciągasz? Co było, a nie jest... Objechałam cię, boś zasłużył na to, żeby cię objechać. Rozzłościło mnie, że z ciebie taka szmata, kurczak wymokły. A mnie to boli.

Spadłeś ty na moją głowę, spokój odebrałeś, aż mi się w środku wszystko poprzekręcało... czort niebieskooki!

Porucznik ze śmiechem przewrócił się na wznak, na rozpalony piasek i aż nogami zaczął wierzgać z uciechy.

— Czego się śmiesz? Zgłupiałeś, czy co — zaniepokoiła się Mariutka.

Porucznik śmiał się na całe gardło.

— Ej, ty, oszalałeś? Gadajże wreszcie!

Ale porucznik nie mógł pohamować śmiechu, aż w końcu Mariutka dała mu kuksańca w bok.

Podniósł się, otarł oczy załzawione ze śmiechu.

— No, czegoś tak rżał?

— Dobra z ciebie dziewczyna, Mario Fiłatowna. Każdego rozweselisz. Umarłego w grobie rozruszasz, tańczyć z tobą pójdzie.

— A bo jak? Twoim zdaniem lepiej kręcić się jak łajno w prze- rębłu i ani do tego, ani do tamtego brzegu? Żeby samemu smutno było i drugiemu markotno?

Porucznik znów parsknął śmiechem. Poklepał Mariutkę po ramieniu.

— Chwała ci, królowo amazonek. Piętaszku mój przemily! Wywróciłaś mnie na nice, eliksiru ożywczego we mnie wlałaś. Nie chcę już dłużej kręcić się jak łajno w przerębłu, wedle twojego obrazowego słownika. Sam widzę, że nie czas jeszcze myśleć o powrocie do książek. Nie, pożyć jeszcze trzeba, pozgrzytać zębami, pokąsać jak wilk, żeby dookoła kły poczuli.

— Co ty gadasz? Czyżbyś naprawdę zmądrzał!

— Zmądrzałem, dziecino! Zmądrzałem! Dziękuję za to, żeś mnie nauczyła. Jeśli my teraz do książek siądziemy, a wam ziemię zostawimy w całkowite władanie, takie tu porządki zaprowadzicie, że pięć pokoleń krwawymi łzami płakać i szlochać będzie. Nie, głuptasku ty mój drogi! Jak ma iść udry na udry kultura przeciw kulturze, to niech już będzie na całego. Tymcza...

Urwał, jakby się zachłysnął.

Ultramarynowe kuleczki wbiły się w horyzont, trysnęła z nich płomieniem radość.

Porucznik wyciągnął rękę i rzekł cicho, drżącym głosem:

— Żagiel.

Mariutka zerwała się jakby pchnięta jakąś wewnętrzną siłą i także spostrzegła.

Daleko, daleko na granatowej kreseczce widnokregu kołysała się, drżała, zapalała się biała iskierka — trzepoczący na wietrze żagiel.

Mariutka ścisnęła mocno obiema rękami pierś i wpiła się oczyma w horyzont, nie wierząc sobie, że to, na co tak długo czekała, nareszcie się ziściło.

Przyskoczył do niej porucznik, oderwał jej ręce od piersi, okręcił ją dokoła siebie, zatańczył, zawirował.

Wysoko podrzucał w tańcu szczupłe nogi w obszarpanych spodniach i śpiewał na cały głos:

Samotny żagiel w niebios toni Bieleje na błękicie fal Bim-bam, bom-bom,
Na błękicie fal... *

—Uspokój się, głupi — wyrywała się zadyszana, uradowana Mariutka.

—Maszeńka! Głuptasku mój kochany, królowo amazonek! Uratowani jesteśmy! Ocaleni!

—Cicho, wariat! Zachciało ci się już z tej wyspy wracać do życia, do ludzi, co?

—Zachciało mi się, zachciało! Mówiłem ci przecież, że mi się chce!

—Czekaj!... Znak trzeba im dać! Przywołać!

—Po co przywoływać? Sami przyplyną.

—A jeśli na inną wyspę popłyną? Niemakani mówili, że tu wysp bez liku. Może ominą nas i pojada dalej? Skocz no przynieś z chaty karabin!

Porucznik nie dał sobie dwa razy powtarzać. Wrócił biegiem podrzucając wysoko karabin.

—Nie szalej! — krzyknęła Mariutka. — Wypał trzy razy pod rząd!

Porucznik przyłożył lufę do ramienia. Wystrzały głuchym hukiem rozerwały szklaną ciszę — a po każdym strzale porucznik słaniał się na nogach; teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak bardzo jest osłabiony.

Żagiel widać już było całkiem wyraźnie. Wielki, różowawożółty polatywał nad wodą jak skrzydło jakiegoś wesołego ptaka.

— Choroba — mruknęła Mariutka wpatrując się uważnie. — Cóż to za

jakaś taka łajba? Do rybackiej niepodobna, jakiś stateczek, czy co?

Na żaglówce usłyszano strzały. Żagiel szarpnął się, przeleciał na drugą stronę i przechylony na ukos szedł w prostej linii ku brzegowi.

Spod różowożółtego skrzydła wypłynął czarny niski kadłub.

— Nic innego, tylko to łódź inspektora od rybołówstwa. Ale kto się na niej kołaczę w taką porę? — mamrotała po cichu Mariutka.

W odległości jakichś pięćdziesięciu sążni znów położyła się żaglówka na lewy hals. Na rufie ukazała się jakaś postać z rękoma przy ustach, złożonymi w kształt głośnika.

Porucznik szarpnął się, przechylił się ku przodowi, rzucił z rozbiegu karabin na piasek i dwoma susami znalazł się nad samą wodą. Wyciągnął obie ręce i oszalały z radości krzyknął:

— Hur-rra!... Nasi!... Prędzęj, panowie, prędzęj!

Mariutka wbiła wzrok w łódź... Na ramionach człowieka, siedzącego przy rumplu. ujrzała lśniąco złote paski.

Poderwała się jak spłoszona kokoszka, szarpnęła się...

Błyskawicą przemknęło jej przez myśl:

Lód... Niebieskość wody... Twarz Jewsiukowa. Jego słowa: „Jeśli na białych natkniesz się przypadkiem, nie oddawaj go żywcem”.

Jęknęła, zagryzła wargi i podniosła rzucony na piasek karabin.

Krzyknęła rozpaczliwie:

— Ech, ty... Kadet przeklęty! Wróć! Mówię ci: wracaj, diable rogaty!

Porucznik stał po kostki w wodzie i wymachiwał rękami.

Nagle usłyszał za plecami ogłuszający, triumfalny łoskot ginącej wśród ognia i burzy planety. Nim zdążył pomyśleć, dlaczego tak się dzieje, odskoczył w bok, żeby ratować się od katastrofy, i ten huk i rumor ginącego świata był ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał za swego tycia.

Mariutka patrzyła bezmyślnie na padające ciało, bezwiednie przytupując przy tym lewą nogą.

Porucznik padł głową w wodę. W oleistym szkle rozbiegły się czerwone smużki z roztrzaskanej czaszki.

Mariutka zbliżyła się o krok, nachyliła się nad leżącym. Ze szlochem szarpnęła bluzę na piersi. Karabin wypadł jej z rąk.

W wodzie, na różowej nici urwanego nerwu kołysało się wybite z orbity oko. Niebieska jak morze kuleczka patrzyła na nią z nic nie rozumiejącą skargą.

Zwaliła się Mariutka kolanami w wodę, próbowała podnieść martwą, poranioną głowę i naraz przypadła do trupa i z twarzą uwalaną w skrzepach gęstniejącej krwi zaniosła się wielkim, straszliwym płaczem.

— Najmilszy mój! Co ja narobiłam! Ocknij się, najdroższy! Niebiesko-ooo-oki!...

Z barki, zarytej dziobem w piasek, patrzyli na nią osłupiali ludzie.
Tłumaczyła Maria Wistowska

Izaak Babel
Śmierć Dołguszowa

Ruchome ściany bitwy przesuwają się w stronę miasta. Koło południa przeleciał obok nas Koroczajew w czarnej burce — zdegradowany komendant czwartej dywizji, walczący samotnie i szukający śmierci. Cwałując krzyknął do mnie:

—Przecięto nam drogi, Radziwiłłów i Brody pod ogniem!...

I zniknął w galopie — z furkotem, cały czarny, o czarnych jak węgiel źrenicach.

Na gładkiej jak deska równinie brygady zmieniały szyk. Słońce przetaczało się w szkarłatnym kurzu. Ranni posilali się w rowach przydrożnych. Siostry miłosierdzia leżały na trawie i śpiewały półgłosem. Zwiadowcy od Afoówki bobrowali po polach szukając zabitych i umundurowania. Afońka przejechał dwa kroki ode mnie i powiedział nie odwracając głowy:

—Nabili nam pyski. Jak dwa razy dwa. Chodzą gadki o naczdi- wie, zdejmują go. Chłopaki w niepewności...

Polacy doszli do lasu, ze trzy wiorsty od nas, i ustawili karabiny maszynowe gdzieś w pobliżu. Kule ujadają i pogwizdują. Ich skargi stają się nieznośne. Pociski wbijają się w ziemię i grzebią w niej drżąc z niecierpliwości. Wytiagajczenko, dowódca pułku, chrapiący w słonecznej spiekocie, krzyknął przez sen i obudził się. Wsiadł na konia i pojechał do szwadronu straży przedniej. Twarz miał wymiętą, w czerwonych bruzdach od niewygodnego spania, a kieszenie pełne śliwek.

j— Sukine dzieci — powiedział gniewnie i wypluł pestkę — no i masz babo placek, Timoszka, dawaj sztandar!

—Do ataku, czy co? — zapytał Timoszka, wydając drzewce

z tulei, i rozwinął sztandar, na którym wymalowano gwiazdę i napisano coś o III Międzynarodówce.

— Zobacz się — powiedział Wytiagajczenko i nagle wrzasnął dziko: — Dziewuchy, siadać mi na koń! Zbierać ludzi szwadronami!...

Trębacze zatrąbili na alarm. Szwadrony uszykowały się w kolumnę. Z rowu wyszedł ranny i osłaniając się dłonią powiedział Wytiagaj- czenie:

— Taras Grigoriewicz, jestem za delegata. Widać na to wychodzi, że tu już zostaniemy...

— Wybronicie się — burknął Wytiagajczenko i poderwał konia dęba.

— Jakies takie wrażenie mamy, Taras Grigoriewicz, że się nie wybronimy — rzucił za nim ranny.

— Nie nudź — obrócił się Wytiagajczenko — już tam ja nikogo nie zostawię — i skomenderował, żeby skrócić cugle.

I tu zaraz zadźwięczał płaksiw, babi głos Afońki Bidy, mojego przyjaciela.

— Taras Grigoriewicz, nie przechodźże z miejsca w kłus, do nich z pięć wiorst latania mamy. Jak tu rąbać, kiedy się konie pomęczą... Po co ta chapanina — zawsze zdążysz na łono Abrahama...

— Stępa! — skomenderował Wytiagajczenko nie podnosząc oczu.

Pułk ruszył.

— Jeżeli te gadki o naczdiwie to fakt — szepnął Afońka zatrzymując się — jak go usuną, to można mydlić stryczek i kopnąć stołek. Kropka.

Lzy popłynęły mu z oczu. Wpatrywałem się w Afońkę ze zdumieniem. Zakręcił się jak fryga, złapał się za czapkę, charknął, wrzasnął i pomknął precz.

Griszczuk ze swoją głupią taczanką i ja — zostaliśmy teraz sami i aż do wieczora obijaliśmy się między ścianami ognia. Sztab dywizji zniknął. Inne jednostki nie chciały nas przyjąć. Pułki wkroczyły do Brodów i zostały wypchnięte stamtąd kontratakiem. Podjechaliśmy pod cmentarz miejski. Zza mogił wyprysnął polski patrol, złożył się z karabinów i zaczął do nas strzelać. Griszczuk zawrócił. Jego taczan- ka zawyla wszystkimi czterema kołami.

— Griszczuk! — krzyknąłem przekrzykując świst i wiatr.

—Błazeństwo — odpowiedział smutnie.

—Giniemy — zawołałem urzeczony zatrutą — giniemy, ociec!

— Po co też baby się męczą? — odpowiedział Griszczuk jeszcze smutniej — po co swaty, śluby, po co kumy na weselach tańczą...

W niebie błysnął różowy ogon i zgasł. Droga Mleczna wyłoniła się spośród gwiazd.

— Jeden śmiech — powiedział Griszczuk z goryczą i wskazał biczyskiem na człowieka siedzącego przy drodze — jeden śmiech, po co też te baby się męczą...

Człowiekiem siedzącym przy drodze był Dołguszow, telefonista. Rozkraczywszy nogi patrzył prosto na nas.

—Ja niby tego... — powiedział Dołguszow, kiedyśmy się zbliżyli — ze mną koniec... Jasne?

—Jasne — odpowiedział Griszczuk wstrzymując konie.

1— Trzeba będzie na mnie nabój stracić — powiedział Dołguszow.

Siedzi oparty o drzewo. Jego buty sterczały rozrzucone na boki. Nie spuszczać ze mnie wzroku ostrożnie podniósł koszulę. Brzuch miał wyrwany, kiszki spelzły na kolana i widać było bicie serca.

—Naskoczy tu szlachta, to się będzie hydować. Tu jest dokument, napisz matce, jak i co...

—Nie — odpowiedziałem i dałem koniowi ostrogę.

Dołguszow rozłożył na ziemi sine dłonie i przyjrzał się im z niedowierzaniem.

—Uciekasz? — wybełkotał osuwając się na ziemię. — Uciekasz, gadzie...

Poty na mnie uderzyły. Karabiny maszynowe terkotały coraz szybciej, z histerycznym uporem. W nimbie zachodu kłusował w naszą stronę Afońka Bida.

—Po trochu wiejemy — zawołał wesoło. — Cq tu za jarmark u was? Pokazałem mu Dołguszowa i odjechałem.

Rozmawiali ze sobą krótko — nie słyszałem słów. Dołguszow podał plutonowemu swoją legitymację. Afońka schował ją za cholewę i wystrzelił Dołguszowowi w usta.

— Afonia — powiedziałem z żalosnym uśmiechem i podjechałem do Kozaka — a ja nie mogłem.

—Odejdź — odpowiedział mi blednąc — zamorduję! Litujecie

się wy nad nami, okularniki, jak kot nad myszą... — I podniósł kurek.

Odjechałem stępą, nie odwracając się, czując grzbietem chłód i śmierć.

—Hej! — krzyknął z tyłu Griszczuk — nie wydurniaj się! — i chwycił Afońkę za rękę.

— Ty lokajskie nasienie! — krzyknął Afońka. — On od mojej ręki nie ujdzie...

Griszczuk dopędził mnie na zakręcie. Afońki nie było. Pojechał w inną stronę.

—No i widzisz, Griszczuk — powiedziałem — dziś straciłem Afońkę, najlepszego mojego przyjaciela...

Griszczuk wyjął spod kozła pomarszczone jabłko.

— Jedz — powiedział mi — bierz i jedz...

Tłumaczył Jerzy Pomianowski

Nikołaj Tichonow
Turkusowy pułkownik

Pies przestał drapać się i z przyzwyczajenia skoczył do swego pana. Łańcuch przymocowany do drutu przeciągniętego przez całe podwórze aż do furtki, odpowiedział na ten skok piskiem i zgrzytaniem.

Były pułkownik Wiediemikow szedł przez podwórze do wodociągu. Szyję miał owiniętą ręcznikiem z wyhaftowanymi kogutami. Stawiał kroki jak wojskowy na defiladzie — czarne pantofle człapały rytmicznie, ręce podnosiły się miarowo, w oczach błyskał ogień dyscypliny.

—Jak się masz, Chubiłaju! — powitał psa, kładąc rękę na jego kędzierzawym grzbiecie. Pies dysząc z niewolniczego zachwyty, przymknąwszy oczy i wyginając się, chwycił jęzorem rękaw koszuli swego pana. Lecz wodociąg miał również prawo do uwagi pułkownika.

Wiediemikow myślał się zawsze z zadowoleniem. Starannie zmywał z siebie nocne rozleniwiające ciepło, zmywał swą wyraźną starość. Zimno, górskiej wody od dawna było sprzymierzeńcem jego wyschniętego ciała koloru szafranu. Kiedy widział oczami wyobraźni siebie spoczywającego na wyplatanych fotelu niby nikomu niepotrzebna wychudzona kupa kości, powykręcanych przez różne choroby, wzdrygał się jak podczas zastrzyku. Stał obnażony do pasa, kołysząc się lekko i wycierając mokrym ręcznikiem.

Przed tarasem czekała na niego koza wsuwając białą mordę w szpary między deskami — zaczęła strzyc uszami, kiedy pułkownik wziął ją za brodę i powiedział: „Baczność”.

Fiedosja Rodionowna, gospodyni pułkownika, jego kucharka i służąca, przyniosła emaliowany ronderek. Pułkownik przykucnął, wydoił kozę i puścił ją wolno. Na stole szumiał samowar, pułkownik zaczął się golić. Po ogoleniu jednego policzka zrobił przerwę i zaczął sprawdzać, czy nie ma zacięć, pryszczycy lub małych czerwonych plamek — obawiał się wrzodu pendyńskiego, choroby pospolitej w Turkmenii; całe życie

spędził w tych górach i pustyniach i całe życie lękał się pendynki. Policzki, jak zwykle, były równomiernie żółte; może w ciągu nocy przybyło trochę zmarszczek, ale kto może sprawdzić ich niedostrzegalne pogłębianie się i fantastyczność nieznacznych wygięć?

Po herbacie pułkownik zamiótł podwórze i ogród, powoli, w zamyśleniu. Nie prowadził dziennika, lecz przyzwyczał się do tego, że podczas porannego sprzątanía myślał o drobnych zajęciach dnia, o starych znajomych, a nawet o nieśmiertelności duszy. Zatrzymał się przy furtce ogrodu, postawił miotłę w kącie, wrócił i wszedł do domu.

Na tarasie pojawiła się wyniesiona z nienaturalną ostrożnością niemal kwadratowa skrzynia zaszyta w płótno. Pułkownik obejrzał ją ze wszystkich stron, sprawdził, czy jest dobrze zaszyta, poruszył ją, by stwierdzić, czy zawartość skrzyni się nie przesuwa, przyniósł zwój sznurów i zaczął okręcać skrzynię mocną siecią. Gdy zabrakło sznurów, na zmianę zjawił się młotek — cienkie szare gwoździe zagłębiały się łatwo w miękkim drzewie, a młotek dobitnie odmierzał uderzenia — lecz pułkownik wciąż jeszcze nie mógł oderwać oczu od skrzyni i obmacywał ją ze wszystkich stron. Cofając się i przybliżając tak patrzył na nią, jak gdyby w skrzyni siedział sztukmistrz, który powinien był rozerwać płótno, uwolnić się z więzów, wyrwać gwoździe

1 wyjść na świat. Pułkownik długo obrzucał skrzynię niezwykle serdecznymi spojrzeniami. Ale nic się nie stało, nikt nie wyszedł ze skrzyni.

Wiediemikow popatrzył na nią jeszcze jeden raz i zawołał łagodnie:

— Towarzyszu Guriju, a no, towarzyszu Gurijul

Z kuchni wybiegł mały bosy Turkmen w niebieskiej koszuli i szerokich spodniach.

— Jestem, Denisie Wasiliczu! — krzyknął.

— Poszukaj Mahmuda, ale prędko, towarzyszu Guriju, na jednej nodze.

Mahmuda nie trzeba było szukać. Czekał ze swą arbą na ulicy. Nie spóźniał się nigdy, nie miał tego w zwyczaju. Mahmud jest myśliwym — a polowanie lubi dobre oko i zręczne ruchy, Mahmud jest chłopem i gawędziarzem — pole ubóstwa porządek, a w opowieściach nawet demony mają poczucie miary. Mahmud uklonił się z szacunkiem pułkownikowi i niezdarnie podał mu rękę. Pułkownik wprowadził go do

pokoju. Nie spiesząc się, wypili po dwie filiżanki herbaty, a potem obejrzeni skrzynię jeszcze raz jeden.

—Napisz adres tam, do kogo posyłasz — rzekł Mahmud.

—Adres jest tutaj — pułkownik wskazał na brzeg płótna. — Wież ostrożnie, nie trzęś skrzynią, na miłość boską, nie trzęś. Bród można najlepiej obejść przez strumień, droga jest trochę dłuższa, ale za to nic nie zepsujesz, a w mieście już wiesz, dokąd ją zawieźć.

—My wszystko wiemy — powiedział Mahmud i nastroszył zarozumiałe wasy.

Przenieśli skrzynię na arbę z wprawą sanitariuszy, stawiając arytmiczne kroki, utkali dokoła słomą, jak gdyby była ze szkła, popatrzyli, czy dobrze stoi i dopiero wówczas Mahmud cmoknął językiem i wziął bat do ręki. Pułkownik przeżegnał skrzynię, arba ruszyła. Natychmiast podniosły się za nią obłoki kurzu. Wydawało się, że Mahmud wylatuje w niebo razem ze swym fantastycznym bagażem.

Pułkownik patrzył w ślad za arbą, zmarszczki na jego twarzy złagodniały, usta rozchyliły się jak u dziecka, siwe podstrzyżone wasy lśniły sympatycznie. Potem zatrzasnął furtkę i skrzynia na zawsze znikła z jego oczu.

Marchew, cebula, papryka i bakłażany rosły i rozwijały się całkiem pomyślnie. Wiedemikow nachylił się nad grządką dużych pomidorów, przykląkł i zachmurzył się. Zerwał pomidor i oglądał go oczyma znawcy. Na skórcie pomidora widać było ciemny, twardy, rdzawy pas.

Bakterioza — powiedział zwracając się do jabłoni. — Widziałaś, pomidory zachorowały, bakterioza.

Zaczął oglądać jeden pomidor za drugim. Jego serce uspokoiło się. Tylko kilka sztuk szpeciły ciemne obrzmienia. Wybrał je, położył na stronie, narwał gałązek i rozniecił ognisko. Zarażone pomidory płonęły, sycząc nad swym nieszczęściem, ich czerwony miąższ skwierczał w ogniu. Chubiłaj miażdżył zębami muchy i szczekał na ognisko.

Wówczas przyszedł Rewko, podobny do krasnoludka z niemieckiego kufla — chytry Rewko z krzywymi nogami. Rewko to bolszewik, mędrzec i ogrodnik; przyglądał się, jak pułkownik podlewa ogród i sad.

— Nie przyszedłem bez potrzeby — powiedział, uderzając się po kolanie.
— Znów oszukali mnie na mące. No i co ty na to? Nie umiem odróżnić otrębów mąki z prosa, dzugary * i pszenicy.

— Ja cię nauczę, Makaryczu. — Pułkownik postawił konewkę na ławce i usiadł. — Weź garść do ust, spróbuj językiem. Jeżeli poczujesz ukłucia w dziąsła — to znaczy, że to dzugara, jeżeli nie będzie kłuć, podobnie jak przy kaszy mannej — to pszeniczna. Mąka zaś z prosa pachnie kaszą jaglaną.

— Wiesz, mieszkam tu od niedawna, nie rozumiem wielu rzeczy. A co słychać u ciebie?

— Pomidory zachorowały, właśnie je zniszczyłem.

Siedzieli na ławce i palili; nie było gdzie się spieszyć; wśród drzew za cudzymi parkanami widniały w spokojnym ładzie kryte gontami i blaszane dachy domków. Osiedle Turkusowe przeżywało majestatyczną leniwą godzinę poobiednią. Nazywało się Turkusowe dzięki wyrazistemu błękitowi nieba, wiszącemu nad wąwozem. Błękitne góry ciągnęły się w różne strony od osiedla i tylko ruda mgła dalekiego pasma wskazywała na kraj o innej barwie. Tam leżała Persja. Błękitne byczki łąziły po stokach gór, w dali błękitny pył spowijał baranie grzbiety, błękitne gołębie siedziały pod dachami lub spacerowały po podwórzach, ustępując drogi kogutowi. Dziewczęta-ko-lonistki chełpiły się błękitnymi przezroczystymi szalikami. Błękitne oczy ludzi Północy, którzy przybyli tu i osiedlili się w wąwozie, dziecičili ich potomkowie z nieco monotonna dokładnością. Przemijał dzień, prosty i błękitny, ogród, sad i podwórze — na takie części dzielił się błękitny dzień — bez względu na to jakby się je tasowało, nie stawały się wskutek tego barwniejsze.

A kiedy wieczór zapalał żółte światło lampy w jadalni, Gurij — mały wychowanek Wiediemikowa — przynosił oprawny w skórę zeszyt i pułkownik uczył go dodawania, mnożenia, dzielenia i odejmowania i co z tego wynika. Tłumaczył Gurijowi, jak porusza się Księżyc, podobny do starego zdymisjonowanego generała dywizji, jak w rozproszonym szyku spadają gwiazdy, jak formują się pułki chmur, a Gurij lubił zaskakującą obcość Wiediemikowskich obrazów, najpowszechniejsze bowiem rzeczy traciły wówczas swą stałą formę

i stawały się straszne. Wskutek tych lekcji Gurija ogarniało podniecenie i lęk, chłopiec zaczynał pisać po turkmeńsku z prawej strony ku lewej, mazał i kreślił w zeszycie, aż pułkownik kazał mu iść spać.

Potem pułkownik jak zwykle słał łóżko, zdejmował bluzę i wyjmował z biurka ciężki album, zapisany w połowie. Ze ścian uśmiechały się zuchwale półnagie piękne kobiety, dodatki do umarłych czasopism, obok nich kolorowe obrazki z widokami różnych malowniczych okolic. Pułkownik brał pióro, wycierał je kawałkiem sukna i przygotowywał się do pracy. Lecz niekiedy jego nocna twórczość ulegała przerwie zaraz na początku. Drzwi skrzypiały i wysoka Fie- dosja Rodionowna, kołysząc żółtym rozplecionym warkoczem, mówiła ostrym dobitnym szeptem:

— Jeżeli wybiera się pan do mnie, to proszę już teraz, nie będę czekać. Muszę przecież wstawać wcześniej, z kogutami.

—Tak jest. Idę — odpowiadał pokornie pułkownik.

Szosa pozbawiona wszelkich cech indywidualnych służyła do jednego celu: wiodła z miasta do Osiedla Turkusowego, położonego w najgłuchszym krańcu Związku Radzieckiego. Wąwóz, przez który wiodła szosa, jeszcze nie zaspokoił swej wrodzonej nienawiści do porządku. Każdej wiosny wypowiadał nową wojnę — skały spadały nieoczekiwanie jak wysadzone w powietrze bastiony i tarasowały drogę stosami odłamków: strumień napiąwszy swe błękitne mięśnie zalewał szosę i setki ton ubitego, wzorowego, rządowego piasku powracały do stanu chaosu swoich współbraci. Gęste zarośla towarzyszyły szosie aż do osiedla; zbiegały się zielonymi dolami, pagórkami, występami, zacierały wszystkie ślady, gotowe do największej arogancji, szarpały odzież kolcami, oślepiały oczy zawilą płataniną gałęzi, drapały ręce. Nieoczekiwana namiętność tego zielonego mocarstwa oszałamiała. Olbrzymie pszczoły, przysiadłszy na brzegach jedyne go strumienia jak pielgrzymi, piły wodę. Ich brzuchy wzdymały się, nie mogły lecieć wskutek tego ciężaru. Między nimi biegały tysiące żuków, które walczyły z sobą, grzebały zabitych i urządzały stypy nad zwłokami. Plemiona ptaków podnosiły hałas, każde na swój sposób, dziki pędziły na oślep, kozice jak w cyrku zeskakiwały z urwiska.

Co się tyczy roślin, to złoty błyszczący dziurawiec, robocze gałęzie sawiny,

wesoły wędrowny aktor — gwiazdzisty fioletowy tatarak.
czerwony tulipan, pocziwiec chory na otłuszczenie serca, białe kity ostnicy maszerujące w rozsypce, różowy jak policzki na północy oset, ponury traganek ubrany w khaki — urzędnik dżungli, biały i żółty głóg; topola i klon, ajaksowie wąwozu, kruszyna, różowy groszek, dzikie wino, żółte kulki cebuli i wszystkie niezliczone bezimienne krzewy i trawy — były świadkami bujnego życia wąwozu.

Wśród nich wznosiły się skały, reduty, hotele, bazary z kamieni. Wdzierały się w gęstwiny, bratając się z nią. Ich łagodne zarysy nasycone były zdradą.

Wysunięty występ jest niski i dostępny dla każdego ciekawego. Kiedy człowiek wchodził w dżunglę, głusza siadała w nocy koło niego przy ognisku, budziła go rankiem pierwszym krzykiem ptaka, wdzierała się mu do uszu w ciągu dnia, podczas powolnego świętowania codziennego oddziaływania matecznika. Puszcza nienawidziła szosy. Uważała ją za kata zielonej wolności.

— Po co pan tutaj przyjechał, pułkowniku, czy po to, żeby sobie ulżyć, czy po prostu rozerwać się?

Pułkownik nie siedł sam. Obok niego kroczył były rotmistrz Ba-klanow. Rotmistrz uderzając gałązką jałowca po bucie, prosił pułkownika o pół rubla na trunka.

— Ciągłe pijesz, bracie? — mówił z wyrzutem pułkownik. — Gdzie ty to wszystko wlewasz?

— Sam nie wiem. Jak do Kanału Panamskiego. Nie mogę nie pić. No, daj pół rubla.

— Ale co ty pijesz? —wypytywał pułkownik.

— Co się da. Nafty nie piję, dochodziłem do szansy *. Najbardziej lubię rosyjską gorzką. Pewnie masz ją w domu?

— Ze względów leczniczych wypijam kieliszek przed obiadem. Zapasów nie mam. A ty powinieneś przestać pić. Przecież wyglądasz jak nietoperz.

Rotmistrz z niedowierzaniem pochylił się nad strumieniem. W pasiastym szkle ukazała się twarz nowego Narcyza ze środowiska byłych żołnierzy straży granicznej. Lecz wiry wodne mąciły wizerunek i kolor twarzy zmieniał

się z niebieskoszarego na czarny i odwrotnie.

— Ja, jak mój ojciec — powiedział rotmistrz, odwracając się od strumienia — trzymam się tradycji. A ty co — nie pijesz, nie jesz,

• Chansza — rodzaj chińskiej wódki pędzonej ze zboża.

uprawiasz gimnastykę na świeżym powietrzu. Chcesz żyć sto lat? Po co?

Filozoficzne pytanie: po co? Wstąp do partii.

—Byłem — odparł z godnością pułkownik. — Usunęli mnie.

—Wiem. Spróbuj jeszcze raz. No, daj pół rubla. Sprzedasz pomidory, zarobisz pieniądze. Jesteś kupcem, a ja bezrobotnym.

—Dość — powiedział pułkownik — siądźmy lepiej.

—A ile dasz, żebym posiedział?

—Dam ci dwadzieścia kopiejek.

Usiedli nad strumieniem. Rotmistrz wymachując gałązką ciągnął dalej:

—Powiedz mi jednak — po co się tak starasz? Jesteśmy tu samotni. Z każdym dniem jesteś bliższy śmierci. Dzieci nie masz. Sprowadziłeś sobie małego Turkmena na usługi czy co. Chyba nie, przecież masz Fiedosję Rodionownę. Poza tym żadnych nałogów.

—Mam cel w życiu — rzekł tajemniczo pułkownik.

— I ja mam — odparł zuchowato rotmistrz, łamiąc gałązkę. — Marzę o zabiciu dziesiątego lamparta. Dziewięć sztuk, takich żółto- szarych w kropki, mój Boże, pozbawiłem życia. Dziewięć skór wala się w domu, to jest przepraszam, waszą wielmożność, nie ma ich już, odeszły z czasem, a ile ja przez nie sobie krwi napsułem, ile obłazi- łem ścieżek, barłogów, nor — niech je diabli, a jednak chciałoby się ustrzelić dziesiątego. Ten zwierz to baszybuzuk, nosi w sobie królewskie znamiona władzy zamiast cara, którego nie ma.

—Czekaj — powiedział pułkownik — nie o to chodzi. Chcę, rozumiesz, to wszystko — ogarnął gestem ręki wawóz jak prorok ju- dejski ziemię obiecaną — to wszystko...

—Nie rozumiem — powiedział ziewając rotmistrz.

—To wszystko — ciągnął dalej pułkownik — inaczej mówiąc, lasy, strumień, góry, zwierzynę, głuszę, twoje lamparty i tak dalej — wytrzebić, zniszczyć, a tutaj rozwinąć zakątek przemysłowo-kultural- ny.

— Jak to zakątek? — rzekł urażony rotmistrz. — Nie denerwuj mnie.
— Chałupnictwo przyrody zastąpić elektrycznością.
— Chcesz tu otworzyć sklepik? — powiedział rotmistrz. — Nie pozwolę.
— Nie będziemy ciebie pytać — rzekł głośno i surowo pułkownik. —

Opracowałem już projekt.

— No wiesz, to już jest oszustwo. Nie ty stworzyłeś ten wawóz
— powiedział wzgardliwie rotmistrz. — Jeszcze zobaczymy.

Pułkownik bez słowa podniósł się z kamienia.

Rewko pił ze spodka, starając się nie zanurzać palców w herbacie. Naprzeciw niego siedział Bakłanow, kołysząc się na krześle i wymachując czerwonymi rękami, a Fiedosja Rodionowna uśmiechając się do rotmistrza, odsuwała od niego pusty kieliszek. Pusty kieliszek drażnił go, rotmistrz znów podejmował atak na Wiediernikowa.

■— No, opowiedz, opowiedz, jak cię wyrzucali z partii. Ładnie to opowiadasz. Reformator! Chce zniszczyć przyrodę. Zaczekaj! No, opowiedz.

— O czym tu gadać? — wtrącił się Rewko. — Partia zna ludzi. W naszych ostępach pułkownik starej służby to po prostu kontrrewolucjonista.

— Aleś mu przygadał — roześmiał się rotmistrz. — A czy znasz jego projekt? Ameryka! A mimo wszystko wyrzucili go.

— Bakłanow, uspokój się.

Pułkownik odstawił szklanę, jego żółte policzki zwęziły się. Poruszył się tak, jak gdyby chciał wzlecieć w powietrze, opadł i zaczął szybko mówić:

— Odtwórzmy prawdę. Kiedy mnie wezwano na sąd Piłata, zapytano: „Czym się zajmujecie?” Czy ciebie by tak zapytano, co? Bali by się. Tak. Więc ja wykladam wiedzę polityczną czerwonoarmistom. Nie uwierzyli mi, lecz to był fakt oczywisty. W owym czasie znałem wiedzę polityczną na pamięć. Na przykład, jakie było zachowanie się burżuazji.

— Jej położenie było podle — rzekł rotmistrz.

— Ja mówię — zachowanie.

— Wasza wielmożność, raczy pan wypić jeszcze kieliszek — poprosił rotmistrz, a krzesło zaskrzypiało pod nim, jak gdyby przyłączało się do tej prośby.

— Nalać czy co? — powiedziała Fiedosja Rodionowna, mrugając

porozumiewawczo. — Ostatni.

Pułkownik machnął ręką, złapał komara i wrzucił do lampy.

— Dziwak z ciebie, Bakłanow — rzekł Rewko — jak pomyślę, że służyłeś dobrze w wojskach pogranicznych, ale wyrzucono cię.

Nasuwa się pytanie, za co? Za pijaństwo, za lekceważenie uświadamienia. Kiepski z ciebie wojak, skoro pijesz.

— Zachowanie się burżuazji było podle — odezwał się rotmistrz, wychylając kolejny kieliszek — a ja jestem ostatnim strzępkiem burżuazji.

— Idź do diabła — powiedział spokojnie Rewko.

— Posłuchaj, Bakłanow, pytali mnie o pochodzenie, a potem o stopień. Pułkownik. A przed rewolucją? — Pułkownik. A przed wojną? — Pułkownik. Jakże to, powiadają, towarzyszu, czyście się urodzili pułkownikiem? Nie, mówię, przyjaciele — towarzysze, ale proszę wziąć po uwagę: jestem starcem, mam sześćdziesiąt cztery lata. Zawód? — Administrowałem obwodem, byłem zastępcą samego Fazanczajewa. To był człowiek wysoce kulturalny, tylko miał trochę despotyczny charakter.

— Pewnie się śmieli?

— Bakłanow, uspokój się! — powiedział Rewko.

— Zdziwili się bardzo, że mam taki stopień i że nie zarżnięto mnie. Powiadają: „Waszych diabli wzięli, a wy tu wykładacie wiedzę polityczną. Gdzież więc jest sens współczesnego życia? To wy gracie komedię, mydlicie oczy, nie możemy wam uwierzyć. Powiedzcie coś ze szczerego serca”. Wówczas wstałem i mówię: proszę zanotować te słowa w protokole i sprawdzić mnie pod względem znajomości przedmiotu. Trzy godziny sprawdzali, jedyny brak uświadamienia dotyczył politycznego życia dziennikarskiego, ale tu nie można na czas znaleźć moskiewskich gazet. W pozostałych sprawach zatriumfował mój duch kolektywny, wżgardziwszy przeszłością. Wpadli w zakłopotanie i usunęli mnie tylko za pochodzenie, ale bez kłótni, nawet bardzo przepraszaali: nie możemy nie usunąć, ponieważ tu dokoła są pustynie, brak jest wytrwałych ludzi, a wy jesteście zbyt wielkim odłamkiem — niby ja — wielkim odłamkiem starego ustroju, ja — zakrztusił się herbata.

— Nie denerwuj się, Wiediernikow — wtrącił się Rewko. odwracając

filiżankę dnem do góry i kładąc na niej kostkę cukru. — Pisz sobie o tym, co wiesz, układaj projekt przyszłości. Dzisiaj na froncie pokojowym, nie ma w tym obrazu, a tu w istocie rzeczy jest pustynia. Ja sam ucierpiałem na służbie pewnego razu za taką sprawę. Mieliśmy zrobić okop w kształcie pierścienia. Zaczęliśmy kopać. Słowo honoru! Pokazały się kości, dziki kamień, patrzymy — w kur-

hanie ukazał się grobowiec. Wezwaliśmy natychmiast ludzi z rezerwy, krzataliśmy się cały dzień, podkopaliśmy się, żeby znaczyć się wydobyć trumnę w całości, a w najważniejszym momencie wszystkie płyty zawałyły się. Nieboszczyk jak rzuci kośćmi na wszystkie strony, ledwieśmy je pozbiali. Zgoda. Sformowaliśmy oddział i kochanego nieboszczyka posłaliśmy do sztabu dywizji. Chodzimy sobie i myślimy, jak będziemy dzielić podziękowanie. A na trzeci dzień przychodzi rozkaz ze sztabu dywizji, a w rozkazie tym nagana dla kochanych towarzyszy i w tej liczbie dla Rewki za uchylenie się od wykonania obowiązków służbowych bez szczególnej przyczyny, a przy tym rozkazie załączony drogi nieboszczyk już w postaci kupy kości w celu przywrócenia do pierwotnego stanu. Ot, jaka była historia!

— Ja ze wszystkich sił proszę, żeby mnie wykorzystano — zawołał Wiediemikow — mam zdumiewający talent trzymania ludzi w ryzach. Ja chana Chiwy trzymałem mocno w garści, nawet raz krzyknąłem na niego. Emir bucharski podarował mi umywalnię, którą mu przywieziono z Paryża. Znam pustynię jak nikt inny.

— Ja, ojczulku, znam ją jeszcze lepiej — powiedział rotmistrz, robiąc straszną minę. — Wydeptałem tu wszystkie ścieżki. Dziewięć lampartów bądź co bądź ukatrupilem. Żeby teraz dostał świeżego pod kulę, sprzedałbym go w mieście, daliby forszę, tydzień bym się bawił — ale nie chcę. Można by przejść na szampana.

— Tak właśnie pan zmarnował całe życie — odezwała się Fie- dosja Rodionowna, chowając filiżanki w kredensie.

— Pani nie potrafi mnie zrozumieć, Fiedosjo Rodionowno. Pani jest kobietą, a kobiety nie potrafią rozwiązywać zagadnień filozoficznych.

— Patrzę na was — powiedział Rewko podnosząc się z miejsca.

—Jesteście jak dwoje dzieci. Ale jednego mogę uszanować za wiedzę starości, a ty — jesteś chłop ze złotymi rękami, gęba zaś — łajno. No i co z tobą zrobić w nowym społeczeństwie?

— Postawić pod ścianę — ryknął rotmistrz tłukąc pięścią w stół.

— Niech ja będę lampartem dla ciebie. Ja jego, a ty mnie, zgoda?

— Jak nas doprowadzisz do ostateczności, postawimy — powiedział cicho Rewko.

— Dzikość we mnie kipi — mówił Bakłanow, uspokoiwszy się trochę — a czy mało przyniosłem pożytku? Kontrabandę łowiłem całymi karawanami, może powiesz, że nie? Łowiłem. Ich kryjówki wykrywałem? Wykrywałem. Polowałem na nich, jak na nuro-gęsi lub bażanty? — Polowałem. Kto to wszystko robił? Może ty?

—Co tam ja — odpowiedział Rewko. — Jestem tutaj nowym człowiekiem. A że za dużo pijesz, czuć z daleka.

—Ty jesteś człowiekiem miejskim, nie masz prawdziwej odwagi. Wy zgubicie dar boży — pustynię. O, on pierwszy — wskazał głową pułkownika — a mnie pustyni żal. Co ona wam zrobiła?

—Nie zaczepiaj mnie — rzekł Rewko — nie czepiaj się mojego nazwiska, a co do odwagi to może jeden smoczek ssaliśmy.

—Zgoda — zawołał rotmistrz — we dwójkę na dziesiątego lamparta, co? Bierzemy dziesiątego lamparta? Będiesz mi druhem na całe życie.

—Zawięty z ciebie pies, Bakłanow — powiedział Rewko. — A dlaczego miałbym nie wybrać się na lamparta? Zwyczajny kot, tyle że hałaśliwy.

Noc. Niedopałki walają się obok przepełnionej popielniczki. Wielki album pułkownika jest otwarty. Notatki wymagają poprawek —uwag. Cienie wielkich artystów stoją za plecami Wiediemikowa.

Tylko pierwsza stronica nie jest zapełniona gęstym tekstem. Dźwiga ona na sobie ciężar motta: Najdroższym skarbem na świecie jest robotnik-komunista, najdroższym skarbem tutaj jest woda; popatrzmy, co mogą zdziałać te dwie siły w stosunkowo krótkim czasie. Nad mottem tytuł: Zarys w postaci opowiadania, czyli Przyszłość Osiedla Biriuzowskiego za lat dwadzieścia pięć.

Pułkownik rozsiada się wygodniej w fotelu. Twórczość nie pozwala mu

zasnąć. Panna z oleodruku kusi go różową piersią, lecz dzisiaj nie ma powodzenia. Wiedemikow drży. Czyta na nowo tekst, daleko jeszcze do końca. Jak trudno jest być prorokiem we własnym wąwozie! Mieszka tu zaledwie dwustu ludzi, dokoła huczy dżungla, wąwóz na długości czterdziestu wiorst grozi obsunięciem się i powodziami, dziki niszczą drzewa, wilki napadają na pasterzy, dolne występy skał dostępne są dla każdego. Przez te występy przeprowadził już tramwaj, wysiedlił wszystkich robotników na szczyty gór, zniszczył już zielone cesarstwo dżungli, lecz powstaje pytanie — skąd wziąć ludzi? Ludzi. Wiedemikow czuje w sobie gniew Pana zastępów.

„Ludność osiedla — pisze — dzięki udoskonaleniu środków rozrodczych osiągnie liczbę dziesięciu tysięcy. Wszystkie metody naukowe zostaną pущzone w ruch. A więc to jest załatwione...”

Przed tygodniem zakończył budowę wodociągów, wielkich domów — internatów, elektryfikacja zbliża się ku końcowi — można iść dalej; ważne jest przewidywanie szczegółów. Robotnicy ubrani będą w jednakowe jedwabne bluzy, szycie bluz i spodni wykonywać będą mechaniczni krawcy w pracowniach komunistycznych. Ani jednego przekleństwa, dokoła czystość, elektryczne wentylatory zmontowane pod sufitem kołyszą się miarowo.

„...A wódeczki nie ma”.

Skąd się to wzięło w tekście? Poprawić rozdział. Aha, to przypomniał mu się Bakłanow. „Trzeba to natychmiast zlikwidować. Czego ci się zachciało, bracie rotmistrzu?” Pułkownik zanurza pióro w największej gęstwinie atramentu i pisze na czysto.

„W roku 1932 zdarzył się ostatni wypadek niezorganizowanego pijaństwa. Pewien zarządzający obchodził jubileusz swojej służby, zasiedział się długo na stanowisku, przecież to rzadkość. No i upił się z radości... Wino i wódkę można otrzymać tylko w centralnej aptece komunistycznej...”

— Zemściłem się — mówi pułkownik. Noga mu ścierpła, wyciągnął ją spod stołu i zaczął masować. Mrówki mu biegły po starej, suchej, coraz słabszej nodze. „Trzeba to wziąć pod uwagę”.

„W przyszłości ludzie będą chodzić bez pomocy nóg. Koła pneumatyczne przymocowane do stopy rozwijają szybkość 5 wiorst na godzinę. Na razie

wystarczy. Poza tym kuracja odmładzająca dostępna jest dla każdego towarzysza, bez względu na płeć i wiek. A jak będą umierać — to można będzie przerobić w uwagach — myśli pułkownik — śmierć nie jest tak ważnym zagadnieniem, skoro ludzie żyją normalnie do stu lat...”

Teraz wąwóz. Jezioro. Tak, oczywiście, potrzebne jest szerokie jezioro — jeziora w ogóle nie ma w wąwozie, a wody jest bardzo mało, poza strumykiem nie ma nic. Dlatego właśnie musi tu być jezioro. Dobra, świeża kałuża, którą trzeba zarybić.

Pułkownik pisze dla pamięci na marginesie:

„Ryby w jeziorze: łopatonos karp
karasie (tłuszczejsze) pstrąg.

Pożądane są motorówki. Na cyplu nad jeziorem kino naukowe, w święta komunistyczne konkurs mówców”.

Księżycowa cisza wypełnia dom. Jakaś muszka łązi pułkownikowi po głowie i brzęczy zakłopotana. Pułkownik na próżno usiłuje ją złapać.

„Obecnie wąwóz jest ogniskiem malarii. Choroby mają wielką siłę żywotną. Muszę się zastrzec: malarię jako chorobę spotyka się rzadko, ale zdarza się jeszcze, przyczyną bowiem tego jest zbyt długie przebywanie towarzyszy komunistów w ogrodach poza czasem pracy”.

Następny punkt — jedwabnictwo. Bluzy i spodnie wyrabiane są z materiałów jedwabnych. Gmach już ma gotowy, ale opuścił technikę. Pułkownik pisze: „Baraki, w których karmi się jedwabniki, należy zaopatrzyć w windy, aby kokony można było dostarczać niezwłocznie na drugie piętro”.

O, ciężka i słodka noc organizatora! „Jeżeli ta panna na obrazku będzie się ze mną drażnić, rzucę w nią kałamarzem” — myśli pułkownik, podnosząc oczy znad stronic przyszłości.

Najmniejsze przeoczenie pociągnie za sobą fatalne skutki. Czy człowiek powinien odżywiać się racjonalnie, czy nie? Powinien. A dlaczego nie ma nigdzie wskazań, jak ludzie będą się odżywiać za dwadzieścia lat? Tutaj nie jest Europa, on przeżył tu przeszło sześćdziesiąt lat, a miejscowi mieszkańcy przez cały czas jedli palcami i tak jedzą dalej.

„Pozostawić to zagadnienie jako otwarte” — pisze pułkownik.

Układ jadłospisu — to łatwa sprawa. Robotnicy komuniści otrzymują

między szóstą i siódmą herbatę, kawę, mleko, jabłecznik, różne zakąski na zimno. Od dwunastej do drugiej obiad z dwóch dań i owoce. Od szóstej do ósmej to samo co rano. Napoje chłodzące wydaje się o każdej porze dnia od szóstej rano do dziewiątej wieczorem zarówno w stołówkach, jak i w mieszkaniach.

Ale przecież oni się rozleniwia, zechcą spać do dziesiątej. Hola! Wiediemikow zastanawia się chwilę i notuje: „Wszystkie łóżka zaopatrzyć w sprężyny, które skręcają się automatycznie o piątej rano, bez względu na pozę śpiącego”.

— To jest słuszne! — mówi, zapalając papierosa. Powoli odczytuje stronice. Wąwóz za ścianami domu trzęsie się z wściekłości. Nie szkodzi, da sobie z nim radę. W tym momencie oczy pułkownika padają na wyzywającą urodę dziewczyny z oleodruku. Wiediemikow puszcza trzy kółka dymu: wszyscy są ludźmi, nie można ich pozba-
wiać uroku istnienia. Prawo rozmnażania się musi być również uszanowane. Do jakiego paragrafu można by to wstawić? Ach, jest! Ogród komunalny jest urzędem stanu cywilnego. Urząd — to akt rejestracji, szanowni ludzie, zaraz — sam czytał w dziennikach — oni też domagają się przyjemnych obrzędów i przytulnego piękna. Pułkownik znów uzbraja się w pióro.

...W ogrodzie komunalnym zrobić trzy aleje: aleję spotkań obsadzoną cyprysami, aleję westchnień z bukszpanów i aleję randek z mimozą”.

Problem jest załatwiony.

Wiediemikow staje się surowy i nieprzekupny. Jak ciężko jest jednemu człowiekowi, jaki sztab współpracowników miał stary Bóg, kiedy budował wszechświat. Pizy sposobności: zagadnienia zarządzania, na tym można zakończyć noc. Już świta. Chubiłaj brzęczy na dworze łańcuchem.

„...Rada najwyższa pracuje sześć godzin dziennie. Nie ma przed nikim żadnych tajemnic. W głównym biurze znajduje się księga zażaleń, w której każdy może napisać, co mu się podoba. Skargi załatwiane są większością głosów. Nie ma miejsca na niesprawiedliwość. Przypadkowe nadużycia (tu załączyć listę: kradzieże, zabójstwa na tle zazdrości, ordynarne przekleństwa itd.) są nieliczne. Zajmuje się nimi najwyższy sąd Republiki”. Kropka.

Skończyła się gorączka twórcza. Każda noc przynosi kolejny etap

zagospodarowania wawozu. Ale czy ta głusza zrozumie pułkownika? Gałęzie stukają w okno, jak gdyby mówiły: czekaj, poczekaj... Pułkownik ostrożnie zamyka album i gasi lampę.

Skąd się wzięła ta niezwykła namiętność pułkownika Wiedierni- kowa? Na co potrzebne mu było zmienianie oblicza ziemi, niszczenie spokoju pustyni i gór, wśród których przeżył całe życie, po co spędzał noce na lekkomyślnym trwonieniu własnych fantazji, klepiąc po ramieniu bezruch, który go otaczał? Przewrót w duszy pułkownika nie dokonał się w październiku, lecz znacznie później. Dokonana została nieoczekiwana rewizja duszy. Okazało się, że przed rewolucją pustynie były pustyniami, cisza — ciszą i niczego się nie oczekiwało, nie było nawet od czego zacząć rachuby czasu. Do wiedzy politycznej Wiediernikow płynął przez ocean nudnej powszedniości i nagle wszystkie stare prawa świata zostały zepchnięte ze swych miejsc w tej papierowej Ameryce, która zjawiała się na jego stole. Znalazł most, na którym zorganizował najpierw spotkanie z żołnierzami, mówił im przez całe życie: popraw czapkę na głowie, wciągnij brzuch, oczyść buty, mówił nie brutalnie, lecz surowo i więcej nic. I to się skończyło. Teraz otwierał przed czerwonoarmistami księgę, która wstrząsnęła nim samym. Wiedza polityczna przywróciła mu spokój i równowagę ducha. Przed dwoma laty oglądał pustynię towarzysze ze stolicy. Miał prostą, okrągłą twarz i duże oczy. Oglądał wszystko spokojnie, nie troszcząc się o hołdy, lecz pułkownik widział, że wszyscy lgną do niego, a on odpowiadał natychmiast i z wielką pewnością siebie.

Towarzysz ze stolicy zapytał człowieka w kawaleryjskich spodniach, który mu towarzyszył, dlaczego nie wziął do sztabu takiego specja jak Wiediernikow.

Dowódca brygady odparł z szacunkiem, że pułkownik jest stary, że według pogłosek cierpi na hemoroidy i astmę, a służba byłaby dla niego zbyt uciążliwa.

—Jak wy się na to zapatrujecie, towarzyszu Wiediernikow? — zapytał go bolszewik na odpowiedzialnym stanowisku.

—Towarzyszu dowódco — odpowiedział pułkownik — to jest prawda,

istotnie mam astmę, pogłoska o hemoroidach na razie nie odpowiada rzeczywistości, ale jazda wierzchem sprawia mi trudność. Proszę mi pozwolić zreferować sprawę przyszłości tych stron w formie kategorycznej...

Wówczas towarzysz ze stolicy poszedł z nim do przodu, a za nimi ruszył tłum ciekawych i osób towarzyszących gościowi. Mijali właśnie gigantyczny platan, którego siedem pni znikało wśród zielonej tajemnicy liści, a kiedy podnosiło się oczy ku jego wierzchołkowi, listowie to zieloną eksplozją wylatywało pod niebo. Tam gdzie pień się rozwidlał, na wysokości człowieka, ciemniała naturalna altanka. Wiediemikow wskazał na nią.

—Nieboszczyk gubernator Fazanczajew pijał tu przed dwudziestu laty herbatkę z paniami, a drzewo nakrywano płótnem w kształcie falującego czerwonego kołpaka. Stały tam krzesła, a nawet na ziemi rozścielano dywan.

—Ciekawe — powiedział towarzysz ze stolicy, stając przy drzewie.

-x- Teraz drzewo powróciło do swego naturalnego życia. Z powodu podeszłego wieku potrzebuje opieki jak w muzeum. Trzeba pilnować, żeby na czas odrabowano gałęzie, usuwano zgniłą korę...

— No i co? — zapytał towarzysz ze stolicy.

— Kto uwolnił drzewo od dam i kaprysów gubernatora? Wyzwoliła drzewo rewolucja proletariacka, wielce szanowny towarzyszu dowódco.

Bolszewik na odpowiedzialnym stanowisku podniósł brwi.

— Żeby nie zajmować wam zbyt wiele czasu, pozwólcie, że przedłożę wam na piśmie referat o przyszłości tych stron.

— Zgoda — rzekł towarzysz ze stolicy, żegnając się z Wiediemikowem i pociągnięty przez służbowy orszak w inną stronę odszedł od platanu.

W dwa dni później, kiedy towarzysz ze stolicy już wsunął jedną nogę do pojazdu, pułkownik, rozepchnawszy szeregi urzędników i ciekawskich, zbliżył się do samochodu.

— Przeczytałem wasz referat — powiedział mu towarzysz ze stolicy. — Ciekawy referat. Może coś z nim zrobimy. Dziękuję.

— Służę republice — odpowiedział Wiediemikow salutując.

Towarzysz ze stolicy nie był blagierem. Po jakimś czasie zjawili się w osiedlu dwaj inżynierowie. Co dzień odbywali naradę z pułkownikiem i łazili po górach, pokazując sumiennie straży pogranicznej idealne

przepustki.

Każdy punkt utworu pułkownika zaopatrywali w komentarze składające się przeważnie z przekleństw skonstruowanych na poczekaniu za pomocą terminów słownika technicznego i porzekadeł ludowych. Przed ich odjazdem Fiedosja Rodionowna ugotowała im klusek.

— No i co — powiedział pułkownik — co mi powiecie na pożegnanie?

— Powiem wam na pożegnanie — zaczął jeden z nich, ten młodszy — że wszystko, co napisaliście, można zrobić, ale za pomocą jakich środków? Zaprosić Forda z Ameryki czy co? Powiadacie — tramwaj, a tu jest zaledwie stu mieszkańców.

— Dwustu — poprawił pułkownik.

— Chyba biorąc pod uwagę obliczenia przyszłego stanu inwentarza...

— Stożek mu w hiperboloide! — powiedział posępnie drugi. — Wczoraj omal nas dzik nie poharatał. Nie ma rady, towarzyszu. Ptaszek kołysze się na gałązce, taka jego natura.

Inżynierowie odjechali, wypiwszy dwa samowary i zjadłszy wszystkie kluski. Chubiłaj ochrypl od szczekania i zmęczył się gonieniem za nimi.

— To są pierwsze jaskółki — rzeki pułkownik. — Dzika się zlekli.

Mieszczuchy. Napiszę jak najszczegółowiej. Zrobię wszystko sam.

Od tego czasu prawie każda noc była twórcza dla Wiediarnikowa. Nawet Fiedosja Rodionowna czuła się urażona tym, że pułkownik woli kałamarz od niej, i pokpiwała przy obiedzie i kolacji z jego papierowej miłości.

Wiediemikow zawarł umowę z Rewką, odsłonił przed nim tajemnicę swego albumu i jedyna maszynistka rady przepisywała na maszynie skrót pracy pułkownika, nie zastanawiając się nad niezrozumiałymi słowami i pisała zamiast: „paliatyw” — „lokomotywa” i zamiast „balon” — „bulion”... Potem rękopis został wysłany owemu towarzyszowi ze stolicy, który oglądał pustynię ze wszystkich punktów widzenia, i tam praca pułkownika utknęła bez wieści.

Jubileusz dwóch lat, które upłynęły od dnia wysłania rękopisu, pułkownik obchodził w towarzystwie Rewki. Rewko przekonywał go, że nie powinien się denerwować, że z całej Rosji ślą do Moskwy rękopisy i że istnieje tam kolejka na czytanie tych prac.

—I ja tak myślę — mówił pułkownik — każdy chce jak najszybciej przyprowadzać swoją zapadłą dziurę do piękna niedalekiej przyszłości.

Bakłanow i przyjezdny meteorolog Saryczew siedzieli w wąwozie nad strumieniem. Strumień obojętnie toczył swe fale. Saryczew mieszał kijem w kociołku ustawionym na dwóch płaskich kamieniach. W kociołku gotował się żółw. Woda kipiała jak źródło.

-¹— Nic z tego nie wyjdzie — powiedział Bakłanow i splunął. — Niech pan spróbuje wylać.

Saryczew odlał wodę i położył żółwia na piasku. Żółw wysunął głowę, obejrzał się i popęzł do strumienia. Rotmistrz przewrócił go kijem na grzbiet.

— Widzieliście? Tak już trzeci raz.

— Nie mogę w żaden sposób zrozumieć — wymamrotał Saryczew nadymając dolną wargę. — Co to za mechanika?

—Właśnie taka mechanika — odparł rotmistrz. — Nie chce się ugotować i to wszystko, taki gatunek. Dajcie mu spokój! Tu się jeszcze gorsze rzeczy zdarzają.

Saryczew podniósł żółwia dwoma palcami. Żółw schował głowę, otwór zamknął się prawie hermetycznie. Meteorolog rozkołysał żółwia i rzucił go w krzaki. Rotmistrz podniósł kociołek. Ruszyli naprzód, przecinając dżunglę na przełaj.

—Towarzyszu Saryczew, pewnego razu znalazłem się w Persji, diabli wiedzą, w jaki sposób: polowałem w nocy, niepostrzeżenie przeszedłem granicę, szliśmy wciąż przez wąwozy, z pewnym Turkmenem — byłem jeszcze młody, ścigałem kozice. No i przenocowaliśmy w takiej, znaczy się, diabelskiej dziurze. Rankiem budzę się, patrzę: piekielnie czarny dzik stoi w krzakach i gapi się na mnie. Ja za fuzję — bac — spudłowałem. A on stoi jak gdyby nigdy nic. Ja drugi raz — trach — ani mrumru. Pudło, ale on się nie rusza. Czyżby, myślę, trafiła go pierwsza kula. Podchodzę ostrożnie i co myślicie: kamień. Żebym skonał na miejscu, potężny dzik z czarnego kamienia...

— Ja gdzieś to czytałem — mówi meteorolog, skacząc po kamieniach.

— Nie mogliście tego czytać, co też opowiadacie?

Rotmistrz obraził się. W milczeniu przyszli do osiedla. Cichy szmer

letniego życia miał swoją skalę dźwięków. Na jej szczycie znajdowały się rzadkie uderzenia siekiery, niewyraźne głosy gospodyń, pianie kogutów i ryk osła, potem szły kroki, skrzypienie drzew, urozmaicona muzyka podwórek, a już gdzieś całkiem na dole skali śpiewały komary i drżały liście. Nad palisadami zwisały gałęzie orzecha, klonu, dzikiej oliwki. Chubiłaj potoczył się pod nogi gości, nad jego zakurzoną skórą krążyły muchy.

Pułkownik pił mleko z razowym chlebem.

— Przyszedł list — powiedział Bakłanow.

Przesyłka nadeszła z miasta, do którego Mahmud odwiózł kiedyś skrzynię pułkownika.

Wiediemikow, który odzwyczaił się od listów, był przekonany, że każdy kryje w sobie coś niezwykłego. Dlatego nie czytał listu od razu, lecz odnosił do sypialni i odczytywał wieczorem, kiedy wszystko uspokajało się dokoła, a długie dzienne rozmyślenia stanowiły należyte przygotowanie do odbioru wiadomości.

— Towarzyszu Wiediemikow — rzekł meteorolog — jesteście kulturalnym człowiekiem, panuje o was dobra opinia, słusznie odczuwacie potrzeby współczesnego życia. Czy nie zgodzilibyście się na pewną propozycję?

—Słucham, z przyjemnością słucham — powiedział powoli pułkownik.

—On jest u nas jak gdyby profesorem — odezwał się Bakłanow.

—Oczywiście słyszeliście o zachmurzeniu, wiatrach, opadach. Postawimy wam tu deszczomierz, jeżeli zgodzicie się na przeprowadzanie obserwacji. No i oczywiście zapłata, powiedzmy osiem, dziewięć rubli. Zgadza się?

—Z całego serca, z całego serca — odparł wzruszony pułkownik. — Guriju, poproś Fiedosję Rodionowną, żeby nastawiła samowar. Jedyna nasza przyjemność i rozrywka to samowar. Pogwarzyć czy posiedzieć — samowar... To jest nudne, ale co począć? Gdyby tu mieszkali pisarze, tacy co to tylko piszą, pisaliby tylko o samowarze. Jakie to życie... Ot, powiedzmy, za lat dwadzieścia pięć...

Później, kiedy zapadł zmierzch i Gurij rozłożył swoje zeszyty, pułkownik kazał mu je zabrać.

—Nie będziemy dziś mieli lekcji, powtórz sobie stare.

Ucieszony Gurij pobiegł na podwórze bawić się z Chubiłajem.

Pułkownik przyniósł swój ukochany album, ale przed otwarciem go zaczął mówić o osiedlu:

— Oczywiście, ludzie mieszkają wszędzie, ale u nas panuje szczególne ubóstwo wyobraźni: mleko, krowy, chleba niewiele, żrą melony, dzieciarnia biega. A widzieliście wawóz koło nas? Jakie to bogactwo! Wody nie ma — bujda, przyjaciele moi, a strumień na wiosnę to taka siła, że nie wiadomo jak się przed nią ratować. Latem wysycha, to zróbcie tak, żeby nie wysychał; ludzi mało — postarajcie się — to się narodzą. Tak, pozwoliłem sobie dla okazania pomocy władzom centralnym zebrać wszystkie moje wiadomości i, przepraszam za nieścisle słowo, przedstawić moją fantazję w ogólnych zarysach. Pozwolicie, że odczytam...

Pułkownik chrząknął i zaczął wysokim głosem czytać swój elaborat. Czytał go jak dekret, wpadając w patos, wyrazem oczu podkreślając szczególnie sens tego lub innego paragrafu.

Saryczew słuchał uważnie, zdumiony głęboką wiarą fanatyka, tkwiącego w tym starym, wysuszonym człowieku.

Rotmistrz skorzystał z pauzy i wtrącił się do rozmowy:

— Coś ty tu ponapisywał: fabryka, produkcja, a gdzie polowanie? Ja zdechnę bez polowania. Na co mi twój jabłecznik, od którego tylko kruczy w brzuchu. A o pijaństwie to miałeś mnie na myśli czy co, że zacząłeś sprzedawać wódkę w aptekach? Wiem. Póki nie jest za późno, napisz coś o polowaniu.

— Napisałem — powiedział pułkownik. — Bażantów będzie w parku co niemiara. Okres ochronny trwać będzie cały rok. Będą jak oswojone brać od zwiedzających z rąk pożywienie. Wspólne polowanie na bażanty odbywać się będzie raz do roku, na święto Rewolucji Październikowej. I jest jeszcze coś specjalnie dla ciebie... Wskutek ustawy o ochronie powstanie dokoła północnych stawów gęsty ostęp, dokąd będą przychodzić parami lamparty, a nawet tygrysy z Persji. Okręgowe stowarzyszenie łowieckie urządzać będzie obławy w skali ogólnozwiązkowej, na które będzie zapraszać najlepszych myśliwych republiki.

— Świetna myśl — zauważył rotmistrz. — A jednak, wiesz, nuda będzie śmiertelna. No dobrze, wystrzelam wszystkie lamparty, a potem sam się

zastrzełę z nudów.

Saryczew powiedział:

— Styl macie gładki, bardzo swobodny. Zapewne dużo czytacie.

— Tak — odparł Wiediemikow — tylko że pisarze na tematy społeczne nie interesują mnie. Czytałem kurs wiedzy politycznej, ale to jest styl suchy i naukowy. Trudno mi się nim posługiwać. Szukałem bowiem męskiego prostego słowa, nieomal wojskowego ładu.

W tym momencie podniósł się i wyszedł z pokoju.

Po powrocie położył na stole księgę w czarnej oprawie.

„Czyżby to była Biblia?” — pomyślał Saryczew, szukając krzyża na okładce, ale krzyża nie było.

— Odczytam wam z tej księgi kilka przykładów wzorowego stylu.

Pierwszy przykład: „Zauważyłem kilka koni skarżących się na nogi.

Przypisuję to okropnej podłodze...” To dopiero powiedziane, nie sposób zmylić z niczym! — Pułkownik nabrał animuszu. — Albo dalej: „Podczas jazdy po ulicach — czytał — kozacy biją mieszkańców nahajkami, zrzucają sprzedawcom z głów kosze z plackami i owocami. urządzają pijatyki, przyprowadzają kobiety, a po pobudce wywołują w pomieszczeniach bezmyślny hałas”. Jaka proza! Tak pisał tylko Gogol. Zobaczcie, jakie to jest wyraziste i lekkie. A oto dalej: „Konie powinny być ujeżdżane, a tak zwaną dżygitówkę, to jest przesadne nachylenie ciata, podnoszenie z ziemi rękami różnych

przedmiotów i wszelkie bezmyślne koziołkowanie jako szkodliwą akrobację należy zabronić!”

—Co wy czytacie? — zapytał Saryczew, lecz pułkownik grzmiał dalej:

—„Kiedy rozlegnie się święty sygnał do ataku, to w tym wielkim, świętym momencie, artyleria powinna zapomnieć się. Artyleria powinna ofiarnie leć cała, tak samo jak ofiarnie legnie cała piechota, atakując wroga”. Jaki żywioł! To Szekspir. Jak pamiętam z lat dziecinnych, tak pisał.

—Ale co wy czytacie, do diabła!? — krzyknął Saryczew.

—Rozkazy Skobieleva — odpowiedział pułkownik. — To był wspaniały mózg organizatora, styl jego rozkazów był przedmiotem mojego naśladownictwa i w sferach wojskowych uważany był za wzorowy. • ir

—A co zrobiliście z waszym rękopisem?

Pułkownik opowiedział dzieje swego rękopisu. Odpowiedź z Moskwy nie nadeszła. Wiediemikow opuścił głowę. Burza, która wstrząsała jego wyobraźnią, ucichła. Samowar już wystygł, trzeba było iść spać. Rotmistrz położył się na tarasie. Gościowi pułkownik posłał w pokoju obok sypialni. Saryczew długo nie mógł zapomnieć deklamującego pułkownika, rotmistrza przewracającego żółwia, potem wszystko zaczęło mu się mieszać w głowie, zuchwała nagość dziewczyny wiszącej w pokoju pułkownika zmieszała się z niezwykłą bajką o przyszłości osiedla, napisaną językiem rozkazów wojskowych. Jego ucho przeszył dziwny zgrzyt i pisk na dworze. Okiennice jedyne okna były zamknięte od podwórza, nie można było nic zobaczyć.

„Czyżby pułkownik piłował w nocy drwa wespół z rotmistrzem? To dopiero parka!” — pomyślał. Trudno było zasnąć. W końcu pograżył się w śnie, po długim przewracaniu się na łożu, lecz również przez sen aż do rana słyszał zbliżające się i oddalające skrzypienie piły. — Co za brednie — mówił sam do siebie, budząc się na chwilę — czy oni zwariowali, w nocy piłują drzewo!

Rano, kiedy szedł się umyć, usłyszał znów ów dźwięk zachrypniętej piły. Zdumiony wyrzwał z za węgła. Chubiłaj biegał na łańcuchu, przymocowanym do grubego drutu, a kiedy napręzał łańcuch, drut zgrzytał jak piła.

Saryczew zaklął ze złości i podstawił głowę pod strumień wody.

Ani jeden obłoczek nie zaciemniał turkusowego nieba nad osiedlem. Wysoko nad grządkami pomidorów, marchewki, cebuli, nad szerokimi liśćmi tytoniu stał na szarych nogach szary walec. Był to właśnie deszczomierz. W środku walca zagięła się przegródka, chroniąca wodę przed parowaniem. Deszczomierz stał samotny, skazany na całkowitą bezczynność, deszczu bowiem nie było i przewidziany był dopiero w najbliższych miesiącach.

Posucha dawno już wypila resztki mętnej wody z wąskich rowów; w niektórych miejscach strumień w wąwozie zamienił się w cienką nitkę; w ogrodzie listowie przybrało odcień metaliczny. Pył unosił się wszędzie. Wiediemikow troszczył się o deszczomierz jak o dziecko. Codziennie rano o siódmej przychodził z taboret, ostrożnie zdejmował walec, stawiał na jego miejscu zapasowe wiadro

1 zanosił deszczomierz do pokoju. Deszczomierz był suchy jak polano, które zestarzało się w ciepłej kuchni.

Wiediernikow odwracał walce nad szklanym pudłem, którego ściany były pokryte znakami podziałki, określającej wysokość poziomu wody. Ale ponieważ żadnej warstwy wody nie było, to w ogóle nie warto było przewracać deszczomierza. Wówczas, kiwając z wyrzutem głową, Wiediernikow pisał na arkuszu specjalne smutne znaki, poświadczające, że deszczu nie było. Wycierał deszczomierz i odnosił go na miejsce. To nie jego wina, nie ma deszczu, przecież nie mógł tam sam nalewać wody. Pobory osiem rubli dziesięć kopiejek otrzymywał punktualnie. Po upływie tygodnia zbierał protokoły donoszące jednogłośnie o suszy, i sporządziwszy na ich podstawie jednolity komunikat, wysyłał do miasta. Zmusił Gurija i Fiedosję Rodionownę do szacunku dla nauki, lecz oboje znów stracili jego towarzysztwo.

— To mi dopiero nauka—gderała gospodyni — żeby za nic dostawać pieniądze? Jeżeli tak jest wszędzie, to widać, na co wydaje się pieniądze społeczne. Stawiać puste wiadro pod słońcem, to i ja potrafię.

— Ty, Fiedosjo Rodionowno, masz rondel zamiast głowy — odpowiedział zirytowany pułkownik i poszedł do ogrodu zbierać jabłka, które spadły z drzew. Ogród okryty pstrokata siatką cieni podobny był do zielonej altany. Chrząc lekko kolanami Wiediernikow nachylał się nad rumianymi owocami, podnosił je, wciągając w nozdrza subtelny aromat płynący od świeżej skórki, zdmuchiwał z nich kurz i ziemię i układał w koszyku. Podniósłszy się, jeszcze raz spojrzał do góry i zadrżał. Przed nim stał Rewko, który zbliżył się cicho jak upiór. Pułkownik znał dobrze każdą zmianę wyrazu twarzy bolszewika i ogrodnika i zdziwił się widząc, jaki jest obcy i gniewny. Rewko powiedział lodowatym głosem:

— Towarzyszu Wiediernikow, odłóż no jabłka, mam sprawę do ciebie. Musimy porozmawiać w specjalny sposób.

Mówiąc to podszedł blisko do niego, położył mu rękę na ramieniu i patrząc w oczy pułkownikowi, powiedział:

—Ech, ty, a myśmy tobie ufali!

Pułkownik wyprostował się. Zmierzył Rewkę prawie wyniosłym spojrzeniem. W prawej ręce ścisnął jabłko, a lewą wsadził do kieszeni starego szarego frena i zapytał:

—A co ja zrobiłem?

—Posłuchaj, opowiadają — zaczął Rewko głuchym szeptem — opowiadają, że masz gdzieś schowane wielkie bogactwa...

—Ja, bogactwa? — pułkownik wzruszył ramionami.

—Drogocenna waza, po prostu bezcenna, a tyś ją ukrył przed wszystkimi na zapas. To prawda, co?

—Waza — pułkownik wymówił to słowo lekko; było powiewne, odrobinę ciepłe, podługne jak jabłko z jego ogrodu. — Nie mam żadnej wazy. Miałem ją kiedyś, ale teraz nie mam.

—Gdzie ona jest? — zapytał Rewko, mieniając się na twarzy z przejęcia. — Wiesz, tu nie ma żartów. Słowo daję, to jest własność ogółu, a chociaż tutaj jest głusza, nie damy się oszukać.

—Chodźmy — rzekł pułkownik energicznie, wrzucając jabłko do koszyka. Podniecony zaprowadził Rewkę do swej sypialni.

—Siadaj! — zaproponował niemal przyjaznym tonem. — Tu masz ową wazę.

Pułkownik otworzył szufladę, rozsunał książki i wydobyl dużą fotografię. Rewko zobaczył wazę z brązu chińskiej roboty, błyszczącego smoka, który owinał się dokoła niej, łodzie z kwadratowymi żaglami, Chińczyków, bramy z figurami, powyginane zwierzęta, kwiaty podobne do zwierząt.

—Czy o tym właśnie była mowa? — zapytał pułkownik siadając naprzeciw Rewki.

—Nie ma dymu bez ognia — bąknął Rewko, dziwiąc się trochę spokojowi pułkownika. — A gdzie ona jest? — Rozejrzał się po pokoju sądząc, że zaraz zobaczy wazę na jakimś stoliku.

— Tę wazę — powiedział pułkownik powoli zdenerwowany w najwyższym stopniu — mój kolega ze starej armii pułkownik Mikołaj Romanow, bardziej znany pod nazwą Mikołaja Drugiego, otrzymał z własnych rąk cesarza japońskiego wraz z innymi podarunkami jako wyraz przeprosin za to, że pewien Japończyk przypadkowo uderzył Mikołaja Drugiego tępym tasakiem

w głowę, gdy ten niewłaściwie zachował się w świątyni. Mikołaj Drugi nie posiadający wrodzonego daru cenienia dobrych rzeczy, podarował tę wazę członkowi swojej świty, generałowi Kosobriuchowowi. Generał Kosobriuchow na łożu śmierci zapisał ją swemu synowi Grigorijowi, zwanemu Musztardą za wulgarność i złość języka. Musztarda przegrał ją do mnie w karty w tysiąc dziewięćset czwartym roku, kiedy wyruszaliśmy do Mandżurii, gdzie pocisk japoński rozszarpał go na trzy kawałki.

Rewko słuchał obracając fotografię na wszystkie strony. Jego twarz wyrażała niedowierzanie. Jego wąskie oczy błyszczały, upodobił się do lisa.

— Wymieniona waza stała w moim gabinecie trzynaście lat, znałem ją jak siebie samego. To była bardzo piękna rzecz, skłaniająca do namysłu. Człowiek, który ją zrobił, dużo myślał o sobie i o życiu. Miał niewątpliwie zdrowe serce, a jego mózg pracował jak mózg szefa sztabu generalnego. Archeolog francuski Canet dawał mi za nią piętnaście tysięcy franków w roku tysiąc dziewięćset ósmym i kusił mnie wszystkimi cudami Paryża, ale nie sprzedałem wazy. W roku tysiąc dziewięćset siedemnastym stał się mój dom w mieście obiektem usprawiedliwionej historycznie napaści uzbrojonego ludu. W porywie entuzjazmu dom został rozebrany do ostatniej cegły. Ja leżałem chory tutaj, w osiedlu, i nie wiedziałem, co się stało z wazą. Kiedy podniosłem się z łóżka, żałowałem bardzo, że taki unikat został zniszczony i znikł, zamiast tego, by uczyć sztuki młode pokolenie proletariackie. Pojechałem do miasta i znalazłem moją wazę w śmietniku. Dwóm Chińczykom odpadły głowy, a smok stracił łapę. Przywiozłem wazę tutaj...

— Tak — rzekł Rewko. — To są niezbite dowody, drogi człowieku. Pełne przyznanie się i całkowite ukrycie wartościowego przedmiotu. Oto gdzie jest kontrrewolucja.

— Niczego nie ukrywałem, po przywiezieniu wazy tutaj zreperowałem ją, oglądałem w ciągu kilku jeszcze lat i mimo wszystko zwróciłem ludowi pracującemu. Jestem stary i nie mam komu jej zostawić.

— Znamy ten lud pracujący — mruknął Rewko. — No to, gdzie się ona znajduje?

Pułkownik zaczął ryc w szufladzie i wyjął prostokątną sztywną kopertę, tę samą, którą Bakłanow przywiózł mu z miasta.

— Jest tutaj — powiedział.

Rewko rozwinał papier i twarz jego zaczęła się stopniowo rozjaśniać.

„Muzeum obwodowe przesyła podziękowanie towarzyszeni Wiedniernikowowi, Denisowi Wasiljewiczowi, za ofiarowaną przez niego starożytną wazę chińską z epoki dynastii...”

Rewko nie czytał dalej — nie było po co. Rejestr przebiegu służby chińskiej wazy został zakończony.

— Zabierz to! — powiedział posępnie Rewko. — Żyj sobie zdrowo! Ale on to drań!

— Kto on? — zapytał pułkownik. Poczul chłód w okolicy serca, nawet oparł się rękami o stół i przygarbiony spoglądał na Rewkę. Rewko położył fotografię na oknie.

— Sam się domyślisz — powiedział, podnosząc się z miejsca. — Muszę iść uprzedzić. Dobrze, że tak się złożyło, bo miałbyś przykrości. Pod tym względem jesteśmy bardzo surowi. No, bo nigdy nie można być pewnym.

— Więc to on? — szepnął pułkownik, opadając w zamyśleniu na fotel. — Więc to on doniósł?

Nieba w dalszym ciągu nie plamiło żadne podejrzenie. Osiedle usprawiedliwiała swą nazwę. Deszczomierz stał w nędznym towarzystwie jarzyn i parkanów i nudził się śmiertelnie. Fiedosja Rodionow- na gardziła nim. Gurij przypatrywał mu się długo, czekając na cud. W ciszy ogrodu skrzypiały i srożyły się żuki, Wiediemikow szary jak deszczomierz zamiatał podwórze i rozmyślał: „Przecież deszcz kiedyś zacznie padać. A wtedy przybędzie mi roboty, poproszę o podwyżkę. Wkrótce można będzie sprzedawać jabłka. Dlaczego nie ma odpowiedzi z Moskwy?”

Wiele myśli rodziło się w jego głowie, kiedy powoli zamiatał swoje obejście. Chubiłaj krążył pod drutem chwytając miotłę z zacietrzewieniem niewyżytej młodości.

Ciągle jeszcze męczyła pułkownika niedawna rozmowa z Rewką. Była to największa udręka, jakiej zaznał na stare lata. Gdyby fotografię pułkownika zamieszczono w jakimś piśmie, każdy powiedziałby, że jest to portret podróżnika-wędrowca po dalekich krajach

— taką miał żółtą, suchą twarz, steraną latami, upałem, pustynią; a w

ciągu ostatnich kilku dni schudł i pożółkł jeszcze bardziej.

Wchodząc wieczorem na taras usłyszał, jak trzasnęły drzwi kuchni, w której mieszkała Fiedosja Rodionowna. Chciał już wejść do swego pokoju, kiedy nagle rozległ się za kuchennymi drzwiami głos Bakłanowa.

— Fiedosjo Rodionowno, pobierzmy się, ja nie jestem młody, wy tak samo. Czy ja jestem młody? Co wy mówicie? No, wyjdźcie za mnie na jakiś czas. Nie żartuję, wcale się nie śmieję. Co, gniewasz się na mnie?

Pułkownik zakasłał. Fiedosja Rodionowna od razu zaczęła krzyczeć, znacznie głośniejszym głosem niż zazwyczaj:

— Wyjdźcie stąd, na miłość boską, bo was zdzielię wałkiem! Wstrętny cap! W nocy mu się zachciało oświadczać! Wołają was tam! A no, wynocha!

Rotmistrz ukazał się na progu. Pułkownik, nie podając mu ręki, przeszedł do sypialni. Bakłanow siedł za nim jak nakręcona kukła, rozsiewając dokoła pijacki odór. Potem wyjął chusteczkę i długo wycierał nos, drepcąc na jednym miejscu. Pułkownik odwrócił się twarzą do okna i milczał. Rotmistrz usiadł, wstał, pochodził po pokoju, dotknął oleodruku z dziewczętami, uśmiechnął się, rozpiął kołnierzyk koszuli i roześmiał się. Wiedernikow milczał, jego twarz skryła się w mroku.

— Denisie — krzyknął rotmistrz. — Denisie, błagam cię na kolanach, zniszcz twój projekt, daj mi, to go spalę, przeklęty. Zaczął mi się śnić po nocach. Nie psuj przyrody, Denisie!

Pułkownik nie odpowiadał.

— Dumny jesteś! — krzyknął znowu Bakłanow. — Przyjaźnisz się z bolszewikami, dzięki swojej głowie masz u nich protekcję, a ja nie, nie znoszę ich. I wódkę mają kiepską. Denisie, czuję się wobec ciebie winnym, przepraszam cię wobec tego.

Wziął papierosa ze stołu Wiedernikowa i zużył trzy zapalki, zanim udato mu się zapalić. Milczenie pułkownika stało się zbyt uciążliwe. Rotmistrz wyciągnął rękę, chcąc wziąć go za ramię, zakołysał się i prawie wesołym, młodzieńczym głosem powiedział:

— Nie mam na myśli Fiedosji Rodionowny. Na diabła mi jest potrzebna. Ja sobie baby znajduję. Ja o wazie, o wazie, Denisie.

Wiedernikow drgnął i zrobił jakiś niezrozumiały ruch.

— Denisie — ciągnął dalej rotmistrz — ja tylko o wasze mówię. Chciałem z powrotem dostać się do wojsk pogranicznych, wypędzają mnie, co, wypędzają. Rotmistrza Bakłanowa wyganiają z tej pustynnej instytucji. Co ty na to powiesz? Chciałem ich przekupić, ach, ty, dziesiąty lampart — nie udało się!

Kichnął nieoczekiwanie i zaczął szukać chusteczki.

Wiediernikow wstał i uroczyście podniósł rękę.

— Z kim ja rozmawiam? To nie są słowa byłego oficera. Tak mówi pijak bez czci i wiary.

— Racja! — huknął z zachwytem rotmistrz. — W sam środek, Denisie. Wspomnijmy młode lata. A teraz co? Włóczęga przyszedł do porządnego domu i napaskudził. Przyjacielu, wspomnijmy młode lata. Zorganizujemy kukułkę. Kukuleczkę. Bądź co bądź jestem weteranem tego kraju. Ze względu na twój wiek daję ci trzydzieści punktów fory.

Wiediernikow cofał się przed nim w głąb pokoju, lecz rotmistrz już chwycił go za rękaw, za ramię, za pierś, błagając i przymilając się każdym ruchem.

— Mój staruszk, gubernatorze, wasza ekscelencjo, pozwólcie, że zagram w kukuleczkę. Za zniewagę odpowiada się krwią, co? Jako ostatni oficer jego cesarskiej mości rosyjskiej straży pogranicznej żądam satysfakcji — powiedział ponuro, kładąc się prawie na pułkownika.

— Nie ma takich — powiedział Wiediernikow odpychając rotmistrza i wychodząc na środek pokoju.

— Nie uznajesz — mruknął rotmistrz — mierzysz według schemaciku? Czterdzieści punktów fory, panie pułkowniku, towarzyszu Denisie.

— Rozmawiam jak z obcym, słyszy pan — wymawiając dobitnie słowa podniósł głos pułkownik. — Sekundantów nie ma, pominiemy przepisy. Przyjmuję wyzwanie.

Rotmistrz skłonił się na chwiejnych nogach.

— Fiedosja Rodionowna za pół godziny poda samowar. Gurija nie ma w domu. Pójdziemy zaraz do stodoły, ale gdzie jest broń, czym się bić?

Rotmistrz rozglądał się dokoła, trzymając się oparcia krzesła. Pułkownik pochwycił jego spojrzenie i tupnął nogą.

— Może pan nie szukać. Drugi donos nie uratuje pana i nic nie pomoże. Nie ukrywam broni palnej. Zresztą mam kindżały, resztki dawnej kolekcji.

Zdenerwowany Wiedemikow rzucił na stół dwa sztylety tur- kmeńskie. Sztylety były tępe i dekoracyjne, jak gdyby je przed chwilą przyniesiono z operetki. Rotmistrz roześmiał się, rozrywając nerwowo kołnierz koszuli.

— Na takich kindżałach można pocwałować do Persji, do szacha i jego matki — powiedział, wsuwając rękę do kieszeni. Na jego dłoni zakołysał się zniszczony stary brauning. — Dobrze, Denisie — rzekł wskazując pistolet ruchem głowy. — Są w nim dwie kule — dodał rozczarowany nieco.

— Będziemy strzelać po kolei — oświadczył pułkownik i wykonując ostry zwrot, wyszedł na taras.

Przed wejściem do szopy kołysała się bielizna na sznurze. Przeszli między chłodnymi, dodającymi otuchy kalesonami i koszulami i zatrzymali się.

— Pierwszy ty — powiedział rotmistrz oddając brauning. — Zostałeś śmiertelnie obrażony, a ja sam może szukam śmierci. Chodźmy. Sto punktów fory.

Weszli do szopy. Pułkownik zapalił zapalną i wyciągnął rękę. W szopie leżało siano, grabie, łopaty, stare siodła, drwa, żelazne łóżko i kupa rupieci.

Rotmistrz poszedł od razu na drugi koniec szopy. Ciemność wzięła go w ramiona. Zapalnik zgasł.

„Ile tu może być kroków — myślał, wywołując zgiełk przypominający nieudolny jazz, potracając za każdym krokiem jakiś na swój sposób dźwięczący przedmiot. — Wpadnę w taki sposób, trzeba przykucnąć, przeczekać”.

Wydawało się, że szopa jest pusta i spokojna. Nawet myszy przycichły. Rotmistrzowi wydało się nawet, że jest sam w stodole.

I wówczas, wciągnawszy silnie głowę w ramiona, zgiął się i trzymając się lewą ręką jakiejś beczki, krzyknął dwa razy: „ku-ku”, „ku-ku” — i upadł, uderzając głową o ścianę.

Wystrzał nie nastąpił. Rotmistrz, nie zmieniając pozycji, wyciągnął rękę, namacał próżnię przed sobą, znów przeraźliwie krzyknął „ku-ku” i położył się na brzuchu. W uszach kołysała się przygniatająca, czarna cisza. Wystrzału

nie było.

„Czeka — pomyślał ze złością, trzeźwiejąc powoli — czeka, szatan!” <

W tym momencie wstał, garnek spadł mu z półki na ramię. Rotmistrz krzyknął z bólu i przykucnął, zerwał się i przyciskając rękę do ust, zachrypiał przez palce: „ku-ku”. Tylko echo odpowiedziało słabym głosem. Wówczas zaczął krążyć po stodole, przewracając wszystko po drodze, trącąc rzeczy rękami i nogami, rozrzucając siano i krzycząc „ku-ku” coraz częściej i głośniejsze w groźnych ciemnościach. „Ku- -ku” odbijało się od ścian, od rzeczy.

— Strzelaj, strzelaj! — krzyczał, stojąc z podniesionymi do góry rękami. Pasek mu pękł i spodnie mogły lada chwila opaść. — Jestem tutaj — krzyczał jak opętany — strzelaj prosto we mnie! Pal!

Zaczął szukać pułkownika. Wiediemikow otworzył na oścież drzwi i wyszedł na dwór. Posiniaczony rotmistrz opuścił szopę, trzymając pasek, był spocony i osłabiony.

—Co — mówił, opierając się o szopę — no i co ty?

Pułkownik odwrócił się ku niemu, rzucił brauning na ziemię i położył mu ręce na ramionach.

—Jesteś skończonym durniem, a ja, ja też jestem starym durniem — powiedział, omal nie płacząc. — Pomyśl tylko, przecież tylko my zostaliśmy tutaj ze wszystkich dawnych mieszkańców, my dwaj, jak pnienie. Więc co, będziemy się nawzajem niszczyć, co? Zjadać się będziemy, tak?

Rotmistrz podniósł brauning i powiedział po prostu:

—Przebacz mi, stary, jestem łotrem. Pocałujmy się! Też wymyśliłem kukułkę.

Z trudem trzymał się na nogach ogarnięty pijacką skruchą. Objęli się mocno. W ciemności rozległ się głos Fiedosji Rodionowny, która wołała z tarasu:

— Gdzieżeście przepadli? Samowar dawno zgasł, nocne marki.

— Jesteśmy tutaj — krzyknął rotmistrz — nie będę pić herbaty. Ja ci za to — szepnął Wiediemikowowi na ucho — ja ci za to przyniosę lamparta.

Wstyd już było potrząsać każdego ranka pustym deszczomierzem.

Biuletyny tygodniowe szły do miasta, ozdobione małymi, prawie niedostrzegalnymi znakami. O takiej sytuacji pisano podczas wojny bezbarwnymi słowami: „Na froncie bez zmian”. Pułkownik gotów był oddać czwartą część miesięcznych poborów za kilka minut najmizerniejszego, najłżejszego deszczu. Deszczomierz wymagał, by go przewracano punktualnie o siódmej rano, nie później. Tradycje Wiediemikowa również tego wymagały. Życie stawało się coraz bardziej kłopotliwe i nudne.

Osiedle Turkusowe w ogóle nie zwracało uwagi na pułkownika, pędząc żywot bezpretensjonalny i nieruchliwy. Krowy szły po ulicach rano i wieczorem; gospodynie gawędziły po cichu; czasami przechodzili żołnierze ochrony pogranicza, wypływając pestki melona. W herbaciarni siedzieli tubylcy, tacy, którzy się nigdzie nie spieszyli i nie mieli nic do roboty. Przejeżdżał Turkmen na wysokim, dobrze utrzymanym koniu; szli chłopci podobni do Ukraińców z motykami na ramionach. w dziwacznych szarawarach z czerwoną lamówką, w wysokich zakurzonych butach.

Rewko wdarł się do domu pułkownika, wymachując jeszcze z daleka gazetą. Wbiegł, potykając się, na taras, krzycząc do Fiedosji Rodionowny: „Gdzie jest towarzysz Wiediemikow?”. Pułkownik trzepał materac za domem.

— Pluskwy się pojawiły, dasz wiarę? Wskutek suchego klimatu są bardzo złośliwe. A co w gazecie? Ej, Rewko, czyś ty przypadkiem nie chory?

Rewko podał mu gazetę, robiąc smutną minę. Wiediemikow od razu znalazł miejsce, gdzie widniały wyjątkowo czarne, niezwykle litery. Gazeta zawiadamiała o zgonie towarzysza ze stolicy, który w swoim czasie odwiedził Osiedle Turkusowe.

— Umarł — powiedział zakłopotany Wiediemikow — nie może być! Umarł?! To dlatego nie miałem od niego odpowiedzi. Widocznie długo chorował.

— Wielki był bohater — odpowiedział Rewko ze smutną miną.

— Iloma frontami dowodził — i masz ci los! Ciężka strata, co tu mówić.

— A jak on tutaj chodził?! — rzekł Wiediemikow. — Od razu widać było — dowódca. Ja całe życie nigdzie nie wojowałem, chociaż żyję długo, ale od dzieciństwa byłem pod władzą wojskową. Ja widzę człowieka od razu. Rewko, druhu, co teraz będzie z moim rękopisem? Pewnie go podra.

— Takich dokumentów się nie drze — powiedział twardo Rewko — rękopis pójdzie po właściwej linii. Jak linia dojdzie do Osiedla Turkusowego — przyjdzie odpowiedź. A teraz tam w Moskwie mają inne kłopoty. U nas co, głusza, azjatycka wieża babilońska.

— Daj no gazetę — powiedział Rewko. Poszedł na taras mówiąc po drodze: — Siadę w cieniu, przeczytam jeszcze raz, jakoś mnie nogi nie chcą nieść.

Pułkownik zostawił materac i poszedł za Rewką.

— Chyba się nie doczekam — mówił obserwując nagi łańcuch gór, niknący w zielonej fali lasu — nie doczekam się chwili, kiedy mój projekt przekształci te strony. Stu lat nie dożyję.

— Melancholia — powiedział Rewko, lecz w tej samej chwili przenikliwy gwizd, tupot nóg, hałas, szczekanie Chubiłaja wzbiły ciszę jak poduszkę. Pułkownik zbiegł z tarasu, przed nim pędziła w stronę ogrodu Fiedosja Rodionowna, Rewko został na miejscu z gazetą w ręku. Pięciu opalonych chudych, czarnych chłopaków, w kolorowych koszulach przypuściło nieoczekiwany szturm na ogród. Dwóch wczepiło się w Guriję, który turlał się z nimi po ziemi, wrzeszcząc wniebogłosy. A trzech dodając z daleka animuszu walczącym kolegom, bezczelnie napychało kieszenie jabłkami.

Fiedosja Rodionowna złapała miotłę i zaczęła wymiatać rabusiów. Chłopcy rozbiegli się w rozsypce i jak małpy wgramolili się na gliniany duwał. Dwóch chłopaków nie uniknęło jednak bliższej znajomości z miotłą. Ich rozwścieczone twarze widniały dłużej od pozostałych zza duwału; krzyczeli: „Czekaj, ty, poczekaj” — i przeklinali po turkmeńsku.

Gurij ogarnięty ogniem walki rzucił za nimi kamieniami.

— Co się stało? — zapytał pułkownik. — Co to za napaść?

Był tak zajęty innymi myślami, że wcale się nie przejął wydarzeniem.

Gurij odpowiedział niezwłocznie:

— Szkoła przeniosła się do nas z miasta. No to oni przyszli zapoznać się.

Fiedosja Rodionowna gderając zbierała porozrzucane jabłka. Pułkownik wrócił na taras.

—Z tego widać, że nie będzie odpowiedzi?

—Będzie — powiedział Rewko z przekonaniem — za dziesięć

lat...

Nazajutrz, kiedy pułkownik i Rewko roztrząsali nowe wiadomości dziennika, wszedł na podwórze niechlujny i dawno nie widziany Mahmud, krzycząc na całe gardło:

—Jołdasz i Rewko, joldasz Rewko, chodź no tutaj!

— Tak — powiedział Rewko podnosząc się z miejsca. — Czego wrzeszczysz? Po co ten raban?

— Bakłanow mnie posłał, mówi — niech idzie szybko, szybko. Lampart jest, lampart przyszedł. Żółty... duży. Wczoraj przyszedł. Bardzo ładny lampart.

Czarny nawał pni, liści, gałęzi czekał na księżyc, by się przekształcić w jasnozielony. Zdawało się, że cały świat jest zatarasowany. Ścieżki umarły, znikły łączki. Gdzieś na dole bulgotał nurt strumienia. Ciemność czepiała się każdego występu, nietoperze świszcząc lekko skrzydłami, uprzedzały o nieuchronnym zjawieniu się księżyca. Krzaki rozcapierały gałęzie, jak gdyby sprawdzając w pamięci ich ilość. Wówczas w mateczniku tego ciężkiego mroku prześliznęła się szybko szara plama, później przesunęła się dalej, potem zaczęła schodzić z góry.

To szedł lampart. Drżąc z nerwowego podniecenia, marszcząc bez przerwy nos i poruszając okrągłymi nozdrzami kładł się na brzuchu lub prostował jak ogromny kot z gumy, wysuwając suchy chropawy język. Zatrzymał się i wahał powietrze wypełnione mnóstwem zapachów. Lecz nad wszystkimi dominował zapach deszczu.

Lampart zaczął prychać. Nie lubił deszczu, zjeżył się, tak jakby bicze wody już go smagały po plecach. Stał, skrobiąc łapą i czuł, jak chłodny drobny piasek ślizga się po poduszkach łap i przedostaje za pazury.

Potem ruszył naprzód, kołysząc się i przeciskając bezszelestnie wśród krzaków. Był jednym z niewielu władców tego zielonego imperium, zbyt wielkiego na jego potrzeby. Mógł polować, zmieniając swoje olbrzymie posiadłości na jeszcze większe. Na jednej

| Jołdasz — (turkm.) — towarzyszu.

z polan przysiadł, grzbiet zaczął go swędzić. Zgiąwszy głowę zaczął obmacywać zębami skórę, potem upadł na bok, wyciągnął nogi i zaczął

turlać się jak zwierzę domowe wysuwając i chowając pazury.

Podczas tej zabawy stracił łapą gałązkę, ogryzł ją, subtelny zapach świeżego drzewa przeniknął do jego mózgu. Popatrzył na przednie łapy i nie poznał ich. Stały się jaśniejsze, zarysowały się w ciemności. Powąchał je, były mu znane, były jego własnymi łapami. Czarna gałąź zerwana przez lamparta stała się brunatna, a potem prawie biała. Rozejrzał się dokoła rozszerzonymi, zdumionymi oczami. Świat zmienił się uroczyście i szybko. Ukazały się krzaki, drzewa, błękitne zwały gór gotowe były wyruszyć w nocną drogę wielkimi krokami dromaderów.

Rzucił okiem wstecz, przeciągnął się i zaczął się czołgać naprzód. Dopłynął do końca polany i popatrzył w dół. W jego uszach, jak w muszlach morskich, rozbrzmiał daleki szum. To były szakale w jaskiniach na dole. Potem usłyszał sapanie dzika, który potykał się na stromym wejściu, potem podniósł nagle głowę i ujrzał księżyc.

Księżyc podobny był do okrągłego oka nieznanego lamparta. Czarna źrenica utkwiała nieruchomo w jednym miejscu. Lampart przysiadł na tylnych łapach i zawył. Nie mógł długo patrzeć na góry: nie rozumiał wysokości. Jeszcze nie wyzbył się lekkiego strachu, kiedy zaczął schodzić w dół; nie patrzył więcej, obwąchiwał ślady, mruczał, rozpląszczony na ziemi. Zachciało mu się pić, lecz powietrze, gałęzie, ziemia, wszystko mówiło, że wkrótce spadnie deszcz. Mruknął głośniejsz; jego ciało podskakiwało jak na sprężynach, odczuwając własną siłę i wagę, poruszało się skokami; w pysku leżał szorstki, ciężki język; czarne plamy na skórze marszczyły się i układały w dziwne gwiazdozbiory — nagle ujrzał przed sobą wśród krzaków wąską, kipiącą, srebrną nić. Strumień połyskiwał, drażniąc się z nim i podniecając.

Lampart wyszedł cicho i spojrzał spode łba. Nie było nikogo. U jego nóg lśniła woda; podszedł, wyciągnął szyję, nie chcąc się zamoczyć, przysiadł i spuścił chropawy język do wody. Niespodzianie ucho przekazało mu szelest, który się rozległ z prawej strony i przed nim. Odskoczył od wody i w tym momencie wiaterek cisnął w niego straszny zapach, wrogi, zapowiadający śmiertelne niebezpieczeństwo. Odskoczył! znów, skulił się. i w tej chwili zawałiła się sąsiednia góra, a potem druga góra naprzeciw i ujrzał księżyc jak oko innego lamparta w

wodzie strumienia, w którym zanurzył pysk. Przeszył go ostry ból, kazał mu się zwinąć, każda łapa drżała z oddzielną, nie słuchała go, gardłem buchała krew i piana, nie mógł zamknąć oczu, które zmieniały się w szklane. Chciał poruszyć ogonem — ogon był sztywny. Wówczas położył łep na bok, szarpnął się, ryjąc pazurami piasek i krzaki, i zamarł.

Rotmistrz stał w odległości trzech kroków, miał błędne oczy, w rękę trzymał kordelas. Nóż nie był potrzebny. Rewko podszedł i pchnął lamparta kolbą w bok: „Jaka kontra, nie daj Boże!”

Nagle rotmistrz krzyknął, ukląkł obok lamparta i objął go za głowę. Martwe ślepie błysnęły w świetle księżyca...

— Dziesiąty — zawołał rotmistrz — jaka radość, dziesiąty! Spotkał mnie ten zaszczyt. — Dusząc się z zachwyty głaskał i całował zalany krwią ciężki pysk i łapy lamparta z bursztynowymi pazurami. Mahmud przyprowadził swojego osła. Osioł drżał na całym ciele i nie chciał iść. Mahmud wyjął zapalki i nachylił się nad zabitym zwierzem.

— Nie pozwalam palić mu wąsów — zawołał, purpurowiejąc, rotmistrz. Podnieśli lamparta i położyli na osle.

— Wracamy? — powiedział Rewko. — Ja nawet nie strzelałem. Przestraszyłem się. Niech mnie piorum strzeli — przestraszyłem się. U nas takich nie ma.

Las pociemniał znów. Rotmistrz podniósł rękę dłonią do góry. Na dłoń spadła ciężka kropla, za nią — następna.

— Deszcz! — zawołał. — Trzymajmy się teraz!

Ledwie się znaleźli w głównym wąwozie, kiedy deszcz lunał na dobre.

Pułkownik pisał na małej kartce o czymś niezwykle trudnym. Co chwila przekreślał to, co napisał, popijał zimną herbatą i chmurzył się. Chciał koniecznie pomieścić wszystko na tym świstku. Głęboka noc pochylała się nad jego stołem. Na podwórzu zakolysały się nagle drzewa, jakby je ktoś zawołał, a przez uchylone okno wbiegł do pokoju chłód.

Potem rozległo się trzeszczenie rozrywanego jedwabiu, dźwięk ten powtórzył się kilkakrotnie. Pułkownik wstał. Nie mógł uwierzyć, podszedł do okna, otworzył je na oścież, a krople, które urwały się z okiennic spadły mu na czoło. Deszcz, najprawdziwszy wielki deszcz, dymiąc, spadał

na ziemię. Pułkownik z zadowoleniem słuchał. szumu wody skaczącej na dachu, zagłębiającej się w listowiu, pędzącej po podwórzu. Chubiłaj rzucał się na łańcuchu. Szczekał coraz krócej i straszniej, jak gdyby zdychał z bezsilnej wściekłości, przy niewyraźnym skrzypieniu drutu. Woda szumiała w sadzie i ogrodzie. Pułkownik wychylił się z okna i zaczął nasłuchiwać. Chubiłaj ucichł. Wiediernikow z mokrą głową wrócił do stołu i zaczął znów pisać sło wa, które po minucie przekreślał. Tak przesiedział całą noc.

A o świcie przyszli myśliwi. Swoim wrzaskiem i hałasem mogliby obudzić zmarłych.

Na czele siedł Rewko z karabinem przerzuconym przez plecy.

Deszcz przestał niedawno padać, księżyc już nie było, w kałużach pływał szary męt. Za Rewką siedł osioł, strzygąc uszami. Na ośle leżał lampart zwisając do ziemi. Na jego głowie lśniły krople deszczu. Spływały ze śliskich wąsów przypominających wąsy pułkownika. Paszcza z wyszczerzonymi zębami pokryta ceglastymi plamami krwi uderzała o nogi osła.

Obok siedł Mahmud podtrzymując ścierwo drapieżnika. Za nimi kroczył rotmistrz, lecz trzymał w prawej ręce tak dziwny przedmiot, że pułkownik zastygł. Krew w nim zawrzała jak za młodych lat. Pośliznął się i jęknął. Rotmistrz niósł jego deszczomierz, jego szary pusty deszczomierz, kołyszący się haniebnie na wszystkie strony.

—Czekałeś, czekałeś na deszczyk, a jak deszcz spadł, zacząłeś od razu rzucać kubłami? — powiedział wesoło rotmistrz. — Ale cóż, podniosłem go. Przyda się jako wiadro na pomyje.

—Jakże to? Dlaczego? Gdzieś ty go znalazł? — szepnął pułkownik.

—Leżał pod płotem.

—To oni! — krzyknął pułkownik. Jego ogromna rozpacz zmieniła się w lawinę przekleństw. — To jest grabież! To zwykła grabież!

—krzyczał. — Towarzyszu Rewko, Mahmudzie, popatrzcie! Chcą mi zabrać moją pracę. Wisielcy, kantoniści * przekłeci, szarańcza.

przez szpaler was pędzić to mało! Jakże to tak? Co ja teraz zrobić?

Chubiłaj skakał dokoła lamparta, cofając się przed jego wyszczerzonymi kłami.

—Nie szalej, Denisie! — zawołał rotmistrz. — Spójrz lepiej, jakiego zwierza

ukatrupilem! Popatrz no.

—Banda chuliganów ze szkoły chciała ukraść deszczomierz. To łobuzerka! Zajmiemy się tym — powiedział Rewko. — Nie szkodzi, sporządzimy protokół, nie zamartwiaj się, towarzyszu Wiediemikow. Nie ma tu twojej winy.

— Dlaczego nie dałeś mi spalić wąsów? — mówił gniewnie Mahmud. — Bez wąsów zwierz traci duszę, a tak będzie się męczyć. Co powiesz?

— Odejdź, odejdź! — syknął na niego rotmistrz. — Jaki piękny! — wołał z podziwem, krążąc dokoła lamparta. — Mój dziesiąty, jak malowany. Piękny, nieludzko piękny. Malarz by się przydał, żeby go uwiecznić.

Pułkownik trzymając deszczomierz w ręku, wzdychał jak człowiek, który stracił syna. Lampart rozłożył się na tarasie jak w swoim legowisku. Przyszedł Gurij owinięty w kołdrę. Przebudzona rozgardiaszem Fiedosja Rodionowna gderała w kuchni. Gurij pobiegł nastawić samowar, Mahmud zaprowadził osła pod daszek szopy.

Pułkownik ujrzał rękę na swoim ramieniu i podniósł głowę.

— Denisie, mój drogi — szeptał błagalnie rotmistrz — odstęp mi lamparta. No, odstęp mi lamparta.

— Przecież przyrzekłeś mi go — powiedział pułkownik, zbierając resztki odwagi. — Jakże to: ani deszczomierza, ani lamparta?

— Przyrzekłem ci po pijanemu. No, odstęp mi go, Denisie. Wiem, że mi odstąpisz, masz dobre serce. Następnego na pewno podaruję tobie. A tego zaniosę do miasta. A ile forsy dostanę, tydzień będę pijany. No, odstęp mi. Odstępujesz?

Pułkownik machnął ręką, a w tym momencie Rewko, skupiony, rozczochrany i mokry, podał mu papierek.

— Towarzyszu Wiediemikow, napisałem ci zaświadczenie, posłuchaj, czy tak jest dobrze:

Do obwodowego biura meteorologicznego

W związku z tymczasowym skradzeniem deszczomierza przez nieznanych osobników, którzy są poszukiwani, sporządzony został niniejszy protokół stwierdzający, iż deszcz, jaki nieoczekiwanie spadł w nocy na pierwszy września, nie został zarejestrowany z wyżej wymienionej

przyczyny, bez wmy obserwatora, co poświadcza się podpisem.

— A przecież miałeś zostać korespondentem robotniczym? — zapytał nagle Rewko. — Napisałeś notatkę?

— Przesiedziałem całą noc — odparł cicho pułkownik.

— Zanim przyniosą samowar, mógłbyś mi pokazać. A skąd wzięłeś informacje?

— Gurij mi przyniósł. Cały dzień kręcił się w szkole. A ja postarałem się, żeby napisać jak najkrócej, a zarazem jak najbarwniej.

Pułkownik wyjął z kieszeni świstek papieru, nad którym męczył się całą noc. Jego gniew ucichł, uspokoił się i przeczytał po cichu notatkę.

Do dziennika „Słońce Wschodu”

W tych dniach został przeniesiony do nas, do Osiedla Turkusowego, internat, który ma zostać przekształcony w rolniczą szkołę pracy. Do szkoły tej przyjmowane są dzieci wszystkich narodowości. Lekcje na razie się jeszcze nie zaczęły i niektóre spośród dzieci różnych narodowości organizują napady na ogrody owocowe. Ale to skończy się wraz z podniesieniem stanu kultury rolnej.

Projektuje się na głównej działce wielkości dwóch i pół dziesięcin, na której rosną mizerne karagacze i arcze, założenie wzorowego ogrodu owocowego. Za pięć, sześć lat ogród przynosić będzie co najmniej pięć tysięcy rubli rocznego dochodu. Poza tym uczący się będą mieli na śniadania i na obiad piękne owoce własnej produkcji. Zostanie również zorganizowana hodowla jedwabników i pstrągów w projektowanym stawie oraz budowa kinoteatru naukowego.

Korespondent robotniczy Wiedniernikow

— No jak? — zapytał pułkownik.

— Nieźle — odpowiedział Rewko, gładząc się po karku. — Tylko wykreśliłbyś lepiej ten ogród z dochodem i owoce na śniadanie, rybę z jedwabnikami, no i to kino. To jest utopia, bracie. Nie uwierzą.

— Ech, Rewko, ty nie lubisz pięknego życia! — powiedział pułkownik.

Tłumaczył Adam Galis

Aleksiej Tołstoj

Żmija

I

Kiedy nie uczesana i zasępiona Olga Wiaczesławowna wchodziła w perkalowym szlafrocisku do kuchni, rozmowy się urywały i słychać było tylko pracowity syk prymusów. Olga wzbudzała w ludziach poczucie niebezpieczeństwa. Jeden z lokatorów powiedział o niej:

—Zdarzają się na świecie takie cholerne typy... Najlepiej, moi drodzy, trzymać się od nich z daleka...

Przepasana kąpielowym ręcznikiem, Olga podchodziła z kubkiem i szczoteczką do zębów w rękę do zlewu i myła się, zwilżając pod kranem głowę o krótko ostrzyżonych ciemnych włosach. Jeśli w kuchni były same kobiety, zsuwała szlafrok do pasa, myła ramiona i słabo, jak u podlotka, rozwinięte piersi. Następnie stawiała na stołku i myła zgrabne, mocne nogi. Można było wówczas dostrzec na jej udzie długą, poprzeczną szramę, a na plecach, powyżej łopatki, różowe błyszczące wgłębienie — wylotowy ślad kuli, na prawym zaś przedramieniu niewielki błękitny tatuaż. Ciało miała bardzo kształtne, o złotawym odcieniu.

Wszystkie te szczegóły dokładnie podpatrzyły kobiety, zamieszkałe w jednym z licznych mieszkań dużej kamienicy przy Pskowskim zaułku na Zariadiu. Szwaczka Maria Afanasjewna, którą z nienawiści do Olgi żółć zalewała, nazywała ją „napiętnowaną”. Róży Abramowie Bezikowicz, nie pracującej, której mąż przebywał w tundrze syberyjskiej, na widok Olgi robiło się dosłownie słabo. Trzecia kobieta, Sonia Wariencowa, przemiała panienka pracująca w Zjednoczeniu Tytoniowym, na odgłos kroków Olgi opuszczała kuchnię, pozostawiając syczący prymus...

Ukończywszy mycie Olga spoglądała na kobiety ciemnymi, „dziki” oczami i odchodziła do swojego pokoju na końcu korytarza. Olga nie miała prymusa i wszyscy mieszkańcy lokalu zachodzili w głowę, jak ona sobie radzi z rannym posiłkiem. Władimir Lwowicz Ponizowski, były oficer, a

obecnie pośrednik w handlu starzyzną, zapewniał, że Olga pija rano sześćdziesięcioprocentowy koniak. Wszystko było możliwe. Właściwie Olga miała prymus, ale z nienawiści do rodzaju ludzkiego posługiwała się nim w swoim pokoju, dopóki tego nie zabronił zarząd zrzeszenia lokatorów. Administrator domu, Żurawlow, który zagroził Oldze sądem i eksmisją w przypadku powtórzenia się tego „przeciwpożarowego skandalu”, o mało nie postradał życia: Olga cisnęła w niego płonącym prymusem — całe szczęście, że się uchylił — i obsztorcowała go słowami, jakich nigdy w życiu nie słyszał nawet na ulicy w dniu świątecznym.

O wpół do dziesiątej Olga wychodziła z domu. Prawdopodobnie idąc do pracy wstępowała po bułkę i piła herbatę w biurze. Powracała o różnej porze. Mężczyźni nie odwiedzali jej nigdy.

Oględziny jej pokoju, dokonywane przez dziurkę od klucza, nie zaspokajały ciekawości, ściany były puste — ani fotografii, ani pocztówek, tylko mały rewolwer zawieszony nad łóżkiem. Na umeblowanie składało się pięć sprzętów: dwa krzesła, komoda, żelazne łóżko i stół pod oknem. Niekiedy pokój był sprzątnięty, roleta podniesiona, lusterko, grzebień i kilka flakoników ustawionych starannie na zniszczonej komodzie, a na stole sterta książek i nawet jakiś tam kwiatek. Niekiedy aż do późnego wieczora panował w pokoju niesamowity nieład: łóżko wyglądało tak, jakby ktoś toczył na nim boje i wywijał koziołki, a podłoga zasypana była niedopałkami. Zgorszona Róża Abramowna mówiła stłumionym głosem:

— I to ma być kobieta? To jakiś zdemobilizowany żołnierz!...

Piotr Siemionowicz Morsz, pracownik Centrali Środków Leczniczych, kawaler o ustalonych nawykach, wystąpił pewnego razu z propozycją, żeby wykurzyć Olę, wdmuchując do jej pokoju przez dziurkę od klucza za pomocą papierowej rurki dziesięć gramów jodoformu. Ale nikt się na to nie odważył.

Olga była tematem codziennych plotek. Mimo to niczyj ciekawy wzrok nie zdołał przeniknąć tajników jej życia. Nawet nieustanny lęk, jaki odczuwała przed nią Sonieczka Warienkowa, czyli jak ją nazywano w kuchni, Laleczka, pozostawał zagadką.

Zasypywano Laleczkę pytaniami: „Za co ta cholera tak panią

nienawidzi?” Laleczka potrzasała kędziorami, odpowiadała ni w pięć, ni w dziewięć i zmieniała temat rozmowy. Piotr Siemionowicz wyraził się kiedyś o niej: „Wcale niebrzydka dziewczynka, ale głupia...” Nieprawda! Cały urok Laleczki polegał na tym, że udawała głupią. Cieszyła się szczególnym powodzeniem u podstarzałych, przemęczonych pracą mężczyzn, zajmujących odpowiedzialne, kierownicze stanowiska w administracji. Miało się ochotę posadzić ją sobie na kolanach i kołysząc zapomnieć o zgiełku i zaduchu miasta, o cyfrach i szeleście urzędowych papierów. Kiedy wytarłszy chusteczką nos, siadała wyprostowana przy maszynie do pisania, w ponurych pokojach Zjednoczenia Tytoniowego zakwitała na brudnych tapetach wiosna. Laleczka doskonale zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę. Nie wchodziła nikomu w drogę i jeśli Olga nienawidziła jej, to musiała się rzeczywiście kryć w tym jakaś tajemnica.

W niedzielę o wpół do dziesiątej skrzypnęły, jak zwykle, drzwi na końcu korytarza. Sonia Wariencowa upuściła spodek, jęknęła cicho i wybiegła z kuchni. Słychać było, jak zamknęła się na klucz i zaczęła szlochać. Do kuchni weszła Olga. Dwie zmarszczki rysowały się koło jej mocno zaciśniętych ust, wysokie łuki brwi były ściągnięte, na szczupłej cygańskiej twarzy malowało się cierpienie. Ręcznik bardzo mocno obcisnął cienką, jak u osy, talię. Nie unosząc powiek odkręciła kran i zaczęła się myć, zachlapując podłogę... „A kto to będzie wycierał? Trzeba by nosem ją do tej kałuży, toby wytarła” — miała ochotę powiedzieć Maria Afanasjewna, ale ugryzła się w język.

Olga wytarła mokre włosy i ogarnęła posępnym spojrzeniem kuchnię, kobiety i niziutkiego Piotra Siemionowicza, który wszedł właśnie kuchennymi drzwiami z kawałkiem sitkowego chleba, butelką mleka i obrzydliwym, nieustannie dygocącym psiakiem.

Olga wydała dziwny, gardłowy dźwięk, jakby chciała tym charakterystycznym, kotem czy też zdławionym bolesnym śmiechem dać ujście rozsadzającym ją uczuciom.

—Diabli wiedzą, co to wszystko znaczy — odezwała się niskim głosem, zarzuciła ręcznik na ramiona i wyszła.

Na końcu korytarza rozległo się znowu: „Ach, diabli wiedzą!...”

—i zatrzęsnęły się drzwi. Kobiety obecne w kuchni spojrzały na siebie porozumiewawczo.

Wieczorem tego samego dnia jakaś kobieta wtargnęła do iokaiu komisariatu milicji. Miała na głowie brązową, naciśniętą na oczy czapeczkę; wysoki kołnierz płaszcza osłaniał jej szyję i podbródek; widoczna część twarzy była jakby upudrowana na białą. Ale naczelnik komisariatu przyjrzawszy się jej stwierdził, że nie był to puder, lecz bladość — w twarzy kobiety nie było ani kropli krwi. Oparłszy się piersią o brzeg zaplamionego atramentem stołu, powiedziała cicho, z jakąś rozdzierającą rozpaczą:

— Proszę się udać do Pskowskiego zaułka... Nawyrabiałam tam strasznych rzeczy... Sama nie wiem, co... Powinnam umrzeć...

Dopiero teraz naczelnik spostrzegł w jej zsiniałej dłoni mały rewolwer. Szybko przechylił się przez stół, chwycił kobietę za przegub ręki i wyrwał jej niebezpieczną zabawkę.

— Czy ma pani pozwolenie na broń? — zapytał szorstko.

Kobieta uniosła głowę, żeby czapka nie zasłaniała jej oczu, i wpatrywała się w niego bezmyślnie.

— Pani imię, nazwisko, adres? — zapytał łagodniej.

— Olga Wiaczesławowna Zotowa...

II

Śledztwo sądowe ujawniło następujące fakty.

Przed dziesięcioma laty w Kazaniu wybuchł o świcie pożar w domu znanego w całym mieście lekarza Wiaczesława Iłlarionowicza Zotowa. Strażacy znaleźli na parterze okręcone przewodami elektrycznymi zwłoki Zotowa i jego żony, a na pierwszym piętrze ciało ich córki, siedemnastoletniej uczennicy gimnazjum, Olgi. Jej nocna koszula była w strzępach, ręce i szyja podrapane — wszystko dokoła wskazywało na to, że rozegrała się tu rozpaczliwa walka. Ale najwidoczniej zbrodniarze nie dali sobie z dziewczyną rady i tylko, uciekając w popłochu, ogłuszyli ją uderzeniem uwiązanej na rzemieniu odważnika. Znaleziono go na miejscu przestępstwa.

Domu nie udało się uratować i cały dobytek Zotowów spalił się doszczętnie. Olgę odwieziono do szpitala; trzeba było nastawić zwichnięte

ramię i zszyć skórę na głowie. Kilka dni leżała bez przytomności. Pierwszym odebrany wrażeń był ból przy zmianie opatrunku. Wzrok jej padł na siedzącego na łóżku lekarza wojskowego, który życzliwie patrzył spoza okularów. Zachwycony jej urodą lekarz szepnął, żeby się nie ruszała.

Wyciągnęła do niego rękę:

— Doktorze, co za potwory! — i zalała się łzami.

Po upływie kilku dni powiedziała mu:

— Dwóch z nich nie znam — byli w wojskowych płaszczach... Ale trzeciego znam... To Walek, uczeń gimnazjum... Słyszałam, jak mordowali tatusia i mamusię... Trzeszczały kości... Doktorze, czemu, za co? Co za potwory.

— Psst, psst — uciszał ją lęklonie lekarz, a w jego oczach za okularami kręciły się łzy.

Nikt Oleczki Zotowej nie odwiedzał w szpitalu, działo się to bowiem w czasach, w których ludzie mieli poważniejsze troski. W Rosji szalała wojna domowa, spokojny tryb życia ludzkiego z trzaskiem rozpadał się w gruzy. Oleczce nie pozostawało nic innego, tylko płakać po całych dniach (w jej uszach brzmiał jeszcze straszny krzyk ojca: „Nie! Nie!” — i zwierzęcy skowyt matki, która nigdy w życiu tak nie krzyczała), płakać w trwodze przed czymś nieznanym, co huczało, wrzeszczało i strzelało po nocach za oknami szpitala.

W ciągu tych dni wypłakała zapewne wszystkie łzy, jakie jej były przeznaczone na całe życie. Skończyła się beztroska młodość. Serce jej jak zablizniona rana pokryło się szramami.

Pewnego razu usiadł obok niej na ławeczce w korytarzu mężczyzna z obandażowaną ręką. Miał na sobie szpitalny szlafrok, kalessony i przydeptane pantofle; biło od niego gorącym, radosnym zdrowiem jak od żelaznego piecyka. Pogwizdywał cichutko „Jabluszek”, wybijając takt gołymi piętami. Szare, jastrzębie oczy zerkwały od czasu do czasu w stronę ładnej dziewczyny. Na szerokiej, ogorzalej twarzy, zarośniętej nigdy nie goloną brodą, malowała się beztroska, a nawet rozleniwienie, i tylko jastrzębie oczy spoglądały chłodno i surowo.

— Z wenerycznego? — zapytał obojętnie.

Oleczka w pierwszej chwili nie zrozumiała, potem zarumieniła się z oburzenia.

— Chcieli mnie zamordować, ale nie dobili, dlatego tu jestem — i odsunęła się wydymając wargi.

— Patrzcie, patrzcie, co za awantura! Widocznie mieli jakiś powód. A może to byli bandyci, co?

Oleczka wpatrzyła się w niego ze zdumieniem — jak mógł dopytywać się o to, jak o coś najzwyklejszego na świecie, dla zabicia czasu...

— Czy to możliwe, żeby pan nic o nas nie słyszał? Zotowowie z ulicy Prołomnej...

— Ach, więc to o to chodzi?! Przypominam sobie... Ale z pani zuch, że się nie dała... (Zmarszczył czoło.) — Tych ludzi trzeba przypalać na ogniu, smażyć w kotle, może wtedy dopiero do czegoś dojdziemy. Bardzo dużo szumowin wypłynęło na wierzch, więcej, niż się przypuszczało. Ręce opadają. Katastrofa. (Chłodne jego spojrzenie ogarnęło Oleczkę.) Pani, oczywiście, patrzy na rewolucję przez pryzmat przemocy... A szkoda! Taka dzielna, ognista dziewczyna...

Oleczka miała ochotę rzucić mu jakąś zjadliwą, pełną bezwzględnej słuszności odpowiedź, ale pod jego ironicznie wyczekującym spojrzeniem wszystkie jej myśli zakotłowały się i przycichły, nie dotarłszy do języka.

A on rzekł:

— O. właśnie!... Jak gorący żrebak! Szlachetnej rosyjskiej rasy... I przeżyłaby pani swoje życie, jak wiele innych, oglądając je przez szybę spoza stojącego na oknie fikusa... Cóż za nuda.

— Uważa pan, że to, co się dzieje teraz, jest weselsze?

— A czyż nie jest wesoło? Trzeba przecież czasem także i pohulać, nie można ciągle siedzieć w piwnicy...

Oleczkę znowu poniosło i znowu nie znalazła właściwych słów. Wzruszyła ramionami — naprawdę był za bardzo pewny siebie... Mruknęła więc tylko:

— Zburzyliście całe miasto, całą naszą Rosję zburzycie, bezwstydnicy...

— Wielka mi rzecz — Rosja!... Zamierzamy przegalopować przez cały świat... Konie zerwały pęta, może zatrzymamy się dopiero u brzegów

oceanu... Chcesz czy nie chcesz — musisz hulać z nami.

Pochylił się ku niej, szczerząc białe zęby w wesołym uśmiechu. Oleczce zakręciło się w głowie, jak gdyby już kiedyś słyszała podobne słowa, jak gdyby przypomniawszy sobie te białe rzędy wyszczerzonych zębów, jak gdyby z mroków przeszłości wyłaniało się jakieś wspomnienie, jak gdyby głos minionych pokoleń zawołał w niej: „Na koń! Hulaj, dusza!...” Zawrót głowy — i znowu siedzi obok niej mężczyzna w szlafroku z obandażowaną ręką... Tylko w sercu rozlało się ciepło i zatrzepotał niepokój — a ten szarooki mężczyzna stał się jakiś dziwnie bliski... Zmarszczyła brwi i odsunęła się na koniec ławki. A on, pogwizdując, znowu zaczął wybijać takt piętą.

H I

Rozmowa trwała krótko — dla zabicia czasu w szpitalnym korytarzu. Mężczyzna pogwizdał i oddalił się. Olga nie dowiedziała się nawet, jak ma na imię. Ale kiedy nazajutrz usiadła znowu na tej samej ławce, spojrzała w głąb dusznego korytarza i zaczęła gruntownie zastanawiać się, co powinna powiedzieć, aby to brzmiało przekonująco i niezwykle rozumnie. Chciała podważyć jego pewność siebie, a on nie nadchodził — zamiast niego jacyś ranni kuśtykali o kulach — uświadomiła sobie nagle, że wczorajsze spotkanie ogromnie ją poruszyło.

Po tym stwierdzeniu czekała już chyba tylko chwilę — zakręciły jej się w oczach łzy żalu, że oto wyczekuje tu na niego, a on sobie nic z tego nie robi... Odeszła, położyła się na łóżku i wymyślała o nim najgorsze rzeczy, jakie jej tylko mogły przyjść do głowy. Ale co w tym spotkaniu tak ją poruszyło?

Bardziej od żalu dręczyła ją ciekawość — żeby móc choć ukradkiem zobaczyć, jaki on właściwie jest? Nie ma w nim przecież nic osobliwego... Takich głupców jak on są miliony... Jest to, oczywiście, bolszewik... Bandyta... A oczy... oczy ma zuchwale... Cierpiała też jej dziewczęca ambicja: czemu przez cały dzień o nim rozmyśla?

W nocy cały szpital został zbudzony. Lekarze i sanitariusze biegali, wynosili tobołki. Wystraszeni chorzy siedzieli na łózkach. Za oknami turkotały koła i rozlegały się piekielne okrzyki, przekleństwa. Do Kazania wkraczali Czesi. Czerwoni odstępowali. Kto tylko mógł poruszać się o własnych siłach, opuścił szpital. Olga pozostała. Zapomniano o niej.

O świetle na szpitalnym korytarzu zadudniły kolby krępych, starannie, na zagraniczną modłę ubranych Czechów. Wywleczono kogoś na korytarz — rozległ się rozdzierający krzyk zastępcy kierownika: „Ja pod przymusem... Nie jestem bolszewikiem... Puśćcie, dokąd mnie?...” Dwaj paralitycy doczołgali się do okienka wychodzącego na podwórze i obwieścili szeptem: „Zaprowadzili go do szopy. Powieszą kochasia...”

Olga ubrała się — miała na sobie szary strój szpitalny — a bandaż na głowie zakryła białą chusteczką. Nad miastem kołysał się uroczysty dźwięk dzwonów. Różowiła się jutrzienka. Rozbrzmiewały — narastające i przycichające — dźwięki wojskowej orkiestry wkraczających pułków czeskich. Hen, za Wołgą, słysząc było oddalające się salwy bolszewickich armat. Olga wyszła z sali. Na zakręcie korytarza zatrzymała ją warta. Dwóch przysadzistych, wąsatych Czechów poleciło jej zawrócić. „Nie jestem jeńcem. Jestem Rosjanką” — zawołała Olga błyskając oczami. Roześmieli się i wyciągnęli ręce, żeby uszczypnąć ją w policzek lub w podbródek. Nie chcąc trafić na ostrza dwóch nastawionych bagnetów, zawróciła wzburzona i usiadła na łóżku, dzwoniąc zębami od wstrząsających nią dreszczy.

Rankiem chorzy nie otrzymali herbaty. Zaczęły się narzekania. W porze obiadowej Czesi zabrali pięciu żołnierzy Armii Czerwonej, leżących w szpitalu po amputacji. Paralitycy zakomunikowali od okna, że zawleczono „kochasiów” do szopy. Potem wszedł do sali oficer rosyjski, mocno ściśnięty pasem, w szerokich bryczesach. Chorzy naciągnęli na siebie kołdry. Oficer rozejrzał się po łózkach. Jego przymrużone oczy zatrzymały się na Oldze. „Zotowa? — zapytał. Proszę za mną...” Nic nie rozumiejąc wstała i poszła za oficerem.

Wyszli na podwórze. W tej chwili z sieni, do której ją prowadzono, wyszedł kędzierzawy chłopak w rosyjskiej wyszywanej koszuli. Nakładając czapkę spojrzał przelotnie na Olę i przyśpieszonym krokiem skierował się ku bramie... Olga drgnęła. Wydało jej się... Nie, to było przecież niemożliwe.

Weszła do poczekalni i usiadła przy stole, spoglądając na wojskowego o długiej, wykrzywionej jak w krzywym zwierciadle twarzy. On także spoglądał na nią różniącymi się barwą oczami.

— Czy pani nie wstyd, pani, córce powszechnie szanowanego czlewieka, inteligentnej dziewczynie, zadawać się z plugastwem? — usłyszała jego karcący głos. Usiłowała zrozumieć, o co mu chodzi... Ale jakaś natrętna myśl przeszkadzała jej się skupić. Westchnąwszy, objęta rękami kolana-i zaczęła opowiadać wszystko, co jej się przydarzyło. Oficer, oparty na łokciu palił leniwie papierosa. Gdy skończyła, odwrócił arkusz papieru — leżała pod nim zapisana ołówkiem karteczka.

— Nasze informacje są nieco odmienne — powiedział marszcząc w zamyśleniu czoło. — Chciałbym usłyszeć od pani coś o jej kontaktach z miejscową organizacją bolszewicką. Co? — Kącik jego ust uniósł się w górę, brwi się wygięły. Olga wpatrzyła się z przerażeniem w jego wykrzywioną twarz.

— Nic nie rozumiem... Pan chyba oszalał...

— Niestety, mamy na to niezbite dowody, chociaż wydaje się ts dziwne... (Puścił smugę dymu.) Pani szczerość jest zachęcająca... (Kółeczko dymu.) Niechże pani będzie szczerą do końca... Nawiasem mówiąc, pani przyjaciele, żołnierze Armii Czerwonej, zginęli po bohatersku. (Jego pstre oko skierowało się na okno, przez które widać było wrota szopy.) A więc nie chce pani mówić? Trudno...

Opierając ręce na poręczach fotela, zwrócił się do Czechów:

—Bitte, proszę...

Czesi podbiegli, podnieśli Olę z krzesła, przejechali rękami po jej bokach, po piersiach — poruszając z zadowoleniem wąsami — i obmacywali ją, szukając pod spódnicą ukrytych kieszeni. Oficer uniósł się i przyglądał szeroko otwartymi, różnobarwnymi oczami. Nagle Oldze zaparło dech w piersi. Rumieniec, pożar krwi zapłonął jej na policzkach. Wyrwała się, krzyknęła...

—Do więzienia — rzucił rozkaz oficer.

Olga przesiedziała w więzieniu dwa miesiące, najpierw w ogólnej celi, a potem w izolatce. W pierwszych dniach pobytu w więzieniu o mało nie doprowadziła jej do obłędu natrętna myśl o podpartych deskami wrotach szopy. Nie mogła spać: śniła, że na gardle jej zaciska się sznur.

Nie przeszłuchiowano Olgi, nikt jej do siebie nie wzywał, wyglądało na to, że

zapomniano o niej. Zaczęła powoli zbierać myśli. I nagle, jakby jakaś książka otworzyła się przed nią — zrozumiała wszystko. Ten kędzierzawy w wyszywanej koszuli (który wyszedł z sieni w dniu jej przesłuchania i śpiesznie się odwrócił) — to był rzeczywiście Wałek, morderca — nie pomyliła się wówczas... W obawie, że ona go oskarży, uprzedził ją: zapisana ołówkiem karteczka była złożoną przez niego denuncjacją...

Olga mogła do woli miotać się po izolatce: w odpowiedzi na jej gorące prośby (przez judasza) o widzenie z naczelnikiem więzienia, sędzią śledczym lub prokuratorem ponurzy dozorczy więzienni odwracali się plecami. Jak szalona, wciąż jeszcze wierzyła w sprawiedliwość i obmyślała fantastyczne plany, w jaki sposób zdobyć papier i ołówek, aby przedstawić całą prawdę jakimś wyższym władzom.

Pewnego razu zbudziły ją czyjeś brutalne, krzykliwe głosy i zgrzyt otwieranych drzwi. Ktoś wchodził do sąsiedniej celi. Siedział tam mężczyzna w okularach, o którym wiedziała tyle, że rozdzierająco kaszle po nocach. Zerwała się i zaczęła nasłuchiwać. Niecierpliwe, gwałtowne głosy za ścianą przechodziły w krzyk. Nagle urwały się, zamilkły. A w ciszy rozległ się jęk, jak gdyby zadawano ból komuś, kto stara się zapanować nad sobą jak na dentystycznym fotelu.

Olga wtuliła się w kąt pod oknem i rozszerzonymi nieprzytomnie oczami wpatrywała się w mrok. Przypomniały jej się zasłyszane w ogólnej celi opowiadania o torturach. Wydawało jej się, że widzi przed sobą odrzuconą w tył ziemistą twarz w okularach i wymizerywane policzki, drżące z cierpienia... Okręcają mu drutem przeguby rąk i kostki u nóg w ten sposób, żeby drut wżarł się aż do kości... Wydawało jej się, że dosłyszała: „Będziesz mówił, będziesz mówił...”. Rozległy się uderzenia, jakby trzepano dywan. Więzień milczał... Uderzenie, znowu uderzenie... I nagle coś zaryczało... „A widzisz, będziesz mówił!...” I już nie ryk, ale zwierzęce wycie wstrząsnęło całym więzieniem. Serce Olgi zaczęło omdlewać, nogi się pod nią ugięły, zakołysała się kamienna posadzka i Olga runęła na wznak.

W tę noc, kiedy jeden człowiek pastwił się nad drugim, mrok pochłoniął całą jej trwożną nadzieję na sprawiedliwość. Ale namiętna natura Olgi nie mogła ulec apatii. Kiedy minęły straszliwe dni, podczas których omal nie

postradała zmysłów tłukąc się po celi, znalazła wybawienie: nienawiść, zemstę. Nienawiść, zemsta! O, gdyby tylko wydostać się stąd!

Zadarłszy głowę spoglądała na wąskie okienko — zakurzone szyby podzwaniały cichutko, a wyschłe pająki kołysały się na pajęczynach. W oddali huraganowymi salwami stękały armaty. (To Piąta Armia czerwonych zbliżała się do Kazania.) Dozorca przyniósł jej obiad, westchnął i spojrzał na okienko. „Przyniosłem panience ciasteczko. Jeśli panienka będzie coś potrzebowała, proszę tylko zapukać w drzwi... My dla politycznych mamy zawsze względy...”

Przez cały dzień brzęczały szyby. Za drzwiami wzdychali dozorczy. Olga siedziała na pryczy, obejmując rękami kolana. Jedzenia nie tknęła. Waliło jej przyciśnięte do kolan serce, waliły za oknem armaty. O zmierzchu znowu wszedł na palcach dozorca i powiedział szeptem: „Myśmy tu tylko tak... z musu, ale zawsze byliśmy po stronie ludu..

Około północy w korytarzach więzienia zaczął się ruch: zaskrzy piałły drzwi, rozległy się groźne okrzyki. Kilku białych oficerów i cywilów, grożąc rewolwerami, wypędzało na dół może trzydziestoosobową grupę więźniów. Wyciągnięto Olgę z celi i popędzono biegiem po schodach. Wywijała się jak kot, próbując ugryźć w rękę. Ujrzała na chwilę chmurne niebo nad prostokątem podwórza i wciągnęła w płuca chłód jesiennej nocy. Potem — niskie drzwi, murowane ściany, zapleśniała wilgoć wypełnionej ludźmi piwnicy; stożki światła z kieszonkowych latarek migwały po ceglach muru, po bladych twarzach i rozszerzonych źrenicach... Rozległy się piekielne, plugawe przekleństwa... Zahuczały rewolwerowe wystrzały... Jak gdyby piwniczne stropy zaczęły się walić... Olga rzuciła się na oślep w ciemności... Na moment w świetle latarki mignęła przed nią wykrzywiona twarz Walk#. Coś palącego uderzyło ją między ramiona, ognistym świdrem przeszło pierś i szarpnęło w plecach... Zachwiała się i upadła w pachnącą grzybami pleśń.

Piąta Armia zdobyła Kazań, Czesi uciekli parostatkami w dół rzeki, oddziały białych Rosjan rozproszyły się, połowa mieszkańców zbiegła z miasta. Przez kilka tygodni po obydwóch brzegach Wołgi, wezbranej od jesiennych deszczów, błakali się z tobołami i kijami w rękach oszaaleli

uciekiniery, cierpiąc głód i chłód. Uciekł także z Kazania Walek.

Olga na przekór zdrowemu rozsądkowi ocalała. Kiedy wyniesiono z więziennej piwnicy zwłoki rozstrzelanych i ułożono je rzędem na podwórzu pod zachmurzonym, siąpiącym niebem, przykucnął nad nią kawalerzysta w nie wyprawionym kożusku i delikatnie odwrócił jej głowę.

—Ta dziewczyna jeszcze oddycha — powiedział. — Trzeba by, chłopcy, skoczyć po lekarza.

To był ten sam, o jastrzębich oczach i szczerzących się w uśmiechu zębach. Sam przeniósł dziewczynę do więziennego szpitala i pobiegł szukać lekarza w zamęcie zdobytego miasta. Wdarł się do mieszkania pewnego profesora, bez wahania aresztował go, przywiózł na motocyklu do szpitala i rzekł wskazując na leżącą nieprzytomnie, bez kropli krwi w twarzy, Olę: „Żeby mi wróciła do życia...”

Wróciła do życia. Po nałożeniu opatrunków i zastrzyku kamfory uniosła błękitnawe powieki i najwidoczniej poznała pochylone nad nią jastrzębie oczy. „Bliżej” — szepnęła ledwo dosłyszalnie, a kiedy przysunął się do niej bliźniutko i długo wyczekiwał, odezwała się ni stąd, ni zowąd: „Proszę mnie pocałować...” W pobliżu łóżka znajdowali się obcy ludzie, czasy wojenne. Mężczyzna o jastrzębich oczach chrząknął, rozejrzał się dokoła: „Do diabła, to dopiero!...” — jednak nie pocałował jej, tylko poprawił poduszkę...

Kawalerzysta nazywał się Jemielianow, towarzysz Jemielianow. Zapytała go o imię i imię ojca. Odpowiedział: Dmitrij Wasiliewicz. Kiedy to usłyszała, zamknęła oczy i zaczęła powtarzać szeptem: „Dmitrij Wasiliewicz”.

Pułk jego formował się w Kazaniu i Jemielianow co dzień odwiedzał dziewczynę. „Muszę pani powiedzieć — powtarzał, aby pokrzepić ją na duchu — że pani jest niczym żmija... Jak pani wróci do zdrowia, wezmę panią do szwadronu jako mego łącznika...”

Powtarzał jej to co dzień i ani jemu nie sprzykrzyło się o tym mówić, ani jej — słuchać. Śmiał się błyskając zębami, a na jej blade wargi kładł się tkliwy uśmiech. „Ostrzyżemy pani włosy i dostarczę parę lekkich butów, które mam po zabitym gimnaziście. Z początku trzeba będzie panią oczywiście przywiązywać rzemieniem do konia, żeby pani nie spadła...

Olga była rzeczywiście żywotna jak żmija. Po wszystkim, co przeszła,

pozostały jej tylko dawne oczy, ale oczy te płonęły nieposkromioną namiętnością i niecierpliwą żądzą życia.

Dawne jej życie pozostało na tamtym brzegu. Rodzicielski dom, gimnazjum, koleżanki, śnieg na ulicach, dziewczęce zachwyty nad przyjezdnymi aktorami, gimnazjalne „kółko imienia Hercena”, pełne uniesień sympatie dla kolegów z tego kółka; rozczytywanie się w powieściach i rzewna tęsknota za zmyślonym w tych powieściach życiem. Czyż to wszystko naprawdę istniało? Nowa sukienka na Boże Narodzenie, karnawałowa miłość do studenta przebranego za diabła, jego różki z czarnej serży wypchanej watą... Smętna cisza, przerywana wielkopostnymi dzwonami, topniejący, brunatny na ruchliwych ulicach śnieg... Wiosenne niepokoje, gorączkowe noce... Willa w Wierchnim Uslonie, sosny, łąki, połyskliwa Wołga przechodząca w nie kończące się rozlewiska i kłębiaste obłoki na horyzoncie... Wszystko to teraz ożywało chyba tylko w snach, w ciepłe wilgotnej od tez szpitalnej poduszki...

W te sny — tak sobie przynajmniej wyobrażała — wdarł się ją trzęącym bólem Walek z pięciofuntowym odważnikiem uwiązany na rzemieniu. Tego Walka Brykina wydano za chuligaństwo z gimnazjum, w piętnastym roku poszedł jako ochotnik na front, ale wkrótce powrócił do Kazania i paradował w ułańskim mundurze, z Krzyżem Św. Jerzego na piersi. Opowiadano, że jego ojciec, przystaw policji Brykin, złożył podanie do dowódcy okręgu wojskowego z błagalną prośbą, aby jego syna Walka wysłano na pierwszą linię frontu, gdzie by go na pewno nie minęła śmierć — ojcowskie oczy wołały oglądać tego niegodziwca na marach niż żywego. Walek był stale zgłodniały, spragniony uciech i piekielnie odważny. Wojna nauczyła go różnych forteli i pozwoliła dokładnie poznać zapach krwi.

Jego pięciofuntowy odważnik roztrzaskał doszczętnie tęczową powłokę lodową naiwnego życia Oleczki. Okazało się, że ta powłoka lodowa była straszliwie cienka, a jej się marzyło, że zbuduje na niej swoją pomyślną przyszłość: małżeństwo, miłość, rodzinę, trwałe szczęśliwy dom... Pod lodową powłoką krył się odmęt... Lód pękł i odmęt chlusnął na nią mętными falami.

Olga wyciągnęła z tego wniosek, że życie to wściekła walka (dwa razy zabijano ją i nie zabito, nie lękała się więc teraz nawet diabła), nienawiść z

całego serca, skórka chleba na dziś i straszliwa burza nie znanej jeszcze miłości. Jemielianow siadał na łóżku, ona podsuwała sobie pod plecy poduszkę, mięta chudymi palcami brzeg kołdry i | niewinną ufnością patrząc mu w oczy mówiła:

—Dawniej tak sobie wyobrażałam przyszłość: mąż — przystojny blondyn, ja — w różowej sukience, siedzimy i pijemy herbatę, a twarze nasze odbijają się w błyszczącym samowarze. I to już wszystko! I to już miało być szczęście!... W leniwej głupocie marzyłam o szczęściu przy samowarze. Idiotka!

Jemielianow, oparłszy pięści o uda, zaśmiewał się z jej opowiadań. A ona miała jedno tylko pragnienie: podźwignąć ciało z uprzykrzonego szpitalnego łóżka. Ostrzygła sobie włosy. Jemielianow przyniósł jej krótki kawaleryjski kożuszek, granatowe spodnie z czerwonymi wypustkami i obiecane już dawniej eleganckie kozłowe buty.

W listopadzie Olga wypisała się ze szpitala. W mieście nie było nikogo z jej krewnych i znajomych. Nad opustoszałe ulice z zabitymi na mur sklepami nadciągały północne chmury, z których padał deszcz na przemian ze śniegiem. Jemielianow z zapalem brodził po błocie z jednej z uliczki na drugą w poszukiwaniu jakiegoś mieszkalnego kąta. Oleczka z trudem wędrowała za nim krok w krok w ciężkim, nasiąkniętym wodą kożuszku i butach po zabitym gimnaziście;! kolana się pod nią uginały, ale wołałaby umrzeć niż stracić z oczu Dmitrija. Otrzymał z komitetu wykonawczego przydział na kwaterę dla ofiary białogwardyjskich prześladowań, towarzyszeki Zotowej, i starał się znaleźć coś niezwykłego. Wybór jego padł w końcu na olbrzymi, opuszczony przez właścicieli, ozdobiony kolumnami i lustrzanymi szybami pałacyk kupieckiej rodziny Starobogatowów — i zarekwirował go.

W tym nie zamieszkanym domu, po pokojach ze złożonymi meblami i ozdobnymi malowidłami na sufitach hulał wdzierający się przez wybite szyby wiatr, żałośnie podzwaniały kryształowe wisioriki żyrandoli. W parku posępnie szumiały lipy огоłocone z liści.

Jemielianow połamał stojące w reprezentacyjnym salonie i zajmujące całą ścianę dębowe organy, zaniósł drzewo do narożnego saloniku i rozniecił suty

ogień w kominku.

— Tu jest przynajmniej widno, ciepło i można zagotować wodę, proszę się tu zagospodarować jak u siebie w domu.

Przyniósł jej blaszany imbryk, trochę suszonej marchwi do zaparzania, kaszy, słoniny, kartofli — słowem, zapasów na dwa tygodnie, i Olga pozostała sama w ponurym, pustym domu, w którym przeraźliwie wyło w kominach.

Miała bardzo dużo czasu na rozmyślania. Sadowiła się na stołeczku, wpatrywała w ogień, na którym zaczynała szumieć woda w imbryku, i myślała o Dmitriju: czy przyjdzie dzisiaj? Dobrze by było, żeby przyszedł, bo właśnie i kartofle się ugotowały. Z daleka słyszała już jego kroki, rozlegające się na skrzypiących posadzkach; wchodził wesoły, szarooki, a wraz z nim wstępowało w Olę życie. Odpinał rewolwer i dwa granaty, zrzucał, mokry płaszcz i dopytywał się, czy wszystko w porządku i czy jej czegoś nie brakuje.

— Najważniejsza rzecz, żeby ustąpił ten piersiowy kaszel i żeby w plwocinach nie było krwi... Na Nowy Rok będzie już pani zdrowa.

Po wypiciu herbaty i skróceniu papierosa opowiadał jej o wojnie, opisywał obrazowo walki kawaleryjskie i niekiedy zapalał się przy tym tak bardzo, że aż strach było patrzeć w jego jastrzębie oczy.

— Wojna imperialistyczna była wojną pozycyjną, okopową, bo nie było w niej świętego ognia i żołnierze ginęli apatycznie — opowiadał stojąc pośrodku pokoju na szeroko rozstawionych nogach, z szablą wyciągniętą z pochwy. — Rewolucja stworzyła armię konną... Rozumie pani? Koń to żywioł... Walka kawaleryjska to święty ogień rewolucji... Oto z gołą szablą w garści przedzieram się przez szeregi piechoty i pędzę na gniazdo karabinów maszynowych... Czy nieprzyjaciół potrafi znieść mój widok? Nie!... Ucieka w popłochu, a ja koszę go, czując u ramion skrzydła... Czy wie pani, co to jest kawaleryjska bitwa? Pędzą przeciw sobie dwie lawiny bez jednego wystrzału... Zamęt... A człowiek jak pijany... Zderzyły się lawiny... Zaczęła się walka... Trwa minutę, najwyżej dwie... Serce nie wytrzymuje dłużej tego napięcia... Nieprzyjacielowi włosy stają dęba na głowie... I zawraca konie... Teraz już tylko ścigać i rąbać... Jeńców się nie bierze.

Oczy jego połyskiwały jak stal, a stalowa szabla świstała w powietrzu.

Olga wpatrywała się w niego, drętwiejąc z emocji. Zdawało się, że gdyby świszcząca klinga przekręciła jej serce, krzyknęłaby z radości. Tak bardzo go kochała...

Dlaczego oszczędzał ją? Czyżby żywił dla niej tylko współczucie? Czyżby tylko litował się nad sierotą, jak nad znalezionym na ulicy pieskiem? Niekiedy wydawało jej się, że spostrzega jego ukradkowe spojrzenie, zamglone wcale nie braterskim uczuciem. Płomień wówczas uderzał jej na policzki i nie wiedziała, gdzie ukryć twarz, a walące serce leciało w oszalałą przepaść... Ale nie, Dmitrij wyciągał z kieszeni moskiewską gazetę, rozsiadał się przy ogniu i czytał głośno umieszczony na dole stronicy felieton, w którym nie przebierając w słowach mieszano z błotem światową burżuazję... „Ach, jak świetnie piszą!” — wołał tupiąc z zadowolenia nogami.

Nadeszła zima. Stan zdrowia Olgi poprawił się. Pewnego razu Jemielianow przyszedł do niej przed świtem, polecił ubrać się i zaprowadził na plac, gdzie zapoznał ją z podstawowymi zasadami kawalerskiego dosiadania konia i obchodzenia się z nim. Prószył miękki śnieg. Olga galopowała po białym placu, a kopyta jej konia znaczyły drogę piaszczystymi śladami. Jemielianow krzychał: „Siedzisz, niech cię kule biją, na koniu, jak pies na płocie! Unoś się na palcach i nie kładź się na końskim grzbiecie!” Chciało jej się śmiać, wiatr radośnie świstał koło uszu, upajał, na rzęsach topniały płatki śniegu.

W słabej dziewczynie kryły się żelazne siły, biorące się nie wiadomo skąd. W ciągu miesiąca szkolenia na placu w szyku pieszym i konnym Olga wyciągnęła się jak struna, a mroźny wiatr osmaliał rumieńcem jej twarz. „Można by pomyśleć — mówił Jemielianow — że ją najłżejszy podmuch złamie, a tymczasem to jest wcielone diable”. A i diablo była piękna; kiedy szczupła i wysoka w kożusku, mocno ściśniętym pasem, przechodziła podzwaniając ostrogami przez zadymione machorką koszary, młodzi kawalerzyści wodzili za nią oczami, a starsi pogrążali się w zadumie.

Szczupłe jej ręce nauczyły się pewnie i sprawnie kierować koniem. Nogi — na pozór nadające się tylko do burżuazyjnych tańców i jedwabnych spódniczek — rozwinęły się i nabrały siły. Jemielianow szczególnie podziwiał jej łydki — elastyczne i mocne jak stal; siedziała w siodle jak kleszcz, koń

chodził pod nią niczym owieczka. Nauczyła się także władać szablą — świetnie ścinała piramidy i pręty, choć oczywiście, nie miała silnego ciosu, gdyż cios oparty jest na sile ramienia, a Olga miała ramiona dziewczęce.

Orientowała się też nieźle w sprawach społeczno-politycznych. Jemielianow obawiał się, czy nie odezwie się w niej burżuazyjne wychowanie, bo czasy były bezwzględne. „Towarzyszko Zotowa, jakie są zadania robotniczo-chłopskiej Armii Czerwonej?” Olga zrywała się i odpowiadała bez zająknięcia; „Walka z krwawym kapitalizmem, obszarnikami, popami i interwentami w imię szczęścia wszystkich ludzi pracy na świecie”.

Została wcielona jako żołnierz do szwadronu, którym dowodził Jemielianow. W lutym pułk załadowano do ogrzewanych wagonów towarowych i przerzucono na denikinowski front.

Kiedy Olga, trzymając konia za wodze, stała na brudnym, błotnistym śniegu stacji, gdzie jej szwadron został wyładowany z wagonów, spoglądała na posępną, rozpościerającą się na skłębionych chmurach szkarlatno-granatową zorzę wiosennego zachodu słońca i słyszała dalekie salwy armatnie — cała niedawna przeszłość wzbierała w niej nieubłaganim gniewem i mściwą nienawiścią.

— Gasić papierosy! Na koń! — zabrzmiał okrzyk Jemielianowa.

Olga wskoczyła lekko na siodło; szabla uderzyła ją w biodro... „Teraz już nie poważysz się rozedrzeć mi koszuli, grozić pięciofunto- wym odważnikiem, wlec przemocą do piwnicy!”

—Kłusem — marsz!

Skrzypnęło siodło, zagwizdał szary wiatr, oczy wpiły się w purpurowy mrok zachodu... „Konie zerwały pęta, może zatrzymamy się dopiero u brzegów oceanu” — przypomniały jej się jak upajająca pieśń słowa umiłowanego przyjaciela... Tak zaczęło się jej bojowe życie.

W szwadronie nazywano Olgę żoną Jemielianowa. Ale nie była jego żoną. Nikt by w to nie uwierzył. Żołnierze pękliby ze śmiechu, gdyby się dowiedzieli, że Zotowa jest dziewczą. Ale i ona, i Jemielianow ukrywali to. Prościej i zrozumialej było, że uchodziła za jego żonę: nikt jej nie zaczepiał, bo wiadano z wielokrotnego doświadczenia, że Jemielianow ma twardą

pięść, i Zotowa traktowana była przez towarzyszy broni jak młodszy brat.

Z racji swych funkcji łącznika Zotowa przebywała nieustannie w pobliżu dowódcy szwadronu. Nocowała z nim w tej samej izbie, a często w tym samym łóżku: on — głową w jedną stronę, a ona — w drugą, każde z nich przykryte własnym kożuszkiem.

Po uciążliwej, liczącej niekiedy pięćdziesiąt wiorst, całodzienniej konnej jaździe Olga, oporządziwszy konia i naprędce posiliwszy się z kotła, ściągała buty, rozpinając kołnierz sukiennej bluzy i zasypiała natychmiast po wyciągnięciu się na ławie, przypiecku czy na brzegu łóżka. Nie słyszała, kiedy Jemielianow kładł się spać i kiedy wstawał. Za to on spał czujnie jak zwierzę, wsłuchując się jakby jednym uchem w parskanie koni.

Obchodził się z nią surowo, nie okazywał jej żadnych względów, a nawet udzielał nagan częściej niż innym. Teraz dopiero Olga poznała siłę jastrzębich oczu: padało z nich spojrzenie bojownika. W akcji bojowej przepadła gdzieś jego dobroduszość i szczerzenie zębów, jednocześnie ze zbędną warstwą tłuszczu.

Po nocnej inspekcji i stwierdzeniu, że konie są oporządzone, żołnierze śpią, a czaty i wartownicy czuwają, Jemielianow wchodził do izby znużony, silnie woniejący potem i siadał na ławce, żeby resztkami sił ściągnąć napęczniałe buty. Podchodził do łóżka i przez chwilę wpatrywał się w rozgrzaną snem, ogorzałą, kobiecą, a zarazem dziecięcą twarz Olgi. Oczy jego nabierały tkliwości i czuły uśmiech rozchyłał wargi. Ale nie darowałby jej najlżejszego wykroczenia.

Zotowa wiozła przesyłkę do sztabu dywizji. Nad zielonym, a miejscami szarosrebrzystym od piołunu stepem bezchmurne majowe niebo rozbrzmiewało śpiewem skowronków. Koń, zupełnie jak stępak, szedł płynnym kłusem — grała mu śledziona. Drogę przebiegały żółte ciutkie susły. W taki poranek można było zapomnieć, że jest wojna, że nieprzyjaciół napiera i otacza, że dywizje piechoty zamiast stawić nieprzyjacielowi czoło, rozbijają wagony i wycofują się na tyły; że w miastach panuje głód, a we wsiach wybuchają bunt. Tymczasem wiosna jak dawniej upiększała ziemię i budziła w sercach marzenia. Nawet koń, zmarniały od jałowej paszy, parskał i strzelał, hultaj, ciekawie niebieskim okiem, jakby miał ochotę poswawolić i

pobry- kać.

Droga przebiegała koło na wpół zarośniętego turzycą stawu, w którym odbijało się faliste kredowe zbocze. Koń przystanął, po czym ruszył w stronę wody. Zotowa zsiadła, rozkielznała go i koń, zanurzywszy się po kolana, zaczął pić, ale ledwo zaczerpnął wody, podniósł łysy łeb i otrząsając się zarżał donośnie i niespokojnie. Natychmiast z zarośli na końcu stawu odpowiedziało mu rzenie. Zotowa szybko okielznała konia, skoczyła na siodło i rozglądając się sięgnęła po wiszący na plecach karabin. W zaroślach ukazały się dwie głowy i na brzeg stawu wyskoczyło dwóch jeźdźców. Zatrzymali się. Był to podjazd. Ale czyj — czerwonych czy białych?

Koń jednego z jeźdźców opuścił głowę, aby spędzić z nogi baka, jeździec pociągnięty przez uzdę pochylił się i błysnęła na jego ramieniu złota naszywka... „W nogi!” Olga uderzyła konia pochwą szabli, pochyliła się w siodle i spod kopyt wzbily się kępki piołunu i suche nasiona lepnika... Za plecami Olgi rozległ się ciężki tętent pogoni... Wystrzał... Zerknęła za siebie... Jeden z jeźdźców zataczał z prawej strony półkole, żeby przeciąć jej drogę. Jego kasztan doński śmigał jak pies gończy. Znowu rozległ się z tyłu wystrzał. Olga puściła wodze i zerwała z pleców karabin... Jeździec na dońcu był już od niej oddalony tylko o pięćdziesiąt kroków. „Stój! Stój!” — wrzasnął groźnie, wywijając szablą... Był to Walek Brykin. Olga poznała go, traciła konia łydkami, podniosła karabin i płomienną nienawiścią błysnął jej wystrzał... Doński ogier, miotając głową, stanął dęba i runął na ziemię, przygniatając jeźdźcę... „Walek! Walek!” — krzyknęła Olga dziko i radośnie. W tej samej chwili natarł na nią z tyłu drugi jeździec. Zobaczyła tylko jego długie wąsy, duże oczy rozszerzone zdu mieniem: „Baba!” — i wzniesiona szabla bezwładnie brzęknęła o lufę karabinu Olgi. Koń poniósł go naprzód. Olga nie miała już w rękach karabinu — najwidoczniej rzuciła go lub upuściła (nawet pda jej, kiedy o tym opowiadała, nie mogła sobie tego przypomnieć); ręka jej poczuła znajomy ciężar wyciągniętej z pochwy szabli, ze ściśniętego gardła wydobył się skowyt, koń jej rzucił się w pościg, dogonił i Olga rąbnęła na odlew. Wąsał upadł na końską grzywę, obejmując oburącz kark.

Zdyszany koń niósł Olgę przez piołunowy step. Nagle zorientowała się, że

ściska wciąż w dłoni rękojeść obnażonej szabli. Z trudem, nie mogąc trafić do pochwy, schowała ją.

Potem zatrzymała konia. Kredowe zbocze i staw pozostały daleko w tyle, po lewej stronie. W stepie nie było widać żywej duszy. Nikt jej nie ścigał. Nie słysząc było strzałów. W promiennych, błękitnych przestworzach dzwoniły skowronki, śpiewając radośnie i tkliwie jak pisklęta. Olga chwyciła bluzę na piersi, ścisnęła palcami gardło i trwożnie usiłowała zapanować nad sobą — ale nic nie pomogło: łzy trysnęły jej z oczu i rozszłochała się gwałtownie.

Później, w drodze do sztabu dywizji, długo jeszcze to jedną, to drugą pięścią wycierała ze złością oczy.

W szwadronie Zotowa musiała chyba ze sto razy opowiadać o swojej przygodzie. Kawalerzyści zaśmiewali się, kręcili głowami, tarzali się po ziemi ze śmiechu.

— Oj, nie wytrzymam, oj, pękne ze śmiechu: baba zatłukła dwóch chłopaków!

— Czekaj, czekaj, więc jak to było: najechał na ciebie z tyłu i wrzasnął nagle: „Baba!”

— A duże miał wąsiska?

— Ślepią mu wyszły na wierzch ze zdziwienia.

— I stracił władzę w ręku?

— No chyba!

— A ty go — bęc w kark... Oj, chłopcy, skonam. Ładny mi kawalerzysta — też się zapędził!

— No, a co zrobiłaś potem?

— Cóż miałam zrobić potem? — odpowiadała Olga. — Po prostu otarłam klingę i pojechałam z przesyłką do dowództwa dywizji.

Życie w polu miało jedną dokuczliwą stronę: Olga nie umiała przemóc w sobie wstydlivości. Szczególnie to odczuwała wówczas, kiedy w upalny dzień szwadron docierał do brzegu rzeki lub stawu: kawalerzyści na golasa, rozpryskując tęczowe krople, ze śmiechem i pokrzykiwaniem wjeżdżali do wody na rozkulbaczonych koniach. Zotowa musiała szukać wówczas ustronnego, osłoniętego krzakami zakątka do kąpieli. Kawalerzyści wołali:

— Przepasz się, głupia dziewczucho, onucką i chodź się kąpać z nami!

Jemielianow domagał się ścisłego przestrzegania zasad czystości i higieny. „Kawalerzysta z wrzodzątką na pośladku jest diabła wart i nie ma dla niego miejsca w szwadronie. Kawalerzysta musi nade wszystko dbać o swoje siedzenie, musi latem i zimą co dzień oblewać się wodą ze studni i poświęcać piętnaście minut dziennie na gimnastykę”.

Oblewanie się wodą było dla Olgi także kłopotliwe: musiała wstawać wcześniej niż inni i biec po chłodnej rosie do studni, kiedy to świt zaczynał dopiero przedzierać się pąsową szczeliną wśród zwałów chmur i mgieł. Raz, kiedy wyciągnęła żałośnie skrzypiącym żurawiem wiadro pachnącej wody, postawiła na brzegu studni i rozebrała się kuląc z zimna — poczuła, jakby coś dotknęło delikatnie jej pleców.

Obejrzała się: na ganku stał Dmitrij i wpatrywał się w nią uporczywie i jakoś dziwnie. Wówczas Olga obeszła powoli studnię i przykucnęła za nią, tak że widać było tylko jej szeroko otwarte oczy. Gdyby to był ktokolwiek inny spośród towarzyszy broni, zawołałaby po prostu: „Co się tak gapisz? Odwróć się!” Ale głos z zawstydzenia i wzruszenia odmówił jej posłuszeństwa. Jemielianow wzruszył ramionami, uśmiechnął się i odszedł.

Było to wydarzenie błahe, ale od tej chwili wszystko się zmieniło. Wszystko — nawet najprostsze — stało się nagle skomplikowane. Szwadron zatrzymał się na nocleg w spalonej wiosce; musieli, jak to się często zdarzało, spać we wspólnym łóżku. Tej nocy Olga położyła się na samym brzeżku, na czapraku przesyconym końskim potem, i długo nie mogła zasnąć, choć z całej siły zaciskała powieki. Mimo to nie usłyszała, kiedy Jemielianow przyszedł do izby. Dopiero, gdy zbudziło ją pianie kogutów, okazało się, że Jemielianow spał na gołej podłodze pod drzwiami.

Zniknęła gdzieś ich wzajemna szczerość i bezpośredniość... Kiedy rozmawiali ze sobą, Dmitrij marszczył czoło i unikał jej wzroku, a ona czuła, że mają na twarzach jednakowe maski. Lecz mimo to żyła wciąż jak pijana ze szczęścia.

Dotychczas nigdy jeszcze Zotowa nie brała udziału w prawdziwej bitwie. Pułk jej wraz z dywizją wycofywał się ciągle na północ. W czasie małych potyczek znajdowała się stale przy boku dowódcy szwadronu.

Nagle na jakimś odcinku frontu zaszło coś niepomyślnego, o czym zaczęły

krażyć głuche, niepokojące wieści. Pułk otrzymał rozkaz przedarcia się na skrzydło armii.

Po raz pierwszy wówczas Olga usłyszała słowo „zagon”.

Wyruszyli natychmiast. Szwadron Jemielianowa posuwał się na czele. Na noc zatrzymali się w lesie, ale nie rozkiełznali koni ani nie rozpalili ogniska. Szumiał w listowiu ciepły wiatr. Było ciemno choć oko wykol. Olga siedziała na pniu, kiedy czyjaś ręka serdecznie spoczęła na jej ramieniu; domyśliła się, westchnęła, uniosła głowę. Dmitrij pochylił się nad nią i zapytał:

—Nie stchórzysz? No, no, tylko miej się na baczności... I trzymaj się jak najbliżej mnie...

Potem padł cichy rozkaz i żołnierze dosiedli koni. Olga skręciła na chybił trafił i dotknęła strzemienia Dmitrija. Długo jechali stępą. Ziemia cmokała pod kopytami. Czuć było zapach grzybów. Po pewnym czasie w nieprzejrzanym mroku zaczęło się przecierać — las rzedł. Z prawej strony, zupełnie blisko, błysnęły ogniste smugi i czarny las zahuczał od głośnych wystrzałów. Jemielianow krzyknął przeciągle: „Szable w dłoń!” Mokre gałęzie zaczęły chlastać po twarzy, konie napierały na siebie i chrapały, kolana zawadzały o pnie. I nagle rozpostarła się przed oczami szara, omglona, leżąca w dolinie polana, po której przesuwwały się już cienie jeźdźców. Urwisty brzeg... Olga spięła konia ostrogami. Koń przysiadł na zadzie i skoczył do rzeczki...

Pułk przedarł się na tyły nieprzyjaciela. Galopowali w mroku pod niskim pułapem chmur; step dudnił pod kopytami pięciuset koni. W galopie zagrały urywane trąbki trębaczy. Rozkazano zsiąść z koni. Rozdano szwadronom naramienniki i bączki. Jemielianow zebrał dokoła siebie swych żołnierzy.

—Jesteśmy teraz, dla zamaskowania, pułkiem północnokaukaskiej armii generał-lejtnanta barona WrangJa, pułkiem-zbieraniną | różnych oddziałów. Zapamiętaliście to sobie dobrze, ptasie mózdzki? (Żołnierze zachichotali.) Kto się tam śmieje? Milczeć! Nie jestem teraz waszym towarzyszem dowódcą, ale panem rotmistrzem. (Zapalił zapalną i na ramieniu jego błysnął złoty naramiennik z jednym paskiem.) Nie jesteście teraz towarzyszami, lecz podkomendnymi. Stawać na baczność, salutować, tytułować! Milczeć! Baczność! Zrozumiano? (W szwadronie huczało: stawali

na baczność, salutowali i do szumnych oficerskich tytułów dodawali niewybredne epitety.) Przyszywajcie naramienniki, gwiazdę do kieszeni, bączek na czapkę...

Przez trzy dni uganiał się zamaskowany pułk po wranglowskich tyłach. Drogę swą znaczyli słupami czarnego dymu — płonęły stacje kolejowe, pociągi, magazyny wojskowe, wylatywały w powietrze stacje pomp i prochownie.

Czwartego dnia konie zaczęły opadać z sił, potykać się i zarządzony został jednodniowy postój w zapadłej wiosce. Olga oporządziła konia, rzuciła się na najbliższą kupę siana i zasnęła. Obudził ją głośny kobiecy śmiech — młoda chłopka w zakasanej nad gołymi łydkami czarnej spódnicy odezwała się do kogoś, wskazując Zotową: „Jaki śliczniuski...” Chłopka rozwieszała na podwórzu wyprane onucki.

Kiedy Olga weszła do izby, przy stole siedział Jemielianow zaspany, wesoły, z pierzem we włosach i boso... A więc to jemu uprano onucki.

— Siadaj, zaraz przyniosą barszcz. Napijesz się wódki? — odezwał się do Olgi. Ta sama urodziwa chłopka weszła z garnkiem barszczu, odwracając od pachnącej pary zarumieniony policzek. Postawiła z hukiem żelazny garnek Jemielianowowi pod samym nosem i poruszyła pulchnym ramieniem:

— Jest już barszcz, jakbyśmy tylko na was czekali... — głos miała miękki i śpiewny, śmiała była i zaczepna. — Uprałam wam onucki, ani się obejrzycie, jak wyschną — i ogarnęła Dmitrija spojrzeniem uległej suki.

A on, zając, pomrukiwał z zadowolenia; był jakiś dziwnie łagodny i miękki. Olga odłożyła łyżkę; jadowita żmija ukąsiła ją w serce; zamarła, spuściła oczy. Kiedy chłopka wyśliznęła się za drzwi, wyskoczyła za nią, dopadła w sieni, złapała za rękę i szepnęła urywanym głosem:

— Słuchaj, czy życie ci się sprzyrzyło?...

Chłopka krzyknęła, wyrwała rękę i uciekła.

Dmitrij kilkakrotnie spoglądał ze zdziwieniem na Olgę: co za giez ją ukąsił?

Ale kiedy dosiadał konia i spostrzegł jej pociemniałe z wściekłości oczy i drgające nozdrza oraz chłopkę — lękliwie, niczym mysz, wyglądającą zza rogu stodoły — zrozumiał wszystko i roześmiał się po dawnemu, szczerząc w

śmiechu rzędy białych zębów. Wyjeżdżając z bramy trącił kolanem kolano Olecki i odezwał się z niespodziewaną serdecznością:

—Ach, ty głuptasie...

Z trudem powstrzymała cisnące się do oczu łzy.

Piątego dnia okazało się, że cała kozacka dywizja depcze zamaskowanemu czerwonemu pułkowi po piętach. Trzeba było teraz uciekać jak najspieszniej, porzucając zajeżdżone konie. Z zapadnięciem nocy rozgorzała walka odwrotowa. Sztandar pułkowy powierzono pierwszemu szwadronowi. Nie zatrzymując się w drodze, szwadron wpadł do jakiejś ciemnej, głuchej wioski. Żołnierze zaczęli stukać rękojeściami szabel w okiennice. Psy wyły i wszystko dokoła wyglądało jak wymarłe, tylko na dzwonnicy odezwał się dzwon i umilkł.

Przyprowadzono dwóch chłopów, znalezionych w słomie, kudłatych jak leśne diabły. Wpatrując się w jeźdźców powtarzali tylko:

—Bracia, kochani, zlitujcie się nad nami...

—Czy wasza wieś jest po stronie białych czy po stronie władzy radzieckiej? — krzyknął do nich Jemielianow pochylając się w siodle.

—Kochani, sami nie wiemy... Zabrali nam wszystko, rozkradli, rozgrabili...

Udało się jednak z nich wydostać, że wieś na razie nie jest w niczyich rękach, że istotnie spodziewają się kozaków Wrangla i za rzeką, za kolejowym mostem, siedzą w okopach bolszewicy.

Pułk zdjął naramienniki, poprzyczepiał do czapek gwiazdy i przeszedł przez most do swoich. Tu wyjaśniło się, że biali nacierają na całym froncie jak wściekli, i rozkazano bronić tego mostu do ostatniego tchu. A walczyć nie ma czym: taśmy naboi nie pasują do karabinów maszynowych, w okopach — wszy, brak chleba, żołnierze karmieni gotowanym ziarnem straszliwie popuchli. Agitator był, ale umarł na tyfus plamisty.

Dowódca pułku połączył się telefonicznie z naczelnym dowództwem i otrzymał potwierdzenie rozkazu: należało bronić mostu do ostatniej kropli krwi, dopóki armia nie wydostanie się z okrążenia.

— Żywi stąd nie ujdziemy — rzekł Jemielianow. Zaczerpnął z rzeki dwa kociołki wody, jeden podał Oldze i przysiadłszy koło niej wpatrywał się w

niejasne zarysy przeciwnego brzegu. Nad rzeką świeciła omglona, rdzawa gwiazda. Przez cały dzień wranglowskie baterie ostrzeliwały gęstym ogniem bolszewickie okopy. A wieczorem nadszedł rozkaz: sforsować most, odeprzeć białych od rzeki i zająć wieś.

Olga spoglądała na mgliste, nieruchome odbicie gwiazdy w rzece — było w nim coś smutnego.

— No, chodź, Ola — odezwał się Dmitrij — trzeba się godzinkę przespać. — Po raz pierwszy nazwał ją po imieniu.

Z krzaków wyczołgiwały się na stromy brzeg skradające się sylwetki żołnierzy z kociołkami — przez cały dzień nie było dostępu do rzeki i nikt od rana nie miał kropli wody w ustach. A wszyscy wiedzieli już o strasznym rozkazie. I wielu uważało tę noc za ostatnią w życiu.

— Pocałuj mnie — szepnęła żałośnie Olga.

Postawił ostrożnie kociołek, przyciągnął ją za ramiona — czapka jej spadła, przymknęła oczy — i zaczął ją całować w oczy, usta, policzki.

— Wziąłbym cię za żonę, Ola, ale teraz nie można, rozumiesz...

Nocne ataki zostały odparte. Biali umocnili most, zagrodzili jego wylot kolczastym drutem i prażyli wzdłuż mostu z karabinu maszynowego. Nad dymiącą rzeką, nad wilgotnymi polami wschodził szary świt. Ziemia po obu stronach rzeki wzbijała się co chwila w górę, jakby wyrastały z niej i opadały krzaki. Powietrze skomlało i wyło, gęstymi chmurkami rozpryskiwały się szrapnele. Żołnierze byli ogłupiali od huków. W pobliżu mostu leżało mnóstwo zabitych. Wszystko na próżno. Żołnierze nie mogli się przedrzeć przez ogień karabinów maszynowych.

Wówczas za nasypem kolejowym zebrało się ośmiu komundorów pod pułkowym sztandarem; podarty i podziurawiony kulami sztandar nabrał w blasku świtu krwawej barwy. Dwa szwadrony dosiadły koni. Dowódca pułku rzekł: „Trzeba umrzeć, towarzysze” — i z wolna odjechał pod sztandar. Ósmy był Dmitrij. Obnażyli szable, spięli konie ostrogami, wyjechali spoza nasypu i ciężkim galopem popędzili przez dudniące deski mostu.

Ola patrzyła: oto koń zwałił się na balustradę mostu i runął wraz z jeźdźcą z dziesięciosześniowej wysokości do rzeki. Siedmiu dotarło do

połowy mostu. Jeszcze jeden, jak senny, osunął się z siodła. Jadący na czele dopadli drutów i cięli je szablami. Rosły choraży zachwiał się, sztandar się pochylił, pochwycił go Jemieianow i w tej samej chwili koń pod nim padł.

Ostro gwizdały kule. Olga pędziła po nieszczelnie zbitych deskach nad głęboką otchłanią. Tuż za Zotową zadudniły i zadygotały żelazne wiązania mostu; ryknęło sto pięćdziesiąt gardzieli. Dmitrij stał na szeroko rozstawionych nogach i trzymał przed sobą drzewce sztandaru: twarz jego była martwa, a z otwartych ust sączyła się krew. Galopując koło niego, Olga wyrwała mu z rąk sztandar. Dmitrij zatoczył się w stronę poręczy mostu i usiadł. Przeleciały koło niego szwadrony — grzywy, pochylone karki, błyszczące klingi.

Wszyscy przedarli się na drugą stronę rzeki; nieprzyjaciel pierzchnął, armaty ucichły. Długo jeszcze nad lawiną jeźdźców powiewał w polu, a następnie zniknął w opłotkach wsi poszarpany na strzępy sztandar; galopował już z nim teraz wyrostek-kawalerzysta, uderzając konia gołymi piętami, wymachując drzewcem i krzycząc: „Bij, zabij”.

Olę zabrano z pola walki; była oszołomiona upadkiem z konia i ciężko ranna w biodro. Koledzy ze szwadronu gorąco jej współczuli: nie wiedzieli, jak jej powiedzieć, że Jemieianow poległ. Wysłali delegację do dowódcy pułku z prośbą, żeby nagrodził Zotową za jej czyn. Długo zastanawiali się nad wyborem nagrody. Papierośnicę?

— nie pali; zegarek? — zegarek to nie babska rzecz. U jednego z kawalerzystów znaleźli w plecaku szczerozłotą broszkę przedstawiającą strzałę i serce. Dowódca pułku bez wahania zgodził się na przyznanie Oli tej nagrody, ale w rozkazie dziennym uczynił następujące zastrzeżenie:

„Nagrodzić Zotową za jej bohaterski czyn przyznaniem jej broszki ze strzałą, ale serce, jako burżuazyjny symbol, z broszki usunąć...”

Jak ptak, który szybuje po burzliwym niebie i nagle zwinięty w kłębek spada z przestrzelonymi skrzydłami na ziemię — tak całe życie Olgi, jej płomienna, niewinna miłość, runęło z wysokości i roztrzaskało się; zaczęły się odtąd wlec zbędne, ciężkie i smutne dni.

Przez długi czas tłukła się po polowych szpitalach, ewakuowano ją w cuchnących wagonach towarowych, dygotała z zimna pod wojskowym

płaszczem i przymierała głodem. Otaczali ją ludzie obcy i źli; dla każdego z nich była tylko którymś tam numerem szpitalnym. Nie miała na całym świecie nikogo bliskiego. Życie jej było posępne i ciężkie, a mimo to śmierć nie przychodziła po nią.

Kiedy wyszła ze szpitala, ostrzyżona przy samej skórze i tak wychudzona, że płaszczy i cholewy butów chygotały się na niej jak na szkielecie — poszła na dworzec, gdzie gnieździły się i kuliły z zimna na podłodze poczekalni jakieś do ludzi podobne istoty. Dokąd miała jechać? Cały świat był jak jedno dzikie pole. Powróciła do miasta, na punkt zbiórki przy komendzie uzupełnień, przedstawiła dokumenty i odznaczenie w postaci broszki ze strzałą i wkrótce odjechała transportem wojskowym na Syberię — wojować dalej.

Turkot kół kolejowych, żar bijący wraz z błękitnawym dymem od żelaznego piecyka, tysiące kilometrów, rozwlekłe jak droga pieśni, zaduch i zbrukany śnieg, krzyczące litery wojennych plakatów, afiszów i obwieszczeń — strzępy papieru szeleszczące na mrozie — ponure wiece w izbach o belkowanych ścianach w półmroku kopcającej lampy i znowu śnieg, sosny, dymy ognisk, znajomy grzmot kanonady, mróz, spalone wsie, krwawe plamy na śniegu, tysiące, tysiące trupów jak rozrzucone drzewa zawiane śniegiem... Wszystko to mieszało się w jej wspomnieniach i splątało w jeden długi sznur nie kończących się niedoli.

Olga była chuda i czarna; potrafiła pić samochodową mieszankę spirytusową, paliła machorkę i, jeśli zaszła potrzeba, klęła nie gorzej od innych. Mało kto traktował ją jak kobietę, bo była chuda i zła jak żmija. Zdarzyło się raz wprawdzie, że nocą w koszarach przysunął się do niej bezdomny żołnierz frontowy o grubych wargach i poprosił, żeby się | nim popieściła; w odpowiedzi, opanowana nagłą wściekłością, uderzyła go tak mocno ręką w nos, że musiano go odwieźć do szpitala. Po tym wypadku odechciało się żołnierzom nawet myśleć o „żmii”...

Wiosną znalazła się we Władywostoku. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła ocean — siny, posępny, burzliwy. Pędziły po brzegu długie, pienne grzywy, już na widnokręgu piętrzyły się fale, podpłynawszy uderzały w molo i przezroczystymi obłokami tryskały w górę. Olga zapragnęła zaciągnąć się na

statek... Ale nikt jej na statek przyjąć nie chciał i tylko jakiś stary pilot portowy w nielegalnej speluncie ze współczucia dla jej straconej młodości wytatuował jej na ręce kotwicę. „Pamiętaj — rzekł — to jest znak nadziei na ocalenie”.

Potem — wojna się skończyła. Olga kupiła na targu spódnicę z zielonej pluszowej story i zaczęła pracować w rozmaitych instytucjach: jako maszynistka — w Komitecie Wykonawczym, jako sekretarka w Dyrekcji Lasów albo jako urzędniczka do prowadzenia korespondencji, przenosząc się wraz z biurkiem z jednego piętra na drugie.

Miejsca nigdzie nie zagrzała — nieustannie przenosiła się z miasta do miasta, wędrując w kierunku zachodnim. Marzyła o tym, żeby znaleźć się jeszcze raz w tym miejscu, na tym brzegu rzeki, gdzie Dmitrij zaczerpnąwszy w rzece wody do kociołka, siedział przy jej boku po raz ostatni... Odnalazłaby i tę kępę łozy, i to wygniecione miejsce, gdzie siedzieli...

Przeszłość nie zacierała się w pamięci. Olga żyła samotnie i skromnie. Ale wyzbywała się żołnierskiej szorstkości i stawiała się znowu kobietą.

IV

W dwudziestym drugim roku życia trzeba było po raz trzeci zaczynać życie od początku. To, co się teraz dokoła niej działo, robiło na niej wrażenie prób założenia bojowym koniom roboczych chomąt. Kraj po przeżytych wstrząsach srożył się jeszcze, oczy, ciągle jeszcze nabiegłe krwią, uparcie wypatrywały czegoś, co by można było zniszczyć, a już wszędzie widać było białe teksty dekretów wzywających do naprawienia szkód, odbudowywania i budowania na nowo.

Czytała o tym, słuchała i wydawało jej się, że to jest jeszcze trudniejsze niż wojna. Miasta, w których przebywała, były zburzone w dzikiej pasji niszczenia, wszystko w nich popękało i rozsypało się w gruzy, a zgliszcza zarastały pokrzywami. Jedynym okryciem ludzi była parcianka. Jedli, spali i we śnie ciągle jeszcze przeżywali wypadki wojenne.

Dekrety wzywały do odbudowywania i tworzenia nowego życia. Czyje ręce miały tego wszystkiego dokonać? Ano, własne, te oto, wciąż jeszcze silne ręce. Olga lubiła o zachodzie słońca błąkać się po mieście — wpatrywała się w nieufne, mroczne ludzkie twarze, na których nie wygładziły się jeszcze

zmarszczki gniewu, przerażenia i nienawiści; знаła doskonale ten skurcz ust, te szczyby i dziury zamiast zębów, zjedzonych na wojnie. Wszyscy to przeżyli — od najmłodszego do najstarszego... I oto snują się teraz po zrujnowanym mieście w wydzielającej kwaśną woń odzieży, sporządzonej z worków, z burżuazyjnych kotar, w rozdeptanych łapciach, rozjątrzeni, gotowi w każdej chwili zabić kogoś lub wybuchnąć płaczem...

Dekrety uporczywie domagają się twórczej pracy, twórczej pracy... Tak, ale to jest trudniejsze niż wysadzenie w powietrze mostu piroksyliną, niż rozniesienie na szablach w kawaleryjskim ataku obsługi baterii, niż wybicie szrapnelem okna w sztabie białych...

Zotowa zatrzymała się przy pochylonym płocie przed barwnym plakatem. Ktoś przekreślił go już na krzyż kawałkiem tynku i nagryzmolił na nim ordynarne słowo. Wpatrywała się w twarze, jakich się w życiu nie spotyka, w powiewające sztandary, stupiętrowe domy, kominy i dymy wznoszące się do roztańczonych liter „uprzemysłowienie”... Olga, zawsze żywa w swych odczuciach i wrażliwa na wszystko, rozmarzyła się przed pięknym plakatem — porywał ją ogrom i rozmach nowego budownictwa.

Ściemniało się, ostatnie promienie zachodzącego słońca, wydobywające się spod ołowianej chmury, zapalały odłamki szyb w ziejących pustką nie zamieszkałych domach. Tu i ówdzie przemykał się z rzadka przechodzień, gryząc pestki i spluwając w błoto wyboistej ulicy, na której leżały rdzawe liście i zdechłe koty... Olga zaciskała pięści — nie mogła się pogodzić z ciszą, pestkami, łaziebnymi miotełkami i niezmiernymi pustkowiami prowincjonalnych dziur...

Udało jej się otrzymać przydział do Moskwy; przyjechała tu w zielonej spódnicy z pluszowej portiery, pełna energii i samozaparcia.

Z niezmaconym spokojem znosiła trudności życiowe; bywało już gorzej. Przez pierwsze tygodnie pobytu w Moskwie gnieździła się, gdzie się dato; potem otrzymała pokój w zbiorowym mieszkaniu na Zariadiu. Po wypełnieniu ankiet i złożeniu licznych podań, oszomiona na wstępie niesłychanie skomplikowanymi wędrówkami wszystkich jej papierów, gwarem panującym w wielopiętrowych, brzęczących jak ule instytucjach, zaczęła pracować w wydziale kontroli Zjednoczenia Przemysłu

Metali Kolorowych. Przychodziła do pracy bardzo punktualnie. Obserwowała i upadała na duchu, bo ani rusz nie mogła się zorientować w stopniu użyteczności swej pracy, polegającej na przepisывaniu papierków. Na nic nie zdała się tu jej zaradność, jej szalona odwaga, jej jadowita złość. Stukały tu tylko maszyny do pisania jak młoteczki w uszach podczas tyfusowej gorączki, szeleściły papiery i mamrotały urzędnicze głosy w telefoniczne słuchawki. Inaczej było na wojnie: prosto, wyraźnie, przy akompaniamencie kul wymierzonych w ściśle określony cel...

Potem, oczywiście, oswoiła się i pogodziła z losem. Upływały dni wypełnione pracą, jednostajne i spokojne. Zaczęła brać na siebie obowiązki społeczne. Wprowadziła do pracy świetlicowej dyscyplinę i kawaleryjską terminologię. Trzeba było powstrzymywać ją od nadmiernej szorstkości.

Pierwszą naganę otrzymała od zastępcy kierownika, siedzącego w pobliżu, po drugiej stronie drzwi prowadzących do gabinetu kierownika. Stało się to z powodu palenia machorki. Zastępca kierownika powiedział:

—Dziwię się wam, towarzyszeko Zotowa. Jak taka, skądinąd interesująca kobieta może zapowietrzać cały nasz lokal machorką... Czy nie macie w sobie ani cienia kobiecości?... Czy nie lepiej byłoby palić „jawę”?

Najwidoczniej ta błaha uwaga trafiła w sedno, bo Oldze zrobiło się bardzo nieprzyjemnie — z trudem powstrzymywała łzy. Wychodząc po skończonej pracy, zatrzymała się na schodach przed lustrem i po raz pierwszy od wielu lat przyjrzała się sobie po kobiecemu: „Do diabła! Wyglądam jak strach na wróble!” Wyświecona pluszowa spódnica z przodu zadarta, a z tyłu postrzępiona obcasami, męskie buty, szara perkalowa bluza... Jak mogło do tego dojść?

Dwie maszynistki w jedwabnych spódniczkach i różowych pończoszkach, zbiegając po schodach, obejrzały się na Zotową głupio stojącą przed lustrem i o piętro niżej parsknęły śmiechem. Olga zdołała dosłyszeć tylko: „konie się płoszą...” Krew uderzyła do jej prześlicznej cygańskiej twarzy... Jedna z tych maszynistek mieszkała w tym samym co ona mieszkaniu na Zariadiu.

Nazywała się Sonieczka Wariencowa. -----

Kilka dni później kobiety, mieszkające przy Pskowskim zaułku na Zariadiu, zaskoczone zostały dziwnym wyskokiem Olgi. Kiedy rano przyszła

do kuchni, żeby się umyć, wpatrzyła się błyszczącymi oczami jak żmija w Sonieczkę Wariencową, gotującą kaszkę. Zbliżyła się do niej i wskazując na pończochy zapytała z wściekłością, jakby rąbała szablą:

— Gdzie to kupione?

Sonieczka, bardzo delikatna z natury, przeraziła się jej gwałtownych ruchów. Wyręczyła ją Róża Abramowna. Łagodnym tonem wyjaśniła szczegółowo, że wszystko to będzie mogła Olga dostać na Kuznieckim, że obecnie nosi się pończochy cieliste i tak dalej, i tak dalej...

Słuchając tych informacji Olga kiwała głową i powtarzała: „Tak... Tak jest... Rozumiem...” Potem złapała Sonieczkę za jasne loczki, jakby to była końska grzywa, a nie delikatne włosy:

— A jak to czesać?

— Przede wszystkim koniecznie ostrzyc, moje złotko — mówiła melodyjnie Róża Abramowna — z tyłu krótko, z przodu z przedziałkiem, na uszy...

Piotr Siemionowicz Morsz, który zajrzał do kuchni i przysłuchiwał się rozmowie, wtrącił się, jak zwykle, błyskając z zadowoleniem łysiną:

— Dosyć późno, Olgo Wiaczesławowno, zdecydowała się pani przejść od komunizmu wojennego do...

Olga gwałtownie zwróciła się w jego stronę (później opowiadał, że zgrzytnęła nawet przy tym zębami) i powiedziała półgłosem, ale dobitnie:

— Nie dorżnięte bydlę! Gdybyś mi się nawinał na polu walki...

Pracownicy Zjednoczenia Przemysłu Metali Kolorowych osłupieli, kiedy Zotowa przyszła do pracy w czarnej jedwabnej sukience z krótkimi rękawami, w cielistych pończochach i lakierowanych pantofelkach; jej kasztanowate włosy były podstrzyżone i błyszczące. Usiadła przy biurku i pochyliła nisko głowę nad papierami; uszy jej pały.

Zastępca kierownika, młody i naiwny chłopiec, siedzący koło trzeszczącego telefonu, straszliwie wybałuszył oczy.

— O rety! — odezwał się. — Skąd się to wszystko wzięło?

Istotnie Zotowa była niezwykle urodziwa: piękna, delikatna w rysunku twarzy, z ciemnym puszkim na policzkach, oczy jak noc, długie rzęsy... Ręce wymyte z atramentu. Nawet kierownik wyjrzał z gabinetu i ukłął Zotową

ołowianym spojrzeniem.

—Wspaniała dziewczyna!...

Przychodzili też oglądać ją koledzy z innych pokoi. Jedynym tematem rozmów stała się zdumiewająca przemiana Zotowej.

Po przezwyciężeniu początkowego skrępowania Olga poczuła się w tej swojej nowej skórze przyjemnie i swobodnie, jak niegdyś w gimnazjalnej sukience lub kawaleryjskim hełmie, w mocno ściśniętym w pasie kożusku, z ostrogami przy butach. A kiedy mężczyźni zanadto wytrzeszczali na nią oczy, przechodząc koło nich spuszczała powieki, jak gdyby zasłaniała duszę.

Na trzeci dzień o godzinie piątej, kiedy Zotowa oddarła kawałek bibuły, zmięła i zaczęła wycierać z łokcia plamę po atramencie, podszedł do niej młody zastępca kierownika Iwan Fiodorowicz Pedotti, i oświadczył, że musi z nią porozmawiać „w niezmiernie ważnej sprawie”. Olga uniosła z lekka piękne łuki brwi i włożyła na głowę kapelusik. Wyszli.

Pedotti rzekł:

—Najprościej będzie, jeśli pójdziemy do mnie, to jest tuż, za rogiem.

Zotowa lekko wzruszyła ramionami i poszła. Gorący wiatr wzbijał tumany kurzu. Wdrapali się na trzecie piętro. Olga weszła pierwsza do pokoju i siadła na krześle.

—No? — zapytała. — O czym chcieliście ze mną pomówić?

Smyrnął teczkę na łóżko, przejechał palcami po włosach i zaczął mówić wymachując energicznie pięścią.

—Towarzyszko Zotowa, mamy zwyczaj podchodzić do każdej sprawy prosto z mostu... W rozwiniętym, bojowym szyku... Pociąg płciowy jest realnym faktem i istotną potrzebą... Wszelką romantykę powinniśmy byli dawno wyrzucić za burtę... No, właśnie... Udzieliłem wam wstępnych wyjaśnień... Teraz wszystko rozumiecie...

Objął Olę wpół i usiłował podnieść z krzesła i przytulić do piersi, w której tłukło się szaleńczo, jak na krawędzi niezgłębionej przepaści, jego niedoświadczone serce. Spotkał się jednak z natychmiastowym oporem. Okazało się, że nie tak łatwo ściągnąć Zotową z krzesła: była na to zbyt zwinna i sprężysta. Nie wytracona z równowagi i niemal zupełnie spokojna, ścisnęła obie jego ręce w przegubach i tak je wykręciła,

że jęknął, szarpnął się, a kiedy w dalszym ciągu zadawała mu ból, zawołał:

— Boli, puście, niech was diabli porwą...

— To nie pchaj się bez pytania, głupcze — rzekła.

Puściła ręce Pedottiego, wzięła z leżącego na stole pudełka „jaw” jednego papierosa, zapaliła i wyszła.

Przez całą noc przewracała się na łóżku... Wstawała, siadała w oknie, paliła papierosy, potem znowu usiłowała zasnąć, chowając głowę pod poduszki... Ożyła jej w pamięci cała przeszłość i wszystko, co uważała za pogrzebane raz na zawsze, odezwało się w niej wzmożoną tęsknotą... Ale po co, po co? Czyż nie można przejść przez życie z sercem lodowatym jak źródłana woda, bez ulegania miłosnej gorączce? I wzdragając się uświadamiała sobie, że chociaż życie biło ją i tłukło jak w mózdzierz, nie wytłukło z niej jednak szalonych porywów i że się „to” teraz nieuchronnie zacznie... I nie można się bez tego obejść ani od tego uciec...

Rano, idąc się myć, Olga usłyszała w kuchni śmiechy i głos So- nieczki:

— ...zdumiewające, jak ona się zgrywa... Aż przykro patrzeć...

I taka nieprzystępna, nie można jej nawet tknąć... Przy wypełnianiu ankiety wypisała takimi, o, literami: panna... (Śmiech i syk prymusów.) A opowiadają przecież, że trzymali ją w szwadronie tylko po to... Domyślacie się? Żyła przecież z całym szwadronem...

Na to odezwał się głos krawcowej, Marii Afanasjewny:

— Żołnierski wycieruch... Na gębie ma to wypisane.

Głos Róży Abramowny:

— A wygląda tak, że niech się przy niej baronówna Rotšzyld schowa.

Bas Piotra Siemionowicza Morsza:

— Czeka. Wiem o tym już od dawna. Wyrzucili ją z Czeka za niesłychane bestialstwa...

Olga weszła do kuchni i rozmowa się urwała.

Wzrok jej zatrzymał się na Sonieczce, a w zmarszczkach, które zarysowały się koło ust, było tyle obrzydzenia, że wśród kobiet aż zawrzało. Ale do awantury tym razem nie doszło.

Po przygodzie z Pedottim, który znienawidził Olę całą mocą urażonej męskiej ambicji, wytworzyła się dokoła Zotowej atmosfera niemej wrogości ze

strony kobiet i ironii ze strony mężczyzn. Nikt nie miał odwagi prowadzić z nią otwartej walki, ale wyczuwała stale ścigające ją nieprzyjemne spojrzenia. Przezywano ją żmiją i wycieruchem żołnierskim — słyszała te przezwiska w szeptach i czytała je wypisane na bibule. A co najdziwniejsze — głęboko przejmowała się tymi wszystkimi bzdurami. Ale czyż można było krzyknąć im wszystkim: „Ja wcale nie jestem taka!...”

Nie darmo Dmitrij nazwał ją kiedyś Cyganką. Ze zgrozą zaczynała sobie uświadamiać, że znowu — teraz już z dojrzałą siłą — budzą się w niej pragnienia... Kobiecość jej upominała się o swoje prawa. Ale cóż miała począć? Myć się od stóp do głów lodowatą wodą pod kranem? Zbyt dotkliwie się sparzyła, żeby nie odczuwać lęku przed ponownym rzuceniem się w ogień. Było to niepotrzebne i przerażające.

Wysoki i zaczynający wyraźnie nabierać tuszy mężczyzna w koszuli z żaglowego płótna stał na podeście schodów i czytał gazetkę ścienną. Koło niego, od jednych drzwi do drugich i po schodach do góry i na dół przebiegali pracownicy. Pachniało kurzem i tytoniem. Zwykły zapach i zwykły ruch. Mężczyzna przyglądał się z leniwym uśmiechem umieszczonej w środku gazetki ściennej karykaturze dyrektora administracyjnego Zjednoczenia Tytoniowego (które mieściło się piętro wyżej). Kiedy Olga także zatrzymała się przy gazetce, zwrócił się do niej i powiedział wskazując karykaturę (dłoń miał dużą, ciężką, ładną):

— Należycie, zdaje się, do redakcji gazetki ściennej, towarzyszek Zotowa? (Głos miał donośny i niski). Możecie mnie karykaturować, jak wam się żywnie podoba. Nie mam nic przeciwko temu... Ale ta karykatura nic nikomu nie daje, partactwo bez talentu!

Karykatura przedstawiała go siedzącego przy szklance herbaty między dwoma aparatami telefonicznymi. Dowcip polegał na tym, że lubił on w godzinach pracy popijać herbatę ze szkodą dla urzędowania.

— Zdrowo rąbać boją się, więc usiłują ukłuć, tak po lokajsku... I cóż z tego, że piję herbatę?... W dziewiętnastym roku piłem spirytus, żeby odpędzić senność...

Olga spojrzała mu w oczy: szare, chłodne, barwy hartowanej stali, przypominały jej się tamte, ukochane, zgasłe na zawsze... Twarz

starannie ogolona, o regularnych, wydatnych rysach, z leniwym i rozumnym uśmiechem na ustach... Przypomniała sobie, że w dziewiętnastym roku był na Syberii dyktatorem aprowizacyjnym. Wydawało jej się, że ludzie tacy jak on chodzą z głową w chmurach... Tasował przecież życie i różne jego wydarzenia jak talie kart... I oto stoi tu teraz z teczką, ze znużonym uśmiechem — a obok niego płynie stworzone przez niego życie, potrącając go łokciami...

— Gdyby się tak wszystko niezdarnie pomniejszało — odezwał się znowu — można by całą rewolucję sprowadzić do wymiarów błahych karykaturek... A więc starzy zrobili, co do nich należało, a teraz — na śmietnik z nimi?... Młodość to piękna rzecz, ale niebezpiecznie jest odgradzać się od przeszłości... No, tak...

Odszedł. Olga spoglądała na jego mocny kark i barczyste plecy, kiedy wstępował powoli po kamiennych schodach wiodących do Zjednoczenia Tytoniowego, i odniosła wrażenie, że robi on znaczny wysiłek, żeby się nie ugiąć pod ciężarem płynących dni... Zrobiło jej się serdecznie go żal.

Przy pierwszej okazji Olga udała się z pisemkiem rady zakładowej do ponurego lokalu Zjednoczenia Tytoniowego i weszła do gabinetu dyrektora administracyjnego. Mieszał łyżeczką herbatę w szklance; na jego teczce leżała słodka bułeczka. Pod oknem stukiała szybko w klawisze maszynistka. Olga była tak wzruszona, że nie zwróciła na nią wcale uwagi i widziała tylko jego stalowe oczy. Przeczytał wręczone mu pisemko i podpisał je. Nie ruszała się z miejsca. Rzekł:

— To już wszystko, towarzyszek, możecie odejść.

To już było rzeczywiście — wszystko... Kiedy Olga zamknęła za sobą drzwi, wydało jej się, że maszynistka parsknęła śmiechem.

Olga spędziła po tej rozmowie noc tak straszną, że lepiej o niej nie wspominać. Nazajutrz wspólni lokatorzy oglądali jej pokój przez dziurkę od klucza i wówczas właśnie Piotr Morsz zaproponował, żeby wdmuchnąć przez dziurkę dziesięć gramów jodoformu.

„Nasza żmija się biesi” — stwierdzono w kuchni. Sonieczka uśmiechnęła się zagadkowo, a jej modre oczka wyrażały spokojną i nie dającą się zamącić pewność siebie.

Trudniej jest przezwyciężyć nieśmiałość niż strach przed śmiercią; ale nie na próżno Olga przeszła zaprawę bojową; jak mus, to mus. Nie leżało w jej naturze czekać na okazję, polować na szczęśliwy zbieg okoliczności, posuwać się krok za kroczkiem —tu mignąć cielistymi pończoszkami, tam szybko wysunąć z sukienki gołe ramię. Postanowiła więc pójść wprost do niego i powiedzieć mu wszystko; niech potem robi z nią, co chce...

Kilkakrotnie zbiegała za nim po schodach, żeby od razu, na ulicy, złapać go za rękaw i powiedzieć: „Kocham was, szaleję”... Ale on siadał zawsze do samochodu nie spostrzegając Zotowej wśród innych pracowników.

Jednego z takich właśnie dni rzuciła w Żurawlowa zapalonym prymusem. Atmosfera wspólnego mieszkania była coraz bardziej podminowana. Sonieczka na odgłos kroków Zotowej dostawała nerwowego szoku i wychodziła z kuchni.

Wreszcie pewnego dnia wracał z pracy na piechotę (samochód był w remoncie). Olga dogoniła go i zawołała na niego ostro i szorstko — zaschło jej w ustach i w gardle. Idąc obok nie mogła zdobyć się na podniesienie oczu, stapała niezgrabnie, rozstawiała łokcie. Chwila ta trwała dla niej wieczność, było jej na przemian gorąco i zimno, roztkliwiała się i złościła. A on siedł bez uśmiechu na ustach, obojętny i surowy...

— Chodzi o to...

— Chodzi o to — przerwał z niechęcią — że mi o was dużo mówią ze wszystkich stron... bardzo mnie to dziwi, tak, tak... Prześladujecie mnie... Zamiary wasze są zupełnie jasne, nie kłamcie, proszę, wasze wyjaśnienia są zbyteczne... Zapominacie tylko, że ja nie jestem kupczykiem i nie napływa mi ślinka do ust na widok każdej ładnej buzi... W pracy społecznej wykazujecie się bardzo dobrymi wynikami... Radziłbym wam wybić sobie z głowy mieszczańskie marzenia o jedwabnych pończoszkach, pudrze i tym podobnym. Może jeszcze z was być bardzo dobra towarzyszka.

Nie pożegnawszy się z nią, przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie na chodniku koło cukierni ujęła go pod rękę Sonieczka. Podniecona, zaczęła mu coś szybko mówić, wzruszając ramionami. On w dalszym ciągu marszczył się z obrzydzeniem, uwolnił swe ramię od jej ręki i siedł z opuszczoną ciężką

głową. Chmura benzynowych spalin autobusowych odgrodziła ich od Olgi. A więc Sonieczka zwyciężyła. To ona siedziała w jego gabinecie przy maszynie do pisania, to ona informowała go szczegółowo o dawnym i obecnym życiu żołnierskiego wycierucha — Zotowej, Sonieczka triumfowała.

W opisany już przez nas wyżej poranek niedzielny, kiedy skrzypnęły drzwi Olgi, Sonieczka wybiegła do swego pokoju i głośno się rozplakała, ponieważ nie mogła już znieść tego życia w nieustannym lęku. Olga po umyciu się powtórzyła dwukrotnie — raz w kuchni, a drugi raz w drodze powrotnej do swego pokoju — nie wiadomo czego dotyczące słowa: „Ach, do diabła!” A potem wyszła z domu.

W kuchni znowu zebrały się kobiety. Piotr Siemionowicz w odświeżonych spodniach i nowej białej czapce i Władimir Lwowicz, nie ogolony, w dobrym humorze po pijaństwie. Róża Abramowna smażyła konfitury. Maria Afanasjewna prasowała bluzkę. Rozmawiano i dowcipkowano. Nagle zjawiała się Sonieczka z zapuchniętymi oczami i odezwała się już w drzwiach:

— Ja tego dłużej nie wytrzymam, to się musi wreszcie skończyć... Ona mnie obleje witriolem...

Władimir Ponizowski natychmiast zaproponował, żeby nakrajać włosia ze szczotki do ubrań i co dzień sypać je żmii do łóżka — nie wytrzyma i sama się wyniesie. Piotr Morsz radził zastosować środki chemiczne — siarkowodór lub proponowany dawniej jodoform. Jedną tylko Maria Afanasjewna odezwała się rzeczowo:

— Choć pani jest skryta, jak rzadko, Laleczko, niech się pani przyzna, czy ten pani związek z dyrektorem został zalegalizowany?

— Tak — odpowiedziała Laleczka — przedwczoraj byliśmy w urzędzie stanu cywilnego. Ja nawet upierałam się przy ślubie kościelnym, ale na razie to jest jeszcze niemożliwe.

— Czas pokaże — zaskrzeczał Piotr Siemionowicz błyskając łysiną.

— No to niechże pani tej pełzającej żmii — Maria Afanasjewna potrząsnęła żelazkiem — tej markietance, ciśnie w gębę zaświadczenie z urzędu.

— O, nie... Za nic w świecie... Ja się tak boję, mam takie złe przeczucia...

— Może się pani niczego nie bać... Będziemy stali pod drzwiami.

Władimir Lwowicz, pełen fantazji po pijaństwie, beknał baranym głosem:

— Staniemy pod drzwiami uzbrojeni rynsztunkiem pochodzenia kuchennego.

No i namówili Laleczkę.

Olga wróciła do domu o ósmej wieczorem, przygarbiona ze zmęczenia, z ziemistą twarzą. Zamknęła się u siebie i usiadła na łóżku, opuszczając ręce na kolana. Czuła się zupełnie samotna. Od wczorajszego dnia coraz silniej opanowywało ją straszne roztargnienie. Na przykład zauważyła nagle, że trzyma w ręku rewolwer, choć nie mogła sobie przypomnieć kiedy go zdjęła ze ściany. Siedziała zamyślona i spoglądała na stalową, śmiercionośną zabawkę...

Zapukano do drzwi Olga gwałtownie drgnęła. Zapukano natarczywiej. Wstała i otworzyła drzwi na oścież. Za drzwiami w mroku korytarza rozpierzchnęli się, popychając się, lokatorzy mieszkania— w rękach trzymali, jak jej się zdawało, szczotki i pogrzebacze. Do pokoju weszła blada Wariencowa z zaciśniętymi ustami... I od razu zaczęła mówić głosem przechodzącym w krzyk:

—To jest zupełnie bezwstydne — czepiać się mężczyzny, który jest żonaty... Oto jest zaświadczenie z urzędu stanu cywilnego... Wszyscy wiedzą, że pani jest chora wenerycznie. I ma pani jeszcze ochotę, będąc chora, robić karierę... I to w dodatku przy pomocy mego ślubnego męża... Pani jest Świnia!... Tu jest zaświad...

Olga spoglądała jak ślepa na piszczącą Sonieczkę. I oto wezbrała w niej fala dawnej dzikiej nienawiści i ścisnęła za gardło; mięśnie napięły się jak stal... z gardła wydarł się jęk... Olga wystrzeliła i strzelała dalej w białą, majaczącą przed nią twarz Sonieczki Wariencowej...

Dwa tygodnie później sąd ludowy rozpatrywał sprawę Olgi Wiaczesławowny Zotowej... Sąd...

...Nie, niech raczej czytelnicy sami rozpatrzą tę sprawę i wydadzą wyrok...

Tłumaczył Tadeusz Żeromski

Paweł Nilin
Wspaniały Pawluk

Każdy człowiek ma jakiegoś krewnego, choćby i dalekiego.

Pawluk nie miał nikogo. Żył samotnie w kamiennej suterenie na Małożajce.

Uczyłem się u niego zawodu.

Uczyć mi się, prawdę mówiąc, nie chciało. Fach blacharza nigdy mnie nie pociągał. Ale człowiek musi czegoś się uczyć. Uczyłem się więc.

Miałem osiem lat.

W suterenie było ciemno i duszno. Podobna była do jaskini, jaką przypadkowo odkryto w kamieniołomach pod Białym Kluczem. Ale w jaskini nie było ani okien, ani drzwi, ani czystych chodników, uszytych z kolorowych szmat.

A tutaj, w suterenie, wszystko to było. I na ścianach, zawsze wilgotnych, wisiały wielkie obrazy przedstawiające „Sąd ostateczny”.

Zapamiętałem szczególnie jeden, na którym przechodził męki grzesznik, zupełnie nagi, chudy i potargany, o czarnych, smutnych oczach. Siedział na szerokiej patelni, ustawionej na szarych kamieniach, a malinowe diabły ze sznurkowymi ogonami w skupieniu rozpalały pod nią ogień.

Zdumiewał mnie spokój grzesznika. Widać było, że jest mu ciężko. Ogień rozgrzewał patelnię, wznosił się nawet ponad nią, płomienie lizały plecy grzesznika, brązową wysuszoną skórę, dochodziły do głowy. A on, ten grzesznik, siedział jak gdyby nigdy nic, wyprostowany, nieruchomy i jakby trochę zażenowany. Zdawał się mówić: popatrzcie, dobrzy ludzie, jak mnie rozebrali do naga i smażą żywcem, a ja nic na to nie mogę poradzić...

Zadziwiał mnie i smucił ten grzesznik niewymownie. Widać było, że siedzi nie przywiązany. Nigdzie nie było ani sznurów ani łańcuchów. A jednak chyba nawet nie próbował uciekać. Nie usiłował nawet zeskoczyć z patelni. I

to najbardziej mnie zdumiewało. Ale nigdy nie okazywałem zdziwienia.

Pawłuk był człowiekiem posępnym, małomównym.

Przychodziłem do niego zwykle rano, o wpół do siódmej. O tej porze siedział już umyty w kuchni naprzeciw samowara, pił herbatę, a jego policzki, zapadnięte, pokryte cieniątką siateczką czerwonych żyłek, powoli spalały się chorobliwym drżącym rumieńcem.

Miałem osiem lat, ale wiedziałem już wszystko. Wiedziałem jak sieje się żyto i jak zarabia na życie, jak rodzą się dzieci i co trzeba robić, żeby się nie rodziły.

Wiedziałem również, dlaczego płoną policzki Pawłuka.

Zresztą, o tym wiedziała cała nasza ulica.

Pawłuk cierpiał na suchoty. I wszyscy byli przekonani, że niedługo umrze.

Doktor Arkadij Siergiejewicz Fiodorow powiedział o tym właścicielowi domu, w którym mieszkał mój nauczyciel. Gospodarz, krągły, pulchny staruszek, lubiący w letnie dni chodzić po podwórzu w samych kalesonach, zaczął brać od blacharza komorne za dwa miesiące z góry, a kiedyś zażądał nawet za trzy.

— Postaw ty się na Boga, w mojej sytuacji, Andrzeju Pietrowi- czu — mówił przy tym gospodarz. — Klozety mam obowiązek czyścić? Mam. Śmieci policja każe mi wywozić? Każe. A skąd ja na to wszystko pieniądze wezmę?

Gospodarz mówił płaczliwym głosem. Można było pomyśleć, że naprawdę na gwałt potrzebuje pieniędzy. Ale nikt tak nie myślał. Wszyscy wiedzieli, dlaczego wyciąga pieniądze właśnie od Pawłuka.

Pawłuk jakby się niczego nie domyślał.

Wysoki, chudy, podobny do ptaka bez skrzydeł, stał przed gospodarzem, lekko pochylony do przodu, wysunawszy z ramion niedużą głowę na długiej, cienkiej szyi i, posapując przez nos, milczał.

Gospodarz mówił nerwowo:

— Chyba mój dom to nie jakiś przytułek dla włóczęgów. Chętnych na twoje mieszkanie, chwała Bogu, ile dusza zapagnie. Choćby zaraz mogę je wynająć.

Tym razem gospodarz mówił czystą prawdę.

Chętnych na sutenerę było rzeczywiście dużo. Najważniejsze, że znajdowała się tuż przy rynku. Cały dzień tłum szumiał i tłoczył się naprzeciw jej okien.

Plac targowy uważany był za centrum miasta. A miasto nasze, choć nieduże, ale ruchliwe, żywe, od dawna słynęło z bazaru, na którym można było sprzedać i kupić wszystko, aż do ptasiego mleka włącznie. Kupcy i sprzedawcy przyjeżdżali na ten rynek z całej guberni. I każdy rzemieślnik ze smykąką mógł tutaj zrobić dobry interes.

Suterenę Pawluka z radością zająłby i krawiec, i szewc, i blacharz, a nawet sklepikarz.

To prawda, że kiedyś — ze trzy lata temu — na tę suterenę, jak mówią, mało było chętnych. Była zavalona kamieniami, tłuczonym szkłem, zgniłymi belkami i padliną. Zimową porą ludzie z rynku zachodzili do porzuconej sutereny po prostu za potrzebą.

Aż zjawił się Pawluk. Gospodarz z radością oddał mu piwnicę za bezcen. Pawluk przez dwa miesiące niczym innym się nie zajmował, tylko wyciągał z sutereny śmieci i gnój, kamienie i różne paskudztwa. Wkrótce przyprowadził skądś starego cieśle i ten, za niewielką zapłatę, ułożył mu na nowo podłogi, wybił dwa okna i wstawił nowe drzwi z sekretnym zamkiem, który wymyślił Pawluk.

Ze trzy lata poświęcił blacharz na urządzenie się, wydając na narzędzia prawie cały zarobek. Kupował po przystępnej cenie imadła, młotki, mesie, wiertarki i różne inne rzeczy, niezbędne dla rzemieślnika. Wypytywał o cenę, kalkulował, godził się, głodował, postękiwał taszcząc blachę, drut i żeliwne gąski do swojej ciemnej nory. Upiększał ją, bielił i malował ognistą farbą — ochrą. Urządzał się na lata. I oto teraz, kiedy urządził się naprawdę, kiedy samej białej blachy, bardzo cennej, zgromadził ze dwieście arkuszy, a różnych drutów pewnie ze dwadzieścia pudów, przyszło mu umierać.

Wszyscy myśleli, że umrze za miesiąc, a w najlepszym razie za dwa. Tak bardzo wychudł i osłabł. Poruszał się ostrożnie, ciężko dysząc. Nie pożyje więcej niż dwa miesiące. Nie ma mowy.

A gospodarz żądał pieniędzy na trzy miesiące z góry i mówił ze smutkiem: — Przecież cię nie zmuszam. Jak chcesz. Nie podoba się? Możesz się

wynieść. Nie musisz wiecznie u mnie mieszkać. Chociaż będzie mi żal.
Pocziwy z ciebie chłop, dobry. Lubię takich.

Na podwórzu rosła trawa, chodziły kury. I gospodarz mówiąc, odganiał je nogą, jakby nie chciał, żeby słuchały jego rozmowy z blacharzem.

Pawluk stał, przestępując z nogi na nogę i długo milczał. Patrzyłem na niego z okna.

— Więc dobrze, dam. Pańska wola — powiedział wreszcie.

— No to dziękuję ci, zlitowałeś się nade mną, starym — znów płaczliwie powiedział ucieszony gospodarz i szybko poszedł do swojego mieszkania, dziwnie przebierając krótkimi nóżkami i nie wiadomo dlaczego rozglądając się bojaźliwie, jakby w obawie, że ktoś go uderzy.

A kiedy znikł, przed blacharzem pojawił się, jakby wyrósł spod ziemi, woźnica Chochłów.

— Co się stało? — spytał Pawluka. — Znowu od ciebie pieniądze wyciąga? — i kiwnął głową, obrośniętą kędzierzawą czupryną, w stronę mieszkania gospodarza. — Sumienia ludzie nie mają. A więc dać mu pieniądze za trzy miesiące naprzód, a człowiekowi może i za tydzień przyjdzie umierać. Jak tak można? Co?

Pawluk milczał.

Woźnica okazał swoje współczucie i odradził płacenie z góry; postął przed nim jeszcze chwilę, rozpalając fajkę. Potem powiedział:

— Ludzie mówią, że podobno samowar sprzedajesz. Prawda to?

— Skąd im to do głowy przyszło? — spytał Pawluk.

— No, tak mówią. Wiesz, jak to ludzie plotą?

Pawluk bez słowa ruszył do sutereny. Chochłów popatrzył za nim i rzekł urażony.

— Dalibóg, hardy z ciebie człowiek. Patrę na ciebie...

Ale Pawluk i tym razem nic nie odpowiedział. Wszedł do sutereny.

Z sutereny wychodził teraz coraz rzadziej.

A kiedy długo nie pojawiał się na ulicy i nie słyhać było dźwięku blachy, przekładanej z jednego warsztatu na drugi, jej przeraźliwego zgrzytania i stukania młotkiem, ludzie czasem zatrzymywali się przy suterenie,

nasłuchiwali, albo po prostu nachylali się do niskich okien i zaglądali przez mętne szyby — może Pawluk już umarł?

Nie można powiedzieć, że ludzie pragnęli jego śmierci, i niecierpliwie czekali na jej nadejście. Nie. Większość mieszkańców naszej ulicy lubiła Pawluka. Wielu szanowało go za łagodność charakteru, za dobroć i za mistrzostwo, niezrównane w swoim rodzaju. Wielu litowało się nad nim serdecznie.

— Patrzcie, jaki to chuderlak — mówili. — Nie wiadomo czego dusza się trzyma, a ciągle pracuje, krząta się. Aż żal patrzeć.

Ale każdemu, kto zamierzał żyć nieskończenie długo, szkoda było odstąpić sąsiadowi należną sobie część z podziału majątku, po śmierci samotnego blacharza. Dlatego też każdy chciał wiedzieć, kiedy Pawluk umrze.

Trzeba było to wiedzieć, żeby przed innymi zdażyć na dzielenie.

Zresztą, może się zdarzyć, że podziału nie będzie. Chciwa policja zabierze wszystko, gdyż ma obowiązek chowania samotnych i wyłączne prawo do ich mienia. Może więc się zdarzyć, że wszystko przypadnie policji. A szkoda by było...

Jaszka Nowosielcow, znany na całej naszej ulicy harmonista i alkoholik, otwarcie powiedział Pawlukowi:

— Przecież, jakby nie było, do grobu imadła amerykańskiego nie zaciągniesz. A ja bym się za ciebie modlił. Daję słowo, sprzedaj...

— Słuchaj, Jasza. Idź ty... wiesz dokąd? — powiedział Pawluk.

Jaszka odszedł. Ale następnego dnia zajrzał znowu. I Pawluk znów go zwymyślał.

Pawluk kazał mi teraz nawet w dzień, zamykać drzwi na sekretny zamek, żeby nie było nieproszonych gości. Bóg jeden wie, jak bardzo nam obrzydli. Ciągłe ta sama mowa: sprzedaj, odstęp. I każdy liczy na to, że blacharz nie będzie skąpił i odstąpi za bezcen każdą rzecz — na co mu teraz rzeczy?

Pawluk mi zapowiedział:

— Nie wpuszczaj nikogo.

Ale czy można nie wpuszczać? A jeśli interesant przyjdzie? Na przykład fryzjer Chinczuk przyniósł maszynkę do strzyżenia włosów, prosił żeby

zreperować, a potem, niby przypadkiem, pomacał palto wiszące na wieszaku i powiedział, jakby przyszedł do sklepu:

— Daj przymierzyć...

— Czyście naprawdę zgłupieli, czy co? — spytał Pawluk. I chwycił ze stołu drewniany młotek. — Przecież jeszcze, chwała Bogu, nie umarłem...

Fryzjer cofnął się do drzwi. Ale w drzwiach zatrzymał się i powiedział urażonym tonem:

— Przecież to zimowe palto. Czyżbyś i zimą miał jeszcze żyć?

— Otwórz mu drzwi, na Boga. Albo przyjdzie mi wziąć na swoje sumienie ciężki grzech — powiedział do mnie Pawluk.

I z pewnością wziąłby ten grzech na swoje sumienie, gdyby fryzjer nie zdążył wyskoczyć za drzwi.

Pawlukowi trzęsły się ręce. Pierwszy raz widziałem go w takim stanie. Podszedł do stołu i dłuższy czas nie mógł rozkręcić imadła, mruczał, stękał. A kiedy je rozkręcił, uspokoił się trochę i powiedział:

— Widziałeś co za dureń? No nie?

Westchnął. Wytarł pot z czoła.

— Maszynkę przyniósł mi do reperacji. Czy ja mam warsztat naprawczy, czy co? Jestem blacharzem, psia mać...

Zamilkł. Ja też milczałem, bo było oczywiste — mnie ta rozmowa zupełnie nie dotyczy. Pawluk często rozmawiał sam ze sobą. Ze mną mówił tylko o pracy i zawsze krótko dwa — trzy słowa. Po imieniu nigdy mnie nie nazywał, mówił po prostu — chłopcze:

— Podgrzej lutownicę, chłopcze.

Patrzył przy tym nie na mnie, a gdzieś obok. Tłumacząc mi cokolwiek, na przykład, jak należy zaginać rogi, także nigdy na mnie nie patrzył i mówił takim głosem, jakby w suterenie, oprócz nas dwóch, było jeszcze ze dwadzieścia osób, które też powinny słyszeć co on mówi. Kiedy rozgniewał się, że wysłany po kiełbasę, długo siedziałem w sklepiku, robił wymówki nie mnie, a komuś trzeciemu:

— Trzeba chodzić żwawiej — mówił.

i pytał:

— Słyszysz?

Milczałem, bo było jasne, że to pytanie nie do mnie.

Mnie widocznie po prostu nie zauważał. Ale nie wydawało mi się to obraźliwe. Przeciwnie, ten brak uwagi chyba nawet podnosił nauczyciela w moich oczach. Zawsze wydawało mi się, że jest zajęty ważnymi myślami, że nosi w sobie jakąś straszliwą tajemnicę i nieustannie o niej myśli.

Może w myślach spierał się z kimś. I w zapamiętaniu, mówił czasami na głos:

— CO'0 za głupota!

Albo:

— A jak ty uważasz?

Można było pomyśleć, że rozmawia z kotem, który rankiem zawsze siedział na parapecie i dręczony bezsennością to zamykał powoli oczy, to nagle, wzdrygnąwszy się po ludzku, otwierał je i patrzył ze zdziwieniem na Pawluka.

Pawluk, uśmiechał się blado i pytał go:

— Nie poznajesz?

I poklepawszy pieszczotliwie po pyszczku, pracował dalej. A kot znowu zamykał oczy. W dzień miał prawo spać, gdyż w nocy łowił myszy, których w suterenie było bardzo dużo. Raz nawet złapał szczura i zdołał go zadusić, chociaż ten mocno pogryzł mu pyszczek. Rano Pawluk smarował go wazeliną i mówił ucieszony:

— Ach, Anton, Anton! Zuch z ciebie, wspaniały...

Wyglądało na to, że z kota jest równie dumny jak ze swojej pracy.

Kiedyś słyszałem, jak staruszka Zacharowna prosiła Pawluka:

— Nie można by waszego kota wziąć do nas na trochę, choćby na jedną noc. Niechby nasze myszy pogonił. To straszne, co się dzieje.

— Nie można. Swojej roboty ma w domu dosyć — powiedział Pawluk.

I rzeczywiście do kota odnosił się jak do pracownika. Jak do człowieka, przemawiał do niego:

— Nudzisz się, Antosza? Co? Ożeniłbyś się.

Anton siedział na parapecie i mrużył oczy, jakby zawstydzony.

A Pawluk uśmiechał się blado i mówił:

— Idź się rozprostować. Czego siedzisz jak sowa?

I otwierał mu drzwi.

Anton wychodził na ganek, przeciągał swoje długie giętkie ciało i drapał łapami kamienny stopień, ostrząc pazury. A pazury miał długie. I cały był, od pyska do ogona, wielki i silny, rasowy syberyjski kot.

— Dorodne kocisko — mówiła o nim Zacharowna. — Patrzcie go, jaki ma pysk. Wykapany cyrkulowy Wasilij Wasilicz Mielników.

Od jakiegoś czasu zaczęła często go podkarmiać. Wynosiła mu zawsze w blaszanej puszcze po konserwie przysmaki: mleko rozcieńczone przegotowaną wodą, kapuśniak na mięsie albo okrawki słoniny.

Mleko pił Anton ze szczególną przyjemnością, delikatnie mruczając i wolno ruszając ogonem. Ale na ręce do staruszki nie chciał iść. A kiedy Zacharowna spróbowała kiedyś złamać jego krnąbrny męski charakter i użyła siły, przyciągając wielkopański pysk do swojej piersi, kot dotkliwie podrapał jej rękę i, zeskakując na ziemię, uderzył ogonem po nosie.

— Ach ty, Judaszu — powiedziała rozgniewana Zacharowna. — Co ty sobie myślisz? Co? Dokąd pójdziesz, kiedy umrze twój gospodarz? Właśnie do mnie przyjdiesz, głuptasie. Ja będę twoją panią...

Zacharowna w swoim gniewie i złośliwości stawiała się nawet wyższa wzrostem.

Ale Pawluk widać nie zamierzał umierać.

Jak zawsze, rano ciął na warsztacie długie arkusze białej blachy albo blachy dachowej, i robiliśmy z nich czajniki, menażki i wiadra, rury do samowarów, umywalki i żelazne piece.

Nie wiadomo dlaczego, żelazne piece robił szczególnie chętnie, a nawet z przyjemnością. Śpiewał przy tym, a jego policzki pałały niepokojącym blaskiem.

Śpiewał ciągle tę samą piosenkę: o katorżniku Łoncowie.

Będę miał niedługo trzydzieści lat. Objechałem dziesiątki miast, widziałem różnych ludzi, słyszałem różne piosenki. Ale nigdy więcej nie słyszałem tej, którą śpiewał Pawluk.

Zapamiętałem z niej tylko cztery wiersze:

...Gdy dano sygnał do obchodu,
Łoncow pomyślał: będę wiać,
Nie warto czekać do zachodu,
Szybko za podkop trza się brać...

Pawłuk jakby cieszył się z ucieczki nieustraszonego, nieuchwytnego Łoncowa i śpiewając o tym odważnym człowieku, piosenką jakby komuś wygrażał i było mu radośniej.

Podniecała go. A może podniętą była sama praca. A z pracy rodziła się piosenka — ozdoba życia.

Porusza! się między warsztatami tak samo ostrożnie, jak zawsze, jakby bojąc się, że rozleje w sobie coś odmierzonego do ostatniej kropli, drogiego, bezcennego.

Ale kiedy śpiewał, ruchy jego stawały się szybsze, jakby rozpaczliwe. I wtedy zawsze wydawało mi się, że za chwilę, lada moment, uderzy jeszcze raz młotkiem w żelazną krawędź, drgnie, upadnie i natychmiast umrze.

Pot występował mu na czoło dużymi, błyszczącymi kroplami. Cała twarz stawała się mokra i czerwona, jakby dopiero co wyszedł z łaźni, z kabiny parowej. Na szyi, koło grdyki, nabrzmiwała wielka sina żyła.

Lecz on ciągle śpiewał i pracował, obrabiając kawałek żelaza, skręcając go i wyginając na wszelkie sposoby dopóty, dopóki zimny metal, ogrzany jedynie dotknięciem gorących ludzkich rąk, nie nabrał w końcu pożądanego kształtu — wymyślnego profilu nóżki, rury albo drzwiczek do pieca.

Żelazne piecyki robił najlepiej ze wszystkich blacharzy w mieście. Lepiej niż Kostia Ukłuźnikow i lepiej nawet od Pawła Demien- tiewicza Liniewa. Piece udawały mu się wyjątkowo dobrze, lekkie i wysokie, na ozdobnie wygiętych nóżkach. Miały nie tylko specjalne popielniki, ale i nieduże półki, na których można było suszyć drobne ryby, grzyby i kromki chleba, żeby się nie psuły. W ściankach piecyków były otwory na rondle i patelnie, a do nich dorobione były przykrywki, okrągłe, z wysuwanymi uchwytyami w kształcie kokardek.

Latem, kiedy niewygodnie było palić w kuchni czy w ruskim piecu, co uboższe rodziny gotowały obiad na żelaznych piecykach, ustawionych na podwórzu. Toteż popyt na te piecyki był zawsze wielki.

Pawluk zawalony był zamówieniami. Przyjeżdżano po nie nawet ze wsi, |
tajgi. A na drzwiczkach każdego piecyka, w miejscu gdzie powinny być
dziurki, wybijał sześć niedużych liter — Pawluk.

— A po co te litery, Andrzej Pietrewiczu? — spytałem go kiedyś.

Spojrzał na mnie zdziwiony:

— To przecież firma, głuptasie.

Wybijał stałe te litery.

Życia zostało mu bardzo niewiele. Mówiono, że nie doczeka zimy.

A zaczynała się jesień, padały deszcze. W suterenie zrobiło się
całkiem ponuro. Trudno było pracować w półmroku. Dlatego nawet w dzień
paliliśmy lampę.

Lampa wiecznie kopciła. Poprzez jej zielone, zadymione szkło przedzierało
się przyćmione światło. Płomyk migotał. I w tym jego migotaniu wydawało mi
się, że zaczyna się poruszać do cna umęczony grzesznik na obrazie „Sąd
ostateczny”. Płomień liże go, chwytą za sterczące żebra, za kosmatą głowę, a
twarz wykrzywia się w śmiertelnej męce. Ciężko mu, temu grzesznikowi, na
patelni. I na pewno tak samo ciężko, myślałem, będzie mojemu
nauczycielowi, kiedy umrze
i zostanie wezwany na straszny sąd.

O sobie zaś, o swojej śmierci wówczas nie myślałem. Myślałem
o Pawluku. Żał mi go było do łez. Chociaż w płaczu nie byłem najlepszy. „Jak
to jest? — zastanawiałem się. — Człowiek wie, że niedługo umrze, przed
oczami ma straszne obrazy, i nie smuci się ani nawet nie wzdycha...”

Pawluk rzeczywiście nigdy przy mnie nie westchnął.

Był taki sam i wiosną, i latem, i jesienią. Jak zwykle przyjmował
zamówienia, pracował. We wszystkim, jak dawniej, trzymał się surowych
zasad, ani razu ich nie zmienił, ani się im nie sprzeniewierzył.

Na ścianie wisiał duży brązowy, bijący zegar firmy „Paweł Bure”. Nakręcał
go według syreny z fabryki zapalek „Jeleń”. Rankiem, kiedy zapalczarze szli
obok jego okien do pracy, on, już obudzony syreną i po herbacie, zaczynał
ciąć blachę.

Robił to niemal uroczyście, powoli, ruszając przy tym ustami, jakby
odmawiał modlitwę. Głowę jego zdobiła wymyślna fryzura. Włosy, siwe i

wilgotne, nieco się jeżyły i połyskiwały, tak że chwilami wydawało się, jakby na głowie miał nie czuprynę, lecz czapkę z białej wełny, szczelnie dopasowaną do czaszki.

Brezentowa marynareczka i spodnie zawsze były starannie wyprasowane i czyste, jakby każdego ranka czekał, aż ktoś przyjdzie sprawdzić, jak prezentuje się przy pracy. Ale nikt, oprócz drażniących go klientów i sąsiadów, nie przychodził.

Zresztą, ostatnio i sąsiedzi zaczęli rzadziej zaglądać.

W suterenie jak zawsze i teraz było chłodno, posępnie i cicho.

Kiedy blacha została pocięta, Pawluk spluwał lekko na palce i brał drewniany młotek. Od tego momentu praca szła mu szybciej. Ja również, podmalowując gotowe wiadra, bezwiednie zaczynałem się śpieszyć,

O wpół do dwunastej odzywała się syrena w fabryce zapalek. Pawluk niechętnie przerywał pracę, patrzył na zegar. Czasem wchodził na taboret i podkreślał go, jeśli się spóźniał. Potem spoglądał w lustro, wiszące tuż przy drzwiach, poprawiał rzadziutkie, nitkowate wąsy i mruczał do siebie.

— Więc cóż... Mamy prawo zjeść obiad.

W kuchni stał wąski stolik, przykryty rudą ceratą. Pawluk za każdym razem przed obiadem polewał ją wodą z czajnika i wycierał szmatą. Potem kładł na niej druciany krążek i wyjmował z piecyka garnek z kapuśniakiem.

W wielkim ruskim piecu palił także latem, dlatego że i latem było mu zimno. Kiedyś powiedział, tak jak zawsze, do nikogo się nie zwracając:

— Nawet wróbel ma pewno,więcej krwi niż ja. Dlatego marznę.

Kapuśniak i kaszę gotował-wieczorem. Gdy powstały w piecyku całą noc i pół dnia, pachniały apetycznie. Kasza gryczana stawała się malinowa i sypka. Jadłem ją z wyjątkową przyjemnością.

Po obiedzie wyjmowałem z węzełka, który przynosiłem ze sobą, pęczek marchwi i zjadałem za jednym posiedzeniem.

Moja'babcia mówiła:

— Marchew krwi przydaje, czosnek niedźwiedzi zarazki odpędza, a zwykły — zaostrza apetyt.

Zwykły czosnek nie był mi potrzebny, a niedźwiedzi mi nie smakował. Marchew natomiast lubiłem i wierzyłem, że przydaje krwi. Patrząc na

Pawłuka mogłem się przekonać, jak niedobrze jest z człowiekiem, kiedy ma jej mało. Każdego dnia widziałem, jak krew w nim zanika.

Kiedyś w przypływie śmiałości powiedziałem:

— Trzeba by wam marchew jeść. To pomaga...

Pawłuk popatrzył na mnie prawie wesoło i powiedział, jakby żałować się nade mną:

— Ech, chłopcze... Żadna marchew mnie teraz nie uratuje.

1 zamilkł.

Więcej o tym nie rozmawialiśmy.

A on nie tylko nie jadł marchwi, ale i kapuśniak, i kaszę jadł niechętnie, jakby z musu.

Czasami jednak napadał go nagle apetyt. Jadł pośpiesznie i łap czywie, pochyliwszy się nad miską. Kiedy nasycił się, zbierał ze stołu okruchy i również je zjadał.

Ale częściej brakowało mu apetytu. Siedział przy stole smutny, ośpały, i widać było, że tylko czeka aż się najem, żeby sprzątnąć naczynia.

Po obiedzie zawsze miałem ochotę pospać. Pawłukowi — myślałem — na pewno też chce się spać: na ulicy deszcz, smutek. Dobrze byłoby zdrzemnąć się w taką pogodę, zapomnieć się choć na pół godzinki. Ale Pawłuk zaraz po obiedzie zabierał się do pracy. A ja za nim.

Żelazne piecyki robił, jak i przedtem, z wyraźnym zadowoleniem. Ale śpiewać przy tym już nie mógł. Wewnątrz coś mu charczało i poświstywało. Śpiewać to on chyba już nigdy nie będzie. Nawet do kota mówił teraz rzadko. A kiedy rozmawiał, jak zwykle, sam ze sobą, nie można było zrozumieć, o czym mówi.

Czasami tylko wyławiałem pojedyncze słowa. Ale ich sens był mglisty. Nie wiadomo było, o czym ten człowiek myśli, czego się spodziewa.

W kącie na stoliku stał gramofon z ogromną wygiętą tubą. Pawłuk kupił go na bazarze w częściach. Sam je poskładał, zrobił tubę. A teraz gramofon śpiewał w smutne jesienne dni o miłości: „Białej akacji kiście pachnące znów aromatu pełne są”.

Płyty były tylko dwie: „Biała akacja” i „Szumiał i huczał moskiewski pożar”. Kiedyś Pawłuk nastawił tę drugą płytę, chociaż podobiała mu się

mniej, niż pierwsza.

Na dworze, jak zwykle we wszystkie te dni, padał drobny monotonny deszcz. Deszczowy pył zmieszany z błotem zalepiał nasze okna. Na ścianie paliła się przenośna lampa naftowa. A Napoleon, którego widziałem u babci na komodzie, smutno i śpiewnie pytał z gramofonu:

... Po cóż się rwałem do ciebie, Rosjo,

Gdy Europę miałem u stóp?

W tym momencie, żał mi było francuskiego imperatora, jak siebie samego. W taką pogodę, w taką szarugę pognało go diabli wiedzą dokąd i Bóg wie po co...

Nagle ktoś zapukał w okno.

Pawłuk zatrzymał gramofon, zmniejszył płomień w lampie i podszedł do okna. Z podwórka patrzyła na niego przyklejona do mokrej szyby, czerwona, wąsata gęba sklepikarza Warkowa.

—Może sprzedajesz gramofon? Co? — krzyczał sklepikarz.

Pawłuk chciał czy to splunąć, czy coś powiedzieć, ale nic mu nie wyszło. Kiwnął tylko głową, jak drewniany pajac na sznurku, i kaszlnął w szybę.

W tej chwili, patrząc na niego, zrozumiałem po raz pierwszy jaki jest słaby, jak krańcowo wyczerpany i bezpowrotnie pozbawiony sił.

Podszedł do warsztatu, wziął drewniany młotek, pogładził go nie wiadomo dlaczego i powiedział prawdopodobnie do kota, siedzącego na stole:

— Co za nieokrzesani ludzie na tym świecie...

I zamilkł. Zaczął sprzątać narzędzia. Po pracy zawsze sam wycierał je szmatką zwilżoną w nafcie i wieszał na ścianie w skórzanych pętelkach przybitych gwoździemi. Potem przynosił z sieni szeroki kosz i wkładał do niego żelazne ścinki. A ja zamiatałem podłogę. Pawłuk mówił do mnie:

— Czystość uszlachetnia człowieka. Weź to pod rozwagę...

Ale częściej milczał, tak jak przedtem. I w milczeniu robił wszystko, co trzeba. Nawet kasłać starał się po cichu.

W suterenie było coraz ciszej. I w tę ciszę wdzierał się przeszywający serce zgrzyt rozcinanej blachy i stukot drewnianego młotka.

Pawłuk poruszał się coraz ostrożniej, coraz bojaźliwiej. Policzki jego już

nie płonęły; pociemniały, stały się ziemiste, szare. Oczy zapadły się głęboko. W świetle lampy błyszcząły w głębi, jak drogocenne kamienie.

A deszcz ciągle padał.

Pawłukowi, jak na początku naszej znajomości, ciekła krew z gardła. Wypluwał ją starannie do szklanego słoika i mocno zakręcał blaszane wieczko, żeby nie roznosić zarazków, jak mi tłumaczył.

Obiad jadłem teraz sam, a mój nauczyciel tylko siedział przy stole udając, że je. Chyba nie mógł już jeść. Ale mimo to, o właściwej porze, usłyszawszy południową syrenę z fabryki zapalek, przerywał pracę i wyjmował z piecyka kapuśniak i kaszę.

Pewnego razu, kiedy stawiał na stole garnek z kapuśniakiem, zapukano do drzwi i weszli dwaj ludzie Kostia Ukłuźnikow, znany w naszym mieście blacharz, a z nim nieznajomy chłopak.

Pawłuka bardzo zdziwiła ta wizyta. Kostia Ukłuźnikow nigdy przedtem do niego nie zaglądał. Spotykali się tylko na bazarze, przy straganach, na których sprzedają wyroby i materiały żelazne. Aż tu nagle Kostia przyszedł do mieszkania, i to jeszcze z kolegą. Po co?

— Tak, po prostu — powiedział Kostia. — Przechodziliśmy obok. Myślę sobie, wpadniemy do znajomego, odwiedzimy go. Mówią, że chorujesz, Andrzeju Pietrowiczu?

— Jakie tam chorowanie — uśmiechnął się Pawluk. — Wychorowałem się już.

— Zdrowiejesz więc? — spytał Ukłuźnikow.

— Ani nie zdrowieję, ani nie choruję — powiedział Pawluk. — Po prostu wychorowałem się już do cna.

— Tajemniczy z ciebie człowiek, Andrzeju Pietrowiczu — wyznał Kostia. — Bardzo skryty masz charakter. A ja pomyślałem akurat, że może potrzebujesz jakiejś pomocy, może mógłbym cię w czymś wesprzeć. Przecież znamy się od dawna, a w dodatku mamy ten sam fach.

— Ten sam — to prawda, ten sam fach — przytaknął Pawluk. I nawet jakby ucieszył się, uczepiwszy się tych słów. — Ale po co mi teraz pomoc. No, po co? Prędzej ja tobie pomogę. O, blacha mi została, tyle dobrej blachy. Jak chcesz, weź, skoro już jesteś...

Kostia tak się obruszył, że nawet wstał z krzesła:

— Czyż ja po to do ciebie szedłem? Jak ci nie wstyd, stary człowieku. Ja do ciebie z dobrym słowem, a ty mi tu... Czy ja handlarz jakiś?

Pawłuk się zmieszał. Nie wiedział chyba, co powiedzieć i długo milczał. A kiedy Kostia i jego kolega ruszyli do drzwi, Pawłuk zastąpił im drogę.

— Nie zrozum mnie źle — prosił Kostię. — Ja do ciebie też ze szczerego serca. Dobry z ciebie człowiek i fachowiec. Wiem o tym. Miałeś rację, jesteśmy ludźmi tego samego fachu. A mnie blacha została. Do czego mi ona? Trumny nią przecież nie obję...

— A po co tu o trumnach mówić — niby oburzył się Kostia. — Ciebie diable i kijem nie dobijesz. Ty jeszcze i mnie oczy zamkniesz w razie czego, chociaż młodszy jestem od ciebie...

I Kostia wybuchnął głośnym śmiechem, jak w teatrze.

— Oj nie, Kostia, nie — powiedział Pawłuk. — To tak, jak w piosence: ucichło sitowie, ustał i grzmot. Sam czuję, że jestem już

nie ten, nie taki. Mówisz, że jestem silny, dzięki ci za dobre słowo. Ale blachę weź i nie obrażaj się. Zrobisz mi przyjemność, słowo daję. I weź jeszcze, co chcesz. Żyję tu teraz jak w sklepie. Sprzedaj bez pieniędzy...

Ale Kostia Ukłuźników niczego nie wziął. Niczego nawet nie dotknął. Posiedział jeszcze godzinkę, pogadał o różnych drobnych sprawach i poszedł, obiecując wpaść na dniach.

A wieczorem tego samego dnia przyszedł Paweł Demientiewicz Liniew, też blacharz.

O Liniewie moja babcia mówiła szeptem, że z niego socjaldemokrata. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, co to znaczy. Ale widziałem, jak wszyscy, że Paweł Demientiewicz nosi się bardzo czysto, wiąże nawet muszkę, a w niedzielę spaceruje nad brzegiem w meloniku i z laseczką.

Kiedyś spotkałem go tam, ukloniłem się grzecznie, a kiedy podniósł melonik, żeby się przywitać ze mną, zapytałem, czy to prawda, co mówią, że jest socjaldemokrata? Nie spodziewałem się oczywiście, że nagle cały się zapłoni. Ale jednak poczerwieniał i odczekawszy chwilę, powiedział z gorzkim uśmiechem:

— Szkoda, że twój ojciec tak wcześnie umarł. Nie ma komu przetrzepać ci

skóry. Może nie zadawałbyś wtedy takich pytań...

Zachowałem w pamięci Liniewa jako dobrego człowieka, szczególnie po tym, jak przyszedł wieczorem do Pawluka. Przyszedł z drugiego końca miasta w ulewny deszcz.

Pawluk zatrzymał mnie tego wieczoru do pracy, żeby przeliczyć i przepisać wszystkie zamówienia już wykonane i te, które były do zrobienia. I właśnie kiedy okazało się, że zamówień nie wykonanych prawie nie ma, a są tylko nie odebrane przez klientów dwa piecyki, sześć wiader i osłona na kocioł do wrzątku, i kiedy zbierałem się już do wyjścia, przyszedł Paweł Demientiewicz Liniew, cały przemoczony, chociaż miał parasol.

Przywitawszy się, zaczął kasłać: powiedział, że przeziębził się od wilgoci oraz że ma na widoku dobrego lekarza, który bierze niedrogo i byłoby bardzo dobrze, gdyby ten lekarz obejrzał Pawluka.

— Już za późno na oglądanie mnie — powiedział Pawluk.

— Ależ co wy mówicie — zaproponował Liniew. — Teraz są bardzo dobre lekarstwa. A jeśli chcecie, mogę razem z wami pójść do lekarza...

— Za późno — powtórzył Pawluk.

Ale mówił to tak, iż można było pomyśleć, że tylko się upiera a w rzeczywistości wcale nie jest jeszcze za późno.

Po odwiedzinach Kostii Ukłuznikowa, a szczególnie po rozmowie z Pawłem Demientiewiczem Liniewem, Pawluk jakby nabrał sił, jakby podniósł się na duchu.

— Dobrzy u nas ludzie — rzekł odprowadziwszy Liniewa. — Dobrzy, wrażliwi, życzliwi. Żyjemy wśród dobrych ludzi...

Mówił to, jak zawsze, do siebie, prawie mnie nie zauważając. Jednak wtrąciłem się do tej rozmowy z samym sobą i powiedziałem:

— O tak, bardzo dobrzy. Każdy tylko przygląda się, kalkuluje, daj, opuść, sprzedaj za bezcen.

— Ach ty, gołąbeczku — zaśmiał się nagle Pawluk i poklepał mnie po ramieniu. Pierwszy raz poklepał mnie po swojsku. — Kogo to miałeś na myśli? Warkowa? Chinczuka? To, bracie, jeszcze nie ludzie. Oni tylko żyją obok ludzi. Ludzie — to rzemieślnicy, ci którzy mają fach w rękę, którzy robią coś pożytecznego. To są ludzie...

Pomilczał, pochodził po suterenie z zadowoloną miną, uśmiechnął się wesoło, jakby był zdrowy i powiedział:

— Dobrych ludzi więcej jest na świecie niż złych. Bo gdyby było na odwrót, niczego by nie było ani parowozów, ani parostatków. Nie zbudowano by nawet kamienic dwupiętrowych.

Nigdy jeszcze Pawluk nie był taki wesoły, jak tego wieczoru. I jeszcze rano na drugi dzień był wesoły. A pod wieczór następnego dnia nagle znowu spochmumiał.

Po pracy, jak zwykle, zebrał narzędzia, przetarł je szmatką zwilżoną w nafcie, kazał mi zamieść podłogę, a kiedy posprzątałem, powiedział do mnie:

— Jutro nie przychodź.

— Dlaczego? — spytałem.

— Dlatego — powiedział ponuro — że jutro umrę.

Nie zdziwiłem się za bardzo, jednak zmieszałem się trochę i powiedziałem z zakłopotaniem:

— No, to na razie, do zobaczyska, Andrzeju Pietrowiczu.

Później wiele razy wspominałem to moje głupie zdanie. Wydawało mi się, że mogłem powiedzieć coś ważniejszego, mądrzejszego, serdeczniejszego. Lubilem i szanowałem mojego nauczyciela, chociaż był ponury i małomówny. Z pewnością mogłem wymyślić na pożegnanie coś lepszego. Dopiero później przyszły mi do głowy zgrabne uroczyste słowa.

Ale wtedy, niestety, niczego więcej nie powiedziałem. Ukłoniłem się niezdarnie, nie patrząc na nauczyciela, i ruszyłem spiesźnie w stronę schodów, na deszcz.

Ale Pawluk zatrzymał mnie i powiedział:

— Wybierz jakie chcesz narzędzie. Bierz na szczęście. Będiesz blacharzem.

— Dziękuję — powiedziałem. I znów ruszyłem na schody. Ale Pawluk zatrzymał mnie ponownie:

— Wybierz co chcesz z rzeczy. Bierz gramofon.

I wtedy ogarnął mnie nagle niepojęty strach. Niczego nie wziąłem, nawet „dziękuję” nie powiedziałem po raz trzeci, jak należało powiedzieć, i odszedłem pośpiesznie nie oglądając się.

Potem żałowałem bardzo, że niczego nie wziąłem. Trzeba było zabrać do domu kota Antona. W naszym domu było dużo myszy. Niechby na nie zapolował. Zostałby u nas na pamiątkę.

Tymczasem kota dostała staruszka Zacharowna. Oczywiście od razu wzięła go w swoje ręce. Dwa razy, jak potem słyszałem, zbiła go na niesforność. A on, mimo podkarmiania mlekiem, nie został u niej. Uciekł nie wiadomo dokąd.

Cały dobytek Pawluka zabrała, jak należało policja. Mówią, że przekazał swoje rzeczy w testamencie dla domu dziecka, gdzie sam kiedyś wychowywał się, jako „sierota na państwowym garnuszk”. Ale czy je oddali, czy nie — tego nie wiem.

To wszystko, co wiem o życiu mojego nauczyciela, znakomitego blacharza Andrzeja Pietrowicza Pawluka. Na jego pogrzebie nie byłem. Ale też pogrzebu prawdziwego nie było. Zwyczajnie i po cichu, wczesnym rankiem, być może o siódmej albo wpół do ósmej, ciało jego, jak mówią, w żółtej policyjnej trumnie położono na wózek i zawieziono prosto do kostnicy, gdzie leżały pewnie dziesiątki takich samotnych, nikogo nie obchodzących martwych ludzi.

W dzieciństwie często wspominałem Pawluka. Jego los i śmierć wydawały mi się godne pożałowania. Za nic nie umarłbym tak zwyczajnie. Zrobiłbym coś szczególnego, powiedziałbym chociaż coś głośnego, niezwykłego przed śmiercią. Jakieś słowa chwytające za serce.

Ale tak wydawało mi się w dzieciństwie, we wczesnym dzieciństwie, kiedy nie miałem jeszcze dziesięciu lat.

Potem zaczęła się wojna domowa. Nas, chłopców, wojna ta szybko uczyniła dorosłymi. Odkryła przed nami od razu takie życiowe głębiny, na poznanie których w innym czasie przyszło by zapewne poświęcić nie jedno dziesięciolecie. A może nawet dwa, lub trzy.

Poznałem jeszcze wielu ludzi nie gorszych od Pawluka. Lubilem ich i szanowałem nie mniej niż jego. Widziałem, jak żyli. Widziałem, jak umierali.

Umierali zdumiewająco zwyczajnie, nie dokończywszy wielu swoich spraw ani w marzeniach, ani w działaniu, nie wyczerpawszy całej nagromadzonej w nich energii i, zdawałoby się, nie zdążywszy tego pożałować.

Pamiętam olbrzymie mogiły pod Dojrzałą Górą. Kopano je w południe, w siarczasty mróz, pół godziny po walce. Ziemia dymiła, buchając aromatycznym ciepłem ze swego wnętrza. I w to ciepło, w ciemną glebę, układano pospiesznie, bez trumien, jednego na drugim, setki martwych ludzi, którzy jeszcze godzinę temu nosili broń, radowali się, smucili, marzyli.

A oddziały, pogrzebawszy zmarłych, szły ciągle dalej i dalej. Ich marsz nie miał kresu, jak życie.

Pawłuk zacierał się w mojej pamięci.

Wydawało się, że nie może znaleźć dla siebie miejsca w szeregu wielkich i uznanych bohaterów, których widziałem. Przecież o niczym nie marzył i jakby do niczego nie dążył. I zostałby po prostu blacharzem.

Wielkie sprawy przysłańiały go. Każdy dzień pełen był nowych wydarzeń.

Żyłem bardzo szybko. I bardzo szybko zmieniały się moje pasje. Chciałem być raz wspaniałym pułkownikiem, to znów artystą, także wspaniałym, to pisarzem, któremu nie było równych na ziemi, to chirurgiem, zdolnym bez zmrużenia oka rozpruwać ludzkie wnętrzości, uwalniając je od najbardziej nieuleczalnych chorób.

Po chłopięcemu chciałem wybrać zajęcie najważniejsze, najbardziej interesujące. A miałem szesnaście lat. I cały świat należał do mnie.

W niezmierzonym świecie mogłem wybrać każdą równą mu dziedzinę.

Ale nagle wydarzyło się nieszczęście. W Cynowej Dolinie, która leży siedemdziesiąt kilometrów od naszego miasta, w walce z bandytami dostałem postrzał w prawy bok. Upadłem w śnieg.

„No i masz całe twoje życie, zajączku” — pomyślałem, leżąc na śniegu.

Później podnieśli mnie i zabrali do leśniczówki.

Krzątał się koło mnie mój towarzysz. Opatrywał ranę i mówił:

— Poczekaj chwilę. Zaraz skoczę po drzewo. — Poczekaj — powtórzył, wychodząc. Jakby prosił, żebym nie umierał przed jego powrotem.

Ale ja czułem się bardzo źle. Nad leśniczówkę nadciągała noc.

Leżałem i myślałem o śmierci.

Słyszałem gdzieś, że zdarza się zakażenie krwi, które nieuchronnie powoduje śmierć. Wydawało mi się, że ono już się u mnie zaczyna.

„Umieram”, pomyślałem i zrobiło mi się, po prostu, strasznie.

Chciałem z kimś porozmawiać, powiedzieć coś ważnego. Tak, zapragnąłem powiedzieć przed śmiercią coś bardzo ważnego. Ale mój towarzysz zbierał chrust.

W końcu zebrał i rozpalił piecyk.

Za oknami była noc, zima, zaczynało wiać i drzewa skrzypiały od wiatru.

Chrust w piecyku posapywał, poświstywał.

Aż nagle buchnął ogromny ogień, oświecił leśniczówkę i sam piecyk, na drzwiczkach którego wybite było wielkie słowo „Pawluk”.

Tłumaczył Bronisław Traczyk